

WENDY

HOLDEN



Fatalna sława



Holden Wendy

Fatalna sława

Belinda Black pracuje w dzienniku "Globe" i przeprowadza wywiady z mało znanymi osobami. Marzy o spotkaniu kogoś słwnego, a przynajmniej bogatego, za którego będzie mogła wyjść za mąż. Inna bohaterka, Grace, jest związana z branżą wydawniczą i promuje mało popularnych autorów. Po spotkaniu jednego z nich, stara się go unikać, bojąc się jego nagle rozpalonego uczucia. Łączniczką między bohaterkami jest sprzątaczką, emigrantka z Europy Wschodniej, której barwne opowieści przekuwa na bestseller zakochany w Grace pisarz.

Rozdział 1

Grace Armiger stała na skraju przyjęcia, ściskając w dłoni kieliszek ciepłego białego wina i rozglądając się za Henrym Moonem. Ale poszukiwania były utrudnione, gdziekolwiek bowiem spojrzała, zauważała kogoś tak sławnego, że odrywał jej uwagę od celu, w jakim się tu znalazła.

O rzut książką stał Nick Homby, rozmawiający z Helen Fielding, a tuż za nimi zobaczyła V.S. Naipaula i Joannę Trollope, którzy śmiali się na całe gardło z czegoś, co właśnie powiedział Robbie Williams... Robbie Williams? Grace spojrzała ponownie. Ależ tak, bez wątpienia była to jego twarz. Oczywiście, przypomniała sobie, poproszono go, by w tym roku zasiadł w jury konkursu literackiego Booker.

Festiwal St Merrion, od dawna znany ze względu na znakomitości, które przyciągał, w tym roku znowu wyraźnie przeszedł sam siebie. Jeśli jeszcze ktoś miał wątpliwości, czy książki stały się nowym rock and roilem, pomyślała Grace, wystarczyło, by pojawił się na inauguracyjnym koktajlu festiwalu. Mógł się wtedy przekonać, że zjazd literacki o wiele bardziej przypomina premierę filmową niż tradycyjny, trącący stęchlizną świat książki. Włosy gości lśniły, zęby błyszcząły, wokół dźwięczał śmiech. Wszyscy uczestnicy festiwalu byli opaleni, szczupli i sprawiali wrażenie bogatych i pew-

nych siebie, a co więcej, każdy był zaangażowany w jakąś produkcję filmową.

— A więc Warner Bros wziął pod uwagę twoją książkę? — zapytała blondynka w ozdobionych diamentami klapkach na wysokim obcasie brunetkę w skórzanej kurtce.

Brunetka z zadowoleniem skinęła głową.

— Co za skandal! Moją Disney od razu kupił — oświadczyła z nieszczerym uśmiechem blondynka, odrzucając chmurę włosów o rozdwojonych końcówkach. — W ten sposób dużo więcej się zarabia. To Jenny Bristols i Sassy Jenks, uświadomiła sobie Grace. Dwie najpopularniejsze młode pisarki w kraju, ostro ze sobą rywalizujące w tym samym wydawnictwie.

— Nadal siejesz pietruszkę?

Palce u nóg Grace skuliły się na dźwięk tego głosu. Miała nadzieję nie usłyszeć go podczas dzisiejszego wieczoru. Kiedy spojrzała w dół, zobaczyła niskiego człowieczka o rumianej twarzy, byłego prawnika, znanego milionom czytelników jako Lucinda McCann. Odkrycie, że „królową romansów” jest mężczyzna i sądząc po gotowych ją objąć rękach — heteroseksualista, mogło wytrącić z równowagi.

— Jak wszyscy wielcy, piszę o miłości — wyjaśnił wcześniej Lucinda. — Tołstoj pisał o miłości. Szekspir pisał o miłości. Więc powiedz mi, na czym polega różnica? O czymże jest *Pan i władca*, jeśli nie o miłości? *Powiedz tak, kochanie* jest wyłącznie o miłości. Dlaczego więc moje książki nie należą do klasyki? Wyjaśnię ci to — perorował, a Grace uświadomiła sobie, że jest to retoryczne pytanie. Wyrzucił rękę w kierunku otaczającego ich tłumu. — Z powodu snobizmu literackiego światka, oto cały powód.

— Naprawdę pan tak sądzi? — wymamrotała Grace, marząc, by wśród gości pojawiła się wreszcie potargana głowa Henry'ego. To dziwne, że jeszcze go tu nie ma, zwłaszcza że zakrawało na cud, iż w ogóle zaproszono go do St Merrion.

— Ale ja im pokażę — wysyczał ze złością stojący obok

niej Lucinda. — Książka, nad którą w tej chwili pracuję — powiedział, zionąc na Grace czosnkiem i wpatrując się w jej dekolt — opisuje seksualne rozbudzenie z punktu widzenia czternastoletniej dziewczynki. W końcu jedynym ratunkiem dla Grace okazało się wyjście do toalety. Gdy wróciła, Lucinda nadal stał na swoim miejscu. Natychmiast znowu wbił rozpalone małe oczka w jej piersi. Jego tupecik w piaskowym kolorze był wyraźnie przekrzywiony.

— To wstyd — stwierdził. — Taka ładna dziewczyna jak pani sama jedna na przyjęciu.

Grace zastanawiała się, czyby jeszcze raz nie wymknąć się do toalety, ale w końcu zdecydowała, że lepiej zrobi, jeśli zostanie. Dzięki temu Henry będzie miał większe szanse jej znalezienia, a poza tym, kiedy ostatnio próbowała uciec przed Lucindą, władowała się na Louisa de Bernieresa.

— Lada chwila zjawi się mój autor — oświadczyła.

Ale Lucinda nagle przestał słuchać. Oderwał oczy od jej piersi i skierował je w tłum.

— Jest tu ten sukinsyn Mark Lawson. Nie zostawił suchej nitki na *Panu i władcy* w recenzji we „Front Row” w zeszłym tygodniu. Pójdę i powiem mu, co o nim myślę.

— Dobry pomysł — stwierdziła Grace i z ulgą pociągnęła łyk wina.

Wokół krążyły literackie plotki.

— ...kiedy doszła do końca swojej przemowy autorskiej, przewodniczący zwraca się do publiczności: „Czy ktoś z obecnych ma jakieś pytania do pani Atkinson?”, a wtedy jakaś kobieta wyciąga rękę i mówi: „Tak, chciałabym się dowiedzieć, gdzie Kate kupiła te buty...”.

— ...więc właśnie żegnałam się z Gore'em... wiesz, Vidalem... a kiedy się odwróciłam, Melvyn Bragg podebrał mi taksówkę...

— ...tak, ona chyba przesyła omówienia książek wszystkich swoich rywali do Amazon. A recenzje ze swoich książek, które

sama pisze, też umieszcza w Amazon, nic więc dziwnego, że dostają po pięć gwiazdek...

— Chyba słyszałaś, że zostałam nominowana do nagrody Cytryny — powiedziała Sassy do Jenny. Grace uniosła ze zdumieniem brwi. Jeśli to prawda, Sassy Jenks wygrywa piętnaście do zera. Cytryna to nie puste przechwałki. Jej celem było wyróżnienie „wybijającej się młodej prozy” i należała do najbardziej prestiżowych nagród literackich. Niektórzy cenili ją wyżej niż Bookera.

W odpowiedzi Jenny wypuściła nozdrzami dym, który popłynął jak gradowa chmura prosto w twarz rywalki.

— Brawo, kochanie — wycedziła tonem wyższości. — To wspaniale, że możesz sobie tym zawracać głowę. Ale mnie, szczerze mówiąc, pieniądze za Cytrynę nie starczyłyby nawet na fajki.

Piętnaście punktów dla Bristols, pomyślała Grace. Wszyscy w książkowym świecie wiedzieli, jaka wściekła była zawsze promienna Jenny, gdy *Wstrzyknięcie*, pierwszą powieść Sassy Jenks, za rekordową sumę zakupiło wydawnictwo Ptarmigan, a po wydaniu zyskała powszechne uznanie świata książki. Świata, który — jak dotychczas — przeoczył geniusz Jenny Bristols. A zwłaszcza jej nową powieść, *Przyczółek*.

Recenzje ze *Wstrzyknięcia* były tak ogólnikowe i tak podobne jedna do drugiej, że Grace je zapamiętała. „Mocno osadzone w realiach, wyrafinowane, dobre rzemiosło literackie” („Guardian”).

„Wyrafinowane, dobra robota literacka, mocno osadzona w realiach” („Independent”). „Dobra robota literacka, mocno osadzona w realiach, wyrafinowana” („Times”). Pozostałe były wariacjami na temat „humoru, siły i dogłębnego realizmu, z jakim Jenks ukazuje życie nastolatka w slumsach południowego Londynu”.

Grace pamiętała to tak wyraźnie, gdyż wielu autorów, którymi się zajmowała w dziale reklamy Hatto & Hatto, ciągle napomykało jej o sukcesie Jenks, dając do zrozumienia, że zasługują na podobny rozgłos, a nie zdobyli go jedynie z jej

winy. Wyglądało na to, że tylko Henry Moon, niegrzeszący talentami towarzyskimi i nieposiadający zegarka, który by mu pozwolił się zorientować, jak bardzo jest już spóźniony, nie podziela tego przekonania. Był chyba jedynym pisarzem, współpracującym z Hatto, który nie twierdził, że to właśnie niekompetencja Grace nie pozwoliła mu zdobyć światowej sławy.

— W każdym razie — cedziła dalej Bristols — *Przyczólek* otrzymał imponujący przydział nagród. Został książką roku Dyno-Rod, otrzymał Nagrodę Roku Tipp-Ex, a teraz właśnie czekamy na wiadomość, czy wygrał kampanię reklamową Spud-U-Like...

Piętnaście do trzydziestu, pomyślała Grace.

— Słyszałam, że jurorzy mieli trudne zadanie, bo nadesłane książki miały niższy poziom niż zazwyczaj — wtrąciła Jenks ze słodkim uśmiechem. Obie po trzydziści.

— ...nie wspominając już o tym, że *Przyczólek* uzyskał prawie pół miliona wpływów za wydanie w miękkiej oprawie — dokończyła Jenny, odrzucając do tyłu skreconą czuprynę, przypominającą wiązkę słomy. Ma tyle pieniędzy, pomyślała Grace, a oszczędza na odżywcę do włosów. Na obu policzkach Sassy pojawiły się czerwone plamki wściekłości. Trzydziści do czterdziestu; Jenny zaserwowała asa. Literacka sława rywalki wytrącała Bristols z równowagi, lecz powszechnie wiadomo było, że ogromna liczba sprzedanych egzemplarzy książek Jenny Bristols bardzo denerwowała Sassy Jenks.

— Słyszałam, że należą ci się też gratulacje za nominację do Najgorszej Sceny Seksualnej Roku — wymruczała Sassy, wymawiając każdą sylabę oddzielnie. — *Martwy mózg* ma podobno największą szansę wygranej. A niech to, pomyślała Grace. *Martwy mózg*, ostatnia powieść Jenny, sprzedawała się fenomenalnie. Razem ze wszystkimi mieszkańcami stolicy Grace codziennie widziała jej różową

okładkę, na której wymalowano skwierczącą rogówkę, na plakatach w metrze. Hasło reklamowe książki: „Poruszający bestseller, osadzony w realiach neurochirurgicznego świata skalpela i seksu” — niemal wryło jej się w umysł. Teraz jednak po raz pierwszy usłyszała, że książka została nominowana do najbardziej osławionej nagrody literackiej, której nie pragnął zdobyć żaden autor i każdy bał się zostać do niej wysunięty — dorocznego niechlubnego wyróżnienia, przyznawanego przez „Literary Review”.

Ta okryta złą sławą nagroda literacka, którą wręczano na słynnym z przepychu przyjęciu, wywoływała wiele humorystycznych komentarzy gazetowych. Biorąc pod uwagę, że wszyscy autorzy najbardziej pragną reklamy i nagród, Grace bardzo się dziwiła, że pisarze za wszelką cenę usiłują uniknąć wyróżnienia za Zły Seks.

Przewagę ma Bristols, pomyślała, ukrywając uśmiech w kieliszku z winem, które coraz bardziej zbliżało się do dna. Rozejrzała się za kelnerem i stwierdziła, że nie tylko ona go szuka. Beth Allardice, redaktorka literacka potężnego szmatławca „Globe”, który opanował połowę rynku, również rozglądała się wokół z nadzieją w oczach i pustym kieliszkiem w ręce.

Czoło Bristols zmarszczyła irytacja. Milczała przez chwilę, a potem znowu dmuchnęła dymem prosto w twarz Jenks.

— Tak, to cudowne, nieprawdaż? — oświadczyła, ukazując wszystkie zęby w promiennym uśmiechu. — Nagroda za Zły Seks to wielki zaszczyt. Jestem taka podniecona, zwłaszcza iż krążą plotki, że w tym roku znowu Mick Jagger będzie wręczał tę nagrodę, więc się z nim spotkam.

— Beth! — usłyszała nagle Grace krzyk Sassy. — Nie widziałam cię od wieków!

Znowu równowaga, stwierdziła Grace, widząc zmieszanie na twarzy Allardice, gdy obie pisarki, rozpychając się łokciami, rzuciły się ku niej. — Spotkałyśmy się już wcześniej, naturalnie — przypominała się Jenny, błyskając zębami. — Jenny Bristols. *Przyciółek*.

Przewaga Bristols, pomyślała Grace.

— Ta książka została nominowana do nagrody za Najgorszy Seks — dodała słodko Sassy.

Ponownie równowaga. Grace spojrzała na Jenny Bristols, która miała bardzo dziwną minę. Nie dała się sprowokować Złym Seksem poprzednio, więc dlaczego robi to teraz? — zastanawiała się Grace. Jenny miała wytrzeszczone oczy i zaciśnięte usta, co mogło być oznaką wzburzenia albo cierpienia. Jej ramiona były sztywne, a dłonie zaciśnięte jak szpony.

Kiedy Grace opuściła wzrok, zauważyła tuż ponad poziomem podłogi cienki, ostry trzon wyglądający na stalowy, który zagłębiał się właśnie w wielki palec u nogi Bristols. Zobaczyła, że obcas się przesuwa. Wygrała Jenks, stwierdziła, gdy Jenny gwałtownie odepchnęła rywalkę i utykając, wmieszała się w tłum z twarzą wykrzywioną bólem. Set i mecz, dodała w myśli, gdy zadowolenie rozlało się jak oliwa na twarzy Sassy.

Nagle obok niej ktoś powiedział:

— Cześć, Grace.

— Henry! Gdzieś ty się, do diabła, podziewał?

Jego gęste ciemne włosy sterczały jak zwykle na wszystkie strony. Worki pod oczami napuchły i były teraz ciemnoczerwone. Z czoła opadały grube na palec, gęste brwi, które niemal całkowicie zakrywały organy wzrokowe Henry'ego Moona. Wykrzywił usta w uśmiechu.

— Wyglądasz na steranego życiem — stwierdziła Grace, starając się, by jej głos zabrzmiał surowo. Teoretycznie łatwo było gniewać się na Henry'ego, okazywało się to jednak niemal niemożliwe, gdy pojawiał się przy niej duszą i ciałem. Ale cóż to było za ciało — skóra naciągnięta na wysokim, barczystym korpusie niczym płótno na latawcu. Nie potrafiła go sobie wyobrazić, jak wędruje samotnie z plecakiem, poszukując w Himalajach legendarnego plemienia, które odprawiało swoje rytuały, trzymając kamienie w ustach. A jednak je odnalazł i rezultatem tego była książka *Ssanie kamieni*. „Marzenia, dramat i dyzenteria, ostatni podróżnik dżentelmen stawia czoło

wielkiemu wyzwaniu" — tak to określiła Grace na konferencji prasowej. Miała wątpliwości co do dyzenterii, lecz Henry nalegał, by tego nie wykreślała. „Dzięki temu książka nie wydaje się taka poważna” — oświadczył.

— Ależ jest poważna — zaprotestowała wtedy Grace. — A ty jesteś poważnym podróżnikiem.

— Nie, nie jestem. To znaczy owszem, jestem podróżni-•kiem. Ale nie poważnym.

Grace wiedziała, że jeśli chodzi o promocję książki, miał do niej mniej poważny stosunek niż do czegokolwiek innego. Zdawała sobie sprawę, że nic nie może zrobić, by Henry nie lekceważył swojej książki. Nawet gdy napisała do organizatorów Festiwalu Literackiego St Merrion, spodziewając się, że nic z tego nie wyjdzie, a oni odpisali, że chętnie widzieliby na nim Henry'ego, opowiadającego o *Ssaniu kamieni*, wydawał się zupełnie nieświadomy zaszczytu, jaki mu wyświadczano. Kiedy na niego czekała, doszła do wniosku, że nie przyjdzie, a gdy w końcu zjawił się, była przekonana, że kompletnie zapomniał, po co tu przyszedł.

— Gdzieś ty się podziewał? — zapytała ponownie. Henry chwycił z tacy mijającego go kelnera kieliszek czerwonego wina i wychylił go jednym haustem. Wyglądał nie tyle na zmęczonego, co zmartwionego i przygnębionego. — Siedziałeś do późna w nocy? — Wiedziała, że ma trudności z rozpoczęciem następnej książki, nie chciał się jednak do tego przyznać, gdyż nie lubił na nic się skarżyć.

— Trochę siedziałem — przyznał Henry. Wino przywróciło nieco koloru jego policzkom. — O wpół do drugiej w nocy była u nas rozróżba. Spłukałem ją resztką tequila — wymamrotał. — Obudziłem się dopiero o jedenastej, musiałem więc wsiąść do późniejszego pociągu. Ale jestem — oświadczył.

Trudno było nie uznać prawdziwości tego stwierdzenia.

— Wobec tego chodźmy — powiedziała Grace. — Muszę cię poznać z tyloma ludźmi z prasy i radia, z iloma się tylko da. Chodź. — Ujęła Henry'ego pod ramię. — Tam jest redak-

torka „Woman's Hour”, a tu w rogu siedzą redaktorki z „Sunday Timesa”.

— Czy muszę? — jęknął Henry. Gdy szedł za nią, potykając się, przypadkowo nadepnął na nogę kogoś pogrążonego w rozmowie z Melvynem Braggiem.

— Auu! — zaskomlał Louis de Bemieres.

Po przyjęciu Grace zaprowadziła Henry'ego do pobliskiej wioski, gdzie był jedyny pensjonat, w którym można było jeszcze znaleźć wolne miejsca, niezajęte przez gości festiwalu St Merrion.

— Za kościołem i alejką na prawo. Na pewno trafisz. Nazywa się Ivanhoe.

— To bez wątpienia bardzo literackie — uśmiechnął się Henry, unosząc brwi, skrywające brązowe oczy, otoczone czerwonymi obwódkami.

— Zaczekam na ciebie w namiocie dla pisarzy — powiedziała Grace.

Była zdziwiona, że wyznaczono specjalne pomieszczenie dla autorów — przyzwyczała się już do ponurego kąta w rogu barn, który podczas poprzednich festiwali nazywano świetlicą pisarzy. Udogodnienia, jakie zaoferowano twórcom w St Merrion — duży, wspaniały namiot, ozdobiony kolorowymi światełkami, obwieszony dywanikami i zastawiony długimi otomanami, wyścielonymi poduszkami — były dla Grace prawdziwym zaskoczeniem. Pospieszyła ku namiotowi, bo skoro jej podopieczny przybył, zamierzała nasycić się wreszcie literacką atmosferą. A także serwowanym gościom winem i kanapkami, w które Jurta (jak nazywano namiot), była ponoć obficie zaopatrzona.

Wejście zagradzał mężczyzna, którego Grace nie zdołała rozpoznać — wysoki, o srebrzystych włosach, bez wątpienia pisarz — któremu właśnie robiono zdjęcie. Opalony i szczupły, miał w sobie coś hiszpańskiego — pewnie to jakiś „magicznie

realistyczny" laureat z krainy Garcii Marqueza, pomyślała Grace. Zatrzymała się, a on skłonił głowę, ale się nie usunął. Widząc jego lekko pytający uśmiech, Grace uświadomiła sobie, że prawdopodobnie wziął ją za dziennikarkę i spodziewał się, iż podsunie mu książkę z prośbą o autograf. Gdy powiedziała, że chce tylko wejść do Jurty, odsunął się na bok, i kiedy znalazła się w środku, poczuła zakłopotanie.

Jeśli się jej poszczęści, może natrafi na kogoś, kogo zdoła rozpoznać. Byleby nie był to Lucinda McCann... Zobaczyła grupę ubranych na czarno kobiet nienoszących staników, o postrzępionych siwych włosach i gołych, nieogolonych nogach, które podwinęły pod swoje potężne, spoczywające na otomanach zadki. Wpatrywały się w Grace podejrzliwie. Jedna z nich, mająca na podkoszulku napis: „Mężczyźni powinni przychodzić z instrukcjami”, z łomotem zarzuciła swoje tłuste boscie stopy na pokryty literackimi publikacjami stolik przed sobą, jakby zamierzała zniechęcić Grace do zajęcia tam miejsca.

Przechodząc pospiesznie dalej, Grace ujrzała Jane Lewis, autorkę *Fromage*, rozmawiającą z Mikiem Blokiem, młodzieńcem w okularach, o rozwichrzonej fryzurze, gwiazdą literatury młodzieżowej. „Tak, to cudowne, że Brad zgodził się grać w filmie, kręconym na podstawie *Fromage*” — mówiła Jane z uśmiechem szczęścia na twarzy, ale Mike sprawiał wrażenie spiętego. Grace uśmiechnęła się do siebie. Doskonale czuła się w tej atmosferze.

Podeszła do stołu, na którym ustawiono poczęstunek, rozkoszując się miękkością dywanów, rozłożonych wprost na trawie. Nalała sobie kieliszek białego wina i położyła na talerzu dwie kanapki z krewetkami. Zwijały się już po bokach, ale i tak chętnie je zje. Nad stołem zawieszona była tablica z zawiadomieniami dla pisarzy. Posilając się, Grace uważnie je przeczytała.

Większą część tablicy pokrywały liściki do niejkiej Millie Simpson. Zmarszczywszy brwi, Grace przypomniała sobie, że to także pisarka. Atrakcyjna młoda kobieta o czarnych włosach,

żona gwiazdy rocka, który zbił fortunę. Jej niedawno opublikowana powieść wywołała żywe zainteresowanie. Zdaniem Grace spowodowane było ono raczej kruczoczną urodą autorki, nie wspominając o jej milionach, ale bez wątpienia Millie stanowiła atrakcyjny dodatek do literackiej scenerii festiwalu.

Przeglądając program, również przypięty do tablicy, Grace poczuła nagle, że zalewa ją fala gorąca, które nie ma mc wspólnego z wypitym winem. Pomiedzy takimi punktami jak omówienie najnowszej powieści V.S. Naipaula, poglądy Gore'a Vidala na temat polityki amerykańskiej, ocenianej „od środka”, oraz omówienie *Spotkania z autorem* Margaret Atwood i dyskusją z Doris Lessing na temat fantastyki naukowej — grzmiecie bębny, dźwięczcie fanfary! — zobaczyła zajawkę: „Henry Moon mówi o swojej najnowszej książce, *Ssanie kamieni*”. Gdy patrzyła na to ogłoszenie, łzy napływały jej do oczu. Nigdy przedtem nie udało jej się zainteresować St Merrion żadnym autorem Hatto, więc zaproszenie Henry'ego na festiwal było ogromnym osiągnięciem. Pod wieloma względami.

Właśnie w tym momencie Henry we własnej osobie pojawił się pod kunsztownym drewnianym łukiem, zdobiącym wejście do Jurty. — Mój Boże! — zawołał, przyglądając się misternie rzeźbionym kopułom oraz poduszkom i kilimom. — Czuję się zupełnie jak na przełęczy Khyber.

Kobiety w czerni obrzucały go wściekłymi spojrzeniami i szeptały gniewnie do siebie. Grace, wyteżając słuch, zdołała pochwycić takie zdania jak „kapitalistyczny sukinsyn”, ale Henry, nie zwracając na nie uwagi, ruszył ku stołowi z jedzeniem.

Nagle przy wejściu rozległ się dźwięczny śmiech i do środka wkroczyła piękna młoda kobieta, otoczona przez przynajmniej dziesięciu mężczyzn, adorujących ją tak gorliwie, że niektórzy szli przed nią tyłem, jak lord szambelan przed królową. Kobieta potrząsała długą grzywą lśniących czarnych włosów, kołysząc zgrabnym, pełnym apetycznych okrągłości ciałem i ukazując

w uśmiechu małe, idealnie równe zęby. Do swoich drobnych, kształtnych piersi przyciskała program festiwalu. Grace rozpoznała w niej Millie Simpson i zobaczyła z ukłuciem zazdrości, która ją samą zdumiała, że Henry odejmuje od ust butelkę piwa i wpatruje się w młodą piękność z nieukrywanym podziwem. Uświadomiła sobie brak własnych okrągłości, nadmierny wzrost, nijakie jasne włosy, praktycznie spięte w krótki koński ogon, zwyczajne szare oczy, nos, mający kształt zwyczajnego nosa, i usta o kształcie ust i poczuła nagłą siostrzaną więź z sabatem czarownic bez biustonoszy, które wpatrywały się w Millie z nieukrywanym obrzydzeniem.

— Millie, kochanie, byłaś cudowna — wyszeptał jeden z jej wielbicieli, błądy młodzieniec o wystającym jabłku Adama, w okularach w pomarańczowej oprawce.

— Tak, byłaś naprawdę wspaniała — zapewniła reszta żarliwym chórem. Choć Millie przyjmowała składane jej hołdy, uśmiechając się z wdziękiem, Grace wyczuła w niej pewną niecierpliwość, bo festiwalowa piękność przez cały czas ukradkiem obserwowała wejście do namiotu. Po paru minutach pojawił się mężczyzna w liberii szofera i Millie ruszyła ku drzwiom, informując swoją świętę zduszonym głosem: „Muszę lecieć, kochani”. Grace pomyślała, że chyba rzeczywiście gdzieś leci — wszyscy wiedzieli, że posiadający co najmniej pięć domów mąż Millie uwielbia podróże samolotem.

— Dokąd poszła? — spytał Henry, który tymczasem podszedł do Grace, powłócząc nogami.

— Pewnie poleciała jednym ze swoich licznych helikopterów do jednego ze swoich licznych domów — odparła Grace, starając się mówić pogodnym, obojętnym tonem. Ale niezbyt jej to wyszło, sądząc z rozbawionego spojrzenia, które Henry rzucił jej znad butelki. — Chciałbyś wiedzieć, kto jeszcze tu jest? — wymamrotała, czerwieniąc się. — Tam stoi Jane Lewis. Autorka *Fromage*.

— Nigdy o tym nie słyszałem — stwierdził Henry.

Grace popatrzyła na mego z niedowierzaniem.

— Ależ Henry, to była sensacja wydawnicza zeszłego lata! O przejrzałym camembercie, który obudził wspomnienia wojenne starego żołnierza... nie przypominasz sobie?

Henry, w gryzając się w kanapkę, która lepsze godziny lub nawet lepsze dni miała już za sobą, pokręcił przecząco głową.

— Zrobiono z tego film z Bradem Pittem — powiedziała Grace, zniżając głos, bo właśnie przechodził obok nich Mike Bloke. — A tam jest Phil Plant — dodała.

— Kto to taki?

— Aktor komediowy, który wykonuje numery solo. Napisał książkę pod tytułem *Z fretką w spodniach* o podróży po całej Wielkiej Brytanii, właśnie z fretką w spodniach. To humorystyczna powieść podróżnicza. Rozchodziła się jak gorące bułeczki- — Grace urwała, uświadamiając sobie z zakłopotaniem, że powieść podróżnicza Henry'ego, o niebo lepsza, choć pozbawiona zabawnych efektów, odniosła znacznie mniejszy sukces. Wyraźnie mniejszy. Tak naprawdę sprzedawała się bardzo źle. Spojrzała na niego z zakłopotaniem.

Ale uwagę Henry'ego przyciągnęło już coś innego.

— Kim jest ta kobieta? — zapytał, gdy do namiotu weszła Jenny Bristols, mówiąc coś z podnieceniem do człowieka przypominającego szczura, w którym Grace rozpoznała dziennikarza z gazety codziennej, piszącego kronikę dnia.

— Straszne, prawda? — skrzeczała Jenny. — Klasyczna kłapa. Biedna Sassy.

— Rzeczywiście okropne — przyznał mężczyzna, notując zawzięcie. — Więc mówią, że *Wstrzyknięcie* napisał ktoś zupełnie inny?

— Tak, aleja tego panu nie powiedziałam — odparła Jenny, zniżając głos, gdy mijala Grace i Henry'ego. — Uzgodniliśmy, że cytaty mają być nieautoryzowane, pamięta pan? — oświadczyła, opadając na stojącą w rogu otomanę. — Chybabym umarła, gdyby mój wydawca powiedział mi, że moja druga książka jest tak okropna i tak sznurowata, że trzeba ją napisać

zupełnie na nowo. Mówi się o zwrocie połowy zaliczki i tak dalej. Sassy jest zdruzgotana — dodała scenicznym szeptem, wypychając łokciami piersi do przodu.

— Trzyma się bardzo dzielnie — zauważył kronikarz, spoglądając ku wejściu, gdzie najwyraźniej bardzo rozradowana Sassy, z butelką szampana w dłoni i parą bokserek na głowie, tańczyła kankana z Germanie Greer oraz mężczyzną w biustonoszu.

— Ale w duchu płacze — stwierdziła Jenny, patrząc na swój duży palec u nogi i mrugając.

— Muszę stąd wyjść — wymamrotał nagle Henry. — Moglibyśmy obejrzeć zachód słońca.

Zaskoczona Grace skinęła głową.

Farma, na której terenie odbywał się festiwal, znajdowała się na szczycie Półwyspu Komwalijskiego. Ruszyli pomiędzy namiotami prowizorycznej wioski festiwalowej. Henry od czasu do czasu potykał się o przytrzymujące je linki. Wokół nich kłębiło się ciepłe wieczorne powietrze, przesycone wonią świeżo skoszonego siana i przemieszane ze słonym zapachem morskiej bryzy. Gdy Grace i Henry minęli ostatnie namioty i skręcili w alejkę, otoczyły ich żywopłoty, porośnięte dzwonczkami, czosnkiem, naparstnicą, jaskrami, trybulą leśną, kłęczami kozłka, janowcem, firletkami i skalnicą. Wszystkie te rośliny połączone były tak kunsztownie, jakby układał je modny znawca. Kiedy jednak Grace podzieliła się tą myślą z Henrym, spojrzał na nią z dezaprobatą. — W naturze wyglądają znacznie lepiej.

Skoro tak ją skarcono, Grace postanowiła nie wspominać, że niebo, zabarwione płomiennymi smugami zachodzącego słońca, przypomina jej malowidła na sufitach rezydencji wielmożów, przedstawiające baraszkujących bogów. Chmury, wyglądające jak porwany złoty aksamit, odsłaniały łososioworóżowe wysepki na morzach błękitnych jak kacze jaja, a zachodzące słońce opromieniało je niczym świecą, którą przytknięto do macicy perłowej. Brakowało tylko kilku brodatych, muskularnych bo-

gów i rozkosznie pulchnych bogiń, odzianych w skape skrawki materiału, oraz *putti* o policzkach jak jabłka.

Gdy spacerowali, Grace wskazała na owce, zbierające się w mroku przy słupie telefonicznym.

— Jak myślisz, dlaczego tu stoją? Henry wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. Może czekają na połączenie. Grace zachichotała.

Było jej przyjemnie iść obok Henry'ego

między kwietnymi ścianami żywopłotów pod olimpijskim niebem. Z poczuciem winy uświadomiła sobie, że nie słyszała ani słowa z tego, co mówił. Chyba coś o swoich podróżach, stwierdziła, gdy wsłuchiwała się w jego opowieść.

— ...w środku nocy obudził mnie chlupot wody. Myślałem, że to ulewa, dopóki nie usłyszałem warczenia i nie uświadomiłem sobie, że to lew sika na moją stronę namiotu. — W jego oczach błysnęły iskierki rozbawienia.

— To się nazywa mieć szczęście.

— Nigdy nie chciałeś pojechać na Karaiby? — spytała Grace, której przygody Henry'ego nie wydawały się zbyt zabawne.

Henry przewrócił oczyma.

— Kiedy pomyślę, że cały dzień miałbym leżeć w słońcu na piasku, odechciewa mi się żyć.

— Naprawdę? — Grace westchnęła. W ostatnich tygodniach często snuła marzenia o połaci złotego piasku nad turkusowym morzem. O miejscu, gdzie wtyka się chorągiewkę w piasek, jeśli ma się ochotę na kolejny koktajl. Może sprawiło to przebywanie z Sionem, dla którego wakacje nad morzem oznaczały zjazd Socjalistycznej Partii Robotniczej w Skegness... Nie będę się nad tym zastanawiać, zapowiedziała sobie surowo. Przyjechała tu między innymi dlatego, żeby przestać obsesyjnie myśleć o Sionie.

Henry popatrzył na nią.

— Chyba że mówiąc o Karaibach miałaś na myśli Haiti — mruknął. — To byłoby coś szalonego. — Uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Doprawdy?

— O tak — entuzjazmował się Henry. — Pewne miejsca, które odwiedziłem, bardzo by ci się spodobały. Czy wiesz, że w niektórych częściach Europy Wschodniej nadal panuje dżuma dymiczna?

Grace pokręciła głową.

— A Korea Północna jest zupełnie nie z tego świata. Jakby znajdowali się w innej galaktyce. Nawet nie słyszeli o księżnej Dianie.

Zaciągnął się papierosem. Miał nieobecne spojrzenie.

— Kiedyś uzbrojeni handlarze narkotyków ścigali mnie wzdłuż Amazonki. W dżungli musiałem zjeść własnego psa. A z chińskimi gangsterami jadłem gotowane na parze jedwabniki.

Grace skrzywiła się.

— Uuuch...

Henry spojrzał na nią przymrużonymi oczyma.

— Jak już powiedziałem, to było z chińskimi gangsterami. W tej sytuacji jesz, co ci dają. Zresztą były całkiem niezłe. Miały delikatny smak.

Trochę jak...

— Kurczaki? — zapytała Grace. — Wszystko, co dziwnie brzmi, przypomina smakiem kurczaki.

Rozpromieniony Henry skinął głową.

— A więc ich próbowałaś?

— Oczywiście. Tak jak wszyscy.

Uświadomił sobie, że Grace się z niego nabija, ale oświadczył:

— Nie ma nic lepszego od podróżowania.

— *Ssanie kamieni* bardzo mi się podobało — podjęła ochotczo Grace. —

Uważam, że to wspaniała książka. — Dyplomatycznie nie dodała, jak bardzo była tym zaskoczona. Ponieważ bohaterskie wyczyny w

Himalajach niezbyt ją pociągały, podeszła do tego tekstu z zawodową rezygnacją i osobistą niechęcią, ale tak ją wciągnął, że dwukrotnie

zapomniała wysiąść na swoim przystanku, gdy czytała go w metrze. —

Na

przykład ten fragment, gdy przechodzisz przez przełęcz i natrafiasz na całe plemię, które siedzi i ssie kamienie... Niesamowite.

Weszli na szczyt wzgórza i spoglądali w dół, na mroczniejący palec łądu, który wdzierał się w morze płynnego złota.

— Jakie to piękne... — wyszeptała Grace.

Henry uśmiechnął się do niej. Zauważyła, że jego oczy w blasku zachodzącego słońca wyglądają jak bursztynowe plamki. Odwracając się do niej, przesunął ręką po swoich gęstych włosach, które najwyraźniej od kilku dni nie widziały szczotki.

— Przyjemnie tu — stwierdził. — Doskonale się bawię. Jego głos był dziwnie niski i schrypnięty. Czyżby miało to jakieś dodatkowe znaczenie? — zastanawiała się Grace. A może to początek rozedmy płuc?

— To dobrze — odparła wyższym i bardziej zdyszonym głosem, niż zamierzała. — Festiwal St Merrion jest bardzo prestiżowy.

— Nie mówię o tym cholernym festiwalu — powiedział Henry, wpatrując się w nią tak uporczywie, że się zaczerwieniła. Zaciągnął się papierosem. Zapadło milczenie.

Serce Grace waliło o żebra, a jej żołądek przypominał kulę ognia, zanurzającą się w morzu u ich stóp.

— Wrócimy i napijemy się czegoś? — zapytała cicho.

Rozdział 2

Weszli do festiwalowego baru — bo Henry nie chciał wracać do Jurty z powodu „tych przerażających macierzyństw”, mając na myśli, jak przypuszczała Grace, sabat czarownic, które piły nieprzerwanie i bardzo obficie. Grace czuła się podniecona i podenerwowana, nie wiedziała, co Henry chciał jej powiedzieć na przylądku, nie miała też pojęcia, jakie ma zadawać pytania i czy powinna to robić. W drodze powrotnej nic jej nie przyszło do głowy, poza tym musiała brać pod uwagę Siona. Może najlepiej będzie, jeśli zadecyduje los... Piła ciepławe wino kieliszek za kieliszkiem, gwałtownie zwiększając te ilości po zjedzeniu dwóch paczek solonych orzeszków zamiast kolacji. Zaczęło jej się kręcić w głowie. Od dawna też przestała liczyć, ile whisky wypił Henry.

Jej partner i tak się nią już nie interesował. Wpatrywał się w pijanego Mike'a Bloke'a, ocierającego się miednicą o główny słup namiotu i uśmiechającego lubieżnie do kelnerek.

— Chłopięca literatura — zarechotał po chwili. Najwyraźniej nie cenił zbytnio tego gatunku. — Młodzieniec spotyka dziewczynę. Młodzieniec wypija za dużo piwa...

Grace zamruwała. Ten scenariusz brzmiał znajomo. Zwłaszcza jeśli chodzi o piwo. Czyż między nią i Sionem nie doszło

do potężnej awantury zaledwie tydzień temu, gdyż przyszedł do domu pijany, kiedy ona już dawno położyła się do łóżka?

— Chłopak wraca późno do domu...

Rozumiała oczywiście, że rozprawa doktorska Siona, zatytułowana *Dlaczego nowi członkowie Partii Pracy to sukinsyny*, wymaga wywiadów z posłami ze skrajnej lewicy. Mniej zrozumiałe było jednak to, czemu te wywiady nieodmiennie wymagały konsumpcji ogromnej ilości piwa. Ostatnio coraz częściej kładła się spać, zostawiając drzwi mieszkania otwarte z powodu późnych powrotów Siona z przedłużających się posiedzeń, na których miał naprawiać świat. Jednego czy drugiego wieczoru w ogóle nie wrócił.

— Dziewczyna stwierdza, że jej chłopak sypia z kimś innym... — ciągnął Henry.

Grace starała się nie zwracać uwagi na to, że jako przewodniczący miejscowych socjalistów rewolucyjnych, Sion sobotnie poranki spędza na rozmówkach z atrakcyjnymi kobietami przed supermarketami. Ani na pełne entuzjazmu studentki z kursu na temat „Położnictwa Ucisku i Narodzin Państwa Niań”, który prowadził na uniwersytecie w Penge. „Ortodontyczne dziewczyny”, jak nazwała je Grace, usiłując obrócić to w żart i nie przejmować się tym, czego tak naprawdę uczył ich Sion, często zostawiały wiadomości w jej poczcie głosowej — Sion jej nie miał, gdyż uważał to za burżuazyjny wymysł. Wiedziała, że wiele z tych dziewczyn było w nim zakochanych, co wcale jej nie dziwiło — był wysoki, przystojny i pełen pasji, a jego przybrane celtyckie imię przydawało mu romantyczności. Romantyczne mogło się też wydawać jego ciągle spóźnianie się na autobus do Penge. Jego drugie imię to z pewnością nie Odpowiedzialność, stwierdziła.

Tak więc, spędzając sobotnie przedpołudnia w łóżku z pismami Johna Peela albo przygotowując późne śniadanie, na które Sion nieodmiennie się spóźniał, Grace nie przejmowała się zbytnio —jedyne na tyle, na ile przejmowałaby się każda inna kobieta w jej położeniu. Podejrzewała, zwłaszcza po

wieczornych spotkaniach, z których wracał we wczesnych godzinach rannych, że rozsiewa nasienie nie tylko rewolucji. I trudno jej było się dziwić.

— Dziewczyna się dowiaduje... — rechotał Henry.

Grace przełknęła ślinę. Oczywiście nie miała żadnych niezaprzeczalnych dowodów. Oprócz pary nieznanych majtek w jego koszu z brudnym rzeczami. Nieskładne wyjaśnienia Siona, że kupił je dla niej na aukcji dobroczynnej Robotników Socjalistycznych i uznał, że wymagają wyprania, były nieco mało przekonujące, nawet jeśli się uwzględniło jego legendarne skapstwo. A może dochodzą w niej do głosu jakieś paranoiczne cechy?

— Dziewczyna rozbija kolekcję CD chłopca...

No, to już było raczej niemożliwe. Sknerstwo Siona — czy też jego „antykapitalistyczna kultura”, jak to ujmował — nie pozwalały mu na kompletowanie własnej muzyki. Ale wobec jej zbiorów był bezlitosny, demaskując płyty Vaughana Williamsa jako kapitalistyczne, a nagrania Billie Holiday i Nata King Cole'a uważał za dowód protekcyjności i pogardy wobec mniejszości etnicznych.

— Dziewczyna rzuca chłopca... Napijesz się? — zapytał Henry, niepewnie stojąc na swoich dużych stopach.

Skinęła głową. Jeśli ma się dręczyć myślami o Sionie, równie dobrze może to robić z napełnionym kieliszkiem w ręce.

Jakże inaczej wyglądało to na początku ich znajomości. Aż trudno uwierzyć, że wszystko zaczęło się niespełna pół roku temu. Grace „oderwała się” wtedy od swego poprzedniego partnera, jeśli tak pełnego energii słowa można użyć w odniesieniu do zakończenia jej romansu z Tomem. Był to przedwcześnie posiwiasty bankier z City, który omal jej nie przewrócił na przyjęciu w ogrodzie, kiedy mocno wstawiona próbowała dojść do samochodu. Następnego dnia obudziła się obok człowieka, który miał mnóstwo pieniędzy, mało czasu i praktycznie żadnych zainteresowań oprócz kolekcjonowania starych samochodów dobrych marek i gromadzenia bogactw. Nic z tego nie

pociągało Grace. W łóżku był beznadziejny, a jego poglądy polityczne krańcowo różniły się od jej mglistych, lecz ciężących ku liberalizmowi zapatrywań. Z tych też powodów w ich związku pojawiły się rysy — na długo przedtem, zanim pewnego wieczoru na jaguara Toma z 1965 roku założono blokadę przed wykwinną restauracją w Park Lane. Nie trzeba dodawać, jak wielka była wtedy jego wściekłość.

Jego gwałtownie wyrażony pogład, że usunięcie kosztownego samochodu takiej marki sprzed słynnej knajpy oznacza załamanie się tkanki społecznej, przepełniło czarę. W każdym razie Grace zdążyła się zorientować, że Tom zamierza zamknąć ją w swojej luksusowej posiadłości w Putney i zapłodnić przynajmniej pięć razy. Powiedział jej już nawet, że „ma dobre warunki do rodzenia”.

Tak więc, gdy tydzień później pojawił się w jej drzwiach Sion, żarliwie namawiając ją, by poparła jego kandydata z partii Robotników Socjalistycznych w wyborach do miejscowego samorządu, wydał się Grace rycerzem w lśniącej zbroi. No, może nie lśniącej — jego wygląd zewnętrzny skłaniał się raczej ku niechlujnej, zatłuszczonej abnegacji w typie piosenkarza Janasa Cockera. Ratowała go jednak uroda, toteż choć nic w nim nie lśniło, stanowił absolutne przeciwieństwo Toma. Był człowiekiem o zdecydowanych przekonaniach, płonął entuzjazmem i bez ogródek wyrażał swoje opinie. Co więcej, podobnie jak ona, od niedawna był samotny — jego ostatnia dziewczyna, bardzo zaangażowana politycznie, opuściła kraj, udając się na misję. Nie musiał zbyt długo namawiać Grace, by zajęła jej miejsce.

— Dziewczyna rzuca chłopca — powtórzył Henry, wracając z baru i z trzaskiem stawiając kieliszki na stole. — Matka dziewczyny jest uszcześliwiona.

Grace zamrugła. Henry, choć w niczym nie przypominał Mike'a Bloke'a, był znacznie bardziej podobny do Wielkiego Maga. Jej matka z pewnością byłaby niezmiernie rada, gdyby Grace i Sion się rozstali. Doskonale wiedziała — a telefony

lady Armiger dodatkowo przypominały jej to dwa razy w tygodniu — że teraz, skoro Tom zniknął ze sceny, matka szuka dla niej kandydata wśród synów wysokich urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych albo potomków włoskiej arystokracji, któiyh jako żona brytyjskiego konsula w Wenecji spotykała podczas pełnienia swych oficjalnych obowiązków. Matka, nie tyle wspinająca się po drabinie społecznej, co szybująca po niej jak astronautka, to też jeden z moich kłopotów, pomyślała.

Westchnęła i pociągnęła kolejny łyk wina.

— Z tym chyba nie masz problemów. — Siedzący po drugiej stronie stołu Henry wpatrywał się w nią rozkojarzonym, lecz intensywnym wzrokiem. Grace drgnęła, uświadomiwszy sobie, że straciła wątek.

— Co takiego? Z czym nie mam problemów?

— Z facetami. Pewnie ustawiają się w kolejce aż za rogiem ulicy.

Grace poczerwieniała.

— Nie bardzo — wymamrotała, mimowolnie zaciskając mocno wargi w przyływie gwałtownych emocji. To przez wino. Na pewno.

Na twarzy Henry'ego pojawiło się zdumienie.

— Przepraszam. Nie chciałem cię zdenerwować.

— Nic się nie stało.

— Miałaś więc jakieś kłopoty z chłopcami?

— W pewnym sensie. — Usiłując przyjąć wyprostowaną pozycję, Grace stwierdziła, że nie wszystkie członki są jej posłuszne. A przynajmniej nie od razu. Zapanowała krótka, niezręczna cisza.

— Musisz się rozweselić — oznajmił Henry. — I powinnaś się jeszcze napić — dodał niewyraźnie, wskazując na jej pusty kieliszek, po czym chwiejnym krokiem podreptał do baru, gdzie natychmiast zręcznie wślizgnął się na początek kolejki.

— Mam pomysł — oświadczył, wracając z butelką czerwonego wina. — Zagrajmy w pijacką grę. Znam nawet jedną literacką, doskonałą w tych okolicznościach. — Skinął głową

w kierunku baru, wokół którego pełno było teraz krzyku, dymu papierosowego, chwiejących się na nogach pisarzy i ich satelitów. Czyżby sabat czarownic wypędził wszystkich pisarzy z Jurty? — zastanawiała się Grace. W rogu z trudem rozpoznała sylwetkę kobiety w obcisłych białych spodniach, tańczącej na stole. Nie mogła się zdecydować, czy bardziej obawia się o stół, czy o szwy przyodziewku Jenny Bristols.

— Jaka pijacka gra? — spytała z niepokojem. Tom uwielbiał takie zabawy, zwłaszcza oblewanie winem twarzy co trzeciej osoby, która nie odpowiedziała prawidłowo na pytanie. Nic dziwnego, że kolacje, które wydawał, kończyły się zazwyczaj zaraz po północy.

— Nazywa się chłamsellers.

— Chodzi ci o przeciwieństwo bestsellerów? — Grace zastanawiała się, czy przypadkiem Henry nie chce dociąć Hatto & Hatto. Nie mogła zaprzeczyć, że sukcesy jej wydawnictwa w publikacji najbardziej liczących się bestsellerów, których listę zamieszczał „Sunday Times”, były ograniczone, a dokładniej rzecz biorąc, nieistniejące. Miała też wątpliwości co do argumentu Adama Knighta, dyrektora działu powieści Hatto, który zawsze przytaczał, gdy poruszano ten temat: „Hatto będzie bronić do ostatka prawa do wydawania książek, których nikt nie czyta”.

— Zgadza się. Musisz wymyślić wersję tytułu jakiejś znanej książki... na przykład *Alicja w krainie koszmarów* zamiast *Alicja w krainie czarów*. Poprzez mgłę w mózgu coś jej zaświtało.

— Czy nie nadają takiej audycji w radiu? *Przykro mi, nie mam pojęcia!* Henry potrząsnął głową.

— Tak, ale to będzie wyglądało trochę inaczej. Kiedy wymyślisz chłamseller, wypijam kieliszek wina, a jeśli ja — ty pijesz. Zaczynasz. Grace kręciło się w głowie i czuła w niej pustkę.

— „Gag Zorba” — powiedziała po chwili niepewnie.

— Bardzo dobrze. — Henry dopił swoje wino i napełnił jej kieliszek. — „Kochanek loda Chatterley”.

Grace zachichotała.

— „Wesołe kurewki z Windsora” — rzuciła. W głowie kręciło jej się coraz bardziej.

— „Stracone zawody miłości”.

— „Marycha Stuart” — prychnęła Grace, wychylając kieliszek do dna. Już dawno tak się nie śmiała.

— „Tramwaj zwany pożegnaniem” — wybełkotał Henry, spadając z krzesła w tłum kłębiących się za nim pisarzy.

— Niech pan uważa na moje stopy! — warknął Louis de Bernieres.

— „Troje na huśtawce”. — Z oczu Grace leciały łzy. Cały świat wokół się kręcił, pełen radości i śmiechu, i wreszcie nie było w nim Siona.

— „Duma i głędzenie”.

— „Romeo i żulia”! — krzyknęła triumfalnie Grace, uświadamiając sobie ku swemu lekkiemu zdumieniu, że ona również spadła z krzesła.

— Lepiej stąd chodźmy — powiedział Henry, pomagając jej podnieść się na nogi.

Wyszli chwiejnym krokiem, Grace opierała się na ramieniu Henry'ego. Jasny wieczór przyblakł, zmieniając się w ciemnoniebieską aksamitną poduszkę, na której leżały rozrzucone jak diamenty gwiazdy. Zatrzymali się i stanęli twarzami do siebie.

Grace niejasno uświadamiała sobie, że Henry przybliżyła ku niej swoją twarz. Gdy ich usta się zetknęły, poczuła zapach colgate, a potem uchwyciła ciepłe tchnienie potu i czosnku oraz lekki powiew wody kolońskiej. A także coś bardziej nieuchwytnego... coś jakby obietnicę. Henry całował ją zapamiętale, był najwyraźniej wygłodniały, nawet żarłoczny. Przed oczami Grace mignęła twarz Siona, ale zaraz znikła. Nadszedł czas zapłaty za wszystkie jego ponadplanowe zajęcia, pomyślała Grace zuchowato.

Henry powoli oderwał usta od jej warg, wziął ją za rękę i poprowadził między namiotami, jakimś cudem unikając tym razem linek, na skraj pola, gdzie duże drzewo, zogromniałe w świetle księżyca, rzucało głęboki czarny cień. Grace, sunącej z tyłu ze szklanym uśmiechem na twarzy, podążanie za Henrym wydawało się całkowicie naturalne. Nie miała poczucia winy i ochoczo czekała na dalszy rozwój wypadków.

Kiedy następnego ranka zamieszała łyżką swoją owsiankę, brzęk metalu o porcelanę rozbrzmiał głośniejsz niż nonnalnie, powiększony jej kacem i przejmującą ciszą, panującą w jadalni. Przy stołach wokół niej nikt już nie siedział, domyśliła się więc, że jest ostatnia — najwyraźniej inni już zjedli i poszli sobie. Unikała spojrzenia właścicielki pensjonatu, która z pewnością słyszała chichoty i hałas, jakiego narobili z Henrym, wracając poprzedniej nocy. Musiało tak być, gdyż jej talerz ze śniadaniem został postawiony na stole bardziej zdecydowanym ruchem niż zazwyczaj.

Grace spojrzała na żółtą górę zbrylonych smażonych jajek, meapetyczny, skurczony bekon, poczerńnię grzyby i wodnistą pomarańczową ciecz, w której pływały smażone pomidory. Gdy poczuła zapach jajecznicy, żołądek podszedł jej do gardła. Pomyślała, że śniadanie albo ją zabije, albo uzdrowi, lecz wywołało tylko mdłości. Uleczenie trawiącego jej żołądek poczucia winy i niesmaku do samej siebie, czającego się gdzieś w gardle, było sprawą znacznie bardziej skomplikowaną.

Przycisnęła chłodną wewnętrzną stronę łokcia do płonącego czoła.

Czemu jest jej tak gorąco? Może z powodu gorączki i poczucia winy?

O Boże... Dlaczego to zrobiła? Pominawszy wszystko inne, było to takie nieprofesjonalne. Przyjechała tu, by wykonać pewną pracę, by przeprowadzić Henry'ego przez meandry publicznego wystąpienia. Nie po to, żeby kochał się z nią do utraty zmysłów. Choć nie straciła zmysłów, jak sobie przypo-

mniała, nadal czuła to nagłe ciepło w kolanach, podszwach i w kroczu, te fale przeszywającej, długiej rozkoszy. Henry, mimo swojej chudości i nieporadności, okazał się zaskakująco wprawnym kochankiem, lepszym nawet niż Sion i nieskończenie zręczniejszym niż Tom.

Wspomnienie seksu z Tomem na szczęście zbladło, ale Grace wciąż pamiętała ogarniającą ją klaustrofobię, gdy jego ciało miało się na mej pod ciężką kołdrą. Sion z kolei kochał się z nią dość brutalnie i podniecająco, zawsze jednak zbyt szybko i zawsze przede wszystkim mając na względzie własną przyjemność. A Henry był samą troskliwością, jego zręczne palce rozniecały płomienie rozkoszy w całym jej ciele, doprowadzając ją do utraty tchu.

Nie powinna była jednak tego robić. Nie powinna była spać z człowiekiem, którego prawie nie знаła. Chociaż „spać” nie było właściwym słowem — wstydząc się samej siebie, z niesmakiem przypominała sobie, że wiła się jak zwierzę, jęczała i wciskała się w niego, jakby ciągle miała go w sobie za mało. Być może teraz sądzi, że Grace robi to z każdym ze swoich autorów. Ale oprócz kilku pożałowania godnych incydentów podczas studiów Henry był jej jedynym jednonocnym kochankiem. Zastanawiała się, czy to pogarsza, czy polepsza całą sprawę.

Z obrzydzeniem spojrzała na swoje śniadanie. Wysmażona kiełbaska sterczała pod lubieżnym kątem nad pomidorem. Czy miało to nasuwać na myśl coś nieprzyzwoitego? A ułożenie smażonych jajek? Wybierając najmniej aluzyjną potrawę na talerzu, Grace nadziała na widelec kapelusz grzyba.

Jedyną pociechą było to, że nie musi stawić dziś Henry'emu czoła. Może zjadł już śniadanie; może, myślała, unosząc odruchowo spojrzenie i mrugając oczyma z bólu, który ta czynność wywołała, jest teraz na górze w swoim pokoju i te same pełne poczucia winy myśli tłuką się w tej samej bolesnej suchości jego odwodnionego mózgu. Może mieć też dziewczynę. Nic o tym nie wspominał, ona zaś nie pytała. A może

zawsze uprawia seks z przelotnymi znajomymi? Biorąc pod uwagę wszystkie miejsca, jakie odwiedził, ta myśl wydawała się zbyt ohydna, by ją rozważać. Grace z trudem przełknęła ślinę i nałożyła na widelec pomidor, który zaraz się rozpadł i ściekł pomiędzy widełkami. Co teraz? Gdyby tu była Ellie... Co jej przyjaciółka i koleżanka z biura prasowego Hatto, wielka znawczyni mężczyzn, powiedziałyby na ten temat? — zastanawiała się Grace. Przekroczyła granicę, dzielącą autora od redaktora. To, co zrobiła, na pewno nie było profesjonalnym zachowaniem. Choć prawdopodobnie uśmierzyło trawiący Henry'ego ogień — tak z pewnością powiedziałyby Ellie.

Związki jej asystentki z mężczyznami rzadko trwały dłużej niż miesiąc, więc ciągnąca się już pół roku znajomość z Sionem sprawiała, że Grace czuła się jak Baucis przy boku Filemona. Ale krótkotrwałość związków Ellie nie powstrzymywała jej od komentowania cudzych. „Ci, którzy sami nie potrafią, uczą innych” — mawiała z uśmiechem.

Drzwi do jadalni otworzyły się i Grace, obawiając się nadejścia właścicielki pensjonatu, pospiesznie wbiła widelec w bekon i podniosła go do ust z wyrazem entuzjazmu na twarzy. Pozostał drżący, zawieszony w powietrzu, gdy w drzwiach zobaczyła wysoką, ciemnowłosą postać Henry'ego Moona. Jej żołądek skurczył się z przerażenia.

— Jak się masz? — zapytał z uśmiechem.

— Dzień dobry — wymamrotała, marszcząc się z bólu, gdy z szurgotem wysypał kaskadę płatków ryżowych do małej, ozdobionej kwietnym wzorem miski i usiadł naprzeciw Grace. Zebrała się w sobie, choć nie była pewna, czego ma się spodziewać.

— Wyglądasz wspaniale — oświadczył.

Grace popatrzyła na niego ze zdumieniem. Wspaniale? Przelotne spojrzenie w lustro powiedziało jej, że ma podkrążone i przekrwione oczy i sterczące jak źdźbła słomy włosy, a twarz

w pośpiechu przetała jedynie tonikiem. Ależ oczywiście, zawsze schodzę na śniadanie w pełnym makijażu, pomyślała z sarkazmem. Zwłaszcza w makijażu z ostatniego wieczoru.

— A jak się czujesz? — zapytał Henry.

Grace otworzyła usta. Na to pytanie można było udzielić kilku odpowiedzi. „Strasznie”? „Żałuję tego, co się stało”? „Pragnęłabym, by do tego nigdy nie doszło”? Ale w tym momencie drzwi się otworzyły i weszła gospodyni, przynosząc śniadanie Henry'ego, toteż Grace odchrząknęła i wymamrotała tylko: „Świetnie, dzięki” — w sposób tak pełen godności, na jaki tylko mogła się zdobyć.

Śniadanie Henry'ego, jak stwierdziła, gdy postawiono je przed nim z brzękiem, musiano trzymać w piecyku, by nie wystygło. Albo może raczej, sądząc z jego wyglądu, pod lampą lutowniczą. Henry jednak z zadowoleniem wbił widelec w kiełbasę.

— Wyborne, dziękuję! — zawołał do właścicielki pensjonatu, która zatrzymała się przy drzwiach.

Na wiecznie zagniewanej, pooranej troskami twarzy kobiety pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

— Proszę bardzo — odparła mrukliwie, ale w tonie jej głosu kryła się nutka kokieterii.

Henry zajął się śniadaniem. Ku uldze Grace, lecz także jej zakłopotaniu, nie robił żadnych uwag na temat ostatniej nocy, kilkakrotnie uniósł tylko pytająco ciemne brwi. Ale nie udawał również, że nic nie zaszło.

Spoglądał na nią czule swoimi ciemnymi oczyma, wpatrując się w jej twarz parę sekund dłużej, niż było to konieczne, i uśmiechał się szerzej niż normalnie, nawet gdy mówił o swoim wystąpieniu dzisiejszego ranka na festiwalu. Grace, usiłująca narzucić dystans, odpowiadała na jego pytania tak zwięźle i oficjalnie, jak tylko pozwalała jej na to świadomość kompromitującego wyglądu i oczywisty kac. Tak, wykład jest wyznaczony na jedenastą w Spiegeltent. Nie, nie ma najmniejszego pojęcia, co to jest Spiegel.

— Pójdę doprowadzić się trochę do porządku — oświadczyła, gdy Henry niezręcznie rozdarł plastikowe opakowanie brązowego sosu i wycisnął je obok jajek. Czowała, że jej skołatany żołądek nie zniesie tego dłużej.

Zjedzenie śniadania w Ivanhoe było nieszczęśliwym wypadkiem, ale asystowanie przy konsumpcji kolejnego mogło okazać się katastrofą.

W swoim pokoju usiłowała wyszczotkować włosy, umyć zęby i nałożyć świeży makijaż bez pomocy lustra. Cena, jaką musiała zapłacić za nadużycie alkoholu i zaspokojenie požądania, nie zapowiadała atrakcyjnej perspektywy. Poczucie winy nigdy nie wygląda dobrze.

W toalecie siedziała możliwie jak najdłużej — ponieważ smażone jajka w ostatniej chwili usiłowały wydostać się na wolność — po czym zesła krętą, przykrytą chodnikiem klatką schodową, gdzie w niszach stały misy z pachnącymi suszonymi kwiatami, a ściany zawieszane były fotografiami w złotonych ramach, przedstawiającymi pulchne wnuki właścicielki pensjonatu.

Henry czekał na dole, przeglądając dział książek „Daily Mail”. Żołądek Grace skręcił się w supeł. Poczowała się skompromitowana zarówno zawodowo, jak i osobiście.

— Widziałaś jakieś recenzje *Ssanii kamieni*? — zapytał, gdy opuścili Ivanhoe i szli na festiwal słoneczną aleją biegnącą obok kościoła.

Grace potrząsnęła głową, mrugając z bólu, gdy jej spuchnięty mózg uderzył o czaszkę.

— Ale nie czytałam jeszcze wszystkich gazet — dodała ostrożnie. W pewnym sensie była to prawda. Na przykład „Racing Post” nie widziała od wieków. Przeglądała jednak recenzje w niemal wszystkich innych pismach od dnia wydania *Ssanii kamieni*, choć żaden z redaktorów, do których się zwracała, nie wykazywał zainteresowania tą książką.

— Nie zwracaj sobie tym głowy — odparł beztrąsko Henry. — W żadnej nic nie ma.

— Cóż, ma to przynajmniej tę zaletę, że nikt jej nie skrytykował — stwierdziła Grace, próbując ratować się najstarszą wymówką działu reklamy.

Henry uśmiechnął się.

— Chyba tak. Nie mówiłem jednak o recenzjach w gazetach czy ich braku. Chodziło mi o wypowiedzi w Amazon. Niektóre bywają zabawne.

— Doprawdy? — zdziwiła się Grace. Internetowe recenzje czytelników książek znane były z rezerwy.

— Sprawdzalem je dwa razy — odparł Henry. — Za pierwszym razem nie było ani jednej. Wykazy sprzedaży wynosiły wtedy ponad trzysta milionów. Ale kiedy znowu tam później zajrzałem — po jego twarzy przemknął wyraz niedowierzania — znalazłem składającą się z dwóch słów recenzję, która miała dość duży wpływ na wyniki sprzedaży.

— Wspaniale — powiedziała Grace z ulgą. — Co mówiła ta recenzja?

— „Bardzo rozczarowujące”. Od razu spadłem do trzech milionów.

— Ojej!

— Nie powinienem tam w ogóle zaglądać — mruknął Henry. — Czytanie recenzji w Amazon to tylko strata czasu. Nawet jeśli odrzucisz wszystkie złe, dobrych też nie możesz traktować poważnie.

— Chyba nie.

— W dodatku są albo rozwlekłe — ciągnął Henry — to te, których autorzy chcieliby być zawodowymi krytykami, ale nie są, albo szalone, na przykład: „Ten pisarz jest antychrystem...”. Jedyłą pociechą jest to — dodał, maszerując żwawo — że nikt nie jest nietykalny. Nawet Bóg. Jeśli chcesz przeczytać coś na temat nowego wydania *Biblii króla Jakuba*, z pewnością znajdziesz wypowiedź jakiegoś dowcipnisa, który postanowił wypełnić dział przeznaczony na komentarze, podpisując się Jehowa aka Pan itd., po czym następuje coś w rodzaju: „To nieodmiennie zabawne spojrzenie na ludzkość będzie cię trzy-

mało w napięciu od pierwszej do ostatniej strony. Są tam pożary, powódzie, wojny, tortury i zagadki. Każdy znajdzie tam coś dla siebie". Grace nie mogła powstrzymać uśmiechu. Nie chcąc jednak dopuścić do utrwalenia przyjacielskich stosunków z Henrym, próbowała iść przodem, by zachować dystans zarówno fizyczny, jak i psychiczny, zdecydowana kontrolować stopień ich zażyłości. Henry jednak, którego znacznie dłuższe nogi z łatwością pozwoliły mu dostosować tempo do kroku Grace, wciąż szedł obok, zmuszając ją, by maszerowała jeszcze szybciej, zagarniając tyle szerokości słonecznej alejki, ile to możliwe, by nie szedł koło niej. I tak, w niemal maratońskim tempie idąc wśród żywopłotów buzujących lipcem, dotarli na miejsce, w którym odbywał się festiwal. Grace zauważyła, że powietrze, pachnące wczoraj sianem, dziś ma kwaśny zapach nawozu. Ale świeciło słońce, niebo było błękitne, a sądząc po szarych twarzach ludzi krążących niepewnie po terenie festiwalu, nie ona jedna popełniła wczoraj w nocy coś, czego żałowała. I nie ulegało wątpliwości, że przemówienie Henry'ego będzie jej zawodowym triumfem. Po raz pierwszy autor, publikujący w Hatto & Hatto, pojawił się na tak prestiżowej imprezie, co więcej, organizatorzy byli bardzo radzi z jego obecności. I to ona, Grace, wszystko zorganizowała. Udało jej się przeniknąć do wnętrza tego literackiego sanktuarium.

Przybyli do Spiegeltent dwadzieścia minut przed zapowiedzianym wystąpieniem Henry'ego. Zgromadzony w środku tłum, składający się głównie z niespokojnych, pełnych oczekiwania kobiet, sprawił, że Grace poczuła się jeszcze bardziej zadowolona. Wśród publiczności dostrzegła również czarno odziany sabat z Jurty.

— Zaczekaj tutaj — powiedziała do Henry'ego, zanim wdał się z kimś w rozmowę. — Zobaczę, czy księgarnia jest odpowiednio zaopatrzona. Wygląda na to, że jest spore zainteresowanie.

Na pierwszy rzut oka w księgarni nie widać było ani jednego egzemplarza *Ssania kamieni*. Ale z pewnością nie szukała należycie, a nawet w najlepszych czasach książki Harto & Hatto nie zajmowały na półkach eksponowanych pozycji. Znowu obeszła wszystkie stoiska i ku swemu zdumieniu zauważyła, że duża wywieszka, przedstawiająca program festiwalowy, na godzinę jedenastą zapowiada nie *Ssanie kamieni* Henry'ego Moona, ostatniego podróżnika dżentelmena i dyskusję o jego przygodach, lecz „Rozmowę o naszych genitaliach”, wystąpienie Marilou Honigsbaum, feministki i twórczyni *Kronik lechtaczki*.

Grace głęboko zaczerpnęła powietrza i wskazała na wywieszkę.

— To pomyłka — syknęła, zwracając się do młodego człowieka, układającego egzemplarze *Przyczółka* i *Wstrzyknięcia* w stosy wysokości Manhattanu. — Teraz... ehm... — znowu zerknęła z niedowierzaniem na wywieszkę — nie odbędzie się spotkanie na temat *Kronik lechtaczki*.

Henry Moon będzie mówił o *Ssaniu kamieni*.

— Nastąpiła zmiana programu — powiedział sprzedawca.

— Co takiego? — Grace popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Zmienił go jakąś godzinę temu.

Myśli Grace wirowały, podsuwając jej szereg rozmaitych wyjaśnień, aż w końcu, z wielkim wysiłkiem, zatrzymały się na najbardziej prawdopodobnej i logicznej. Wystąpienie Henry'ego z jakiegoś powodu przesunięto. Dokonano poprawek w harmonogramie. To się czasami zdarza. Zwłaszcza wtedy, pomyślała Grace, ogarnięta nagłym podnieceniem, gdy zainteresowanie jakimś punktem programu jest tak wielkie, że publiczność trzeba przenieść do innej, większej sali. Tak, z pewnością o to chodziło.

— A co to są te *Kroniki lechtaczki*? — zapytała, biorąc do ręki jeden egzemplarz książki.

„Ponad czterysta kobiet opowiada szczerze o swoich lechtaczkach” — głosiła okładka.

— O rany... — mruknęła Grace.

— Najwyraźniej odniosła wielki sukces w Stanach — powiedział sprzedawca.

Grace z niepewnym uśmiechem odłożyła książkę na stosik i wróciła do Spiegeltent, szukając zarówno Henry'ego, jak i organizatora, by wyjaśnić zmianę programu. Żadnego z nich nie można było znaleźć. A wystąpienie na temat *Kronik lechtaczki* miało się zaraz zacząć.

Przecisnęła się przez napierający tłum do tyłu, gdzie spostrzegła wysokiego mężczyznę o kędzierzawej fryzurze, w wymiętym białym garniturze z oficjalną plakietką festiwalu. Ręce miał założone na piersi, a na jego twarzy malował się wyraz oczekiwania, który zmienił się w obawę, gdy Grace przepchnęła się wprost do niego.

— Dlaczego zmienił pan godzinę wystąpienia Henry'ego Moona? — zasyzczała.

— Cii... — warknęła stojąca przed nią damulka o blond fryzurze na pazia. Przy ogłuszającym aplauzie na scenie pojawiła się kobieta w dżinsach i czerwonym podkoszulku, na którym błyszczącymi literami nadrukowano napis: „Łechtackowa dziewczyna”.

— DZIEŃ DOBRY, NAZYWAM SIĘ MARILOU HONIGSBAUM! — krzyknęła kraczącym głosem o nowojorskim akcencie. Tłum zagwizdał z uznaniem.

Grace pytająco szturchnęła Pognieciony Garnitur w ramię.

— Przepraszam... Dlaczego wystąpienie Henry'ego Moona zostało przesunięte?

— JESTEŚMY TUTAJ, BY ZAWRZEĆ POKÓJ Z NASZYMI WAGINAMI! — wrzasnęła Łechtackowa Dziewczyna. — ABY NASZE ŁECHTACZKI STAŁY SIĘ DLA NAS DOSKONAŁOŚCIĄ.

— Wezwanie to powitały wrzaski i okrzyki.

— Nie zostało przesunięte — odparł Pomięty Garnitur nieobecny głosem, wpatrując się w scenę. — Zostało całkiem usunięte z programu.

— Usunięte? — Grace poczuła, że jej głos podnosi się histerycznie. Blondynka odwróciła się gniewnie, rzucając jej ostrzegawcze spojrzenie. Pomięty Garnitur skinął głową.

— CHCĘ, ŻEBYŚCIE ODPOWIEDZIAŁY NA NASTĘPUJĄCE PYTANIE — darła się Łechtaczka Dziewczyna do swojej publiczności. — GDYBY WASZA ŁECHTACZKA NOSIŁA NAKRYCIE GŁOWY, JAKIE BY ONO BYŁO?

— Francuski берет! — ryknął Blond Paź.

— Dlaczego?! — wrzasnęła Grace do Wymiętego Garnituru.

— Dlaczego nie?! — zawył Blond Paź, odwracając się, by spiorunować Grace wzrokiem. Grace cofnęła się gwałtownie i nastąpiła na kogoś z tyłu.

— Auu! — warknął jakiś głos, który skojarzył jej się z autorem *Mandoliny kapitana Corellego*.

— Kwef! — krzyknął ktoś z tłumu.

— Hełm ochronny! — wrzasnął ktoś inny, wzbudzając ogólną wesołość.

— Muszę z panem pomówić — oświadczyła Grace, ciągnąc Wymięty Garnitur na skraj namiotu. Na plakietce było wypisane jego imię: Nigel.

— Nie rozumiem, co się stało — wycedziła. — Za wszelką cenę staraliście się ściągnąć Henry'ego Moona i jego *Ssanie kamieni* na festiwal. Dokładnie pamiętam, jak mówiliście, że zelektryzuje publiczność i że czegoś równie ciekawego nie mieliście od lat.

— Ta-ak — przyznał Nigel. — Ale to było, zanim zorientowaliśmy się, o czym jest ta książka. To znaczy, wie pani... — Bezradnie wzruszył ramionami.

— Przecież przesłałam wam materiały prasowe — powiedziała Grace. — „Prawdziwy Indiana Jones” — zacytowała. — „Hemingway tysiąclecia”...

— Hmm — mruknął Nigel. — Odkrywcy. Chodzi o to, że... jak by to ująć? — Potarł podbródek. — Nie są już tak rozrywani jak kiedyś.

— „Fascynująca opowieść o wyprawie samotnego podróż-

nika, próbującego odnaleźć zaginione plemię" — ciągnęła uparcie Grace. Jeśli nie liczyć aluzji do dyzenterii, była dumna z tej zapowiedzi. Ogarnięta entuzjazmem dla *Ssaniam kamieni*, zrobiła co mogła z materiałem, który nie bardzo nadawał się na sensacyjne nagłówki. Nigel skinął głową.

— Tak, teraz to wiem. Ale my skupiliśmy się głównie na tytule... wie pani, jak bardzo wszyscy są zapędzeni, nikt nie ma czasu przeczytać całego tekstu... i chyba zbyt pośpiesznie wyciągnęliśmy wnioski — wyjaśnił z zakłopotaniem.

— Jakie wnioski? O czym, na miłość boską, jest waszym zdaniem *Ssaniam kamieni*?

— Hm, cóż, chyba uznaliśmy, że to książka o fankach.

— Fankach...? — Grace nie mogła schwycić tchu. — Rach-ciach, dana-dana, jestem z waszą kapelą, takie rzeczy?

Nigel wbił oczy w ziemię.

— Dokładnie rzecz biorąc, myśleliśmy, że chodzi o fanki Rolling Stonesów. *Ssaniam kamieni* to mylący tytuł. Wydawało się nam... no wie pani.

Grace walczyła rozpaczliwie z chęcią pobicia Nigela namiotowym kołkiem.

— Więc dlaczego czekaliście do ostatniej chwili? — zapytała. — Dlaczego odwołaliście wystąpienie dopiero dzisiaj rano?

— Bo zdaliśmy sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy pojawił się autor.

— Nigel odwrócił ku niej zmartwioną twarz. — Widzi pani, myśleliśmy, że Henry Moon okaże się kobietą.

— Kobieta?

— Henrietta, wie pani. To chyba zrozumiała pomyłka... — Uśmiechnął się do niej bezradnie.

— Och, absolutnie. — Głos Grace był przytłumiony z wściekłości. Absolutnie rozumiała, jeśli jesteś kompletnym kretyńcem, który ma szambo w głowie, dodała w duchu.

— Uaa, uaa, uaa! — krzyczały kobiety zgromadzone w Spie-geltent. Podburzone przez Marilou Honigsbaum, były najwyraźniej na dobrej drodze do zaprzyjaźnienia się ze swoimi łąchtaczkami.

Grace, daleka od tego ze swoją własną, wyszła ciężkim krokiem, by przekazać wiadomość Henry'emu. Gdy szła, czuła coraz silniejszy odór nawozu.

Nie śmiała spojrzeć na Henry'ego podczas drogi powrotnej pociągiem do domu. Już od dawna przestała czuć zakłopotanie każdym porem skóry i każdym zakończeniem nerwowym — bo już od dawna stopiły się ze sobą, sprawiając, że całe jej ciało stało się jedną wielką tkanką wstydu.

Odwróciła płonąca twarz do okna, ku mijanym polom i bydłu, które wydawało się takie zadowolone i spokojne. Chyba wołałabym być krową, myślała. Czymkolwiek lub kimkolwiek, byle nie pracownicą wydawniczego działu reklamy...

Sytuację pogarszała jeszcze optymistyczna reakcja Henry'ego na tę katastrofę.

— Ależ to bardzo rozsądne — przekonywał Grace. — Oczywiście najlepiej by było, żeby przeczytali książkę, ale rozumiem, że fanka rocka może przyciągnąć więcej ludzi. Odkrywczy nikogo nie interesują. Chyba powinienem pisać o czymś innym. Może — dodał z ponurym skrzywieniem swoich dużych ust — należałoby zacząć tworzyć powieści dla chłopców. Mike Bloke jest na dobrej drodze. I można na tym sporo zarobić.

Był radosny niemal nie do wytrzymania i przez całą drogę opowiadał dowcipy, by podnieść ją na duchu. Gdy pociąg wreszcie — jak się Grace wydawało, minęły wieki od jej rozpaczliwej ucieczki z miejsca upokorzenia — dowlókł się na stację, Henry pociągnął wysoką metalową rączkę jej stojącej walizki, udając, że to detonator. Parę osób na peronie roześmiało się, ale nie Grace. Była pewna, że niedorzecznie dobry

humor Henry'ego bierze się stąd, iż ją samą również uważa za niedorzeczną. Co do tego nie mogło być wątpliwości. Ale czyż można mu było mieć to za złe? Pozwoliła mu się pieprzyć — mimo że ma chłopaka — a potem zaważyła sprawę jego wystąpienia na prestiżowym festiwalu literackim. Zasługuje na to, by się z niej wyśmiewał. Jest żalosna. Może nawet Henry lituje się nad nią. Fakt, że w ogóle nie wspomniał o ubiegłej nocy, zaczynał nabierać coraz bardziej złowieszczonego znaczenia.

Ale on najwyraźniej postanowił przekonać ją, że nic z tego nie jest jej winą. Gdyby się rozżłościł, Grace by sobie poradziła. Jadowite ataki na jej zawodową niekompetencję byłyby balsamem w porównaniu z pełną rozbawienia rezygnacją Henry'ego i zapewnianiem jej, że to wszystko nie ma znaczenia, bo i tak nie znosi czytania dla publiczności. Posunął się nawet do tego, że przyniósł jej gin z tonikiem dla ukojenia nerwów.

— A poza tym — dodał, gdy wysiedli na stacji Paddington — i tak przyjechałem tu tylko ze względu na ciebie. Zeszłej nocy...

— Co? — spytała nagle schrypniętym głosem Grace, którą ogarnęła panika. Ta chwila wreszcie nadeszła. Wspomniał o zeszłej nocy. O Boże!

— Zeszła noc była cudowna — powiedział łagodnie Henry. Twarz Grace zalała gorąca purpura. Niezdarnie szukała jakiejś odpowiedzi.

— W ogóle o tym nie napomknąłeś. — To było wszystko, na co mogła się zdobyć po tak krótkim namyśle. — Przy śniadaniu... — dodała bezradnie. Henry uśmiechnął się, w światłach peronu w jego oczach zabłyśły brązowe iskierki.

— Nie uważam, by poruszanie tematu ostatniej nocy przy śniadaniu było zbyt eleganckie.

— Och... — Grace poczuła się zaniepokojona. Czyż elegancja jest tak ważna w podobnych okolicznościach?

— A poza tym — dodał Henry — to wszystko wydaje się trochę skomplikowane. Masz już kogoś, i w ogóle... — Jego głos był tak cichy, że Grace nie mogła odróżnić jego tonu. Czy słysząc w nim było żal, czy ulgę?

— Tak — odparła bardziej szorstko, niż zamierzała. — To rzeczywiście skomplikowane.

Doskonale rozumiała, co chciał przez to powiedzieć. Że powinna z powrotem poczłapać do Siona, nie oglądając się za siebie. Że nie interesuje go dalsze ciągnięcie tej historii, nawet gdyby ona tego chciała — co oczywiście jest absolutną nieprawdą. Przecież nie mógł być nią zainteresowany. Była tragiczna. W każdym możliwym znaczeniu tego słowa. Żaden rozsądnie myślący mężczyzna, a już na pewno nie taki jak Henry Moon, który bezpośrednio doświadczył skutków jej odstręczającej niekompetencji i ma najwięcej powodów, by zachować ostrożność, nie chciałby się do niej nawet zbliżyć.

— Bardzo chciałbym się znowu z tobą zobaczyć — powiedział cicho Henry.

Jego słowa dopiero po chwili dotarły do świadomości Grace. Z trudem zebrała myśli — oczywiście, musiał to powiedzieć. Ostatni odkrywca dżentelmen. Zawsze wie, jak się powinien zachować. Jakby rzeczywiście tak myślał. Jakby w ogóle mógł tak myśleć.

Opuściła wzrok, bo do jej oczu napłynęły łzy.

— To skomplikowana sprawa — powtórzyła.

— Jesteś z nim szczęśliwa? — zapytał miękko Henry. Zdumienie Grace przeszło w gniew. Sprytne pytanie, zadane celowo. Jakkolwiek by odpowiedziała, wyjdzie na idiotkę. A on na mężczyznę, któremu żadna nie potrafi się oprzeć. Jest szczęśliwa, a jednak z nim spała; jest nieszczęśliwa, więc pozwoliła mu się do siebie zbliżyć, by o tym zapomnieć. Wzruszyła ramionami.

— Tak. Jestem szczęśliwa. Henry skinął głową.

— Więc wypada mi odejść.

— Tak, chyba na to wychodzi.

Czy to ulga zabarwiła rumieńcem jego twarz? Zmarszczył swoje szerokie brwi, bez wątpienia po to, by zamaskować uśmiech. Baba z wozu, koniom lżej, myślał pewnie.

— Ale jeśli coś się zmieni, dasz mi znać?

Grace popatrzyła na niego i uśmiechnęła się sztywno. Taką tylko mu dała odpowiedź, a potem odwróciła się i ciężkim krokiem podążyła wraz ze swoim detonatorem w walizce do metra.

Rozdział 3

— Wiem, wiem! — wołała Ellie, wpadając do biura spóźniona o pół godziny. — Ale mam dobre wytłumaczenie. — Pomachała w kierunku Grace gazetą. — Według artykułu o zdrowiu zamieszczonego w „Globe” nie mogę wstać z łóżka na czas, ponieważ obezwładnia mnie pochłanianie negatywnej energii innych ludzi.

Grace popatrzyła na nią ze zdumieniem.

— Co takiego? — Usprawiedliwienia Ellie zawsze były oryginalne, ale to biło na głowę wszystkie poprzednie.

— Prowadzą dział: „Na zdrowie — poznaj swoje motywacje” — mówiła Ellie. — Podają wyjaśnienia na wszystko. Najwidoczniej zawsze się spóźniam, bo chcę wszystkich zadowolić.

Grace uniosła brwi. Choć lubiła swoją asystentkę, nie ulegało wątpliwości, że Ellie przede wszystkim usiłuje zadowolić samą siebie.

— Podejmuję się różnych zadań, których tak naprawdę nie mam czasu wykonać... — tokowała Ellie.

Zgadza się, pomyślała Grace. Na biurku Ellie znajdowało się więcej niezłatwionych spraw niż w średniej wielkości domu starców.

— Dopuszczam do tego, by wszystko się nawarstwiało...

To też było prawdą. Dzięki odpowiednio dobranej bieliźnie Ellie sprawiała wrażenie kobiety o obfitym biuście, choć miała raczej płaskie piersi. A kunsztowny makijaż, jak na ceremonię wręczenia Oscarów, nadawał jej pospolitym rysom głębi. Jej włosy zawsze lśniły fantazyjnymi balejażami i chodziła na obcasach tak wysokich, że Grace zawsze zamykała oczy, obawiając się, że jej asystentka za chwilę się przewróci.

— I nie umiem prowadzić... dlatego, że moi rodzice się rozeszli, kiedy miałam pięć lat — zakończyła swoją wyliczankę Ellie.

— Nie wiedziałam, że twoi rodzice się rozeszli, kiedy miałaś pięć lat — wymamrotała Grace, przepełniona współczuciem.

Jej asystentka zrobiła zakłopotaną minę.

— Właściwie to się nie rozeszli. Ale mogli. Musi być jakiś powód, który uniemożliwia mi zdanie egzaminu na prawo jazdy. Podchodziłam do niego już piętnaście razy.

— Piętnaście razy! — Grace była zdumiona. — Może powinnaś zmienić instruktora?

Ellie popatrzyła na nią.

— Nie mogę. Jesteśmy teraz wzajemnie od siebie zależni. — Powiesiła swoją dzinsową kurtkę na zniszczonym stojaku przy drzwiach, podeszła do biurka, usiadła i westchnęła. — Boże, co za koszmarny weekend!

No cóż, ty to powiedziałaś, pomyślała Grace, wdzięczna Ellie za to, że nie zapytała o jej weekend w St Merrion. Następne pół godziny będzie poświęcone wyłącznie kolejnej barwnej, prawdopodobnie jak zwykle nieszczęśliwie zakończonej, lecz nieodmiennie fascynującej romantycznej przygodzie jej koleżanki. To znacznie lepsze niż relacjonowanie katastrofy z Henrym Moonem. A raczej całego szeregu katastrof.

— A co się stało? — zapytała.

— Po uroczym posiłku w wytwornej tajskiej restauracji — zaczęła Ellie z rozwlekłością zarezerwowaną właśnie dla takich historii — Chris, do tego momentu zachowujący się jak dżen-

telmen, nagle ustawił w rzędzie wszystkie potrawy, których nie zjedliśmy, i rzucił je na środek sali. Kiedy makaron z krewetkami uderzył kelnera między oczy, wzięłam swój płaszcz... — Skrzywiła się. — Co jest nie tak z tymi wszystkimi facetami, z którymi się umawiam? Pamiętasz Jeza, tego, z którym miałam randkę w piątek? Był fantastyczny. Wyglądał, jakby zstąpił z okładki magazynu mody. Ale okazał się kompletnym bezguściem. Gdy dostaliśmy nasze drinki, wyłowił kostki lodu z mojego, rzucił je na podłogę, poskakał po nich i oświadczył: „Teraz przełamaliśmy lody...” — Ellie z niesmakiem potrząsnęła głową i spojrzała na Grace. — Wyobrażasz to sobie?

— Nie — odparła Grace, przypominając sobie żarcik Henry'ego Moona z detonatorem. A także ten z owcami i słupem elektrycznym.

— Nie wiem, co jest we mnie takiego — westchnęła Ellie — ale chyba po prostu przyciągam świrów. Kiedy Peter, z którym spotykałam się w zeszłym tygodniu, powiedział mi, że planuje piknik, byłam zachwycona. Przejechaliśmy całe mile, zanim znaleźliśmy idealne miejsce... — Ellie urwała i zmarszczyła brwi. — Pierwszy dzwonek ostrzegawczy powinnam usłyszeć, gdy rozłożył na trawie obszyty różową satyną koc, na którym było jego nazwisko — pamiątka z czasów harcerskich. A kiedy podziękowałam mu za wspaniałą ucztę, powiedział: „Nie mnie dziękuj, ale mojej mamie. To ona wszystko przygotowała”. To była kropla, przepełniająca czarę.

— Miałaś ostatnio mnóstwo randek — zauważyła Grace, uśmiechając się mimo woli.

— Trzeba korzystać z życia, póki czas, moja droga. A jeszcze był Griff... parę tygodni temu... pamiętasz go?

— O tak — odparła Grace. — To ten fantastyczny farmer, który przyjechał range-roverem z hrabstwa Hertford i zapytał cię, czy kiedykolwiek jechałaś kombajnem. — Zachichotała.

— Łatwo ci żartować, bo masz faceta — burknęła Ellie. — Chociaż bez wątpienia mogłabyś znaleźć sobie kogoś lepszego.

— Słowo daję, Ellie, mówisz zupełnie jak moja matka. — Grace, czując, że czekają kolejny wykład na temat Siona jako zupełnie nieodpowiedniego kandydata, usiłowała mówić lekkim tonem, ale w jej sercu wzbierało poczucie winy na myśl o wydarzeniach ostatniego weekendu. Co powiedziałyby jej koleżanka, gdyby o tym wiedziała?

— Ładne dziewczyny powinny się dobrze bawić — stwierdziła Ellie — a nie ukrywać się na tych wszystkich spędach Socjalistycznej Partii Robotniczej, na które zawsze zaciąga cię Sion.

— Bawić się tak jak ty? — odpaliła Grace.

— Ci, którzy nie potrafią... — zaczęła Ellie. — Och, daj spokój, Grace. Przyznaj, że Sion nie jest zbyt romantyczny. Jeśli dobrze pamiętam, to podczas pierwszej randki zabrał cię na antykapitalistyczną dyskotekę w Instytucie Mechaniki na robotniczym osiedlu Wanstead.

— I co z tego? — broniła się Grace. — Potem zaprosił mnie na kolację.

— Do restauracji? — zapytała Ellie. — Pewnie do Burger Kinga. Och nie, zapomniałam, on nienawidzi korporacji. Na darmowe zupy Hare Kriszna?

— Do swojego mieszkania.

— I co ci przyrządził? Przypuszczam — mruknęła Ellie — że nie zamówił jedzenia z najlepszej restauracji.

Grace zawahała się.

— Niezupełnie.

Ellie westchnęła, zniecierpliwiona.

— No dalej. Zaskocz mnie. Powiedz, że jest jednym z tych mężczyzn, którzy po prostu otwierają lodówkę i wyczarowują coś pysznego, choć niczego nie kupili.

Grace uśmiechnęła się.

— Owszem, zrobił kolację z tego, co znalazł w lodówce. - A co to było?

— No... omlet marchewkowy.

— Coo?

— Mogło być gorzej — stwierdziła Grace. — Oprócz tego w lodówce były jeszcze tylko sardynki i śmietana.

Ellie przyłożyła ręce do gardła i udawała, że wymiotuje.

— Grace, choć bardzo cię lubię, w tej sprawie całkowicie zgadzam się z twoją matką. Biedna stara lady A. Nic dziwnego, że martwi się o ciebie. Przyznaj się: chodzisz z mm tylko dlatego, żeby ją wkurzyć.

— Oczywiście, że nie — zaprotestowała urażona Grace. — Mama jest żoną dyplomaty i nie wkurza się. Po prostu łapie za słuchawkę i mówi... Ellie nie wyglądała na przekonaną.

— Więc co jest w nim takiego nieodpartego? Przyznaję, że jest dość przystojny. Ale może trochę niedomyty.

Grace najeżyła się. Z jej punktu widzenia wszystko w Sionie było nieodparte. Od chwili, gdy pierwszy raz go zobaczyła, straciła głowę. Miał twarz renesansowego anioła i zgrabne, szczupłe ciało; nawet teraz, gdy wchodził do pokoju, jego jedno spojrzenie sprawiało, że nogi się pod nią uginały. Pod tym względem nie było porównania między nim i Henrym Moonem. Jeśli jednak chodzi o docenianie jej własnych walorów, Henry bił Siona na głowę. Bił go zresztą niemal we wszystkim. Ale nie miało to znaczenia. Było to tylko jednorazowe zbliżenie, które nigdy się nie powtórzy. Nawet nie można o nim opowiadać. Rzuciła swojej asystentce ostrzegawcze spojrzenie.

Ellie powróciła już jednak do swoich problemów.

— No dobrze — mruknęła. — Wracam do najbardziej podniecającego wydarzenia mojego dnia pracy: zastanawiam się, czy Luigi z baru kanapkowego dołoży mi dodatkową porcję tuńczyka i kukurydzy do mojej bułki z makiem.

— Och, Ellie. Nie jest aż tak źle.

Czując ulgę, że zeszły z tematu Siona i całkowicie pominęły Henry'ego Moona, Grace niemal z zadowoleniem rozejrzała się po dziale reklamy Hatto & Hatto. Jeżeli oczywiście tak szumnym określeniem można nazwać mały, obskurny pokoik, w którym urzędowały. Grace robiła, co mogła, ale arkusik

formatu A4 z napisem DZIAŁ REKLAMY przed paroma miesiącami odkleił się od podkładki, na której był umieszczony, i teraz zwiślał skrecony z drugiej strony drzwi.

W środku znajdował się ohydny rząd reflektorków, pokrytych zwłokami much, paskudna metalowa szafa oraz ściśnięte biurka, na których rozkraczyły się przestarzałe monitory.

Grace to jednak nie przeszkadzało. Nie narzekała nawet, że jedyna toaleta, mała i zimna, jest na następnym półpiętrze. Drewniane kręte schody, georgiańskie sufity i eleganckie kominki, zainstalowane przez pierwszych właścicieli, sprawiały, że biura Hatto & Hatto wydawały jej się ideałem wydawnictwa. Wiedziała, że Ellie nie podziela tego poglądu i w przeciwieństwie do niej wcale nie uważa, że — biorąc pod uwagę konkurencję na wydawniczym rynku pracy — ma szczęście, iż w ogóle ją tu zatrudniono. Od początku dążyła do wyższych celów, a jej zawrotne obcasy były tylko jednym z przejawów tego dążenia.

— Pomyśl o pracy w Hatto jako o wyzwaniu — powiedziała Grace.

— Z pewnością jest to wyzwanie — przyznała Ellie. — Próba powstrzymania załamywania się karier większości naszych autorów nie jest zajęciem dla osób bojaźliwych.

Nie można zaprzeczyć, że pisarze, współpracujący z Hatto & Hatto, nie byli znani światu tak dobrze, jak należałoby tego oczekiwać. Nie dość, że prasa, radio i telewizja od początku nie okazywały im żadnego zainteresowania, to jeszcze, mimo wysiłków Grace i Ellie, ta niechęć wydawała się coraz większa.

— To dlatego, że Marian odeszła — oświadczyła z przekonaniem Grace.

— Sprawy przybiorą lepszy obrót, gdy znajdziemy kogoś na jej miejsce. Marian była pełną optymizmu dyrektorką do spraw sprzedaży. Kiedy objęła swoje stanowisko, miała radosne nastawienie do pracy, lecz w ostatnich miesiącach uśmiech i przyjacielskie słowo przychodziły jej coraz trudniej. Gladys, lubiąca poplotkować siedemdziesięcioletnia sekretarka, której Marian często

się zwierzała, stwierdziła, że należało to przypisać jej odkryciu, iż sprzedawanie publikacji Hatto jest jak „pchanie mgły pod górę”. Poza tym Marian wkrótce uświadomiła sobie, że szumny tytuł dyrektorki do spraw sprzedaży oznacza po prostu Jedyną osobę do spraw sprzedaży”, co również przyczyniło się do jej rozczarowania wydawnictwem.

Od odejścia Marian sytuacja uległa dalszemu pogorszeniu. Produkcja Hatto, zawsze bardzo wolno docierająca do księgarń, teraz w ogóle do nich nie trafiała, a brązowe kartonowe pudła z napisem „Ostrożnie, książki”, piętrzyły się już na schodach i w korytarzu.

— I kiedy wreszcie znajdą kogoś na miejsce Adama — dodała Ellie.

Grace już dawno domyśliła się, że jej asystentka sama skrycie poluje na to stanowisko. Podejrzewała, że Ellie w ogóle tkwi jeszcze w Hatto & Hatto tylko dlatego, że chce przeniknąć do królestwa Adama Knighta, ale on, jak dotąd, ignorował jej starania. Jego królestwo było jednak coraz mniejsze: kiedyś kierował działem, w którym pracowało czterech redaktorów, a teraz był samotnym „dyrektorem do spraw prozy” — tak jak Marian dyrektorem do spraw sprzedaży. Ona sama również będzie wkrótce dyrektorką do spraw reklamy. Oczywiście jeśli jej dział nie zostanie w ogóle zlikwidowany.

— Chyba trochę przesadzasz — mruknęła, choć wcale nie była tego taka pewna.

— Czyżby? — Oczy Ellie błysnęły. — Czytałaś rękopis tej książki, którą właśnie kupił? *Ego wikarego* czy jak to się tam nazywa.

— Iniga Thornsbridge'a? Ellie skinęła głową.

— Kompletnie niezrozumiały tekst. Według streszczenia, które Adam do niego dołączył, jest to coś w rodzaju satyrycznej przeróbki *Tybetańskiej Księgi Zmarłych*. Wersja Thornsbridge'a oparta jest na historii męczeństwa świętego Sebastiana, którego

duch wciela się w artystę zamieszkującego w galerii Tate. Adam twierdzi, że to genialne dzieło.

— Mmm... — Grace nie zamierzała się przyznawać, że nie przedarła się nawet przez streszczenie.

— Uważam — dodała z irytacją Ellie — że ten facet zaczyna tracić zdrowy rozsądek. A co do Thornsbridge'a... — przewróciła oczami — ...ostatnio Adam nie bardzo odróżnia Szekspira od jakichś świrniętych grafomanów.

— Dzień dobry, Adamie! — zawołała nagle Grace, dostrzegając pognieciony i poplamiony brunatny płaszcz przeciwdeszczowy redaktora, który właśnie przeszedł przez drzwi. Łysiejąca głowa z kilkoma niesfornymi pasmami włosów, przyklejonymi do gąbczastej skóry czaszki, zajrzała do pokoju biura reklamy przez niepewnie trzymające się na nosie okulary o mocno zakrzywionych zausznicach. Pod pachą Adam Knight trzymał gruby plik kartek o pozaginanych rogach, ściśnięty gumową taśmą.

— Przynajmniej nie zgubił tekstu — zauważyła Ellie, gdy Adam, szurając nogami, przeszedł do swego zawałonego książkami pokoju na końcu korytarza. Dyrektor działu prozy notorycznie zostawiał maszynopisy autorów w autobusie linii 19.

Ellie westchnęła i zaczęła przerzucać papiery ze stosu spraw do załatwienia.

— A jak tobie minął weekend? — zapytała nagle.

— Hmm... nieźle — odparła z rezerwą Grace. Miała ochotę skłamać, ale zabrakło jej fantazji. — Właściwie był do kitu — wyznała w końcu.

— Wiem, że to nie moja sprawa, ale chyba się nie obrazisz, jeśli ci powiem... — zaczęła Ellie.

Grace zarumieniała się. Czyżby Ellie się domyśliła? Czy ktoś coś powiedział? Całkiem możliwe, środowisko wydawnicze żywi się plotką, nawet jeśli dotyczy ona kogoś tak mało ważnego jak ona. Nerwowo przełknęła ślinę, przypominając sobie pijacką grę w barze. Oboje byli tak zaprawieni, że rzucało się to w oczy, co więcej, widział ich cały księgarski świat.

A bardzo możliwe, pomyślała z przygnębieniem, że nie wszyscy byli tak pijani, jak na to wyglądali. Postanowiła jednak nie poddawać się.

— O co ci chodzi? — zapytała.

— To wszystko jest do kitu, no nie? W całości. Jedna wielka katastrofa, spójrzmy prawdzie w oczy.

Grace westchnęła. Najwyraźniej wszystko się wydało.

— Myślę, że razem z Henrym jakoś to przeżyjemy — oświadczyła z udawaną wesołością. — W końcu nie jestem pierwszą pracownicą reklamy, która poniosła klęskę na festiwalu literackim i przespała się z autorem.

EUie wytrzeszczyła oczy.

— Co takiego? — Uderzyła się ręką w czoło. — Chryste, oczywiście, festiwal St Merrion. Byłaś tam. Zapomniałam.

— Czy nie o to ci chodziło? — zapytała z irytacją Grace, której nagle zwilgotniały ręce.

— Masz kuku na muniu na punkcie Henry'ego Moona! — drażniła się z nią rozradowana EUie. — Kto by pomyślał! Dobra robota, złotko! Zostałaś skopana, a potem autor cię przeleciał. Podtrzymałaś najlepsze tradycje festiwali literackich.

— Nie mam kuku na muniu na punkcie Moona. Absolutnie — wymamrotała Grace.

— Ale dlaczego? Jest całkiem przystojny, choć sprawia wrażenie kompletnego nieudacznika.

— Nie jest kompletnym nieudacznikiem — odparła Grace, po czym zastanowiła się, dlaczego w ogóle go broni. W końcu kim jest dla niej Henry Moon? Albo ona dla niego?

Ellie wzruszyła ramionami.

— Cóż, to przemysł wydawniczy, dziecińco. Jednego dnia odkrywa się nową, wspaniałą rzecz, a następnego mamy już kolejną rewelację — oświadczyła.

Była bardzo dumna ze swej umiejętności dokładnego przewidywania tendencji wydawniczych. Zaledwie przed paroma tygodniami przepowiedziała, że dzieło, zatytułowane *Humorystyczne spojrzenie na ból*, nie spełni oczekiwań Adama,

a jego autor, Tenebris Luks, nie okaże się nowym Martinem Amisem.
— Spójrz na to od innej strony — dodała. — Zapewnianie rozgłosu Henry'emu może okazać się o wiele bardziej interesujące, jeśli jednocześnie będziesz z nim żyła.

Twarz Grace oblała fala czerwieni.

— Nie żyję z nim. To była tylko... sama nie wiem. Chwila szaleństwa. — Dotknęła na moment swojego czoła. Cztery butelki szaleństwa. Po dwóch dniach jeszcze miała kaca.

Na twarzy Ellie pojawił się ironiczny uśmiezek.

— Gdybym teraz rozbiła jajko na twojej twarzy, usmażyłoby się w parę sekund.

— Odczep się — warknęła Grace, czując, że jej twarz robi się jeszcze czerwiejsza.

— A Henry jest o wiele miłszy niż Sion — stwierdziła Ellie. — Czy z tego... hm... epizodu mam wnosić, że między wami wszystko skończone?

— Nie — odparła stanowczym głosem Grace. Poczucie winy walczyło w niej z paniką. — Absolutnie. Na ten weekend Sion zabiera mnie na wieś. Brwi Ellie uniosły się.

— Naprawdę?

Grace triumfalnie skinęła głową.

— Owszem, naprawdę.

W rzeczywistości wypad ten był dla niej nie mniejszą niespodzianką niż dla Ellie. Sama była zdumiona swoim przekonaniem, że jeśli raz opuszczą sobotnią agitację i spędzą weekend gdzieś na wsi, wywrze to zbawienny wpływ na ich wzajemne stosunki. Gdy wróciła z festiwalu, czując się zbrukana na ciele i duszy, poczuła się okropnie, słuchając wiadomości od Siona, pozostawionej w poczcie głosowej. Gdy już przewyciężył swoją niechęć do mówienia po sygnale, zaproponował, by wyjechali z Londynu na parę dni.

— Chyba zdał sobie sprawę, że musimy sobie parę rzeczy wyjaśnić — dodała.

— Więc dokąd cię zabiera? Grace wzaissyła ramionami.

— Nie mam pojęcia. Jeszcze z nim nie rozmawiałam — odparła, ale jej nadzieje już rozkwitały, a w wyobraźni zaczęły się malować słodkie domeczki w ogrodach porośniętych malwami i jeszcze mniej realne tarasy wiejskich hotelików oraz łoża z baldachimami, obszytymi frędzlami. Czuła zakłopotanie, połączone z zadowoleniem. Może w takim idyllicznym otoczeniu rzeczywiście rozwiążą swoje problemy.

Ellie prychnęła.

— To będzie konferencja w Basingstoke poświęcona marksizmowi albo coś w tym rodzaju, wkrótce się przekonasz.

Grace rzuciła jej gniewne spojrzenie. Postanowiła uwierzyć, że jej stosunki z Sionem się poprawią, że wreszcie przestanie ją tak haniebnie zaniedbywać.

— Przecież sama widzisz, że między mną i Sionem me jest aż tak źle — oświadczyła. Doszła do wniosku, że uwaga Ellie na temat katastrofy dotyczyła jej stosunków z mężczyznami, a nie festiwalu literackiego.

— Ale wiesz, myślałam o twoim mieszkaniu... — powiedziała Ellie.

— O moim mieszkaniu? A co jest złego z moim mieszkaniem? — zdziwiła się Grace. Uważała, że jej umiarkowana niechęć do sprzątanania jest znacznie lepsza niż obsesyjna czystość Ellie.

— To składowisko bomb.

— No cóż, przynajmniej nie froteruję chodnika przed domem, na wypadek gdyby ktoś wracał do domu w nocy.

— Ja też nie — odparła Ellie. — Robi to za mnie pani Ciarkę.

Grace poczuła, że ogarnia ją irytacja. To, że jej mieszkanie nie odpowiadało standardom Ellie, zaczerpniętym z „Domu i ogrodu”, było dla niej absolutnie oczywiste już po kilku wizytach, jakie koleżanka jej złożyła.

— Szczerze mówiąc, złotko — ciągnęła bezlitośnie Ellie — żyjesz jak flejtuch. Nie uważasz, że przydałaby ci się sprzątaczką?

— Flejtuch? Sprzątaczką?

— Oczywiście, że tak — odparła Ellie. — Albo się zgodzisz, albo wystąpię do opieki społecznej, by przeniesiono cię do jakiejś ich placówki. Na szczęście — podniosła rękę, bo Grace, czerwona z oburzenia, już chciała jej przerwać — wymyśliłam doskonałe rozwiązanie. Pani Ciarke...

_ Pani Ciarke? — spytała ze zdumieniem Grace. — Przecież zawsze skarżyłaś się na panią Ciarke. Mówiłaś, że tłucze różne rzeczy i niedokładnie odkurza.

Ellie skinęła głową.

— Tak, wiem. Ale stała się już właściwie częścią rodziny. Wiedziała, że moja siostra jest w ciąży, zanim siostra sama się zorientowała, może dlatego, że tyle czasu spędza na grzebaniu w szufladach. A teraz jesteśmy od siebie wzajemnie zależne. Jak z moim instruktorem prawa jazdy.

— Więc uważasz, że powinnam jej pozwolić na grzebanie również w moich szufladach?

— Nie jej, głuptasie. Pani C. ma znajomą, kobietę z Europy Wschodniej. Podobno jest niewiarygodnie pracowita.

— Ee... — wymamrotała Grace.

_ Ma na imię Maria i miała bardzo tragiczne życie — dodała Ellie, szeroko otwierając oczy, by zrobić bardziej przekonujące wrażenie. — Prowadziła jakiś dochodowy interes, ale upadł z powodu wojny domowej.

_ O Boże! — Grace ogarnęło współczucie dla tej nieznannej kobiety, wobec której los okazał się jeszcze mniej łaskawy niż dla niej. — To straszne.

_ Więcej niż straszne. Straciła mieszkanie i wszystko.

A potem, kiedy wydawało się, że gorzej już być nie może, zmarł jej mąż.

— Biedactwo — wyszeptała Grace.

_ Po jego śmierci przyjechała tutaj, dostała tymczasową

wię i sprząta, żeby zarobić na życie — dokończyła Ellie załamującym się dramatycznie głosem.

Grace zamruła. Jak może myśleć o własnych niepowodzeniach wobec dramatu tej kobiety?

— I rozpaczliwie potrzebuje miłych klientów — dodała Ellie, widząc, że wygrywa. — W tej chwili pracuje dla jakiejś baby, która jest dla niej okropna, bez względu na to, jak Maria się stara... Płaci jej bardzo marnie, krzyczy na nią... — Zobaczyła z triumfem, że oczy Grace zalśniły od łez. — Jest idealną sprzątaczką, choć jej angielski pozostawia nieco do życzenia.

Grace uśmiechnęła się niepewnie.

— O co chodzi? — zapytała niecierpliwie Ellie. — Nie chcesz ułatwić życia tej nieszczęsnej kobiecie?

— Owszem, tak, ale...

— Ale co? — naciskała Ellie, spodziewając się paru zastrzeżeń, po chwili jednak na jej twarzy ukazał się wyraz gorzkiego zrozumienia. — Nie musisz mi mówić. Sion. Boisz się, że ci powie, iż sprzątaczkę to burżuazyjna zachcianka, przedłużająca istnienie... mm... klas upośledzonych.

— Wcale nie — zaprzeczyła Grace, choć sama by tego lepiej nie ujęła.

— Oczywiście to, że nazywa siebie Sionem, choć naprawdę ma na imię Simon, nie jest ani trochę burżuazyjne...

Grace rzuciła koleżance gniewne spojrzenie. Dlaczego przynajmniej raz na tydzień musi wyciągnąć sprawę zmiany imienia przez Siona? Bardzo żałowała, że wysnęło jej się to w barze przy winie — bardziej niż jakiegokolwiek innego nieprzemyślanego czynu, który w swoim życiu popełniła. Z wyjątkiem tego, czego dopuściła się z Henrym Moonem w St Merrion.

— W takim razie sprawa jest załatwiona — oświadczyła Ellie.

Może to nie taki zły pomysł, pomyślała Grace, wracając tego wieczoru do swojego mieszkania. Musiała przyznać, że nie było w idealnym stanie. Jej spojrzenie padło na pokryty

okruszkami dywan, na pół opróżnione szklanki z wodą, stłoczone u podnóża sofy, talerz, na którym leżała nadgryziona grzanka, stojący na zakurzonej telewizorze. Spojrzała na niego ze zdziwieniem. A więc tu się podziało jej dzisiejsze śniadanie... Szukała go wszędzie, pod łóżkiem, gdzie pełno było kłębków jej włosów i papierowych chusteczek, pod pokrytą szarą warstwą brudu szafką w łazience. Kiedy je zobaczyła, poczuła mdłości. Ujrzała szarą pościel na dawno nieprześcieranym łóżku oraz olimpijskie symbole, które na każdej powierzchni pozostawiały szklanki. Mieszkanie z pewnością było dość zaniedbane. Może Ellie rzeczywiście miała rację z tą sprzątaczką...

Gdzieś pod stosami magazynów leżących na podłodze zadzwonił telefon. Grace zaczęła je pospiesznie rozgrzebywać. Sion? Dzwoni w sprawie weekendu? A może powie również, o której można się go spodziewać dziś wieczorem?

— Kochanie!

— Mama... — mruknęła z rezygnacją Grace. — Jak się miewasz? Jak tam w Wenecji?

— Mokro jak zawsze. Kochanie, czy nadal jesteś w kontakcie z Ludem Cleft-Baringiem? To taki miły chłopak. Pamiętasz go? Chodziliście często razem na konie.

Grace zazgrzytała zębami.

— Nie. Dlaczego o niego pytasz? — Ludo, jak pamiętała, był jedynym dzieckiem, które jeszcze bardziej bało się koni niż ona. Lubili się, ale gdy zaczęła się szkoła i uniwersytet, Grace nie czuła potrzeby odnawiania tej znajomości. A zwłaszcza tego rodzaju znajomości, o jaką najwyraźniej chodziło jej matce.

— Lord Cleft-Baring nie czuje się dobrze. Ludo, jako jego syn, ma doskonałe widoki...

— Mamo, w razie gdybyś zapomniała, mam chłopca.

— Tak, ale...

— Ale co?

— Kochanie, Sion jest taki... jednostronny.

— Ale przynajmniej w coś wierzy poza hymnem narodowym i rodziną królewską — odparowała Grace.

Jej matka i Sion spotkali się jeden jedyny raz. Chłopak wywarł na lady Armiger wrażenie, gdy oświadczył, że spotkał się z jednym z członków rodziny królewskiej i ma na to dowód w postaci fotografii. Aprobata zmieniła się w przerażenie, kiedy Sion wyciągnął ze swojego portfela gazetowe zdjęcie, na którym widać było, jak rzuca jajkiem w księżniczkę Małgorzatę, gdy składała wizytę na jego uniwersytecie. Reszta spotkania z lady Armiger przebiegła dość sztywno. Nie zostało też nigdy powtórzony.

— Doprawdy, Grace, chciałabym, żebyś przestała wreszcie uważać, że każdy, kto ma tytuł, jest okropny — ciągnęła jej matka. — Wielu bardzo miłych ludzi, których znam, nosi tytuły.

— Wszyscy twoi znajomi noszą tytuły.

— Niekoniecznie, kochanie. Na pewno ktoś go nie ma. W każdym razie chodzi mi o to, że osoba, która nie posiada tytułu, niekoniecznie musi być lepszym człowiekiem. Podobnie jak jedzenie z otwartymi ustami, siorbanie wina i wyskrobywanie talerza do czysta nie czyni z nikogo bardziej uroczego współbiedniaka.

— Mam nadzieję, że nie jest to aluzja do Siona — mruknęła Grace. Nigdy jakoś nie mogła znaleźć odpowiednich słów — ani wykrzesać z siebie wystarczająco wiele odwagi — by wytłumaczyć matce, że Sion celowo jada w ten sposób, próbując w ten sposób stawić czoła burżuazyjnej ortodoksji, dotyczącej podawania soli czy posługiwania się nożem do masła.

— Znowu wychodzi dziś wieczorem, co? — zapytała lady Armiger, trafiając, jak zwykle, w sedno sprawy niczym sterowany pocisk.

— Wychodzi na promocję książki o tym, jakie szkody wielonarodowy konglomerat korporacyjnego oblicza kapitalizmu wyrządza kulturze i demokracji — wyrecytowała Grace, zastanawiając się, czy powtórzyła to wszystko we właściwej kolejności.

— Przepraszam, że spytałam — odparła lady Armiger. — Ale przynajmniej nie zmusza cię, byś spędzała wieczory na uczeniu narkomanów korzystania z Internetu. Pozwoliłaś potem, żeby ukradli ci komputer.

Grace zgrzytnęła zębami. Po surowym wykładzie Siona na temat jej burżuazyjnego egoizmu czuła się bardzo zawstydzona, że posiada komputer. Cała własność oparta jest przecież na złodziejstwie, podobnie jak kino, do którego czasem miała ochotę się z Sionem wybrać, jest przejawem amerykańskiego imperializmu w jego najbardziej bezczelnej i uwodzicielskiej postaci. A ładowanie pieniędzy w nadmiernie kosztowne restauracje, które brutalnie wykorzystują rynek pracy Trzeciego Świata, jest jeszcze bardziej odrażające. „Chciałam iść tylko do Pizza Express” — odpowiedziała wtedy.

— Ale teraz — oświadczyła Grace, mając nadzieję, że wprawi to matkę w zakłopotanie — Sion zabiera mnie na weekend na wieś. Nie uważasz, że to romantyczne?

Na końcu linii w Wenecji rozległo się westchnienie.

— Chyba to musi być prawda, co mówią o tych typach z Partii Robotniczej...

— A co mówią?

— Że mają w głowie tylko jedno.

— Chodzi ci o walkę klas?

— Nie, kochanie. Seks.

Rozdział 4

— To nazywacie stołem? — zasyczała Belinda.

Wbiła pomalowany na czerwono paznokieć w gęsto tkany jedwabny krawat nieszczęsnego kierownika sali, który spoglądał bezradnie na budzący zastrzeżenia klientki mebel. Okrągły blat, przykryty szerokim białym obrusem, srebrne, starannie ułożone sztuce — tak, jak można się było tego spodziewać po jednej z najwykwintniejszych londyńskich restauracji... Według niego wyglądało to właśnie jak stół. Ale rozniewana kobieta o czarnych włosach i ostrym makijażu, w niezwykle obcisłej skórzanej minispódniczce, najwyraźniej była innego zdania.

— Otóż nie — odparowała Belinda. — To w ogóle nie jest stół. To jakaś cholerna Syberia. — Obrzuciła szybkim, wściekłym spojrzeniem innych gości. — To nawet nie jest Syberia. To cholerny gułag.

Belinda wyznawała zasadę, że powinna ubierać się tak, jak wymagałoby tego stanowisko, o które zamierza się ubiegać, a strój powinien odzwierciedlać te ambicje. Uważała również, że należy się zachowywać, jakby już otrzymało się pożądane stanowisko. A powodem jej nieustannej irytacji było to, że posadę, której pragnęła dla siebie — i do której, jak sądziła, była stworzona — zajmowała obecnie niejaka Maureen „Mo” Mills, dziennikarka „Globe”, co dwa tygodnie przeprowadza-

jąca rozmowę z jakąś znakomitością. Belinda bardzo chciała przeprowadzać te wywiady — bardziej nawet niż zdobyć bogactwo i sławę. Głównie dlatego, iż wierzyła, że jeśli otrzyma to stanowisko, przyjdzie za nim także fortuna i sława. Zdobędzie je albo sama, albo dzięki poznaniu i poślubieniu jakiejś gwiazdy. Obydwa sposoby jej odpowiadały — nie była wybredna. Jednak na razie nie było jasne, jak właściwie ma zdobyć to, czego pragnie. Mo Mills uchodziła za pierwszą gwiazdę wywiadów gazety od wczesnych lat sześćdziesiątych i nic nie wskazywało na to, by jej pozycja miała osłabnąć. Była, jak z wściekłością myślała Belinda, niewzruszona niczym skała Gibraltaru. I mniej więcej tej samej wielkości.

— W całym lokalu jest tylko jeden lepszy stolik — powiedział drżącym głosem kierownik.

— Właśnie! — ryknęła Belinda. — Czy pan wie, kim jestem? Belinda Black z „Globe”, we własnej osobie. Domagam się najlepszego stolika.

— Ale księżna Diana siadywała tu i była bardzo zadowolona...

— I jak skończyła, do cholery? — zapytała Belinda. — Szkoda gadać. Uznała, że narobiła już dosyć zamieszania. Teraz każdy w restauracji wie, kto się tu pojawił — chyba że jest ślepy i głuchoniemy, choć to też stanowi mamą wymówkę. Usiadła, głośno szurając krzesłem, i zaczęła grzebać w swojej torebce.

Otworzyła puderniczkę i w jej lusterku zaczęła szukać siedzących na sali znakomitości. Zobaczyła jednak tylko księżnę Kentu i jakiegoś pokrytego samoopalaczem osobnika przy dawnym stoliku Jeffreya Archera. Jak zwykle, wszystkie kobiety w restauracji przypatrywały jej się z niesmakiem, ale mężczyźni rzucali na nią pożądliwe spojrzenia. Zadowolona Belinda wypięła pierś. Jej obcisły zamszowy top, celowo o dwa numery za mały, zawsze wywoływał pożądany efekt. Belinda od wczesnej młodości opanowała sposoby zwracania na siebie uwagi mężczyzn, które sprowadzały się do Trzech D: Długie

Włosy, Długie Nogi, Dużo Biustu. Odrzucając swą lśniąca kruczoczną grzywę, wciągając policzki i kręcąc tyłkiem, by jeszcze wyżej podciągnąć skórzaną mini, założyła jedną opaloną w St Tropez nogę na drugą i zastanawiała się, gdzie, do diabła, podziewa się kobieta, z którą umówiła się na lunch i wywiad.

Jak to możliwe, że ta producentka wykwinnego obuwia dla elity, „Śmierdziuszka” Cheshire, córka hrabiego Alderley, ośmiela się zjawiać jeszcze później niż sama Belinda? Spóźniła się dwadzieścia minut, ale to przecież normalne. Czy Belinda Black z „Globe” ma czas, by przybyć punktualnie? Oczywiście, że nie. Nikt nie musi wiedzieć, że kazała taksówkarzowi przez dwadzieścia minut krążyć wokół Piccadilly. Producentka obuwia, akurat, pomyślała zjadliwie, wciąż spoglądając na czarno--srebrne obrotowe drzwi restauracji. Pewnie siedzi przy kopycie, naklejając łąkę na jakieś łapcie.

Gdy Belindzie wręczono kartę dań, przejrzała ją pobieżnie, myślami będąc daleko od wykwinnego świata marynowanych ślimaków i kwiatów cukinii, zapiekanych w cieście naleśnikowym. Bez wątpienia Śmierdziuszka pojawiłaby się punktualnie dla Mo Mills i jej znacznie lepszych — a w każdym razie obszerniejszych, poprawiła się pospiesznie Belinda — wywiadów. Czy ona sama kiedykolwiek się do nich dorwie? Mo Mills ma przygnębiająco zdrowy organizm. Przez trzydzieści lat ani razu nie chorowała, mimo oczywistych problemów z nadwagą i spoconej, nalanej twarzy o ziemistej cerze. Ale Mo była legendą, a jej sława sięgnęła szczytu w latach sześćdziesiątych. Kogo, na miłość boską, zastanawiała się Belinda, rozrywając gwałtownie bułeczkę, obchodzą lata sześćdziesiąte?

Kogo to obchodzi, że w latach sześćdziesiątych Mo prowadziła się ze Swinging Blue Jeans, przyjaźniła się z Maharishi, dzieliła przyczepę z Bobem Dylanem, namówiła Micka Jaggera, by dał jej swój przepis na małże *marinara* i jako pierwsza zrobiła wywiad z Beatlesami, gdy wystąpili w swoich słynnych fryzurach? Belinda wiedziała, że uważano, iż wywiady Moptop ukazały nowe horyzonty w rozmowach z wybitnymi osobistościami — ale tak naprawdę jakie to były horyzonty? Na miłość boską, Mo nie dowiedziała się nawet, jakich szamponów używała Słynna Czwórka, nie mówiąc już o odżywkach.

— Aperitif, *madami* — odważył się zapytać kelner.

— Kieliszek szampana — warknęła Belinda.

Kelner odpłynął z niewzruszonym wyrazem twarzy, lecz mięsień w jego policzku drgał gwałtownie. Belinda przypatrywała mu się przez chwilę i doszła do wniosku, że pomimo szacownej reputacji La Garrigue niektórzy członkowie jej personelu nie są przyzwyczajeni do obsługi gwiazd. Ludzi, którzy wspięli się na szczyty swojej kariery zawodowej. No, prawie.

Jej rozgorączkowane myśli powróciły do rozważań nad Mo Mills.

Szczególnie żałosne wydawało się to, że Mo obdarzono tytułem Najmilszej Kobiety na Fleet Street. Czy tak trudno go uzyskać? Albo kogo interesuje, że zyskała poklask jako Ostatnia z Wielkich Postaci, Najdoskonalsza Profesjonalistka i — był to największy powód Mo do chwały — Kobieta, Która w Ciągu Trzydziestu Lat Nigdy Nie Podała Błędnej Informacji? Nic dziwnego, że jej wywiady są takie nudne. Cóż bowiem może być trudniejszego niż prawda?

Jeśli o to chodzi, pod fotografią z nazwiskiem Mo i podpisem: „Kobieta, Która Zadaje Wnikliwe Pytania”, powinien być zamieszczony akt oskarżenia za sprzeniewierzenie się wszelkim zasadom dotyczącym opisu zawodów. Weźmy choćby ostatni wywiad z Josephem Fiennesem z zeszłego tygodnia. Pierwsze pytanie — które brzmiało: „Joseph, na twój widok milionom mocniej biją serca. Jakimi uczuciami to cię napawa?” — zdaniem Belindy niosło seksualne przesłanie o sile mrożonego paluszka rybnego. To był nie tylko odpad, ale nuklearny odpad. Kobieta, Która Zadaje Wnikliwe Pytania... Ha! Na jej miejscu — na którym Mo rozparła się swoim tłustym zadem — Belinda skupiłaby się na wnikaniu Fiennesa w coś całkiem innego.

Jedyną pociechę stanowiło to, że Mo nie wzbogaciła się na swojej kolumnie. Z pogardą, ale też i ze znaczną ulgą Belinda

stwierdziła, że Mo Mills nie wyciągnęła dla siebie żadnych korzyści z tego, że gwiazda „Globe” wciąż świeciła mocno na dziennikarskim firmamencie i gazeta zgarniała wszystkich sławnych i bogatych ludzi, z którymi Mo spędzała długie godziny w pokojach hotelowych. Zamiast flirtować dla Anglii, traciła cenny czas, zadając swoim gościom głupie pytania. Jakby kogoś obchodziło, co Bob Dylan naprawdę myśli o Jacqueline Kennedy, co Paul McCartney sądzi o Johnie Lennonie, jakie jest zdanie Billa Clintona o George'u Bushu albo co Tony Blair ma do powiedzenia na temat Gordona Browna. A jedyną korzyścią, jaką miała Mo z dziesięcioleci zaznajamiania się ze znakomitościami, było zaproszenie każdego lata od Micka Jaggera do jego stolika w restauracji Lord. Na miejscu Mo Belinda postarałaby się, by zaproszono ją w całkiem inne miejsce.

Być może jednak nie było to takie zaskakujące. Mo nie miała warunków do flirtu. Stwierdzenie, że wygląda jak tył autobusu, byłoby obrażaniem tyłów autobusów, pomyślała Belinda i uśmiechnęła się z zadowoleniem, podchwytyjąc spojrzenie zarumienionego siedemdziesięciolatka, pochłaniającego jakąś potrawę z serem. Lekko rozchylając nogi, uśmiechnęła się jeszcze szerzej, gdy siedemdziesięciolatek zakrztusił się i trzeba go było odprowadzić do męskiej toalety.

Ale gdzie, do cholery, podziwiała się Śmierdzi uszka Cheshire? Belinda z wściekłością wyrwała kieliszek szampana z ręki nadchodzącego kelnera. Im dłużej Cheshire każe na siebie czekać, tym złośliwszym komentarzem Belinda opatrzy wywiad, choć *Przerwa na herbatę* nie przewidywała zbyt wiele miejsca na wyrażanie prywatnych opinii. Nie oferowała jednak też niczego innego. A już na pewno szansa spotkania z wielkimi gwiazdami.

W *Przerwie na herbatę*, którą od roku z niechęcią prowadziła Belinda, co tydzień zamieszczano krótkie rozmowy z pomniejszych osobistościami. Znajdowała się na ostatniej stronie gazety, wraz z krzyżówką i horoskopem, gdy tymczasem *Wywiad*

Mo Mills zawsze zajmował miejsce na samym froncie. Ku zmartwieniu Belindy *Przerwa na herbatę* była pomyślana jako krańcowe przeciwieństwo *Wywiadu* Mo Mills. Podczas gdy wywiady Mo Mills mierzyły wysoko, *Przerwa na herbatę* nie miała większych ambicji. Tak naprawdę było to wielkie mc.

I nie chodziło tylko o to, że *Przerwie na herbatę* nie dostawało prestiżu. Po prostu nie była ciekawa — typowe formułki pytań i typowe odpowiedzi, wywiady udzielane przez pomniejszych gwiazdeczek, grające w komediach sytuacyjnych, popularnych serialach i reklamach. *Przerwa na herbatę* była według Belindy tak bardzo poniżej jej możliwości, że byłoby to śmieszne, gdyby nie było tak tragiczne. W końcu jednak to właśnie dzięki niej umieszczono Belindę na liście osób, otrzymujących kartki z życzeniami na Boże Narodzenie, figurowała też w spisie „Kto jest kim” w brytyjskiej telewizji. Dzięki niej była także po imieniu z wieloma pracownikami telewizyjnymi oraz obsadą popularnego serialu. Ale dzięki *Przerwie na herbatę* nigdy nie przeprowadzi wywiadu z Madonną. To najdłuższa droga do niej.

Przerwa na herbatę obsesyjnie prześladowała Belindę. Obawiała się, że nigdy się od niej nie uwolni. Często miewała koszmarne sny, że w wieku osiemdziesięciu lat siedzi zamknięta w celi policyjnej na Sun Hill i pyta popularną gwiazdeczkę, jaka infonacja o niej najbardziej zdumiałaby czytelników. Myślała, że nienawidzi *Przerwy na herbatę* tak bardzo, jak to tylko możliwe, ale kiedy dowiedziała się, że ta część gazety jest najbardziej popularna wśród robotników fabrycznych i rzemieślników, jej obrzydzenie jeszcze się spotęgowało.

Rozpaczliwie pragnęła odpocząć od tego programu i jeszcze bardziej rozpaczliwie chciała zająć miejsce Mo. Ale do usunięcia Mo Mills trzeba byłoby chyba cudu, toteż Belinda przez cały czas myślała tylko o tym, jaki dokładnie powinien być charakter tego cudu.

Nagle przez obrotowe drzwi restauracji wpłynął kłęb różowej wełny.

— Strasznie mi przykro! — wykrzyknęła apetyczna blondynka, wokół której rozchodziła się chmura perfum tak gęsta, że Belinda dostała ataku kaszlu. Nie bez powodu nazwano tę dziewczynę Śmierdziuszką Cheshire, pomyślała.

Uśmiechnęła się złośliwie i naostrzyła w duchu pazury. Choć nie była jeszcze dziennikarką, przeprowadzając wywiady ze znakomitościami, wynagrodzi to sobie, udając, że nią jest. Albo zachowując się tak, jakby nią była.

— Gdzieś ty się podziewała? — zapytała Fran, redaktorka działu *Z życia*, gdy Belinda wróciła do biura późnym popołudniem.

Belinda spojrzała na nią z politowaniem. Pomyślała, że Fran najwyraźniej była u golarza, który strzygł mnichów — bo któż inny mógłby sprokurować taką postrzępioną fryzurę, podkreślającą nos, wystający z twarzy o kształcie piłki? Szminka koloru gotowanego łososia nie poprawiała ogólnego efektu. A okrągły, mocno wycięty top, który wyglądał jak koci dzwoneczek, powinien być powodem zwolnienia. Albo przynajmniej nagany.

— Na lunchu — warknęła, jakby to wszystko wyjaśniało.

— Domyśliłam się tego po zapachu alkoholu. Ale rzecz w tym, że jest już wpół do piątej.

— Niepotrzebnie tak się irytujesz — odparła Belinda, z trudem powściągając pokusę, by powiedzieć Fran, co myśli o jej nowym wcieleniu. — Robiłam *Przerwę na herbatę* ze Śmierdziuszką Cheshire. Oczywiście spóźniła się.

Fran spojrzała na nią tępym wzrokiem.

— Z kim?

— No wiesz... z tą bezmózgą ozdobą towarzystwa, która jeździ na nartach wodnych z księciem Andrzejem — odparła Belinda. — Łaskawie zgodziła się na wywiad w *Przerwie na herbatę*, by zareklamować się jako projektantka obuwia.

— No dobrze... I jaka ona jest?

Belinda wyciągnęła dyktafon i wcisnęła klawisz.

— Posłuchaj.

Z mikrofonu popłynął gardłowy kobiecy głos:

— „O tak. To zdumiewający proces. Dziewięć miesięcy mija, zanim urodzi się dziecko... i zanim powstanie para butów”.

— „To fascynujące, Śmierdziuszek. A czy to prawda, że ostatnio urządziłaś ślub swoim pieskom?”.

— „Oczywiście. Te psy naprawdę się kochają”.

— Gwyneth Paltrow to nie jest — stwierdziła zjadliwie Belinda, wyłączając dyktafon. — Ale może wyjdzie z tego coś dobrego — dodała. Fran uniosła w górę podbródek.

— Moja droga, wiesz doskonale, że choć świetnie prowadzisz *Przerwę na herbatę*...

Belinda spojrzała na swoją szefową zmrużonymi oczyma, z trudem ukrywając zdumienie. Raczej kura zapieje, niż Fran kogokolwiek pochwali.

— ...i zdecydowanie masz dryg do prowadzenia wywiadów...

Belinda doskonale o tym wiedziała. Zadawanie niezbyt wybitnym ludziom niezbyt wnikliwych pytań i właściwe redagowanie ich odpowiedzi decydowało o tym, czy wywiad jest dobry, czy średni. Prowadzenie *Przerwy na herbatę* było sztuką, choć przez niektórych pogardzaną.

— ...i tu, w „Globe”, bardzo to sobie cenimy...

Czyżby Fran nagle poznała się na moich talentach? — zastanawiała się cynicznie Belinda. „Globe” ostatnio cierpiał na odpływ pracowników działu *Z życia* do „Daily Mail”.

— ...ale chyba nie jesteś jeszcze całkiem gotowa, by podjąć się większych zadań.

Jeszcze nie całkiem gotowa?

— Więc kiedy będę gotowa? — zapytała lodowato Belinda. Znała już jednak odpowiedź. Dopiero wtedy, gdy Mo Mills padnie trupem... Zaraz, co takiego Fran powiedziała przed chwilą?

— Co mówiłaś? — zapytała.

— Że na pewno pomyślimy o tym, jeżeli Mo kiedyś odejdzie — odparła Fran. — Wtedy otworzą się przed tobą nowe możliwości.

Belinda popatrzyła na nią ze zdziwieniem. „Jeżeli Mo kiedyś odejdzie...”. Fran nigdy przedtem nie przyznała, że istniał choć cień szansy, by Belinda przejęła *Wywiad Mo Mills*. Najwyraźniej została poinstruowana, że ma tak postępować, by personel był zadowolony. Albo żeby w ogóle był.

— Przecież Mo nigdy nie odejdzie — oświadczyła. — Nigdy nie bierze nawet wolnego dnia. — „Możliwości”... akurat. Nie istniała nawet najmniejsza szansa awansu. Ani cieniutka jak włos szczelina, ukazująca perspektywę rozwinięcia jej potencjału.

Fran wzruszyła ramionami i odwróciła się. Belinda z ponurą miną podeszła do swojego biurka. W tym momencie zadzwonił telefon, więc szybko podniosła słuchawkę.

— Tak?

— Mówi Amber. Z działu reklamy „Asa”.

— Jak się masz — odparła Belinda. Te kobiety z działu reklamy zawsze mają na imię Amber, pomyślała ze znużeniem.

— Zastanawiałam się — mówiła nerwowo Amber — czy już się zdecydowałaś. Zamierzałaś w *Przerwie na herbatę* przeprowadzić wywiady z paroma aktorami, których reprezentuję.

— Aa... tak. — Na twarzy Belindy rozlał się zjadliwy uśmiech. Są gorsze sposoby spędzania czasu, pomyślała, niż podpuszczanie przedstawicieli reklamy. — Moje gratulacje — powiedziała.

— To cudownie! — zawołała Amber z ulgą.

— Udało ci się zebrać całą stajnię aktorów zbyt marnych nawet dla *Przerwy na herbatę*. To niemały wyczyn.

— C.co? — Po drugiej stronie linii rozległo się ciche stuknięcie. Pewnie tej idiotce właśnie odpadła część mózgu, pomyślała Belinda.

— Ale Jim Friedlander... — wykrztusiła Amber. — Przecież on jest wielkim...

— To karzeł.

_ jak to? — wyszeptała przerażona Amber.

— A tak — odparła Belinda. — Ma zaledwie sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu.

— Jest bardzo przystojny — wyjąkała Amber.

— Ale jest też bardzo niski — odparła szyderczo Belinda.

— Ma ogromne poczucie humoru. Mógłby opowiedzieć ci mnóstwo anegdotek.

— Tak... tyle że musiałabym ich wysłuchać na czworakach —

zachichotała Belinda. — Spójrzmy prawdzie w oczy, złotko. To liliput.

Och, to dopiero była frajda. Właśnie o to jej chodziło. I co w tym złego?

Ją samą ciągle upokarzano z powodu *Przerwy na herbatę*, czy można się więc dziwić, że chce upokorzyć kogoś innego?

— Ale to takie niesprawiedliwe — zaprotestowała Amber. _ Nie można oceniać aktora na podstawie jego wzrostu.

To jest...

— Wzrostyzm?

— Jim ma wielki talent — nie poddawała się Amber. — Hamlet w jego wykonaniu zyskał powszechne uznanie. „Guardian” także napisał, że...

— Co do tego nie mam wątpliwości. Ta karłowata wersja *Hamleta* trafia akurat w jego gust. Ale nie mówimy tu o liberalnej, lewicowej prasie, słonko. To redakcja „Globe”. My lubimy, żeby nasze gwiazdy wyglądały jak gwiazdy. To znaczy chcemy, by były wysokie.

— Rozważają jego kandydaturę do następnej wersji Jamesa Bonda — wymamrotała Amber.

— Doprawdy? — zarechotała Belinda. — „Nazywam się Mini-Bond”. Chryste Panie, kiedy ci ludzie z agencji aktorskich wymyślą coś innego? Gdyby liczba Jamesów Bondów, których rzekomo reprezentują, była choć trochę zbliżona do rzeczywistości, reżyserzy rozważaliby nakręcenie kolejnej wersji filmu z tym agentem. Pewnie są zarzuceni takimi samymi kandyda-

turami jak ja... zgłasza się do mnie mnóstwo ludzi, których kariera dawno się skończyła albo nigdy jej nie zrobią, a jednak rozpaczliwie pragną, by zrobić z nimi wywiad w *Przerwie na herbatę*.

— No dobrze, ale wobec tego powiedz, kogo tam jeszcze masz — naciskała zdesperowana Amber. — Kogoś sławnego?

Belinda wiedziała, że prawdopodobieństwo, iż wielkie gwiazdy zgodzą się na wywiad w *Przerwie na herbatę*, są takie same jak to, że królowa wystąpi w *Idolu*. Nie poddawała się jednak.

— Wasza agencja reprezentuje Mason Mackenne, prawda? — zapytała.

— Owszem, kiedy jest w Londynie — odparła Amber.

— No, wreszcie rozmawiamy poważnie. To wielka hollywoodzka aktorka. Wspaniała gwiazda. Chętnie przeprowadziłabym z nią wywiad.

— Obawiam się, że nie będzie chciała rozmawiać w *Przerwie na herbatę*

— odparła Amber, próbując się jakoś pozbierać. — Jeśli w ogóle zrobi coś dla „Globe”, będzie to wywiad z Mo Mills.

Belinda z wściekłością cisnęła słuchawkę na widełki.

— Idę czegoś się napić — oświadczyła, wypadając z pokoju.

— Ale przecież dopiero co wróciłaś z lunchu... — jęknęła Fran.

Kiedy Belinda stała w kolejce po herbatę, przypatrując się z obrzydzeniem brudnym zatyczkom do uszu, które drukarze „Globe” wrzucili między ozdobne rośliny, zadzwoniła jej komórka. Sprawdziła numer.

— Che Guevara! — zagruchała radośnie w słuchawkę.

— Nie nazywaj mnie tak — warknął głos po drugiej stronie.

— W porządku. Kiedy się zobaczymy? — zamruczała Belinda.

— Nie mam pojęcia, muszę najpierw iść na spotkanie do Westminsteru. Problem polega na tym, że rząd porzucił tradycyjne lewicowe zasady...

Belinda z pewnym wysiłkiem skupiła uwagę. Choć zazwyczaj politycy nie występowali w *Przerwie na herbatę*, bez wątpienia kilka słów Cherie poprawi jej notowania. A Che, niech Bóg ma go w swojej opiece, obiecał to załatwić. Spotkania z premierową zdarzały się jednak bardzo rzadko, a okazje po temu były mało prawdopodobne.

Niechętnie przyjęła zaproszenie na promocję *Das Capitalist*, ponieważ obszernie tomiścze na temat przyszłości ekonomicznej naszej planety nie wyglądało zbyt zachęcająco. Jej entuzjazmu nie wzbudziła nawet uwaga Fran, że autor jest przyjacielem zastępcy redaktora naczelnego gazety i uczestnictwo w tym wydarzeniu jest jej obowiązkiem. „Obowiązkowo muszę tylko płacić podatki” — burknęła, zdawała sobie jednak sprawę, że nie ma wy bora.

Ale rzeczywistość przeszła jej najgorsze oczekiwania. Siedząc w dusznej księgarni i słuchając autora *Das Capitalist*, który przepowiadał ponurą przyszłość całej planecie, sączyła piwo, przestępowała z jednego wysokiego obcasa na drugi i w końcu doszła do wniosku, że jedyna przyszłość ekonomiczna, jaka ją obchodzi, to jej własna.

— Nudorama — mruknęła, uśmiechając się do siedzącego obok niej mężczyzny. Przystojny, pomyślała, z tymi swoimi zielonymi oczyma i gładką twarzą przypomina Christophera Walkena, choć ma rude włosy, a jego ubranie dawno nie miało do czynienia z pralką.

— Dlaczego? — zapytał rudzielec.

— Chyba nie jest pan w stanie słuchać tego wszystkiego — odparła Belinda.

— Chciałbym zadać pani pytanie... — Zielone oczy błysnęły. — Jakie jest pani zdanie na temat materializmu dialektycznego?

Belinda otworzyła usta ze zdumienia.

— Czy to nowa nazwa jakichś uprzedzeń? Mężczyzna popatrzył na nią.

— Nie interesuje się pani polityką lewicową?

— Czy pan wie, kim jestem? — zapytała Belinda. — Dziennikarką z „Globe”. Belinda Black we własnej osobie.

Oczy rudzielca znowu zabłysły. Po chwili zaciągnął ją do jakiegoś kąta i z ożywieniem zaczął przedstawiać jej tezy swojej pracy doktorskiej oraz przekonywać, że nadeszła już pora, by w jej gazecie zaczęto zamieszczać poważne artykuły polityczne.

— Chyba żartujesz, mój drogi — stwierdziła Belinda. — W moim dziale debata polityczna koncentruje się na tym, czy Cherie nosi normalne majtki, czy stringi.

— Mogę zdobyć dla ciebie tę informację — odparł rudzielec, rzucając jej pożądlive spojrzenie zza okularów. — Znam bardzo dobrze Cherie. I Tony'ego. A także Alastaira. Ale w zamian sam chciałbym zagościć na waszych łamach.

— To da się załatwić — zamruczała Belinda, wysuwając ku niemu swoje ogromne piersi.

Siedząc na nim okrakiem tej nocy, usiłowała nie zwracać uwagi na okruchy grzanek w pościeli i ogólne zaniedbanie mieszkania. Nie miał nawet automatycznej sekretarki! Ale miejmy nadzieję, pomyślała, mnąc i cisnąc Siona jak wielka ciężarówka, że wszystko to jest warte *Przerwy na herbatę* z Cherie. Jeśli to nie przekona Kevina Graysona, naczelnego redaktora „Globe”, że należy ją awansować, nic go już do tego nie skłoni. Kolejka po herbatę posunęła się do przodu.

— A tak nawiasem, załatwiłeś mi już wywiad z Cherie? — zapytała konspiracyjnym szeptem swojego towarzysza — nigdy przecież nie wiadomo, kto podsłuchuje — udając, że zastanawia się nad wyborem między Cytrynowym Zesterem i Czerwonym Zingerem. — Miałeś się z nią widzieć wczoraj wieczorem.

— No tak, tylko coś mi nagle wyskoczyło — odparł Che. — Ale masz to jak w banku. Cherie zrobi dla mnie wszystko. Nawet jeśli jej mąż jest obśhnionym sukinsynem, który zdradził klasy pracujące naszego kraju. Z nim też mogę ci załatwić *Przerwę na kawę*.

— Na herbatę, kochanie, na herbatę — wycedziła Belinda

przez zaciśnięte zęby, bo przypomniało jej to, że według sondażu, przeprowadzonego wśród czytelników, *Przei~wa na kawę* byłaby tytułem zbyt ambitnym dla tej kolumny.

— Więc zobaczymy się dziś wieczór? — zapytał.

— A może jutro? — Belinda nie była pewna, czy po tak krótkim czasie zdoła znowu stawić czoło okrucinom z grzanek na łóżku.

— Nie, to niemożliwe. Wyjeżdżam... ee... na weekend na wieś.

— Jakież to strasznie mieszczańskie! — prychnęła Belinda.

— Więc jak? Chcesz się spotkać ze mną dziś wieczorem? — zapytał. Jego głos brzmiał wojowniczo.

Belinda westchnęła.

— Chyba tak — odparła niechętnie. — Zobaczymy się w moim klubie.

— Nie. Jest pełen zadowolonych z siebie ciot z mediów.

— Oczywiście, że jest pełen zadowolonych z siebie ciot z mediów.

Właśnie na tym to polega. Słuchaj, chłopczyku... jeszcze nikt nie zmienił świata, unikając Soho House.

Rozdział 5

— To gotowane jajko było pyszne, Janet — powiedziała z uśmiechem Grace, przerywając ciszę, która zapadła, gdy wszyscy usiedli. Prawdę mówiąc, panowała od chwili, kiedy ona i Sion przyjechali wczoraj wieczorem.

— Nie zdawałam sobie sprawy, że mówiąc o weekendzie na wsi, miałeś na myśli weekend z twoimi rodzicami — wyszeptała Grace, gdy zanieśli swoje bagaże do przydzielonego im małego pokoiku z podwójnym łóżkiem.

— Co masz przeciwko moim rodzicom? — warknął Sion, a jego blada twarz poczerwieniała z irytacji. — Chodzi ci o to, że nie są dyplomatami, szlachcicami czy kimś takim?

— Skądże — odparła szybko Grace, czując, że znowu zanosí się na bezsensowną kłótnię. Jeśli wyobrażenie Siona o wypadzie w wiejskie okolice to mały bliźniak na obrzeżu Kettering w dzielnicy Janavid, niech tak będzie.

— To ty chciałaś wyjechać na weekend — stwierdził Sion. Grace popatrzyła na niego. Oczywiście to znowu jej wina. Jakżeby inaczej?

— Po prostu chcieli cię poznać — mówił Sion, unosząc brwi, jakby nie miał pojęcia, dlaczego jego rodzice wyrazili takie życzenie. — I od wieków zawracali mi głowę, żebym

przyjechał. Pomyślałem więc, że upiekę trzy pieczenie przy jednym ogniu.

— To rzeczywiście bardzo oszczędne — mruknęła Grace, przypominając sobie, jak Sion na stacji St Paneras, nagle nie mogąc znaleźć swojego portfela, zmusił ją, by zapłaciła za bilety.

Przy śniadaniu matka Siona zapytała:

— Czyż mój nowy przyrząd do gotowania jajek nie jest wspaniały?

— Ten, który mi pokazałaś wczoraj wieczorem? — Janet z entuzjazmem potwierdzająco skinęła głową, ale Grace czuła na sobie podejrzliwe spojrzenie siedzącego naprzeciw niej Siona. — Ten w kształcie kury? — Rodzice Siona, jak się wydaje, byli beznadziejnie uzależnieni od zakupów urządzeń domowych w sprzedaży wysyłkowej i Grace poproszono, by obejrzała osłonkę na butelkę, zapobiegającą powstawaniu ohydnych lepkich kółek na kuchennym kredensie, robota do obierania i wydrążania jabłek oraz czegoś, co przypominało dużą probówkę z napisami „oliwa”, „ocet” i „musztarda” na boku.

— Wystarczy dodać wszystkie składniki i potrząsnąć — powiedziała Janet drżącym z podniecenia głosem, gdy demonstrowała ostatnie urządzenie — i robi się świetny sos do sałaty.

— Pokazałaś mi też Cudownego Kucharza — uśmiechnęła się do niej Grace, ignorując pełne irytacji spojrzenie Siona. Przecież robiła, co mogła. — To takie naczynie z pokrywką, które skupia żar, dzięki czemu wszystko gotuje się jednocześnie od góry i od dołu, prawda?

— Zachowując aromat i skracając czas gotowania — dodała Janet.

— I pamiętaj o opiekaczu do bekonu — mruknął David, ojciec Siona, unosząc wzrok znad programu radiowego. — Jest naprawdę wspaniały. Żeliwny. Przyciska bekon do patelni, by się z nią stykał na jak najszerzej powierzchni. Działa cuda.

Napisałem nawet do dyrektora działu sprzedaży katalogu, by im podziękować. Wydrukowali mój list, Simonie — oświadczył z dumą, a syn zamrugał nerwowo, gdy ojciec wymienił jego prawdziwe imię.

— Nie myśl, że nic nie zauważyłem — warknął później, kiedy Janet zniknęła w ogrodzie Janavid ze swoimi narzędziami ogrodniczymi, David wypełnił wiadro wodą, którą zamierzał umyć samochód, a on i Grace wsiedli do autobusu, jadącego do Kettering.

— Czego nie zauważyłeś?

— Tylko udawałaś, że to cię interesuje. Obserwowałem cię, gdy matka czytała ten kawałek z katalogu o maszynie do prażenia kukurydzy, „przyszydzającej wielką miskę beztłuszczowej prażonej kukurydzy, którą naje się cała rodzina przy oglądaniu ulubionego serialu”.

— Wcale nie udawałam — zaprotestowała Grace. — Przyrząd do robienia chipsów też mi się podobał.

— Ale nabijałaś się z tego automatu do masła.

— Nic podobnego. — Grace od razu doceniła zalety patentowanego przyrządu do karbowania masła. Gennaro, szef kuchni w konsulacie, nigdy nie potrafił uzyskać tego efektu. Coś, co wymagałoby tylko, by „przycisnąć podstawę, po czym wyskakuje idealnie karbowane masło”, oszczędziłoby lady Armiger zdenerwowania na dyplomatycznych przyjęciach.

— I bardzo mi się podobała maszynka do ubijania mleka na pianę, choć nie wiem, czy to takie potrzebne.

Grace rzeczywiście zastanawiała się, po co Janet maszynka do ubijania mleka na pianę, skoro jej syn jest tak wojowniczy, że gdyby się do tego zabrał, ubiłby mleko nie tylko na pianę, ale i na masło.

— Dlaczego tak mówisz? — zapytała po chwili. Naprawdę polubiłam twoich rodziców.

— Akurat — burknął. — Jeszcze jak. I pewnie jesteś zachwycona ich domem, co? Z pewnością jest podobny do tego, w którym sama wyrosłaś.

Grace westchnęła.

— Naprawdę ich polubiłam — przekonywała Siona. — Nie rozumiem tylko, dlaczego czujesz się nimi taki zażenowany. —

O Boże... Nie chciała, żeby to tak wyszło. Ale w końcu podczas tego weekendu mieli omówić swoje problemy, czyż nie?

— Zażenowany?! — Twarz Siona poczerwieniała z wściekłości. — Dlaczego, do diabła, miałbym się czuć nimi zażenowany'?

— Nie mam pojęcia. Wiem jednak, że jesteś.

W końcu to on, nie ona, mrugał zdenerwowany poprzedniego wieczoru, gdy Janet wyciągnęła gazetę telewizyjną i zaczęła zaznaczać różowym flamastrem programy, które zamierzała obejrzeć. Później David zrobił to samo flamastrem niebieskim.

1 to Sion przewracał oczami, gdy David przed pójściem spać poprosił ich oboje, by używali ubikacji na dole, „gdy zamierzają zrobić coś większego”, bo szum wody na górze budzi Janet.

— 1 właściwie dlaczego — zapytała Grace, uważając, że przynajmniej jedno z nich powinno zacząć mówić szczerze, bo przecież po to tu przyjechali — zmieniłeś imię z Simona na Siona? Twoja mama zupełnie nie wie, jak się ma do ciebie zwracać.

Sion z wściekłością maszerował po chodniku. Wystraszona Grace, myśląc, że być może była zbyt szczerą — pobiegła za nim i chwytając go za rękaw, zatrzymała i odwróciła twarzą do siebie.

— O co chodzi? — zapytała łagodnie.

Wiedziała już, że o coś poważnego. Nie doszło do najważniejszego wydarzenia weekendu — nie było seksu. Nie było walenia o ścianę granatowym podglówkiem, obszytym sztucznym materiałem, w porywie namiętności, której smaczku dodawała bliskość rodziców. Grace położyła się do łóżka niemal obolała z oczekiwania i obudziła mniej więcej w tym samym stanie. Leżała na wąskim, pojedynczym łóżku, wyczulona na każdy ruch ciała Siona, przewracającego się z boku na bok w poliestrowej pościeli tuż obok. Ale nie rozległ się nagły

szept, nie wydarzył się spodziewany skok na oświetlone świecą przykrycie, zapowiadający zakazaną ekstazę. Z pewnością to przede wszystkim wymagało wyjaśnienia. Możliwość, że Sion dowiedział się o Henrym Moonie, odrzuciła. Jedynym łącznikiem między Sionem i światem wydawniczym była ona. Więc na czym polega problem? — Chyba nie jesteś jeszcze na mnie zły za tę historię z ubikacją? — sondowała.

Przed tygodniem Sion, najwyraźniej zrzucając z serca pretensję, którą od dawna żywił, poinformował Grace, że nazywanie ubikacji toaletą jest elitaryzmem. Oświadczył także, że jej rewolucyjnym obowiązkiem jest siedzenie w pokoju dziennym, nie w bawialni, i to na kanapie, nie na sofie. Od tej pory Grace niemal każdym słowem narażała się na wybuch wściekłości Siona, bo wszystko, co dotyczyło wolnych rodników albo materii organicznej, Sion uważał za spisek burżuazyjno-kapitalistyczny. — Nie bądź taka frywolna — warknął. Grace spróbowała jeszcze raz: — Chodzi o moją pracę?

_ A co mnie to obchodzi, że zamierzasz marnować czas, zaspokajając zachcianki dekadentki, dawno przebrzmiałej elity? — burknął Sion.

— Pracując dla Hatto? O to ci chodzi? — spytała zdumiona Grace. — To mała firma...

— Cały kapitalizm, a w szczególności wielonarodowa kon-glomeracja jego korporacyjnego oblicza, szkodzi zarówno kulturze, jak i demokracji — wyrecytował Sion.

— Z pewnością masz rację — odparła zirytowana Grace — ale co jest choćby odrobinę kapitalistycznego w tym wydawnictwie? Z tego, co wiem, nawet nie osiągają zysku.

_ To tobie tak mówią. Taka jest klasa rządząca. Opowiadają ci banialuki, a ty im wierzysz.

Myśl, że Adam Knight mógłby chytrze w tajemnicy zgarniać słone zyski, sprawiła, że Grace omal nie wybuchnęła śmiechem.

Ostatnio ręce tak mu się trzęsły, że ledwo zdołał posolić sobie lunch.

— I wydają bzdety — dodał Sion.

Choć był to jeden z niewielu punktów, co do których, jak wiedziała Grace, Ellie zgodziłaby się z Sionem, poczuła się zmuszona bronić swych pracodawców.

— Ależ Siome, przecież bardzo chciałeś, żeby Hatto opublikowało twoją pracę doktorską. Pytałeś mnie chyba ze sto razy, czy Adam przeczytał już *Dlaczego nowa Partia Pracy to sukinsyny*.

Gdy pięknie wykrojone nozdrza Siona zafalowały, Grace zorientowała się, że dotknęła czułego punktu, i zamilkła. Sionowi na pewno nie poprawi humoru przypomnienie, że wydawnictwo nie zainteresowało się jego pracą.

— Chodzi ci o sprzątaczkę, tak'? Jesteś zły, bo zatrudniłam sprzątaczkę? Sion, idąc szybko przodem po smaganych deszczem chodnikach, odwrócił się, rzucając jej gniewne spojrzenie.

— Będzie cudownie — przekonywała go Grace. — Ta kobieta na pewno ci się spodoba. — Maria miała zacząć w poniedziałek i Grace nie mogła się już wycofać.

— Spodoba mi się? — Twarz Siona wykrzywiła irytacja. — To, że istnienie klasy upośledzonej przedłuża się z powodu wykorzystywania ludzi przez burżuazję?

Grace z przygnębieniem uświadomiła sobie, że ta rozmowa prowadzi donikąd. Czyżby coś pominęła? Może nie chciała dostrzec jakichś oznak... podobnie jak Sion ciągle zapominał zabrać plakaty z napisem „Poprzyj strajkujących (tu wypełnić)”, które kiedyś zostawił u niej w przedpokoju'?

— Czy jest ktoś inny? — zapytała wreszcie. Tylko to jej pozostało. Sion popatrzył na nią. Na jego przystojnej twarzy malowała się irytacja, połączona z pogardą.

— Owszem — odparł szyderczo. — Dmucham ambitną nimfomankę, dziwkę z wielkimi cyckami, która mnie pragnie ze względu na moje znajomości polityczne.

Przygnębienie Grace nagle gdzieś znikło i jej ramiona zadrżały.

— Och, Sionie...

Przynajmniej, mimo wszystko, nadal potrafił ją rozśmieszyć.

— Jaka szkoda, że musicie już jechać — powiedziała Janet następnego dnia, gdy czekali na Siona przed Janavid. — Na pewno nie możecie zostać nawet na lunch?

— Bardzo mi przykro — wybąkała przepraszająco Grace — ale Sion ma jakieś ważne spotkanie. Coś, co dotyczy Cherie... o ile dobrze zrozumiałam. Na pewno wam o tym powie, jak przyjdzie. — Spojrzała zirytowana na zasłonięte siatkową firanką okno pokoju, w którym Sion przynajmniej od dwudziestu minut rozmawiał przez komórkę.

Z zakłopotaniem uprzytomniła sobie, że przed wyjściem nie zdążyła sprawdzić, czy nie zostawiła w łóżku majtek.

— Myślałam, że spróbujecie moich placków z jabłkami — westchnęła Janet. — Ten piekarski szpikulec to prawdziwe чудо.

Grace ledwo się powstrzymała, by nie powiedzieć, że bardzo ją to cieszy. Wsiadła do protona Davida i zapięła pas.

Janet wsunęła głowę przez uchylone okienko z przydymionego szkła i pospiesznie cmoknęła ją w policzek.

— Mam nadzieję, że niedługo cię zobaczymy — dodała z uśmiechem. — Wiesz... — jej głos opadł do szeptu — ...jesteś najmilszą dziewczyną, jaką Simon... to znaczy Sion — poprawiła się pospiesznie, gdy David, siedzący w fotelu kierowcy, uniósł brwi — kiedykolwiek miał.

Absolutnie najmilszą. Oboje z Davidem mamy nadzieję...

— Simon! — zawołał David, spoglądając na Janavid. — Gdzie ten chłopak się podziewa? — mruknął pod nosem zirytowany.

— Och, chwileczkę. Mam coś dla was — oświadczyła nagle Janet i podreptała do domu.

Gdy tylko weszła do środka przez frontowe drzwi, z bocznych wyłonił się Sion i wsiadł do samochodu.

Janet wybiegła z domu, niosąc brązową plastikową tacę.

— Proszę, weź to. — Wsunęła tacę przez okno i opuściła ją na podolek Grace. — Nie chciałam, żebyście jechali bez porządnego posiłku — dodała. — Pomyślałam, że zjecie to po drodze.

Grace spojrzała ze zdumieniem na smażoną rybę z frytkami, z plasterkami cytryny po bokach.

— I placek z jabłkami na deser — dodała Janet, wciskając papierową torbę do schowka. — A, i jeszcze to. — Pogrzebała w kieszeni swego fartucha i rzuciła na tacę garść maleńkich pojemniczków. Pewnie to sól, ocet i ketchup, pozabierane z kawiarni, pubów i pudełek z jedzeniem w samolotach, pomyślała Grace. Zauważyła już, że szafki w łazience w Janavid pełne były miniaturowych butelek szamponów, żeli pod prysznic i nawilżaczy z nazwami różnych hoteli.

— To też wam się przyda — powiedziała Janet, wręczając jej plastikowy nóż i widelec w plastikowym opakowaniu z napisem „British Airways”.

— Dzięki — wyjąkała Grace. — Ale naprawdę nie musiałaś zadawać sobie tyle trudu.

— Och, to nic takiego — odparła z promiennym uśmiechem Janet. — Mam taką samą tackę dla Siona. Poczekajcie, zaraz ją przyniosę z kuchni.

— Nie zawracaj sobie tym głowy — burknął jej syn.

— Sion ma rację — przytaknął David, niecierpliwie bębniąc okrytymi rudymi rękawiczkami dłońmi w kierownicę.

Janet uśmiechnęła się ponownie.

— Jedź ostrożnie — przykazała mężowi. — Nie chcę zbierać frytek z wycieraczek, kiedy wrócisz.

W następny poniedziałek wieczorem Grace nerwowo chodziła po mieszkaniu, czekając na Marię, która miała przyjść za dziesięć minut.

Usiłowała wcześniej zaprowadzić jakiś porządek, ale mieszkanie z pogardą odrzuciło jej wysiłki. Próby oczyszczenia lustra z warstw kurzu spowodowały jedynie, że na jego powierzchni utworzyły się wielkie wiry w stylu van Gogha, a ciemne plamy na dnie kuchennego zlewu nadal odcinały się głębokim brązem, szczególnie dobrze widocznym w bezlitosnym świetle górnej lampy. Spoglądając na gołą żarówkę, Grace przypomniała sobie, że przed paroma tygodniami zdjęła poplamiony tłuszczem i wypełniony muchami abażur, ale kiedy nie znalazła żadnych środków do czyszczenia, zapomniała zawiesić go z powrotem. Nie miała pojęcia, gdzie się teraz znajduje.

Ellie ma rację, mieszkam jak ostatni flejtuch, pomyślała. Okna były tak brudne, że nic przez nie nie było widać i prawdopodobnie narażała się na ryzyko teżca za każdym razem, gdy używała w kuchni porcelany, sztućców albo czegośkolwiek ze szkła. Jej nogi lepiły się do dawno niemytej podłogi w łazience, gdy weszła do niej i z lękiem zerknęła na obrośnięte brudem dno wanny. Kiedy patrzyła na zapaćkane lustro i skawaloną pastę do zębów za kurkami umywalki, zadźwięczał dzwonek u drzwi.

Ogarnęła ją panika i poczucie winy. Nie miała pojęcia, jak może wyglądać kobieta, którą życie doświadczyło tak jak Marię. Pewnie ma podkrążone oczy, pobmżdżone zmartwieniami czoło, zgarbione pod ciężarem trosk plecy i powykręcane od wieloletniej ciężkiej pracy ręce. Może zaproponuję jej po prostu, by usiadła, i dam jej filiżankę herbaty, pomyślała. Po tym wszystkim, co ta bidula przeszła, ostatnią rzeczą, na jaką by miała ochotę, byłoby doprowadzanie do porządku takiego zapuszczonego mieszkania.

Podeszła do drzwi. Gdy je otworzyła, ujrzała przed sobą atrakcyjną kobietę w dżinsowym ubranku, o jasnych włosach przetykanych błyszczącymi różowymi pasemkami, z przewieszoną przez ramię dużą torbą. Spojrzała na nią pytająco. Świadek Jehowy? Ankieterka?

— O co chodzi?

Kobieta uśmiechnęła się, odsłaniając wszystkie zęby.

— Jestem Mana. Przyszłam sprzątać dla pani. — Jej uśmiech przypominał jasny promień latarni morskiej, a wyobrażenia Grace nie mogły bardziej różnić się od rzeczywistości. Maria nie była bynajmniej przytłoczoną życiem kupką nieszczęścia, lecz zadbaną, promieniującą energią kobietą.

Grace zaprowadziła ją do kuchni. Maria pogrzebała w swojej torbie i wyjęła kilka ściereczek oraz butelek z naklejkami, na których widniały lśniące płytki podłogowe. Cały arsenał broni przeciwko ciemnym siłom brudu i kurzu, pomyślała Grace.

_ Wybielacz — powiedziała Maria, machając dużą plastikową butlą w jaskrawożółtym kolorze. — Jest doskonały. Bardzo mocny. — Na myśl, że cała ta chemia spłynie jej kanalizacją, Grace przełknęła nerwowo ślinę. Nie tak dawno pojawiły się w Tamizie łososie.

— Więc będzie pani sprzątać...

Maria skinęła głową i uśmiechnęła się. Grace zauważyła, że bluzka sprzątaczkki jest nieskazitelnie wyprasowana, i nagle szaleńczo zapragnęła, by jej ubrania wyglądały tak samo. Nie zdołała powstrzymać się przed wypowiedzeniem swego życzenia.

— Mm... Mario, czy zajmujesz się też prasowaniem?

Kobieta spojrzała na nią ze zdumieniem. No nie, pomyślała Grace.

Oczywiście, że nie zajmuje się prasowaniem. Nie wszystkie sprzątaczkki to robią.

— Pr-rasowaniem?

— Przepraszam — wymamrotała Grace. — Głupio, że w ogóle o to zapytałam.

— Oczywiście, że prasuję. A po co tu jestem?

Grace uśmiechnęła się promiennie. Jej oczom ukazał się wspaniały widok stosu uprasowanej bielizny. Pomyślała o kłębach pogniecionych koszul, wciśniętych na tył szafy. Ta kobieta już za siebie zapłaciła, stwierdziła. W jednej chwili potroiła całą jej garderobę.

— Teraz sypialnia — powiedziała Maria i przeszła przez

przedpokój. Rzuciła fachowym okiem na zmiętą pościel, którą Grace rano obejrzała i doszła do wniosku, że wytrzyma jeszcze tydzień. — Koniecznie trzeba ją zmienić.

Jej uwagę przyciągnął nagle jakiś przedmiot na nocnym stoliku i wyciągnęła po niego rękę. Grace uświadomiła sobie, że to Sion rzucający jajkami w księżniczkę Małgorzatę, oprawiona fotografia, którą dostała od niego na urodziny.

— Co to są? — zapytała Maria, przyglądając się zdjęciu. — Ten człowiek tutaj... — dodała, wbijając lśniący niebieski paznokieć w Siona. — On coś rzuca. Nie jest miły.

— To mój chłopak.

Maria popatrzyła na Grace, a potem znowu na fotografię.

— *Madam* Grace... On nie jest dobry, ten człowiek. Znam się na tych rzeczach.

Grace rzuciła jej spojrzenie pełne irytacji. Nasłuchiwała się już tego od matki i Ellie, nie musi jeszcze płacić sprzątacze za identyczne uwagi.

— Skąd znasz się na tych rzeczach? — zapytała, usiłując nadać swojemu głosowi rzeczowe brzmienie, jakby był to właściwy temat do rozmowy z poznaną przed pięcioma minutami kobietą, która miała być jej sprzątaczką.

— Moja rodzina — odparła Maria. — Moja babcia... ona wiedziała, jak rzucać uroki.

Grace znowu poczuła przyływ irytacji. Nie chciała żadnych sztuczek.

Pragnęła tylko mieć czyste mieszkanie, możliwie jak najmniejszym nakładem wysiłku. Mogła się domyślić, że nie będzie to takie proste.

Oparła ręce na biodrach. Trzeba pokazać tej kobiecie, kto tu rządzi.

— Hmm, Mario... — zaczęła, ale wypadło to mniej władczo, niż zamierzała.

— *Madame* Grace — przerwała jej Maria i popatrzyła na nią oczami rozszerzonymi z podniecenia. Jej ręce spoczywały na szczupłych biodrach. — Mam pomysł. Jeden z moich klientów to bardzo miły człowiek. Jest sam.

Grace usiłowała nie skrzywić się, kiedy wyobraziła sobie

mieszkających samotnie klientów Marii. Pewnie to podstarzali mężczyźni o wystających brzuchach i owłosionych plecach, którzy przez cały dzień siedzą przed telewizorami w zapap-ranych kamizelkach. Albo bezczelne typy z City, trzymające na nocnych stolikach sproszkowaną kokainę. Żaden z nich jej nie pociągał.

— Nie, dziękuję, Mario. Posłuchaj...

— Ale dlaczego? — Maria wydawała się szczerze zdumiona — Mój klient to bar-rdzo miły człowiek. A ten nie — wskazała palcem na fotografię Siona.

Grace poczuła, że serce w niej zamiera. Ellie chyba zapomniała powiedzieć, że Maria jest świrnięta. O Boże, w co ona się znowu wpakowała?

Rozdział 6

Belinda spojrzała na siedzącego naprzeciw niej aktora. Włączenie dyktafonu wydało jej się zbyt dużym wysiłkiem. Ale ten młody blondyn podobno zapowiadał się na wschodzącą gwiazdę telewizyjną, a ona potrzebowała czegoś do *Przerwy na herbatę*. W przeciwieństwie do Jima Friedlandera miał przynajmniej tę zaletę, że sięgał powyżej kolan. Gdyby tylko nie był tak rozpaczliwie wdzięczny za poproszenie go o wywiad... Belindę wprawiało to w zakłopotanie.

Zdobyła się wreszcie na naciśnięcie guzika puszczającego w ruch taśmę.

— A więc, Tony...

— Toby — powiedział młody człowiek przeproszającym tonem.

Belinda z irytacją przewróciła oczami. Najbardziej wkurzającą rzeczą u tych wszystkich przyszłych sław była ich fanaberyjna obsesja na punkcie żalospnych szczegółów.

— Może rzeczywiście brzmi to trochę jak Tony — dodał pospiesznie aktor, usiłując wybrnąć z niezręcznej sytuacji. — To zrozumiałe, że się pani pomyliło.

— A więc? — warknęła Belinda, kierując ku niemu mikrofon, jakby to była broń. — Proszę mówić. Niech mi pan powie — dodała ze znużoną rezygnacją — jak wyglądają przedśionki sławy.

Oczy blondyna zabłyśły.

— Och, cudownie. Zawsze miałem nadzieję, że telewizja coś mi da, ale nie sądziłem, że aż tyle. W ciągu ostatnich kilku tygodni wystąpiłem w dwóch programach, wręczałem nagrodę młodzieżową razem z Jonathanem Coem i brałem udział w otwarciu dwóch sklepów.

Zdumiewające, prawda?

Belinda zamrużyła, zaskoczona dokładnością tego streszczenia najgorszych ostatnich telewizyjnych wydarzeń.

— Proszę mi opowiedzieć o pańskiej nowej dużej roli — poleciła. —

Niestety nie widziałam materiałów prasowych... — Wprawdzie przedstawicielka Toby'ego przesłała jej kilka kopii faksem, e-mailem oraz pocztą, ale Belinda nie potrafiła się zmusić, by rzucić na nie okiem.

— Gra tam również Dawn, tak? Prawdę mówiąc, nigdy nie przepadałam za komediami z grubymi dziewczynami w roli głównej.

— Och, to nie jest komedia. — Z oczu młodego człowieka wyczytała obawa, by jej nie obrazić. — To raczej dramat. Sporo w nim przemocy.

Grupa mężczyzn przywiązuje mnie do słupa i...

Belinda wyprostowała się, zadzierając wyżej spódnicę, by jeszcze bardziej odsłonić udo. Robiła to bardziej z przyzwyczajenia niż z uwodzicielskich zamiarów — Toby nie był w jej typie. Był za chudy, miał zbyt jasne włosy i był za mało sławny.

Ale przywiązanie do słupa przez grupę mężczyzn zabrzmiało interesująco. Historia gwałtu homoseksualnego? Dawn French w takich filmach me grywała. Raczej nie przypomina to *Wikarego z Dibley*.

— Zapowiada się dość niezwykle — zauważyła Belinda. Zmrużyła swoje małe, mocno umalowane oczka. — Będą tam jakieś mundury?

— O tak, mnóstwo — rozpromienił się Toby.

— A zwierzęta'?

Na twarzy Toby'ego pojawił się wyraz wątpliwości.

— Jest kilka zamrożonych szczurów. Bardzo nowoczesne.

— Kiedy się je wrzuca w błoto, puchną i podskakują — dodał Toby. — Wygląda to niesamowicie realistycznie i przerażająco.

Belinda z aprobatą skinęła głową.

— A w którym momencie pojawia się Dawn? Aktor odwrócił wzrok.

— Gdzieś tak pod koniec.

— I wtedy zaczyna się akcja komediowa, tak? Kiedy wkracza Dawn?

— Hm... niezupełnie komediowa. — Toby miał wyraźnie zakłopotaną minę.

— A jak się nazywa ten film? — zapytała Belinda, nabierając nagle podejrzeń.

— *Egzekucja o świcie* — odparł Toby. — Gram dezertera, który...

Belinda wróciła do redakcji „Globe”, czując się bardziej spięta niż zwykle. „Zdrowy rozsądek? Jaki zdrowy rozsądek?” — dopytywał się przez telefon dokumentalista z działu reklamy, gdy przechodziła. Kiedy mijiała biurko działu mody, usłyszała śpiewny głos Ticky Sinclair, redaktorki kolumny poświęconej modzie, prowadzącej ożywioną dyskusję z Warrenem Streetem, zastępcą naczelnego.

— Słuchaj, bo nie będę tego powtarzał — burczał Street nosowym głosem. — Naczelny chce mieć materiał o tym, że garnitury damskie wracają do łask.

— Ale przecież wiesz, że nie możemy tego zrobić — odparła Ticky, machając swoimi długimi rękami.

— W takim razie jeszcze raz powtórzę: naczelny chce mieć materiał o tym, że garnitury damskie znowu są modne.

— Ale nie są. Nosiło się je... — Ticky przewróciła oczami — ...w zeszłym sezonie.

— To nieważne. Liczy się to, że żona naczelnego chce je dalej nosić.

Ticky westchnęła i zarzuciła włosy na chude ramiona, z których jedno było całkowicie odsłonięte, a drugie przykryte skośnie ściętym nylonowym topem w paski.

— Ale to przebrzmiała sprawa. Zupełnie nie na czasie. Nikt, kto ma jakie takie pojęcie o modzie, nie włoży tego.

Oczy Streeta błysnęły gniewnie.

— Jeśli „Globe” powiada, że są na czasie — nachmurzył się — to są. — Zadzwoił jego pager i Street natychmiast wyciągnął go z kieszeni. — Słuchaj, muszę skończyć *Te paskudztwa, które zostawiają po sobie psy* — powiedział do Ticky. — Po prostu załatw to tak, jak ci mówiłem, zgoda? Ticky rzuciła za nim wściekłe spojrzenie, a Belinda uśmiechnęła się do siebie. Gdy widziała, że komuś coś nie idzie, czuła się lepiej. Przeszła obok biurka zastępcy naczelnego.

— ...ale ten materiał jest trochę niejasny — mówiła zmartwionym głosem do jakiegoś autora Laura, pierwsza zastępczyni naczelnego. — Na przykład skąd mamy wiedzieć, że to mówi córka, a nie pies? A „gatki” lepiej zmienić na „spodnie”. „Zdjąłem gatki” nie brzmi zbyt dobrze w gazecie dla całej rodziny...

Przy biurku działu *Z życia* Fran rozmawiała z redaktorką działu zdrowia, Aurelią Potter, zwaną Doniczką. Belinda pogardliwie wykrzywiła usta. Uważała Doniczkę za kompletnie świrniętą. Choć przydzielono jej tak powszechnie pożądane przez pracowników miejsce do parkowania, Aurelia z uporem przyjeżdżała do redakcji na starodawnym rowerze, pokrytym hasłami skierowanymi przeciwko ogólnoświatowym organizacjom handlowym. Potem brała prysznic i smarowała się miksturą sporządzoną z soli, cukru, miodu i oleju konopnego, która zdaniem Belindy wydawała się bardziej jadalna niż cokolwiek, o czym pisano na kolumnach „Globe”, poświęconych kuchni.

— *I Ching* tłumaczy wszelkie zagadki — mówiła Doniczka. — Jutrzejszy artykuł wyjaśnia na przykład, że ludzie, którzy czują niechęć do alkoholu, mogą mieć do niego taki stosunek

dlatego, że w poprzednim życiu byli w związku z kimś z problemem alkoholowym.

— Albo w tym życiu — powiedziała Belinda, uśmiechając się słodko do Fran, która zrobiła wściekłą minę. Ale czy to jej wina, że Fran ma kompletnie bezużytecznego męża, który całe życie spędza na użalaniu się nad sobą? Nawet sama Fran nie chciała ryzykować zamówienia u niego materiału. Zresztą czego można się spodziewać po kimś, kto nazywa się Inigo Thongs-bridge?

Kiedy dotarła wreszcie do swojego biurka, bez entuzjazmu popatrzyła na stos artykułów prasowych i zaproszeń, które codziennie jej przysyłano w nadziei, że jakiś aktor, film, program telewizyjny lub marka margaryny zainteresują prowadzącą *Przerwę na herbatę*. Na samej górze leżało zaproszenie na promocję produktów z tofu i innej żywności wegetariańskiej. To załatwia całą tę cholerną sprawę, pomyślała Belinda, przedzierając je na połowę.

Rzuciła z pogardą torebkę na stosik, rozsypując go na cztery wiatry, płynące z klimatyzacji.

— Co pani robi? — jęknęła Margaret, sekretarka działu *Z życia*. — Spędziłam mnóstwo czasu, sortując te materiały i układając je.

Belinda rzuciła jej spojrzenie pełne głębokiej niechęci. Tę niechęć, jak doskonale wiedziała, Margaret odwzajemniała z procentem i wyrażała ją w różny sposób. Adresowane do Belindy faksy często ginęły, kwity z jej wydatkami zawsze kwestionowano, a telefonujących ze skargami na wywiady, które przeprowadzała, kierowano nie do niej czy Fran, lecz bezpośrednio do naczelnego, Kevina Graysona.

Z odrazą sięgnęła do materiałów prasowych. Przypominało to nurkowanie w zimnym stawie, ale gdzieś tu musi być przecież coś, co da się wykorzystać w *Przerwie na herbatę*.

„W nowym serialu telewizyjnym *Ogród uciech Charliego* panna Dimmock nakłania bandę złodziejasków do założenia ogrodu w stylu prowansalskim przy wschodniej ścianie muru,

okalającego dom poprawczy, w którym odbywają karę młodociani przestępcy...".

Zgrzytnęła zębami i cisnęła pierwszy materiał do kosza. Wzięła drugi.

Wyścig gwiazd w zakładaniu ogrodu. „Pod kierunkiem Daviny McCall i Normana Wisdoma dwa zespoły mają w ciągu 30 minut przekształcić kawałek zaniedbanej ziemi pod Rother-ham...".

Do diabła z nimi, pomyślała Belinda, patrząc, jak kulka papieru przecina powietrze.

Piekielni ogrodnicy. „Wojny międzysąsiedzkie w małej wiosce w Derbyshire stają się coraz bardziej zażarte, ponieważ mieszkanka zachodniej części hrabstwa York zaczęła sadzić miniaturowe rośliny w skalnym ogrodzie na niezwykle kwaśnej glebie...".

Pod zapowiedziami telewizyjnymi znajdowały się notki o wchodzących na ekrany filmach. Belinda przejrzała je. Hollywood to nie było.

Oczywiście Mo Mills dostały się wszystkie rodzyнки.

Bracia. „Naziści porywają mistrza bokserskiego i zastępują go jego złym bratem". Nie, nie ma mowy.

Pieśń voodoo. „Kompozytor muzyki klasycznej podczas wizyty u swojego przyjaciela w dżungli zostaje zaatakowany przez boa dusiciela.

Do zdrowia przywraca go córka wodza miejscowego plemienia, dając mu jednocześnie inspirację do napisania koncertu dżungli...". Chyba też nie.

Zabójczy pocałunek. „Konsultantka do spraw urody zostaje bez swojej wiedzy wytypowana do zabicia kandydata na prezydenta za pomocą zatrutej szminki...". Zabójcza bzdura, pomyślała Belinda.

Cyrk. „Odwracając typowy bieg akcji, kiedy to bohater ucieka z domu, by pracować w cyrku, występujący na koniu klaun chyłkiem wyjeżdża do miasta, by zostać maklerem, w końcu jednak wraca, by ratować rodzinny numer...". Nie, to też do niczego.

Opętany osioł. „Pewien człowiek wprowadza się do nawiedzanego przez duchy domu, gdzie w jego osła wstępuje demon zwany kapitanem Howdy...”. A niech to szlag, syknęła Belinda, wrzucając kapitana Howdy'ego do kosza i zabierając się do omówień książek.

Z fretką w spodniach, Phil Plant, wyd. Parrot, cena 5.99 funta. „W tej książce, będącej dopełnieniem *Grając z Etiopczykami w bingo*, znany komik i absolwent Oksfordu opisuje przygody, jakie przeżył, podróżując wzdłuż i wszerz Anglii w towarzystwie małego ssaka...”. Nie na mojej kolumnie, o nie, pomyślała Belinda, zgniatając Planta i jego ssaka w ciasny kłęb.

Szampon i seks, brzmiał tytuł następnego omówienia, wydrukowanego czerwoną czcionką na różowym papierze. „Gdy przebiegł palcami po jej włosach, zapragnęła poczuć dotyk jego języ...”. Jezu, jęknęła w duchu Belinda. *Przyczółek,* Jenny Bristols, Ptarmigan, cena 5.99 funta. „W tej niezwykle zabawnej książce, będącej nawiązaniem do zeszłorocznego bestsellera *Śmierć kliniczna*, który odniósł oszałamiający sukces, Bristols przygląda się środowisku fryzjerskiemu, pełnemu mrocznych żądz. W tej tętniącej życiem opowieści o miłosnym rombie, mającym za tło salon w Mayfair, Jess gnębi swoimi ciętymi uwagami frywolną Rosie, podczas gdy Matt bezradnie snuje się za Cairo, która raz po raz odrzuca jego zaloty. Tymczasem Zak przeczesuje swoją przeszłość w poszukiwaniu odpowiedzi na nękające go pytania. Czy doprowadzi to do tragicznego rozstania?”.

Do omówienia dołączona była mała lśniąca pocztówka, na której widniała neonoworóżowa suszarka na niebieskim tle. Belinda domyśliła się, że to zaproszenie na przyjęcie reklamujące świeżo opublikowany *Przyczółek*. „Nagi lunch” — głosiło zawiadomienie, podając adres klubu w Soho, w którym odbywały się tańce przy rurze. Do zaproszenia przyczepiono informację dotyczącą stroju: „możliwie jak najbardziej skąpy” — oraz neonoworóżowe stringi. Belinda okręciła świetlisty nylon wokół wskazującego palca i cisnęła go do kosza.

Następne omówienie nie mogło bardziej różnić się od poprzedniego. Żadnych lakierowanych pocztówek czy różowych stringów. Wydrukowano je czarną czcionką na białym papierze, bez ozdóbek, był tylko znak firmowy — dwa połączone cylindry. Belinda spojrzała na nazwę wydawnictwa i prychnęła. Hatto & Hatto. Było powszechnie wiadomo, że nie mają pensa przy duszy. I nic dziwnego, skoro wydają książki, których nikt nie chce czytać.

Henry Moon, *Ssanie kamieni*, wyd. Hatto & Hatto, twarda oprawa, cena 12.99 funta. „Marzenia, dramat i dyzenteria, ostatni z podróżników dżentelmenów mierzy się z wielkim wyzwaniem. Odkrywcza podróż w poszukiwaniu zaginionego ludu...”. Belinda ziewnęła. Jeśli o nią chodzi, wcale nie musi zostać odnaleziony. Ta cholerna redaktorka z działu reklamy Hatto & Hatto nagabywała ją w sprawie tego tytułu już z pięć razy. Czemu nie może pojąć, że jeśli Belinda Black mówi „nie”, oznacza to „nie”? Więcej, oznaczało to: „nie, nigdy, przenigdy — i niech cię diabli wezmą razem z tą książką”. Wzięła następne omówienie. Znowu te cholerne cylindry...

Euphemia Ogden, *Nasza mama*, wyd. Hatto & Hatto, twarda oprawa, cena 12.99 funta. Hatto wspaniale dobiera sobie autorów, pomyślała zgryźliwie Belinda, spoglądając na leżący przed nią tekst. „Wzruszająca opowieść o dzieciństwie, spędzonym w ubogiej robotniczej rodzinie w Newcastle...”. Biedna, robotnicza i w dodatku jeszcze w Newcastle? Belinda zastanawiała się, czy istnieją jakiegokolwiek trzy inne słowa, zdolne ją bardziej odrzucić. Czytała jednak dalej: „Od dnia, w którym Fanny przyszła na świat jako jedno z trzynaściorga dzieci jednonogiego górnika, wiedziała, że zostanie pisarką...”.

Gdy *Nasza mama* dołączyła do poprzednich kartek w przepelnionym już koszu na śmieci, zostało tylko jedno omówienie. A niech to diabli, pomyślała Belinda. Rozpaczliwie potrzebowała czegoś do *Przerwy na herbatę*. Czy to się nada? Pewnie nie, uznała, ponownie rozpoznając znak Hatto & Hatto.

Lady Cylindria Slaughter, *Serwetki i krewetki*, wyd. Hatto & Hatto, twarda oprawa, cena 12.99 funta. „Opisując rozmaite sytuacje, od spotkania z królową po rozmowy ze śmieciarzami, ten nieodzowny podręcznik dobrych manier osiągnął już trzecie wydanie...”. Ta książka, pomyślała Belinda, wznosząc oczy ku sufitowi, na którym zainstalowano rząd małych reflektorków, rozacza przed człowiekiem równie szerokie perspektywy jak ślepy zaułek. Spojrzała na omówienie dziełka lady Cylindrii ponurym wzrokiem. „Zastanawialiście się kiedyś, jak zwracać się do arcybiskupa?”.

Westchnęła ciężko. Zastanawialiście się kiedyś, jak wypełnić kolumnę w gazecie? W przypiływie desperacji uznała, że musi spróbować coś z tego wydobyć. Uwielbieniu naczelnego dla sław mógł dorównać tylko jego podziw dla elegancji i szyku. „Jeśli chcesz dokładniej poznać treść książki, zadzwoń do Ellie Renton z Hatto & Hatto”. Belinda z wściekłym mruknięciem podniosła słuchawkę.

Kręcąc pulchnym zadkiem, Euphemia Ogden wcisnęła się na skórzany stołek w barze Sheekeya i żarłocznie przejrzała kartę dań. Zamówiła tuzin ostryg z Colchesteru i taką samą liczbę langust, po czym stwierdziła, że jest niewolnicą swego metabolizmu.

— Muszę jeść ryby, ryby i jeszcze raz ryby — oświadczyła. — Jak najświeższe i jak najlepsze. Nic innego nie odpowiada mojemu organizmowi... Szampan.

Grace domyśliła się, że to zamówienie, a nie oznajmienie, w czym pisarka gustuje. Pojął to na szczęście również barman i niebawem przed jej gościem pojawiły się dwa kieliszki z bąbelkami.

— Od razu mi lepiej — stwierdziła Euphemia, wychylając pierwszy i natychmiast chwytając drugi. Barman mrugnął do Grace i nappełnił następny kieliszek.

— Podoba się pani okładka? — zapytała Grace.

Biorąc pod uwagę, że większość ocen dzieła Euphemii była dość niepocholebna, Grace uznała, że wykonała kawał dobrej roboty, wybierając cytaty do „pochwał dla autorki” na tył okładki *Naszej mamy*. Według niektórych opinii książka była „mroczna i pokręcona”, co, jak Grace mgliście podejrzewała, w języku recenzentów było synonimem „chały”, podobnie jak u autorów nekrologów „barwna postać” oznacza homoseksualistę. Ale nie miała wyboru.

„To niezwykle, a nawet zadziwiające, że jakiegokolwiek wydawnictwo dało się namówić do opublikowania takiej bzdury” — napisano w „Guardianie” na kolumnach poświęconych omówieniom książek. Można to było łatwo przekształcić i wykorzystać. „Niezwykłe” — głosiła okładka *Naszej mamy*. Nie było jednak cytatu z „Independent”. Czytając ocenę, jakie to pismo wystawiło dziełu Euphemii, Grace zastanawiała się, czy starczy jej śmiałości, by opuścić drugie, trzecie, czwarte, piąte i szóste słowo z recenzji, która brzmiała: „Niewiarygodne, jak zła jest ta książka”. Zdecydowała, że nie.

Przypatrywała się Euphemii Ogden, usiłując odgadnąć, ile pisarka ma lat. A dokładniej, o ile więcej ponad czterdzieści pięć, które podają jej dane biograficzne.

Euphemia od stóp do głów ubrana była na czerwono i miała władczy wyraz twarzy. Dwoje podejrzliwych, blisko osadzonych oczu spoglądało spod gęstych brwi u nasady długiego, wydatnego nosa. Włosy, kunsztownie pofalowane, lśniły czerwonawym odcieniem, który Ellie nazywała klimakterycznym kasztanem, a podbródek opadał w dół, przechodząc w tłuste podgardle. Szminka w kolorze fuksji gryzła się z cynobrowym kostiumem o złotych guzikach, który obciskał talię autorki ciaśniej niż nić nadziewaną przepiórkę, przygotowaną do upieczenia.

— Co z okładką? — zapytała ponownie Grace. Jej zdaniem umieszczona na niej ilustracja, przedstawiająca potężną kobietę w lokówkach, wyglądającą z czegoś, co przypominało wygodkę, nie należała do najlepszych. Wolą ją jednak od ponurej

dziewczyny we wzorzystej chustce na głowie, która zdobiła poprzedni płód talentu Euphemii, *Polly jak pudding z groszku*.

Miała ciężki ranek. Towarzyszyła Euphemii podczas promocji *Naszej mamy*, co nie należało do najłatwiejszych zadań, ponieważ autorka odwiedzała księgarnie z wyniosłością, przy której Kleopatra sprawiałaby wrażenie osoby skromnej i nieśmiałej. A było to jeszcze przed incydentem z Jenny Bristols w dziale książek domu towarowego Selfridges.

— Hej, czy to Jackie? — zapytała wtedy Euphemia, udając, że nie poznaje koleżanki pisarki. Śmiała próba, pomyślała Grace, bo tamta siedziała przy stoliku, na którym piętrzył się stos powieści z rzucającym się w oczy nazwiskiem Jenny Bristols.

— Jak miło cię widzieć! — zawołała Jenny i Grace ze zdziwieniem stwierdziła, że zabrzmiało to raczej szczerze. — Tak się cieszę, wreszcie mogę podziękować ci za przyjemność, jaką dawałaś mi przez te wszystkie lata. Nie wiem po prostu, jak zdołałaś stworzyć tak wspaniałe...

Pierś Euphemii wezbrała jak u śpiewaka przed szczególnie trudną arią.

— Cóż... — powiedziała zadowolonym głosem — A która z nich najbardziej ci się spodobała? *Szyb węglowy Kate*? Czy mój bestseller, *Polly jak pudding z groszku*?

— Obawiam się, że żadnej nie czytałam — odparła Jenny, której ostatnia powieść w miękkiej oprawie piętrzyła się niczym Mont Blanc. — Miałam na myśli te cudowne żółte róże w twoim ogrodzie przed domem. Wiesz, mieszkam niedaleko od ciebie — dodała, po czym ze złośliwym uśmieszkiem wbiła koniuszek pióra w książkę i podpisała ją zamasyście. Serce Grace zabiło mocniej na to wspomnienie. Ale wraz z lunchem kończyły się jej obowiązki wobec Euphemii. Zresztą cztery kieliszki szampana i porcja ostryg, krewetek i langust, która przeciętnemu śmiertelnikowi starczyłaby na dwa tygodnie, na jakiś czas przytłumiły werwę mistrzyni pióra.

— A więc — zadudniła Euphemia, zatapiając srebrny widelczyk w drżącym ciałku ostrygi — załatwiła mi pani recenzję w „Daily Telegraph”?

Grace zaczerpnęła powietrza. Dzwoniono do niej z tej gazety, ale nie miała zamiaru mówić o tym Euphemii. „Chciałbym ją zapytać — powiedział szyderczo dziennikarz — co, jako pisarka znajdująca się znacznie niżej w porządku dziobania, sądzi

O ogromnych zaliczkach, dawanych autorkom takich książek jak *Wystrzał Sassy Jenkins*.

— A „Globe”? Rozmowa z Mo Mills?

— Próbowałam, Euphemio...

— Mam wspaniały pomysł na zdjęcie — oświadczyła Euphemia, nie zwracając na nią uwagi. — Mogłabym leżeć na swoim szezlongu z Fulhamem i Putney na kolanach. — Fulham

i Putney, jak pamiętała Grace, były pekińczykami Euphemii. — Naturalnie w krótkiej spódnicy. — Euphemia z zadowoleniem spojrzała na swoje łydki. — Zawsze miałam wspaniałe nogi. Zwłaszcza w kostkach — dodała, uśmiechając się głupawo. Grace z powątpiewaniem przyjrzała się grubym, białym, poznaczonym niebieskimi żyłkami i przypominającym ser pleśniowy połączeniem cielska, łączącym tułów Euphemii z jej ciasno obutymi małymi stopami.

— To rzeczywiście wspaniały pomysł, Euphemio. Ale niestety Mo... — zawahała się. „Nie chce mieć z tobą nic do czynienia” nie zabrzmiałoby dobrze. Należałoby znaleźć łagodniejsze określenie. — Mo ma umówione wywiady na następne dwa miesiące — powiedziała w końcu, modląc się w duchu, by to kłamstwo zostało jej wybaczone.

— W takim razie niech będzie ta głupia *Przerwa na herbatę*. Oczywiście jest to znacznie poniżej mojego poziomu, ale...

— Próbowałam to załatwić — wymamrotała Grace, mrugając nerwowo na wspomnienie kategorycznej odmowy redaktorki *Przerwy*. A przecież, ku wielkiemu zdziwieniu jej i Ellie, zaledwie wczoraj Belinda Black poprosiła o wywiad z lady

Cylindrią Slaughter, najmniej chętnie widzianą pisarką ze wszystkich autorów Hatto, może oprócz sir Greville'a Good-trousera, kawalera orderów za zasługi bojowe, którego autobiograficzna książka *Nasza dziarskośćprzeważyla — wspomnienia pilota myśliwca z II wojny światowej* nie sprzedawała się tak dobrze, jak oczekiwano. Może rzeczywiście jest jakaś nadzieja dla nich wszystkich, pomyślała Grace. Także dla sir Greville'a Goodtrousera. I może nawet dla niej.

— *Nasza mama* — oznajmiła Euphemia, odłamując z trzaskiem szczypce homara — musi znaleźć się na szczycie tej cholernej listy bestsellerów. Nie zgodzę się, by umieszczono ją poniżej Johna le Carre i jemu podobnych.

— Naturalnie, że nie — odparła Grace, z trudem powstrzymując chichot.

— Chcę, by *Nasza mama* w wynikach sprzedaży prześcignęła Patricję Cornwell. A nawet Johna Grishama.

— Słusznie.

— Musicie postarać się o jakąś prawdziwie twórczą reklamę — stwierdziła Euphemia. — W ostatnim wydaniu „Świata wydawniczego” przeczytałam, że Ptarmigan chwyta się najróżniejszych sposobów. Na przykład kiedyś pomalowali nagusa na złoto i puścili go wzdłuż linii autowej boiska w Twickenham, by zareklamować jakąś powieść. I zdobyli dla jej autora nagrodę.

— Doprawdy? — Grace pomyślała, że potrzebowałyby zgody co najmniej Kawalera Orderu Imperium Brytyjskiego, by zrobić coś podobnego z *Naszą mamą*.

— Dołączają też do książek różne prezenty — mówiła Euphemia, wyciągając swoimi tłustymi paluchami, przypominającymi pałeczki rybne, mięso z homara. — Na przykład neonoworóżowe stringi i kosze czekoladek.

Grace omal nie zakrztusiła się szampanem. Żadna z tych rzeczy nie wydała jej się odpowiednim dodatkiem do *Naszej mamy*.

— Wydają również przyjęcia promocyjne w klubach, w któ-

rych dziewczyny tańczą przy rurze — wybełkotała Euphemia z pełnymi ustami. — Na promocji książki o kuchni karaibskiej autorka miała na sobie tylko banany... kiście na obu piersiach i trzecią, przykrywającą podbrzusze.

Grace wzdrygnęła się, kiedy wyobraziła sobie tak przyodzianą Euphemię. — Ale za Ptarmiganem stoją amerykańskie pieniądze — odparła z rezerwą. — Hatto... — przez chwilę szukała odpowiedniego słowa — nie ma tak dobrej sytuacji finansowej. Jest spłukany.

— Te kobiety dostają dziewięćset tysięcy funtów za pierwsze powieści — zrzędziła Euphemia. — *Nasza mama* jest moją dziesiątą książką, więc powinnam dostać pięć milionów zaliczki.

Grace spojrzała na nią. Cokolwiek by sądzić o Euphemii, z pewnością nie brak jej było przebojowości. Trudno przyhamować nawet spokojną kobietę, a taka jak ona ma jeszcze większą siłę przebicia. Euphemia Ogden to prawdziwa rycząca czterdziestka. A może raczej sześćdziesiątka, pomyślała Grace, po raz kolejny zastanawiając się, ile pisarka ma naprawdę lat.

Wpychając jeszcze jednego skorupiaka w swoje różowopur-purowe usta, Euphemia złapała leżący na barze egzemplarz „Evening Standard”.

— Niech pani spojrzy na to — burknęła, stukając palcem w stronę poświęconą książkom. — Nawet tę głupią historię puszkowania żywności omówiono na większej przestrzeni niż *Naszą mamą*. — Spojrzała na Grace z pogardą. — Wy wszyscy razem nie potraficie zdobyć dla mnie nawet tyle miejsca, ile zajmuje jakaś cholerna narośl. — Opróżniła swój kieliszek i zsunęła się ze stołka. — Nie mogę marnować na panią więcej czasu. Jestem umówiona ze swoim trenerem.

Patrząc, jak Euphemia wybiega z restauracji, Grace usiłowała sobie wyobrazić, co też takiego ta kobieta może trenować. Jakakolwiek dyscyplina lekkoatletyczna wydawała jej się mało

prawdopodobna. Może leży na plecach, a trener wrzuca jej do ust owoce morza?

Zapłaciła rachunek — była to suma niemal przekraczająca jej całe wydatki reprezentacyjne na następny kwartał — i doszła do wniosku, że choć ranek spędzony z Euphemią nie należał do przyjemnych, przynajmniej odciągnął jej myśli od innych spraw.

Takich na przykład, jak ostatnie rozmowy z Henrym Moonem. Było ich kilka — uprzejmych, związanych z pracą, podczas których zawsze dopytywał się o jej zdrowie, a Grace nieodmiennie odpowiadała, że ma się doskonale. Czyżby myślał, że wciąż dręczą ją wyrzuty sumienia? Nie proponował jednak spotkania. Najwyraźniej trzymał się tego, co wcześniej powiedział — że Grace powinna zawiadomić go o jakiegokolwiek zmianie w jej sytuacji. Jednym słowem, miała dać sygnał, gdyby coś popsuło się między nią i Sionem. Ale tego nie zrobi, bo nic się nie popsuło. Między nimi było tak jak zawsze.

Wprawdzie weekend w Janavid nie zbliżył ich do siebie, ale nie było to żadną zmianą. To, że prawie nie pokazywał się w jej mieszkaniu przez cały tydzień, również nie było niczym nowym. Niemożność dodzwonienia się do niego na komórkę też jej nie dziwiła. Nie pojawiał się od jakiegoś czasu na swoim wydziale na uniwersytecie w Penge, ale to także należało do rzeczy nonnalnych. Zdawała sobie jednak sprawę z jednej zmiany, która zaszła w niej samej. Gdyby Henry Moon zapytał ją teraz, czy jest szczęśliwa, jej odpowiedź prawdopodobnie brzmiałaby inaczej.

— Dlaczego nie chcesz zobaczyć się z Henrym? — zapytała Ellie, która na całą tę sprawę patrzyła z perspektywy swoich własnych doświadczeń.

— Naprawdę nie rozumiem, dlaczego czujesz się z tego powodu taka zażenowana. Cały czas się zdarza, że kogoś zdołują albo że ktoś się z kimś prześpi. Weź na przykład Gordona, z którym umówiłam się zeszłego wieczoru... Powiedział, że był w służbach specjalnych, a potem

okazało się, że chodzi o służby odpowiadające za kursowanie specjalnych autobusów. Wiesz, takich, które podstawiają, gdy nawali metro. — Zachichotała. — Ale byłby świetnym uśpionym agentem, który natychmiast rozbudza się w łóżku...

Grace nie uśmiechnęła się jednak. Tym razem miłosne wpadki jej asystentki nie zdołały jej rozchmurzyć.

— Nie martwisz się chyba Sionem, co? — naciskała Ellie. Grace skrzywiła się.

— Może.

Wytuszowane oczy Ellie rozszerzyły się.

— Oszalałaś. Jediną osobą, która go obchodzi, jest on sam. Ale wystarczy, by do ciebie zadzwonił i mrugnął tymi swoimi zielonymi gałami, a biegniesz do niego jak oszalała z miłości nastolatka.

Grace nie miała odwagi powiedzieć jej, że Sion nawet nie zadzwonił. A tym bardziej nie zmrużył tych swoich zielonych oczu. Wiedziała, że Ellie ma rację. Ale dla wyzwolonej, robiącej karierę kobiety, takiej jak ona, upokarzające było przyznanie się, że w lekceważącym stosunku Siona do niej jest coś nieodparcie seksownego. Nawet jego napady złości w Kettering, gdy wspominała je po jakimś czasie, przywołując w pamięci przystojną twarz Siona, wykrzywioną i nadętą z irytacji, miały w sobie niepowtarzalny urok. Powodem tego było, jak przypuszczała, poczucie braku. Pragnie się tego, czego się nie ma. Jeśli czyjaś nieobecność przyspiesza bicie serca, nieobecność seksu sprawia, że bije ono jeszcze gwałtowniej. Jeśli spojrzano się na to z tej strony, to, co stało się z Henrym, było praktycznie winą Siona. Zmniejszyło to poczucie winy, które dręczyło Grace, choć nie wymazywało go całkowicie. Sprawa hormonów to tylko część tego incydentu. Było też zamieszanie z *Kronikami lechtaczki*, Rolling Stonesami i Spiegeltent. Henry o tym nie wspominał, lecz wdzięczność, którą za to do niego czuła, nie dorównywała niepokoju, jaki wzbudzała w niej świadomość, że jest jego dłużniczką.

— Po prostu musisz to w sobie przewalczyć — oświadczyła Ellie. — Henry jest twoim autorem, a ty zajmujesz się promocją jego książki. Czy nie jesteś z nim umówiona w jakiejś księgarni?

Grace skinęła głową.

— Ale miałam nadzieję...

— Że ja cię zastąpię? Nie ma mowy — odparła Ellie ze śmiechem. — Nie możesz go ciągle unikać.

Stojąc w długiej kolejce, Belinda próbowała nie patrzeć na brudne zatyczki do uszu, wrzucone między sztuczne kwiaty. Podskoczyła, gdy jakiś głos przerwał nagle jej gorączkowe myśli.

— Belinda, prawda?

Spędziwszy cały ranek na zamartwianiu się z powodu swoich zawodowych nieszczęść, nie była przygotowana na ich nagłą materializację. Tuż za nią, odsłaniając wszystkie zęby w uśmiechu, stała słynna autorka wywiadów „Globe”, Mo Mills. Wyglądała dość niezwykle. Spódnica z frędzlami, ortopedyczne buty, siwiejące włosy z przedziałkiem, torebka z różnokolorowych kawałków materiału, indiańska srebrna biżuteria i dobroduszny uśmiech na okrągłej twarzy — uśmiech, który doprowadzał Belinę do wściekłości.

— Jesteś z *Przerwy na herbatę*, prawda? Może dołączysz do mnie na „przerwę na kawę”, co?

Belinda zawahała się. Bratanie się z nieprzyjacielem nie figurowało w jej aktualnych planach bitewnych. Ale nie była całkiem pewna, jak te plany mają wyglądać.

— Chodź — nalegała Mo. — Wyglądasz, jakbyś potrzebowała zastrzyku energii.

Parę minut później Belinda patrzyła znad swojego cappuccino, jak po drugiej stronie lepkiego stołu jej rywalka wyładowuje ze swojej torby herbatę cytrynowo-imbriową oraz plastikowy pojemnik z brązowym ryżem i porcją tartej marchwi.

— Zawsze noszę to ze sobą — powiedziała z uśmiechem Mo. —
Zaczęłam jeść niełuskany ryż po rozmowie z matką Joko w Japonii w
sześćdziesiątym dziewiątym. To bardzo mądra kobieta — dodała, znowu
sięgając do swojej torby. Wyciągnęła z niej kilka pałeczek i wymieszała
nimi marchew i ryż. — Dał mi je Terence Stamp — dodała. — On
również stosuje dietę makrobiotyczną.

Belinda zastanawiała się, jakim cudem Mo zdołała tak utyc na brązowym
ryżu i tartej marchwi. Ale przecież nikt nigdy nie widział chudego
zapaśnika sumo.

— Twoje wywiady są naprawdę dobre — oświadczyła Mo, wpychając
pozlepiane kawały ryżu do ust. — Jesteś bardzo uzdolniona, choć
czasami nieco ostra. Może nawet bezpardonowa. Ale zdecydowanie masz
talent.

Słodki uśmiech Belindy nie zdradził szalejącej w niej furii, która swym
żarem mogłaby stopić metal. Protekcyjny stary mors, pomyślała.

— Wiesz, że niektóre twoje materiały przypominają mi mnie samą w
twoim wieku?

— Naprawdę? — mruknęła Belinda, usiłując zachować spokój.
Mo uśmiechnęła się.

— Tak. Na przykład ten wywiad, który przeprowadziłaś w zeszłym
tygodniu z Bobem Monkhouse'em, był bardzo podobny do mojej
rozmowy z młodym Bobem Monkhouse'em w sześćdziesiątym siódmym
roku. Te same dowcipy, wszystko.

— To ciekawe — wycedziła Belinda. Gdy uznała, że już nie może
stoczyć się niżej, wywiad z Monkhouse'em dowiódł, że się myliła.
Przybyła na miejsce, gdzie miało się odbyć spotkanie, lecz, jak się
okazało, uczestniczyli w nim nie tylko ona i stary komik. Była tam ona,
stary komik oraz całe stado reporterów, zajmujących się programami
rozrywkowymi, którzy zjawili się tu, by napisać sprawozdanie z
rozpoczęcia nowej ramówki ITV. „Wiedziałyby pani o tym, gdyby
uważnie przeczytała zaproszenie” — oznajmiła jej zadzierająca nosa
dziewczyna z działu reklamy ITV.

Belinda natychmiast się stamtąd wyniosła. Musiała jednak przygotować *Przerwę na herbatę*, toteż po powrocie do „Globe” poszła do biblioteki, wypożyczyła wywiad Mills z Bobem Monkhouse'em i przepisała go, pomijając niektóre zdania. Uznała, że nikt nie będzie pamiętał rozmowy, przeprowadzonej trzydzieści lat temu.

— Masz niewiarygodną pamięć — zauważyła ostrożnie.

Szczęki Mo, przeżuwające resztki brązowego ryżu, rozchyliły się w uśmiechu, ukazując parę ziaren, tkwiących między zębami.

— Nigdy niczego nie zapominam, moja droga.

To by się zgadzało, pomyślała Belinda, spoglądając na bujne kształty Mo. Tak jak słonie.

— Nigdy niczego nie pomyliłam. Z tego jestem najbardziej dumna.

Możesz zapomnieć o wywiadach Moptop albo nawet o przepisie Jaggera na *marinare*, najważniejsze jest podanie prawidłowego wieku, nazwisk i miejsc. Ale teraz nikt nie dba o dokładność.

Belinda kiwnęła głową.

— Masz rację, asystenci są straszni. Nigdy niczego nie sprawdzają.

— Nie zostawiaj tego asystentom, moja droga. To niebezpieczne. Ja wszystko sprawdzam sama, bo tylko ja ponoszę odpowiedzialność za prawdziwość przedstawianych faktów.

Belinda upiła łyk cappuccino. Powinna sprawdzać fakty? Czy ta kobieta oszalała?

— Lubisz przeprowadzanie wywiadów, prawda? — zapytała Mo. Jej naprzemienne ciosy i uśmiechy przyprawiały Belindę o gęsią skórę.

— Właściwie nie — odparła. — To koszmar — dodała po chwili gniewnie.

Mo wyglądała na zaskoczoną.

— Ale dlaczego?

— Mam ciągle do czynienia z zerami. Nigdy nawet nie

zbliżyłam się do kogoś naprawdę sławnego. Nie tak jak ty. Ty robisz niesamowitą karierę — wycedziła Belinda.

Mo pokiwała głową, wydłubując ziarnko ryżu z lekko wystających przednich zębów.

— Tak, rzeczywiście przeżyłam piękne chwile. Nurkowałam z The Kinks w Cromer. Grałam na plaży w piłkę z Beatlesami. Spędzałam weekendy w wiejskich posiadłościach wielu znanych ludzi, gdzie graliśmy w różne gry. Na przykład „Ukryj tabliczkę czekolady”. Mariannę Faithfull była bardzo dobra w...

— Tak, wiem — przerwała jej Belinda. — Ale na czym polega twoja tajemnica? Po pierwsze, jak docierasz do tych wszystkich osób?

Mo spojrzała na nią ze zdumieniem.

— Ależ tu nie ma żadnej tajemnicy. To po prostu wytrwałość. Wysłałam listy z prośbą o wywiad, podobnie jak ty.

— Ja nie piszę listów — oświadczyła z pogardą Belinda. — To mnie codziennie zasypują prośbami o rozmowę różne miernoty, rozpaczliwie szukające rozgłosu.

— No, to w takim razie masz szczęście. Ja muszę pisać setki listów. Zazwyczaj w trzech egzemplarzach, do amerykańskiego biura prasowego gwiazd, do brytyjskiego biura prasowego, do rzecznika prasowego firmy perfumeryjnej albo do organizacji charytatywnej, której ta finna patronuje. Potem jest czekanie, przebijanie się przez wykręty i uganianie się za...

— Na pewno nie wygląda to aż tak strasznie — mruknęła Belinda. — Wystarczy popatrzeć na ludzi, których udaje ci się pozyskać. Przed paroma tygodniami rozmawiałaś z Madonną.

— Tak, ale nie było łatwo ją namówić na wywiad. I nie powiedziała niczego ciekawego. Nikt teraz nie mówi nic ciekawego.

— Z pewnością wystarczy ich trochę przycisnąć.

— Niektórzy nie dają się przycisnąć. Albo stosują jakieś sztuczki.

— Sztuczki?

— Nowe sztuczki, coraz subtelniejsze. Weźmy choćby Josepha Fiennesa, z którym robiłam wywiad w zeszłym tygodniu...

— Tak, widziałam go — wtrąciła Belinda. — Byłaś dla niego bardzo miła — dodała ze złośliwym uśmiechem.

— Uważasz, że rozmowa wypadła blado? — zapytała Mo, patrząc na nią badawczo. — Nie powinno tak wyjść. Świetnie nam się razem gawędziło i Joseph powiedział mi mnóstwo interesujących rzeczy. Ale kiedy przegrałam taśmę, zorientowałam się, że gdy wygłaszał jakąś sporną kwestię, tak zniżał głos, by magnetofon niczego nie nagrał.

— A nie mogłaś po prostu streścić tego, co powiedział? — zdziwiła się Belinda.

— Jakżebym mogła? Jestem znana z dokładności i muszę dbać o tę opinię. Zbudowałam swoją reputację na prawdzie i wierności, z jaką przytaczam wypowiedzi moich rozmówców. Gdybym kiedykolwiek podała jakikolwiek błędny fakt, chyba-bym...

— Co? — zapytała Belinda.

— Och, sama nie wiem — Mo uśmiechnęła się ponuro. — Ale to by mnie pewnie załatwiło.

W głowie Belindy coś zaświtało.

— Weźmy na przykład wywiad, który przeprowadziłam w tym tygodniu z księżną Thanet...

Belinda z ciekawością wychyliła się do przodu.

— Tą, która nie korzysta z żadnych przywilejów, mieszka w domu komunalnym, sprząta, żeby zarobić na życie, i posyła dzieci do miejscowej podstawówki? — upewniła się.

Mo skinęła głową.

— Właśnie. Lubi się też procesować. Niedawno zaskarżyła pewną gazetę, która napisała, że miała na sobie jaegerowski kardigan, a tak naprawdę był to ciuch, kupiony w sklepie z używanymi rzeczami.

— Nie może być! — zawołała Belinda. Krew w jej żyłach

zaczęła żywiej krążyć z podniecenia. Czyżby wreszcie znalazła rozwiązanie wszystkich swoich problemów?

— Otóż to. Więc wyobraź sobie, co by się stało, gdybym w wywiadzie popełniła choćby najdrobniejszą pomyłkę... — powiedziała Mo i zachichotała.

— Wyobraź sobie — powtórzyła Belinda, z radości zaciskając pięści.

Rozdział 7

Henry Moon, siedząc w księgami za stołem, przy którym miał podpisywać książki, ze zrezygnowaną miną bawił się swoim pogryzionym długopisem.

— Ustawiajcie się, ustawiajcie! — zawołał do paru młodszych urzędników biurowych o krościatych karkach, którym jaskrawe nylonowe plecaki wrzynały się w ramiona źle dopasowanych garniturów.

— Wyglądacie na ludzi, którzy dużo czasu spędzają na świeżym powietrzu. Przeczytajcie o prawdziwych przygodach — dodał, ale oni popatrzyli na niego z niesmakiem i przeszli do działu fantastyki.

— Nie można powiedzieć, żebym cieszył się popularnością Salmana Rushdiego, co? Albo chociaż Jeffreya Archera — mruknął Henry i spojrzał ze zniechęceniem na piętrzący się obok niego stosik niepodpisanych książek. — Szczerze mówiąc, przyniesienie ze sobą pióra było chyba przejawem zbytniego optymizmu.

Grace poczuła, że jej twarz znowu zalewa fala czerwieni. Miała lekki odcień buraka już od chwili spotkania z Henrym przed księgarnią. Najeżyła się początkowo z powodu jego spóźnienia, bo przecież było to wyraźnym dowodem, że ma o niej niskie mniemanie. Ale w miarę czekania na niego jej twarz powoli się rozjaśniała, bo obudziła się w niej nadzieja, że może w ogóle się nie pojawi.

Gdy wreszcie go zobaczyła, poczuła nieprzyjemny skurcz żołądka. Zebrała się w sobie, przypuszczając, że Henry Moon powita ją znaczącym spojrzeniem i dwuznacznym uśmiechem, kiedy jednak podszedł bliżej, ujrzała, że ma neutralny wyraz twarzy. Uprzejmość czy brak zainteresowania? — zastanawiała się. Gdy podchodził do niej niepewnym krokiem, mówiąc z uśmiechem: „Cześć, przepraszam za spóźnienie” — poczuła się zawiedziona i zakłopotana. Ku swemu zdumieniu zdała sobie sprawę, że pragnie w jakiś sposób zrobić na nim wrażenie. Ale dlaczego? Żeby odzyskać inicjatywę? Przez wzgląd na szacunek dla samej siebie, zarówno zawodowy, jak i osobisty? Być może. Doszła jednak do wniosku, że jeszcze zbyt wcześnie na osobistą sesję psychoterapeutyczną, i wprowadziła Henry'ego do księgarni. Ale nawet tu nie bardzo mogła wykazać się zawodową inicjatywą. Ogłoszenia na wystawie, zapowiadające spotkanie z Henrym — „Poznaj prawdziwego odkrywcę!” — najwyraźniej nie odniosły pożądanego skutku. Przed stolikiem z egzemplarzami *Ssania kamieni*, przy którym Henry miał podpisywać swoją książkę, nie stała kolejka amatorów autografu autora. Grace spojrzała na cienkie chromowane słupki, połączone czarnymi linkami, pomiędzy którymi mieli zbierać się chętni. Urządzenia tego rodzaju często umieszczano przed restauracjami w czasie lunchu, ustawiając nerwowych urzędników bankowych w zygzakowaty rząd, by kolejka wydawała się krótsza. Ale nie mogła być krótsza dla Henry'ego. Nie stał tam absolutnie nikt. — W każdej chwili może pojawić się tłum ludzi — powiedziała dzielnie, gdy Henry zasiadł na krześle. Podpisywanie książek w księgarni, jeśli zjawi się wielu potencjalnych czytelników, może znacznie zwiększyć liczbę sprzedanych egzemplarzy. Czasem nawet taka książka trafia na listę bestsellerów. Choć Grace nie miała takich nadziei w przypadku Henry'ego, pierwszy wariant wydawał jej się dość prawdopodobny. Po chwili jednak zobaczyła z przygnę-

bieniem, jak sprzedawca przeskakuje przez linki i ostentacyjnie demontuje całe urządzenie.

— I tak możesz podpisywać książki — wyszeptała parę minut później. — Księgarnie bardzo chętnie goszczą u siebie autorów, bo „książka podpisana to książka sprzedana” — nie można zwrócić podpisanych egzemplarzy wydawcy.

Sprzedawca miał na imię Damien — było ono wypisane pod hasłem „Uwielbiam czytać” na dużym, kolorowym identyfikatorze, przypiętym do jego lewej piersi. Wcale nie wygląda, jakby literatura go pochłaniała, pomyślała Grace. Ale mimo to postanowiła wykrzesać z niego trochę entuzjazmu dla *Ssanii kamieni*. Dzięki temu odzyska inicjatywę zawodową i pokaże Henry'emu, jakie góry potrafi przenosić, jeśli się postara.

Poszła za Damienem, który powrócił do swojego stołu i zaczął przyklejać napisy „Podpisane przez autorkę” do egzemplarzy ostatniego tomu Harry'ego Pottera. Ponieważ wysokość stosu książek, czekających na przyklejenie napisu, przywodziła na myśl Empire State Building, J.K. Rowling musiała się nieźle napracować.

— Och, niech pan spojrzy! — zawołała Grace promiennym głosem, wyciągając jakąś książkę z półki za Damienem. — *Serwetki i krewetki — nowoczesne maniery na nowoczesny wiek* pióra lady Cyłindrii Slaughter. To wspaniała pisarka. Jedna z naszych autorek.

— To by się zgadzało — burknął Damien, sięgając po kolejnego Harry'ego Pottera. — Nie idą jak świeże bułeczki.

Grace zignorowała tę uwagę.

— I widzę, że ma pan parę pozycji Euphemii Ogden... Też z naszego wydawnictwa. Píše same bestsellery. — Schylając się poniżej półek, wypełnionych książkami z neonowym nazwiskiem Jenny Bristols, wyciągnęła książkę w miękkiej oprawie, na której okładce tytuł *Polly jak pudding z groszku* wypisany był pokreconym żółtym pismem. Poniżej widniała postać dziewczyny w chustce na głowie, dźwigającej kubek węgla. Obok znajdowały się trzy inne powieści Euphemii. Grace z ulgą

stwierdziła, że odejście Marian nie odbiło się na dystrybucji tak bardzo, jak się obawiano. — To też był bestseller — oświadczyła z dumą, machając egzemplarzem *Polly jak pudding z groszku* w stronę Damiena. — Ma pani rację... „był” — odparł Damien. — Ostatnio sprzedajemy jeden egzemplarz na miesiąc.

— Ależ to wspaniale. — Przecież jedna książka na miesiąc to niezła przeciętna, pomyślała Grace. Gdyby każda księgarnia w kraju sprzedawała jedną na miesiąc, wyszłaby z tego spora liczba. — A książka Henry'ego — przekonywała sprzedawcę — jest po prostu cudowna. To pasjonujący opis podróży w poszukiwaniu zaginionego plemienia. Na pewno się ludziom spodoba.

W odpowiedzi Damien rzucił wymowne spojrzenie w kierunku stołu, na którym miały być podpisywane egzemplarze *Ssania kamieni*; brak chętnych mówił sam za siebie. Ale Henry nie wydawał się tym zbytnio zmartwiony. Znalazł gdzieś inny stos książek i z zadowoleniem je podpisywał. Jego stolik znajdował się w dziale horrorów. Czyżby to był jakiś żart Damiena? — zastanawiała się Grace.

— Ta książka może przecież nagle okazać się bestsellerem, gdy ludzie się o niej dowiedzą — powiedziała. — Słyszał pan, jak to było z Louistem de Bernierem? Albo J.K. Row... — Patrząc na góry Potterów piętrzących się przed Damienem, powściągnęła jednak swój entuzjazm. Może wykazuje nieco zbyt wielki optymizm.

Damien nagle przestał przyklejać napisy i przeszedł przez księgarnię, kierując się w stronę Henry'ego. Przemykając się tuż za nim, Grace pocieszała się, że słyszała o gorszych spotkaniach autorskich. Na przykład takich, jak to ze szkockim pisarzem cholerykiem, który, gdy mu pokazano stos jego książek czekających na podpisanie, nasikał na nie, rycząc: „Oto mój pierdolony podpis!”.

Henry wykańczał właśnie kolejny autograf misterną pętlą, gdy Grace i Damien podeszli do jego stolika.

— Niepodpisanych jest dużo mniej — powiedział z uśmiechem, poklepując stos książek.

Niestety nie twoich, pomyślała ze smutkiem Grace.

— Te egzemplarze, które pan podpisał, to książki Jilly Coopers — oświadczył Damien. — Musi pan teraz za nie zapłacić.

Gdy uregulowali rachunek — diabli wzięli całoroczny budżet reprezentacyjny — wyszli na zewnątrz i stanęli na chodniku. Grace czuła się okropnie niezręcznie.

— Masz ochotę na lunch? — spytała, choć wiedziała, że nawet zestaw z Pret a Manger — który sam w sobie mógł doprowadzić Hatto do bankructwa — nie zdoła podnieść jej w oczach Henry'ego. Zauważyła jednak parę promocyjnych ofert Burger Kinga — „dwie porcje w cenie jednej” — które może warto byłoby wziąć pod uwagę. Ale po co zadawać sobie trud? To stracona sprawa. Książka, ona sama i Henry Moon.

— Przykro mi — wymamrotała, wpatrując się z nieszczęśliwą miną w spłaszczony krążek gumy do żucia na chodniku.

— Nie przejmuj się tym — odparł Henry. — Upokorzenie stanowi dziewięć dziesiątych promocji książki. Zresztą to było nawet dosyć zabawne.

Grace spojrzała na niego ostro. Jego szerokie usta były, tak jak podejrzewała, rozciągnięte w uśmiechu. Zabawne? Znowu się z niej nabijał?

Henry zerknął na zniszczony egzemplarz *Ssania kamieni*, który trzymał w ręce.

— No dobrze. Do przodu i w dół...

— Nie mów tak! — wybuchnęła Grace. — Czuję się przez to strasznie. Henry rzucił jej spojrzenie, które dla zdesperowanej Grace mogło oznaczać wszystko: od sympatii po sarkazm.

— Przepraszam — mruknął i zaszurał swoją wielką stopą po chodniku. Zapadła niezręczna cisza.

Grace zacisnęła pięści. Dlaczego on sobie po prostu nie pójdzie? Im prędzej wymyśli jakiś pretekst i zabierze się stąd, tym lepiej. Nie ulegało przecież wątpliwości, że pragnie jak najszybciej się z nią pożegnać. A jednak Henry wyraźnie się ociągał, kopiąc nieistniejący kamień na chodniku.

— Poszłabyś na kawę? — zapytał po chwili miękko. Grace dokonała w myślach szybkich obliczeń. Przecież to Covent Garden. Czy budżet Hatto na to pozwoli?

— U mnie — dodał Henry. — Mieszkam tuż za rogiem. Grace poczuła przyływ paniki. Znowu sam na sam z Henrym Moonem. Czy może sobie na to pozwolić? A nuż Henry powie coś o seksie i Spiegeltent? Albo o jednym i drugim. Zastanawiała się też — choć wydawało się to absurdalne — jak będzie smakować jego kawa. Nie wygląda na człowieka, który ma świeże mleko w lodówce, pomyślała. Ale przecież, jak powiedziała Ellie, powinna spróbować przezwyciężyć kryzys w ich wzajemnych stosunkach. Kawa — jakakolwiek by była — może stanowić pierwszy krok.

— No dobrze — wymamrotała.

Małe mieszkanie Henry'ego, mieszczące się na szóstym piętrze edwardiańskiej kamienicy z czerwonej cegły, było znacznie schludniejsze, niż Grace się spodziewała. A także bardziej interesujące — Henry bowiem gromadził w nim cenne pamiątki ze swoich podróży. Szałowe zasłony o wesołych hinduskich wzorach, wydymające się przy otwartym oknie, chroniły przed słońcem barwne dywaniki, a rozstawione wszędzie statuetki z kości słoniowej i wiszące na ścianach malowane maski były starannie wyczyszczone i wypolerowane. Na małym okrągłym stole w saloniku stał nawet wazon z peoniami.

— Jak tu ładnie — powiedziała Grace, rozglądając się wokół. — Tak czysto — dodała, czerwieniąc się, gdy sobie uświadomiła, że być może nie zabrzmiało to zbyt grzecznie.

Henry uśmiechnął się.

— Dopiero teraz. Powinnaś była zobaczyć to mieszkanie przed paroma tygodniami. Ale wreszcie zdecydowałem się zatrudnić sprzątaczkę. To najszluszniejsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjąłem. Usiądź, proszę. — Wskazał jej dużą czerwoną kanapę, która wyglądała na bardzo wygodną. — Zrobię kawę.

Po chwili wrócił z dwoma kubkami z emblematami linii lotniczych. Gdy podawał jeden z nich Grace i ich dłonie się zetknęły, lekki wstrząs elektryczny przebiegł przez jej rękę aż do łokcia. Czy on również go odczuł? Opuszczając gwałtownie wzrok, stwierdziła, że rzeczywiście miał w lodówce świeże mleko. Nie tak jak Sion, który do każdego przygotowanego przez siebie napoju wyciskał z pojemnika tygodniową, zgęstniałą ciecz, natychmiast zsiadającą się na powierzchni. Grace odpędziła od siebie to wspomnienie oraz problemy, które ze sobą niosło, i z wymuszonym uśmiechem odwróciła się do Henry'ego.

— A więc... — zaczęła, zamierzając go zapytać, jak mu idzie pisanie i czy, jak wcześniej wspomniał, sięgnął po nowy temat. — Kiedy spotkaliśmy się ostatnim razem... — znowu urwała i zaczerwieniła się. Nie miała zamiaru do tego wracać. A niech to szlag.

— Kiedy spotkaliśmy się ostatnim razem... — odpowiedział Henry, uśmiechając się do niej.

— ...powiedziałeś, że spróbujesz pisać o czymś innym — dokończyła natychmiast Grace. Tylko niczego nie kombinuj, dodała w myśli, patrząc na niego wojowniczo.

Henry, sprawiający wrażenie nieco skonsternowanego, skinął głową.

— Owszem. I idzie mi całkiem dobrze.

— A co to takiego? — zapytała Grace z lekkim niepokojem.

— To coś zupełnie odmiennego od *Ssaniam kamieni*. — Promienny uśmiech Henry'ego nagle zgasił, a Grace niespodziewanie poczuła skurcz żołądka. — W tej chwili jeszcze nie

wiem, czy coś z tego wyjdzie — powiedział. — Na tym etapie trudno przewidzieć, jak to się dalej rozwinie... Po chwili jednak spojrzał na nią śmiało i pewnie.

— Ale mam nadzieję, że coś z tego będzie — oświadczył. Zapadła cisza, w czasie której Grace czuła coraz mocniejsze uderzenia serca. Czy miał jeszcze coś na myśli? Coś innego niż projektowana książka?

— Naprawdę? Skinął głową.

— Natrafiam jednak na pewne przeszkody. Nie będzie to łatwe zadanie. Ale spróbuję... Och, przepraszam! — zawołał, gdy Grace, przesuając się na kanapie, niespodziewanie wpadła w dziurę pomiędzy poduszkami.

— Niestety, jest dość stara — dodał przepraszająco.

Grace, gramoląc się do góry, zauważyła, że jego spojrzenie zatrzymało się na kawałku jej nagiego uda, które odsłoniła zadarta spódnica. Poczowała, jak wzbiera w niej oburzenie. Czy celowo wskazał jej to siedzisko? Bez wątpienia. A ona, niech to szlag, omal znowu nie uległa jego urokowi. Czyż nie dostała już wystarczającej nauczki?

— Mów dalej — warknęła. Henry uśmiechnął się z ulgą.

— O swojej nowej książce — dodała z naciskiem. Jego uśmiech zbladł.

— A tak. Odchodzę na razie od książek podróżniczych. Szkoda bata na martwego land-rovera, cha, cha. Zresztą większości z nich brakowało czegoś... iskry życia.

— Chyba tak — odparła ostrożnie Grace.

Henry popatrzył na nią. Znow zapadła chwila milczenia. Po chwili powiedział:

— Nie mówiąc już o tym, jakie zamieszanie wprowadza to w moich... związkach z innymi.

— Doprawdy? — bąknęła Grace, tonem głosu próbując dać mu do zrozumienia, że wcale jej to nie dziwi i nie chce o niczym wiedzieć.

— Podróże zniszczyły moje życie miłosne — stwierdził Henry, kiwając głową. Uśmiechnął się.

— Ach tak — wymamrotała Grace. Nie odwzajemniła uśmiechu.

— Po pierwsze, nikt nie chce ze mną ruszyć w drogę — mówił Henry.

— Ruszyć z tobą w drogę? — powtórzyła. Jak daleko ten człowiek się jeszcze posunie?

— Ujmijmy to tak: upuszczenie jedynej latarki do etiopskiej latryny nie sprawia większości pań szczególnej przyjemności.

— To chyba oczywiste — odparła Grace, zaciskając wargi. — A nie możesz pojechać gdzie indziej? Tam, dokąd twoje dziewczyny — dodała, wypowiadając to słowo z najwyższym niesmakiem — naprawdę chciałyby się udać?

— Łatwo powiedzieć — mruknął Henry. — Jedna dziewczyna...

Jedna dziewczyna. Jakby miał ich milion, przedtem i potem. Aż dziw, że tak pogardza powieściami dla chłopców, pomyślała z oburzeniem Grace, skoro sam nadal jest jednym z nich.

— ...była absolutnie przeciwna wszystkiemu, co pachniało przygodą.

Więc powiedziałem jej, żeby sama wybrała miejsce, do którego pojedziemy. Zdecydowała się na południowe Włochy.

— To dobry wybór. — Grace zastanawiała się, jak ta kobieta wyglądała. Blondynka? Brunetka? Bezpośrednia, z poczuciem humoru? I czy dobrze jej było w szortach?

— Cóż, jeśli ktoś lubi takie rzeczy, to pewnie tak — odparł Henry tonem pełnym wątpliwości. — Słońce, morze, włoska kuchnia, zwiedzanie — byliśmy również w pobliżu Pompei — takie rzeczy. Wspaniale. Tyle że wulkan, który przez cały rok wydawał z siebie tylko pomruki, akurat w dniu, w którym przyjechaliśmy, zaczął wyrzucać popiół.

— Niesamowite! — zawołała Grace, wyobrażając sobie potoki lawy. Henry zachichotał.

— Owszem. Jedliśmy śniadanie na werandzie, gdy nagle pojawiła się wielka szara chmura. Zaraz potem wulkan wybuchł i wszystkich nas ewakuowano. Tak wyglądały nasze śródziemnomorskie wakacje.

— A co myślała o tym twoja dziewczyna?

— Rzuciła mnie w chwili, gdy wylądowaliśmy na Heathrow. — Szerokie usta Henry'ego wykrzywiły się w uśmiechu, a oczy schowały w fałdach skóry. — Jak widzisz, jestem romansowym nieudacznikiem.

Znowu zapadła cisza.

— Chyba już pójdę — powiedziała w końcu Grace.

— W porządku — odparł szybko Henry.

Za szybko, pomyślała zmieszana Grace. Czyżby to wszystko pojęła całkiem opacznie? Może on po prostu zabijał czas, czekając, aż ona sobie pójdzie?

Żadne z nich nie poruszyło się jednak. Po chwili Henry podszedł do okna.

— Przyszło mi do głowy... — zaczął zamyślonym głosem. Grace nie widziała zbyt dobrze jego twarzy, gdyż odwrócił się plecami do światła.

— Co?

— Myślę, że skoro promocja się skończyła, nic więcej nie będzie się działo.

Grace uznała to za atak na jej zawodowe umiejętności.

— Wcale nie — zaprotestowała. — Zdarzy się jeszcze niejedno. Na przykład jakiś wywiad. Albo opowie o tobie jakaś gadająca głowa w programach poświęconych aktualnościom. Zawsze mogę zainteresować tobą lokalną rozgłośnię, która przedstawi cię w kilku programach.

— To dobrze. W takim razie niebawem znowu się zobaczymy.

Ruszył w jej stronę od okna, lecz wyraz jego twarzy nadal trudno było zgłębić.

— A więc wciąż jesteś szczęśliwa? — zapytał niskim głosem, przywodzącym na myśl intymną bliskość.

Gdy Grace wpatrywała się w niego jak skamieniała, z jej torebki doszedł zgrzytliwy terkot komórki. Nagłący, przenikliwy i nieznośnie głośny. Szczęśliwa? Jej stosunki z Sionem uległy zmianie — nie czuła się już pewnie — ale, na dobrą sprawę, w tym związku nigdy niczego nie była pewna. Poczowała, że jej wnętrze splotają się w supeł. Komórka brzęczała głośno jak świder drogowy, lecz Grace nie zwracała na to uwagi. Spojrzała bezradnie na Henry'ego. Co miała mu odpowiedzieć? Czyżby to było aż tak proste? Może i było. Może wystarczy, by powiedziała to słowo. Otworzyła usta.

Henry odwrócił wzrok, a potem znowu na nią spojrział. Złączył ręce z szeroko rozstawionymi palcami w geście zniecierpliwienia.

— Właśnie się zastanawiałem...

— Tak? — wyszeptała Grace.

— ...czy nie zechciałabyś...

— Hmm? — Ledwo odważyła się odezwać, tak krucha była ta chwila.

— ...odebrać tego telefonu?

— Och. Tak, oczywiście. — Grace poczuła się, jakby jej całe ciało, opadając w dół, gwałtownie i boleśnie zetknęło się z ziemią. Nie zwracając uwagi na paznokcie, wcisnęła rękę do torebki i wyciągnęła natarczywą komórkę.

— Kochanie! — rozległ się ostry głos, którego zdolność do wprawiania szyb w drżenie nie zmniejszyła się ani na jotę, pomimo odległości i pośrednictwa mechanizmu przekazującego.

— Och... — wymamrotała Grace, rzucając Henry'emu zakłopotane spojrzenie. — To ty.

Patrzyła, jak Henry ze stężałą twarzą podnosi się i wychodzi do maleńkiej kuchni, zabierając ze sobą kubki z lotniczymi emblematami.

— Kochanie, niebawem wydaję w konsulacie dość ważną kolację...

W kuchni Henry głośno brzęczał jakimiś naczyniami.

Grace poczuła, że ogarnia ją irytacja. Lady Armiger wybrała sobie doskonały moment, by omawiać dobór potraw, zastanawiać się nad odcieniami obrusów i wymieniać różne uwagi.

— Jestem teraz trochę zajęta. Nie możemy pogadać o tym później?

— Nie, kochanie — odparła lady Armiger. Jej głos miał stalowe brzmienie. — Planuję teraz, jak usadzić gości. Jeśli przyjedziesz, muszę o tym wiedzieć wcześniej.

— Jeśli przyjadę? — powtórzyła zdumiona Grace. — Przecież jesteś w Wenecji. Dlaczego miałabym tam przyjeżdżać?

Pominąwszy odległość, oficjalne kolacje, wydawane przez matkę, były najbardziej wyrafinowaną formą tortur. Przerażająco delikatna stara porcelana. Nieporęczne srebra. Nieopisana nuda uprzejmej konwersacji, prowadzonej danie po daniu pod okiem matki. A ponieważ działo się to we Włoszech, dań było znacznie więcej.

— Ponieważ chciałabym, żebyś poznała jednego z gości — świergotała lady Armiger na drugim końcu linii. — Mężczyznę. Byłby dla ciebie idealny, kochanie. O wiele lepszy niż...

— Nie chcę innego mężczyzny, dobrze o tym wiesz — oświadczyła stanowczo Grace, gdy Henry z ponurą miną powrócił do saloniku.

Zaczerwieniła się, uświadamiając sobie, że na pewno ją usłyszał.

Powiedziała coś, czego w ogóle nie miała na myśli. Ale jej matka zawsze tak na nią działała. Czy ta kobieta kiedykolwiek przestanie mówić? —

Posłuchaj — dodała pospiesznie — muszę już kończyć. Pogadamy o tym później. Całuję cię. Pa, pa.

— Nie gniewaj się — powiedziała przeproszającym tonem do Henry'ego, wkładając komórkę z powrotem do torebki. Zauważyła, że mięsień na jego policzku drga nerwowo.

— W porządku — wymamrotał bezdźwięcznym głosem. Uśmiechnęła się do niego niepewnie. Czy mogli znowu

podjąć tę rozmowę w miejscu, w którym im przerwano? Bardzo tego pragnęła.

— Co mówiłeś, kiedy nam tak brutalnie przeszkodzono?

Skoro byli tak blisko czegoś, chyba nie będzie chciał zostawić tak tej sprawy? Na pewno zamierzał — jak mawiała Ellie —jakoś to zamknąć.

— Ach, to. — Spojrzał na nią znużonym wzrokiem. — Nic. Nic ważnego.

— No dobrze... — Ta chwila najwyraźniej minęła. Jeśli rzeczywiście się pojawiła. Czyżbym znowu się pomyliła? — pomyślała Grace. Atmosfera nagle zrobiła się ponura. Przed paroma minutami gęsta od domysłów i brzemieniami możliwościami, teraz stała się sztywna i niezręczna. Ale dlaczego? Co się dzieje? W jaką grę on się bawi? — W takim razie lepiej sobie pójdę — oświadczyła, podnosząc się. W ten sposób podda go próbie.

— Tak — odparł i zrobił krok w kierunku drzwi.

— Dziękuję za kawę.

— Było mi bardzo miło.

— Życzę ci szczęścia w twoim nowym przedsięwzięciu, Henry — powiedziała, patrząc mu w oczy.

— Dzięki — mruknął. — Niedługo będę miał kilka skończonych rozdziałów.

W tym także ten, pomyślała przygnębiona Grace, nic już nie mówiąc i zstępując po schodach, pachnących jakimś środkiem czyszczącym.

Kiedy zeszła na parter, dotarło to do niej wreszcie.

„Nie chcę innego mężczyzny, dobrze o tym wiesz”.

„Słuchaj, muszę już kończyć. Pogadamy o tym później. Ja też cię kocham”.

Podczas niemal całej rozmowy Henry tłukł się w kuchni. Z tego, co usłyszał, musiał wywnioskować, że rozmawiała z Sionem. A wcześniej nie chciała przyznać, że nie jest z nim szczęśliwa. Uchwyciła się balustrady, spoglądając w górę schodów.

— Henry! — zawołała, ale w tym momencie drzwi jego mieszkania sześć pięter wyżej zatrzasnęły się.

Koniec, pomyślała Grace z ciężkim sercem.

Gdy wróciła do biura, ponuro otworzyła obłożące z farby drzwi działu prasowego. W pokoju zastała Ellie w trudnym do zniesienia, radosnym nastroju.

— Widziałeś mój nowy nabytek? — zapytała jej asystentka, wyrzucając w powietrze jedną nogę. Cała dolna część jej łydki okryta była purpurową skórą węża, a ze spodu buta wystawał długi, cienki, srebrzysty obcas, przypominający antenę radiową. — Komunikuję się w ten sposób ze swoim wewnętrznym naganiaczem — oświadczyła ze śmiechem.

— Wygląda na to, że zeszły wieczór upłynął ci przyjemnie — mruknęła zgryźliwie Grace. Nie potrafiła się cieszyć, że życie uczuciowe Ellie przybrało wreszcie dobry obrót.

— Upłynął przyjemnie? Chyba żartujesz. Ja chyba oszalałam... — Ellie wydała z siebie głuchy jęk. — Randki w ciemno... Byłam już na tyłu, że powinnam dostać darmową latarkę.

— Co się stało? — Grace usiłowała ukryć ulgę w głosie. — Wydawało mi się, że oboje doskonale do siebie pasujecie.

— Cóż, ma taką samą pracę. — Ellie westchnęła i odrzuciła włosy do tyłu, jakby chciała strząsnąć z siebie niemiłe wspomnienie. Pasemka, od barwy burgunda do platyny, załśniły w porannym słońcu. — On robi w reklamie. Ja robię w reklamie.

— A więc?

— A więc nic. Oprócz tego, że spędziliśmy razem wieczór, omawiając sposoby szerszego rozpropagowania kremu na brodawki, którym się teraz zajmuje. Powiedział mi, że nie spocznie, dopóki nie stanie się on najczęściej stosowanym w kraju środkiem.

— Och — mruknęła Grace, czując, że gdzieś w głębi jej ponurej duszy rodzi się uśmiech.

— To moja wina — stwierdziła Ellie. — Nie powinnam się była zgodzić. Podświadomie wiedziałam, że coś jest nie tak, gdy pierwszy raz rozmawiałam z nim przez telefon.

Grace pokiwała głową. Był to znajomy scenariusz. Podświadomość Ellie wyczuwała podobne rzeczy już dawniej. Zawsze w retrospekcji.

— Pewnie przeszkadzały ci jakieś drobiazgi.

— Raczej jedna całkiem spora rzecz, która wyprowadziła mnie z równowagi.

Grace uniosła brwi.

— Jak to?

— Była to katastrofa od momentu, kiedy zapytałam, jak go rozpoznam.

— Dlaczego?

— Powiedział, że będzie miał krawat w misie. Śmiałam się jak szalona.

Myślałam, że żartuje. Ale gdy przyszłam na spotkanie, okazało się, że mówił prawdę. To były wielkie żółte miśki w czerwonych sweterkach.

— Nie mogłaś po prostu zniknąć? Uciec?

— Niestety nie, bo też mu powiedziałam, jak będę ubrana. A nikt na stacji metra Sloane Square nie miał wtedy na sobie obcisłego czerwonego kostiumu i zielonych kłapek na wysokim obcasie...

Grace zachichotała. Wpadki Ellie miały przynajmniej tę zaletę, że odciągały jej myśli od Henry'ego Moona i momentu, gdy po żenującym poranku i pełnym zakłopotania lunchu nadeszła obiecana, słodka chwila, która szybko przeminęła, zniweczona przez nieporozumienie. Czy taka chwila jeszcze kiedykolwiek się zdarzy? Wątpiła w to, bo przypuszczała, iż prawdopodobnie jej dalsze wysiłki mające na celu nadanie książce Henry'ego rozgłosu spełzną na niczym. Było to okładanie batem martwego land-rovera, jak wyraził się Henry. Być może już nigdy go nie zobaczy. Może to zresztą i dobrze. Dlaczego jednak miała wrażenie, że jakaś niewidzialna ręka zgasila światelko, rozjaśniające jej istnienie?

Ellie przerwała jej niewesołe myśli.

- Kiedy ciebie nie było, nadeszło parę dobrych wiadomości. Ustalono datę wywiadu Cylindrii z Belindą Black w *Przerwie na herbatę*. To już pewne.

Grace skinęła głową, usiłując wzbudzić w sobie zainteresowanie bezprecedensowym osiągnięciem działu prasowego Hatto & Hatto. Ale z jakichś powodów akurat teraz wydało jej się to nieopisanie nudne.

— Wspaniale — mruknęła.

— I wiesz co? Pewnie nie uwierzysz, ale zadzwonili z „Guardiana”, mówiąc, że chcą zrobić wywiad z Henrym Moonem!

— Och! — Serce podskoczyło Grace w piersi i ogarnął ją płomień podniecenia, który zgasł równie szybko jak wadliwa zapalka, gdy uświadomiła sobie, że ona sama niekoniecznie musi mieć z tym cokolwiek wspólnego. Henry'emu przefaksują pytania, a on odeśle odpowiedzi do gazety. No i dobrze. Lepiej będzie, jeśli już go nigdy w życiu nie zobaczy.

— Co więcej, zadzwonili z radia Gainsborough, że chcą włączyć do programu rozmowę na temat *Ssania kamieni*. — Grace zmarszczyła się.

— Nie chcesz sama tego zrobić? Możesz zabrać Henry'ego do studia w Broadcasting House i tam przeprowadzić ten wywiad. Powinnaś być w radiu o dziesiątej. — Ellie mrugnęła. — Kolejna namiętna randka z Henrym Moonem, co'?

— Zamknij się — burknęła Grace, usiłując ukryć błysk w oczach. Czyżby to była kolejna szansa?

Światło z komputerowego monitora padało na twarz Belindy. Wszędzie wokół panowała ciemność i cisza, jeśli nie liczyć odległego zgiełku ruchu ulicznego. Gdy jej komórka zabrzęczała ostro, wytrącając ją z głębokiego skupienia, spojrzała wściekle na biurowy zegar. Wpół do dwunastej, do cholery. Kto, u diabła, może dzwonić do niej o tej porze? Spojrzała na

wyświetlacz. Che Guevara, na miły Bóg. Niech go szlag. Jak on śmie? Ten chłopak ma tupet tabunu paparazzich.

— Jesteś wolna jutro wieczorem? W Instytucie Inżynieryjnym w Wanstead Flats odbywa się disco solidarnościowe. Chciałabyś pójść?

— Tak samo jak wsadzić rękę w mikser. — Belinda z irytacją uderzyła w klawiaturę. Jakie, do diabła, jest hasło Mo Mills? Wypróbowała wszystkie nazwy z lat sześćdziesiątych, które kojarzyły jej się z Mo, od „marinara ze skorupiaków” po „maharishimahesyogi”.

— A więc odmawiasz?

— Słyszałeś.

— Gdzie jesteś?

— W pracy. — Kurczę, dlaczego to powiedziała? Naprawdę musi być zmęczona, skoro tak zupełnie się nie pilnuje.

— W pracy? To znaczy w „Globe”?

— Oczywiście, że nie — skłamała Belinda. — W pokoju gościnnym w moim domu.

Przedsięwzięła wszelkie środki, by nikt się nie dowiedział, że tu jest.

Ukryła się w toalecie, gdy przyszła sprzątaczką. Pewnie dostanie hemoroidów od siedzenia tyle czasu na plastikowej desce. Ale musiała się schować. Ryzyko, że ją przyła-pią, było zbyt wielkie.

— I co robisz?

— Co cię to obchodzi? — warknęła Belinda. — A tak nawiasem, jak tam mój wywiad z Cherie? — zapytała szyderczo.

— Cherie się zgadza — padła nieoczekiwana odpowiedź. Belinda z trudem powstrzymała się od triumfalnego okrzyku.

— Co?!

— Tyle że — dodał głos po drugiej stronie linii — Tony robi piekło. Ten obśliniony sukinsyn zawsze sam chce być w centrum zainteresowania.

— Więc Cherie nie porozmawia ze mną? — Głos Belindy

był żrący jak kwas. Oczywiście, że nie. Jakże mogła w to uwierzyć.
Znowu.

— Robię, co mogę, dziecino. A tymczasem może ty zrobisz coś dla mnie. Moja praca doktorska *Dlaczego nowa Partia Pracy to sukinsyny* zasługuje na znacznie większą liczbę czytelników. Ma wszelkie szanse stać się bestsellerem. W Penge bardzo się nią zainteresowali...

— Odpieprz się — warknęła Belinda.

— Alastair Campbell ma napisać do niej wstęp.

— Doprawdy? Chodzi o Alastaira Campbella, który pracuje dla Izby Turystycznej w Inverness, prawda? Bo założę się, że tego drugiego nie znasz.

Głos z drugiej strony był wyraźnie zakłopotany:

— Hej, dziecino... Musimy porozmawiać. Może wpadniesz później do mnie?

Do niego? Do tego ohydneho pokoiku w Catford, który cuchnął kebabem z restauracji na dole, trząsł się od basowych tonów, płynących z głośnika mieszkającego obok białego wielbiciela rasty, i był wyposażony w materac, pokryty okruszkami jak dno pojemnika na chleb.

— Prędeż się zabiję.

— Dzie-ci-no! — powiedział karcącym tonem. — Przygotuję kolację. To była ostatnia kropla. Gardło Belindy zacisnęło się na wspomnienie ściętej, żółtopomarańczowej paćki w morzu zjeł-czałego tłuszczu, którą zsunął jej na talerz z patelni podczas ostatniej randki. I jeszcze był taki dumny z tego przyprawiającego o mdłości wytworu sztuki kulinarnej. Powiedział nawet, że mogło być gorzej, bo w lodówce miał tylko śmietanę i sardynki.

— Odpierdol się — warknęła, naciskając przycisk, oznaczający koniec rozmowy. No dalej, ponaglała w myślach komputer. Twiggy.

Stonesinhydepark. Iwannaholdyourhand. To nie powinno być takie trudne. Gdy się wreszcie dobierze do tego hasła, znajdzie plik z księżną, która lubi się procesować, dokona

paru przeróbek, a reszta sama się załatwi. W każdym razie Mo Mills będzie uziemiona.

Jezu, ależ była zmęczona. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jakie to wyczerpujące zajęcie. Z oczyma jak łożyska kulkowe i powiekami niczym blacha, w akcie rozpaczy wprowadziła ostatnią kombinację, jaka jej przyszła do głowy. Początkowo nic się nie działo, po chwili jednak na ekranie pojawił się długo oczekiwany komunikat. Belinda stłumiła okrzyk radości. Komputer Mo Mills wreszcie się poddał.

„Davedeedozybeakymickandtitch” załatwiło sprawę.

Rozdział 8

Henry Moon przybył do rozgłośni tak późno, że Grace nie miała czasu nic mu przekazać, nie mówiąc już o wyjaśnieniach, które obmyślała w dłuższej i krótszej wersji przez całą noc. Że na komórkę dzwoniła jej matka, a z Sionem niekoniecznie jest w stałym związku. Raczej wręcz przeciwnie. Trudno jest zerwać z kimś, kogo się w ogóle nie widuje. Ledwo starczyło jej czasu, by przebiec przez hol przy wejściu, przyczepić Henry'emu identyfikator i zaprowadzić go do Londyńskiej Sali Kontrolnej. Było tu mnóstwo maleńkich oszklonych boksów, w których mieściły się studia, mające połączenie ze wszystkimi lokalnymi rozgłośniami w Wielkiej Brytanii.

— Uwaga, zaraz wchodzimy — powiedział przez mikrofon inżynier radia Gainsborough.

Henry, który miał ciemniejsze niż zazwyczaj cienie pod oczyma — czy późno się położył? i czy położył się sam? — poprawił słuchawki, pochylił się w kierunku dużego, pokrytego czerwoną pianką mikrofonu, uśmiechnął się i wyciągnął w górę oba kciuki. Najwyraźniej jest zupełnie rozluźniony, pomyślała Grace; widać to, co zaszło w jego mieszkaniu, zbytnio go nie zmartwiło. Ta myśl trochę ją zabolęła.

Kiedy donośny głos prowadzącego nagle zadudnił jej w uchu, aż podskoczyła i rozlała na siebie herbatę.

— Hej, jak się macie? Mówi Andy Twort, radio Gainsborough.

— Cześć, Andy — odparł Henry, przypatrując się Grace, która możliwie dyskretnie usiłowała zetrzeć dużą plamę po herbacie z przodu stanika.

— Przepraszam, że was przetrzymaliśmy — powiedział Andy, mówiący teraz ze środkowoatlantyckim akcentem, będącym zupełnym przeciwieństwem jego radiowego głosu. — Ale nagranie z gadającą owcą bardzo się przedłużyło. Po prostu nikt z nas nie przewidział, że będzie miała tyle do powiedzenia, cha, cha! — zaśmiał się głośno, wobec czego Grace i Henry również się roześmiali. — Poczekajcie tu, aż nagram następny kawałek — dodał, nateżając i ścisząc głos jak w nagraniach komiksów. — Potem się wrołujemy. Albo wrockujemy, cha, cha!

„Następny kawałek” trwał piętnaście minut, w czasie których Andy, wśród kaskad sztucznego śmiechu i min, mających udawać zaskoczenie, wypytywał Szkota z Troon o jego obowiązki jako przewodniczącego Narodowego Brytyjskiego Stowarzyszenia Dopieszczania Mężów. Wyraziwszy podziw dla odznaki i krawata stowarzyszenia — „...włożyłem go specjalnie dla ciebie, Andy... i czy możesz pozdrowić moją żonę?” — prowadzący odwrócił się w końcu do Henry'ego i Grace.

— A teraz posłuchajcie, muszę się do czegoś przyznać — zwierzył się im, wyłączwszy mikrofon. Henry i Grace pochylili się ku niemu. — Nie przeczytałem książki. Brak czasu, rozumiecie? Nigdy go nie ma dosyć, prawda? W każdym razie, Harry...

— Henry — poprawili go jednocześnie Henry i Grace.

— Henry. Och, przepraszam. Ale wiecie, tyle się dzieje w studiu... No dobrze, przedstawię was, a potem będziecie mówić o książce. Pasuje?

— Świetnie — odparła Grace, ale Henry wyglądał na zakłopotanego.

— Uwaga — powiedział znowu inżynier studia.

— Radio GainsBUR-ERRRR — zaczął emitować sygnał.

— A teraz nasz następny gość — powiedział Andy, zwracając się do słuchaczy — autor książki na bardzo interesujący temat...

Henry uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Nosi tytuł *Ssanie płomieni*. A więc Harry, przepraszam, Henry, co cię skłoniło do napisania biografii księżnej Yorku?

— Strasznie mi przykro, Henry — wymamrotała piętnaście minut później Grace, której twarz pulsowała wstydem. — Trudno mi uwierzyć, że Andy Twort wykazał się takim brakiem profesjonalizmu... — Nie mówiąc już o mnie, dodała w duchu. To jakiś koszmar, pomyślała. Choć jej życie jako kierowniczkini działu prasowego Hatto nie było usłane różami, nie przypominała sobie, by kiedykolwiek o jakimś autorze naopowiadano tyle bzdur. Wszelkie wysiłki reklamowe skończyły się haniebną katastrofą.

Siedzieli w barze dużego luksusowego hotelu naprzeciwko BBC. Przed nimi na stoliku stały dwa koktajle. „Kojanerwy” — powiedział Henry, uśmiechając się, gdy je zamawiał. Grace stwierdziła, że nawet ta ostatnia katastrofa nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Czyżby należało przypisać to jego światowości? A może nie spodziewał się niczego innego?

— To ja powinnam ci je postawić, nie ty mnie — wymamrotała, choć doskonale wiedziała, że budżet na reprezentację nie pozwala jej na to. Henry wzruszył ramionami.

— Nieważne. Cała przyjemność po mojej stronie. Cieszę się, że cię znowu widzę.

Mocny alkohol bezsprzecznie działał uspokajająco. Kiedy Grace wypila pół kieliszka, zaczęła postrzegać wydarzenia poranka z pewnej perspektywy. Może właśnie teraz nadeszła ta chwila? Wyłączyła komórkę. Gdyby tylko potrafiła wyłączyć także dygotanie nerwów.

— Mm... — zaczęła.

— Mm... a jak idzie innym pisarzom z tego waszego piekielka? — zapytał Henry dokładnie w tym samym momencie. — Lady Cylindrii i całej reszcie?

— Całkiem dobrze. — Grace ożywiła się na wspomnienie Cylindrii, która jako jedyna odniosła korzyści z wysiłków działu prasowego Hatto. — Belinda Black z *Przerwy na herbatę* ma zamiar przeprowadzić z nią wywiad.

Henry zmarszczył brwi.

— Belinda Black, powiadasz?

— Tak. To wspaniale, nieprawdaż?

— Nie za bardzo.

Grace spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Jak to? — Czyżby Henry pożałował, że to właśnie z nią ma do czynienia, a nie z Belindą? To do niego niepodobne, ale cóż ona o nim wie?

Henry skrzywił się.

— Belinda Black to jedna z najbardziej antypatycznych dziennikarek. Grace wiedziała, że jest w tym ziarno prawdy. Podczas kilku rozmów telefonicznych, które z nią przeprowadziła, Belinda nie okazała się wzorem uprzejmości. Na przykład, kiedy zrozumiała, że tytuł *Ginger to kupiła* nie ma nic wspólnego z zakupami partnerki Freda Astaire'a, nie zostawiła suchej nitki na nieszczęsnym Greville'u Goodtrouserze. A to, co powiedziała o Euphemii... ale akurat te epitety Grace skłonna była jej wybaczyć.

— Ta kobieta jest jak walec parowy — dodał Henry. — Biedna stara lady C. Jagnię w rzeźni. Albo rzeźnia w rzeźni...

— Ale książka Cylindrii mówi o dobrych manierach — wtrąciła Grace, nieco przestraszona. — Przecież tu nie ma podstawy do sporów. Co takiego strasznego może zrobić Belinda?

— Już ona coś wymyśli, spokojna głowa.

— Skąd wiesz?

Henry westchnął.

— Pisarz nigdy nie powinien zdradzać źródeł swoich informacji. Ale powiem ci. Spotykała się z moim znajomym, redaktorem działu podróży w „Globe”. Jak możesz sobie wyobrazić, był bardzo przydatny, gdy chodziło o załatwianie tanich lotów i luksusowych wakacji. Kiedy go zwolnili, natychmiast rzuciła go, jakby był zadżumiony. Było to „taktyczne pierdolenie”, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Grace przełknęła ślinę. Skąd ma wiedzieć, czym jest taktyczne pierdolenie? To, co wydarzyło się w St Merrion, było dokładnym przeciwieństwem jakiegokolwiek taktyki. Czyżby Henry znowu się z niej nabijał?

Ale on miał poważną minę.

— Belinda wykorzystuje ludzi, zwłaszcza mężczyzn. A teraz jest jeszcze gorsza niż przedtem, jak słyszę od znajomych dziennikarzy. Wysysa, co może, z każdego nieostrożnego faceta, który zajrzy w jej gęste czarne rzęsy, przypominające pułapkę na muchy. Teraz ma na tapecie jakiegoś naukowca.

— Naprawdę? — Grace postanowiła odegrać rolę adwokata diabła. — Może to świadczy o tym, że się zmienia. Zaczyna myśleć.

— Wątpię. Sądzę, że jego urok polega na koneksjach politycznych. Grace westchnęła. Naukowcy z kontaktami politycznymi... Zarumieniła się, nie mogąc znieść spojrzenia Henry'ego, który wpatrywał się w nią swoimi brązowymi oczyma.

— Znasz kogoś takiego, prawda? Odchrząknęła.

— Chyba tak... Przynajmniej znam naukowca, który ma bardzo dobre kontakty w Nowej Partii Pracy. — A w każdym razie tak mówi, dodała w duchu.

Zawsze miała wątpliwości co do prawdziwości opowieści Siona o jego znajomościach z prominentnymi rządowymi osobistościami, ponieważ jednak związała się z nim wcale nie z tego powodu — nie miało to dla niej większego znaczenia.

— Mam wrażenie, że ten facet nieco wyolbrzymia swoje kontakty — oświadczył po chwili Henry.

Grace skinęła głową, przypominając sobie szczególnie naciągane twierdzenie Siona, iż Cherie Blair jest żywo zainteresowana jego pracą doktorską.

— Obiecał Belindzie, że namówi Cherie Blair, by zgodziła się na rozmowę dla *Przerwy na herbatę*. — Henry pociągnął następny łyk kawy. — No więc było to pożądanie od pierwszego wejrzenia... dla wywiadu oczywiście.

Grace poczuła skurcz w żołądku. Co takiego powiedział Sion podczas ostatniego weekendu w Kettering? „Dmuchał ambitną nimfomankę...”.

— Jak wygląda Belinda? — zapytała schrypniętym głosem. Henry wzruszył ramionami.

— Ciemne włosy. Ogromne... to znaczy, chciałem powiedzieć, bardzo duże — poprawił się z zakłopotaną miną — piersi.

„...dziwkę o wielkich cycach, która mnie pragnie ze względu na moje stosunki polityczne...”.

Grace poczuła na czole krople potu.

Temat najwyraźniej wciągnął Henry'ego, bo radośnie trajkotał dalej:

— Ale okazało się, że facet robi tylko dużo szumu i nic z tego nie wynika.

Ma kręćka na punkcie broszury, którą napisał podczas kampanii wyborczej Nowej Partii Pracy. A to nie są klimaty, które lubi Belinda...

Grace, zrobiłaś się zielona. Nic ci nie jest?

— Nie, świetnie się czuję, naprawdę — wymamrotała. — Od jak dawna są razem? — zapytała drżącym głosem.

— Chyba od niedawna — odparł Henry. — Z nią to nigdy nie wiadomo. Najwyżej jakieś dwa tygodnie.

Dwa tygodnie. Wydawało jej się, że nie widziała Siona od dwóch miesięcy, lecz najprawdopodobniej trwało to zaledwie trochę ponad tydzień. Od powrotu z Janavid. Czy to z powodu tej kobiety?

— Zabawne, co? — Henry ze śmiechem klepnął się w udo. — Chyba kropla przepelniła czarę, kiedy zaprosił ją na kolację.

Grace poczuła taką ulgę, że omal nie spadła z obitej materiałem w prążki kanapy. Więc to jednak nie Sion. Nigdy nikogo nie zapraszał na kolację.

— Wystroiła się w najlepsze ciuchy, myśląc, że idą do eleganckiego lokalu, ale okazało się, że kolacja miała być w jego mieszkaniu.

— W jego mieszkaniu? — wyszeptała Grace. Henry skinął głową.

— Nigdy nie zgadniesz, co dla niej przygotował — zarechotał Henry. —

Nawet ja lepiej bym się postarał, a w swoim czasie jadałem już świńskie oczy i prącia jaków, nie wspominając już oczywiście o ssaniu kamieni...

Co przed chwilą powiedziałaś?

— Omlet z marchewki — wymamrotała Grace. — Przyrządził jej omlet z marchewki.

— Nie do wiary. Skąd wiedziałaś?

— Przepraszam — powiedziała Grace zdławionym głosem, podnosząc się i wypadając z baru.

Gdy wywiad z księżną Thanet ukazał się w gazecie, Belinda celowo spóźniła się do pracy jeszcze bardziej niż zwykle. W końcu tylko idioci pojawiają się na miejscu przestępstwa w momencie, gdy ma ono zostać odkryte.

Wstępną zapowiedź, że wszystko poszło doskonale, uzyskała, gdy znalazła pierwszą zastępczynię naczelnego, pociągającą nosem w toalecie.

— To jakiś koszmar... — mówiła przez ściśnięte gardło Laura, której łzy napływały do oczu. — Nikt z nas nie rozumie, co się stało.

— A co się stało? — zamrugła niewinnie do lustra Belinda.

— Nie słyszałaś? O Mo?

Belinda przymknęła oczy, by ukryć tańczące w oczekiwaniu źrenice.

— Dopiero co przyszedłam do redakcji.

— Och, to straszne! — zawodziła Laura. — W materiale na

temat lady Thanet pojawiły się okropne błędy. Żaden z redaktorów ich nie dostrzegł.

A zatem nie dokonano żadnych zmian, pomyślała Belinda, zaciskając wargi, by nie roześmiać się głośno. Cały jej plan opierał się na tym, że niechlujnym współpracownikom Laury nie będzie się chciało niczego sprawdzić. Nie zawiedli jej, niech ich Bóg błogosławi.

— Tak łatwo było popełnić taki błąd... — Laura nałożyła tusz na swoje krótkie, grube rzęsy.

No pewnie, pomyślała Belinda. Zmiana imienia syna księżnej ze Staną de Monfort na Szatana de Monfort była kwestią paru sekund. Podobnie jak wprowadzenie dodatkowych uwag na temat firanek i ozdób w złym guście oraz fatalnego zachowania dzieci lady Thanet.

— Bo wiesz, materiał Mo jest zawsze doskonały i w ogóle nie wymaga sprawdzania — dodała Laura. — Nigdy przedtem nie popełniła błędu, przez trzydzieści lat... więc redaktorzy trochę sobie odpuścili.

— Oczywiście. — Belinda uśmiechnęła się uspokajająco do koleżanki. Laura westchnęła.

— Mówią, że Mo jeszcze bardzo długo zostanie w szpitalu. Belinda z trudem stłumiła skowyt radości.

— W szpitalu?

Laura popatrzyła na Belinę w lustrze.

— Nie słyszałaś? Dostała rozległego zawału w miejscowym kiosku, gdy zobaczyła swój wywiad. Najwyraźniej od lat miała słabe serce, ale chciała utrzymać to w sekrecie. Wiesz, że praca to dla niej wszystko. Szpital. Belinda miała ochotę zatańczyć kankana. Wyszło lepiej, niż się spodziewała.

— Tragiczne, co? A do tego księżna wytacza proces o zniesławienie Mo i gazecie. Ale wydaje mi się, że Mo, pisząc „Szatan z imienia, Szatan z charakteru” o chłopaku, który kopnął matkę i powybił okna, posunęła się za daleko.

Być może trochę mnie poniosło, pomyślała Belinda. Ale wtedy, gdy miała przed sobą monitor, półśrodki jej nie wystarczały. A wiadomość, że

Mo będzie miała kłopoty z działem prawnym, była jeszcze ważniejsza niż nowina o szpitalu. Właściciele gazet niechętnie płacili za zniesławienie. Belinda pamiętała, że poprzednik Kevina Graysona musiał oddać klucze do toalety dla dyrektorów po dziwnym i — jak się później okazało — w ogóle niemającym miejsca incydencie, w którym brali udział Swarfega, iguana, zakonnica i pierwszoligowy gracz w piłkę nożną. Wszyscy wytoczyli procesy i wygrali, z wyjątkiem iguany.

— Teraz chyba kłopot polega na tym — ciągnęła Laura, zaczesując siwiejące włosy z obu boków głowy — żeby znaleźć kogoś na miejsce Mo.

— Och... — Belinda usiłowała stłumić podniecenie w głosie. — Z tym nie będzie problemu.

Podeszła prosto do biurka Fran, redaktorki działu *Z życia*. Jej radosny uśmiech zupełnie nie pasował do otaczającej ją ponurej atmosfery. Można by pomyśleć, że ktoś umarł. Gdybyż tak naprawdę się stało. To byłoby eleganckie zakończenie sprawy.

— Pamiętasz naszą rozmowę na temat możliwości, jakie mogłyby się przede mną otworzyć, gdyby Mo kiedykolwiek odeszła? — zapytała, zwracając się do redaktorki *Z życia*.

Fran z rezygnacją uniosła wzrok.

— Chyba właśnie się otworzyły — oświadczyła triumfalnie Belinda. Belinda Black... — szczydził jakiś głos w głowie Grace. A więc rzeczywiście był ktoś inny. Tyle że Sion nie zdradzał jej z którąś z aktywistek z Penge ani nawet z jakąś usychającą z miłości słuchaczką prowadzonych przez siebie w sobotnie poranki kursów. Robił to z najbardziej niesympatyczną dziennikarką, kobietą o tak wygórowanych ambicjach, że, sądząc

z tego, co mówił Henry, Madonna była przy niej wzorem skromności. Pracownica brukowego pisma, reprezentującego wszystko, czym Sion, jak twierdził, najbardziej pogardzał. Najwyraźniej zmienił zapatrywania, gdy wydało mu się, że gazeta może popchnąć jego karierę — choć wyglądało na to, że Belinda Black wykorzystywała go tak samo jak on ją. „Taktyczne pierdolenie” pomyślała z wściekłością Grace, przypominając sobie słowa Henry'ego. Raczej „taktyczny pierdolony sukinsyn” — stwierdziła, z wściekłością skręcając za róg.

— Prze... praszam — wymamrotała, gdy wpadła na dwójkę turystów przed sklepem BBC. Spojrzeli na nią ze zdumieniem — jakaś szalona Angielka, mówiąca do siebie. Chyba rzeczywiście jestem szalona, pomyślała Grace. Musi taka być, skoro godziła się na to wszystko: na to, że Sion się nie pokazywał, na jego chamstwo, wyciąganie od niej pieniędzy, wykorzystywanie jej mieszczańskiego poczucia winy i czepianie się każdego drobiazgu — od sposobu, w jaki prowadziła rozmowę, po fakt, że zatrudniła sprzątaczkę. Można by rzec, że zrobił jej pranie mózgu, tyle że trudno było wyobrazić sobie piorącego cokolwiek Siona.

Z wściekłością uderzała pięściami w rozgrzany słońcem mur na Portland Place, wyobrażając sobie, że to twarz Siona. Była zbyt wściekła, by płakać, i oczy zaczęły kłuć ją z bólu.

Jak mogłam? — pomyślała, pocierając obolałe ręce i usiłując rozplątać poskręcane druty w swoim mózgu. Jak mogła: a) być taka głupia, b) nie zdawać sobie z niczego sprawy, c) tak się pomylić — mimo iż inni ją ostrzegali? Jej żołądek skurczył się, kiedy pomyślała, co powie lady Armiger, gdy się o wszystkim dowie. Jeżeli się dowie. Ale ona zawsze potrafiła odgadywać takie rzeczy, bez wątpienia wieść o tym w tej właśnie chwili wędruje do Wenecji w bagażu dyplomatycznym.

Komórka Grace zabręczała ostro w jej torebce. Jeśli to matka, która znowu dzwoni w sprawie tego przekłętego przyjęcia...

— Tak — odezwała się szorstko.

— Jak się masz, dziecko.

Sion. Ale sobie wybrał porę! I co za bezczelność. Ogarnął ją gniew, a potem zakłopotanie. Nie musiała go pytać, gdzie, do diabła, podziewał się przez cały ten czas. Wiedziała. Czego on chce?

Był wyraźnie rozluźniony.

— Taa... przepraszam, że przez pewien czas się nie widywaliśmy, ale wiesz, byłem zajęty.

— Tak — odparła Grace przez zaciśnięte zęby. — Wiem.

— Miałem mnóstwo spraw na głowie.

— Rozumiem. — Grace przypomniała sobie jego opis pełnego biustu Belindy Black.

— Ale najgorsze już się przewaliło.

Bo cię skreśliła, pomyślała Grace. Ten telefon nie był zwykłym zbiegiem okoliczności. Pewnie mu się wydaje, że wszystko może być tak jak dawniej.

— Więc sobie pomyślałem...

— Co? — warknęła Grace.

— ...że może jesteś wolna dziś wieczorem.

— Żeby go tanio spędzić? — zapytała. Mimo przygnębienia czuła dumę z tej kwestii.

Sion jednak zignorował tę uwagę.

— Przyszedłbym, ty byś coś ugotowała, obejrzelibyśmy wideo. Znowu spędzilibyśmy razem trochę czasu. Dawno już ze sobą... — Miał niski, pieszczotliwy głos.

Przynajmniej z miesiąc, pomyślała Grace. Kiedyś jej żołądek podskoczyłby z radości na myśl o seksie z Sionem. Teraz jednak był zaciśnięty i czuła w ustach kwaśny smak.

— Odpieprz się — syknęła, ale była już tylko znużona, nie zła.

— No dobrze. Jeśli to ci me odpowiada, możemy gdzieś pójść. Urządzają disco solidarności w...

_ To już koniec, Sion. — Kiedy wypowiedziała wreszcie

te słowa, poczuła dziwny spokój. Po chwili dodała: — Więcej do mnie nie dzwoń.

Nacisnęła czerwony przycisk „Rozmowa skończona”. Wszystko skończone. Gdy wróci do domu, zapakuje rzeczy Siona do torby na śmieci i odda jakiejś organizacji charytatywnej, choć większość z nich właśnie stamtąd pochodziła.

Wsunęła komórkę do torby, czując się tak, jakby wzburzone morze wyrzuciło ją właśnie na brzeg. Była zmęczona, ale spokojna. I pełna wdzięczności. Gniewny szum ucichł w jej uszach. Zauważyła nagle, jak piękny i słoneczny jest ten dzień.

Ruszyła ulicą. W końcu teraz nie ma przeszkód, pomyślała. Może wrócić do baru hotelowego i wytłumaczyć wszystko Henry'emu, wyjaśnić nieporozumienie. Przyspieszyła kroku, a gdy dotarła do hotelu, prawie wbiegła po schodach wyłożonych czerwonym dywanem, mijając portierów w cylindrach. Ale Henry Moon już wyszedł z baru.

— Mam wspaniałe wieści — oznajmiła radośnie Ełlie, gdy Grace wróciła do biura.

— Naprawdę? — Jediną dobrą wieścią, która przyszła Grace do głowy, byłoby to, że Sion pływa razem z rybami w Tamizie. Oczywiście w stylu *Ojca chrestnego*.

— Taa... — mruknęła Ełlie, rzucając jej pytające spojrzenie. — Słuchaj, kiedy wyszłaś, dzwonił z *Wieczoru ty godnia na żywo...* wiesz, tego programu dyskusyjnego na temat bieżących wydarzeń, i prosili o gadające głowy na koniec tygodnia. Zaproponowałam, żeby zaprosili Euphemię. I, o dziwo, zgodzili się.

Grace odczuła mglistą ulgę. Wreszcie nadarzyła się sposobność zareklamowania Ogden. I to w telewizji. Niezależnie od innych nieszczęść, które na nią ostatnio spadły, Euphemię będzie miała z głowy. Przynajmniej na razie.

— To dobrze — odparła, starając się okazać więcej entuzjazmu, niż w istocie czuła.

— Mam też gorszą wiadomość — dodała Ełlie. — Otrzymałam kolejny telefon od Belindy Black. Niestety nie może przeprowadzić wywiadu z Cylindrią.

— Dlaczego?

— Bo już nie robi *Przerwy na herbatę*. Przejęła kolumnę Mo Mills, póki się jej nie polepszy. Do wywiadów Mo Mills potrzebne są grube ryby, a Cylindrią to płotka. Czy wiesz, kogo zaprosiła?

Grace wzruszyła ramionami.

— Kogo?

— Champagne D'Vyne. — Ellie przewróciła oczami. — Żałosne, co? Brytyjska supergwiazda, przyjaciółka rodziny królewskiej, supermodelka, aktorka, gwiazda filmowa... — Wykrzywiła się. — Jest sławna z tego, że jest sławna. Pamiętasz, co o niej pisał „Sun”? Nazywał ją „gwiazdą z gwiazdami w rajstopach”, bo tylko ona pokazywała się ze słynnymi osobistościami.

Grace skinęła głową. Chyba powinna być wściekła ze względu na Cylindrię, ale jej zbiornik wściekłości był w tej chwili pusty.

— Myślałam, że pojechała do Hollywood — odparła apatycznie, usiłując wzbudzić w sobie poczucie żalu do Belindy Black. Powinno jej to łatwo przyjść. Nigdy jej nie widziała, a jednak ta kobieta najwyraźniej postanowiła zniszczyć jej karierę, rozwalając przedtem jej związek z Sionem.

— Owszem, pojechała — odparła Ellie. — Z tym producentem filmowym, z którym zaczęła się spotykać, kiedy zerwała z Mattem Locke.

— Casting na tapczanie — mruknęła Grace, przypominając sobie, ile miejsca poświęcały wszystkie gazety wspinaniu się Champagne po drabinie kariery. Ta kobieta była magnesem dla czytelników, wszystko, cokolwiek zrobiła, przyciągało uwagę. Z pewnością o wiele większą niż biedna stara Cylindrią w praktycznych tweedach — nawet ze swoją umiejętnością obierania banana nożem i widelcem.

Można było się założyć, że Belinda Black sięgnie po kogoś tak oczywistego, pomyślała Grace, daremnie usiłując się nakreślić. Coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę, że żal, który czuła po zerwaniu z Sionem, niewiele ma wspólnego z biuś-

ciastą żyłeta. A poczucie straconej możliwości dotyczyło czegoś więcej. Ale niby dlaczego Henry miałby siedzieć w barze i czekać na jakąś niekompetentną kierowniczkę działu prasowego, która nie potrafi zorganizować nawet wywiadu radiowego? — rozważała Grace po drodze z biura do autobusu. Zastanawiała się też, czy Henry domyślił się związku pomiędzy historyjką, którą opowiadał, i jej chłopakiem. Byłym chłopakiem, dodała stanowczo w myśli.

— Raczej casting w wózku na kółkach — stwierdziła zjadliwie Ellie. — Ten producent ma około dziewięćdziesiątki. Champagne mówiła, że zrobi z niej wielką osobistość. Ale nie musiał. Już była wielka... przynajmniej w cychach — dodała, zerkając na swój własny, sztucznie powiększony biust. — Nie pamiętasz? Zawsze twierdziła, że nie jest jeszcze gwiazdą pierwszej wielkości.

— Więc dlaczego wraca? — zapytała Grace, choć już zupełnie straciła zainteresowanie dla tej sprawy.

— Dostała rolę w nowym filmie Guya Ritchiego *Betonowe buty*. Ma w nim epizod Red Champion, gra gangstera czy kogoś takiego. Najwyraźniej Madge i Guy są teraz jej nowymi najlepszymi przyjaciółmi.

— ...mówi, że zwróciła się w stronę duchowości i stała się prawdziwą Kalifornijką. Zajęła się jogą asztanga, kabałą, takimi rzeczami... Grace nie słuchała. Zagubiła się we mgle nienawiści do samej siebie. Za jaką straszną idiotkę musi ją uważać Henry Moon... Bez wątpienia teraz do wcześniejszego przekonania, że jest dziwką i niekompetentną pracownicą działu reklamy, dodał jeszcze i to, że jest wariatką. Ale kto mógłby go za to winić? Oprócz tego, że wykazała niewątpliwą chwiejność emocjonalną, patronowała tyłu katastrofom reklamowym, że Sarah, księżna Yorku, wydawała się przy niej osobą niezwykle odpowiedzialną. Lepiej dla nas obojga będzie, pomyślała z bólem, jeśli już nigdy się nie spotkamy.

— Och, zapomniałam ci powiedzieć o czymś jeszcze... — wskoczyła w jej ponure rozmyślenia Ellie. — Chodzi o *Wieczór tygodnia na żywo*. Chcieli więcej niż jedną osobę, więc zaproponowałam Henry'ego Moona. Mam nadzieję, że to dla ciebie żaden kłopot wziąć go ze sobą do studia. Wystarczy miejsca, jeśli Euphemia zrobi wydech.

Rozdział 9

Udało mi się, pomyślała z uniesieniem Belinda. Dostałam wywiady Mo Mills. Na tak długo, dopóki ta stara prukwa nie wyzdrowieje. Tyle że do tego nigdy nie dojdzie, przysięgła sobie. Kiedy Mo zobaczy, co zrobiłam z jej kolumną, szlag ją trafi w ciągu dwóch tygodni.

Rozchylając szczupłe uda pod pikowaną spódnicą, wsunęła palec w swą ciepłą i chętną wilgoć. Przesuwając pozostałymi palcami po wargach sromowych, zaczęła delikatnie pocierać śliską, ciepłą łechtaczkę, odginając plecy do tyłu, podczas gdy jej dłoń muskała miękki wzgórek, starannie wydepilowany woskiem. Jej pas do lądowania. Teraz tylko potrzebowała kogoś, kto by na nim osiadł. Najlepiej kogoś z prywatnym odrzutowcem.

Do tego czasu jednak... Belinda westchnęła lekko, gdy zaczęło narastać w niej znajome, słodkie napięcie. Niebawem zwabi bogacza swoich marzeń. Kogoś fantastycznie sławnego i bajecznie bogatego. Bardzo by jej się ktoś taki przydał — ostatni list z banku dawał do zrozumienia, że jej sytuacja finansowa nie jest najlepsza. Człowiek, który zajmował się jej finansami, zawsze pytał, jakie Belinda ma szanse na awans, najwyraźniej uważając, że *Przerwa na herbatą* nie jest zbyt obiecująca. Ale teraz to zupełnie inna para kaloszy, pomyślała Belinda. Jest nadzieja na złowienie grubej ryby.

Możliwości są nieskończone. Czyż Clint Eastwood nie poślubił Diny wkrótce po wywiadzie, jaki z nim przeprowadziła? Czyż Keeley Shaye nie poznała Pierce'a Brosnana podczas wywiadu w telewizji? A ich ślub zajął całe wydanie „Hello!”. Nawet Tim Henman ożenił się z dziennikarką, na miłość boską. Paula Yates też spiknęła się z Michael'em Hutchence'em po rozmowie w telewizji, choć może akurat ona nie stanowi najlepszego przykładu.

Znowu ogarnęło ją podniecenie. Nareszcie dni szampańskich pomysłów i pieniędzy, za które można najwyżej kupić lemoniadę, skończą się raz na zawsze. Szampańskie pomysły nadal będą rodzić się w jej głowie, ale teraz będzie mogła je urzeczywistnić. Wargi Belindy wykrzywiły się w uśmiechu. Nikogo tak bardzo nie pragnęła zaprosić jak Champagne D'Vyne, zwłaszcza na otwarcie. Kobietę, której sława — nie wspominając już o ego — była odwrotnie proporcjonalna do talentu. Kobietę, która wyskoczyła z bluzki na meczu polo wprost przed księciem Karolem, odnosząc sukcesy, których pnąca się w górę krzywa dorównywała zarysowi jej słynnego biustu. „I kosze z szampanem, i walczyk nad ranem...” — zanuciła Belinda. Ale tu nie chodzi o walczyk. Czy może być coś bardziej irytującego niż kobieta, która wdarła się na sam szczyt przy użyciu nieczystych metod?

Jakby tego było mało, Belinda przeczytała w prasie amerykańskiej kilka artykułów o tym, jak to mająca niegdyś obsesję sławy Champagne D'Vyne odnalazła w Los Angeles harmonię duchową, odcięła się od burzliwej przeszłości i zajęła swoim wnętrzem, zamieniając uciechy cielesne na medytację, a pobudzające umysł narkotyki na ćwiczenia wspomagające rozwój duchowy. „Obecnie moim największym osiągnięciem jest dokonywanie maleńkich zmian w życiu innych ludzi — mówiła aktorka. — Zajmuję się kabałą już od roku i jej nauki wywołały ogromne zmiany w moim spojrzeniu na świat”. Pewnie dostała zęza, pomyślała Belinda.

A jednak denerwująca szczęśliwa passa Champagne trwała nadal. Czyż nie dostała roli w nowym filmie Guya Ritchiego? W filmie, w którym najpopularniejszy obecnie i najbardziej pożądany na liście rozmówców Belindy gwiazdor, Red Campion, miał zagrać jako gangster. Biorąc pod uwagę liczbę znanych i sławnych mężczyzn, których Champagne zaliczyła jako swoich małżonków, istnieje ogromna szansa, że wyładują razem w łóżku. Na tę myśl Belindę ogarnęła zazdrość. To bez wątpienia tłumaczyło, dlaczego głośno odtrąbiony powrót Champagne z Hollywood sprawił, że bokserki Kevina Graysona w jednej chwili skreśliły się w kłębek i zażądał od Belindy wywiadu na wyłączność.

Muszę się zająć załatwieniem tej sprawy jutro z samego rana, postanowiła z niechęcią Belinda. I pomyśleć tylko, że uciekła z *Przerwy na herbatę* i nudnych wywiadów z osobkami w rodzaju Śmierdziuszki Cheshire, by rozpocząć karierę na nowej kolumnie od materiału na temat takiego arcyzera jak Champagne D'Vyne. Przy niej Śmierdziuszka Cheshire to Germaine Greer. Belinda poczuła, że jej podniecenie opada. Myśl o Champagne D'Vyne zniechęciłaby ją do seksu z każdym. Nawet z samą sobą.

Następnego ranka siedziała w sali recepcyjnej Garage, ekskluzywnego hotelu na West Endzie, otwartego zaledwie przed paroma tygodniami. To tu, jak ją poinformowała asystentka Champagne, kobieta o imieniu Brandy i ostrym głose, jej pracodawczyni zakwaterowała się na czas remontu ogromnej kamienicy w Notting Hill, którą, jak głosiła wieść, właśnie niedawno kupiła.

— Notting Hill? — upewniła się Belinda, zawsze węsząca za pieniędzmi.

— To najmodniejsza dzielnica.

— Przypominam pani — warknęła asystentka — że panna D'Vyne zrobiła wielką karierę w Ameryce. Jej gościnny występ w *Przyjaciółkach* okrzyknięto...

— A tak, oczywiście. Właśnie o tym chcę z nią porozmawiać. Skrócili jej umowę, zgadza się?

— Nic podobnego.

— Ale czy początkowo nie miała występować w całym serialu? A tu nagle, już w drugim odcinku, Chandler przypadkiem potrącił ją od tyłu i przejechał. Dlaczego tak się stało?

— Panna D'Vyne nie chce rozmawiać o swojej karierze. W tym wywiadzie ma ją pani pytać o jej duchowość. Ostatnio stała się bardzo uduchowioną osobą.

Może taka „uduchowiona osoba” musi być także niepunkt-tualna? — pomyślała z irytacją Belinda. Choć zgodnie ze swymi zasadami przysłała kwadrans później na umówione spotkanie, Champagne, ku jej wściekłości, spóźniała się jeszcze bardziej.

Czemu nie sączę teraz margarity na patio rezydencji Eltona Nice'a albo nie objeżdżam Los Angeles, siedząc na fotelu pasażera jednego z trzech identycznych bentleyów Toma Cruise'a? — myślała z goryczą. Powinna plotkować z Gwynnie o Madonnie i o Madonnie z Gwynnie, a nie sterczeć w hotelowej poczekalni niczym porzucona walizka.

Spoglądała bez entuzjazmu na betonowe filary, mające „przydać recepcji klasycznej atmosfery lat siedemdziesiątych”. Według niej długie nylonowe firanki, zasłaniające wszystkie okna, nadawały hotelowemu foyer raczej wygląd kaplicy przy domu pogrzebowym. Stał tu tylko pokryty purpurową satyną szezlong, na którym siedziała, oraz kanapa, a jedyną ozdobą był duży, kiczowaty portret Elvisa w przeładowanej ornamentami, złożonej plastikowej ramie i ogromne akwarium. Drugie, nieco mniejsze, stało na biurku recepcjonistki, za którym siedziała znudzona anorektyczka ze słuchawkami na uszach.

Belinda niechętnie powróciła wzrokiem do amerykańskiego wywiadu Champagne, w którym gwiazda opowiadała, jak świeżo odkryta wiara w starożytną mądrość zachęciła ją do naprawy grzesznego życia, z którego dotąd słyszała. „Zamiast je kompletnie marnować, tracąc mnóstwo energii na plecenie bzdur,

teraz zatrzymuję się i zadaję sobie pytanie: »Czego mogę się z tego wszystkiego nauczyć?«

Belinda podniosła się i weszła do Caff, restauracji hotelu Garage, by przejrzeć kartę dań. Znalazła na niej risotto rybne, purée z kielbasek, *tagliatelle*, czyli konserwową wieprzowinę z keczupem i ciemnym chlebem, oraz pudding na margarynie, a że nie jadła jeszcze śniadania, stwierdziła nagle, że pochłonęłaby to wszystko.

Czas ciągnął się niemiłosiernie, więc zaczęła szkicować wstęp do swego materiału.

Z pięciu czy sześciu ekskluzywnych londyńskich hoteli Garage jest bez wątpienia najmodniejszy, wiadomo, że to właśnie tutaj spotykają się niemal wszyscy idole współczesnego świata — mediów, muzyki, filmu, mody i pieniędzy. W każdym pokoju znajduje się zawieszony na linach nad małym okrągłym ogródkiem zen materac oraz stare dobre komputery AppleMac, a na ścianach z błękitnego szkła wyświetlany jest dalajlama i fragmenty wybranych filmów pornograficznych. Drzwi wszystkich hotelowych pokoi, wzorowane na drzwiach wiktoriańskich więzień, noszą nazwiska najgłośniejszych przestępców. Gdzieś nade mną, w prezydenckim apartamencie, zamieszkuje Champagne D'Vyne, która niedawno powróciła do stolicy, by zagrać w filmie Guya Ritchiego *Betonowe buty...*

— Cy mogę pani w cymś pomóc? — usłyszała nagle nad sobą.

Kiedy uniosła wzrok, ujrzała młodego człowieka z kocią bródką, liczącego sobie jakieś dwadzieścia pięć lat i noszącego żółte lotnicze okulary przeciwsłoneczne. Młodzieniec uśmiechał się do niej — z obłudną zażyłością, jak uznała. Zarejestrowała jego obecność już wcześniej, dzięki intensywnemu zapachowi płynu po goleniu, który rozchodził się od niego, gdy kręcił się w okolicach recepcji, usiłując zwrócić na siebie jej uwagę. Popatrzyła na niego z niechęcią. Miała na sobie nową obcisłą,

skórzaną sukienkę mini od Versace, nowe szpilki i dobrane do nich najmodniejsze kabaretki. Czyżby wziął ją za prostytutkę?

— Wszystko w porządku — warknęła. Poza tym, że powinnam już być w połowie wywiadu, a nawet nie wezwano mnie jeszcze do apartamentu Champagne, pomyślała.

— Jest pani dziennikarką, tak? — Młody człowiek błysnął dwoma rzędami olśniewających zębów. — Jestem Olivier, zastępca dyrektora. Możę w casie, kiedy pani ceka, chciałaby pani obejrzeć trochę hotel? Pewnie się to pani przyda, żeby pokazać tło.

— Nie mam czasu — odparła Belinda, obrzucając go lodowatym spojrzeniem. Nie ma zamiaru reklamować tego hotelu w wywiadzie. Jeśli Champagne D'Vyne ma wesprzeć czyjąś karierę, to wyłącznie jej. Olivier w odpowiedzi znowu błysnął zębami.

— Co za szkoda — odparł. — Tak baarzo chciałem pokaazać pani mój cudowny hotel. Mam obseesję na jego punkcie. Wsyystko w nim jeest doskonale. Wsyistkie żarówki zatwierdzone są przez urząd do spraw elektryfikacji i dostosowane do nastroju uzyytownika. Każda jest dziełem stuki i została wykonana przez zespół ziemieślników z historycznego wiedeńskiego okręgu Bratwurst. Oferujemy gościom susi przez dwadzieścia cztery godziny, w połączeniu z systemem wczesnego ostzegania Fylingdales...

— Z pewnością nawet sfluczki w toalecie zostały wyprodukowane przy użyciu przeciwpociskowego systemu obronnego z *Wojen gwiezdnych* — zasyczała Belinda.

Olivier wyglądał na przestraszonego.

— Oowszem. Skąd pani wiedziała? To tajemnica zawodowa.

— Jestem jasnowidzem, tak jak moja babka — oznajmiła Belinda, przypominając sobie, co wygadywała jej sprzątaczką. Ta cholerna baba uważała, że z jakiegoś powodu obdarzona jest tajemnymi mocami.

„Wolałabym, żebyś wykorzystywała je w łazience” — warczała Belinda, ilekroć znowu pojawiał się

ten temat. Niektórzy ludzie zrobią wszystko, by wydać się interesującymi.

Olivier znowu zaczął zachwalać swój hotel:

— No dobrze, więc łóżka skonstruowano przy pomocy technologii najnowszej inteligentnej broni, by przystosowały się do kształtu ciała gościa, kiedy śpi. Spałem we wszystkich. Ksesła wykorzystują zasadę rozszepienia nuklearnego, żeby siedziała pani najwygodniej na świecie, a też wypróbowałem je wszystkie. Jadłem ze wszystkich talerzy, piłem ze wszystkich szklanek...

— Naprawdę? — zamruczała Belinda, rzucając mu jeden ze swoich najbardziej uwodzicielskich uśmiechów. — W takim razie muszę chyba wysłuchać jeszcze paru twoich opowieści — dodała z gryzącą ironią, po czym z pogardą patrzyła, jak Olivier, wzruszając ramionami, z ukłonem i niezmiennym uśmiechem, odpywa do hotelowego foyer.

Spojrzała na zegarek. Co się, do diabła, dzieje tam na górze? Minęło czterdzieści minut, odkąd się tutaj pojawiła. Czy Champagne D'Vyne nie rozumie, że czas, przyплыw ani Belinda Black z „Globe” nigdy na nikogo nie czekają?

Wstała i podeszła do ozdobionego akwarium recepcji. Ledwo zdążyła powiedzieć: „Czy może pani zapytać...” — gdy tuż za nią rozległ się zjadliwy głos o amerykańskim akcencie. Głos, który, jak się wydawało Belindzie, gdzieś już słyszała.

— Muszę złożyć. Poważną. Skargę.

Po chwili zidentyfikowała go. Należał do Brandy, asystentki Champagne D'Vyne. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, rozległ się szum, niczym uderzenia skrzydeł, po czym owiał ją mocny zapach płynu po goleniu. To Olivier powrócił do recepcji.

— O co chodzi, *madame!*

— Mamy poważną. Skargę. Co do apartamentu panny D'Vyne.

Mówiąca te słowa filigranowa farbowana blondynka nieco po dwudziestce, na wysokich szpilkach, przeszywała Obviera wzrokiem. Belinda wypięła pierś i w duchu wyostrzyła łokcie. Tej kobiecie wydaje się, że kim jest, do diabła?

— Poważną skargę? — Z twarzy Obviera biło zdumienie. Można było wnosić, że częściej zdarzało mu się widywać w recepcji objawienie Najświętszej Panny.

Belinda już miała z wściekłością uderzyć w blat biurka, na którym stało akwarium, rozmyśliła się jednak. To może być interesujące.

— Jeśli można go nazwać. Apartamentem — dodała Brandy.

— Ale co można mu mieć do zazucenia? Blondynka rzuciła mu arktyczne spojrzenie.

— Deska do prasowania.

— Deska do prasowania? — powtórzył zdziwiony Olivier. — Jest w każdym pokoju. Nawet w apartamentach. Zajrzała pani do szafy?

Blondynka skinęła głową.

— Zajrzałam — syknęła.

— A zatem ma pani deskę do prasowania. I żelazko? — upewnił się Olivier.

— Owszem, mamy.

— Aha... — Olivier wyglądał na skonfundowanego, ale trudno było to stwierdzić na pewno, bo jego twarz pozostała nieruchoma. Botoks? — zastanawiała się Belinda. — Chce pani powiedzieć, że nie działają? — zapytał po chwili.

— Działają.

— Więc co w nich złego?

— To w nich złego — wyrzuciła z siebie blondynka wark-liwym głosem — że tam są. Nie powinny być w apartamencie. To po pierwsze.

Champagne D'Vyne. Nie prasuje. Sama. Gniewa ją nawet przypuszczenie. Że mogłaby to robić. Jest bardzo. Zdenerwowana. Tą sprawą.

W mózgu Belindy coś zaskoczyło, gdy sobie przypomniała jedną z wypowiedzi aktorki. „Zamiast kompletnie się zatracać, marnując mnóstwo energii, teraz się zatrzymuję, by zapytać: »Czego się mogę z tego nauczyć?«". Czyżby przemiana Champagne D'Vyne nie była tak głęboka, jak twierdziła?

— *Madame* — mówił z przejęciem Olivier — staraliśmy

się wypełnić wszystkie życzenia panny D'Vyne. Zastąpiliśmy dywan w jej apartamencie bzozowymi deskami, więc gdy ćwicy jogę, nie musi witać wschodzącego słońca na naszym firmowym kudłacu. Ustawiliśmy w pokoju białe kanapy. Poprosiliśmy kościół obok, by nie dzwonili, ponieważ zakłóca to jej duchową harmonię...

— Owszem — wycedziła osobista asystentka Champagne D'Vyne. — Wszystko było dobrze, dopóki nie przysłano śniadania. Krewetki nie były dokładnie tej samej wielkości...

— Dziś rano chef przysłał jednocześnie etery firmowe śniadania, gdyż nikt z otoczenia panny D'Vyne nie mógł odgadnąć, co będzie chciała zjeść — bronił się Olivier. — I doszło do awantury, bo mleko nie było dość gorące. — ...i szampan — dodała Brenda. — Zła marka... Belinda miała ogromną ochotę natychmiast chwycić pióro.

Z każdą minutą brzmiało to mniej duchowo. Może wywiad z Champagne D'Vyne okaże się zabawniejszy, niż się spodziewała.

— Potem musieliśmy pzenieść innych gości na następne piętro, gdyż koordynatozy atmosfery panny D'Vyne powiedzieli nam, żebyśmy wyłączyli klimatyzację.

Zanim Brandy zdążyła odpowiedzieć, Belinda wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się swoim najbardziej ujmującym uśmiechem.

— Rozmawiałyśmy już wcześniej. Jestem Belinda Black z „Globe”.

Umówiłam się na spotkanie z panną D'Vyne.

Brandy skierowała na nią spojrzenie zimnych, na pół przymkniętych oczu.

— Więc gdzie się pani podziewała, do diabła? — warknęła. Belinda chyba po raz pierwszy w życiu była zbyt zdumiona, by odpowiedzieć.

Brandy nie odzywała się, gdy razem wjeżdżały do apartamentu Trish Yates. Winda, tak jak informowała broszura, miała szklane ściany w różnych kolorach, odpowiadających różnym nastrojom pasażerów.

Belinda przypomniała sobie, że

czarny miał być dla przygnębionych, żółty dla szczęśliwych, a czerwony dla pożądlivych i zawistnych. Poczwała się zbita z tropu, poniewaŹ, podczas gdy po stronie Brandy dominowała burzliwa czerń, przy jej boku, dokładnie odpowiadając jej zamiarom, płonął gorący cynober. Starala się go zakryć swoim ciałem i poczuła ulgę, gdy winda dotarła do celu.

— Belinda Błock — oznajmiła Brandy, otwierając drzwi w więziennym stylu, znajdujące się naprzeciwko windy.

— Black — poprawiła ją Belinda i zatoczyła się do tyłu, gdy od wejścia z siłą tsunami buchnęła potężna fala jaśminowego kadzidelka. Zamrugala załzawionymi oczyma w promiennym świetle dnia, odbijającym się od ogromnej białej kanapy i jasnych desek podłogi. Wszystko wokół wydawało się tak jasne, Źe z początku trudno było dostrzec znajdujących się w pokoju ludzi. Gdy oczy Belindy przywykły do blasku, udało jej się rozpoznać ubraną całkowicie na biało postać, siedzącą na środku rozświetlonej podłogi.

Champagne D'Vyne nie siedziala jednak zwyczajnie. Jej szczupłe ręce były przyciśnięte do ciała, a długą, okrytą białą tkaniną nogę wykręciła do góry, przez łokieć i za głowę, i założyła na ramiona. Ale nawet mimo tej niewygodnej pozycji miała pogodny wyraz twarzy i błogi uśmiech błędził na jej wargach.

W Belindzie wezbrała zazdrość, gdy ujrzała, jak idealnie piękna jest ta nedorzecznie powykręcana kobieta. Ciało Champagne było długie i gibkie jak ciało tancerki, ale piersi miała znacznie większe niż Belinda. Choć najwyraźniej niczym nie podtrzymywane, sterczały z wąskiej klatki piersiowej aktorki niczym para piłek. Ubrana była w workowate spodnie od dresu i biały obcisły top, który rozciągał się wokół piersi i kończył jakieś trzydzieści centymetrów nad talią, odsłaniając brązowy, muskularny brzuch i płaski pępek, ozdobiony srebrnym kółkiem. Nosiła pierścionki na palcach obu rąk i nóg — srebrne i błyszczące, nasuwające myśl, Źe istnieją granice ascetyzmu.

Włosy w kolorze bladego złota spływały na jej ramiona, a na delikatnej twarzy o kremowej cerze i wysokich kościach policzkowych — ozdobionej tylko małym diamentem między brwiami — nie było ani jednej zmarszczki, skazy czy pryszczka. Krótko mówiąc, Champagne obdarzona była urodą, jaką Belinda mogła sobie jedynie wyobrazić. W dodatku wyglądała tak naturalnie, jakby nie kosztowało jej to ani odrobiny wysiłku. Sprawiała wrażenie nieskażonej nawet cieniem makijażu.

— Siadaj — zazgrzytała Brandy. — Masz dziesięć minut.

Dziesięć minut! A obiecano jej czterdzieści! Belinda odwróciła się, zamierzając zaprotestować, ale zrezygnowała, widząc zdecydowaną minę asystentki. Stukając wściekle obcasami, podeszła do jednej z kanap.

— Nie tutaj — warknęła Brandy. — Tam. — Wskazała na podłogę naprzeciwko Champagne.

Belinda, która nie siedziała na podłodze od czasów przedszkolnych, z trudem opadła na dół, jej gołe kolana z łomotem uderzyły o podłogę, a obcisła skórzana minisukienka boleśnie werżnęła się w uda. Miała tylko nadzieję, że nikt jej nie każe założyć nogi za głowę.

Champagne nadal miała zamknięte oczy. Czyżby zatopiła się w kontemplacji uniwersalnych prawd? — zastanawiała się Belinda. A może jest po prostu odurzona niemal obezwładniającym połączeniem aromatu kadzidełka, dymu migających świec zapachowych, rozstawionych na podłodze, i duszącej woni białych lilii, stojących w ogromnych wazonach na każdym okiennym parapecie?

Borykając się z natłokiem wrażeń zmysłowych, Belinda zastanawiała się, jakie by tu zadać pierwsze pytanie.

— Panno D'Vyne, czy mogę wiedzieć... — zaczęła. Oczy Champagne otworzyły się na moment. Belinda poczuła, że zielone oczy aktorki w ciągu paru sekund obrzuciły spojrzeniem całe jej ciało i zabłyśły jak lasery. Po chwili lekkie szyderstwo uniosło idealnie zarysowaną górną wargę.

— Taa...?

— ...dlaczego trzyma pani kamyczki pomiędzy palcami nóg? Oczy Champagne rozszerzyły się z pełną zdumienia pogardą.

— Dlatego, że jestem duchem.

Belinda zjeżyła się, słysząc tę idiotyczną odpowiedź, ale postanowiła nie okazywać rozdrażnienia. Jeśli Champagne dalej będzie się tak zachowywać, dostanie za swoje, gdy artykuł ukaże się w gazecie.

— Duchem? A co to takiego?

— Po prostu duch — syknęła Champagne, z irytacją przewracając oczyma. — Jestem duchem.

— Och... — Belinda zamruwała. — Rozumiem.

— A to — dodała Champagne, zginając nogę za głowę — jest moją Rdzennie Amerykańską Kuracją Gorącymi Kamieniami. Chociaż już zrobiły się cholernie zimne — stwierdziła z wściekłym warknięciem. — Petsy! — zawołała i mocno klasnęła w dłonie.

Z przyległego pokoju, który, jak zauważyła Belinda, pełen był ubranych na biało ludzi, wybiegła drobna ciemnowłosa dziewczyna o rękach pokrytych tatuażami z henny i zaczęła wyciągać kamienie spomiędzy palców Champagne. Gdy to robiła, z oczu Champagne zaczęły nieoczekiwanie spływać łzy.

— Czy to boli? — zapytała zdumiona Belinda. A może, zastanawiała się, gdy aktorka głośno kichnęła, to katar sienny?

— Oczywiście, że nie — warknęła Champagne. — Nie wie pani, że płacz pobudza *chi* i uszczęśliwia serce?

Mimo iż Champagne nadal zachowywała się niegrzecznie — czy może właśnie dlatego — Belinda poczuła, że ogarnia ją podniecenie. Wszystko to razem było dużo lepsze — albo dużo gorsze — niż mogła się spodziewać. Po paru banalnych pytaniach na temat diety Champagne — przy której układaniu brano pod uwagę przede wszystkim alergię gwiazdy — Belinda zainteresowała się ludźmi w bieli, tłoczącymi się w sąsiednim pokoju.

— Kim oni są?

— To mój personel — oznajmiła Champagne. — Guru od

paznokci, guru od włosów, guru holistyczny, guru kinezyjologiczny, guru od feng shui, guru od stylu, guru od rozwoju osobowości... to on depiluje mi woskiem nogi. — Ziewnęła. — Och, i oczywiście mój guru guru.

— Guru guru? — powtórzyła zafascynowana Belinda. — A co on robi?

— Udziela mi rad co do innych guru — odparła Champagne, patrząc na nią jak na ostatniego matoła.

Belinda, której było okropnie niewygodnie, przesunęła się na podłodze.

— Proszę mi opowiedzieć o swoim przebudzeniu duchowym. O tym, jak odkryła pani kabałę.

— Taa... — Lodowate zielone oczy Champagne zamieniły się teraz w jeziora szczerości. — Chcę, żeby pani to wszystko zanotowała. Wie pani, jestem teraz osobą bardzo uduchowioną. Niezwykle uduchowioną.

— Czy to prawda, że zapoznała z tym panią Madonna?

— Taa. Stara, kochana M.

— Jak to się stało? — indagowała Belinda. Champagne wyciągnęła swoje długie, kształtne ramiona.

— Gawędziłyśmy sobie któregoś dnia... chyba w Skibo, o ile dobrze sobie przypominam... i wtedy zapytałam ją, czy zna jakichś dobrych kamieniarzy. A potem znalazłam się w Los Angeles, gdzie opowiedziano mi o moich ty-konach.

— Tykonach? — Pewnie ma to coś wspólnego z tykaniem, pomyślała Belinda. — Jakich tykaniach?

— Tykonach — poprawiła ją z naciskiem Champagne. — To zmiany, które musimy wprowadzić do swojego poprzedniego życia, by móc się rozwijać.

— Ach, tak — mruknęła Belinda. — Rozumiem.

— Moim głównym tykonem jest „wiara”. Wierzę, że wszystko zmienia się z jakiegoś powodu...

Z pewnością, pomyślała Belinda, uśmiechając się do siebie zjadliwie, gdy przypomniła sobie rozmowę Ołiwiera z Brandy.

Wszystkie zmiany, jakich dokonano w hotelu na żądanie Champagne, bez wątpienia miały określony powód.

— ...że na większość spraw nie mam wpływu... Belinda rzuciła okiem na jej świętę. Jeśli się weźmie pod uwagę liczbę jej służących, kwestia wpływu jest względna.

— ...i muszę zawsze pozostać wolna i lekka...

Belinda zanotowała to, uśmiechając się ironicznie pod nosem.

Champagne bez wątpienia dostała swój pokój hotelowy gratis. I z pewnością była lekka —jakieś czterdzieści pięć kilogramów, choć jej piersi musiały ważyć przynajmniej po dwa kilo każda.

Pojawiła się kolejna asystentka z małą miseczką.

— Kuracja gorącym olejem — wyszeptała i zaczęła wmasowywać go w cudownie gładkie czoło Champagne.

Belinda postanowiła zmienić taktykę.

— Jakiś czas pani nie było, panno D'Vyne — powiedziała ze sztucznym uśmiechem. — Jak, pani zdaniem, widzą panią teraz Brytyjczycy?

Champagne dramatycznym gestem odrzuciła włosy.

— Opuściłam Wielką Brytanię, będąc znakomitością — oznajmiła. — Ale wróciłam... jako gwiazda.

Ego tej kobiety przechodziło wszelkie wyobrażenie. A wielkie kawały szczęścia, które wręczał jej szczęśliwy los, nawet jeszcze bardziej.

Belinda czuła, że podeszwy stóp swędzą ją z zazdrości. Ale musi zadać to kluczowe pytanie. Nie miała na to ochoty, wiedziała jednak, że nie może pominąć tej kwestii. Naczelnny oczekiwał, że zdobędzie tę informację.

— I oczywiście otrzymała pani rolę w nowym filmie Ritchiego — wydusiła z siebie z trudem.

— Taa. Czuję się tym bardzo podekscytowana.

— I będzie pani grać z... mm... Redem Campionem? Champagne uśmiechnęła się z zadowoleniem, kiwając głową. Oczy Belindy zwężyły się.

— A czy to prawda — zapytała ze słodyczą — że wszyscy członkowie ekipy technicznej *Betonowych butów* musieli podpisać zobowiązanie, że nie będą się w panią wpatrywać?

— Co? — zaskrzeczała Champagne. — Jak pani śmie, do cholery! Jestem głęboko uduchowioną osobą. Wierzę, że wszyscy ludzie są równi. Nikt nie jest lepszy od kogoś innego. Dokonanie nawet drobnej zmiany w życiu bliźniego jest kamieniem węgielnym na drodze do duchowego oświecenia.

— Więc to nieprawda — naciskała Belinda — że kiedyś miała pani kłopoty na planie? To było chyba wtedy, gdy inny aktor dostał większą przyczepę niż pani...

Champagne podskoczyła, wytrącając miseczkę z rąk dziewczyny.

— Ty przekłeta idiotko! — wrzasnęła na nią. — Prysnąłś gorącym olejem na moje trzecie oko!

— Wywiad zakończony — oznajmiła Brandy, a gdy Belinda zbierała swoje rzeczy i z trudem podnosiła się na nogi, dodała, zwracając się do Champagne: — Fotograf z „Vogue” czeka za drzwiami.

Belinda zobaczyła ze zdumieniem, że aktorka w odpowiedzi na tę wiadomość zaczyna szybko przesuwając językiem pomiędzy wysuniętymi wargami.

— To uwypukla górną wargę — wyjaśniła zwięźle Brandy, odprowadzając Belindę do drzwi.

— Niech pani pamięta, żeby napisać — powiedziała Champagne, przerywając na chwilę wydawanie odgłosów, przypominających pierdnięcia — jak głęboko uduchowioną jestem osobą.

— Proszę się nie niepokoić, na pewno nie zapomnę — obiecała Belinda. W końcu, pomyślała, stąpając ciężko po metalowych schodach, przypominających wyjście ewakuacyjne, Champagne wypełniła aż nadto jeden z podstawowych wymogów swojej nowej świadomości duchowej, całkowicie zmieniając jej dzień.

Gdy z kuchni dobiegł kolejny donośny trzask, Grace pobiegła tam, by oszacować szkody. Maria miała dziś zdecydowanie zły dzień.

— *Madam Grace...*

— Grace. Po prostu Grace. Proszę...

Maria stała, załamując ręce, w kręgu prążkowanych kawałków porcelany. Grace rozpoznała w nich szczątki wyjątkowo paskudnej miski do sosu, którą kiedyś ofiarował jej Sion — jeszcze z nalepką organizacji dobroczynnej. Miała wgłębienie na warzywa i dołki na sosy wokół krawędzi, co zawsze przypominało Grace wielką porcelanową brodawkę.

— Nic się nie stało, naprawdę. Wszystko w porządku.

Grace odkryła, że zatrudnienie sprzątaczkę wiąże się z większymi wstrząsami emocjonalnymi, niż się spodziewała. W sumie jej życie, choć schludniejsze, stało się znacznie bardziej skomplikowane.

Maria uparła się, że będzie odbierać telefony, lecz przekazywała informacje tak przekręcone, że Grace nie mogła się zorientować, o co chodzi. Nie miała pojęcia, czy były jakieś telefony od Henry'ego, gdyż pokryte bazgrołami karteczki, które czasami znajdowała wsunięte pod aparat, nie dawały się odcyfrować, a tego, co Maria powtarzała z przeprowadzanych rozmów, Grace nie potrafiła zrozumieć. Nie wydawało się jednak prawdopodobne, by dzwonił. Na prośbę Grace Ellie, po długich namowach, zgodziła się zadzwonić i powiadomić go o terminie nagrania *Wieczoru ty godnia na żywo*, ale odmówiła towarzyszenia Henry'emu i Euphemii do studia, wymawiając się randką. Perspektywa tego spotkania ogromnie ciążyła Grace.

Jedynymi informacjami, jakie Maria przekazywała ze stuprocentową dokładnością, były wiadomości od lady Anniger, która dzwoniła często z pytaniem, czy jej córka przybędzie na kolację do Wenecji. Grace postanowiła w duchu, że prędzej wykluje sobie oczy szpilkami, niż tam pojedzie, ale bała się, że nie uda jej się odeprzeć argumentów, które matka wytoczy. Jak dotąd, udawało jej się unikać bezpośredniej rozmowy na ten temat.

Zapewniła Marię, że będzie mogła u niej sprzątać, kiedy jej będzie wygodnie, by zdołała pogodzić to z pracą u innych

klientów, doprowadziło to jednak do dalszych komplikacji. Maria pojawiała się teraz w najmniej spodziewanych godzinach, często wtedy, gdy gospodyni była w domu, ale Grace w gruncie rzeczy nie miała nic przeciwko temu. Towarzystwo Marii sprawiało jej przyjemność — zawsze była pogodna i pogwizdywała, polerując meble, co odciągało myśli Grace od ponurych rozważań o porażkach, zawodach i rozczarowaniach, które spotkały ją w czasie ostatnich kilku tygodni. Miała wprawdzie dziwaczne pomysły — dziś na przykład na boku jej platynowej czupryny lśniło połyskujące jak neon pomarańczowe pasmo — ale była bardzo uczciwa i nie szczydziła swego czasu. Często zostawała dłużej, niż miała zapłacone, by porozmawiać, oczyścić ostatnią szafkę, umyć miednicę czy zrobić porządek w szufladzie — albo szalała ze ścierką do odkurzania. Grace uznała, że nawet jeśli nie całkiem przepędziła Siona ze swoich myśli, z jej mieszkania wszelki ślad po nim dawno zniknął. Maria, jakby odgadując szóstym zmysłem, co między nimi zaszło, sama podjęła odpowiednie kroki. Najpierw rozplynęła się fotografia Siona, rzucającego jajkami w księżniczkę Małgorzatę, za nią poszły plakaty „Wesprzyj strajk (wypełnij tutaj)”. Grace nie miała pojęcia, gdzie się podziały.

Gdy Maria podniosła wzrok znad szczątków rozbitej miski, na jej twarzy malował się wyraz głębokiej ulgi. Zaczerwieniła się, a do jej oczu napłynęły łzy.

— Pomyślałam, że może mi to pani potrafić z pensji.

— Co? Skądże znowu. Chyba nikt tego nie robi... Robią? Maria, umykając przed nią spojrzeniem, opadła na kolana i zaczęła zbierać porcelanowe okruchy, a wtedy Grace przypomniała sobie, co Ellie mówiła na temat jej niektórych klientów: „Jedna kobieta zachowuje się wobec niej strasznie, bez względu na to, jak bardzo Maria się stara. Płaci nędznie, krzyczy na nią...”.

Grace bardzo się pilnowała, by nie okazywać sprzątacze wyższości, starała się nie zwracać jej uwagi, ponieważ Maria

mogłaby uznać, że uważa się za kogoś lepszego od niej. Maria natomiast nadal patronowała sprawom sercowym swojej chlebodawczyni i po skończonej pracy nieodmiennie wygłaszała dytyramb na cześć swojego klienta, który Jest bardzo miły, idealny dla pani".

— Być może, Mario — odpowiadała Grace, starając się, by w jej głosie nie słychać było napięcia — na razie jednak zamierzam trzymać się z daleka od mężczyzn.

Maria popatrzyła na nią ze zdumieniem.

— Ale pani taka ładna. Mój klient przystojny. Dlaczego trzymać się z daleka?

No właśnie, oto jest pytanie, pomyślała Grace. Problem polegał na tym, że nie potrafiła pogodzić się z faktem, że Sion jest hipokrytą, który ją oszukuje, co od dawna podejrzewała Ellie. Nawet Maria poznała się na nim, choć widziała tylko jego fotografię. A co do jej matki...

— Napijesz się kawy? — zapytała Marię.

Jak wskazywał gwałtownie malejący zapas w kredensie, sprzątaczką niczego tak nie lubiła jak czarnej kawy, mocno osłodzonej. Gdy Grace podeszła do kuchenki, by nastawić czajnik, usłyszała, że klęcząca za nią Maria przestaje zbierać z podłogi skorupy.

— Paanno Grace... Pani pracuje z książkami, nie? Grace odwróciła się i uśmiechnęła.

— Owszem.

— Chcę pani pokazać książkę. Dobrą książkę.

— Napisałaś książkę? — zdumiała się Grace.

Zdarzyło się to jej nie pierwszy raz. Ponieważ pracowała w wydawnictwie — choć było to tylko Hatto & Hatto — mnóstwo ludzi, przeważnie prawie jej nie znanych, prosiło, by zwróciła uwagę Adama Knighta na ich teksty. Grace na próżno tłumaczyła, że jeśli ktoś chce przekazać maszynopis Adamowi, może równie dobrze wrzucić swoje dzieło do najbliższego kosza na śmieci. Nikogo to nie powstrzymywało: wszyscy nie tylko sądzili, że napisali dobrą powieść, ale byli też przekonani, że

owa powieść przyniesie im dziesiątki milionów funtów i zostanie sfilmowana. Zdziwiło ją jednak, że Maria również tak myśli. Ale Maria, potrząsając głową, wyciągnęła z torby brązową kopertę formatu A4 i wręczyła ją Grace.

— Nie ja. Mój klient. Bardzo miły człowiek. Bardzo przystojny. O nim pani mówię.

Rozdział 10

— Proszę tędy — powiedziała do Belindy sekretarka dyrektora banku wysokim, nerwowym głosem. — Pan Vignoles zaraz przyjdzie. Czy może pani coś podać?

— Chętnie wypiję kieliszek cristalu. Sekretarka zachichotała.

— Ooch, panno Black! Ależ pani jest zabawna. Belinda ze złością założyła ręce na piersi. Nie zamierzała

być zabawna. W końcu jej wywiady należą do najbardziej liczących się w kraju, czyż nie? A to jest prywatny bank, zgadza się? Jeżeli klient ma ochotę na szampana, powinni go włączyć do oferty obsługi.

Kobieta krążyła wokół niej, nerwowo zaciskając i rozprostowując dłonie.

— Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, że zapytam, ale...

— Ale co?

— Po prostu zastanawiałam się — wyjąkała sekretarka — czy pani jest tą Belindą Black, która pisze dla „Globe”. Chyba widziałam dziś rano coś, co pani napisała...

— Owszem — odparła wyniośle Belinda. Dzisiejszy numer „Globe” istotnie poświęcił cztery strony na jej wywiad z Champagne D'Vyne.

— To było bardzo śmieszne — powiedziała nieśmiało sekretarka, zatrzymując się w przejściu przed ogromnym gabinetem Vignolesa. — Chwileczkę, mam to u siebie na biurku...

Pobiegła do swojego pokoiku i po chwili wyłoniła się stamtąd, machając gazetą, otwartą na nagłówek, który głosił: **KOMPLETNA NIEDORZECZNOŚĆ — DIABLICA CHAMPAGNE W MIEŚCIE ANIOŁÓW.**

— To zdumiewające, prawda? — zachichotała. — Kiedy pojechała do Hollywood, kompletnie jej tam odbiło. Leciąca na wszystkie nowinki. Gdy czytam, że sok owocowy trzeba jej nalewać przez lejek i codziennie musi mieć robioną akupunkturę w pośladki, żeby złagodzić stres... I że jej ulubionym napojem jest koktajl z wody mineralnej... — Sekretarka zmarszczyła brwi. — Jak to było? Trzy części badoit na dwie części evian? I że czasami śpi z rybą na twarzy, żeby oczyścić pory, ale kot się do niej w nocy dobiera...

Na twarzy Belindy pojawił się złośliwy uśmiezek. Może Champagne niedokładnie to miała na myśli, gdy tłumaczyła, że świeża ryba jest ważną częścią programu zachowania zdrowia i urody, jaki zalecił jej specjalista od alergii żywieniowych. Ale wiadomo, że do tekstów czasami wkradają się błędy i przeinaczenia.

— I ta historia o tym, jak zajęła się kabrioletem... — mówiła sekretarka, wciąż chichocząc.

— Kabałą — poprawiła ją z uśmiechem Belinda. — To starożytna filozofia, mówiąca, jak należy żyć. Ludzie chętniej wierzą wyuczonym lekcjom, bo nie umieją wyciągać wniosków ze swoich niepowodzeń. — Z sarkastycznym uśmiechem zastanawiała się, czy Champagne rzeczywiście postępuje według tych zasad.

— I że cierpi na jakąś idiotyczną chorobę sławnych osób, zwaną jogamortis, kiedy ciało z trudem się porusza z powodu zbyt wielu ćwiczeń...

Uśmiech Belindy nieco przygasł. Mimo iż Champagne sama

złapała się we własne sidła, nie powstrzymało to Belindy przed dodaniem kilku smakowitych historyjek własnego autorstwa.

— I że bardzo przejmuję się życiem po śmierci — ciągnęła podekscytowana sekretarka. — Ta opowiadka o tym, jak podarowała książkę o reinkarnacji umierającemu na raka z dedykacją na okładce: „Życzę więcej szczęścia następnym razem”...

Belinda przestała się uśmiechać i zmarszczyła brwi. Czy przypadkiem tym razem nie przeholowała?

— A jej kariera aktorska? — Sekretarka klasnęła w dłonie. — Ta historia o tym, jak wzięła ze sobą swojego psa na przesłuchanie i reżyser powiedział, że zwierzę ma więcej talentu od niej? Boki zrywać!

— Mmm... — Belinda czuła się coraz bardziej nieswojo. Niemniej, biorąc pod uwagę niemal pewny brak talentu aktorskiego Champagne, tę akurat anegdotkę dział prawny niewątpliwie uzna za „bezzstronny komentarz”. Sekretarka ocierała załzawione oczy.

— I jak chce choć odrobinę zmienić dzień nieznanego... Z pewnością zmieniła mój. W życiu tak się nie śmiałam. A co do tego kawałka o chirurgii plastycznej na początku...

— Miła pani — przerwała jej Belinda. — Nie mogę tu sterczeć przez cały dzień. Gdzie, do diabła, podziewa się ten cholerny dyrektor?

Sekretarka natychmiast zniknęła, zostawiając gazetę na stoliku. Belinda sięgnęła po nią i przeczytała pierwszy akapit.

Gdy przybyłam na umówione spotkanie, zastałam Champagne i jej asystentki pochłonięte studiowaniem czegoś, co — sądząc z ich rozmowy — było kartą dań. Padały takie słowa jak „szyjka”, „udo” czy „pierś”, przerywane okresami długiego namysłu, który, jak założyłam, zalecił Champagne jej osobisty guru od żywności. Po chwili jednak uświadomiłam sobie, że przeglądają wykaz ostatnich zabiegów czołowego hollywoodzkiego chirurga plastyka. Patrząc na Champagne, doszłam do wniosku, że nigdy przedtem nie widziałam takiego dekoltu

i tyle kolagenu w jednym ciele. Wyraźnie widoczny implant w górnej wardze sprawia, że aktorka wygląda jak Kaczor Donald. Z pewnością jest to zaprzeczenie wskazań starożytnej filozofii, o której Champagne tyle opowiada. „Czy to dążenie do zewnętrznej doskonałości nie przeszkadza w zdobywaniu wiedzy?” — zapytałam. Nasza gwiazda marszczy (z trudnością) brwi, w które bez wątpienia wstrzyknięto botoks. „Oczywiście, że nie — odpowiada. — Chodzi o to, żeby ciało nie było obwisłe”.

Cóż, bez wątpienia to prawda, musiała kiedyś coś podobnego powiedzieć, pomyślała Belinda. A jej misja została wykonana. Reputacja Champagne D'Vyne legła w gruzach. Wyszła na idiotkę w oczach świata, a także, miejmy nadzieję, również w oczach Reda Campiona. W każdym razie wywiad budził emocje, iskry szły niemal z każdego akapitu. Nic dziwnego, że zachwycony Grayson przeznaczył dla niego aż cztery strony.

Belinda uśmiechnęła się, ogromnie z siebie zadowolona. Bezsprzecznie dała nauczkę tej głupiej, zepsutej dziwce. Pokazała jej, że nikt — absolutnie nikt — nie może się wynosić ponad Belindę Black. Klikając w swoje rejestry w laptopie, pan Vignoles wpatrywał się w rachunki Belindy.

— Sprawy nie wyglądają zbyt dobrze, panno Black.

Mów za siebie, pomyślała Belinda. Bankowiec był niski, pulchny, nosił okulary i miał kopułkowatą głowę, za to Belinda wyglądała sztywnie jak nigdy. Uczciła swój awans w gazecie, całkowicie zmieniając garderobę, a jeśli wycisnęła z karty trochę za dużo, jakie to ma znaczenie? Wyglądziła zakiet kostiumu od Versace i zarzuciła lśniące czarne włosy na ramiona.

Spotkania Belindy z panem Vignolesem odbywały się kiedyś w niekrępującej atmosferze jego biurowego „saloniku”, na

którego jednym końcu stała skórzana kanapa, a na drugim fotel, ostatnio jednak przyjmował ją w innym pomieszczeniu, w którym dzieliła ich od siebie złowieszcza przestrzeń ogromnego biurka. Przesuwając swój zgrabny tyłeczek na małym, twardym krześle, Belinda założyła nogę na nogę. Niech go szlag, znowu ją tutaj usadził, jak niegrzeczną dziewczynkę przed dyrektorką szkoły. W „saloniku” mógł do woli przyglądać się jej nogom, co było główną zaletą tego miejsca. Ale biurko też można wykorzystać. Belinda ściągnęła łokcie i wychyliła się do przodu, tak że piersi podeszły jej niemal do gardła. Uśmiechnęła się olśniewająco, przesunęła palec po dolnej wardze i stłumiła ziewnięcie, gdy Vignoles wygłaszał wykład na temat jej konta.

— Potrzebuje pani jakiegoś planu, by zapewnić sobie bezpieczną i wolną od trosk finansowych przyszłość — oświadczył. Belinda znowu ziewnęła. Czyż ten urzędniczyna nie zdaje sobie sprawy, że jego klientka niebawem dołączy do grona medialnych supergwiazd? — Biorąc pod uwagę pani dochody i wydatki — dodał Vignoles — proponuję, by tygodniowo wydawała pani na życie... — Po chwili namysłu wymienił sumę tak niską, że Belindzie zabrakło tchu. Pomyślała, że ledwo wystarczy jej to na kredkę do rzęs.

— Przecież będę dostawała wyższą pensję — wymamrotała. Vignoles westchnął.

— Proponowana suma uwzględnia pani nową pensję — wyjaśnił i ponownie westchnął. — Czy ostatnio, panno Black, nie wydawała pani dość sporo? Zwłaszcza na ubrania?

— Może trochę — odparła Belinda. Trzeba mu przyznać trochę racji, żeby go ułagodzić, pomyślała. — Ale przecież staram się oszczędzać. Vignoles rzucił zza okularów pełne wątpliwości spojrzenie na nią, a potem znowu na monitor.

— Pani rachunki za fryzjera... Czy musi pani korzystać z usług tego właśnie salonu?

Belinda obronnym gestem poprawiła swoją kruczoczną grzywę.

— Oczywiście. Richardo Milano to jedyny salon podłączony do AP i Reutersa, więc mogę nastawić odbiornik i śledzić wiadomości na bieżąco.
— Nigdy ich nie oglądała, ale pomyślała, że lepiej będzie nie przyznawać się do tego.

— Nadal wydaje pani dwadzieścia funtów dziennie na taksówki?

— Większą część tej sumy wpisuję w koszty — odparła Belinda. — Ale przecież dwadzieścia funtów dziennie to niedużo, jeśli się weźmie pod uwagę, ile dojeżdżający z Surrey bulą za bilet sezonowy. I tak nie mogę pozwolić sobie na jeżdżenie metrem.

Vignoles uniósł brew.

— Dlaczego?

— Dlatego, że jeśli zniszczę mój najlepszy kostium od Chanel na brudnym siedzeniu, Ken Livingstone za to nie zapłaci.

— Doprawdy, panno Black... Powinna pani pomyśleć o inwestowaniu. O planach emerytalnych. A może nawet o kupnie nieruchomości.

Belinda napięła wytrenowane mięśnie swojego płaskiego brzucha (1500 funtów rocznie za siłownię) i pomyślała o dokładnie wydepilowanej skórze pod sukienką (25 funtów co dwa tygodnie) oraz wymasowanych piersiach (jak dotąd, bezpłatnie). „Inwestowanie w nieruchomości. Plany emerytalne”. Czy Vignoles nie zdaje sobie sprawy, że to, co Belinda wydaje na siebie, ma na celu zabezpieczenie posiadanego przez nią majątku? Że to — wyciągnęła długą, gładką nogę (45 funtów za jedną sesję miesięcznie) i zabębniła długimi, wymanikiuro-wanymi paznokciami (40 funtów) po jedrnym udzie (trzy sesje tygodniowo z osobistym trenerem, 50 funtów każda) — jest właśnie jej inwestycją? Że jej doskonale utrzymany wygląd to gwarancja zabezpieczenia sobie bogatej i dostatniej przyszłości?

Vignoles zdjął okulary i potarł oczy.

— Cóż... wydaje mi się, że żyje pani znacznie powyżej swoich możliwości, panno Black.

— Nic podobnego, panie Vignoles! — prychnęła rozwścieczona Belinda.
— Niebawem stanę się jedną z najbardziej znanych dziennikarek na Fleet Street.

Bankowiec popatrzył na nią powątpiewająco.

— Mogę zaproponować nieco ograniczeń? Nozdrza Belindy zafalowały gniewnie.

— W takim razie muszę obciąć wszystkie wydatki na siebie. Bo na czym jeszcze, do diabła, mam oszczędzać?

Vignoles głęboko zaczerpnął powietrza. Najwyraźniej usiłował uzbroić się w cierpliwość.

— Rozpatrzmy po kolei pani tygodniowe wydatki. — Znowu zerknął na monitor znad okularów. — Zaczniemy od najmniejszej sumy.

Tygodniowa wypłata w wysokości dwunastu funtów...

— Sprzątaczką — wyjaśniła Belinda. — Trzy godziny po cztery funty za godzinę.

Vignoles uniósł brwi.

— Cieszę się — zauważył z lekką ironią — że choć wszędzie jeździ pani taksówką i bez namysłu wydaje sześćset funtów na zakiet od Gucciego, na sprzątaczkę potrafi pani oszczędzać.

Belinda nie wyczuła sarkazmu w jego głosie.

— Jak to? — zapytała ostro. — Przecież cztery funty to wystarczająca suma, czyż nie?

Godzinę później Belinda otworzyła frontowe drzwi. Wspaniale, pomyślała. Nie ma to jak położyć się na służącą po całym popołudniu, spędzonym na wysłuchiwanie kazań Vignolesa. Zgodnie z jej oczekiwaniami, sprzątaczką była jeszcze w domu.

Odgłosy dochodzące z łazienki świadczyły, że kobieta przebiera się właśnie z roboczego ubrania w wyjściowe — choć trudno zauważyć między nimi różnicę, pomyślała szyderczo Belinda.

Co potłukła tym razem? Przebiegła wzrokiem po przedpokoju.

Zauważyła mały biały okruch, tkwiący w kącie za pomalowaną na czerwono listwą podłogową.

— Coś ty, do diabła, zrobiła ze ścianami?! — warknęła. — Znowu przejeżdżałaś tym cholernym odkurzaczem po listwach? — Uśmiechnęła się z triumfem, słysząc przerażone sapanie, dochodzące zza drzwi łazienki. — Jeśli będę musiała je odmalowywać, potrączę ci to z tej twojej kurewskiej wypłaty.

Drzwi łazienki otworzyły się gwałtownie, ukazując wystraszoną sprzątaczkę.

— Och, Belindo, przepraszam, nie chciałam niczego zniszczyć.

— *Madam* Belindo — poprawiła ją Belinda. — Albo po prostu *madam*, jeżeli łatwiej ci to będzie zapamiętać.

Wykrzywiła usta, widząc utlenioną grzywę, w której z boku biło w oczy pasmo neonowego oranżu. W zeszłym tygodniu było niebieskie. Belinda wiedziała, skąd te kolorystyczne ekstrawagancje: córka znajomej jej sprzątaczkii kończyła właśnie kurs fryzjerski.

— Nie wydaje ci się, że twoje włosy wyglądają, hm... jak z bloku wschodniego? — zapytała, rzucając kobiecie zjadliwy uśmiech. — Jakbyś je tleniła domestosem, moja droga. Wiesz, w Londynie nikt nie nosi takiej fryzury. Może byś poszła do Riccarda? Ma bardzo umiarkowane ceny. — Pogrzebała w swojej torebce. — Mam jego cennik. Proszę.

Zgodnie z oczekiwaniami Belindy twarz sprzątaczkii poszarzała, gdy kobieta zobaczyła ceny w salonie w Knights-bridge.

— Widzę, że znowu zużyłaś cały wybielacz — syknęła Belinda, kiedy wmaszerowała do kuchni i zajrzała pod zlew. Co ta baba z tym robi? Pije? Używa do farbowania tych swoich cholernych odrostów?

— Przepraszam, *madam* Belindo. Ale toalet... on jest bardzo brudny — wyjąkała sprzątaczkii.

— Ubikacja — poprawiła ją Belinda, zadowolona, że udało jej się ją skutecznie pogięć. Przypomniała sobie jeszcze jedno. — Miałś pilnować, żeby zawsze był zapas papieru toaletowego. A tymczasem widzę, że zostały tylko trzy rolki.

Czemu ta niedorajda niczego nie potrafi zapamiętać? A przecież podobno kiedyś miała firmę, którą zniszczyła wojna domowa. Co za żalosna bzdura. Niektórzy zrobią wszystko, byleby ukryć własną nieudolność.

— Nie powinnaś sprzątać w swoim najlepszym ubraniu — powiedziała Belinda z udawaną troską. — Będziesz miała całe spodnie w wybielaczu.

— Garderoba tej kobiety, kupiona gdzieś na bazarze, mogłaby doprowadzić człowieka do łez, gdyby nie wyglądała tak zabawnie.

Dzisiaj na przykład ubrana była w dżinsową spódnicę z rozjaśnianymi klinami, które miały być ostatnim krzykiem mody.

— To niee są moje ubrania do sprząwania — wymamrotała kobieta, patrząc z wyrzutem na swoją chlebodawczynię.

Usta Belindy wykrzywiły się w sarkastycznym uśmiechu. Czy tę idiotkę trzeba jeszcze raz pouczyć, kto rządzi w tym domu?

— A tak przy okazji, muszę z tobą pomówić na temat twojego

wynagrodzenia — oświadczyła, wyciągając z lodówki butelkę chablis, najlepszego zdaniem redaktora działu żywienia, i nalewając sobie pełny kieliszek. Rozejrzała się podejrzliwie po kuchni, by sprawdzić, czy sprzątaczką nie robiła sobie kawy, czego Belinda jej zabraniała. —

Obawiam się, że nasze ustalenia ulegną pewnym zmianom — dodała, sięgając po nóż. Odcięła kawałek pasztetu z gęsich wątróbek i wsunęła go pomiędzy swoje szkarłatne, błyszczące wargi. — Oszczędzam — oświadczyła z pełnymi ustami. — Od dzisiaj będę ci płacić trzy funty za godzinę.

Twarz sprzątaczką zbladła.

— Ależ *madam* Belindo... Jestem dobrą sprzątaczką. Zawsze prracuję dłużej niż trzy godziny. Dzisiaj na przykład sprzątam pani sypialnię. Pod łóżkiem. Kładę do szafy wszystkie ubrania. — Wskazała gestem otwarte drzwi na końcu przedpokoju.

Sypialnia, jak stwierdziła Belinda, istotnie uległa przemianie. Zniknęła warstwa talku, pokrywająca dywan, a na pół otwarte szuflady, z których wystawały majtające się rajstopy, zostały uprzątnięte i zasunięte.

Schowano do szafy w garderobie sukien-

kę od Versace i żakiet od Gucciego oraz nowy kostium od Josepha, ustawiono w równym rządzie dwie pary lśniących, nowych butów od Manola. Zniknął nawet brudny biustonosz, który od kilku dni zwisał nonszalancko z nocnej lampki.

Zerknęła na swojego rolexa. Wpół do siódmej. Sprzątaczką rzeczywiście została pół godziny dłużej ponad umówione trzy godziny. Co za idiotka, pomyślała Belinda. Jeśli sądzi, że otrzyma za to dodatkowe wynagrodzenie, to się rozczaruje.

— Tak mi nakazał mój doradca finansowy — powiedziała. Przecież Vignoles powiedział jej wyraźnie, że musi oszczędzać.

— Miisiiz Belinda...

— *Madam* Belinda.

— *Madam* Belinda... jestem wdową... — wyjąkała kobieta. Belinda skrzyżowała ramiona i spojrzała na nią sceptycznie.

— Trzy funty za godzinę, *madam* Belinda, to nieeudużo.

— Albo się zgadzasz, albo szukaj sobie czegoś innego — oświadczyła Belinda, po czym odwróciła się na pięcie i wyszła z kuchni.

Sprzątaczką poszła za nią do przedpokoju. Jej duże, zmartwione oczy były pełne łez. Przez chwilę Belinda myślała, że kobieta się rozpłacze. Jednak ku jej rozczarowaniu sprzątaczką zebrała się w sobie, przełknęła ślinę i lekko uniosła podbródek.

— Hokay. Niech będzie trzy funty, jeżeli nie może pani pozwolić sobie na więcej. Ja też jestem biedną kobietą.

— W porządku — odparła zadowolona Belinda. — W takim razie to mamy już ustalone. — Idąc przedpokojem, przesunęła po oparciu krzesła palcem i spojrzała na cieniutką warstewkę szarego pyłu, która pokryła jego koniuszek. — I przed wyjściem odkurz jeszcze, do cholery. Tylko tego brakuje, żebym dostała ataku cholernej astmy.

— *Madam* Grace?

Grace odskoczyła od lustra w łazience, gdzie robiła sobie staranniejszy niż zwykle makijaż.

— O co chodzi, Mario? Sprzątaczką uśmiechnęła się promiennie.

— *Madam* Grace, dałam pani książkę...

Grace poczuła ukłucie winy. Przybrudzona brązowa koperta, którą wręczyła jej Maria parę dni wcześniej, leżała pod stosem niedzielnych gazet na ladzie kuchennej. Tyle że, jak dostrzegła Grace w odbiciu lustra, teraz już jej tam nie było — zwiśla oskarżycielsko z rąk Marii, okrytych pomarańczowymi gumowymi rękawiczkami.

— Och, tak... Przepraszam cię, Mario. — Grace zmarszczyła brwi, gdy pędzelek do malowania kreski na powiece, najwyraźniej obdarzony własną wolą, podskoczył do góry, robiąc w kąciku jej oka zawijas jak u Audrey Hepburn. Dlaczego malowanie kresek jest takie trudne? I w ogóle po co zadaje sobie tyle wysiłku? Przecież to nie ona ma wystąpić w *Wieczorze tygodnia na żywo*. A Henry Moon, który weźmie w nim udział, z pewnością nie zauważy jej starań. Ale me robiła tego dla niego... O nie, powiedziała sobie Grace. Robi to dla...

— Pani nie przeczytała? — Koperta kołysała się pomiędzy palcami sprzątaczkii.

— Przepraszam. Na pewno przeczytam. Obiecuję. Po prostu nie miałam do tej pory zbyt wiele czasu...

Maria przygryzła wargę i uniosła ramiona w geście rozczarowania.

— To jeest barrdzo dobrra książka, *madame* Grace — powiedziała.

— Nie wątpię — odparła Grace, odwracając wzrok od pełnego wyrzutu spojrzenia sprzątaczkii.

— Mój klient bardzo rozczarowany. Pyta mnie codziennie, czy pani przeczytała.

Grace zastanawiała się, dlaczego klient Marii me zgłosił się do niej bezpośrednio, zamiast zmuszać Marię, by załatwiała to za niego. Czy to on zachowywał się jak tyran i źle się do niej odnosił? Nie, to niemożliwe. Mana skarżyła się na kobietę, a ten niedoszły pisarz jest przecież mężczyzną. Bardzo przy-

stojnym, jak podkreślała. I pewnie jest też cholernym mięczakiem, pomyślała Grace. Mężczyźni... Skrzywiła się i spojrzała na zegarek. — O Boże, jestem już spóźniona, Mario! Zostaw to na stole, dobrze? Przeczytam po powrocie.

„Cholera, nawet nie miałam czasu się umalować”, mamrotała do siebie, śmigając przez kałuże ku stacji metra i modląc się, by przynajmniej raz linia centralna pracowała bez zakłóceń. Spóźniła się jednak dziesięć minut na spotkanie z Euphemią.

Euphemia wiadomość, że *Wieczór tygodnia na żywo* potrzebuje jej usług, przyjęła w typowy dla siebie sposób.

— Oczywiście, na pewno doskonale wypadnę w *Czasie pytań* — oświadczyła. — Tak miło będzie spotkać znowu kochanego Davida Frosta! Spodziewałam się, że zobaczę się z nim na którymś z jego przyjęć, ale pewnie zaproszenie gubi się gdzieś na poczcie.

— Nie chodzi o *Czas pytań* — sprostowała nieśmiało Grace. — Poza tym chyba nie prowadzi go David Frost, tylko David Dimbleby.

— Co za różnica, do cholery! — warknęła Euphemia. — Chyba będę musiała odwołać zajęcia z moim trenerem jogi.

— Byłoby wspaniale, gdybyś znalazła czas, Euphemio — powiedziała Grace, z trudem powstrzymując uśmiech na myśl o Euphemii, witającej wschodzące słońce w obcisłych trykotach. — Studio jest dość daleko i powrót zabierze ci sporo czasu.

— Kto jeszcze weźmie udział w tym programie? Moja serdeczna przyjaciółka Ann Widdecombe?

— Nie jestem pewna co do Ann Widdecombe, ale wystąpi w nim jeszcze jeden autor Fłatto.

— Kto taki? — zapytała Euphemia.

Grace przełknęła ślinę i pomodliła się w duchu. Nie widziała Henry'ego Moona ani nie rozmawiała z nim od czasu spotkania

w barze. Sprawy między nimi nie mogły układać się gorzej, więc pewnie teraz ich stosunki ulegną poprawie.

Udany występ Henry'ego w telewizji da jej sposobność naprawy swego wizerunku zawodowego i może pisarz w ogóle spojrzy na nią innym okiem? Chyba nic nie powinno pójść źle podczas programu dyskusyjnego o tak dokładnie ustalonych regułach jak *Wieczór tygodnia na żywo*.

Ale w połowie drogi do studia Grace nie czuła już takiego optymizmu.

Henry prawie się do niej nie odzywał, odkąd się spotkali. Nie usiadł obok niej, lecz z przodu, i wraz z kierowcą słuchał transmisji meczu piłkarskiego. Grace poczuła, że ogarnia ją przygnębienie. Nie ulegało wątpliwości, że nawet jeśli Henry dążył kiedyś do zawarcia z nią bliższej znajomości, teraz zupełnie przestało go to interesować.

Siedząca obok Grace Euphemia wkrótce zasnęła z otwartymi ustami, chrapiąc głośno.

Grace patrzyła, jak strumyk śliny toruje sobie drogę przez grubą warstwę podkładu, jaki nałożyła na twarz autorka *Naszej mamy*, i ścieka po jej szyi. Euphemia najwyraźniej dołożyła wszelkich starań, by dobrze wypaść w telewizji. Miała na sobie duży, kosztowny naszyjnik oraz top, błyszczący od naszytych na nim złotych cekinów. Całości dopełniało futro, tak grube i szerokie, że nawet doktor Żywago mógłby uznać je za zbyt obszerne.

Studia telewizyjne Charlton mieściły się w szarym budynku, przywodzącym na myśl Łubiankę. Kiedy przybyli na miejsce, Euphemia natychmiast pobiegła szukać toalety, a Grace i Henry wpatrywali się w sztuczne rośliny w niezręcznej ciszy, póki, ku uldze Grace, nie pojawiła się młoda kobieta w skórzanym żakiecie. Powiedziała, że ma na imię Darcy, jest asystentką producenta i ma ich zaprowadzić do pokoju wypoczynkowego, w którym mieli czekać na rozpoczęcie *Wieczoru tygodnia na żywo*.

Darcy miała silny liverpoolski akcent i twarz o ostrych, niemal męskich rysach.

— Zna pani nasz program? — zapytała Euphemię, która z miną niezwykle ważnej osobistości panoszyła się w foyer, połyskując swoimi cekinami.

— W życiu go nie oglądałam — oświadczyła Euphemia.

— Aha.

— To chyba coś podobnego do *Czasu pytań*, prawda?

— Owszem... też zadaje się pytania.

Ruszyli w ślad za okrytymi skórą plecami Darcy szarym, lśniącym, przywodzącym na myśl szpital korytarzem, i po chwili zatrzymali się przed jednymi z wielu identycznych szarych drzwi.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmiła Darcy. — To pokój wypoczynkowy.

— Ach, pokój wypoczynkowy! — zawołała Euphemia z miną osoby, która gościła już w nim tyle razy, że nie chce jej się nawet o tym wspominać. — To ważny przystanek dla gości studia — dodała z teatralną emfazą — zanim się ich rzuci publiczności na pożarcie.

— Właśnie — uśmiechnęła się Darcy. — Wie pani, o co chodzi. Publiczność też już jest. Proszę się z nimi przywitać, a potem wypić drinka.

Gdy otworzyła drzwi, Grace usłyszała, jak Henry wymamrotał:

— Boże drogi, nawet mudzahedini byli mniej przerażający... Jej żołądek skurczył się jeszcze bardziej. Czy pomysł przyjazdu tutaj rzeczywiście był taki dobry?

Przed sobą ujrzeli duży, pozbawiony okien pokój, wyłożony jaskrawozielonym dywanem, na którym leżało mnóstwo rozrzuconych chrupek. Stało tam kilkadziesiąt osób o wojowniczym wyglądem. Wiele z nich trzymało w rękach po kilka papierosów. Na ustawionych pod ścianami stołach leżały dodatkowe paczki i znajdowało się tam też coś w rodzaju bufetu. Ale był to bufet, po którym przeszło tornado, a potem jeszcze stratowało go stado słoń.

Osobnicy o wojowniczym wyglądem odwrócili się, by spoj-

rzeć na nowo przybyłych. W ich wzroku nie było sympatii. Grace, podchwyciwszy podejrzliwy wzrok potężnej kobiety o czerwonych policzkach, włosach ściągniętych do tyłu, grubych udach rozpychających legginsy i twarzy niemal pozbawionej brwi, szybko opuściła oczy na porzuconą parówkę koktajlową, leżącą na podłodze przy jej stopach. — Boże świąty! — zawołała Eufemia rozbawionym głosem. — Kim są ci ludzie?

Grace wyczuła, że atmosfera stała się jeszcze bardziej niemiła.

— Czuję się jak Maria Antonina w chwili, gdy tłuszcza zbliżała się do Wersalu — dodała Eufemia, potrząsając bransoletkami i nie zwracając uwagi na nieprzyjazne spojrzenia, rzucane w jej kierunku. Za tymi spojrzeniami wkrótce podążą kawałki mięsa i parówki koktajlowe, pomyślała z niepokojem Grace. Jeszcze bardziej zaniepokoiły ją wyjaśnienia Darcy.

— Przywozimy ich autobusami z miejscowych domów komunalnych i dajemy im alkohol i fajki — powiedziała asystentka producenta ściszym głosem. — Korzystają z tego bez opamiętania i gdy przychodzi pora nagrania, są już... hmm... pełni wigoru. Ale dzięki temu mamy niezły show.

— To znaczy, że ci ludzie włączają się do programu? — zapytał Henry.

— Jasne, że tak. — Darcy wyszczerzyła zęby w uśmiechu. — Nasza publiczność też tworzy program. Krzyczą... to znaczy, chciałam powiedzieć, że zadają zaproszonym gościom mnóstwo pytań. Wygłaszają też swoje opinie. Bardzo dobitnie.

Pomimo narastającej paniki, Grace poczuła, że ogarnia ją współczucie dla tych ludzi. Mieszkają w komunalnych blokach gdzieś w środku Anglii, a jedyną rozrywką, jakiej mogą się spodziewać, jest wyjazd autobusem do telewizji, gdzie ich upijają i zachęcają do publicznego rzucania obelg. Twarz Henry'ego stężała.

— Jakie są szanse, że wyjdziemy z tego żywi?

Darcy prychnęła.

— Naprawdę są całkiem znośni. Jeśli się ich przeciągnie na swoją stronę, robią się sympatyczni.

Henry nie wyglądał na przekonanego.

— Innymi słowy, mam robić za Russella Crowe'a w *Gladiatorze!* Albo Reda Campiona w *Legioniście?*

— Nie jest tak źle... No a teraz, skoro widzieliście już publiczność, musicie poznać innych uczestników.

— Koniecznie — zaczęła Euphemia, nadal nie zauważając morderczych spojrzeń, puszczanych ku niej niczym strzały przez grupę kobiet w dresach o neonowych barwach. — Zaprowadźcie mnie do cywilizacji. Czy kochany David... Frost, naturalnie... jest tutaj? I Ann... oczywiście Widdecombe?

— Byli trochę zajęci w tym tygodniu — odparła Darcy, lecz Euphemia nie zauważyła sarkazmu w jej głosie.

Okutana w fałdy futra, połyskująca cekinami i diamentami, z pełną wyższości szyderczą miną truchtała obok wrzącego złością tłumu. Grace pomyślała z niepokojem, że jej porównanie do sytuacji Marii Antoniny może okazać się bliższe prawdy, niż przypuszczała.

— Kiedy pójdę do charakteryzatorni? — zapytała autorka *Polly jak pudding z groszku*. — Muszę poprawić podkład.

Skórzany żakiet Darcy zatrzeszczał, gdy skinęła na swoją pomocnicę.

— Stacey, możesz zaprowadzić tę panią do charakteryzatorni?

— Czy nie nałożono jej już makijażu? — Stacey spojrzała na upudrowaną twarz Euphemii. — Właściwie masz rację. Musimy trochę tego zetrzeć.

— Czy oni mają Kanebo? — zapytała Euphemia, gdy pomocnica Darcy pośród szelestu fałd futra prowadziła ją do wyjścia. — Ale może wystarczy Christian Dior...

— Zjedzcie coś — powiedziała Darcy i poprowadziła ich do stosu parówek, pamiętających lepsze czasy. Wystawały z nich ścięte kawałki trupio bladego tartego sera, miały zwinięte

skórki i leżały na poplamionym nakryciu z czerwonych papierowych serwetek.

— Jaki konkretnie aspekt bieżących wydarzeń będzie dyskutowany w tym tygodniu? — spytała Grace nienaturalnie wysokim głosem, gdy mijali coś, co wyglądało na ogromne jelita pełne piwa, z doczepionymi rękami i nogami. Miała nadzieję, że uratuje ją w miarę przyzwoity temat. Darcy zrobiła zdziwioną minę.

— Bieżące wydarzenia. O tym będziemy rozmawiali.

— Tak, ale jaki konkretnie rodzaj bieżących wydarzeń? — wtrącił się Henry i mimo panującego między nimi napięcia Grace poczuła dla niego coś w rodzaju wdzięczności. — Edukacja, służba zdrowia, imigracja, takie rzeczy?

Rzuciła spojrzenie na pijący i palący tłum, ogarnięty już duchem zażartej dyskusji. Niektóre piwne jelita zbliżały się do siebie — a raczej na siebie wpadały — w sposób wyraźnie groźny.

Mrowienie w stopach Grace przesunęło się w górę, na łydki.

— Nie — odparła Darcy, szczerząc zęby w uśmiechu. — Sprawy bieżące. Tak, jak napisano na tablicy.

— Nie rozumiem — mruknęła Grace. Czyżby coś jej umknęło?

— No wiecie, która znana osoba kręci z inną... Intymne wywiady w gazetach, takie rzeczy. Poczekajcie chwilę, pójdę po innych uczestników. Grace poczuła, że jej kręgosłup sztywnieje, a obie łopatki przeszywa stalowy szpikulec. Popatrzyła na Henry'ego, uchylając się jednocześnie przed parówką, która poleciała w jej stronę z tłumy, gdzie do debatujących dołączyły teraz liczne żony.

— Tak mi przykro — wyszeptała z rozpaczą. — To wyłącznie moja wina. Nie sprawdziłam tego jak należy.

Henry wzruszył tylko lekko ramionami.

— To znaczy — wyjąkała Grace — wiedziałam, co to za program, ale kiedy powiedzieli, że będziemy omawiać sprawy

bieżące, nie przyszło mi do głowy... — Czują, że jej twarz robi się purpurowa. Przeklęta Ellie. W końcu to ona odebrała pierwszy telefon z Charlton. Gdy teraz Grace o tym myślała, było dla niej jasne, że Ellie zabawiła się w swatkę, chciała zbliżyć do siebie ją i Flenry'ego i wcale nie przejmowała się, że program do niczego się nie nadaje. Sprawy bieżące, rzeczywiście. Cha, cha, do cholery. Ale ją też powinien trafić szlag. W sumie to ona do tego doprowadziła. Nie chciało jej się sprawdzić.

Henry znowu wzruszył ramionami i wbił widelec w nieświeżą parówkę. Worki pod oczami miał jeszcze większe niż zazwyczaj. Widocznie jego nowa książka kosztowała go wiele energii. A może to coś innego? — zastanawiała się Grace. Na przykład kobieta. To by tłumaczyło jego pełne rezerwy zachowanie i brak zainteresowania nią. Najwyraźniej jego zapas dobrodusznej tolerancji dla wszystkich katastrof, od odwołanego wystąpienia w St Merrion do spotkania z Andym Tworciem z radia Gainsborough, uległ w końcu wyczerpaniu.

Ale czy to jej wina, że ostatnio pech gonił pecha? Jednak gdy Darcy wróciła z dwiema najdziwniejszymi osobniczkami, jakie Grace kiedykolwiek w życiu widziała, pomyślała, że sytuacja ulegnie dalszemu pogorszeniu.

— Oto uczestniczki programu — oznajmiła asystentka. — To jest Mandi. Właśnie opowiedziała „News of the World” o swoim romansie z graczem Leeds United. Zgadza się, Mandi?

Mandi z dumą skinęła głową. Była od stóp do głów pokryta opalenizną o odcieniu głębokiego oranżu i miała blond włosy, skręcone w loki, które wyglądały na przypalone. Z jej obcisłego neonoworóżowego topu, na którym błyszczącymi zakrętasami wydrukowano napis „Dzidzia”, sterczały sutki, którymi można by przyciskać klawisze organów. Jej stopy w plastikowych białych klapkach na koturnie unosiły się dobre dwadzieścia centymetrów nad ziemią. Oprócz tego miała na sobie jedynie neonowozieloną minispódniczkę, tak krótką, że mogła służyć jako opaska do włosów. Spomiędzy jej bladoróżowych warg,

obrysowanych znacznie ciemniejszą konturówką, zwisał papieros.

— No — przytaknęła Mandy, nie wyjmując papierosa z ust.

— A to Nicorette — mówiła Darcy, wskazując gestem drugą dziewczyną.

— Opowie nam o namiętnej nocy, spędzonej z pewnym pięćdziesięciocostam gwiazdorem muzyki pop. Nie może jednak podać jego nazwiska, bo to byłoby niedyskretne...

— Chyba tak — przyznała Grace, zdumiona, że dziewczęta mają takie skrupuły.

— ...zwłaszcza gdy rozmawiasz z „Daily Star” na temat sprzedania swojej opowieści, prawda, Nicorette?

— Zgadza się — odparła Nicorette, która miała muskularne nogi, wsparte na wysokich czarnych obcasach, i piersi wielkości piłek plażowych. Grace poczuła nagle znajomy, silny zapach perfum.

— Oto jestem — oznajmiła Euphemia, podchodząc do nich szybkim krokiem. Na twarzy nadal miała grubą warstwę pudru. — Czy Cecil Parkinson już przyjechał?

Nicorette i Mandy popatrzyły na nią ze zdziwieniem. Euphemia odwzajemniła się, obrzucając je spojrzeniem pełnym niesmaku.

— To pozostali uczestnicy — wyjaśniła Darcy.

Zanim Euphemia zdążyła cokolwiek powiedzieć, Mandy oświadczyła:

— Ja chyba panią skądś znam.

Euphemia od razu się rozpogodziła. Wypięła swą obwieszoną klejnotami i okrytą futrem pierś.

— Bez wątpienia. Jestem dość znaną osobistością.

— Taa... coś mi tak chodziło po głowie. To pani kręciła z Paddym Ashdownem, zgadza się?

W drodze powrotnej Euphemia wybrała miejsce na przodzie a nie, jak poprzednio, z tyłu, obok Grace. Była blada z wściekłości po spotkaniu z Nicorette i w ogóle nie mogła zrozumieć,

dłaczego jej zapewnienia, że samotne matki dlatego mają dzieci, że chcą otrzymać mieszkanie w bloku komunalnym, uraziły publiczność, złożoną głównie z samotnych matek, mieszkających w domach komunalnych.

Choć Grace czuła ulgę, że nie musi siedzieć obok Euphemii, która zastygła w lodowatym milczeniu, sąsiedztwo Henry'ego Moona nie dodawało jej otuchy. Nie ulegało wątpliwości, że wydarzenia wieczoru oraz rola, jaką w nich odegrała, napełniły go głębokim niesmakiem. Jego czoło było pobrużdżone głębokimi zmarszczkami i co chwila przesuwał z irytacją ręką po oczach.

Samopoczucie Grace jeszcze się pogorszyło, gdy przypominała sobie wystąpienie Henry'ego. Mimo że romansowe opowieści w gazetach przedstawił jako argument na rzecz wolności prasy, wywarł niewielkie wrażenie na publiczności, która była pewna słuszności własnych racji i w dodatku oszołomiona darmowym alkoholem. Miał prawo być równie wściekły jak Euphemia.

A ona sama, mój Boże, była zła jak osa. Gdy zalewany deszczem autobus pędził przed siebie, Grace kulila się na wspomnienie obelg, które ostatni, mocno pijany i wyjątkowo napastliwy członek publiczności rzucał na uczestników programu. Kiedy na zakończenie wymieniano nazwiska osób biorących udział w dyskusji, Euphemia poderwała się na nogi, miotając przekleństwa pod adresem Grace. Potępiła w czambuł jej zawodowe umiejętności przed milionową widownią telewizyjną, wykrzykując na cały głos, że jest „bezużyteczną, bez-mózgą, zasmarkaną krową”, co ochoczo podjęło kilka osób spośród publiczności. Grace poczuła wtedy, że jej kariera zawodowa rozpada się w gruzy.

Pomiędzy Luton i Staples Corner Henry zasnął i spał, dopóki autobus nie zatrzymał się przed domem Euphemii w Fulham. Zatrzasnąwszy drzwi tak gwałtownie, że z pewnością zadrżała każda szyba w okolicy, pisarka z wściekłością odeszła w noc.

_ Co to było? — zapytał wyrwany ze snu Henry, podskakując na siedzeniu.

— Nie pytaj — westchnęła Grace.

Henry wyprostował się i potarł oczy, rozglądając się wokół ze zdziwieniem.

— Czuję się już trochę lepiej — wymamrotał. — Przedtem okropnie bolała mnie głowa. — Uśmiechnął się do niej w pomarańczowym blasku mijanych latarni. — Odwiedzałem w swoim czasie różne dziwne miejsca, ale to, z czym miałem do czynienia dzisiaj, bije wszystko. Również z antropologicznego punktu widzenia. Jako studium zachowań stadnych, ta cała historia jest niezwykle interesująca.

— Miło mi to słyszeć — odparła sztywno Grace. Podejrzewała, że Henry znowu się z niej nabija.

— Chodzi mi o to, że czegoś takiego nikt by nie wymyślił — dodał Henry, chichocząc.

Zdecydowanie się ze mnie wyśmiewa, pomyślała z wściekłością Grace. Z trudem przełknęła ślinę. Chociaż jej wysiłki przyniosły żalodne efekty, przynajmniej się starała i z pewnością zasługuje na większy szacunek. Nawet po tym, co się wydarzyło na festiwalu St Merrion. Gdybyż tylko do tego nie doszło... Gdyby nie spotkała Henry'ego Moona... Siedzący obok niej Henry zaśmiał się jeszcze głośniej.

__ A więc tyle na temat blasków życia pisarza — prychnął, rozpryskując drobne kropelki śliny.

To było nie do zniesienia. Grace krzyknęła do kierowcy, by się zatrzymał.

— Wsiadam tutaj — powiedziała drżącym głosem. — Do widzenia, Henry. — Masz rację... to było zabawne — dodała.

Trzasnęła drzwiami jeszcze głośniej niż Euphemia. Gdy wysiadała, dostrzegła zdumioną minę Henry'ego, spoglądającego na nią z okna. Więcej go nie zobaczę, przysięgła sobie.

Kiedy czterdzieści minut później po forsownym marszu dotarła do domu, wyczerpana i z obolałymi stopami, zauważyła, że automatyczna sekretarka w przedpokoju mruga wściekle.

Sześć wiadomości. Serce Grace podskoczyło — może to dzwoni Henry, by ją przeprosić? Nacisnęła przycisk.

— Kochanie! — usłyszała głos lady Anniger. — Chodzi o tę kolację. Naprawdę musisz przyjechać, kochanie. Obok ciebie chcę posadzić najwspanialszego człowieka na świecie. Przystojny, czarujący, oszałamiająco bogaty... i do tego hrabia. Wymarzony dla ciebie, kochanie.

Grace skrzywiła się, ale po chwili jej twarz się wygładziła. Czy nie postępuje pochopnie, odrzucając tę propozycję? Choć w Wenecji przebywała jej matka, mimo wszystko było to jedno z jej ulubionych miast. Gdyby udało jej się od czasu do czasu wyrwać godzinę, wolną od obowiązków narzucanych przez lady Anniger, mogłaby odwiedzić któregoś ze swoich starych przyjaciół — miała ich tam przecież mnóstwo. Poza tym czekały na nią obrazy Tintoretta w Scuola Grande, grób Monteverdiego we Frati i mozaiki u św. Marka — zwłaszcza jej ulubiona, ukazująca Noego i potop. A także bardziej przyziemne rozrywki — *vaporetti* pływające po Canale Grande i wędrowki wśród ustawionych na kozłach stołów na targu rybnym w Rialto, gdzie zawsze z fascynacją przypatrywała się lśniącym w słońcu nożom rybaków, filetujących swój towar.

Wiedziała jednak, że najprawdopodobniej wcale nie będzie mogła się cieszyć tymi przyjemnościami. Matka nie da jej ani chwili spokoju, kolacja będzie tylko jednym z wielu ważnych wydarzeń towarzyskich. Pełne melancholii kościoły, wyładowane skarbami muzea, placyki oświetlone różowymi lampami, wdzięczne małe mostki, przepiękne widoki za każdym rogiem i cała oszałamiająca teatralność tego najbardziej romantycznego miasta na świecie — na wszystko to pewnie zdąży rzucić tylko kilka spojrzeń, nim matka wepchnie ją do kolejnego eleganckiego hotelu, na kolejne przyjęcie, i nieodmiennie powie: „Znają państwo moją córkę? Pracuje w wydawnictwie”. Doszła jednak do wniosku, że nawet to ma swoje zalety. Im bardziej będzie zajęta, tym mniej jej zostanie czasu na rozważanie tego

wszystkiego, co się wydarzyło w Londynie. Nie wspominając już o tym, co się działo w studiach telewizyjnych Charlton.

No i w końcu zdarzają się też cuda. Wprawdzie Grace przypuszczała, że hrabia, którego matka koniecznie chciała posadzić obok niej na kolacji, będzie kolejnym rozczarowaniem, ale nigdy nic nie wiadomo. Pomyślała, że jako osoba młoda, wolna i z nikim niezwiązana, może okazać się atrakcyjna. Wieczór, podczas którego wszyscy będą jej na wyścigi schlebiać, może sprawić jej przyjemność, nawet jeśli nic innego z tego nie wyniknie. Zresztą co ma do stracenia?

— W porządku, przyjadą — powiedziała do słuchawki.

Rozdział 11

Belinda prędeż by umarła, niż się do tego przyznała, lecz przyciąganie największych sław do jej kolumny nie okazało się tak proste, jak przypuszczała. I nie było żadnego rozsądnego wytłumaczenia, dlaczego tak się działo. Nie miała kłopotu z zapraszaniem pomniejszych osobistości do *Przerwy na herbatę*. Zupełnie nie rozumiała, czemu ci bardziej znani nie chcą się zgodzić na rozmowę.

Co gorsza, Fran wyraźnie naśmiewała się z jej porażek.

— Czy w tym tygodniu pojawi się Judith Chalmers? — pytała. — Lynsey de Paul? Lesley Joseph? A może Jim „Nick Nick” Davidson? Musisz mi powiedzieć. Grayson na pewno mnie o to zapyta na następnym zebraniu. Belinda, której skręcały się palce u nóg na myśl o rozmowie z mieszkańcem domu Wielkiego Brata — i to tym, który pierwszy go opuścił — jęknęła boleśnie.

Przecież to absurd. Świat gwiazd nie może być aż tak niedostępny.

— Stella McCartney już odmówiła — przypomniał jej Tarquin. — Podobnie jak Stella Tennant.

Belinda zaprzęła Tarquina, który miał pomagać całemu działowi *Z życia*, do pisania listów do potencjalnego kolum-

nowego mięsa. Uznała, że gwiazdy dziennikarstwa jej wielkości nie mogą zajmować się papierkową robotą, związaną z ich pracą — a fakt, że Mo Mills z jakichś niezrozumiałych powodów osobiście pisała wszystkie swoje listy, prawdopodobnie bardziej przyczynił się do jej zawału niż nieprzewidziane dodatki do materiału o księżnej Thanet. Jak dotąd jednak, osiągnięcia Tarquina na tym polu były mizerne. Prawdę mówiąc żadne.

Co gorsza, wyraźnie dawał do zrozumienia, że wina częściowo leży po jej stronie. Że wywiad z Champagne D'Vyne zniechęcił wszystkich potencjalnych rozmówców. To zbyt przesadna reakcja, pomyślała. Przecież pozwoliła sobie tylko na kilka żarcików o rybie, na miłość boską.

— Wszyscy mówią, że obeszłaś się z nią zbyt brutalnie — powiedział Tarquin.

— Ale to poszło na czterech stronach — odpaliła rozjątrzona Belinda.

— Chyba na tym między innymi polega kłopot — stwierdził. Ale dziś Belinda doszła do wniosku, że ma już dość tych cholernych wymówek.

— Uważam, że nie podchodzisz do tego we właściwy sposób — warknęła na swojego pomocnika. — Pokaż mi listy, które wysyłasz.

— Ten sam idzie do wszystkich. To szablon. Wpisuję tylko nazwiska.

— Pokaż.

Posłusznie podał jej wzór listu. Belinda zmrużyła oczy i zaczęła czytać.

„Globe” Data Londyn

Szanowny Panie,

piszę z zapytaniem, czy Pański klient, X, byłby zainteresowany udzieleniem wywiadu naszej gazecie. „Globe” należy do

czołowych brytyjskich pism i ma ponad cztery miliony czytelników.
Czekamy na odpowiedź.

Z upoważnienia Belindy Black specjalistki od wywiadów.

Z poważaniem Tarquín Cusk

Belinda zmięła kartkę i spojrzała na Tarquina z niesmakiem.

— I ty to nazywasz zaproszeniem do wywiadu? Brzmi niemal jak wezwanie na badanie do pieprzonego dentysty. Nie wysłałabym tego nawet do cholernego psa żadnej sławnej osobistości.

— Bardzo mi przykro — wymamrotał Tarquín. — Po prostu nikt mi nie powiedział, co napisać, więc...

— Więc ja ci teraz mówię, co masz napisać! — wrzasnęła Belinda.

Rzuciła się na pokryte skórą żrebięcia obrotowe krzesło (które redaktor działu *Twój dom* pożyczył jej niechętnie na wieczne nieoddanie), zaczerpnęła powietrza tak głęboko, że aż cała się zatrzęsła, i zamknęła oczy. Zapadła cisza, którą zakłócał tylko biurowy gwar dolatujący z innych pokoi. Tarquinowi, krążącemu wokół Belindy z ołówkiem i notatnikiem, wydawało się, że słyszy, jak zardzewiałe sprzęgła mózgu redaktorki z trzaskiem i piskiem zabierają się do pracy.

— No dobrze — powiedziała wreszcie Belinda, otwierając oczy. —

Zapisz to. Po pierwsze, adres. Powinien brzmieć tak... — Rozdęła nozdrza i zaczęła dyktować:

„Z biurka Belindy Black

Redaktorki naczelnej działu *Znakomitości* „Globe” Tarquin wytrzeszczył oczy.

— A teraz sam list — oświadczyła Belinda.

„Drogi Znacwo Znakomitości, gratulacje! Nadszedł dzień, o którym od dawna marzyłeś. Wywiad Belindy Black, najbar-

dziej prestiżowa kolumna w brytyjskim dziennikarstwie, leży u stóp twego jaśniejącego klienta...".

— Naprawdę chce pani napisać „jaśniejącego”? — przerwał jej Tarquin.

— Przynajmniej co druga osoba, do której piszę, wyszła właśnie z ośrodka odwy...

— Masz rację — przyznała Belinda. — „Jaśniejący” to nie jest dobre słowo. Zamiast tego napisz „promienny”. Wszyscy wyglądają promiennie, gdy wychodzą z klasztoru.

Tarquin westchnął i zapisał to.

„*Wywiad* Belindy Black, najbardziej prestiżowa kolumna w brytyjskim dziennikarstwie, leży u stóp twego promiennego klienta” — powtórzyła Belinda, po czym pogalopowała dalej: — „Megagwiazdy tak zaciekle rywalizują o dostęp do tej kolumny, że kiedyś Sandra Bullock i Meg Ryan pobiły się o możliwość udzielenia wywiadu...”.

— Naprawdę? — Tarquin szeroko otworzył oczy.

— Oczywiście, że nie — prychnęła Belinda. — Ale co szkodzi tak napisać, mam rację? Teraz zakończenie listu... — Znowu głęboko zaczerpnęła powietrza. — „»Globe« jest czołową gazetą brytyjską o nakładzie ponad dziesięciu milionów egzemplarzy...”.

— Hm... — przerwał jej Tarquin. — Ta liczba chyba nie jest całkiem dokładna. Żadna gazeta w kraju nie ma tak wysokiego nakładu.

— Dokładna? Kto, do diabła, dba o dokładność? Chcesz zdobyć dla naszego pisma sławnych ludzi czy nie?! — krzyknęła Belinda. — Zaraz, na czym toja stanęłam? A, tak. Nakład ponad dziesięć milionów... nie, napisz piętnaście. Albo: „o nakładzie ponad dwudziestu milionów”. I że nasz promienny klient będzie oczywiście bezpieczny w naszych rękach... Z pewnością, pomyślał Tarquin, w którego uszach nadal rozbrzmiewały wściekle wrzaski Champagne D'Vyne, gdy zadzwoniła do redakcji po przeczytaniu wywiadu. Jej mrożące krew w żyłach krzyki zaczęły prześladować go w snach. Co gorsza, Belinda, która sama unikała odbierania telefonów,

udawała zdziwienie, gdy skarżył się, że trudno mu poradzić sobie z tą sytuacją. „To przecież takie proste — oświadczyła. — Champagne powiedziała, że chce choć odrobinę zmienić dzień innego człowieka, i rozśmieszyła tym cały naród. Kiedy następnym razem się wścieknę, wystarczy, że jej to przypomnisz. Powinna wykorzystać tę nauczkę, a nie samolubnie dopatrywać się w niej niewygodnej dla siebie sytuacji”. Ale histeryczna reakcja Champagne wciąż prześladowała Tarquina.

— Bezpieczny? — wymamrotał. — Jest pani pewna?

— Nie, masz rację. To nie wystarczy. — Belinda zmarszczyła brwi, po czym znowu zaczęła dyktować: — „Pański promienny klient jest więcej niż bezpieczny w naszych rękach, ponieważ, w przeciwieństwie do naszych rywali, dajemy nasze wywiady do autoryzacji...”.

— Przecież nigdy tego nie robimy — przerwał jej Tarquín. — Fran powiedziała, że nikomu, z kim przeprowadzamy wywiad, nie wolno się z nim zapoznać przed wydrukowaniem.

Belinda spojrzała na niego jak na idiotę.

— Oczywiście, że nie wolno. Ale nic złego się nie stanie, jeśli im powiemy, że się z nimi zapoznają. — Odchrząknęła i mówiła dalej: — „I naturalnie zapewniamy pełną autoryzację zdjęć”.

Tarquín poczuł, że znowu ogarnia go lęk. Z całego wywiadu właśnie zdjęcie najbardziej rozzłościło Champagne D'Vyne. Piersi wylewały jej się z sukni i sączyła z kieliszka żółty płyn, który, jak głosił podpis, był jej własnym moczem. Jąkając się lekko, Tarquín przypominał o tym swojej szefowej.

Belinda uśmiechnęła się do niego.

— Oczywiście, że to zdjęcie zostało zatwierdzone — oznajmiła. — Może sama Champagne wcześniej go nie widziała, ale naczelnemu bardzo się podobało. Posłuchaj — dodała z gniewnym grymasem — nie podoba mi się twoja postawa. Chcesz u nas pracować czy nie?

Tarquín przełknął ślinę. Przy takich okazjach zastanawiał się zawsze, czy rzeczywiście uciekł z poprzedniej pracy, gdzie

był asystentem w dziale reportaży popularnego magazynu, do „prawdziwego” dziennikarskiego świata. Opuścił ten magazyn, bo nie był w stanie przeprowadzić kolejnego wywiadu z arystokratą, ubranym w baskinkę i kabaretki, ani napisać jeszcze jednego felietonu na temat seksowności Padstowa.

Przypominał sobie, jak jego szef kazał mu zebrać z twarzą wysmarowaną osmalonym korkiem od szampana — najpierw przed modną londyńską restauracją, a potem przed wielkim bankiem handlowym — by się przekonać, gdzie najszybciej uezbiera sto funtów. Wydało mu się to kresem dziennikarstwa śledczego, ale przy Belindzie doszedł do wniosku, że trafił z deszczu pod rynnę. Co prawda meteorologia nie zajmowała zbyt wiele miejsca w żadnym z obu wydawnictw, w których dotychczas pracował, więc może z wanny pod prysznic.

Tymczasem Belinda wyrywała kilka stron z kolorowego ilustrowanego magazynu, przedstawiającego gwiazdy na rozdaniu nagród filmowych. — Spróbuj do nich napisać — nakazała, rzucając w niego fotografie. — Red Champion jest oczywiście na czele listy.

Red Champion... Belinda pograżyła się w swoim ulubionym marzeniu. Przeszedł ją dreszcz podniecenia na myśl, ile wywiad z tym gwiazdorem będzie znaczył dla jej kariery.

Przeczytała wycinki prasowe na jego temat w bibliotece gazety i znała jego życiorys na pamięć. Mogła cytować całe akapity: „Champion zyskał sławę rolą rzymskiego żołnierza, który w *Legioniście* awansował ze zwykłego wojaka do stanowiska generała. W tym niezwykle kasowym rzymskim eposie, podobnie jak przedtem w *Gladiatorze*, zyskał uznanie wielu narodów. Życie szybko wzięło przykład ze sztuki: ogromny sukces filmu, który zdobył liczne Oscary, wyniósł Campiona, urodzonego w Nowym Jorku chłopaka o sarnim spojrzeniu, z aktora, grywającego małe role w telewizyjnych komedijkach, na pozycję jednej z największych, najjaśniejszych gwiazd na hollywoodzkim firmamencie...”.

Na czole Belindy zaślniły drobne kropelki potu.

„Tak wiele kobiet zapalało namiętnością do celuloidowego generała o smutnym spojrzeniu, że nazwano to »chorobą legionisty^'.

„Choroba legionisty..." — wyszeptała do siebie w uniesieniu Belinda i w jej umyśle pojawiły się kolejne gazetowe akapity.

„Tajemnica jego sukcesu? Zdaniem jednego z krytyków łączy on na ekranie cechy Cary'ego Granta, Seana Connery'ego i Leonarda di Caprio". Inny nazwał Campiona »najprzystojniejszym aktorem w spódniczce i sandałach od czasów Russella Crowe'a«".

Russell Crowe... Belinda przypomniała sobie, co napisano w innym wycinku: „Campion zdecydowanie odrzuca porównania z nowozelandzkim zdobywcą Oscara i przedmiotem westchnień wielu kobiet. Zdaniem niektórych wynika to z przekonania Campiona o wyższości jego własnego talentu aktorskiego, inni twierdzą, że gwiazdor jest po prostu zazdrosny...". Pomyślała, że musi się pilnować, gdy spotka się z Campionem twarzą w twarz, by nie wymienić nazwiska Crowe'a.

Był jeszcze jeden problem — aktor, najwyraźniej podejrzliwie nastawiony do prasy, rzadko udzielał wywiadów, choć mówiono, że niedawno zgodził się na rozmowę z redaktorem nowego amerykańskiego magazynu filmowego. Nie dopuszcza do siebie wyłącznie brytyjskich dziennikarzy.

W sumie jednak to unikanie prasy przez Campiona działa na jej korzyść. Od wywiadu z supergwiazdą, pomyślała z podnieceniem Belinda, lepszy jest tylko wywiad z supergwiazdą, która nigdy nie udziela wywiadów. Kiedy roztoczy przed nim cały swój czar, Campion nie zdoła jej się oprzeć.

Wypięła pierś, zwilżyła językiem wargi i poczuła, jak jej sutki naprężają się, gotowe do akcji niczym ukryte pociski w samochodzie Bonda. Muszę go dopaść... — pomyślała. To znaczy musi tego dokonać Tarquin. Ona i Red są najwyraźniej stworzeni dla siebie. Gwiazdor bez wątpienia sam to dostrzeże, gdy tylko Belinda znajdzie się w jego pobliżu.

— Co dokładnie odpowiedziało biuro Reda Campiona?! — ryknęła do Tarquina, który obronnym gestem otoczył się ramionami i splótł swoje chude nogi.

— N... n... nic — wyjąkał Tarquin. — Napisałem do wielu różnych biur, ale od żadnego nie otrzymałem odpowiedzi.

— Zwróciłeś się, jak rozumiem, do brytyjskiej agencji prasowej, amerykańskiej agencji prasowej, biura reklamy brytyjskiej agencji prasowej oraz działu reklamy amerykańskiej agencji prasowej? Oprócz listów rozesłałeś faksy, e-maile i wszędzie dzwoniłeś? Także do różnych agentów, filmowych biur reklam oraz agencji, zajmujących się płynem po goleniu, butami, koszulami, żarciem dla psów, bronią półautomatyczną i co tam jeszcze on reklamuje?

— Tak, oczywiście. Nie napisałem tylko jeszcze do jego matki.

— Nie bądź taki cholernie sarkastyczny. Tarquin zamrugał, zdumiony.

— Wcale nie zamierzałem...

Belindę aż zaświerzbiły ręce, miała ogromną ochotę go uderzyć. Powstrzymała się jednak — gdyby to zrobiła, Tarquin odszedłby, skazując ją na samodzielne pisanie listów. Jakbym nie miała niczego innego do roboty, pomyślała z wściekłością, patrząc na swojego asystenta z nieukrywaną odrazą.

— I dołącz zdjęcie do każdego listu, dobrze?

— Zdjęcie? Pani, tak?

Belinda otworzyła szufladę, wyjęła kilkanaście jednakowych fotografii i wręczyła je Tarquinowi. Przedstawiały skąpo odzianą kobietę o długich ciemnych włosach, opadających na opalone ramiona. Miała na sobie dzinsowe szorty, a jej nogi zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Pełne usta kobiety rozchylone były w szerokim uśmiechu, ukazującym rząd zębów, tak dużych i białych, jak lodówki w salonie wystawienniczym.

— To pani? — zapytał zdumiony Tarquin. Belinda nie była brzydka, lecz choć wyczyniała różne sztuczki z różem, nie miała wystających kości policzkowych. Poza tym stan jej zębów

nieco pogorszył się od czasu zrobienia tej fotografii. — Wygląda pani jak młoda Cindy Crawford — dodał ostrożnie.

— Bo to jest młoda Cindy Crawford — warknęła Belinda. — Wszyscy mówią, że jestem do niej bardzo podobna, więc po co miałam marnować swój cenny czas na pozowanie?

W jadalni konsulatu, przedzielone stołem, nakrytym śnieżnobiałym adamaszkiem, siedziały naprzeciwko siebie dwie ozdoby towarzystwa, brunetka i blondynka. Grace zauważyła, że nie tylko światło kandelabrow odbijało się w ich diamentach. Były to również ognie bitwy.

— Więc masz tylko dwie nianie? — odezwała się brunetka tonem pełnym współczucia. — Nie wyobrażam sobie, jak dałabym radę bez trzech.

Jedna na dzień, jedna na noc i jedna dodatkowa.

Siedząca po drugiej stronie stołu blondynka uśmiechnęła się.

— Cóż... latem naprawdę nie potrzebujemy więcej. Wiesz, mamy dwa jachty. Jeden dla nas i jeden dla dzieci.

Grace patrzyła, jak idealnie wymanikiurowane palce brunetki zaciskają się na nóżce kieliszka z szampanem. Uroczysta kolacja, wydana przez lady Armiger, okazała się mniej nudna niż zwykle, choć obiecany hrabia, zgodnie z jej oczekiwaniami, zawiódł na całej linii.

Dokładnie poinformowana przez matkę, wiedziała, że jej sąsiad posiada majątek, ogromną winnicę, kilku papieży w historii rodu i tak długie nazwisko, że jego wizytówka ma wielkość kartki pocztowej. Ubrany był również nienagannie — wytworny garnitur wyglądał niemal jak wymodelowany na jego plecach, a kosztowne spinki do mankietów połyskiwały za każdym razem, gdy podnosił kieliszek. Na jego pulchnym małym palcu błyszczał sygnet, grubo tkany jedwabny krawat zawiązany był w kunsztowny węzeł. Lśniące czarne włosy były starannie uczesane, a ostra woda kolońska o zapachu Jermyn Street stanowiła triumfalne zaprzeczenie zasady Jermyn Street, że

zapach powinien szeptać, nie krzyczeć. Siedząca obok niego Grace czuła, że jej ubraniu i włosom wiele można zarzucić.

Podejrzewała jednak, że jako ewentualny materiał na zięcia, hrabia Giancarlo Eugenio Albinoni Graciosi di Sforza y Visconti rozczaruje również jej matkę.

Przede wszystkim podczas całego pierwszego dania nie odezwał się ani słowem. Teraz, gdy podano drugie, teatralnie przewrócił oczami, przeżuł pierwszy kęs, zamrugał boleśnie, po czym dyskretnie odłożył widelec obok talerza z *osso bucco*. Z trudem przełknął, jęknął cicho i przyłożył wielką lnianą serwetkę do kącików ust.

W końcu popatrzył na Grace.

— Dobrze się pani bawi w Wenecji? — zapytał niezbyt oryginalnie. — To wspaniale, że pani rodzice pracują w konsulacie. Ma pani mnóstwo okazji do zwiedzania.

Grace stłumiła westchnienie. Spędziła popołudnie w mrocznym *palazzo*, odwrócona plecami od kuszących widoków Ca'D'Oro po drugiej stronie Canale Grande. Zamiast zwiedzać, musiała wysłuchiwać długich opowieści nowego trzeciego sekretarza matki. Herbatę wypła w towarzystwie nerwowego podsekretarza Ministerstwa Spraw Zagranicznych, którego bardzo martwiła niemożność kupienia earl greya we Włoszech. Na szczęście matka była zbyt zajęta, by zapytać Grace o Siona — a może postanowiła, co jej się raczej się nie zdarzało, zachować dyplomatyczne milczenie na ten temat.

- O tak — odparła Grace. — Oczywiście, trochę zwiedzałam... —

Urwała, starając się wymyślić coś oryginalnego. — Dziś po południu zauważyłam, jak bardzo te grube drewniane trójnogi w wodzie przypominają wiązki szparagów.

Gładkie, opalone czoło hrabiego zmarszczyło niezrozumienie.

— Chodzi pani o *broccoli*?

— Tak, chyba tak. Te słupy, pomiędzy którymi pływają łodzie.

Oznaczające głębokie miejsca...

— Jaką ona ma żywą wyobraźnię, prawda, panie hrabio? —

zawołała lady Armiger z drugiego końca stołu. — Wszyscy jesteśmy przekonani, że zostanie kiedyś wielką pisarką. Z pewnością będzie następczynią Martina Amisa.

Grace zaczerwieniła się po same uszy. Jej matka nie mogła — czy nie chciała — zrozumieć, że praca w wydawnictwie wcale nie oznacza, że pisze się książki.

Hrabia znowu ostrożnie podniósł widelec do ust, rozchylając małe czerwone wargi. Jego twarz natychmiast przybrała wyraz cierpienia i ponownie chwycił serwetkę. Zdziwiona Grace nakłuła widelcem twardą powierzchnię *osso bucco*. Wydawało jej się dobre. W każdym razie nie gorsze niż zazwyczaj.

— Ten Martin Amis, o którym mówiła lady Armiger... — zaczął hrabia.

— Tak?

— On mnie interesuje — dodał. — Bardzo podziwiam jego ogromną odwagę.

Grace skinęła głową.

— Istotnie, nigdy nie obawia się podejmowania kontrowersyjnych tematów. Jego autobiografia na przykład...

— Nie, nie. Nie książki. — Hrabia otworzył usta i wsadził w nie palec, pokazując dwa rzędy swoich zębów trzonowych. — Jak pani widzi, bardzo boję się deentysty. Podziwiam Amisa za to, że dał sobie zrobić wszystko z zębami. — Przewracając oczami i machając rękoma, zaczął opisywać męczarnie, jakie ostatnio przeżywał na fotelu dentystycznym. — ...a potem mój dentysta mówi: pan siedzi spokojnie, a ja spiłuję kawałek pańskiego zęba. Spiłuję kawałek pańskiego zęba! Wyobraża to sobie paani?

Grace jeszcze nigdy nie była tak zadowolona ze zwyczaju zmieniania miejsc podczas deseru, jaki panował w domu jej matki. Po relacji ze stomatologicznych udręk hrabiego niemal z ulgą usiadła obok przedstawiciela przemysłu filmowego imieniem Howard, który przyjechał na wenecki festiwal.

— To wspaniałe wydarzenie — powiedziała. — Chyba gdzieś czytałam, że był na nim Red Champion.

Oczy Howarda za grubymi szklami, podobnymi do tych, jakie nosił Buddy Holly, zwęziły się.

— To jakiś logistyczny koszmar. Grace poczuła się zaintrygowana.

— Doprawdy? Setki wrzeszczących dziewcząt, rzucających majtkami, coś w tym rodzaju?

Howard westchnął ciężko.

— To też. Ale prawdziwy problem polegał na tym, że był tam również Russell Crowe.

— Dlaczego?

Howard sprawiał wrażenie zaskoczonego.

— To znaczy, że pani o niczym nie wie? Grace zaczerwieniła się.

— O czym nie wiem?

— *Campion* nie znosi Crowe'a. To tajemnica poliszynela, więc myślałem, że wszyscy o tym wiedzą.

Grace stłumiła irytację.

— Ale dlaczego? Był wspaniały w *Gladiatorze*.

— Właśnie w tym rzecz — odparł Howard. — *Legionista* odniósł sukces, ale *Gladiator* jeszcze większy.

— To chyba dzielenie włosa na czworo — stwierdziła Grace. — Przecież *Red Campion* zdobył ogromną sławę.

Howard zacisnął wargi.

— Widać jeszcze niedostateczną, bo niesamowicie zazdrości Crowe'owi.

Nikt w branży nie ma co do tego wątpliwości.

Jego wszechwiedza zaczęła działać Grace na nerwy.

— Ale podobno *Campion* nienawidzi tej hollywoodzkiej supergwiazdorskiej otoczki — powiedziała. Gdzieś coś o tym czytała.

— Każdy z nich tak mówi — odparł Howard.

— Mnie *Legionista* bardzo się podobał — oświadczyła Grace z determinacją, przypominając sobie, że aby go zobaczyć, stoczyła również ciężką walkę, jak wiele z tych, które *Campion* toczył na ekranie. Siedzący obok niej Sion podczas całego

filmu wiercił się niecierpliwie i mamrotał coś o militaryzmie i polityce imperialnej.

Howard przewrócił oczyma.

— Chyba rzeczywiście nie był zły, ale przydałoby się go trochę przemontować.

Zapadło milczenie.

— Poznał pan Reda? — zapytała Grace po paru minutach. Jeśli Howard siedział w tej branży, z pewnością znał niejedną gwiazdę.

Filmowiec odchrząknął i zrobił zakłopotaną minę.

— Niezupełnie.

— Jak to? W ogóle? — Tym razem to Grace zrobiła zaskoczoną minę.

— Zaraz po festiwalu wyjechał do Londynu — odparł sztywno Howard.

— Kręci nowy film w reżyserii Guya Ri-tchiego, *Betonowe buty*.

Ten tytuł przypomniał coś Grace. Czy Ellie nie wspominała o nim ostatnio?

— A tak! — wykrzyknęła. — Gra w nim Champagne D'Vyne, prawda? Howard jęknął.

— Koszmar... — wymamrotał.

— Właśnie — dodała Grace, zadowolona, że może mu przytaknąć. — Wszystkie te opowieści o tym, jak stała się uduchowioną osobą... Niedorzeczne, prawda?

— A czytała pani artykuł w „Przyczepie” o awanturach, które Champagne urządza na planie? — zapytał Howard, który zawsze musiał być najlepiej poinformowany.

Grace potrząsnęła głową, niezadowolona, że znowu zepchnięto ją na pozycję ignorantki.

— Co to jest „Przyczepa”?

— To nowy amerykański magazyn filmowy. Z pewnością musiała pani o nim słyszeć. — Howard popatrzył na nią z lekką pogardą. — Nie? — W pierwszym numerze jest wywiad z Redem. Trochę błazeński... o tym, jak rzucił żonę, posyłając jej e-maila, że stał się uzależniony od seksu.

— Nie mogę w to uwierzyć! — zawołała Grace. Filmowy żołnierz Reda był wzorem odwagi i uczciwości. Wydawało się jej niemożliwe, by aktor, który go grał, nie miał przynajmniej kilku tych cech.

Howard uśmiechnął się z wyższością.

— Niech się pani nie denerwuje. To oczywiście nieprawda. Gdyby było inaczej, wiedziałbym o tym.

Grace uśmiechnęła się i wbiła widelczyk w truskawkę. Gdy znowu zapadło milczenie, rozejrzała się i zauważyła, że dwie ozdoby towarzystwa nadal skaczą sobie do upudrowanych gardel.

— Bardzo mi się podoba ta twoja torebeczka od Diora — mówiła właśnie blondynka do brunetki. — Mam dokładnie taka samą. — Poklepała swój idealnie upięty koczek, po czym dodała protekcjonalnie: — Ale chyba jest za mała, żeby coś w niej nosić.

— Nosić? — Aparat ortodontyczny na zębach brunetki załśnił bezlitośnie w blasku świec. — Cóż za niezwykły pomysł. Po co nosić cokolwiek dokądkolwiek, skoro ma się limuzynę?

W tym momencie Grace uświadomiła sobie, że obie kobiety rywalizują o zdobycie uwagi mężczyzny, siedzącego po jej drugiej stronie. Zdumiało ją zainteresowanie tych dam owym dżentelmenem — wydawało się, że nic nie wie o jachtach, limuzynach ani żadnych innych przejawach bogactwa, które tak wyraźnie imponowały brunetce i blondynce.

Zerknęła na niego ukradkiem.

Sprawał wrażenie zbyt dużego i wysokiego, by siedzieć wygodnie na maleńkim, połączanym krzeselku, na którym przycupnął niczym bęben na groszku. Troska o wygląd zewnętrzny najwyraźniej nie była jego największym zmartwieniem: włosy, gęste jak sierść psa, pilnie potrzebowały ręki fryzjera, a oczy, okolone jasnymi rzęsami, były niemal całkowicie ukryte pod gęstą szczeciną piaskowych brwi. Szerokie czoło o ceglastym kolorze było poryte bruzdami, głębokimi jak koleiny. Krótko mówiąc, wyglądał jak człowiek, który wiele

czasu spędza na powietrzu. Karteczka, wyznaczająca mu miejsce przy stole, była równie bezpretensjonalna. Napisano na niej tylko dwa słowa: „Bill Duke”.

Grace zastanawiała się, w jaki sposób jej sąsiad zarabia na życie. Matka, biegająca przez całe popołudnie między kuchnią i buduaem, zdążyła udzielić jej szczegółowych informacji tylko na temat hrabiego.

Zazwyczaj jednak nietrudno było odgadnąć, czym trudnili się goście lady Armiger. Sygnety, krawaty starych szkół oraz brak drugiego podbródka wskazywały na młodszych pracowników Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Odwiedzający konsulat posłowie mieli zwyczaj wymachiwania rękami. Ale powierzchowność i zachowanie Duke'a nie dawały żadnych wskazówek. Jego potężne czerwone dłonie, na których nie było obrączki ani sygnetu, mocno obejmowały sztuce. Równie dobrze mógł być majstrem budowlanym, jak i urzędnikiem, zajmującym się utylizacją śmieci.

— Więc utrzymuje się pani z pisania? — zagadnął ją nagle. Mówił z teksańskim akcentem, przeciągając zgłoski.

Grace zauważyła, że blondynka i brunetka przestały wymieniać kąśliwe uwagi i bacznie jej się przypatrywały. Przypominały parę jastrzębi, gotowych w każdej chwili spaść na ofiarę.

— Mmm... niezupełnie — odparła Grace lekko schrypniętym głosem. Wiedziała, że to sprawka wina. Jak zawsze, napomnienia jej matki, by „na służbie” piła jak najmniej, przyniosły odwrotny efekt. Ale musiała nawilżyć się od środka, by znieść takie typy jak Howard i hrabia. Co więcej, przeżycia ostatnich tygodni nie skłaniały jej do powstrzymywania się od alkoholu.

Bill Duke przyjrzał jej się uważnie.

— Mów mi Bill. Więc nie jesteś pisarką?

— Nie — powiedziała Grace, czując, że ogarnia ją irytacja. Przecież niczego takiego nie mówiła. — Ale pracuję dla wydawnictwa.

— Jakiego wydawnictwa? — zapytał, wbijając w nią swoje okrągłe oczy.

— Nazywa się Hatto.

Duke pociągnął łyk wody.

— Niestety, przykro mi, ale nigdy o nich nie słyszałem. Grace kiwnęła głową. Trudno się było tego spodziewać po mieszkańcu Teksasu.

— Nigdy nie czytam książek — oznajmił Bill Duke.

— Doprawdy? Dlaczego?

— Są dość nudne — mruknął, rzucając jej wyzywające spojrzenie. Nadal czując na sobie wzrok jastrzębi, niechętnie podjęła rękawicę. Przyszła tu, by uciec od wydawnictwa, nie żeby go bronić.

— Ale przecież książki w skoncentrowany sposób przedstawiają przeżycia innych ludzi. Na przykład przygody podróżników. I romanse...

— Grace urwała. Jak dotąd, niewiele dobrych książek tego typu trafiło do jej wydawnictwa. Jastrzębie przy stole zeszywniały.

— Ludzie wolą przeżywać własne romanse — stwierdził Bill Duke.

— Ale chyba nie zaprzeczy pan, że książki mogą zabrać czytelnika w miejsca, w które inaczej nigdy by nie trafił? — Zdawała sobie sprawę, że ucieka się do najprostszyc argumentów, ale to, co powiedział, było uwłaczające. Musiała bronić swego zajęcia, niezależnie od tego, jak marnie je wykonywała.

Duke zabębnił po stole grubymi palcami.

— Wiem z doświadczenia, że pieniądze zawsze zabierały mnie znacznie dalej niż jakakolwiek książka. — Gdy wypowiadał te słowa, z miejsc, które zajmowały jastrzębie, dobiegł szelest. — A tak czy owak, przeżycia innych ludzi specjalnie mnie nie interesują. Chyba że mogę zrobić na nich pieniądze.

— Nie wszystko sprowadza się do pieniędzy — wycedziła Grace, którą ogarnął nagły gniew. — Są ważniejsze rzeczy.

— No pewnie. — Duke nałożył sobie *zabaglione*.

— Grace zaczęła pracować w wydawnictwie, by poznać gwiazdy — wtrąciła się lady Armiger z drugiego końca stołu, uśmiechając się promiennie do Duke'a i swojej córki. Jastrzębie zrobiły wściekle miny.

— Naprawdę? — Duke wydawał się zaskoczony tym stwierdzeniem.

— Nie — odparła poirytowana Grace. — Jesteśmy bardzo małym, specjalistycznym wydawnictwem. Zajmujemy niewielkie biuro w Bloomsbury. W Londynie — dodała, bo Duke nie wyglądał na człowieka obznajomionego z terenami, po których krąży literacki świat.

Uniósł brew.

— Wiem, gdzie to jest.

— Och, ale z pewnością spotkałaś niejednego bogatego i sławnego pisarza — powiedziała lady Armiger.

— Raczej nie — odparła Grace, rumieniąc się z zażenowania i pod wpływem wypitego alkoholu. — W Hatto nie publikują bogaci i sławni. Specjalizujemy się w nieznanym i niezbyt popularnym autorach... takich, którzy trafiają do bardziej wymagających czytelników.

— Ale dlaczego? — zapytał ze zdziwieniem Duke. Grace poczuła, że znów narasta w niej irytacja. Czy tego filistyna nie obchodzi nic prócz zysku?

— Dlatego, że jesteśmy wydawnictwem literackim — oświadczyła. — Staramy się publikować wartościowe książki — dodała, wymazując z pamięci Euphemię Ogden.

Duke spojrzał na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

— Kochanie, po prostu szukasz wymówek. Powiedz panu Duke'owi, jakich znanych pisarzy wydajecie! — zawołała lady Armiger.

Grace stłumiła jęk.

— Na przykład Euphemia Ogden... — wymamrotała do Duke'a. — To nasza najbardziej znana autorka.

— Euphemia Ogden! — Dwa jastrzębie zachichotały i pociągnęły wina.

— Euphemia Ogden? — powtórzył Duke. — Diabelne nazwisko.

— I jest diabelną... chciałam powiedzieć, że ma bardzo wyrazistą osobowość.

— Ma jakieś sukcesy na koncie?

— Napisała bestseller *Polly jak pudding z proszku*.

Oczy Duke'a rozszerzyły się. Głowa lady Armiger przy końcu stołu podskakiwała zachęcająco jak łeppek plastikowego pieska na tablicy rozdzielczej.

— Kto jeszcze? — zapytał Duke. Grace pomyślała, że jak na człowieka nie lubiącego czytać książek okazuje niespodziewane zainteresowanie tym tematem.

— Inigo Thongsbridge. Napisał książkę, zatytułowaną *Ego wikarego*.

— O czym to jest?

— To rodzaj satyrycznej przeróbki tekstów z *Tybetańskiej Księgi Zmarłych*, opartej na męczeństwie świętego Sebastiana, którego duch zamieszkuje ciało artysty, przebywającego w... — Grace urwała.

Brzmiało to dość dziwnie, ale też wszystko, co było związane z Inigo Thongsbridge'em, brzmiało dziwnie.

Duke jednak zapytał tylko:

— Czy zdobył jakieś nagrody?

— Jeszcze nie. Ale jego *Monologi cortiny*, rozłożony na cztery głosy opis podróży przez argentyńskie pampasy, zostały wytypowane do nagrody — odparła Grace, pilnując się, by nie wyjawiać faktu, iż owe laury to Nagroda za Życiowe Osiągnięcie Klubu Fanów Forda Cortina.

— Kto jeszcze, kochanie? No, dalej! — nalegała matka z lekką desperacją w głosie.

Grace nie chciała mówić o Henrym, człowieku, przed którym tutaj uciekła. Czy naprawdę musi o nim wspominać? Odchrząknęła i zamrugnęła, po czym powiedziała niechętnie:

— Henry Moon. Autor *Ssanja kamieni*. Jastrzębie zachichotały.

— O czym to jest? — zapytał Duke.

— To autobiograficzny opis podróży, mającej na celu odkrycie tajemniczego plemienia, które podczas swoich rytuałów zasiada w kręgu z kamykami w ustach. To ostatni z podróżników dżentelmenów... — Grace urwała, uświadamiając sobie,

że wcale nie uważa już Henry'ego Moona za dżentelmena. — Może słyszał pan o Tenebrisie Luksie? — zapytała, próbując zmienić temat. — To autor *Humory sty cznego spojrzenia na ból*. Oczy Duke'a rozszerzyły się.

— Tenebris... kto?

Grace poczuła, że ogarnia ją fala zazdrości. Błogosławiona niewiedza... ona sama też wolałaby nigdy się nie dowiedzieć, kim jest Tenebris.

— Luks — powtórzyła.

— Proszę mówić dalej — powiedział Duke.

Akurat tego właśnie Grace nie chciała. Wspomnienie jednego jedyne go koszmarne go razu, kiedy towarzyszyła Tenebrisowi podczas czytania fragmentów jego książki dla publiczności w księgarni, było jeszcze zbyt świeże.

— Ten Tenebris... — naciskał Duke. — Czy on jest przystojny?

— Hmm... — „Przystojny” chyba nie było właściwym słowem. Grace, która nigdy przedtem nie widziała tego pisarza, po dziesięciu minutach czekania była pewna, że nie pojawił się w księgarni. I wtedy nagle spośród zebranej publiczności wyłonił się mężczyzna w średnim wieku, z rozpiętym rozporkiem, w okularach o szklach grubych jak denko butelki i nasuniętym na twarz kapeluszu, który okazał się watowaną nakrywką na czajnik. Grace uznała go za lekkiego pomyłeńca, jaki trafia się w każdym większym zgromadzeniu. Doznała wstrząsu, gdy okazało się, że to właśnie Tenebris. Na kierowniku księgarni nie zrobił wrażenia.

— Przepraszam — wykrztusiła. — Ci wszyscy pisarze są... hm... artystami.

— Jasne. I nawet mogę pani dokładnie powiedzieć, jakiego rodzaju — burknął kierownik.

— Wygląda interesująco — powiedziała Duke'owi.

— A jaki on jest?

— Hmm... — Grace wzdrygnęła się, gdy szczegóły występu Tenebrisa odżyły w jej pamięci. Chwycił egzemplarz *Humorys-*

tycznego spojrzenia na ból, podrzucił go w powietrze, a kiedy książka z trzaskiem opadła na podłogę, zaczął czytać ze stronicy, która się otworzyła. Do góry nogami, jak zauważyła Grace.

— Pierdolmy się — zaskrzeczał do publiczności, wbijając wzrok w dwie starsze panie w pierwszym rzędzie, które najwyraźniej przyszły tu odpocząć po zakupach. Potem, ku przerażeniu Grace, nastąpiła długa scena erotyczna, w której co chwila pojawiała się słowo „cipa”. By wydobyć dramatyczne akcenty tekstu, Tenebris co chwila wypychał do przodu krocze z rozpiętym rozporkiem. Wydawało się, że czytanie trwa całe wieki, a gdy wreszcie dobiegło końca, zapanowała grobowa cisza. Starsze panie wyszły chwiejnym krokiem, jedna z nich miała wyraźnie posiniąle wargi.

— Jest oryginalny — wymamrotała, patrząc na Duke'a, który chyba odgadł częściowo jej myśli.

— I pani reklamuje tych facetów? — zapytał w zamyśleniu.

— Owszem — odparła Grace.

— To musi być ciężka robota.

— Traktuję to jak wyzwanie. A ja lubię wyzwania.

— Lubi pani wyzwania, tak? Chylę przed panią czoło. Z pewnością to bardzo niewdzięczna praca, jak to w reklamie. Jak pani to wytrzymuje?

— To *zabaglione* jest pyszne, nie uważa pan? — powiedziała Grace, zmieniając temat z subtelnością pasażera samochodu, który nagle wyrywa szoferowi kierownicę, próbując uchronić pojazd od zderzenia z latarnią. Była zdumiona, gdy Duke, podejmując ten wątek z szybkością i znajomością tematu, o jaką by go nie podejrzewała, zaczął natychmiast mówić o włoskich potrawach. Z pewnością znał się na tym lepiej niż kucharz matki Grace, który serwował gościom spaghetti z puszek, co byłoby nie do pomyślenia u prawdziwego szefa kuchni.

Ale pięć minut później Duke znowu przystąpił do ataku.

— Więc nie macie żadnych znanych autorów? — zapytał. — Ani jednego? Nikogo w rodzaju Martina Amisa? Nic, kompletne zero?

Grace ze znużeniem pokręciła głową.

— Jak już mówiłam, Hatto nie wydaje książek literackich sław. Jesteśmy staroświeccy. To wydawnictwo w dawnym stylu. Nasze biuro jest małe, trochę dziwaczne i mieści się w Bloomsbury. Nie ma nic wspólnego z tymi ohydnyymi ogromnymi pałacami, pokrytymi lustrzanym szkłem, w których pracują tysiące ludzi z personelu i w których mieści się telewizja, film, reklama, a także wydawnictwa. Dobieramy naszych autorów ze względu na poziom ich tekstów, a nie popularność. — Cóż, kiedyś w to wszystko wierzyła. Dokończyła swoje *friuli*.

Duke przywołał kelnera i wskazał pusty kieliszek Grace.

— A jaki jest wasz szef? — zapytał.

Mając już serdecznie dosyć tego tematu, Grace uniosła swój kieliszek i wyjaśniła, że szefem Hatto & Hatto jest osiemdziesięcioletni, który cały czas spędza na Riwierze Francuskiej. Nikt w biurze londyńskim —jedyńm, jakie istnieje — nigdy go nie widział. Ze zdziwieniem ujrzała, że brwi Duke'a podskoczyły aż do linii włosów.

— A zebrania rady nadzorczej? Kto kieruje wydawnictwem na co dzień? Grace pociągnęła jeszcze jeden łyk wina i opowiedziała mu o Adamie Knighcie.

Pięć minut później nadal mówiła, widząc, że oba jastrzębie z trudem powstrzymują gniew, a brwi Duke'a unoszą się coraz wyżej. Kiedy się nad tym zastanowiła, doszła do wniosku, że wyglądały tak od chwili, gdy wspomniała, że Adam ma zwyczaj zostawiania rękopisów w autobusach. Nadal jednak nie miała pojęcia, dlaczego Duke'a tak to interesuje.

Podano kawę i kolacja zaczęła dobiegać końca. Bill Duke wyszedł jako jeden z pierwszych, ale nawet to nie skłoniło obu bywalczyń wielkiego świata do zawarcia pokoju. „Wiem oczywiście, że to nieprawda, kochanie — usłyszała Grace, gdy okrywały się w holu kaszmirowymi szalami — ale naprawdę musisz położyć kres plotkom, jakoby twoja służba była tak źle traktowana, że musieli założyć grupę wsparcia”.

Kiedy lady Armiger zamknęła drzwi za ostatnim gościem, pomknęła do salonu i opadła na fotel.

— Powinieneś go zobaczyć — wykrztusiła. — Był wielki. Czarny. Gruby. Ohydny.

— Słucham? — zapytał zdziwiony ojciec Grace.

I wtedy Grace dowiedziała się, jak wygląda zapis tego, „Co Poszło Źle” w książce przyjęć jej matki: *primo piatto* — *pasta primavera* (makaron niedostatecznie odsączony, groszek twardy), *secondo piatto* — *osso buceo* (twarde, talerze zimne) i, najgorsze ze wszystkiego *dolce* — *zabaglione* (był w nim włos z wąsa!!!).

Zasłoniła dłonią usta, by ukryć uśmiech. Jej ojciec stał odwrócony plecami, znacznie dłużej niż zazwyczaj wrzucając kostki lodu do swojej szklaneczki whisky.

— O Boże! — wykrzyknęła nagle lady Armiger. Jej mała, gładka twarz była dziwnie podobna do zaskoczonego gotowanego jajka. — Uderzyła mnie właśnie okropna myśl... Wyobraźcie sobie, że hrabia również mógł znaleźć włos w swoim *zabaglione*. Teraz, jak o tym myślę, wydaje mi się, że nie wyglądał na zadowolonego zjedzenia. Prawie niczego nie tknął.

— Nie sądzę, by mógł cokolwiek zarzucić twoim potrawom, kochanie — powiedział ostrożnie sir Anthony. — Mnie niezbyt przypadły do smaku tylko napoje. Wiem, że winnice Albinoni Graciosi di Sforza y Visconti są w tej rodzinie od ponad sześciuset lat, ale szczerze mówiąc, wino smakowało, jakby też stało tak długo.

Oczy lady Armiger rozszerzyły się z przerażenia.

— Ależ kochanie, musimy je kupować.

— Dlaczego? To *friuli* omal nie zdarło mi skóry z gardła. A do tego jest drogie.

Lady Armiger w podnieceniu zabębniła palcami po poręczy fotela i zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu:

— Oczywiście dlatego, że hrabia interesuje się naszą córką.

— Wcale nie! — zaprotestowała Grace.

— Naturalnie, że tak. Wprawdzie zabierał się do tego dość

opieszale — lady Armiger zacisnęła wargi — ale pod koniec jadł ci z ręki. No cóż, z pewnością nie jadł z niczego innego, pomyślała Grace, przypominając sobie niemal nietknięte talerze hrabiego.

— Jestem przekonana, że starał się zrobić na tobie wrażenie. Kochanie, nie patrz tak na mnie. — Małe oczka lady Anniger błyszczały z podniecenia. — A jego rodzina jest o wiele świetniejsza, niż myślałam. Wiedziałam naturalnie o papieżach i wszystkim innym, ale hrabia opowiadał ci też o nowej koronie...

— Mamo! Mówił o zębie.

— Och!

Grace doskonale wiedziała, że jej matka rzadko zapominała języka w gębie, więc szybko wykorzystała jej konsternację.

— Słuchaj, mamo, ja naprawdę nie jestem w jego typie.

— Oczywiście, że jesteś, kochanie — odparła lady Armiger.

— A poza tym — dodała Grace — hrabia był przyjacielem Dorothy.

Matka popatrzyła na nią ze zdumieniem.

— Ależ twoja stryjeczna babka Dorothy nie wyjeżdżała z Eastbourne od trzydziestu lat. Gdzie, na miły Bóg, mogłaby spotkać hrabiego?

— Ona chce powiedzieć, że hrabia jest gejem — mruknął sir Anthony z gazety.

W oczach lady Armiger pojawiło się rozczarowanie, po chwili jednak jej twarz znów się rozjaśniła.

— Ale chyba przyjemnie ci się rozmawiało z Billem? — zapytała. — To kawał męczyzny, prawda?

— Chyba tak — odparła z rezerwą Grace, zastanawiając się, dlaczego ten nieciekawych człowiek zainteresował jej matkę.

— O czym rozmawialiście? — wypytywała lady Armiger.

— O książkach i branży wydawniczej.

— Doskonale. Najwyraźniej ten temat go wciągnął. Lady Thicknesse i hrabina Thyn były wściekłe. Bardzo chciały go

dopaść. Patrzyły na niego z wywieszonymi językami. Nie wspominając o innych częściach ciała.

— Ale dlaczego?

Lady Armiger spojrzała na córkę ze zdziwieniem.

— Jak to dlaczego? Przecież wytłumaczyłam ci wszystko przed kolacją.

Grace potrząsnęła głową.

— Byłaś zbyt zajęta opowieściami o Gennaro. Prawie cię nie widziałam...

Jej matka zamknęła oczy i jęknęła.

— Chcesz mi powiedzieć...

— Co?

— ...że nie wiedziałas?

— Czego nie wiedziałam? — zapytała Grace. Lady Armiger nadal miała zamknięte oczy.

— No cóż, po hrabim najbardziej chciałam, żebyś poznała właśnie jego.

A jak myślisz, dlaczego posadziłam was obok siebie przy puddingu?

— No właśnie, dlaczego?

— Bo Bill Duke — powiedziała lady Armiger, uderzając obiema pięściami o poręcze fotela niczym zrozpaczone dziecko — jest jednym z pięćdziesięciu najbogatszych ludzi w Ameryce. Właśnie rozwiódł się z trzecią żoną...

— Aha — mruknęła Grace ze zrozumieniem.

— Kochanie! — zawołała karcąco matka, słysząc sarkazm w jej głosie.

— Nie musisz czuć antypatii do kogoś tylko dlatego, że jest bogaty. Jeśli bogaci są nudni, biedni wydają się jeszcze nudniejsi. Myślałam, że już do tego doszłaś.

— Więc czym zajmuje się Bill Duke? — spytała zrezygnowana Grace.

— Jest potentatem medialnym.

— Co takiego?

— Poznaliśmy go na placówce w Waszyngtonie. Był wtedy wydawcą jednej z miejscowych gazet. Potem oczywiście ją kupił, rozwinął interes i teraz jest prezesem międzynarodowej

sieci. — Lady Armiger westchnęła. — Ma biura na całym świecie — dodała. — Pałace z lustrzanego szkła i tysiące pracowników. Grace poczuła się nieswojo. „Nasze biuro jest małe, trochę dziwaczne i mieści się w Bloomsbury. Nie ma nic wspólnego z ohydnyimi, ogromnymi pałacami, pokrytymi lustrzanym szkłem...”.

Wyszło to trochę niezręcznie, ale przecież nic wielkiego się nie stało. Duke prowadził agencję prasową. Dobrze, że nie wydawnictwo. Jego pytania o Hatto & Hatto były pełne zainteresowania, a jej odpowiedzi chyba bardziej szczegółowe, niż wymagały tego względy uprzejmości. Gdyby Duke zajmował się również wydawaniem książek, miałyby powody do zmartwienia.

— Więc Duke jest baronem prasowym?

— Między innymi — odparła matka. — Jego korporacja obejmuje też telewizję, film i oczywiście reklamę. Był na festiwalu, bo ma tu jakieś interesy filmowe...

„...tysiące ludzi z personelu oraz telewizja, film i reklama...”. O Boże, jęknęła w duchu Grace, „...a także wydawnictwa...”.

— A także wydawnictwa... — dodała lady Armiger.

— Wydawnictwa? — powtórzyła Grace stłumionym głosem. Usta lady Armiger zacisnęły się w cienką linię.

— Owszem. Jest właścicielem kilku dużych wydawnictw na całym świecie. Kochanie, co się stało? Niezbyt dobrze wyglądasz. Jesteś zielona na twarzy. Może powinnaś się położyć?

Rozdział 12

To lepsze niż nic, doszła do wniosku Belinda. Była jednak nieco rozczarowana, bo efekt rozesłania jej nowych, poprawionych listów z prośbą o wywiad, z dołączoną fotografią, był mizerny — tylko jedna osoba wyraziła zgodę.

— Brian Stone?! — ryknęła z niesmakiem, gdy Tarquin przyniósł jej tę wiadomość. — Ten stary strach na wróble z lat sześćdziesiątych?

Myślałam, że nie żyje.

— Ależ żyje, jak najbardziej — zapewnił ją Tarquin.

— W każdym razie wygląda, jakby nie żył. — Belinda przyjrzała się uważnie ostatniemu wycinkowi z gazety, który przedstawiał zwiędłego starowinę o twarzy pomarszczonej jak suszona śliwka i grzywce zjedzonej przez mole. Miał na sobie obcisłe skórzane spodnie i obejmował dziewczynę, która pod przezroczystą sukienką nosiła tylko wążutkie stringi.

— To jedna z wielkich legend rock and roila — dodał z nabożeństwem Tarquin. — Jego ostatni, największy album przebojów, *Ale jaja*, dwukrotnie zdobył platynową płytę.

Belinda jeszcze raz spojrzała na fotografię. Może i Stone wyglądał jak emerytowana łasica, ale z pewnością ma odłożony jakiś milionik. Gdyby udało jej się utrzymać w ryzach zawartość żołądka, gra byłaby warta świeczki.

— Daj mi jego adres — warknęła do Tarquina.

Siedziała teraz w salonie, w którym rozciągało się morze puchatego jaskrawożółtego dywanu pokrytego inicjałami gwiazdora. Zostawił ją tu kamerdyner Stone'a, oznajmiając pełnym godności głosem, że jego pan przyjdzie za kilkanaście minut, gdyż uznał, że musi „powiększyć sobie włosy”. Z górnych części domu dochodził słaby warkot suszarki. Belinda zajęła się robieniem notatek na temat urządzenia salonu. Każde okno miało kryształowe szyby, a ukośnie pocięte fragmenty szkła były tak ułożone, że całość przypominała gigantyczne kabaretki. „Starano się tu osiągnąć wrażenie bliskowschodniego bogactwa — z pogardą pisała Belinda — lecz to raczej chybiona próba. Cóż innego można powiedzieć o białych firankach w oknach, jakby kupionych na *suku*, falbanias-tych narzutach na oparciach kanap, zarzuconych haftowanymi złotą nicią poduszkami, mosiężnych tacach, na których stoi mnóstwo dzbanuszków do kawy z wąskimi dziobkami, kiściach onyksowych winogron i modelu jachtu za szkłem, o nazwie »Wystaw cycki«, z maleńkim *jacuzzi* na pokładzie? Z drugiej strony jednak...”. Belinda przerwała pisanie. Stone'owi prawdopodobnie nie przypadnie do gustu ocena tego wnętrza, a to nie pomoże jej sprawie. Poza tym, kiedy już zostanie panią tego wszystkiego, może dokonać wszelkich zmian, jakie jej tylko przyjdą do głowy, a sam dom jest wszak godną pożądaną kamienicą w Chelsea. Znudzona, przeszła do jadalni. Tu podrobiono styl Tudorów, któremu główny ton nadawał długi, masywny stół, najwyraźniej nakryty na bankiet. Przy każdym miejscu piętrzyły się talerze z serwetką uformowaną w wysoki stożek, a przy nich stały kieliszki z grubego szkła i leżały posrebrzane sztucce, w tym również nożyczki do winogron. Na wszystkim widniały inicjały BS, wyryte falistymi literami. — Hej, dziecino! — rozległ się nagle za nią jakiś głos z amerykańskim akcentem, przez który przebijał akcent londyńskich klas niższych. Odwróciwszy się, ujrzała w drzwiach chudego mężczyznę

w przykrótkiej japońskiej szacie, rozchylonej na piersi, by widać było wiszące na jego szyi medaliony. Fryzjer wykonał dobrą robotę, pomyślała. A w każdym razie starał się. Ponad opaloną, pomarszczoną twarzą wznosiły się, niczym wierzchołek orzecha kokosowego, czarne loki, spływające po okrytych czerwonym jedwabiem ramionach niemal do łokci.

— Nie wyglądasz jak na fotografii — powiedział Brian Stone ze swoim szczególnym akcentem, będącym połączeniem wymowy Leytonstone i Los Angeles. — Wyglądasz starzej.

Belinda ze wszystkich sił starała się powściągnąć wybuch wściekłości. Co za bezczelny facet! W końcu on sam najwyraźniej robił, co mógł, by zatrzymać czas. Po licznych operacjach plastycznych przypominał Chińczyka.

Zmusiła się do promiennego uśmiechu. Nie przyszła tu przecież, by szukać dziury w całym, ale żeby znaleźć bogatego męża. Zwarła łokcie i wypchnęła biust do góry.

— Chodźmy — powiedział Stone, zapraszając ją do salonu. — Podoba ci się jacht? — zapytał, gdy przechodzili obok modelu, zachęcającego do wystawienia cycków. — Kosztował mnie miliony. Disco, klub odnowy, kino... wszystko. Dziesięć królewskich apartamentów. Trzy baseny. Chciałbym tylko sobie przypomnieć, gdzie przycumowałem to cholerstwo.

Belinda wytrzeszczyła oczy. Czy to żart? Z pewnością. Nikt nie gubi jachtów. Zwłaszcza takich wielkich. Pomyślała, że „Wystaw cycki” przypomina ogromny but treningowy. Ale przecież nie o to chodzi. Usiłowała wymyślić jakąś dowcipną odpowiedź.

— Czyż Ted Heath nie powiedział, że gdy żeglujecie, ma wrażenie, jakby stał pod prysznicem, drąc banknoty pięciofuntowe? — zapytała.

— Prędzej stufuntowe — prychnął Stone. — A kim do diabła jest Ted Heath?

Belinda popatrzyła na niego ze zdumieniem.

— Ależ musi go pan pamiętać! — zawołała. — Był premierem w latach sześćdziesiątych... — urwała nagle. A może były to lata siedemdziesiąte? Albo pięćdziesiąte?

Stone wzruszył ramionami.

— Dziecino, nic nie pamiętam z lat sześćdziesiątych. Ani w ogóle niczego, skoro już o tym mowa. Jak to mówią, kto pamięta lata sześćdziesiąte, niczego nie pamięta.

— Wiem — uśmiechnęła się Belinda. — Ale to tylko takie powiedzonko.

— Owszem, w moim wypadku jednak to prawda. Wszystko okrywa jakaś mgła. Wypadły mi nie tylko zęby, ale i mózg. Jak myślisz, dlaczego wszędzie umieściłem swoje cholerne inicjały? Bo inaczej bym zapomniał, kim jestem, prawda, ee... — Stone odwrócił się do kamerdynera, który właśnie podrygującym krokiem przeszedł obok nich po ozdobionym monogramami dywanie.

— Benson, proszę pana — przypomniał mu kamerdyner. Sądząc z cierpliwego tonu jego głosu, tę drobną usługę spełniał kilka razy dziennie.

— Wszystko zapominam, prawda... ee... Benson?

— Owszem, proszę pana.

— Dlatego wszędzie mam wypisane swoje imię ^- dodał Stone. — Nawet na dnie basenu. Jeśli pani wyjrzy przez okno, sama pani zobaczy.

Belinda wyjrzała. Rozciągał się przed nią nieskazitelnie utrzymany trawnik, pośrodku którego wybudowano basen. Po błękitnej mozaice na dnie rzeczywiście biegły pofalowane litery, ale nie to przykuło uwagę Belindy. Basen, długi i prosty, zakończony zaokrągleniem na szczycie, miał kształt penisa. W zaokrągleniu pieniło się *jacuzzi*.

— To jedyny basen o takim kształcie na świecie — poinformował ją z dumą Stone.

— Z pewnością.

— Nikt inny nie ma basenu o kształcie mikrofonu. Nikt. Prawda, że nie mają, ee...?

— Benson — powiedzieli chórem Belinda i kamerdyner.

— Chcesz wejść na górę? — zapytał Stone Belindę. Obrzydzenie i uczucie triumfu walczyły w niej o lepsze, gdy

szła za cienkimi, pokrytymi kędzierzawym włosem nogami, które wspinały się przed nią po schodach. Sprawdziła, czy magnetofon, który miała w kieszeni, jest włączony. Był, choć podejrzewała, że chyba na nic jej się nie przyda. Tu potrzebne jest medium, pomyślała.

Stone wprowadził ją do pokoju, który najwyraźniej był jego azylem. Na obu jego końcach, naprzeciw siebie, stały duże skórzane kanapy, przedzielone pokrytym monogramami dywanem. O jedną ścianę opartych było sześć elektrycznych gitar, a na wprost nich wisiało duże malowidło utrzymane w czarnej tonacji.

— Przyuważyłem je miliony lat temu — pochwalił się Stone.

— Kto to namalował? — zainteresowała się Belinda. Z pewnością ktoś sławny i obraz jest cenny, pomyślała.

— Skąd mam, do diabła, wiedzieć? — wzruszył ramionami Stone.

Belinda spojrzała na następny obraz, przedstawiający zatłoczony jachtami port.

— Czy to Monte Carlo? — zapytała. Stone znowu wzruszył ramionami.

— Możliwe. Chyba mieszkałem tam z którąś z żon. Chodź, obejrzyj moją garderobę.

Belinda weszła za nim do małego pomieszczenia, wypełnionego kostiumami scenicznymi w jaskrawych kolorach.

— Chcę, by mnie pamiętano za moje wyczucie mody — oznajmił Stone, wyciągając najpierw cytrynowozielony żakiet, a potem garnitur w kolorze fuksji, ozdobiony sztucznymi diamentami.

Belinda roześmiała się, ale natychmiast przywołała się do porządku, bo Stone zachowywał powagę.

— Och, na pewno tak się stanie — zapewniła go, usiłując oderwać zafascynowany wzrok od pary króciutkich złotych szortów, które miał na sobie pod japońskim szlafrokiem.

— Moda bardzo mnie interesuje — dodał Stone. — Lubię wyglądać odjazdowo. Zawsze ubieram się według ostatnich trendów.

Gdy to mówił, Belmda zauważyła, że ostatnią operację przeprowadzono mu na powiekach. Najwyraźniej nie całkiem się powiodła, bo Stone zupełnie nie mógł mrugać.

Wróciła za gospodarzem do jego pokoju. Wskazał jej jedną z kanap, po czym szybko zamknął drzwi i włożył klucz do kieszeni.

— Nie chcemy, żeby nam przeszkadzano, prawda? — powiedział, uśmiechając się lubieżnie. — To mogłoby zakłócić pracę mojej pamięci.

— Jego medaliony zadźwięczały niczym kuranty, gdy się nad nią pochylił. — Niech mi pani powie, co panią najbardziej kręci w wywiadach z gwiazdami?

Belinda usiłowała powstrzymać podchodzące jej do gardła mdłości.

— Cóż... mam nadzieję, że gdy się o nich otrę, część ich magii przejdzie na mnie — wymamrotała, pragnąc rozpaczliwie, by Brian Stone się o nią nie otarł. Przynajmniej do chwili, gdy na jej palcu nie znajdzie się pierścionek zaręczynowy.

Oczy Stone'a błyszcząły.

— Kiedyś byłem niezłym ogierem — oświadczył. Belinda przełknęła ślinę. Odniosła wrażenie, że z dawnego ogiera została tylko sztuczna grzywa. Głęboko zaczerpnęła powietrza.

— A więc dzieciństwo spędził pan na uliczkach Hackney... Od tego czasu wszystko się w pana życiu zmieniło.

Stone uniósł brwi.

— Wiesz, byliśmy tak biedni, że nie miałem nawet dzieciństwa. A przynajmniej tak pisali we wszystkich kawałkach na mój temat... Słuchaj, czy rzeczywiście musimy teraz o tym mówić?

Belinda starała się wykrzesać z siebie iskierkę współczucia.

— Nie, jeśli to dla pana bolesne — odparła.

— Nie o to chodzi. Najgorsze, że nic z tego nie pamiętam. Ale skoro wspomniała pani o bólu... — Jego twarz wykrzywił wyraz cierpienia, a po chwili zaczął jęczeć i ścisnąć się za udo.

— Co się stało? — Przerażoną Belindę zaczęły nagle atakować wyobrażenia rozmaitych nagłówków w rodzaju: ŚMIERĆ

GWIAZDY ROCKA — DZIEWCZYNA ZATRZYMANA. Choć bardzo pragnęła przeprowadzić ten wywiad i umieścić na pierwszej stronie zdjęcie bogatego i sławnego człowieka, niezupełnie tak to sobie wyobrażała.

— To moje cholerne krocze — wymamrotał Stone, wsuwając rękę między swoje chude, okryte złotym materiałem nogi. — Zawsze mi się tak robi, kiedy sobie coś przypominam. Och. Och. Och!

Ściskając bolące genitalia, począł po pokrytym monogramami dywanie do małej szafki i wyciągnął z niej butelkę.

— Tego nam potrzeba — wymamrotał, po czym chwiejnym krokiem powrócił do Belindy i wcisnął jej butelkę w rękę.

Wpatrywała się w niego jak oniemiała, gdy opuszczał się na podłogę przy sofie, opuszczając przy tym także swoje złote szorty.

— Wiesz, co masz robić — powiedział, mrugając do niej porozumiewawczo, a potem zamknął oczy.

— Nie wiem — odparła ochryple Belinda.

— Wiesz, do cholery — syknął Stone.

— Nie mam pojęcia — powtórzyła. Oczy Stone'a otworzyły się.

— Wetrzyj ten cholerny olej — warknął niecierpliwie.

— Gdzie mam go wetrzeć?

Stone odsłonił swój pokryty żyłkami, brązowy i pomarszczony penis, otoczony gęstwiną szarych włosów i przypominający łysego, świeżo narodzonego gryzonia.

— Tu — wymamrotał.

Po chwili wahania Belinda zanurzyła palec w oleju. Kto powiedział, że wspinanie się na szczyt po drabinie seksu to łatwa sprawa? Ale niech tylko ten obrzydliwy staruch spróbuje nie nagrodzić jej wysiłków!

Gdy zgasł napis, nakazujący zapięcie pasów, Grace odpowiedziała odmownym gestem na propozycję stewardesy, by napiła się szampana.

Gdybym tylko potrafiła, rozmyślała

ponuro, odmówić również wypicia wina na kolacji u matki. Teraz już wiedziała, dlaczego Bill Duke tak gorliwie napełniał jej kieliszek. Za jakże żalną osobą musiał ją uznać — pracowała w wydawnictwie, które musiało mu się wydać bardzo nędzne i nieporadne w porównaniu z jego przebojowym, ambitnym i odnoszącym sukcesy przedsiębiorstwem. Nic dziwnego, że gdy opowiadała o sposobach zarządzania Hatto, wydawał się taki zaskoczony.

Przesunęła się na fotelu, który nagle wydał jej się niewygodny, zawstydzona swoją nielojalnością. Może Hatto & Hatto nie figurowało na londyńskiej giełdzie, lecz przecież dano jej tam pracę, podczas gdy kilka innych finn odmówiło. Chyba winna jest im nieco więcej niż kilka obraźliwych opinii, które jej się wymknęły pod wpływem alkoholu w rozmowie z dopiero co poznanym człowiekiem. Zastanawiała się, jak Duke wykorzystała uzyskane od niej informacje. Co więcej, zdobyte niezbyt czystymi metodami. Ale czy było to wyłącznie jego winą? Przymknęła oczy i jęknęła. Co się stało, to się nie odstanie. Gazeta pokładowa, wystająca z kieszeni przedniego oparcia, nie wyglądała zbyt zachęcająco, pogrzebała więc w torbie z nadzieją, że znajdzie do czytania coś ciekawszego niż stare rachunki za taksówki.

Jej palce natrafiły na coś szerokiego i złożonego na pół. Oczywiście. Nienawistna brązowa koperta, zawierająca powieść klienta Marii, „bardzo sympatycznego człowieka”, której, mimo obietnic, jeszcze nie przeczytała.

Wyciągnęła kopertę. Z pewnością to jakaś szmira. Nie-zamówione rękopisy zawsze okazywały się do niczego. Ale przynajmniej lepiej wyglądały, bo zazwyczaj przesyłano je w plastikowych, przezroczystych teczkach, no i były wydrukowane. Raczej mało prawdopodobne, by ta paczuszka skrywała dzieło geniusza, pomyślała Grace, oglądając pomiętą i poplamioną kopertę formatu A4, pokrytą wschodnioeuropejskimi znaczkami.

Ale im szybciej to przeczyta, tym prędzej zbierze argumenty, dlaczego Hatto nie może tego tekstu opublikować, i przedstawi je Marii. Na szczęście nie jest tego dużo — zaledwie parę rozdziałów, stwierdziła z ulgą. Najwyraźniej autor nadal nad tym pracuje. Cóż, gdy Grace to przeczyta, nie będzie musiał dłużej pracować.

Odchrząknęła, westchnęła lekko i niechętnie przebiegła wzrokiem pierwszą stronę:

NEDOWIE Z MRUGAJĄCEJ ZATOKI — opowieść dla dzieci.

Opowieść dla dzieci. A więc na rynek, na którym panuje największa konkurencja. Grace, podobnie jak wszyscy w branży wydawniczej, wiedziała, że od czasu oszałamiającego sukcesu Harry'ego Pottera wszystkie księgarnie wypełniły się książkami o młodych czarodziejach. A do tego, choć wydawało się to niemożliwe, w zakresie publikacji dziecięcych Hatto odnosił jeszcze mniej sukcesów niż w innych dziedzinach.

Pewnie w ogóle nie ma sensu zagłębiać się w to dziełko. Ale obiecała i jeśli nie przeczyta, Maria będzie ją bezustannie wypytywać o ten tekst. Z rezygnacją oparła podbródek na rękę i zabrała się do czytania.

Kiedy byłem dzieckiem, mieszkaliśmy w Irlandii, w pobliżu Mrugającej Zatoki. Było to magiczne miejsce — i żyli tam ludzie obdarzeni magicznymi siłami. Co noc nad brzegiem morza zbierała się rodzina irlandzkich Cyganów, Nedowie — i tańczyli na piasku. Każda moja przygoda zaczynała się w ten sam sposób. Leżąc bezsennie w swoim małym białym łóżeczku, słyszałem dźwięki ich skrzypiec, nabierające siły w ciemności i przyzywające mnie do siebie. Wymykałem się z łóżka i przechodząc na paluszkach obok śpiącego kota, szepcząc „cii” do czuwającego psa, przekradałem się chyłkiem przez ogród jak lis. Grace zmarszczyła brwi. Hmm... Całkiem niezłe. A nawet urocze.

...zbiegałem po małych krętych schodkach, które prowadziły na plażę, i w ciągu pani sekund byłem już z Nedami na brzegu. Włączałem się w ich taniec, który stawał się coraz szybszy i bardziej szalony, aż w końcu jakaś siła unosiła nas wszystkich z ziemi i wyrzucała w powietrze. Wtedy zaczynały się prawdziwe przygody...

Nie, to nigdy nie zostanie opublikowane. Zresztą nawet gdyby udało się wydać tę opowieść, nie będzie się sprzedawać na tym zapchanym rynku literatury dziecięcej. Nieznany autor. Pierwsza książka. A jednak Grace czuła, że baśń porusza jej wyobraźnię. Unosiła się nad dachami domów wraz z małym chłopcem w piżamie i grupą latających Cyganów, zabierających go do odległych krain. Śmiała się, a zaraz potem, na następnej stronie, do jej oczu napłynęły łzy. Autor tej książki naprawdę ma talent, pomyślała. Aż wydaje się nieprawdopodobne, że w rzeczywistości jest łysym, samotnym człowieczkiem w kamizelce, cierpiącym na obezwładniający brak pewności siebie. Kiedy skończyła, z żalem złożyła rękopis i wsunęła go do koperty, która teraz o wiele bardziej niż poprzednio wyglądała na przesyłkę skrywającą dzieło geniusza. Usiadła wygodniej i zamyśliła się.

Jej palce lekko uderzały w zatłuszczony papier. Opowieść najwyraźniej dopiero zaczyna się rozwijać. Równie wyraźnie widać też, że będzie to coś niezwykłego.

Zastanawiała się, co by na to powiedziała Ellie. Prawdopodobnie jestem w błędzie, pomyślała. Rękopis jest pewnie do niczego. Ale przecież nic się nie stanie, jeśli pokaże go swojej asystentce. W końcu to ona ciągle przeszukiwała stos rękopisów, które trzymał u siebie Knight. Leżały u niego już tak długo że, jak twierdziła, musi się wśród nich ukrywać jakiś nieopublikowany Szekspir.

I oczywiście, gdyby zdarzył się cud, gdyby Ellie się to spodobało i opowieść zostałaby wydana, wówczas, pomyślała Grace, odkupiłaby choć w części swoje weneckie niedyskrecje.

Bo jeśli kiedykolwiek Hatto potrzebowało jej pomocy, to właśnie teraz. Morale spadło do najniższego poziomu. Ellie stawała się coraz bardziej cyniczna i zdesperowana. Któregoś dnia Adam zostawił w autobusie Euphemię Ogden, w formie maszynopisu co prawda, nie jako kobietę z krwi i kości, lecz gdy pisarka powróci ze swych dorocznych wakacji w Toskanii, trzeba jej będzie za to sporo zapłacić. Inigo Thongsbridge i Tenebris Luks domagali się więcej pieniędzy, choć ich książki nie sprzedawały się w dwucyfrowej liczbie egzemplarzy. Gladys, sekretarka, rozkoszowała się swoją ulubioną rolą Kasandry i prorokowała wydawnictwu rychły koniec. „Widywałam już Hatto w kłopotach — mówiła. — Ale nigdy nie było tak źle jak teraz”.

Jeszcze gorzej, jeśli to w ogóle możliwe, miały się sprawy w dziale sprzedaży. Jego szef, były nauczyciel, którego z trudem udało się namówić na objęcie tego stanowiska, wciąż nie mógł dojść do siebie po tym, jak pierwszego dnia w nowej pracy musiał zadzwonić do kierownika księgarni, w której wystąpił Tenebris Luks. Gladys mówiła, że kilkakrotnie widziała Philipa, przeglądającego edukacyjny dodatek do „Timesa” z ogłoszeniami.

Muszę bardziej się starać, pomyślała Grace, po raz kolejny rezygnując z szampana. Jeśli podwoi — albo potroi — swoje wysiłki, na pewno sytuacja w dziale reklamy się poprawi. Do tej pory nie starała się przerwać złej passy wydawnictwa, zajęta swoimi własnymi zmartwieniami, więc teraz musi po prostu okazać większą siłę ducha. Powinna działać, a nie trzymać się na uboczu. Dość czasu i energii zmarnowała na Henry'ego Moona. Wystarczy. Trzeba zacząć myśleć pozytywnie. Nawet doświadczenie z Dukiem można spożytkować. Uzna je za wezwanie do czynu. Znak, że powinna wziąć się w garść i zrobić coś pożytecznego.

Na początek nie powinna dopuszczać do tego, by jej życie prywatne szkodziło sprawom zawodowym. Sion, Henry, nawet Tom — wszystkich ich trzeba wrzucić do skrzyni z napisem „Rzeczy zapomniane” i mocno zatrzaskać pokrywę. Od tej

pory na pierwszym miejscu będzie jej kariera zawodowa. Zdawała sobie sprawę, że czekają ją trudne chwile. Praca w dziale reklamy pełna jest pułapek, o czym zdążyła się przekonać w przeszłości. Ale od dzisiaj każde pechowe wydarzenie będzie uważać za wyzwanie. W końcu wszystko dobre, co się dobrze kończy, nawet jeśli tego końca jeszcze nie widać, pomyślała, wyglądając przez okno samolotu.

— Szampana, *madami* — zapytała znowu stewardesa, pochylając się nad nią z butelką.

— Oczywiście wracasz pierwszą klasą, kochanie — oznajmiła matka. — Linie lotnicze zawsze uwzględniają przywileje dyplomatyczne. I nigdy nie wiadomo, czy nie...

— Poznam kogoś? — zapytała Grace ze śmiechem. — Och, mam, nigdy nie dajesz za wygraną, co?

— Naturalnie, że nie — odparła lady Armiger. — Ktoś musi mieć twoje dobro na sercu.

Ale teraz to już moja sprawa, postanowiła Grace. Odtąd swoje dobro sama będą miała na sercu. Uśmiechnęła się do proponującej jej szampana stewardesy. W końcu ma co uczcić.

— Tak, proszę — powiedziała, po czym uniosła kieliszek w milczącym toaście. Moje zdrowie, pomyślała. I *Nedów z Mrugającej Zatoki*.

— Ten rękopis jest wspaniały — oświadczyła Ellie parę dni później, kładąc na biurku plik kartek. — Jestem ogromnie zadowolona.

Grace uniosła wzrok znad wycinków prasowych.

— Świetnie się go czyta, prawda? Już po pierwszym rozdziale można powiedzieć, że jest fantastyczny.

— Absolutnie fantastyczny — przyznała asystentka. Grace miała ochotę zaklaskać. Potwierdził się jej instynkt wydawniczy.

— Jest tu wszystko o tym, jak sprawić, by mężczyzna stracił dla ciebie głowę — dodała Ellie.

Grace zamrugła.

— Nie masz chyba na myśli książki dla dzieci, którą ci dałam?

Ellie potrząsnęła głową.

— Przepraszam. Nie miałam czasu tego przeczytać.

— Być może siedzisz na następnym Harrym Potterze — powiedziała Grace.

Ellie uniosła brwi, jakby chciała powiedzieć: „Pozwól, że sama to ocenię”, więc Grace postanowiła zmienić temat. Im bardziej naciskała, tym mocniej Ellie się opierała i tym dłużej Maria — już szalejąca z radości na wieść, że Grace spodobał się ten tekst i zamierza polecić go wydawnictwu — będzie musiała czekać. Nie wspominając o niej. Grace sama się dziwiła, jak bardzo uwierzyła w tę książkę i jak gorąco pragnęła, by Nedowie i ich zatoka ujrzeli światło dzienne.

— A o jakim rękopisie mówisz? — zapytała po chwili. Jeśli okaże zainteresowanie, łatwiej będzie namówić Ellie, żeby przeczytała baśń o Nedach. — Jak sprawić, by mężczyzna stracił dla ciebie głowę...? — dodała z niedowierzaniem.

— Miłosne czary i zaklęcia — wyjaśniła rozpromieniona Ellie.

Na twarzy Grace pojawił się wyraz powątpiewania.

— Naprawdę uważasz, że ludzi interesują jakieś czary-mary?

— Nie ludzi, tylko kobiety — odparła Ellie. — Weź choćby nas obie.

Takie dziewczyny jak my mają dosyć samotnego siorbania chardonnay w barach. Chcemy wziąć sprawy w swoje ręce. Odzyskać moc.

Grace zamrugła. Nie podobało jej się, że Ellie porównuje jej życie ze swoim i życiem wszystkich innych samotnych kobiet na świecie. Jej status kobiety z nikim niezwiązanej nie miał z tym nic wspólnego. W związku z wykładem, który sama do siebie wygłosiła w samolocie, kariera była dla niej teraz wszystkim, więc brak mężczyzny wcale jej nie przeszkadzał. Postanowiła jednak okazać zainteresowanie, choćby tylko ze względu na Nedów.

— Jakie są te zaklęcia? — zapytała. Gdyby tylko udało się nakłonić któregoś z redaktorów — lub choćby tylko kogoś, kto chce zostać redaktorem — do przeczytania tego tekstu!

— Na przykład jedno z nich brzmiało tak: „Niech twój były zapomni”. Chciałam to wypróbować z tym pierwszoligowym graczem, z którym się umówiłam przed paroma dniami. Jest strasznie napalony i ciągle do mnie wydzwania. — Ellie skrzywiła się. — Chyba kiedy mu powiedziałam, że jeśli nadal będzie grał, w końcu dopnie swego, uznał, że mam na myśli coś innego niż zwycięstwo w mistrzostwach.

Grace prychnęła.

— Jak się odprawia taki urok?

Palec Ellie przez chwilę sunął po maszynopisie, aż natrafił na odpowiedni ustęp: „Stojąc wokół obozowego ogniska o zachodzie słońca i trzymając w rękach żarówki, wyciągnęliśmy je w cztery strony świata i skandowaliśmy: »Jak sobie życzę, tak ma być«. Potem spaliliśmy nasz bagaż emocjonalny”.

Ja na spalenie swojego potrzebowałabym całego pożaru, pomyślała przygnębiona Grace. Ale nie ma tego złego... Na przykład nieobecność Siona ma mnóstwo zalet. Jej mieszkanie jest schludniejsze, a ona sama znacznie spokojniejsza.

— Trzeba to jednak trochę podredagować — stwierdziła Ellie. — „Stojąc okryta niebem pod gwiazdami”... co to znaczy, na miłość boską? Och, rozumiem, nago... „rozsypaliśmy brokat i pączki róż i zawołaliśmy: »Z północy czy południa, ze wschodu czy zachodu, o zmierzchu czy w zaranie, przybądź, moje kochanie!«”. Czyż to nie urocze?

— Rzeczywiście urocze — mruknęła z sarkazmem Grace. Nie wierzyła w czary, choć Maria miała na tym punkcie jakiegoś kręcka i ciągle opowiadała, że pochodzi z rodu czarownic, uprawiających białą magię.

— A tu jest coś dla ciebie, Grace! — krzyknęła nagle Ellie. — „By zamrozić zły związek i wygnać go z twojego życia, napisz imię swego kochanka na skrawku papieru, włóż do słoika pełnego wody i wstaw to wszystko razem do zamrażarki”.

— Bardzo praktyczne.

— To mogłoby być coś w rodzaju „Księgi czarów Bridget Jones” — stwierdziła Ellie, nie zwracając uwagi na ironiczny ton Grace. — Albo zatytułujmy ją „Czary i samotna dziewczyna”.

— Można — odparła Grace bez entuzjazmu. — Nie uważasz jednak, że te wszystkie opowieści o samotnych dziewczynach już się trochę przejadły? — Przejadły się? — zdziwiła się Ellie. — Spójrz na mnie. Popatrz na siebie. Wyglądamy, jakby nam się przejadły?

Grace nachmurzyła się i zabębniła w klawiaturę komputera.

— A co z tobą? — zapytała nagle jej asystentka. — Nie poznałaś nikogo w Wenecji?

Grace zarumieniała się. Nie zamierzała przypominać sobie przyjęcia i późniejszych rewelacji matki. Nie ma tego złego, powiedziała sobie, czując wbity w nią zaciekawiony wzrok Ellie.

— A więc jednak kogoś poznałaś — oświadczyła oskar-życielsko Ellie.

— To straszny kołtun... — zaczęła Grace. — Uważa, że książki warto wydawać tylko po to, żeby na nich zarobić.

— Zgadzam się z nim całkowicie. Gdyby Hatto and Hatto odnosiło większe sukcesy na rynku, nasza pozycja byłaby znacznie lepsza... Och, nie wściekaj się — dodała szybko, gdy twarz Grace stężała ze złości. — Obiecuję, że przeczytam ten tekst, który mi dałaś. Dziś wieczorem.

Rozdział 13

Belinda cisnęła słuchawkę telefonu i wściekła zasiadła za swoim biurkiem. Spięprzyła wszystko, cały wywiad z Brianem Stone'em. Żółć napłynęła jej do gardła na wspomnienie szorstkich szarych włosów łonowych, które drażniły jej nozdrza, i tego nedorzecznego wytatuowanego węża, który wyprostował się, gdy penis zeszywniał. Zrobiła to w nadziei, że będzie to pierwszy krok — jeśli nie do pięknego, to przynajmniej finansowo atrakcyjnego związku. A jednak gdy następnego dnia zadzwoniła, by potwierdzić propozycję gwiazdora, jaką złożył jej przy pożegnaniu, doznała straszliwego zawodu.

— Jak to, do cholery, nie pamięta, kim jestem?! — ryknęła na Bensona, który odebrał telefon.

— Niestety, proszę pani, obawiam się, że wczorajsze wydarzenia umknęły z pamięci pana Stone'a — oświadczył służący.

— Jak to... wszystko? — zapytała z niedowierzaniem rozwścieczona Belinda, pragnąc, by to samo przydarzyło się jej. Obawiała się, że złote szorty Briana Stone'a będą ją długo prześladować w snach.

— Na to wygląda, proszę pani. Poinformowałem go, że pani dzwoni, ale pani nazwisko nic mu nie mówi.

— Ależ to niemożliwe — jęknęła Belinda. — Wiem, że się

zaćpał, ale przecież coś musi pamiętać. — Mnie na przykład, pomyślała z oburzeniem. Kamerdyner odchrząknął.

— Powiedział, że na ten weekend da mi swój prywatny odrzutowiec, żebym poleciała do Cap Ferrat, na miłość boską! — zawyła Belinda, wzbudzając zainteresowanie siedzących niedaleko niej redaktorów.

— Tak, proszę pani. Ale jeśli mogę coś powiedzieć, panno Black, wydaje mi się to wysoce nieprawdopodobne.

— Doprawdy? — syknęła Belinda. — Nie jestem dla niego dość dobra, co?

— Nie zamierzałem tego sugerować, proszę pani. Po prostu pan Stone stracił poczucie kierunku. Co więcej, z przykrością muszę powiedzieć, że od jakiegoś czasu miejsce stacjonowania jego prywatnego odrzutowca otacza tajemnica.

— Och, odpieprz się! — krzyknęła Belinda, po czym rzuciła słuchawkę na widełki i popatrzyła wściekłym wzrokiem na Tarquina, któremu, sądząc po jego zalęknionej minie, właśnie udało się namówić kolejną sławę, by nie wzięła udziału w *Wywiadzie* Belindy Black.

— Sharon Stone znowu odmówiła — potwierdził Tarquin jej podejrzenia, odkładając słuchawkę. — Jej agentka twierdzi, że zniechęcił ją wywiad z Champagne D'Vyne.

— Mówiłam ci, żebyś nie pisał już do nikogo o nazwisku Stone — zaskrzeczała Belinda, choć wcale niczego podobnego nie powiedziała. — A już na pewno nie do cholernej Sharon. — Odsunęła krzesło i zaczęła nerwowo przemierzać pokój. Te kobiece sławy to banda dziwaczek, pomyślała. A najdziwaczniejsza jest królowa. Jak twierdził Tarquin, Jej Wysokość nigdy nie rozmawia z dziennikarzami i nie udziela wywiadów, co jest absolutnym idiotyzmem, jeśli się weźmie pod uwagę, jak bardzo ten stary babsztyl potrzebuje rozgłosu. Jej strata, powiedziała sobie Belinda. A jednak to wielka szkoda, pomyślała. Miałaby okazję zapytać, czy te ogromne szare loki nad czołem rzeczywiście maskują wyrzutnie raketowe, jak jej kiedyś po-

wiedział Che Guevara, i czy naprawdę są ośrodkiem brytyjskiego antynuklearnego programu obronnego.

— Tak czy owak — warknęła do Tarquina — powiedziałam ci, że nie interesują mnie kobiety. Od dzisiaj będziemy się ubiegać o wywiady jedynie z bogatymi, sławnymi i... hmm... zdatnymi mężczyznami.

— Zdatnymi mężczyznami? — powtórzył zdezorientowany Tarquin. — Zdatnymi w jakim sensie?

— Zdatnymi w tym sensie, że są gotowi do udzielenia wywiadu, oczywiście.

— Na przykład jak Terry Wogan?

— Nie. Nie jak Terry Wogan.

— Jimmy Savile?

— Nie! — krzyknęła Belinda. — Nie jak pieprzony Jimmy Savile. Chcę mężczyzn ze świecznika. Mężczyzn, którzy coś znaczą.

— Już dwa razy próbowałem z Marlonem Brando — wymamrotał Tarquin.

Belinda rzuciła swojemu asystentowi podejrzliwe spojrzenie. Czy ten żółtodziób, ten wazeliniarz, ta szmata do podłogi przypadkiem się z niej nie nabija? Znużonym gestem przesunęła dłonią po starannie umalowanych oczach. Ciągłe pobudzanie inicjatywy Tarquina kosztowało ją wiele wysiłku. Czy ktokolwiek inny musi się zmagać z taką nieporadnością podwładnych? I z taką niewdzięcznością? Ten szczeniak zupełnie nie docenia tego, co Belinda dla niego robi. Doprowadzało ją to do szału. Przyuczanie go do zawodu było cholernie ciężką pracą, której nikt nie doceniał ani nie nagradzał. A Tarquin ośmielił się nawet zrobić niezadowoloną minę, gdy raz czy dwa kazała mu zostać dłużej, by telefonicznie sprawdził, z jakim odzewem spotkały się listy, które wysłał do Los Angeles. Różnica czasu między LA i Londynem wynosi raptem osiem godzin. Niewdzięczny sukinsyn.

Westchnęła ciężko. Nikt nie ma pojęcia, jak samotny czuje się człowiek, który wspiął się na szczyty. Czy po to, zastana-

wiała się, wdrapałam się na wierzchołek góry — a Mo Mills zdecydowanie była górą — by stwierdzić, że widok stamtąd jest tak samo nudny jak z dołu? Czyżbym znowu znalazła się w punkcie wyjścia? Jęknęła. Do diabła, nachodzą mnie idiotyczne myśli, stwierdziła. — Chodzi mi o takich mężczyzn jak Red Campion! — ryknęła do Tarquina. — Załatw mi go, na miłość boską!

Tej nocy źle spała. Następnego dnia też nie zaczął się dobrze. Jeszcze zanim wyszła z domu, nerwy miała napięte do granic możliwości. Jakby spotykała ją jeszcze mało przeciwności losu, z którymi musiała się borykać, ta cholerna sprzątaczką do purpurowej jedwabnej kołdry na jej łóżku dodała poduszki obleczone w czerwone poszewki, zamiast skonstruować je zgodnie z najnowszą modą. Czy ta pieprzona kretyńska ma o czymkolwiek pojęcie? W dodatku znowu zapomniała o zasadzie — albo raczej ją zignorowała — że suknie przyniesione z pralni chemicznej zawsze mają być wieszane zgodnie z kolejnością barw widma.

Belinda nie miała wyboru — po raz kolejny musi obniżyć sprzątaczkę wynagrodzenie. „To bardziej boli mnie niż ciebie” — oznajmiła swojej pracownicy. Ta nieszczęsna kobieta musi się jakoś tego wszystkiego nauczyć. A ona, Belinda, tak naprawdę wyświadcza jej tylko przysługę. Gdy dotarła do biura, przemknęła przez różne działy niczym ściągane zwierzę, byle tylko nie natknąć się na Kevina Graysona lub jego zastępcę, Warrena Streeta. Na szczęście najwyraźniej ani Streeta, ani Graysona nie było. Wczoraj też udało jej się uniknąć spotkania z nimi, gdyż obaj zajęci byli negocjacjami z rodziną Pakistańczyków z Leicester, na której polu rzekomo wyrosła oberżyna z odciśniętym na owocach obliczem Mahometa. Belinda miała nadzieję, że owe negocjacje będą trwały w nieskończoność, ponieważ za wszelką cenę chciała uniknąć pytań, co słychać w sprawie następnego wywiadu.

Gdy zamaszystym krokiem dotarła do swojego biurka, widok czającego się w pobliżu Tarquina z głupawym uśmiechem na twarzy wcale nie poprawił jej samopoczucia.

— Wyglądasz na cholernie zadowolonego z siebie. Z jakiego powodu?

— Załatwiłem dla pani wspaniały wywiad — oświadczył Tarquin. —

Facet jest sławny i nieżonaty, akurat taki, o jakiego pani prosiła.

— Russel Crowe? — spytała Belinda ochryplym z przejęcia głosem. — George Clooney?

— Niech pani pomyśli o kimś młodszym — powiedział z uśmiechem Tarquin. — To Stan — oznajmił z dumą.

— Stan? — Oczy Belindy omal nie wyszły z orbit. — Kim, do diabła, jest Stan?

— Najsłynniejszym obecnie didżejem — poinformował ją urażony Tarquin.

— Didżejem? — wybełkotała Belinda. — Jak Simon Bates czy ktoś w tym rodzaju?

— Nie, nie takim — odparł jej asystent. — Od tego czasu trochę się to zmieniło. Teraz didżeje zgrywają płyty innych muzyków i puszczają pod własnym nazwiskiem. Robią na tym miliony. Fatboy Slim, Pete Tong, Paul Oakenfold i Stan to nowe gwiazdy rocka.

Belinda poczuła się nieco ułagodzona. Miała dość starych gwiazd rocka.

— Wszyscy niezależni muzycy uważają go za boga. Twierdzą, że to geniusz. Madonna błaga go, żeby robił jej remiksy.

— Ta zużyta stara prukwa? — wtrąciła natychmiast Belinda, która poczuła, że jej pozycja została osłabiona niespodziewaną orientacją Tarquina w świecie muzyki, i również zapragnęła popisać się swoją wiedzą na ten temat. — Najlepsze lata ma już za sobą. Kłopot z nią polega na tym, że nie potrafi wymyślić siebie na nowo.

— Stan wywołał zamieszki, gdy grał w Glastonbury — ciągnął Tarquin.

— I właśnie zdobył dwie nagrody Grammy,

trzy Britsy, dostał Oscara za ścieżkę dźwiękową i sprzedał miliony egzemplarzy swojego ostatniego albumu. Zrobił majątek. W zeszłym tygodniu zapłacono mu sześćdziesiąt tysięcy funtów za dwie godziny pracy.

Brwi Belindy uniosły się w górę. To brzmi całkiem nieźle, stwierdziła.

— A do tego to miły gość. Bardzo skromny i nieśmiały. Doskonale, pomyślała Belinda, przypominając sobie basen

Briana Stone'a i w ogóle wszystko, co wiązało się ze starym rockmanem.

— Stan to najpopularniejszy gwiazdor. Każdy, kto ma choćby najśłabsze pojęcie o muzyce, musiał o nim słyszeć.

— To niemożliwe, do cholery — oznajmiła Belinda. — Ja nie miałam zielonego pojęcia o jego istnieniu.

Tarquin zbył tę uwagę dyplomatycznym milczeniem.

— Fantastyczne jest jeszcze to — dodał — że mamy wywiad na wyłączność. Stan nigdy przedtem nie rozmawiał z dziennikarzami.

Belinda drżała z podniecenia, gdy następnego dnia taksówka podjechała pod podany przez gwiazdora adres. Wieczorem powinna już być blisko zdobycia trzech domów w różnych krajach świata, flotyli bentleyów oraz prywatnego odrzutowca.

Wiedziała, że wygląda zabójczo. Przechadzając się rano przed lustrem w sypialni, przyznała sobie pięć gwiazdek. Jej długie nogi na wysokich, cienkich szpilkach były bez skazy i lśniły od nawilżacza. Paznokcie miała nieskazitelnie wypielegnowane. Włosy spadały jej na szczupłe ramiona niczym błyszcząca peleryna, a poprzedniego dnia całe popołudnie poświęciła masażowi twarzy i modelowaniu brwi. Pod koszulową sukienką od dobrego projektanta wyzywająco sterczały piersi, prężne i opalone na wspaniałą brąz. Zgodnie z modą sukienka była rozpięta od góry i dołu, odsłaniając dekolt i nogi.

Taksówka pięć czy sześć razy przejechała obok wskazanego

adresu, zanim Belinda upewniła się, że — zgodnie ze słowami Tarquina — znajduje się pod nim hotel. Nie był to jednak hotel, jakiego się spodziewała. To miejsce w ogóle nie kojarzyło się z dwoma nagrodami Grammy, Oscarem, milionami sprzedanych albumów ani sześćdziesięcioma tysiącami funtów za dwugodzinną pracę.

Wyobrażała sobie, że pod numerem dwudziestym na Earl's Court Road zobaczy elegancki miejski hotel w stylu Blake'a i Hempla, z matowymi czarnymi wannami i łóżkami z baldachimami, przybranymi muślinem, wyposażony w minibary projektu Ronmego Wooda. Mógłby to być też modernistyczny hotel — z gabinetami odnowy w duchu zen, nabyciami na łóżka ze skór mongolskich jagniąt, wbudowanymi w ściany umywalkami *agape* oraz fińskimi skórzanymi kanapami z lat sześćdziesiątych.

Numer dwudziesty na Earl's Court Road nie odpowiadał żadnemu z tych wyobrażeń. Można by go określić — a i to zbytnio się nie czepiając — słowem „sparszywiały”. Stał w rzędzie identycznych białych, zapuszczonych domów o popękanych, zapadających się portykach, którego obłazące kolumny ukazywały całą paletę kolorów wcześniej położonej farby. W oknie od frontu, takim samym jak inne, stało kilka czajników oraz karton mleka, oparty o brudną szybę.

Od sąsiednich budowli różnił się tylko tym, że podczas gdy tamte nosiły takie nazwy jak: „Hotel książęcy”, „Pałace Hotel” i „Baśniowa Kraina”, właściciele numeru dwudziestego najwyraźniej byli zbyt uczciwi albo zbyt leniwi, by sięgać po jakiegokolwiek eufemizmy.

We frontowym oknie wisiał napis „Wolne miejsca” a pod nim znajdowała się tabliczka: „Turyści mile widziani”. Belin-dzie, która turystów ledwo uznawała za istoty ludzkie, zachęcanie ich do pobytu w jakimkolwiek hotelu nie mieściło się w głowie. Ale w tych mało obiecujących murach kryły się jej nadzieje na bogactwo i sławę, toteż śmiało wmaszerowała do środka.

Miała też oczywiście inne powody do radości. Wywiad na wyłączność był rzadkością, lecz Belinda uważała to za cholerne utrudnienie. Z powodu braku wywiadów ze Stanem w redakcyjnej bibliotece nie mogła poznać jego zainteresowań, a przecież była to doskonała metoda w przypadku poszukujących złota aktorek. Słyszała, że niektóre z nich zgłębiły nawet tajemnice golfa, by chwycić w sieć bogatego męża. Belinda również była gotowa tego dokonać, choć nazwy kijów do golfa kojarzyły jej się wyłącznie z niezbyt wykwintnymi potrawami. Ale Stan nie wydawał się miłośnikiem golfa. Wiedziała o nim niewiele, zdołała zaledwie ustalić, że „Stan” nie jest jego prawdziwym imieniem. Podczas swoich turystycznych wakacji — turystycznych wakacji? hmm... — na które wyjechał, zanim stał się sławny, przez pomyłkę wzięto go za jakiegoś Stana i gwiazdor przybrał to imię. Belinda nie miała pojęcia, dlaczego wołał je od swojego prawdziwego imienia Crispin. Recenzja ostatniego albumu Stana, *Dziecię B*, wprawiła Belindę w jeszcze większą konsternację. „Wraz ze swoim *Dziecięciem* Stan pomknął rakieta rocka w kosmiczną przestrzeń i wrócił z czymś tak niesamowitym, że popisy Rosetty Stone wyglądają przy tym jak graffiti na sklepie z frytkami” — pisał krytyk rockowy „Guardiana”. „Podczas gdy większość jego rówieśników zadawała się prowadzeniem swoich rockowych wehikułów po krajowych obwodnicach, Stan skonstruował międzygalaktycznego rockowego szatana szybkości z sekcji Nieznanego Jazzu i pędzi nim na Marsa”. Belinda nie była pewna, czy jest to pochwała, czy potępienie.

Tak czy owak, był przynajmniej bogaty. Wynikało to jasno z wycinków, które zgromadził Tarquin. Przynosiły one uspokajające wieści o sprzedaży albumów i potwierdzały, że Madonna, Courtney Love, Geri Halliwell i Robbie Williams rzeczywiście zażarcie walczyli o możliwość współpracy ze Stanem. Belinda zauważyła też z zadowoleniem, że jest bardzo przystojny. Z gazetowych fotografii wpatrywała się w nią szczerze, spokojna twarz z pogodnym uśmiechem na ustach. Z przyjem-

nością by go uwiodła — gdyby nie to paskudne otoczenie. Dlaczego, do diabła, zastanawiała się, starając się nie okazywać obrzydzenia, gdy lepki chodnik przywierał jej do podeszew, ten facet nie mieszka w Berkeley? Dlaczego nie spotyka się z nią w słynnym hotelowym Blue Bar, miejscu, do którego wszyscy ściągają, od Fergie po Christie Turlington?

— Jestem z „Globe” — oznajmiła tonem, który powinien postawić na baczność mężczyznę o żółtej cerze i potarganych czarnych włosach, ubranego w szare nylonowe spodnie i sweter w diamentowe wzorki, siedzącego w kanciapie przy wejściu.

Mężczyzna uśmiechnął się i pokiwał głową.

— A ja z Kosowa. Tu bardzo ładnie.

Belinda z niesmakiem zmarszczyła nos. Założyłaby się, że ten człowiek, jeśli nie jest mężem jej sprzątaczkii, to przynajmniej jakimś jej krewnym.

— Gdzie portier? — zapytała.

Mężczyzna w swetrze w diamenty bezradnie pokręcił głową.

— Nie mają tu portiera — odezwał się za Belindą cichy głos, w którym dźwięczał śmiech.

Odwróciła się.

— Kto pana o to pyta? — warknęła, zanim zorientowała się, do kogo mówi.

Głowa Stana prezentowała się równie zadowolająco jak na fotografiach, lecz reszta jego postaci była zdecydowanie poniżej przeciętnej. Zdaniem Belindy polar o nieokreślonym kolorze, pognieciony szary dres oraz znoszone buty sportowe nie przywodziły na myśl bogactwa i sławy, a tym mniej wynagrodzenia w wysokości trzydziestu tysięcy funtów za godzinę. Jednym słowem, wyglądał, jakby z rockiem miał tylko tyle wspólnego, że sprzątał w klubie po koncercie.

Uśmiechnął się nieśmiało.

— Porozmawiamy w foyer? — Niezdecydowanie pomachał ręką w stronę rozciągającej się przed nimi przestrzeni.

Belinda pomyślała, że nie bardzo przypomina ono nowojorskie Four Seasons. Chyba nawet poczekalnia w miejscowym

urzędzie pocztowym urządzona była z większym smakiem. Na dywanie koloru rzygowin rozstawiono sfatygowane krzesła, najwyraźniej przywiezione z domu starców, po zaśniedziałym akwarium snuło się kilka zagłodzonych rybek, a błądki napis na dużym automacie z coca-colą maniacko włączał się i wyłączał. Pod wszystkimi ścianami stały niczym strażnicy wypakowane plecaki.

— Chodźmy do twojego pokoju — zamruczała Belinda, usiłując ukryć niesmak i starając się, by jej głos zabrzmiał uwodzicielsko. — Lepiej będzie — dodała, rzucając mu powłóczyście spojrzenie — jeżeli porozmawiamy sam na sam.

Stan zamrugał niepewnie dużymi oczyma o długich rzęsach. Belinda zacisnęła na jego ramieniu swoje smukłe palce.

— Uważam, że rozmowa w cztery oczy jest dużo bardziej... intymna. Zgadzasz się chyba ze mną?

— Jasne. — Stan błysnął nieskazitelnie białymi zębami. — Tyle że z moim pokojem jest pewien kłopot...

Belinda uśmiechnęła się, ukazując dołeczki, wysunęła pierś do przodu i zaczęła trzepotać rzęsami tak mocno, że omal nie wypadły jej szkła kontaktowe.

— Och, rozumiem. Boisz się, żeby kierownik hotelu nie miał obiekcji, że zabierasz na górę obcą osobę.

Stan zrobił zakłopotaną minę.

— Nie o to chodzi. Rzecz w tym, że nie mieszkam sam. Dzielę pokój z dwoma australijskimi turystami, sekretarką, pracującą na godziny, uczennicą szkoły pielęgniarstwa i barmanem z Afryki Południowej, który pracuje na nocną zmianę i ma problemy żołądkowe... Prawdziwe bogactwo typów.

Belinda poczuła, że ogarnia ją furia. Przecież nie na takie bogactwo liczyła. Nie mówiąc już o tym, że nie po to się tak wystroiła. Nawet najbardziej beznadziejny rozmówca z jej najnudniejszej *Przerwy na herbatę* nie mieszkał w schroniskach młodzieżowych. Co tu się, do diabła, dzieje?

— Dlaczego nie mieszkasz w Berkeley? — zapytała. Stan uśmiechnął się łagodnie.

— Z różnych powodów — odparł. — W eleganckich hotelach czuję się obco. Ta cała klimatyzacja, gońcy, VIP-owska otoczka...

Belinda wpatrzyła się w niego ze zdumieniem. Czy dobrze usłyszała? Jak VIP-owska otoczka może komukolwiek przeszkadzać?

— Rozumiem — wykrztusiła wreszcie. — Naruszenie sfery prywatności, i tak dalej. Och, Stan — dodała z westchnieniem — to musi być dla ciebie straszne. Ludzie po prostu nie rozumieją, jak trudno jest żyć na świeczniku.

Stan pokręcił głową.

— To graba przesada. Chodzę sobie, gdzie mi się podoba, i nikt mnie nie zaczepia. Ludzie, którzy nigdzie się nie ruszają bez zgrai ochroniarzy, sami się proszą, by zwrócono na nich uwagę. David Bowie powiedział mi, że potrzebuje tylko pary ciemnych okularów i greckiej gazety, by mógł się poruszać bez przeszkód.

Belinda zamrużyła. Co jest nie tak z tym facetem? Jak może połechnąć mu ego, skoro on nie ma żadnego ego do połechniania? A jeśli tego nie będzie mogła zrobić, jak ma się zabrać do innych stref?

— Ale są chyba jacyś natrętni wielbiciel... Stan uśmiechnął się.

— Z wielbicielami utrzymuję dobre stosunki. Uważam się za szczęściarza, że w ogóle mam swoją publiczność. Gram dobrą muzykę i wiem o tym. Nigdy nie udaję przed publicznością.

Czy to karaluch biegnie dołem automatu do coca-coli? — zastanawiała się Belinda, przełykając nerwowo ślinę.

— Ale przecież jesteś gwiazdą. Powinieneś awanturować się, brać narkotyki, zachłystywać się seksem... — Wydęła wargi i podciągnęła koszulową sukienkę parę centymetrów w górę. Przyszła bez stringów — czy gdy wystawi się jak Sharon Stone, załatwi sprawę?

— Wiem — odparł spokojnie Stan.

— A twoi słynni przyjaciele? — zapytała Belinda, starając się opanować ogarniającą ją panikę. — Musisz chodzić na wiele przyjęć, na które przychodzą gwiazdy...

Dlaczego nie jestem zdziwiona, pomyślała gorzko, gdy Stan potrząsnął głową.

— Nie. Wolę popisać trochę w dzienniku i iść spać. Znajomi ciągle powtarzają mi, że ominęła mnie świetna zabawa, że była Madonna, że zjawił się Tom Craise. Ale przekonałem się, że na tych przyjęciach tylko się stoi, wypija kilka drinków, a potem wychodzi. Są nudne.

Nudne? Belindę ogarnęła wściekłość. Zadawał się z ludźmi, do których ona — a raczej Tarquin — faksuje bez przerwy, żeby choć dostać odmowę.

Stan zachichotał, patrząc na jej minę.

— Naprawdę, większość sław jest nieciekawa. Przeważnie brakuje im poczucia bezpieczeństwa i prowadzą dość smutne życie.

Zapadło milczenie, podczas którego Belinda hamowała się ze wszystkich sił, by nie złapać Staną za kark i nie potrząsnąć nim. To, co przed chwilą powiedział, nie może być prawdą. Powszechnie wiadomo, że sława to najcudowniejsza rzecz na świecie.

— Jesteś multimilionerem — powiedziała w końcu ochryplym głosem.

To powinno wywołać jakąś reakcję. Bogacze nie znoszą mówić o swoich pieniądzach. Nikt jeszcze nigdy się nie przyznał, ile wynosi jego majątek.

— I co w związku z tym? — Stan ze zdziwieniem uniósł brwi.

A więc temu nie zaprzeczał.

— Hmm... A ile masz? — zapytała.

— Teraz chyba ze dwa do trzech milionów.

Dwa do trzech milionów... Belinda wychyliła się do przodu najdalej jak mogła, omal nie spadając z krzesła.

— Nic pani nie jest? — zapytał zaniepokojony Stan. — Zgięła się pani wpół.

— Czuję się świetnie — warknęła Belinda. — A więc pomówmy o twoich pieniądzach. Na co je wydajesz? Wynajmujesz odrzutowce i prywatne wyspy, grasz na wyścigach konnych, kupujesz jachty, samochody i tak dalej?

Stan potrząsnął głową.

— To mnie nie interesuje. Niezbyt dbam o dobra materialne...

O Boże, znowu to samo, jak z tą cholerną Champagne D'Vyne, pomyślała Belinda. Tyle że to jest dużo gorsze. Bo ten facet bez wątpienia mówi szczerze.

— Wystarczy mi mój stary peugeot sto sześć, nie muszę mieć ferrari za sto tysięcy funtów.

Belinda poczuła, że drży jej warga. Miała ochotę rozplakać się z powodu swego pecha. Tylko tak beznadziejny asystent jak Tarquín mógł umówić ją z jedynym milionerem wśród gwiazd rocka na całym tym cholernym świecie, lubiącym jeździć starym samochodem i mieszkać w schronisku na Earl's Court, po którym biegają karaluchy. Dlaczego nie rozmawia teraz z Rodem Stewardem?

— Widzisz — powiedział Stan, patrząc na nią z powagą — nagrywam płyty nie z powodu pieniędzy, ale dlatego, że lubię nagrywać płyty. I zostałem didżejem, bo uwielbiam to robić. A jeśli można na tym zarobić, to dobrze, nie o to mi jednak przede wszystkim chodzi.

O Boże... Na co jej to? Niczego w ten sposób nie osiągnie. Gwałtownym ruchem wyłączyła magnetofon. Na twarzy Stana odmalował się wyraz ulgi.

— Więc to już wszystko?

— Tak — warknęła Belinda.

— Wspaniale — uśmiechnął się Stan. — Widzi pani, nigdy przedtem nie udzielałem wywiadów. Zawsze odrzucałem tego rodzaju propozycje, ale mój agent uważa, że powinienem udzielić chociaż jednego, więc wypadło akurat na panią. Dzięki, że była pani dla mnie taka wyrozumiała.

Belinda w ponurym milczeniu zebrała swoje rzeczy. I dzięki,

że byłeś dla mnie taki niewdzięczny, pomyślała z wściekłością. Dzięki, że przez ciebie muszę wracać do redakcji bez żadnej nagrody za swoje wysiłki. Nawet bez całuska, nie mówiąc już o randce. Ani wartej opisanie historii. Serdeczne dzięki.

— Obawiałem się, że możesz mnie zapytać o moje pochodzenie — dodał Stan. — Mój agent powiada, że już najwyższy czas, żebym o tym opowiedział. Żebym otworzył się przed kimś i zrzucił z siebie ten ciężar. Oczyszczył się...

Belinda stłumiła ziewnięcie. Jego pochodzenie?

— ...z tego, że jestem synem ministra, członka rządu, absolwenta Eton... Belinda dalej wpychała swoje rzeczy do torby. W uszach szumiało jej ze złości. Nic do niej nie docierało, bo zalała ją fala dzikiej, z trudem tłumionej furii.

— ...żebym opowiedział o tym, jak miałem dosyć oszukiwania mojej matki, więc przenieśliem się do Londynu i zacząłem ostro ćpać. Potem przez jakiś czas byłem męską prostytutką. W końcu zamordowałem kogoś dość sławnego i poszedłem po więzienia, ale uciekłem stamtąd i przybrałem całkiem nową tożsamość. A potem znowu ją zmieniłem. Ale to już przeszłość. Moja historia nikogo nie zainteresuje.

— Nie — warknęła Belinda. Przeszedł jej szum w uszach, ale nie chciała, by Stan powtarzał swoje słowa. Mówił w czasie przeszłym, więc chyba nie ma co wysłuchiwać wszystkiego od początku. Podniosła się. Stan uśmiechnął się.

— Mój agent uważał, że to wzbudzi sensację. Jestem bardzo zadowolony, że się pomylił.

Rozdział 14

Grace miała wrażenie, że odkąd postanowiła skupić się na jasnej stronie swojego zawodowego życia, bieg wydarzeń coraz szybciej obracał Hatto & Hatto w proch i pył. Potarła oczy i spojrzała na Ellie.

— Nie mogę w to uwierzyć.

— To przynajmniej tłumaczy jego drgawki — oświadczyła Ellie. — Nie mówiąc już o książkach. Był lepiej zaopatrzony niż miejscowy sklep z napojami wysokowymi. Butelka z alkoholem tkwiła nawet w jego koszu na śmieci. Pewnie dlatego tyle śmieci wydawał.

Grace usłyszała nutkę wesołości w jej głosie. Ona sama nie podzielała radości koleżanki z odkrycia, że wojowniczy duch Adama Knighta czerpał siłę nie tyle z wiary w jego księgarski osąd i konieczność zachowania niezależności wydawnictwa, co z butelek, ukrytych za stosami maszynopisów. Bardzo przygnębiła ją ta wiadomość, czuła też żal do swojej asystentki, że choć podejrzewała istnienie tego problemu już od jakiegoś czasu, nie zdradziła się nawet słowem.

— Po prostu uważam, że masz dość innych kłopotów — odparła Ellie, gdy Grace powiedziała jej o tym. — Z Sionem i hm... całą resztą.

Grace spojrzała na nią ostro. Czy „cała reszta” oznacza Henry'ego Moona?

Najwyraźniej.

— To bardzo dziwne, że Henry nawet do ciebie nie zadzwonił. Od tygodni panuje cisza w eterze.

Grace zaczerwieniła się.

— Nie chcę, żeby do mnie dzwonił — warknęła. Gdy Ellie rzuciła jej niedowierzające spojrzenie, dodała szybko: — A jak ci idzie lektura nowego dzieła Iniga Thongsbridge'a? I pisanie notki dla prasy o *Niezrodzonym z kobiety*?

— Och, wspaniale. — Ellie pogrzebała wśród materiałów na biurku i wyciągnęła arkusz papieru. Odchrząknęła. — „Opowieść o potworze, manipulującym ludźmi z wulgarną zachłannością” — zaczęła. — „Gdy odmiany losu doprowadzają do napięć w rodzinie, borykającej się już z wieloma innymi trudnościami, każdy z jej członków musi dać z siebie wszystko, by przetrwać kryzys. Co naprawdę przytrafiło się Charliemu? Kto jest ofiarą, a kto winowajcą? Czy prawda kiedykolwiek wyjdzie na jaw? Czy którykolwiek z bohaterów będzie żył potem długo i szczęśliwie?”.

— Chyba za dużo pytań — mruknęła z powątpiewaniem Grace.

— Tak, ale intryga jest kompletnie niezrozumiała. Najwyraźniej nabiera sensu dopiero wtedy, gdy spogląda się na nią przez dno szklanki, napełnionej whisky — wyjaśniła Ellie. — Kiedy Adam jest trzeźwy, nie ma pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Jest tylko pewien, że główny wątek dotyczy mężczyzny.

Grace stłumiła uśmiech.

— Z twojej notki wynika, że to całkiem ciekawa historia — przyznała. — Najbardziej podoba mi się to zdanie o potworze, manipulującym ludźmi z wulgarną zachłannością.

— Thongy to w rzeczywistości straszny dziwkarz — oświadczyła Ellie, krzywiąc się z niesmakiem. — Choć jestem przekonana, że ma żonę. Zapytałam go kiedyś wprost, czy jest żonaty, a on odpowiedział: „Tylko wtedy, kiedy przyjeżdżam do hrabstwa Hertford”.

Wydało się to Grace tak przygnębiające, że nie miała nawet ochoty odpowiadać. Zapadła cisza. Ellie nie poddawała się jednak łatwo.

— W każdym razie zaczęłam podejrzewać Adama — podjęła — gdy zobaczyłam kartki z życzeniami na Boże Narodzenie z baru „Pod głową królowej” i „Pod narzędziem futrzarza” oraz od Sharona i Mahmouda. Wszyscy mają zezwolenie na sprzedaż alkoholu. Ale wiesz — dodała z uśmiechem — w sumie to niesamowite szczęście.

Grace popatrzyła na nią ze zdumieniem.

— Nie rozumiem...

— To proste, moja droga. Adam wie, że znam jego tajemnicę. Obiecałam, że nikomu o tym nie powiem... z wyjątkiem ciebie oczywiście... pod warunkiem, że zacznie chodzić na spotkania AA. Bar Ostatniej Szansy.

— Ellie uśmiechnęła się. — I nie wolno mu przestąpić progu żadnej knajpy.

— Ale w jaki sposób ma to wpłynąć na sytuację wydawnictwa?

Wychodzenie z alkoholizmu to powolny proces. — Podobnie jak wszystko, co jest związane z Adamem, pomyślała Grace. Nie chciała jednak, by jej asystentka usłyszała to od niej.

— Nie poznałaś jeszcze drugiego warunku — powiedziała z ożywieniem Ellie. — Nie będę mówiła nikomu o jego problemie pod warunkiem, że będzie chodził na spotkania AA, a także pozwoli mi wybierać teksty do publikacji i da mi się wciągnąć w tę pracę. Przystał na to. Jestem teraz zastępcą dyrektora działu literackiego. Nie bawiłam się w uprzejmości i wreszcie dopiełam swego — zakończyła triumfalnie Ellie.

— A praca w reklamie? — zapytała zaniepokojona Grace. Ellie rzuciła jej olśniewający uśmiech.

— Nie jest to taka wielka robota, żebym nie znalazła czasu na nic innego. Naprawdę uważam, że to rozsądne wyjście. Wiem, że potrafię wybierać książki, które dobrze się sprzedadzą, i że firmie przyniesie to korzyść.

Adam zgodził się skierować do produkcji *Czary i samotną dziewczynę*.

Wiesz, tę książ-

kę o urokach miłosnych, której fragmenty ci czytałam. Jestem pewna, że odniesie ogromny sukces.

Twarz Ellie promieniała, jej oczy błyszczały. Grace natomiast czuła się, jakby zupełnie uszło z niej powietrze. W końcu Ellie to dostrzegła.

— Jeszcze coś... — dodała. — Właśnie miałam ci powiedzieć.

Przeczytałam pierwszą część *Nedów z Mrugającej Zatoki*.

Grace podniosła wzrok. Minęło już parę dni, odkąd ostatni raz pytała o ten maszynopis. Zaczęła nawet unikać Marii, by uchronić się przed jej pełnymi nadziei pytaniami. Spojrzała na Ellie bez entuzjazmu, spodziewając się, że usłyszy złą wiadomość. Wiedziała, że gdyby koleżanka była choć trochę zainteresowana, błyskawicznie pochłonęłaby maszynopis.

— I?

— I uważam, że jest po prostu wspaniały — oświadczyła Ellie. — Masz rację. To coś niewiarygodnego. Chcę jak najprędzej zobaczyć resztę.

— W takim razie weź to — powiedziała Grace, wręczając jej ostatni fragment, pospiesznie wygrzebany z torby. Serce w niej zamarło, gdy wczoraj wieczorem po powrocie do domu zobaczyła, że na kuchennym stole czeka na nią kolejna koperta, wraz z karteczką od Marii, że zabrakło środka dezynfekcyjnego. Resztę wieczoru spędziła na kanapie, tak pochłonięta przygodami latających Cyganów i małego chłopca, że nawet nie przyszła jej do głowy myśl o kolacji. — Jest jeszcze lepsze niż pierwsza część.

— Fantastycznie! — Ellie wyrwała Grace kopertę z ręki. — Przeczytam to dziś wieczorem.

Grace poczuła, że ogarnia ją podniecenie. Wreszcie coś się dzieje w Hatto. I może, co byłoby znacznie większym ewenementem, ukaże się w nim coś godnego uwagi. Po pracy ruszyła niemal pędem do domu, by oznajmić Marii dobrą nowinę.

Chcąc jak najszybciej dotrzeć do metra, biegła po jezdni, nie po zatłoczonym chodniku, omijając bryzgające błotem autobusy i przeklinających rowerzystów. Spieszyła się tak, że omal nie

spadła z ruchomych schodów, a potem niespokojnie krążyła po peronie, bo pociąg — jak na złość — był opóźniony. Gdy doszła do wejścia, zapodziała gdzieś bilet i rozpaczliwie grzebała w torebce, ze zniecierpliwieniem wyrzucając wszystko na podłogę. Kiedy w końcu dojechała na swoją stację, wypadła z metra i pognąła do domu. Dotarła tam zadyszana i cała czerwona na twarzy.

Wpadła do środka i pobiegła do kuchni. Zastała tam Marię na klęczkach, z obrusikiem przewieszonym przez ramię, zbierającą z podłogi kawałki stłuczonego szkła. Kobieta spojrzała na nią najpierw z poczuciem winy, a potem z niepokojem, widząc jej spoconą twarz.

— *Madam* Grace!

— Wystarczy samo imię — wy dyszała Grace. — Proszę.

— Co się stało? — zapytała Maria z oczyma rozszerzonymi troską. — Coś strasznego?

— Nie, nic podobnego — uśmiechnęła się Grace, której serce waliło jak chartowi wyścigowemu. — Właściwie to zdarzyło się coś cudownego — dodała, oddychając ciężko.

Maria wzięła z suszarki szklanę i zaczęła ją wycierać ścierką. Jej twarz rozjaśniła się.

— *Madam* Grace! Ma pani nowego mężczyznę? Grace wybuchnęła śmiechem.

— O wiele lepiej, Mario.

— Jak to lepiej? — zdziwiła się sprzątaczką. — Nic nie jeest lepsze. Pani jest taka ładna, *mada...* Grace. Źle, że nie ma pani mężczyzny.

— Mario, cicho. Mam dla ciebie wspaniałą wiadomość. Moje wydawnictwo zamierza opublikować tę książkę, *Nedowie z Mrugającej Zatoki*.

Zaczerwieniona ręka Marii przestała wycierać szklanę. Grace z poczuciem nieuchronności dalszych wydarzeń patrzyła, jak palce sprzątaczkki rozluźniają się i szklanka roztrzaskuje się na podłodze. Maria jednak nie zwróciła na to uwagi.

— Publikują? — zapytała, na pół szepcząc, na pół skrzecząc. Do jej szeroko otwartych oczu napłynęły łzy.

Grace skinęła głową. Sama również poczuła ucisk w gardle.

— To znaczy nic jeszcze nie zostało podpisane, ale sprawa wygląda dobrze. Chyba możesz powiedzieć o tym swojemu klientowi. W końcu on to napisał.

Maria uśmiechnęła się do niej promiennie. W jej oczach, nadal szeroko otwartych, pojawił się szelmowski błysk.

— Nie, paani muu powie. On chce panią bardzo poznać. Powiedział mi to. Jest samotny. Tylko on w mieszkaniu. Jest bardzo przystojny...

— Nie, Mario — przerwała jej Grace ze śmiechem, mimo niepokojącego obrazu łysego człowieczka w kamizelce. Czy Maria nigdy nie przestanie jej swatać? Pod niektórymi względami była gorsza od lady Armiger. — Ty mu to powiesz.

Twarz Marii spoważniała.

— Myśli pani, że naaprawdę to wydadzą?

— Spodziewam się, że tak — zapewniła ją Grace. — Jestem nawet gotowa — dodała, pragnąc zadowolić Marię — założyć się o moją posadę.

Kiedy pojawiła się w pracy następnego ranka, z napięciem oczekiwała od Ellie wielkiej nowiny. Nie przypuszczała, że Hatto & Hatto aż się trzęsie od wielkiej nowiny całkiem innej natury.

— Szpiegowali nas od wieków — stwierdziła sekretarka Gladys, ogłuszona wieścią, że Gervase Hatto sprzedał wydawnictwo — najwyraźniej w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin — amerykańskiemu przedsiębiorstwu Omnicorp.

— Dlaczego tak sądzisz? — spytała Grace, zdumiona, że Hatto udało się cokolwiek sprzedać. Nie zastanawiała się już nawet, dlaczego ktokolwiek miałby kupować ich wydawnictwo i czy nowy kontrakt obejmuje również i ją.

— To oczywiste — odparła Gladys, zarumieniona z emocji. Jej oczy, skryte za dwuogniskowymi szklami, niemal wycho-

dziły z orbit. — A skąd by tak dokładnie znali metody naszego działania?
— Omnicorp to jedna z największych spółek medialnych w Ameryce —
oznajmiła Ellie, wpadając do pokoju. — Przebojowy, rwący do przodu
konglomerat.

— Przestańcie... — jęknęła Grace, przykładając dłonie do uszu. — Dość
już o tym. — Mało to się ostatnio nasłuchiwała
o amerykańskich firmach medialnych? Jej matka teraz zawsze na
zakończenie rozmowy telefonicznej informowała ją o kolejnej ofierze,
która dostała się w ich macki.

— Dlaczego? Nie cieszysz się? To fantastyczne, nie uważasz?

— Może tak, ale mnie wyrzuca... — jęknęła Grace. Dopiero teraz zaczęły
do niej docierać konsekwencje tej transakcji. Wyniki jej pracy w ciągu
ostatnich tygodni były katastrofalne. Jaka przebojowa, rwąca do przodu
firma będzie chciała zatrudnić szefa reklamy z takim „dorobkiem”?

— Przestań, do cholery! Nic podobnego się nie stanie.

— Skąd wiesz? — zapytała zaczepnie Grace.

— Adam mi powiedział. — W głosie jej asystentki dźwięczała pewność
siebie i podniecenie. — Amerykanie kupili nasze wydawnictwo, by dodać
prestżu innym swoim filiom. Chcą, żebyśmy pozostali tacy jak dotąd, ale
działali trochę prężniej

i przynosili dochód. — Ellie uśmiechnęła się. — Więc nic nie szkodzi, że
Adam okazał się pijaczną. Nie jestem tylko pewna, czy Tenebris Luks
będzie odpowiadał Amerykanom. Nie mówiąc już o Inigu
Thongsbridge'u.

— Ale... — zaczęła drżącym głosem Grace.

— Nie ma żadnego ale. To wygląda bardzo obiecująco. Będziemy mieli
prognozy zysków, odpowiedni budżet i tak dalej, ale wszystko inne
zostaje po staremu, oprócz tego, że Philip prawdopodobnie dostanie
asystenta albo dwóch. Jako kierownik działu sprzedaży wreszcie będzie
miał kim kierować. Możesz w to uwierzyć? — zachłystywała się Ellie. —
Amerykanie naprawdę chcą sprzedawać nasze książki!

— Ale...

— Nie przejmuj się. Nic tak naprawdę się nie zmieni. Chyba że na lepsze. Będzie plan ochrony zdrowia i fundusze emerytalne. Głowa do góry, Grace.

Grace otworzyła i zamknęła usta, usiłując przyswoić sobie wszystkie informacje, których Ellie udzielała w tak szybkim tempie.

— A co z autorami?

— No, wreszcie powiedziałaś coś rozsądnego — stwierdziła Ellie. — Cóż, prawdopodobnie zajdą pewne zmiany na liście autorów Adama... to znaczy mojej i Adama.

— Co takiego? — Wstrząśnięta Grace szeroko otworzyła oczy. — I kto na niej będzie?

Ellie zachmurzyła się.

— To najdziwniejsze ze wszystkiego — mruknęła. — Nie mam pojęcia, skąd Amerykanie cokolwiek o nich wiedzą. Ale nowi szefowie stanowczo nakazują, byśmy pozbyli się Tenebrisa Luksa i Euphemii Ogden.

— Co?

Ellie wzruszyła ramionami.

— To zdumiewające, prawda? Na razie zatrzymują Thon-gy'ego, bo podoba im się tytuł *Niezrodzony z kobiety*.

Pozbywają się Tenebrisa Luksa i Euphemii Ogden? Grace usiłowała wzbudzić w sobie oburzenie na wieść o tak znacznej ingerencji w twórczą niezależność Hatto, ale jej się to nie udało. W końcu w książkach Euphemii Ogden czy Tenebrisa Luksa niewiele było elementów twórczych czy niezależnych. Tak naprawdę poczuła, że ogromny ciężar unosi się z jej ramion. W każdym razie z pewnością w przypadku Euphemii. Jednak po chwili jej radość zmąciła chłodna refleksja, że ulgę z powodu rezygnacji wydawnictwa z tej pisarki odczuje już nie ona, lecz inny dyrektor działu reklamy.

— Hm... a Cylindria?

— Uchowała się. Amerykanie uwielbiają brytyjskie pogawędki o dobrych manierach.

Grace pomyślała, że prawie na pewno pozbędą się Henry'ego

Moona. Ale co mnie to obchodzi, stwierdziła po chwili z zawziętością. — A nie chcesz wiedzieć, co będzie z Moonem? — drażniła się z nią Ellie. Grace spojrzała gniewnie na swoją asystentkę. Dlaczego ta dziewczyna zawsze korzysta z okazji, by wspomnieć Henry'ego? I dlaczego każda taka wzmianka porusza ją do głębi? Czyżby rzeczywiście miała „kuku na mooniu”?

Poczuła skurcz w żołądku, a na wewnętrznej stronie jej dłoni pojawiły się kropelki potu.

— Odroczone mu wyrok pod warunkiem, że przestanie się obijać, skończy z podróżami i zajmie się innymi tematami. Jego pisarstwo robi na nich wrażenie. Ale wyniki sprzedaży już nie.

Grace skinęła głową, próbując nie zwracać uwagi na denerwujące poczucie ulgi, które na nią spłynęło. Przecież losy Henry'ego wcale jej nie obchodzą.

— My, to znaczy Adam i ja, mamy się skupić na ułożeniu zupełnie nowej listy autorów — ciągnęła Ellie. — Mamy znaleźć nowe dobre teksty, zarczując możliwie jak najszerszą sieć. *Czary* to właśnie pozycja, która bardzo przypadła im do gustu. A jeśli idzie o *Nedów*... — Uśmiechnęła się do Grace. — Ta druga część była wspaniała. Miałaś rację. Jeszcze lepsza niż pierwsza.

Zamiast spodziewanej fali podniecenia, Grace czuła tylko bolesne klucie w głębi oczu. Najgorsze było to, że choć to ona przyniosła ten maszynopis do Hatto, nie będzie jej tu, by oglądać szczęśliwe zakończenie — sukces, jaki książka odniesie po wydaniu. Cała pociecha w tym, pomyślała żałośnie, że Maria, przychodząc sprzątać, będzie ją informowała o losach *Nedów*.

— Jedyńm problemem jest to, że nie przeniesiemy się z tych ohydnych biur — westchnęła Ellie. — Zachowanie tego całego gówna z Bloomsbury jest częścią nowego planu. Zbliżyemy się do pałaców z lustrzanego szkła o czterdziestu dziewięciu piętach z klimatyzacją tylko o tyle, że wstawią nam lustro do kibla i pogadają o wentylatorach. Zachowujemy też nazwę. Hatto & Hatto. — Ellie uśmiechnęła się. — Jest tak fatalna, że musieli ją zostawić.

— Pałace z lustrzanego szkła? — powtórzyła powoli Grace. Gdzieś w niespokojnych głębinach jej mózgu coś zakołatało głośno i uporczywie. Oddział amerykańskiego przedsiębiorstwa filmowego...

— Co ci jest? Strasznie zbladłaś.

— Kto jest prezesem firmy, która przejęła Hatto? — zapytała Grace schrypniętym głosem.

— Nie mówiłam ci? — zdziwiła się Ellie. — Nazywa się Bill Duke — poinformowała ją i podniosła słuchawkę dzwoniącego telefonu.

Bill Duke. W głowie Grace coś tępo zadudniło, jak zamykanie z trzaskiem drzwi albo wystrzał z pistoletu. Zastanawiała się, co ten człowiek zrobi z tymi wszystkimi informacjami, których mu tak chętnie udzielała. Teraz otrzymała odpowiedź. Ale jakże Duke musi nią gardzić za taki brak lojalności. Teraz z pewnością wie już także, jak marnie Grace wykonuje swoją pracę. Na pewno nie będzie chciał zatrudniać u siebie kogoś takiego, nawet jeśli zna jej rodziców. Po co mu kobieta, której kilka lampek wina rozwiązuje język.

A niech to diabli. Niech to wszyscy diabli.

— To był dział kadr Omnicorpu — oświadczyła Ellie, odkładając słuchawkę. — Przysyłają mi umowę.

Grace spojrzała na nią ponuro.

— Czemu masz taką minę? Do ciebie też zaraz zadzwonią z Działu Odpadów Ludzkich.

— Nie zadzwonią — mruknęła Grace. I nie zadzwonili.

— Pewnie muszą załatwić całą masę osób — uspokajała ją Ellie, zakładając pod koniec dnia nowy kremowy żakiet, który kupiła sobie dla uczczenia tych niezwykłych wydarzeń.

Grace powlokła się do domu z ciężkim sercem — musiało ważyć chyba z tonę. Co gorsza, na kuchennym stole znalazła kolejną podniszczoną kopertę od Marii. Następny fragment

Nedów — sprzątaczką musiała go zostawić w ciągu dnia. Grace podniosła kopertę za zgięty róg i upuściła z powrotem. Po co ma to czytać? Musi oderwać się od tej sprawy, a nie zagłębiać w nią jeszcze bardziej. Jutro rano odda tę kopertę Ellie. Ta powieść — i Hatto — nie mają już z nią nic wspólnego.

Nagle w przedpokoju rozległ się ostry dzwonek telefonu. Szurając nogami, Grace podeszła niechętnie do aparatu.

— Grace?

— Tak. — Z trudem przełknęła ślinę. Jej żołądek podskoczył gwałtownie. Poznała ten głos.

— Bill... — wyjąkała. — To znaczy pan Duke — poprawiła się.

— Przyjdź jutro rano do mojego biura — odezwał się drugi koniec linii z silnym amerykańskim akcentem. — Musimy pogadać.

Rozdział 15

Sunąc niczym pocisk raketowy windą w górę do biura Duke'a, Grace ze wszystkich sił starała się stłumić uczucia, które zwykle są udziałem skazańca. Winda była oszklona, w dole rozpościerał się krajobraz Londynu. Grace miała wrażenie, że stoi na Moście Westchnień. A raczej w Windzie Westchnień. W oddali widziała Tower Bridge, katedrę św. Pawła, Opactwo Westminsterkie i — tuż pod sobą — wody rzeki o barwie cyny.

Budynek Omnicorpu — pałac ze szkła lustrzanego — wznosił się pośród całego miasta innych pałaców ze szkła lustrzanego. Kwatera główna Billa Duke'a w Zjednoczonym Królestwie znajdowała się w jednej z najnowszych części przebudowywanych doków, jej lśniące ściany odbijały falującą Tamizę, chmury i krążące po niebie samoloty. Grace spoglądała na nie tęsknie, pragnąc również odlecieć do jakiegoś wspaniałego miejsca. Byleby tylko nie była to Wenecja. Jak na razie miała dość tego miasta.

— Wspaniały widok, prawda? — odezwała się nieśmiało do asystentki Duke'a, która odebrała ją z recepcji. Była to drobna, zadbana kobieta, której lśniące, ostrzyżone na pazia włosy opadały na wysoki kołnierz granatowego kostiumu.

— Owszem.

Jej pogodny głos, zamiast uspokoić Grace, wprowadził ją w zakłopotanie i jeszcze bardziej przestraszył. Asystentka mogła czuć się pewnie, ale Grace podczas źle przespanej nocy doszła do wniosku, że Duke chce się z nią zobaczyć, ponieważ jako znajomy ojca pragnie wyświadczyć jej uprzejmość, zawiadamiając ją o zwolnieniu osobiście.

— Jesteśmy na miejscu — powiedziała asystentka, gdy drzwi windy się otworzyły.

Grace znalazła się w oszklonej przestrzeni, do której ze wszystkich stron wpadało światło. Unosząc wzrok, przez jedną z szyb ujrzała nieruchomą łopatę śmigła helikoptera.

Siedząca w recepcji piękna blondynka uśmiechnęła się i podniosła słuchawkę telefonu.

— Panna Armiger do pana, panie Duke — powiedziała i odłożyła słuchawkę. — Prosił, żeby pani zaraz weszła. Prosto i na lewo.

Grace przeszła we wskazanym kierunku krótkim szerokim korytarzem i zastukała lekko w grube, obite jasnym drewnem drzwi.

— Wejść! — zadudnił głos Duke'a.

Wsunęła się do środka, spodziewając się widoku Duke'a, spoglądającego na nią zza biurka z obrotowego, obitego skórą fotela, w jakich zawsze zasiadają dyrektorzy. Ale nie ujrzała obrotowego, obitego skórą dyrektorskiego fotela ani dyrektorskiego biurka. W ogóle nie zobaczyła żadnych śladów typowego dyrektorskiego dostojęstwa. Nie stały tam mosiężne lampy z zielonym szkłem, nie było wytłaczanych metalowych tac ze sprawami do załatwienia ani obłożonego złotymi okładzinami komputera ze srebrną myszą. Co więcej, na ścianach nie wisiał nawet jeden obraz pędzla starych mistrzów, którymi zazwyczaj wielkie korporacje dają dowód troski o kulturę.

Same ściany, choć drewniane, nie były, jak spodziewała się Grace, obite orzechową boazerią. Wyglądały na deski cedrowe, do tego grubo ciosane, w stylu domku w górach. Całą podłogę pokrywały skóry zwierzęce, na których stały drewniane krzesła.

Przy jednej ze ścian znajdowało się rozkładane łóżko, przykryte skotłowaną kołdrą, a naprzeciwko niego, na kanapie przykrytej baraniami skórami, siedział Bill Duke. Opuściwszy podbródek na pierś, rozmawiał przez mały srebrzysty telefon komórkowy. Miał na sobie dzinsy i koszulę w czer-wono-zieloną kratkę, a nogi w kowbojkach trzymał na wypchanym skórzanym prosięciu. Wygląda bardziej na statystę z musicalu *Oklahoma!* niż zarabiającego miliardy prezesa międzynarodowej korporacji, pomyślała Grace. Czy zawsze tak się ubiera? Włożenie garnituru na kolację u jej matki musiało kosztować go sporo wysiłku. Nic dziwnego, że czuł się w nim nieswojo.

Duke gestem zaprosił Grace, by usiadła, po czym omiół ją spojrzeniem. Grace, której jedynym źródłem pewności siebie była gładko wyprasowana biała koszula i spodnie o kancie ostrym jak brzytwa, wygłosiła w duchu dziękczynną modlitwę do Marii.

— Rozmawiam właśnie z zarządcą mojej posiadłości w Montanie — powiedział teatralnym szeptem Duke i powrócił do przerwanej rozmowy. Grace wyczuła jego napięcie — wyraźnie był czymś poirytowany. Czyżby nią?

— Nie wiesz, co robić, Joe? — zadudnił do słuchawki. — To ja ci powiem. Miejscowy syndykat farmerski nie chce, żebym kupił to rancho, tak? Więc posłuchaj... Pójdź na ich następne zebranie, wyjaśnij, że mówisz w moim imieniu, i powiedz im, że podzielam ich uczucia. Nastąpiła pauza, podczas której, jak domyśliła się Grace, Joe protestował albo wyrażał swoje zdumienie.

— Naprawdę podzielam ich uczucia — oświadczył Duke, unosząc swoje długie nogi znad prosięcia, na którym spoczywały. — Słowo daję. Możesz im to powiedzieć. I przekaż im też, że jeśli chcą mnie powstrzymać, niech zakąszą rękawy, pracują dzień i noc, zbiorą sześćdziesiąt milionów i sami wykupią to rancho, cha, cha, cha! Wyłączył komórkę.

— Przepraszam, że musiałaś czekać. Chcę kupić kolejne rancho, a miejscowi robią trudności.

— Nic nie szkodzi. — Choć Grace bardzo zainteresowała ta migawka z jego codziennego życia, zastanawiała się, do czego to wszystko prowadzi. Jeśli Duke ma wbić jej nóż w plecy, wolałaby, żeby zrobił to jak najszybciej.

— A więc, Grace...

— Tak?

— Jak się mają twoi rodzice?

— Dziękuję, dobrze. Rozmawiałam nawet z mamą dziś rano. Zachowywała się, hm... tak jak zawsze.

Duke popatrzył na nią. Gdyby sytuacja nie była tak poważna, Grace uznałaby, że wygląda na rozbawionego.

— Wydali wtedy fantastyczną kolację. To był wielki sukces. Grace skinęła głową. Dla niektórych pewnie tak, pomyślała.

Bez wątplenia dla Duke'a, który dzięki tej kolacji nabył ostatnie z dziwnych brytyjskich wydawnictw — z pewnością za minimalną cenę — by dodać markowej patyny swojemu medialnemu imperium.

Prawdziwy sukces.

— Zdziwiłaś się, że kupiłem to wydawnictwo, co? — zapytał, jakby czytając w jej myślach.

— Prawdę mówiąc, tak.

Sięgnął swoimi długimi, okrytymi kratkowanym materiałem rękami do ekspresu i nalał filiżankę kawy.

— Napijesz się?

— Chętnie.

Filiżanka pobrzękiwała o spodeczek, gdy Grace ujęła ją drżącą dłonią.

Gniewnie spojrzała na swoje palce. Czego się tak obawia? Wyrzucają ją tylko z pracy, nie zabijają.

— Pewnie się trochę zdziwiłaś.

— Trochę — przyznała Grace.

Duke uderzył dłońmi w potężne poręcze kanapy.

— Wiesz, co robiłem w Wenecji, kiedy cię poznałem?

— Byłeś na festiwalu filmowym — wymamrotała Grace, przypominając sobie, że matka mówiła coś na ten temat.

Duke skinął głową.

— Wiedziałaś, że Omnicorp ma udziały w przemyśle filmowym, prawda? Telewizja, film, reklama, a także wydawnictwa... Grace kiwnęła głową. Wiedziała, oczywiście. Nadal jednak nie miała pojęcia, ku czemu zmierza ta rozmowa. Co festiwal w Wenecji albo filmowy oddział Omnicorpu ma z nią wspólnego?

— Był tam aktor, z którym mamy umowę. Reklamował jeden z naszych filmów. Nadarzyła się więc doskonała okazja, by potwierdzić kontrakt, o którym z nim rozmawialiśmy. Teraz wszystko jest podpisane i przypieczętowane.

— Rozumiem — odparła uprzejmie Grace.

— Dlatego tu jesteś. Żeby zająć się jego propozycją. Grace opadła szcęką. Zając się—jego — ktokolwiek by to był — propozycją? Czy Duke sobie z niej żartuje?

— Myślałam, że chciałeś się ze mną zobaczyć, żeby mnie zwolnić — powiedziała, zanim zdążyła się powstrzymać.

Duke zakrztusił się. Na chwilę jego twarz przysłoniły błękitne kłęby dymu z cygara.

— Co takiego? — wydusił z siebie pomiędzy paroksyzmami kaszlu. — Zwolnić cię?

Grace przytaknęła.

Duke otarł płynące mu z oczu łzy.

— Nie, do diabła. Po pierwsze, nie ośmieliłbym się zdenerwować twojej matki. To jedyna kobieta, której tak bardzo się boję, że ze względu na nią gotów jestem włożyć garnitur.

Grace uśmiechnęła się. Doskonale знаła to uczucie. Chyba ze sto razy zadawała sobie pytanie, dlaczego pojechała do Wenecji. Oczywiście dlatego.

— Chcę, żebyś dla mnie pracowała — rzekł Duke. — Z tego, co mówiłaś na kolacji u twojej matki, wynika, że z każdym sobie poradzisz. Bo jeśli wytrzymujesz z tymi zwariowanymi pisarzami, których tu macie... — Przewrócił oczami i gwizdnął.

Grace przełknęła ślinę.

— Tak, ale... — Duke znał sytuację tylko w połowie. Jeszcze nie wie, że ostatnio przytrafiła jej się cała seria zawodowych katastrof. A biorąc pod uwagę, że prędzej czy później i tak się o tym dowie, nie może ukrywać, że jest największym pechowcem w świecie reklamy. — Szczerze mówiąc — wymamrotała — nie jestem pewna, czy tak dobrze sobie z nimi radziłam. Mój dorobek zawodowy prezentuje się dość mizernie — dodała.

— Chodzi ci o te wszystkie historie z Henrym Moonem? — Duke wzruszył ramionami, a Grace aż podskoczyła, słysząc to nazwisko. Rumieniec oblał jej policzki, ale Duke uśmiechnął się i powiedział: — Nie przejmuj się tym. Większość ludzi już dawno machnęłaby na niego ręką. To, że ciągle próbujesz, wiele o tobie mówi. Że nadal usiłujesz zainteresować nim media, choć odmówiła ci każda gazeta w tym kraju, nie wspominając już o wszystkich stacjach radiowych i telewizyjnych. Że tak bardzo troszczysz się o Henry'ego Moona. — Ze zdziwieniem potrząsnął głową. — To niesamowite, naprawdę.

— To dowód mojej głupoty — odparła Grace, czerwona z zażenowania.

— To dowód na to, jak bardzo się starasz. Robisz więcej, niż wymagają tego twoje obowiązki służbowe.

Grace splotła leżące na podolku dłonie. Mógłby to powtórzyć, pomyślała.

— To właśnie mi się podoba. Wytrwałość. Również twoja koleżanka bardzo cię chwaliła.

— Ellie? — Oczy Grace zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. Jej była asystentka nic nie wspominała o spotkaniu z nowym właścicielem Hatto & Hatto.

— Wspaniała dziewczyna. — Duke odchrząknął nagle. — Posłuchaj... jeśli wytrzymujesz to wszystko, bez problemu dasz sobie radę z hollywoodzką gwiazdą.

Grace zamrugła.

— Hollywoodzką gwiazdą? — Jeśli ledwie udaje jej się stawić czoła drugorzędnym pisarzom, to praca z gwiazdą —

niechby nawet nie z tych największych — chyba przekracza jej możliwości. — Nie jestem pewna, czy mam odpowiednie...

— Doświadczenie? Jasne, że masz — odparł z przekonaniem Duke. — Skoro uporałaś się z tą damą... Euphemią jakjejtam... okręcisz sobie Reda Campiona wokół małego palca. Bez najmniejszych problemów.

Grace popatrzyła na niego ze zdumieniem.

— Reda Campiona? — wychrypiąła. Duke zdjął nogi z prosięcia i usiadł prosto.

— Hej, o co chodzi? Powiedziałaś, że lubisz wyzwania. Grace odstawiła filiżankę na dywan i mocno zacisnęła

dłonie, by nie drżały. Usłyszała swój głos podczas kolacji u matki: „To wyzwanie. Lubię wyzwania”. Poczula, że ogarnia ją panika.

— Ale... ale... macie przecież w Omnicorpie dział filmowy? Czy nie lepiej byłoby, żeby Redem Campionem zajęła się ich agencja reklamowa?

Duke zrobił zdziwioną minę.

— A dlaczego, na miłość boską, właśnie oni mieliby to robić?

— Nie mam zbyt wielkiego doświadczenia w reklamie filmów...

— To nie jest żaden cholerny film. Red Campion podpisał umowę na napisanie powieści. I zdecydowałem, że wyda ją Hatto.

— Powieści? Duke skinął głową.

— Zawsze chciał napisać powieść. Co więcej, pragnie, by tę powieść oceniano na podstawie jej wartości literackiej, i zamierza odciąć się od tych wszystkich cholernych wrzeszczących kobiet, Oscarów i cholernej choroby legionisty. A więc, skoro Hatto ma reputację wydawnictwa, które nigdy nie publikuje śmieci... — Popatrzył na nią pytająco spod nastroszonych brwi.

— Aha — mruknęła Grace. — Rozumiem.

— Czyli mamy wszystko ustalone — powiedział Duke, po czym spojrzał na zegarek i podniósł się tak gwałtownie, że jego wielka głowa omal nie uderzyła w sufit. — Praca wzywa. Red do ciebie zadzwoni.

— Zadzwoni do mnie? — Czy takie sławy jak Red Champion po prostu podnoszą słuchawkę i nakręcają numer? I to akurat jej?

— Musisz z nim porozmawiać. I spotkać się.

— Jak to... pojedę do Los Angeles? — wychrypiała podekscytowana Grace. Nigdy nie była w LA.

— Nie ma potrzeby. Red jest teraz w Paryżu, gdzie kończy swój ostatni film. Dogrywa niektóre dialogi.

— Hm, świetnie — mruknęła Grace. Podniecenie zdusiło wszystkie jej wątpliwości. Red Champion do niej zadzwoni. Nie mogła się doczekać, by opowiedzieć o tym Ellie. Tak bardzo pragnęła pobiec do wydawnictwa, że aż świerzbiły ją stopy.

— Jeszcze jedno — dodał Duke. — Wszystko, co tu powiedziano, ma pozostać między nami. Nic nikomu nie mów, dobrze? Nawet Ellie. Ma wspaniałe pomysły, ale nie jestem pewien, czy potrafi zachować dyskrecję.

Grace uśmiechnęła się słabo, przypominając sobie niektóre absolutnie bezpruderyjne opowieści swojej asystentki o jej ostatnich miłosnych przygodach. „Wyobraź to sobie...” — mówiła Ellie, parskając śmiechem. Duke miał rację. Jej koleżanka ma wiele talentów i zalet, lecz dyskrecja do nich nie należała.

Kiedy nazajutrz Red się nie odezwał, Grace poczuła się, jakby uszła z niej cała para. Paru kolejnych dni również nie zakłócił telefon od gwiazdora, zaczęła się więc zastanawiać, czy to wszystko, co usłyszała w gabinecie Duke'a, nie było przypadkiem snem.

Ciekawe, czy Ellie coś podejrzewała. Wspaniale potrafiła brać rozmówcę w krzyżowy ogień pytań, toteż Grace bardzo

uwazała, by nic jej się nie wysnęło. Na szczęście Ellie była tak bardzo zajęta czytaniem korekty *Czarów i samotnej dziewczyny*, że nic więcej jej nie obchodziło. „Jeśli zbudujesz ołtarz, postawisz na nim dwie czerwone świece i pod nimi na czerwonej kartce napiszesz imię wybrańca, który ma się w tobie zakochać...” — usłyszała jej mamrotanie. Ellie, całkowicie pochłonięta lekturą, najwyraźniej zapomniała o bożym świecie.

Gdy któregoś dnia po przyjściu do biura Grace ujrzała swoją asystentkę podskakującą radośnie na krześle, poczuła się zaniepokojona.

— Słyszałaś? — krzyknęła Ellie.

— Co słyszałam? — zapytała Grace, uświadamiając sobie, że pobladła. Skąd Ellie się dowiedziała? Pewnie Duke będzie mnie obwiniał za przeciek, pomyślała.

— O Sassy Jenks i Jenny Bristols?

— Och... — Grace poczuła taką ulgę, że aż osłabła. Usiłowała skupić się na opowieści Ellie o nieszczęsnym pracowniku reklamy wydawnictwa Ptarmigan, który, starając się upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, przekonał Jenks, by wzięła udział w wywiadzie, zatytułowanym „Przyjaciółki po piórze”, wraz ze swoją koleżanką Jenny Bristols.

— Pomysł polegał na tym — chichotała Ellie — że każda miała pisać hymny pochwalne na cześć tej drugiej, rzekomo będącej dla niej nieocenionym wsparciem w procesie twórczym. Pismo, w którym miał się ukazać wywiad, podejrzewało, że padło ofiarą jakiejś sztuczki działu reklamy, bo Sassy i Jenny nie chciały nawet siedzieć w tym samym pokoju podczas rozmowy i absolutnie nie zgodziły się na wspólną fotografię. Podobno rozpętało się piekło.

Grace kiwnęła głową z nieobecną miną. Czuła się trochę zawiedziona, że Ellie nie odgadła jej sekretu. Gdyby tak się stało, przynajmniej miałyby pewność, że niezwykła propozycja Duke'a jest prawdą. Że to niezaprzeczalny fakt.

Ale choć żadna wielka gwiazda do niej nie zadzwoniła, i tak miała mnóstwo powodów do wdzięczności. Przynajmniej nadal

ma pracę. A Hatto & Hatto przenikał nowy, świeży duch, i nie chodziło wcale o nowinki techniczne. Ellie rzucała się na każdy kawałek *Nedów*, który Maria jej dostarczała — a kolejnym dowodem jej pracowitości była oprawiona w różową okładkę korekta *Czarów i samotnej dziewczyny*, którą Grace tego ranka znalazła na swoim biurku.

— Jest prawie skończona! — zawołała zdziwiona Grace, podnosząc ją. Ellie z dumą skinęła głową.

— Tak. Ale pomyślałam, że może powinnaś na nią zerknąć... Zakreśliłam parę fragmentów, na które chciałabym zwrócić twoją szczególną uwagę. Grace otworzyła korektę na stronie, z której wystawała różowa samoprzylepna karteczka. „Czar sprawiający, że wyzna ci swą miłość” — przeczytała i zaczerwieniła się ze złości. Czyżby to była aluzja do Henry'ego Moona? Czy papież, pomyślała zgryźliwie, naprawdę jest katolikiem?

By wyznał ci swoją miłość, umieść monetę jednoflmtową pomiędzy swymi dłońmi i poproś, aby miłość wzniosła się wielką falą i zalała twoje życie. Wyobraź sobie twarz ukochanego na monecie. Połóż ją w kręgu różowych kwiatów, zostaw na noc podczas pełni księżyca, a potem jakimś sposobem dostarcz monetę przedmiotowi swej miłości. Gdy moneta wyjdzie z jego rąk, twój ukochany niebawem wyrazi ci swe głębokie uczucie.

Grace przewróciła oczami.

— No wiesz, Ellie!

— Pomyślałam, że te rady ci się przydadzą — powiedziała jej asystentka z niewinną miną.

Grace poczuła, że puszczają jej nerwy.

— Przydadzą mi się? To opowieści na panieński wieczorek. Czary-mary, hokus-pokus, przecież to nie ma nic wspólnego z prawdziwym życiem.

— Z pogardą zaczęła przerzucać kolejne

stronice. Nagle zatrzymała się przy tytule rozdziału: „Jak sprawić, by do ciebie zatelefonował”.

To wszystko naturalnie bzdury. Ale ponieważ oczekiwała — choć z coraz mniejszą nadzieją — dość ważnego telefonu, trochę ją to zainteresowało. — Znalazłaś coś? — zapytała Ellie.

Grace, zatopiona w lekturze, nie zwróciła na nią uwagi.

Twój miły zadzwoni do ciebie, jeśli usiądziesz w wannie, napełnionej letnią wodą, do której włożysz żołądźce oraz krąg świeżych pączków różanych...

To wydaje się całkiem rozsądne, pomyślała. Telefon zawsze odzywa się właśnie wtedy, gdy wchodzisz do wanny.

— Powiedz, o czym teraz czytasz? — dopytywała się Ellie. Ale jej słowa prawie nie docierały do Grace. Nagle wskazówki na kartce nabrały dla niej ogromnego znaczenia.

Trzymaj w jednej ręce jego fotografię i zanurz się w wodzie, wpatrując się w zdjęcie przez dziesięć minut i myśląc tylko o swym ukochanym i niczym innym. Po dziesięciu minutach przepij do niego cydrem i skanduj rytmicznie: „Weź słuchawkę i zadzwoń do mnie, nic innego nie ma oprócz mnie”.

Rozdział 16

Belinda nie mogła w to uwierzyć. Ten nieprawdopodobny głupek Toby Brooke, z którym przed laty przeprowadziła wywiad dla *Przerwy na herbatę*, stał się wielką gwiazdą. Według doniesień porannych gazet otrzymał rolę w najnowszym filmie Toma Cruise'a. Nie dość, że było to niedorzeczne, lecz dowodziło jeszcze, że artyści z pierwszej ligi tak naprawdę nigdy nie powinni się w niej znaleźć.

Usiłowała wytłumaczyć to naczelnemu, ale nie dał się przekonać. Wciąż się dopytywał, kiedy zostanie opublikowany jej wywiad na wyłączność z Brookiem. Musiała odpowiedzieć Graysonowi, że nigdy. Nie była to bynajmniej jej wina, jak niektórzy będą mu chcieli wmówić — z jakichś idiotycznych powodów nie chciała się na to zgodzić agencja aktora.

Akurat tak się złożyło, że była to ta sama agencja, która usiłowała Belindzie wcisnąć tego karła Jima Friedlandera. Niestety uświadomiła to sobie dopiero wówczas, gdy zadzwoniła do Amber, która przypomniała jej to zdarzenie. To wszystko razem było bardzo ambarasujące, ponieważ Amber nie omieszkała jej wytknąć, iż Jim Friedlander jest teraz drugi na hollywoodzkiej liście najpopularniejszych obecnie brytyjskich aktorów. Ma się rozumieć po Tobym Brooke'u.

Zgrzytnęła zębami z irytacji. Załedwie dziś rano przeczytała

w konkurencyjnej gazecie, jak Brooke, „zdobywszy serca widzów jako dezenter w *Rozstrzelanym o świcie*, utwierdził swój sukces rewelacyjną rolą psychopaty o dziecięcej twarzy, patologa Toma Carvera, oddającego się nekrofilii w nowym serialu *Kostnica*”. Zwymiotowałyby, gdyby nie to, że nic nie jadła. Jej żołądek był pełen żółci od poprzedniego wieczoru, kiedy to na stronach „Evening Standard” poświęconych mediom przeczytała, że Mo Mills — o dziwo, najwyraźniej wracająca do zdrowia — przyznano nagrodę za całokształt dokonań, którą ma otrzymać podczas najnowszej edycji programu *Co w trawie piszczy*. W dodatku laureatce miał ją wręczyć Paul McCartney. Belinda była tym bardziej wściekła, że jej samej nie zgłoszono do żadnej nagrody. A teraz to.

Czuła, jak wzbiera w niej gniew. Dlaczego ona nie otrzymuje należnych jej kawałków tortu? Dlaczego nic nie wychodzi tak, jak sobie zaplanowała? Od tygodni prowadzi kolumnę Mo Mills i ani na krok nie zbliżyła się do celu, którym było zdobycie kogoś bogatego i sławnego. — Dlaczego nie załatwiłeś mi Reda Campiona?! — wrzasnęła na Tarquina.

— Pisałem do niego pięćdziesiąt razy — odparł Tarquin. — Zawsze odpowiada odmownie.

— i co z tego? — warknęła Belinda. — Pięćdziesiąta pierwsza kropla może wydrążyć skałę.

Pomyślała jednak, że być może za wysoko ustawia poprzeczkę, usiłując usidlić kogoś bogatego i zarazem sławnego. Jak dotąd, wszystkie jej wysiłki spełzały na niczym. Może należałoby się skupić tylko na jednym atucie wybranka? Chyba będzie musiała zadowolić się tylko bogatym. Na razie.

— Zaczynaj szukać w *Skarbcu genealogicznymi* — krzyknęła. — Na jutro rano chcę mieć spis wszystkich parów królestwa.

Kiedy Tarquin westchnął i począł do biblioteki, Belinda pomyślała, że jeżeli ta droga okaże się ślepym zaułkiem, nic jej już nie pomoże. Parowie są bardzo czuli na potęgę prasy,

powszechnie znana była historia poszukiwacza złota, który spotykał się z każdym markizem, posiadającym zamek nad Loarą, udając dokumentalistę z BBC. To dobry pomysł, uznała Belinda. Dlaczego, do diabła, sama na to nie wpadła?

Następnego ranka Tarquín przedstawił jej listę. Przeglądając ją, Belinda burczała gniewnie, bo większość znajdujących się na niej parów była żonata.

— Ten — oświadczyła w końcu, zatrzymując pomalowany czerwonym lakierem paznokiec przy nazwisku Peregrine.

— Peregrine Oscar Chretien Somerville — uzupełnił Tarquín. — Tak, ten wydaje się odpowiedni. Potomek tysiąca hrabiów. Ma odziedziczyć połowę środkowej Anglii. Jego ojciec to lord Whyffe of Swaddling.

— Naprawdę? — zainteresowała się Belinda.

— I jest kawalerem, tak jak pani prosiła.

— Ach, tak.

— Miałem nadzieję, że będzie pani zadowolona — powiedział Tarquín. Wyraz głębokiej ulgi rozjaśnił jego blade oblicze.

Belinda zmrużyła oczy. Jeśli ten głupek liczy na pochwałę, może się odchrzanić. Wykonuje tylko swoją pracę, na miłość boską. Czy jej ktoś kiedyś podziękował? Czy choć liczyła na podziękowania? Oczywiście, że nie. Jest zawodowcem.

— Pamiętaj, że każdy list, który wysyłasz, jest podpisany moim nazwiskiem — warknęła. — To ja decyduję o przeprowadzeniu wywiadu. Ty tylko liżesz i zaklejasz te cholerne koperty.

Krótki przegląd kronik genealogicznych potwierdził wszystko, co Tarquín powiedział o wielmożnym Peregrinie. Belinda poczerwieniała z podniecenia i przysięgła sobie, że pojedzie tam i obejrzy falujące łąny na jego włościach. Tyle ich jest, że nie doznają żadnego uszczerbku, jeśli trochę ich zgniecie razem z panem i dziedzicem. Jedynym problemem jest przepchnięcie tej kandydatury przez redakcyjne sito. Ale to nie powinno być takie trudne. „Globe” uwielbia opowieści o patrycjuszowskim kolorycie i ekscentryczności wyższych sfer. Trzeba będzie

dorzucić parę opisów łóż z baldachimami, wiekowych dębów i malowniczych jezior. Jak się nazywa ten facet? Peregrme Oscar cośtam? To załatwia sprawę. Jeśli ją przycisną do muru, będzie mogła z czystym sumieniem powiedzieć, że jej najnowszy kandydat ma Oscara. I jest z listy A, jeśli za taką uzna się listę arystokratów.

Uśmiechnęła się do siebie. Lady Whyffe of Swaddling. Brzmi nieźle. Teraz tylko musi się postarać, by ten tytuł stał się wszystkim znany. Tarquin umówił się z Peregrne'em, że jego wielmożność wyjedzie po Belinę na stację o nazwie Swaddling Close i zawiezie ją do swojego domu, toteż Belinda nieprzyjemnie się rozczarowała, gdy nikogo nie ujrzała na peronie. Dopiero po dwudziestu niemiłosiernie wlokących się minutach zza rogu zamkniętej poczekalni wyłoniła się koścista, niezdarnie poruszająca się postać.

— Blinda?

Na policzkach wielmożnego Peregrine'a płonęły dwie karmazynowe plamy, a jego ubranie miało kolor szlamu, zalegającego dno stawu. Całości dopełniały jasne włosy, lekko skośne załzawione niebieskie oczy i bardzo stare buty, najwyraźniej wykopane z ogrodu i pochodzące z poprzedniego stulecia.

— Przepraszam... nawalił mi ten cholerny samochód — wyjaśnił zdyszczanym głosem.

Nie tylko jego buty leżały zakopane w ziemi przez sto lat, pomyślała Belinda. Takie jednak właśnie były te markowe rody. Wszyscy o tym wiedzieli. Ale Peregrine przechodził wszelkie oczekiwania. Dziedzic tysiąca hrabiów, jak twierdził Tarquin. Cóż, hrabiowie nawet w najlepszych czasach nie odznaczali się zbyt imponującym wyglądem. A Peregrine zdawał się łączyć w sobie wszystkie najmniej ujmujące cechy swojej klasy.

Belinę ułagodziła jednak niezwykła atencja, jaką jej okazy-

wał. Każdym słowem dawał jej do zrozumienia, jakim wielkim zaszczytem jest dla niego jej przybycie.

— Jest pani słynną żurnalistką — wymamrotał, gdy trzęsącym się starodawnym samochodem z odkrytym dachem podążali ku hrabiowskiej rezydencji. — Musi to być niezwykle satysfakcjonujące. Obraca się pani wśród sławnych i bogatych osobistości. Przebywa pani w tak wysokich sferach....

Belinda poczuła się zaskoczona. Czyż mogą być wyższe sfery niż te, do których on należy? Po chwili jednak doszła do wniosku, że to tylko kokieteria.

— Owszem, w dość wysokich — przyznała. W końcu w garderobie Briana Stone'a stało kilka par butów na podwyższonej podeszwie, pomyślała z sarkazmem.

Peregrine pokiwał głową. Karmazynowe plamy na jego policzkach płonęły z radości. A może z powodu zimna. Czując, jak chłodny wiatr smaga jej uszy, targa włosami i uderza w twarz, Belinda postawiła kołnierz cienkiego, obcisłego, krótkiego skórzanego żakietu i modliła się, by jak najprędzej dotarli do celu. I żeby dotarli w całości, bo Peregrine najwyraźniej uważał, że białą linię pośrodku drogi wymalowano specjalnie po to, by doprowadzić go do domu.

Belinda pocieszała się myślą, że wysłużony peugeot jest jedynie czterokołowym odpowiednikiem łachmaniarskiej garderoby Peregrine'a, według książki lady Cylindrii Slaughter typowej dla wyższych klas.

Przed wyjazdem zastanawiała się nad sprawieniem sobie nowej odzieży, ale przeczytała w *Serwetkach i krewetkach*, że nowy, połyskliwy płaszcz z trzeszczącej tkaniny, sztruksy i wzorzysta chustka na głowę mogą uchodzić za niegustowne i pospolite, więc zrezygnowała z ich zakupu. Za nic w świecie nie chciała uchodzić za osobę pozbawioną gustu i pospolitą. W końcu zdecydowała się na obcisłą skórzaną spódniczkę, wysokie szpilki i biustonosz, unoszący piersi do góry — miały być jej orężem, za pomocą którego zamierzała rzucić Peregrine'a Oscara Chretien'a Somerville'a na kolana.

Kiedy minęli zagrodę dla bydła i wjechali do parku, jej serce podskoczyło wyżej. O to właśnie chodziło, taki widok pragnęła zobaczyć. Ujrzała przed sobą dwa wielkie, klasyczne skrzydła pałacowe, najeżone urnami i posągami bogiń. W środku widniała ogromna, przykryta kopułą rotunda. Swaddling to coś więcej niż pańska rezydencja, opisana w *Znowu w Brideshead*. Gdy przystanęli, by podziwiać pałac, Belinda już planowała, kiedy się tu ponownie pojawi.

— Niezwykłe, nieprawdaż? — odezwał się Peregrine, przenosząc wzrok z Belindy na budowlę przed nimi. — Cudowne kopuły — dodał, zatrzymując przez chwilę spojrzenie na jej piersiach. — Wspaniały fronton. — Belinda wypchnęła swój fronton do przodu i uśmiechnęła się uwodzicielsko. Zdobędzie te cuda przebojem. Wysokimi obcasami można bardzo skutecznie sflekować każdego frajera.

Nie powiedziała jednak nic na temat domu. *Serwetki i krewetki* lady Cylindrii Slaughter przestrzegały, iż „osoby o wysokiej pozycji sądzą, że wszyscy żyją w tak komfortowych warunkach jak oni, toteż wszelkie uwagi na temat swych domów uważają za przejaw popolitości”. Czyżby Somerville mnie sprawdzał? — zastanawiała się Belinda. Postanowiła nie zaprzepaszczać swoich szans.

— Niezłe, co? — powtórzył zdziwiony Peregrine. Belinda rzuciła mu pełne pogardy spojrzenie. Czy naprawdę przypuszczał, że da się złowić w tak oczywistą pułapkę?

Peregrine z wyrazem rozczarowania na twarzy przejechał przez okolony balustradą mostek i otoczony kamiennymi ozdobami staw. Patrząc na odbijający się w tafli wody pałacowy fronton, Belinda jeszcze bardziej wypięła piersi.

— Proszę, wejź — powiedział Peregrine, gdy samochód raczej zgasł niż zatrzymał się na obszernym podjeździe przed domem. — Nie tędy! — zawołał, gdy Belinda zaczęła wstępować krokiem przyszłej właścicielki po stopniach, prowadzących do ogromnych drzwi wejściowych. Jego głos niemal ginął w podmuchach lodowatego wiatru, uderzających ich w twa-

rze. — Tych drzwi nie otwierano od czasu, gdy wyszła przez nie królowa Wiktoria. Zechciej pofatygować się od tyłu.

Co z tego, że ogromnych, frontowych drzwi nie otwierano od roku tysiąc osiemset któregoś? Belinda nie widziała powodu, dla którego nie miałyby stanąć otworem dla niej, dopóki Peregrine nie wytłumaczył jej, że z powodu starości i braku konserwacji mogłyby wypaść na zewnątrz i zmiażdżyć wchodzącego. No cóż, trudno. Gdy przejmie majątek, będzie miała dość czasu, by się tym zająć i pozbyć się odrażającego odoru, wiszącego w wilgotnym przejściu obok kuchni, w której dawno temu najwyraźniej coś rybiego długo konało w męczarniach.

— Człowieka przechodzi dreszcz... z tego chłodu — wymamrotał Peregrine, usiłując odwrócić spojrzenie od piersi Belindy, których sutki przebijały przez bluzkę niczym mrożony groszek.

Belinda doszła do wniosku, że warstwy wełny i tweedu w brązowym odcieniu jeziornego szlamu mają swoje zalety. Taką temperaturę uznano by za niską nawet na szczycie Matterhornu. A ten lodowaty mrok, wypełniający główny hol, podejrzanie przypominał mgłę, wiszącą nad ziemią w zimową noc. Ale to niemożliwe. Są przecież w środku. Niemożliwe, by na jej rzesach utworzyły się mikroskopijne sopelki. A jednak...

Kiedy uświadomiła sobie, że nie czuje nóg, przestała zwracać uwagę na ogrom i przepych Swaddling.

— Przerażliwie zimno, nieprawdaż? — dodał Peregrine, zabijając ręce. Belinda spojrzała na niego. Czy to kolejna próba? Przyszła pani tej wspaniałej rezydencji nie może uskarżać się na takie drobne niewygody.

— Ależ skąd — wyszeptała uwodzicielsko, patrząc, jak spomiędzy jej szczękających zębów wydobywa się obłoczek pary. — Czuję się świetnie.

— Świetnie? Masz gęsią skórę jak krecie kopczyki.

— Niczego innego się nie spodziewałam — Belinda rozciągnęła w uśmiechu niemal zakrzepłe usta. Ledwo mogła

poruszać mięśniami twarzy, ale i to miało swoje dobre strony. W sumie wychodziło taniej niż botoks.

Na twarzy Peregrine'a odbiło się uczucie ulgi.

— To dobrze. Tak się cieszę, że to rozumiesz.

— Oczywiście, że rozumiem. — Belinda zachęcająco przesunęła dłońmi o krwistych paznokciach po swoich okrytych skórą biodrach i rzuciła Peregrine'owi zapraszające spojrzenie spod rzęs.

— Mamy trochę ograniczone środki...

Belinda poczuła, że ogarnia ją pusty śmiech. Stara śpiewka. Powszechnie wiadomo, że im człowiek jest bogatszy, tym usilniej wypiera się swojej fortuny. A nie ulegało wątpliwości, że Whyffe'owie mają pieniądze. Posiadacze takiego domostwa i włości, ciągnących się jak okiem sięgnąć? Bujać to my, ale nie nas. Peregrine z pewnością siedzi na forsie, nie wspominając już o jego rodzicach.

— Czy twoja matka i ojciec też tu mieszkają? — zapytała.

— Tak. Coś tutaj wynajmują.

— Wynajmują? — powtórzyła ze zdumieniem Belinda. A cóż oni mogą wynajmować w rodowym gnieździe, które — jak wynikało z dociekań Tarąuina — posiadali od czasów panowania Jerzego III?

— Och, wybacz, przejęczyłem się. Kombinują. Belinda poczuła głęboką pogardę. Taki sposób mówienia i gierki słowne irytowały ją. W *Serwetkach i krewetkach* cały rozdział poświęcony był ich krytyce. Lady Cylindria przestrzegła przed używaniem podobnego słownictwa osoby, które chciałyby uchodzić za wyrafinowane.

— Bardzo chcieliby cię poznać — powiedział Peregrine, gdy wkraczali do kolejnego mrocznego korytarza. — Uwielbiają kombinować różności.

— Kombinować różności?

— Przyjmować gości — wyjaśnił Peregrine, starannie artykułując słowa.

— Lubią mieć wokół siebie młode osoby.

Belinda pomyślała, że musi spojrzeć na to wszystko z innej

strony. W końcu gdzieś w tym domu musi wisieć parę portretów czy pejzaży Gainsborough.

— Jesteśmy teraz pod rotundą — oznajmił Peregrine, gdy przeszli do ogromnego okrągłego holu, w którym ziąb przenikał do szpiku kości. — Pod kopułą — dodał, widząc puste spojrzenie Belindy. Przez ogromne okna ujrzała upiększony kamiennymi ozdobami staw i aleję, którą jechali, zauważyła też, że szyby pokrywa warstewka szronu. Nic dziwnego, że arystokracja ma błękitną krew. Żaden człowiek, w którego w żyłach płynie cokolwiek cieplejszego, nie przeżyłby w takich warunkach.

— Zaprowadzę cię do twojego pokoju — powiedział Peregrine, chuchając w dłonie.

Belindzie zrzędała mina. On ją zaprowadzi? A gdzie jest służba? Jeżeli pokojówki nie rozpakują jej bagażu, to po co ta cholerna, do niczego niezdatna sprzątaczką zawijała jej wszystkie rzeczy — łącznie z majtkami — w pachnące bibułki?

Ale z drugiej strony, pomyślała, podążając za Peregrine'em labiryntem niekończących się korytarzy, znajdą się razem sam na sam w sypialni. A to najlepsza okazja do wykonania pierwszego ruchu.

— To jest twój pokój. — Peregrine zatrzymał się przed wielkimi drzwiami, z których obłaziła farba. — Trzeba je odrobinę popchnąć. I uważaj na farbę, trochę schodzi i przyczepia się do wszystkiego. Wiem, że to okropnie wygląda, ale za ten modny sfatygowany wygląd zapłaciłbym na Sloane Street mnóstwo pieniędzy.

Sfatygowany? — pomyślała Belinda, niemal wyłamując sobie ramię przy próbie ruszenia ogromnego kawału litego drewna. To raczej ona będzie za chwilę kompletnie sfatygowana.

Humor jej się jednak poprawił, gdy weszła do środka. Mniej więcej tego się spodziewała. W jej mieszkaniu nie bardzo było jak się obrócić, a tutaj można byłoby wirować w tańcu. Ktoś tu chyba ćwiczył plemienny taniec wojenny, sądząc po ilości skór,

rozciągniętych na podłodze; wielkie kły zwierzęcych głów przywodziły Belindzie na myśl Warrena Streeta, zastępcę redaktora naczelnego „Globe”.

W mdłym świetle, które zdołało się przecisnąć przez ukośnie przycięte, lecz niemiłosiernie brudne szyby, dostrzegła ogromne łoże, którego okolony czerwonymi frędzlami baldachim uniesiony był w górę i zwieńczony ginącymi pod sufitem piórami. Stukając obcasami, podeszła do łoża i założywszy jedną opaloną i pokrytą gęsią skórą nogę na drugą, usiadła na brzegu, uwodzicielsko głaszcząc przykrycie. Gdy w powietrze uniosła się chmura kurzu i parę moli, zaczęła gwałtownie kichać.

— Na zdrowko — powiedział uprzejmie Peregrine, gdy Belinda, której z oczu pociekły łzy, a nos bezwzględnie domagał się chusteczki, wbiła paznokcie w dłoń. Nie całkiem to szło tak, jak sobie obmyśliła.

— Smarknij sobie. — Peregrine pogrzebał w kieszeni i rzucił Belindzie duży, postrzępiony kawałek materiału.

Belinda rozpaczliwie przewróciła oczami i spojrzała na sufit. Był cały pokryty jakimiś postaciami — być może nagimi — swawołącymi w gęstym mroku. Uznała, że ta dekoracja sprzyja jej celom.

— Tam na górze odbywa się jakaś orgia — wymruczała, uśmiechając się wymownie do Peregrine'a.

— Owszem — westchnął Peregrine. — To Olimp. Wiem, że trzeba by go odmalować.

— Cóż, powietrze w Atenach jest okropnie zanieczyszczone — palnęła Belinda, zanim zdążyła ugryźć się w język. Takie uwagi nie pomogą jej dołączyć do klas posiadających. Widocznie zimno sparaliżowało jej mózg. — A gdzie jest dodatkowe pomieszczenie? — zapytała po chwili. Peregrine spojrzał na nią tępo.

— Ubikacja — wyjaśniła niecierpliwie Belinda, ale nagle przypomniała sobie z *Serwetek i krewetek* tematy, o których można mówić, i te, jakich nie należy poruszać. — Chodzi mi oczywiście o toaletę — dodała.

— Ach, tak. Najbliższa łazienka jest niestety na dole, ale kibelek znajduje się na następnym piętrze, tuż za rogiem, parę kroków w górę, a potem jakieś pięćset metrów korytarzem. Uważaj, deski podłogowe są trochę niepewne. Matka na pewno ma zapasowy nocnik, który chętnie ci pożyczy.

Belinda roześmiała się, ale w twarzy Peregrine'a nie drgnął ani jeden mięsień.

— Zostawię cię teraz, żebyś sobie trochę odpoczęła — powiedział. — Możemy przeprowadzić wywiad przy obiedzie.

Przez chwilę w mózgu Belindy zapanowała pustka. Wywiad? Jaki wywiad?

— Mieliśmy porozmawiać o... właściwie nie bardzo wiem, o czym. — Peregrine uśmiechnął się niepewnie. — List nie był zbyt konkretny.

— A tak. — Myśli Belindy biegły tak szybko, jak tylko pozwalał na to niemal całkowicie zamrożony mózg. — Wydaje mi się, że możemy się tym zająć jutro — odparła zdecydowanie. — Po co psuć uroczy wieczór pracą?

— Doskonale. No to zobaczymy się później. Na pewno chcesz wziąć porządną, odprężającą kąpiel — oświadczył Peregrine. — Obiad jest o ósmej — dodał, po czym zniknął w mroku.

Belinda uśmiechnęła się do siebie. Tęskniła za porządną, odprężającą kąpielą. Potem założyła swoją zbroję. W jej podróźnej torbie od Bottegi Venety, którą Peregrine bezceremonialnie odrzucił na bok, znajdowała się wieczorowa suknia z najnowszej kolekcji Versace, przylegająca do ciała niczym łuski na ogonie syreny. Gdy szła korytarzem, machając kosmetyczką marki Jade Jagger, z zadowoleniem przypominała sobie, z jakim podziwem jej sprzątaczką oglądała tę kreację.

— Jest cudowna, Belindo — wyszeptała zachwycona, owijając ją z czcią w bibułkę.

— *Madam* Belindo — warknęła Belinda. — Ma być cudowna, do cholery. Przez dziesięć lat byś na nią nie zarobiła.

Łazienka z ogromną wanną, na nóżkach w kształcie zakoń-

czonych pazurami łap, bardzo jej się podobała. Mógłby się w niej swobodnie położyć nawet dwuipółmetrowy mężczyzna w cylindrze. Ale kiedy odkręciła kurki, z kranów poleciał jedynie letni strumyczek żółtej wody, nad którą unosił się słaby zapaszek siarki. Cóż, w takim razie wsypie do wanny wszystkie sole do kąpieli. Wlała też do wody całą zawartość zardzewiałego kanistra, który stał obok wanny. Dopiero gdy zanurzyła się w wodzie, odkryła spłowiały, zżarty rdzą napis na boku kanistra: „Ajax”.

Kiedy po kąpieli, czując nieprzyjemne swędzenie, wróciła do pokoju, ujrzała przy swoim łożu pokryte kwietnym wzorem naczynie o popękanej emalii — znak, że Peregrine nie żartował, mówiąc o nocniku.

Za dziesięć ósma Belinda, którą nadal wszystko swędziało, choć wylała na siebie całą butlę nawilżacza dr. Hauschki, stała sama obok ogromnego, pustego kominka. Ze wszystkich pokojów, do których zajrzała podczas długich i męczących poszukiwań, ten najbardziej przypominał jadalnię. Zbutwiałe rzeźby nad paleniskiem kiedyś prawdopodobnie przedstawiały ptaki i ryby, stał tam też bardzo zakurzony stół. Belinda zabijała czas, usiłując sobie przypomnieć wskazówki z *Serwetek i krawetek* dotyczące zachowania się przy stole. „Szczypczyków się nie używa — mrucała do siebie. — Szparagi je się palcami. Francuskie słowa brzmią pretensjonalnie... a więc serwetka, nie *serviette*. I po jedzeniu nigdy nie zbieraj talerzy, bo wyglądałoby to tak, jakbyś nie była przyzwyczajona do służby”.

Za pięć ósma. Służby ani widu, ani słychu, nie nakryto też stołu, ale Belinda z satysfakcją wpatrywała się w ogromny stół. Choć pokrywała go gruba warstwa kurzu, przywodził na myśl wykwintne posiłki na serwskiej porcelanie i ze srebrnymi sztućcami, błyszczącymi w świetle kandelabrow. Tymczasem jednak pokój rozjaśniała tylko mglista poświata, padająca przez szyby, za którymi lało niemiłosiernie. Nie było też śladu współbiedników, lecz z pewnością są już w drodze. A może

również zagubili się w gęstwinie pałacowych korytarzy? „Mów »zielenina«, nie »warzywa«" — mruzczała do siebie Belinda, zastanawiając się, jak dokonać tych rozróżnień. Czy szparagi są warzywem?

— Hej, jak się masz — powiedział Peregrine, wyłaniając się nagle z mroku holu i wstępując w mrok jadalni.

Postawił na stole brązową plastikową tacę — zupełnie jak z kantyny podrzędnego biura, stwierdziła Belinda. Z niezadowoleniem zauważyła, że nie przebrał się do kolacji, miał na sobie to samo ubranie co wcześniej, tyle że włożył jeszcze dwie marynarki. Ależ to oczywiste, pomyślała po chwili. Jako syn i dziedzic lorda Whyffe'a należał do najwyższej warstwy społecznej, mógł więc lekceważyć wszelkie reguły, dotyczące stroju.

— Napijesz się? — Peregrine gestem wskazał tacę, na której stały trzy puszki piwa oraz szklaneczka jakiegoś mętnego płynu. Na jego powierzchni unosił się poszarpany plasterek cytryny, przypominający zdechłą rybę. — Przyniosłem ci dżin z tonikiem. Reszta z nas pije piwo.

— Dlaczego? — Belinda nie znosiła piwa, tak jak nienawidziła całej kultury robotniczej, w której skład, jak sądziła, wchodziły też wyścigi psów oraz buty podkute ćwiekami. — To ohydne, nie uważasz?

— Cóż, jest tańsze niż wino i po pewnym czasie daje się polubić.

Tańsze... Belinda uniosła brwi. Zmień płytę, pomyślała. Whyffe'owie naprawdę są skąpi. Ale było to normalne w środowisku milionerów — a miejmy nadzieję, że i miliarderów — toteż przyjęła słowa Peregrine'a z ulgą, gdyż potwierdzało oczekiwany stan rzeczy. Niechęć do szafowania bogactwem bardzo wiele tłumaczyła. Straszliwe zaniedbanie domu. Brak ogrzewania. A nawet cztery okrągłe podkładki z rafii, które Peregrine wyciągnął z komody razem z garścią szeleszczących plastikowych noży i widelców, papierowych serwetek oraz saszetek z solą i pieprzem.

— Znajomi je nam przywożą — mruknął, uśmiechając się przepraszająco. — Dzięki temu oszczędzamy fortunę na sztuccach. Belinda pokiwała głową. To bez wątpienia kolejny przejaw ekscentryczności wyższych klas. Miejmy nadzieję, że przynajmniej jedzenie będzie dobre. Potrawka z zająca, pieczeń z dziczyzny, podgrzewane talerze, takie rzeczy.

W tym momencie do pokoju weszła jakaś kobieta, wnosząc półmisek ze sztucznego tworzywa i kilka łyżek do nakładania. Uśmiechnęła się szeroko do Belindy, która w odpowiedzi zrobiła groźną minę. Co za bezczelność! Gdy ona będzie tu panią, służące będą się uśmiechać, gdy do nich ktoś się uśmiechnie.

— Mamo — powiedział Peregrine — to jest Belinda. Belin-do, moja matka.

Belinda kurczowo uchwyciła się krawędzi stołu. Jego matka?

— Miło mi panią poznać. — Lady Whyffe odstawiła półmisek. — Z niecierpliwością oczekiwaliśmy pani przyjazdu.

Ledwo Belinda zdołała dojsć do siebie, w drzwiach ukazał się przygarbiony mężczyzna w obszarpanej tweedowej marynarce. Jeszcze dwie minuty wcześniej uznalaby, że to łowczy. A może ogrodnik łowczego. Ale gdy trzęsąca się, poznaczona błękitnymi żyłkami ręka wyciągnęła się do niej na powitanie i Belinda z niechęcią spojrzwała w załzawione, zezujące oczy, stwierdziła, że są dokładnie takie same, jak oczy Peregrine'a.

— Mój ojciec.

— Jak się masz — powitał ją uprzejmie lord Whyffe. — Z niecierpliwością oczekiwaliśmy twojego przyjazdu. Słynna dziennikarka! Cóż to za wspaniała praca. Musisz obracać się w tak wysokich sferach... Belinda, oswojona już nieco z takim podejściem i wzmocniona potrójnym dżinem z tonikiem, odparła niedbale:

— Owszem, spotykam wielu bogatych i sławnych ludzi.

Ale owa pełna podziwu fascynacja wszystkimi tymi bogaczami i sławami nieco ją dziwiła — czyż oni sami wciąż nie mają do czynienia z ludźmi na świeczniku? Jerry Hall zawsze zatrzymywała się w Badminton.

— Tak, to z pewnością bardzo satysfakcjonująca praca — przytaknęła lady Whyffe. — I bez wątpienia dobrze płatna — dodała.

— O tak. Bardzo dobrze, cha, cha — zaśmiała się Belinda. Już dawno przejrzała te ich gierki. Whyffe'owie, jako ludzie ogromnie bogaci i potwornie skąpi, najwyraźniej potrzebowali zapewnienia, że będzie miała swój wkład w domowy budżet, gdy się do nich wprowadzi. Dopiero po ślubie przyzna się, że może to być dziesięć pensów miesięcznie, które zostają jej po zapłaceniu rat wszystkich długów.

Peregrine rozłożył podkładki pod talerze na jednym końcu stołu. Gdy Belinda usiadła, widząc rozciągające się przed nią całe metry zakurzonego mahoni, niknące w mroku, poczuła się jak kręgiel na torze. Peregrine ustawił na środku małą lampkę, która ledwo rozjaśniała panujący wokół mrok. Ale wspaniale oświetlała zestaw zakurzonych przypraw.

— Mam nadzieję, że da się to zjeść — powiedziała lady Whyffe, wpatrując się niepewnie w półmisek ze sztucznego tworzywa. Leżał na nim kurczak, pływający w kałuży tłuszczu. — Na słoiku było napisane, że wystarczy tylko podgrzać kurczaka i polać go sosem, ale wygląda trochę dziwnie.

Na dworze nadal padał deszcz. Belinda, nie mogąc zmusić się do zjedzenia kawałka mięsa barwy kitu, który leżał na jej talerzu, pomyślała, że nadszedł czas, by zorientować się w prawdziwych zasobach tej rodziny. Umiała to robić, sondowanie bliźnich było jej sposobem na życie.

— To okropne, że właściciele posiadłości ziemskich muszą płacić VAT za wszystkie naprawy, prawda? — zaczęła, przypominając sobie fragmenty swojego artykułu na temat kłopotów przedstawicieli klas wieśniaczkich. Uniosła głowę i popatrzyła na krople, które zaczęły przeciekać przez sufit. Wiedziała, że zdzierstwa akcyzy wobec konieczności utrzymania rodowego gniazda w nienaruszonym stanie to problem, który dręczył niemal wszystkich właścicieli arystokratycznych rezydencji.

— Nie mamy takich kłopotów — odparł lord Whyffe z drżącym uśmiechem.

W takim razie rzeczywiście muszą siedzieć na forsie, pomyślała z zadowoleniem Belinda. Jakby potwierdzając te przypuszczenia, lady Whyffe obróciła się ku niej i pomiędzy kolejnymi kęsami kurczaka powiedziała:

— Mamy nadzieję, że lubisz milionerów.

— Jeszcze jak — zapewniła ją Belinda, której do oczu napłynęły łzy ulgi i zachwytu. Z uwielbieniem spojrzała na swoją przyszłą teściową.

— To wspaniale. Bo wiesz, niektórzy ludzie ich nie cierpią.

— Nie do wiary! — wykrzyknęła Belinda. Lord Whyffe popatrzył na nią z aprobatą.

Parę minut później wraz z Whyffe'ami zasiadła wokół małego grzejnika w rogu jednego z salonów i wszyscy wspólnie zaczęli oglądać *Kto chce zostać milionerem* na maleńkim biało-czarnym telewizorku.

— Nigdy tego nie przepuszczamy — oświadczył lord Whyffe. — Moja żona wciąż pisze listy, by się tam dostać, ale jeszcze nie odpisali.

Belinda zamrugała. Czyż nie wystarczy zatelefonować? A może to specyficzne poczucie humoru wyższych sfer? Próbowała sobie przypomnieć, co *Serwetki i krewetki* mówią na ten temat.

— Ale nie tracimy nadziei — dodała lady Whyffe. — Bogactwo to cudowna rzecz. Zgodzisz się ze mną?

Mów do mnie jeszcze, pomyślała Belinda.

— Oczywiście ty wiesz o tym wszystko — stwierdził lord Whyffe. — Jak milionerzy spędzają czas, jakie mają zwyczaje...

Belinda westchnęła i popatrzyła na Whyffe'ów, spoglądających na nią niczym stadko wygłodzonych chomików. Ci ludzie mają obsesję na tym punkcie, pomyślała.

— Owszem, trochę wiem — przyznała.

— Pewnie nie chcesz się chwalić — powiedziała lady Whyffe.

Oczy Belindy rozszerzyły się ze zdumienia. W swoim czasie oskarżano ją o wiele rzeczy, ale nigdy o to.

— Caravaggio! — krzyknął nagle Peregrine w kierunku telewizora. — To właściwa odpowiedź — wyjaśnił, czując na sobie zdumione spojrzenie Belindy. Pytanie brzmiało: który z włoskich malarzy słynął z wykorzystywania światłocienia — Caravannio, Caravaggio, Joe di Maggio czy Cornetto. Chodziło o Caravaggia.

— Mieliśmy jakiś jego obraz — westchnął smętnie lord Whyffe. — Ale musieliśmy go sprzedać.

Belinda poweselała. Skoro niedawno mieli w Swaddling Caravaggia, może gdzieś tu jest też parę van Goghów?

— Peregrine mówi, że masz bardzo ważną pracę — wtrąciła lady Whyffe.

— Twierdzi, że bez ciebie gazeta by się zwinęła.

Belinda przypomniała sobie, że rzeczywiście powiedziała coś takiego w samochodzie. Zresztą było to prawdą. W drukarni w Peterborough maszyna zwijała „Globe” w taki sposób, by odpowiednio można było go rozłożyć. Nie miało to jednak nic wspólnego z nią.

Z sufitu kapało coraz mocniej. Z pogrążonego w mroku rogu pokoju Belinda widziała błysk wilgoci, po ścianie przy kominku spadała cała kaskada. Uznała to za doskonały pretekst do zmiany tematu.

— To zabawne, że tyle wody przedostaje się przez dach — zauważyła — a tak mało cieknie z kurków.

Peregrine zrobił zdumioną minę.

— Jak to? Wanny w Swaddling napęlniają się w ciągu dwóch minut.

— Nie ta, w której zamierzałam wziąć kąpiel. Wodnisty błękit oczu Peregrine'a rozjaśnił błysk zrozumienia.

— Ach, tak. Do twojego skrzydła woda może dopływać nieco kapryśnie. Czasami przez całe godziny ledwo ciurka, a potem nagle bucha przez rury. — Spojrzał na sufit i za-

chmurzył się lekko. — Muszę jednak przyznać, że masz rację. Kapie mocniej, niż zwykle.

Belinda nagle przypomniała sobie kurki w łazience, które odkręciła do oporu, chcąc napuścić choć parę centymetrów więcej wody do wanny.

Czy aby je z powrotem zakręciła?

Szczyściem Peregrine znowu całą uwagę skupił na telewizji.

„Abdykował!” — ryknął nagle. Miała to być odpowiedź na pytanie, jakie słowo, kończące się na „-wał”, określa rezygnację Edwarda VIII z tronu.

Agitował, filozofował, abdykował czy figlował?

— Edward Ósmy też tu kiedyś gościł — westchnął lord Whyffe.

Rozdział 17

— *Madam Grace!* Pani w domu? — zawołała Maria, wchodząc do mieszkania Grace. Jej okrzyk rozniósł się pustym echem po korytarzu. Sprzątaczką przechyliła głowę na bok i nasłuchiwała przez chwilę. Nic. Spojrzała na zegarek. Wpół do siódmej wieczorem. O tej porze zazwyczaj Grace już była. Działo się coś dziwnego — Maria czuła to w powietrzu. Drzwi łazienki były zamknięte, co również wydało jej się niezwykle.

— *Madam Grace?* — zawołała znowu.

Grace słyszała wołanie Marii, ale nie mogła się ruszyć. Gdyby wyszła z wanny, zniweczyłaby urok, którego przygotowanie zajęło jej mnóstwo czasu. „Sprawisz, by twój ukochany zadzwonił do ciebie, jeśli usiądziesz w wannie z letnią wodą, wypełnioną żołądziami, dębowymi liśćmi oraz kręgiem świeżych pęczków różanych...”.

Czuła się w tym wszystkim okropnie, bo woda zrobiła się zimna jak lód, szorstkie liście drapały ją i co chwila nieprzyjemnie ocierały się o jej ciało, a piasek z żołądzi osiadł na dnie wanny. Płatki różane przesiąkły wodą i opadały, w dodatku wcale nie utrzymywały się w kręgu. Musi jednak wytrzymać jeszcze trzy minuty, zanim będzie mogła wpatrzeć się w fotografię Reda Campiona i wypełnić nim swoje myśli. No i czekał

ją jeszcze toast cydrem. Spojrzała bez entuzjazmu w butelkę stojącą na brzegu wanny. Cydr figurował na czele listy trunków, które najmniej lubiła, tuż obok whisky i advocata. Potem miała wygłosić zaklęcie i zacząć zawodzić głupekowo: „Weź telefon i zadzwoń do mnie, nie ma nikogo prócz mnie”. Na samą myśl

o tym skręcały jej się palce u nóg. Jaka z niej okropna idiotka! Ale Red Champion jeszcze nie zadzwonił. W końcu może był to jakiś sposób, by go do tego nakłonić. Wolą sama zacząć działać, niż zwrócić się o pomoc do Billa, przyznając tym samym, że do niczego się nie nadaje.

Tak czy owak, nie zamierzała ponownie zadawać sobie całego tego trudu. Samo zbieranie żołądki i liści dębowych zmuszało ją do grzebania się w gnijącej roślinności u podnóża drzew w miejscowym parku.

— *Madam Grace?*

Puściła mimo uszu nawoływania Marii w korytarzu. Musi myśleć wyłącznie o Redzie, inaczej zamawianie uroku na nic się nie zda. Ze wszystkich sił wpatrywała się w fotografię, którą wycięła z magazynu „Hello!”.

— *Madam Grace!*

Pozostało jej jeszcze dziesięć sekund... niech to szlag! Drzwi łazienki zaczęły się powoli otwierać. A ona jeszcze nawet nie wypila tego cydru. Chwyciła butelkę, przytknęła ją do ust

I wlewała w siebie tyle trunku, ile zdołało jej przejść przez gardło, jednocześnie łykając jak oszalała. Cydr ciekł jej po brodzie, gdyż żołądek zbuntował się i zwracał część płynu. Tymczasem w drzwiach ukazały się tlenione perhydrolem włosy Marii, które tym razem zdobiło pasmo ufarbowane na niebiesko. „Weź telefon i zadzwoń do mnie” — bełkotała gorączkowo Grace.

— *Madam Grace?* — Oczy sprzątaczkki przesuwają się ze zdumieniem, a potem z przerażeniem, od butelki w rękę Grace, poprzez wypełnioną roślinnym śmieciem wannę, do fotografii, którą jej pracodawczyni trzymała w prawej ręce. — Wszystko w porządku?

— „...nie ma nikogo prócz mnie”. — Gdy Grace wreszcie wykrztusiła z siebie te słowa, uśmiechnęła się z zażenowaniem i podciągnęła kolana, by zakryć piersi. Bez wątpienia od tej pory Maria będzie ją uważała za jakąś zwariowaną alkoholiczkę, która z upodobaniem wysiaduje w wannie, wypełnionej brudną zimną wodą. Na szczęście wszyscy wiedzą, że Anglicy są ekscentrykami. Zdjęcie gwiazdora filmowego da się łatwo wytłumaczyć. Maria po prostu uzna Grace za jego wielbicielkę.

— Teen człowiek... — wymamrotała Maria, wpatrując się w fotografię Reda.

Grace zrobiła głupią minę, postanawiając do końca odgrywać rolę nieprzytomnej z miłości maniaczki.

— To słynny gwiazdor. Wiem, że upadłam na głowę.

— Gwiazdor? — Maria wzruszyła ramionami. — Nie znam się na filmach. Nie mam czasu chodzić do kina. — Może i nie wiedziała, kim jest Red, ale natychmiast połapała się, o co tu chodzi. Zawsze poznawała się na czarach. Słyszała także i o tym — dziwnym, lecz ciągle praktykowanym starodawnym uroku, którego nauczyła ją babka. Ma on połączyć dwoje ludzi w parę. Miała nadzieję, że tym razem zaklęcie nie zadziała jak należy. Nie podobał jej się mężczyzna ze zdjęcia. Po pierwsze, wyglądał na ogromnie zadowolonego z siebie. Po drugie, zawsze wiedziała, że nie należy ufać blondynom.

Tak czy owak, ten czar nie był zbyt pewny. Gdyby *madam* Grace zapytała ją o radę, Maria bez wahania poleciłaby inny, w którym należy wyobrazić sobie twarz ukochanego na monecie, a potem otoczyć ją różowymi kwiatami. Następnie monetę powinno się zakopać w piasku i po pewnym czasie jakimś sposobem przekazać mężczyźnie, którego chciało się zdobyć. Ten czar działał za każdym razem. Ale może kto inny mógłby go wykorzystać... na przykład jej klient, samotny pisarz. On rzeczywiście potrzebował takiej pomocy. Prawie skończył książkę, która niemal na pewno zostanie opublikowana. Nie osiągnął jednak swego prawdziwego celu, którym było zbliżenie się do Grace.

— Mario — odezwała się Grace.

Ale sprzątaczką nie słyszała jej. Urok z monetą. To jest odpowiedź. Pomysł z książką był dobry, bo przecież *madam* Grace pracuje w wydawnictwie. Maria z taką radością opowiadała swojemu klientowi o wspaniałym dzieciństwie, o dorastaniu nad zatoką. Trzeba przyznać, że stworzył z tego cudowną opowieść. Tyle że plan, by przez książkę połączyć go z Grace, zupełnie się nie powiódł.

Jednak urok z monetą może zadziałać. Jej klient musi wykonać pierwszy ruch i zakopać monetę. Potem Maria przekaze ją Grace. Szkoda, że wcześniej nie przyszło jej to do głowy.

— Mario — powtórzyła głośniejszym głosem Grace, nieco zaniepokojona wyrazem twarzy sprzątaczką, która najwyraźniej wpadła w trans. — Jeśli pozwolisz, chciałabym wyjść z wody.

Gdy Maria, sumitując się, opuściła łazienkę, Grace wyciągnęła korek z wanny. Czowała się głupio i było jej nieprzyjemnie. Zmarzła, bolało ją gardło, a co gorsza, nabrała przekonania, że Red Champion nigdy nie zadzwoni. Tyle miała z tego szczególnego wydarzenia, że na pewno złapała grype.

Gdy owijała się ręcznikiem, w holu rozległ się ostry dzwonek telefonu.

— *Madam* Grace, co się stało? — spytała zdumiona Maria, stając w drzwiach sypialni Grace. Przed piętnastoma minutami, dzięki jej zabiegom, była to oaza spokoju i gładkiej pościeli. Teraz świeżo wyprasowane ubrania leżały pogniecione na podłodze lub zwisały z otwartych walizek. — Wygląda, jakby tu wpadła bomba.

Znając przeżycia Marii, Grace wiedziała, że nie była to tylko figura retoryczna.

— Przepraszam cię, Mario. Mam niedługo dość ważne spotkanie i...

— Ma pani randkę z mężczyzną ze zdjęcia? — spytała z rozczarowaniem Maria. Była zaskoczona. Urok, który za-

stosowała jej chlebodawczyni, rzadko działał, dlaczego, na miłość boską, wybrał sobie ten właśnie raz, by odnieść skutek? Ale miłosne czary, jak większość sercowych spraw, rządzą się swymi tajemniczymi prawami. W tym wypadku bardzo tajemniczymi, pomyślała. Jeszcze raz zerknęła na zdjęcie. Bezsprzecznie był bardzo przystojny. Ale jego twarz o regularnych rysach wydawała się zbyt doskonała, a szczeka zbyt arogancka. Maria skądś znała tego mężczyznę i zastanawiała się, gdzie go widziała. Na pewno, w przeciwieństwie do Grace, nie oglądała filmu, w którym grał, ale niewątpliwie już się z nim zetknęła. Niedawno. Ale gdzie? Gdzie?

Ach... Coś zaczęło jej świtać. Przypomniała sobie brudną filiżankę, parę dziurawych pończoch, papieros rozgnieciony na talerzu. Tylko jedna osoba robiła tak odrażający bałagan, a potem domagała się, by Maria w ciągu trzech godzin sprzątnęła to wszystko na błysk. I to za połowę sumy, jaką zapłacono by jej gdzie indziej. Usta Marii wykrzywiły się z pogardą. Belinda Black. Belinda miała zdjęcia tego mężczyzny w całym mieszkaniu. To najlepszy dowód, że nie można mu wierzyć.

Musi jak najprędzej rzucić urok z monetą, by przeciwdziałać pochopnym posunięciom Grace. I nie da się zbyć żadnymi wymówkami swojego klienta. To dlatego nie powiódł się plan z książką. Gdyby tylko posłuchał jej nalegań i, jak proponowała, zjawił się w mieszkaniu Grace, by osobiście wręczyć jej maszynopis... Ale on uparcie utrzymywał, że z jakichś powodów nie będzie chciała się z nim widzieć, i zamierzał zaczekać do ukończenia książki. Teraz nie ulegało wątpliwości, że zwlekał — że oboje zwlekali — zbyt długo.

— To nie randka, ale ważne spotkanie — wyrwało się Grace, zanim zdołała ugryźć się w język. Do diabła, przecież miała wszystko utrzymać w tajemnicy... Spojrzała ze zdumieniem na sprzątaczkę. Jak ta kobieta, na miłość boską, zdołała wywęszyć, co jest grane? Ma dobrego nosa, trzeba jej to przyznać.

Miała ochotę tańczyć i śpiewać. Ledwo mogła uwierzyć, że

w końcu Red Campion wezwał ją do siebie. I to akurat wtedy, gdy stała w holu, owinięta ręcznikiem, a Maria waliła w coś w głębi mieszkania. Na szczęście Campion nie dzwonił osobiście, to jego asystentka zatelefonowała z Los Angeles, informując Grace, że ma się zjawić następnego wieczoru o szóstej w hotelu Meurice.

— Nie wiem, gdzie jest Meurice — przyznała Grace. — Czy to nowy hotel? — zaryzykowała. — Gdzieś w Park Lane?

— Ma jakieś sto lat i znajduje się przy rue de Rivoli. — Oczywiście, przecież Duke powiedział, że Red Campion jest w Paryżu. — Proszę pytać o pana Valentina — powiedziała asystentka, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie.

Grace odłożyła słuchawkę, czując, jak rozsadza ją radość. Już sam wyjazd do Paryża to niesamowita frajda. A wyjazd do Paryża na spotkanie z gwiazdorem filmowym, będącym przedmiotem pożądania kobiet na całym świecie, po prostu nie mieścił się w głowie. Nie wiedziała, jakimi słowami opisać przepełniające ją emocje. Była to prawdziwie „filmowa historia”.

Spojrzała z irytacją na Marię, która z nieszczęśliwą miną wycierała lustro nad toaletką. Czemu jest taka ponura? Co się z nią, do diabła, dzieje? Miała jednak teraz inne problemy na głowie. Najważniejszym z nich była kwestia W Co Się Ubrać. Grace może i nie orientowała się, jak wygląda hotel Meurice, ale wiedziała, że na rue de Rivoli dżinsy i podkoszulek nie są odpowiednim strojem. Chyba że dżinsy byłyby od Prądy, a podkoszulek od Stelli McCartney. Patrząc na podłogę i odrzucając kolejne zestawy, zatęskniła za niewymuszoną, a zarazem szykowną i kosztowną garderobą, zgodną z wymogami elegancji Francji.

Wyciągnęła parę czarnych, sięgających do kostek botków na okropnie wysokich obcasach, które po roku noszenia odstawiła, rezygnując także raz na zawsze z chodzenia z Ellie po sklepach z butami. Kiedy jednak włożyła je teraz i stanęła przed długim lustrem w swojej sypialni, zorientowała się, na czym polega

trik projektanta: dodawały jakiś metr każdej nodze. Była też szczuplejsza, napięcie ostatnich tygodni sprawiło, że lewisy o niegdyś typowych rozmiarach przekształciły się niemal w parę luźnych biodrówek. W każdym razie nie wyglądało to źle... w sumie wyszło nawet całkiem dobrze. Nawet gdyby miała pieniądze, nie starczyłoby jej czasu na zrobienie sobie fantazyjnej fryzury z pasemkami, spędzenie poranka w butikach na Bond Street, maseczkę oraz złuszczenie całego ciała. Popatrzyła na siebie. Nieźle. Wcale nieźle. Uśmiechnęła się do swojego odbicia i w tym momencie w głębi lustra dostrzegła Marię, przecierającą okna z miną pełną dezaprobaty.

Gdy Maria wyszła, ubrania były spakowane, a bilet na Eurostar kupiony, Grace uświadomiła sobie nagle, że właściwie bardzo niewiele wie o człowieku, z którym niebawem ma się spotkać. Oczywiście prócz tego, że grał w *Legioniście*, pragnął napisać książkę i nienawidził Russella Crowe'a. Jeśli zaś chodzi o sensacyjki z amerykańskiego pisma, którego tytuł Howard wymienił na kolacji w Wenecji — seksoholizm, porzucenie żony, którą zawiadomił o swoim postanowieniu pocztą elektroniczną — Grace uznała, że to wysrane z palca plotki. Potrzebowała faktów, a przynajmniej jakiejś pogłębionej wiedzy o człowieku, z którym miała pracować. Zrezygnowała więc z położenia się do łóżka, włożyła polar i dzinsy, po czym udała się do nocnego sklepu z gazetami.

Nie było w nim nikogo z wyjątkiem bawolookiego Etiopczyka, który go prowadził. Pod rażąco jaskrawymi światłami reflektorów Grace grzebała w czasopismach na stelażach, myśląc z zazdrością o bibliotekach z wycinkami prasowymi, z których dziennikarze mogli korzystać przy takich okazjach. Gdyby była Belindą Black... ale przecież wcale nie miała takich ambicji jak tamta. Zresztą przebojowa Belinda ostatnio z niczym się nie przebiła. Jej kolumnę wywiadów zastąpiła drukowana w odcinkach historia życia jakiegoś właśnie zmarłego, wiekowego

członka rodziny królewskiej, która od lat spoczywała w szufladzie, czekając na odpowiednią okazję.

Mimo długich poszukiwań Grace nie znalazła nic ciekawego na temat Reda. W „OK” trafiła na zdjęcie aktora, spoglądającego na parking w Los Angeles, lecz nic jej to nie dało. Tylko ona może mieć takie szczęście, że akurat w tym tygodniu prasa brytyjska nawet się nie zająknęła na temat Reda. Rozpaczliwie wyteęzała mózgownicę, by przypomnieć sobie nazwę magazynu, wymienioną przez Howarda. Co z tego, że goni za sensacyjkami, w nim była jej jedyna nadzieja. A ten sklep często sprowadzał zagraniczne publikacje, których gdzie indziej nie widywała. — Ma pan „Przyczepę”? — zapytała Grace, kiedy wreszcie sobie przypomniała tytuł czasopisma.

— Przyczepę? Mam minibusik — uśmiechnął się Etiopczyk. — Do czego go pani potrzebuje?

— To magazyn filmowy — wyjaśniła Grace. Czy dobrze zapamiętała tytuł? — Amerykański — dodała.

W brązowych oczach mężczyzny pojawił się błysk zrozumienia.

— A tak. Chyba jeszcze jeden został. Pod egzemplarzami „Cosmopolitan”.

Pod stosem obietnic uzyskania najlepszego orgazmu na świecie Grace znalazła wreszcie to, czego szukała. Zmierzwione blond włosy i elektryzujące niebieskie oczy, przesłonięte bijącymi w oczy nagłówkami: GWIAZDORSTWO, SEKSOHOLIZM I JA: CAMPION CZYSTY JAK KRYSTAŁ. Czując się nieswojo pod łagodnym spojrzeniem właściciela sklepu, zapłaciła i wyszła.

W domu, z filiżanką kawy w ręce, przerzucała stronicę w poszukiwaniu wywiadu, ale jej uwagę przyciągnęła kolumna plotkarska magazynu, *Kosz na śmieci*. Materiał zatytułowany: „E-maile o świecie — czy Ritchie ma kłopoty z filmem?” — przytaczał rzekomą korespondencję pomiędzy szefem działu reklamy studia, w którym kręcono *Betonowe buty*, i rzeczniczką

jednej z gwiazd występujących w tym filmie, Champagne D'Vyne. Grace przypomniała sobie, że Howard coś o tym wspominał.

Od: Ticky (tickymacfarlane@betonowebuty.co.zk)

Do: Cat (catrogers@gaduła.pr.co.zk)

Re: reklamy Champagne D'Vyne i „Betonowych butów”

Cat, mam kłopot. Prosisz, by wydrukować nazwisko Champagne nad tytułem większymi literami niż czyjekolwiek inne. Nie możemy tego zrobić!!! Nie dość, że jest najmniej popularną aktorką z całej obsady (i w dodatku gra tu tylko epizod), podpisała umowę jako Champagne D'Vyne. Nic na to nie poradzimy, że chce uchodzić za diwę.

Od: Cat (catrogers@gaduła.pr.co.zk)

Do: Ticky (tickymacfarlane@betonowebuty.co.zk)

Re: reklamy Champagne D'Vyne i „Betonowych butów”

Wyświadczę ci przysługę, Ticky, i nie powtórzę Champagne tego, co napisałaś. Ale tylko dlatego, że nie chcę, by ją wsadzili za to, że
WYDRZE CI WSZYSTKIE NARZĄDY GOŁYMI RĘKAMI!

Od: Ticky (tickymacfarlane@betonowebuty.co.zk)

Do: Cat (catrogers@gaduła.pr.co.zk)

Re: reklamy Champagne D'Vyne i „Betonowych butów”

Chwileczkę, myślałam, że zajęła się duchowością — pokojem, miłością i tak dalej...

Od: Cat (catrogers@gaduła.pr.co.zk)

Do: Ticky (tickymacfarlane@betonowebuty.co.zk)

Re: reklamy Champagne D'Vyne i „Betonowych butów”

Nie mogę wprost uwierzyć w taki brak szacunku. Champagne D'Vyne jest kobietą na świeczniku. Co więcej, uznała, że nazywanie jej „Champagne D'Vyne” koliduje z jej obecnym trybem życia. Chce, by pisano o niej jako o „CDV”. Skoro Catherine Zeta Jones jest CZJ, ona może być CDV.

Od: Ticky (tickymacfarlane@betonowebuty.co.zk)

Do: Cat (catrogers@gaduła.pr.co.zk)

Re: reklamy Champagne D'Vyne i „Betonowych butów”

Chciałabym zobaczyć, jak „CDV” usiłuje wyrwać mi wszystkie narządy. Słyszałam, że wątroba i tak odrośnie. Czego nie da się powiedzieć o jej karierze, gdy te e-maile dostaną się do prasy.

„Plotka głosi — napisano w podsumowaniu — że Guy Ritchie ostatnio zrezygnował z reżyserowania przysparzających tytuł kłopotów *Betonowych butów*. Bardziej szczegółowych informacji szukaj w wywiadzie z Redem Championem na str. 15”.

Grace natychmiast to zrobiła.

CAMPION ŚWIATA — głosił tytuł artykułu.

Red Champion w *Legioniście* zasłynął rolą rzymskiego wojownika, który z nieznanego, prostego żołnierza awansował do rangi generała. Kobiety na całym świecie przechodzi dreszcz pożądania na widok celuloidowego bohatera, którego nieśmiałość i odwaga najwyraźniej znajdują odzwierciedlenie w prawdziwym życiu aktora, skromnego, unikającego dziennikarzy młodzieńca...

Grace poczuła rozczarowanie. Tyle już wiedziała. Oprócz mamrotania Siona o rozszerzaniu się kapitalistycznego imperium, z całego filmu najlepiej zapamiętała błyszczące oczy

i zarumienione policzki kobiet w damskiej toalecie po seansie. Ponieważ Sion nalegał, by zamiast do świątyni amerykańskiej szarlatanerii kulturalnej na Leicester Square poszli do domu sztuki na Bloomsbury, kobiety w toalecie, podobnie jak Grace, bez wątpienia miały pretensje do intelektualizmu — i tak jak ona walczyły z zauroczeniem głównym bohaterem. A jednak Champion podbił je wszystkie, podobnie jak wcześniej unicestwił armie Piktów, Galów i Gotów, które wystawił przeciwko niemu scenarzysta. W artykule pisano dalej:

Jednak plotki o porzuceniu żony przez pocztę elektroniczną, seksoholizmie i obsesyjnej nienawiści do Crowe'a nasuwają myśl, że Champion nie jest zupełnie taki, za jakiego pragnie uchodzić...

No tak. Teraz wyleją na niego wszystkie pomyje. Grace postanowiła nie wierzyć w ani jedno słowo z dalszego ciągu. Przecież nawet Howard, usiłujący zrobić na niej wrażenie znawcy wszystkich najświeższych filmowych plotek, wątpił, by te akurat były prawdziwe. Znowu przyszły jej na myśl kobiety w kinowej toalecie. Champion miał w sobie coś, co podbijało serca zarówno inteligentek, jak i masowej widowni; pod jego nieskazitelnie pięknymi rysami wyczuwało się człowieka myślącego i wrażliwego. Potwierdzał to zresztą także fakt, że pisze książkę. A kto jeszcze na świecie wie o tym prócz niej, Billa i samego aktora? Z pewnością nie ludzie z „Przyczepy”, pomyślała Grace. Co więcej, Red wydawał się niezwykle skromny w swych pisarskich zamierzeniach. W jej uszach zabrzmiał wyrazisty, teksański akcent Duke'a: „Zawsze pragnął napisać książkę, którą oceniono by na podstawie jej własnych zalet literackich. Nie ma mieć nic wspólnego z tymi cholernymi, wrzeszczącymi kobietami, Oscarami czy idiotyczną chorobą legionisty”. Innymi słowy, te magazyny nie mają pojęcia, o czym piszą. A jednak... Grace zajrzała do wywiadu. Po pełnym pochlebstw

wstępie zaczęły się pytania. Zdziwiła się, z jaką niefrasobliwością Champion odnosi się do swego gwiazdorstwa. Wydawało się, że w ogóle nie bierze go poważnie:

P.: Pański wybór scenariuszy nie zawsze był przemyślany... na przykład *Śmierć wikariuszom zombi*.

O.: No cóż, gdy zostałem gwiazdorem filmowym, z początku byłem tym tak zdziwiony, że brałem wszelkie role, by wykorzystać ten czas, zanim się zorientują, że nie jestem żadnym gwiazdorem. Ale zanim się zorientowali, już nim zostałem. Więc wszystko gra.

Grace uśmiechnęła się. Red sprawiał wrażenie człowieka zupełnie pozbawionego egotyzmu. Miała nadzieję, że rzeczywiście takim się okaże, wierzyła w jego zdrowy rozsądek. Jednak gdy rozmowa aktora z dziennikarzem zesłała na bardziej osobiste tory, ogarnęły ją wątpliwości.

P.: Krążyły plotki, że pańskie małżeństwo się rozpadło, bo był pan obsesyjnym seksoholikiem. Podobno pańska żona uświadomiła sobie, że wasze małżeństwo jest skończone, gdy w pokoju hotelowym nakryła pana *in flagranti* z jedną z pokojówek. Jest pan seksoholikiem?

O.: Naprawdę pan sądzi, że odpowiem na to pytanie? Dlaczego uważa pan, że w ogóle ma mi je prawo zadać? To właśnie jest najbardziej wkurzające, gdy się jest na świeczniku — że takie gnojki jak pan przyznają sobie prawo do wtykania nosa nawet w najbardziej osobiste sprawy.

P.: Więc dlaczego pańskie małżeństwo się rozpadło?

O.: Za rozpad mojego małżeństwa ponosi winę wścibstwo prasy. Tacy ludzie jak pan, wtykający nos w nasze prywatne życie.

Grace pomyślała, że trudno nie przyznać Redowi racji. Pytania były rzeczywiście bardzo obcesowe. Ale dziennikarz

„Przyczepy" dalej przypierał aktora do muru, zmuszając go teraz, by zaprzeczył plotce, jakoby rzucił swoją żonę przez pocztę elektroniczną.

O.: Oczywiście, że nie. Dlaczego miałbym to robić? Z była żoną mam wspaniałe, pełne harmonii stosunki. Wszystko układa się doskonale. Te ohydztwa o sławnych ludziach opowiada się tylko po to, by musieli im zaprzeczać i w ten sposób wywoływać coraz większą sensację.

Grace poczuła jeszcze większe współczucie dla Reda. Jakie to okropne, że nie ma żadnej ochrony przed złośliwymi opowieściami, które byle dziennikarzyna może o nim wypisywać. Oczywiście z wyjątkiem wniesienia oskarżeń o zniesławienie, ale to mógłby zrobić tylko w naprawdę ekstremalnej sytuacji.

P.: A więc wścibstwo prasy przeszkadza panu. Jak pan sobie z tym radzi?

O.: Zazwyczaj nie zwracam na nie uwagi. Ale zdziwi się pan, jak natrętni potrafią być ci ludzie.

P.: Teleobiektywy, przekupywanie sąsiadów, by o panu opowiadali, ukrywanie się reporterów w pojemniku na śmieci, takie rzeczy?

O.: Właśnie. I niekończące się prośby o wywiad. Pewna angielska gazeta pięćdziesiąt razy przesłała mi taki sam list. Pięćdziesiąt cholernych razy. Nie do wiary. Właśnie wczoraj dostałem pięćdziesiąty pierwszy.

Oczywiście odmówiłem.

P.: Dlaczego?

O.: Dziennikarze to szumowiny. Chcą człowieka wykorzystać, i tyle. W zeszłym tygodniu przeprowadzała ze mną wywiad taka jedna, która poprosiła, bym dał jej swój autograf na fotografii. Chętnie się zgodziłem, póki nie zażądała, żebym zadedykował zdjęcie komuś innemu, nie jej. Zapytałem dlaczego, a ona wytłumaczyła, że to dla żony budowlańca, który przeprowadza u niej remont. Obiecał, że za darmo ułoży jej dREW-

nianą podłogę, jeśli zdobędzie osobistą dedykację od Reda Campiona dla jego żony. To chore. Naprawdę chore.

P.: No dobrze... może wobec tego zmienimy temat?

O.: To dobry pomysł.

P.: Jakie rzeczywiście żywi pan uczucia wobec Russella Crowe'a?

O. (sucho): Mam dla niego najwyższy podziw. Ale czy teraz moglibyśmy porozmawiać o moim najnowszym filmie? W końcu to właśnie miało być celem tego wywiadu.

P.: Naprawdę podziwia pan Crowe'a?

O. (przez zaciśnięte zęby): Mieliśmy porozmawiać o moim najnowszym filmie, czyż nie?

Grace poczuła oburzenie. Wzmianka o zaciśniętych zębach to z pewnością wymysł dziennikarza. Jakże to niesprawiedliwe. Okazało się, że najnowszy film Reda to historia opowiadająca o lotnikach walczących podczas drugiej wojny światowej, w którym grał dowódcę eskadry.

Czytając obowiązkowe streszczenie fabuły filmu, najwyraźniej pospiesznie wciśnięte na koniec wywiadu, Grace zaczęła się zastanawiać, czy nie można byłoby go wykorzystać do reklamy książki *Ginger to kupiła*? Postać, którą grał Campion, była niezwykle podobna do sir Greville'a Goodtrousera, kawalera orderu za bohaterstwo na polu walki.

P.: Czy mogę pana zapytać o następny film z pana udziałem, *Betonowe buty* Guya Ritchiego? Czy to prawda, że Guy odmówił reżyserowania go z powodu kłopotów, jakich przysparzają niektórzy aktorzy, choć zdjęcia jeszcze się nie zaczęły?

O.: Wolałbym tego nie komentować.

Dobra odpowiedź, pomyślała Grace. Niby dlaczego miałby się wypowiadać na ten temat? Teraz, skoro miała się z nim spotkać, nabrała do niego dziwnie opiekuńczego stosunku. W końcu ma być jej nowym przedsięwzięciem.

P.: Czy może pan potwierdzić uporczywe plotki, że pan i Champagne D'Vyne zakochaliście się w sobie podczas kręcenia pierwszych scen, a teraz...

Champagne D'Vyne? Zakochali się w sobie? Grace była wstrząśnięta i zdumiona. To z pewnością wykluczone. Ten rozsądny, mocno stojący na ziemi, broniący swego zdania mężczyzna miałby się zakochać w takiej śmiesznej kobiecie? Jeśli chodzi o jej świeżo odnalezioną duchowość, „Kosz na śmieci” najwyraźniej potwierdzał to, co Belinda Black dawała do zrozumienia w swoim wywiadzie — że skóra lamparta niełatwo zmienia cętki. Grace poczuła ulgę, gdy Red zdecydowanie temu zaprzeczył, podobnie jak rozmaitym plotkom na temat swego rozwodu.

O.: Guzik prawda. Zresztą nawet jeżeli tak by było, to nie twój interes. Słusznie, pomyślała Grace. To była przecież jawna prowokacja.

...Odkąd zerwałem z żoną, w moim życiu nie ma innej kobiety — mówił Red. — Teraz jestem całkowicie oddany mojej sztuce i nowemu fascynującemu projektowi, nad którym zacząłem pracować. To coś zupełnie innego od moich dotychczasowych przedsięwzięć.

Książka! Na pewno miał na myśli swoją książkę! A ona była jedną z nielicznych osób, które o tym wiedziały.

P.: Może nam pan coś o tym opowiedzieć?

O.: Nie. Ale niebawem sprawa stanie się głośna.

Wywiad na temat jego najnowszego filmu zakończył się potwierdzeniem, że aktor wyjeżdża do Paryża, by ponownie

nagrać parę kwestii, które nie bardzo wyszły podczas zdjęć. I na spotkanie ze mną, pomyślała Grace w niemal bolesnym uniesieniu.

Bez wątpienia Swaddling był w nocy dość przerażającym miejscem.

Belinda знаła ciekawsze rozrywki niż samotne bląkanie się w mroku. Ale miała zadanie do wykonania. Na szczęście blady i ponury księżyc, który niedawno wywlókł się na niebo, wlewał słabą poświatę przez okna holu.

Starając się odpędzić od siebie myśli o duchach, Belinda z rozdrażnieniem stuknęła w kolejne zamknięte drzwi. Gdzie, do diabła, jest pokój Peregrine'a? Gdy doszła do ogromnych schodów, spojrzała na portrety. Z trudem dojrzała widniejącą na jednym z nich twarz przystojnego jeźdźca. Cóż, jego geny najwyraźniej zanikły w rodzinie Whyffe'ów już przed paroma stuleciami.

Zeszła na niższą kondygnację, przeklinając drzazgi, które wbijały jej się w stopy. Drżała z zimna i ze strachu. Owinęła się mocniej szlafroczkim w stylu Barbie prowokatorki, ale lodowate palce przerażenia wciąż nieubłagane przesuwwały się jej po plecach. Miała wielką ochotę wrócić do swojego pokoju, gdzie czuła się stosunkowo bezpiecznie. Jeszcze bardziej jednak pragnęła odnaleźć Peregrine'a.

Próby znalezienia jego pokoju przypominały szukanie igły w stogu siana. Niekończące się korytarze wiły się jak pyton, skręcając nagle to w lewo, to w prawo, i w końcu robiąc pętlę. Belinda po jakimś czasie stwierdziła, że nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje. Co więcej, mroźna temperatura zdecydowanie źle wpłynęła na stan jej kiszek. A może to ten ohydny kurczak, którego przygotowała lady Whyffe? Niezależnie od przyczyny, Belinda czuła nagłą — niezwykle nagłą — konieczność znalezienia ubikacji. Gdy doszła do drzwi, których mały rozmiar i brak ozdób wskazywał na czysto praktyczne funkcje, obudziła się w niej szaleńcza nadzieja.

Szarpiąc klamką, zorientowała się, że nie są zamknięte, tylko

po prostu się zaklinowały. Z pewnością nie były otwierane od lat. Gdy pchnęła je ramieniem, drzwi ustąpiły, ukazując — o cudzie nad cudami! — starodawną ubikację. Uprzejmy księżyc oświetlał miskę w kwietne wzory i nazwisko producenta, wyryte na zbiorniku z wodą. Belindzie ulżyło. W każdym sensie tego słowa.

Zbyt późno się zorientowała, że w pomieszczeniu nie ma papieru toaletowego. Na półeczce obok sedesu nie znalazła ani skrawka. Co ma teraz zrobić? Użyć nocnej koszuli?

Na półce znajdował się tylko jeden przedmiot. Mała książka. Sądząc z wyglądu, było to jakieś beznadziejne stare powieściśło. Belinda podniosła pokryty kurzem i pajęczynami tomik. Jak długo tu przeleżał? Najwyraźniej nikt go nie szukał — nic dziwnego, pewnie to straszne nudziarstwo, pomyślała. Do tego ktoś zabazgrał całą okładkę od wewnątrz. A także, jak zauważyła, przerzucając kartki, kilka stron w środku.

Bez wahania wydarła tyle papieru, ile jej było potrzeba — jak się okazało, większość. Kurczak lady Whyffe okazał się bardzo kłopotliwy.

Na szczęście prędko znalazła drogę powrotną do głównych schodów, gdzie seksowny, choć pokryty warstwą brudu malowany wojak z aprobatą przebiegł oczyma po jej skąnym nocnym stroju. Kiedy tylko się tu wprowadzi, natychmiast każe oczyścić obrazy. A potem zamówi swoją podobiznę. Albo może klasyczną fotografię, elegancki monochromatyczny portret, jeden z tych, na których widnieją panie z towarzystwa, przebrane za boginie greckie? Czy ten stary fotograf z lat trzydziestych — Cecil Parkinson czy jak mu tam — jeszcze żyje?

Stłumiła jęk, który niemal wyrwał jej się z ust, gdy potknęła się o coś leżącego w korytarzu. Kiedy się temu bliżej przyjrzała, klnąc i rozcierając pulsujący duży palec, spostrzegła, że to para butów. Znajomych butów. Wyglądających, jakby przez sto lat leżały zakopane w ogrodzie. Poczowała iskierkę nadziei. Jeżeli Peregrine zostawia przed drzwiami buty do czyszczenia, z pewnością w Swaddling musi być choć jeden służący.

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem i wyrzwał zza nich Peregrine.

— Jak się masz? — powiedział ze zdziwioną miną. — Przykro mi, że przewróciłaś się o moje buty. Zostawiam je na zewnątrz, gdyż w mojej sypialni natychmiast by się do nich dobrały myszy.

Belinda, pomyślała, że jako pani tego domu do listy najkonieczniejszych zakupów musi dodać jakiś środek przeciwko gryzoniom. Ale to zadanie na później. A teraz...

— Czas na wywiad — oznajmiła. — Uznałam, że najlepiej go przeprowadzić, gdy znajdziemy się sam na sam. — Pchnęła swe nagie piersi na okryty piżamą tors Peregrine'a, okręciła jedną długą nogę o tył jego łydki i zaczęła się o niego lekko ocierać. Jednocześnie wbiła mu paznokcie w plecy i pocałowała go namiętnie.

Spanikowany Peregrine zatoczył się do tyłu.

— O Boże... — wyjąkał.

— Doprowadzasz mnie do szaleństwa — wydyszała Belinda, wpatrując się w jego przerażone oczy. — Ale jesteś wielki... — zamruczała, wsuwając ręce pod jego piżamę i macając na oślep. Gdzie on się schował, do cholery? Czy naprawdę go ma? Po chwili jej palce zacisnęły się na czymś małym i zimnym.

Stłumiła westchnienie. To nie jego pokój był igłą w stogu siana, ale zawartość jego piżamy.

— Boże! — wykrzyknęła z udawanym zdziwieniem. — Ależ jesteś ogromny!

Peregrine zamrugał ze zdumienia.

— Zawsze myślałem, że należy do tych mniejszych... Nigdy nie nabrał właściwych rozmiarów, bo nasza dama klasowa tłukła go zimną łyżką.

— Jest potężny — zapewniła go Belinda, rozpinając flanelową górę jego piżamy.

— Naprawdę tak uważasz? — zapytał Peregrine nieco głośniejszym głosem.

— Oczywiście. Jest ogromny. I władczy. — Belinda powoli oblizła wargi, popychając delikatnie Peregrine'a po kilometrach zbutwiałego dywanu w stronę wielkiego łoża z baldachimem, stojącego na środku pokoju.

— Moja ostatnia dziewczyna mówiła, że można na niego włożyć naparstek... — wymamrotał. Coś w jego głosie nasuwało myśl, że całkowicie zgadza się z tą oceną.

Belinda nie zwróciła jednak na to uwagi. Gdy piąty Peregrine'a zderzył się z łóżkiem i opadł na plecy, rzuciła się na niego jak tygrys, mruczając, drapiąc i liżąc.

— Jesteś boski — szepnęła, uderzając twarzą w wystające biodra Peregrine'a i przesuwając ją nad rzadkimi kępkami włosów na jego brzuchu. — Jesteś fantastyczny — dodała z zapalem, który zwiększała jeszcze świadomość, że zwraca się nie do dziedzica, lecz do samego ogromnego majątku Swaddling. To dom uwodziła, kochała się z parkiem, pieściła wielowiekową aleję.

Mruczała zmysłowo, wciskając piersi w twarz Peregrine'a i ocierając się o materiał nadal okrywających go spodni od pizamy. Szorstka bawełna w jakiś dziwny sposób ją podniecała. Ale penis Peregrine'a nadal był w stanie zaledwie lekkiej erekcji. Niczym dawno nieużywany żuraw, unosił się bardzo powoli i z wyraźnym trudem. To przypomina ożywianie trupa, pomyślała Belinda, wijąc się z rezygnacją na ciele mężczyzny.

Wprawdzie zdołała go już wcisnąć w siebie, lecz nic szczególnego się nie działo. Poczowała, że ogarnia ją znużenie.

— Jest jeszcze w środku? — zapytała poirytowana. Peregrine skinął głową.

Z łóżka unosiły się kłęby kurzu. A do tego to przeraźliwe zimno. Miłość w zimnym klimacie to nie jest to, pomyślała Belinda. Nie bawił jej seks w temperaturze poniżej zera.

A co to znowu za jakiś dziwny odgłos, dobiegający z rogu pokoju? Kap, kap, kap — trzeba pewnie podstawić jakieś cholerne wiadra, pomyślała gniewnie Belinda, przypominając

sobie stan swojej łazienki, gdy wróciła tam, by zakręcić kurki. Przed oczami mignęło jej kilka końcowych scen z *Titanica*. Ale z drugiej strony to wspaniała okazja, by jeszcze raz poruszyć temat bogactwa rodziny Whyffe'ow, pomyślała, obejmując dłońmi kościsty zadek Peregrine'a. Nadal ocierała się o jego penis, ale bez widocznego rezultatu. Doszła do wniosku, że ponieważ pobudzenie go z pewnością nieco potrwa, można ten czas wykorzystać dla dokładniejszego zbadania stanu majątkowego rodziny Whyffe'ow. W końcu wszystkiego się dowie, musi się tylko uzbroić w cierpliwość. Tymczasem chciała się dowiedzieć jednej prostej rzeczy. Czy Whyffe'owie mają miliardy, czy tylko miliony?

— To wspaniale, że VAT za naprawy nie jest dla was problemem — powiedziała.

Zaczerwieniona z wysiłku twarz Peregrine'a zastygła w wyrazie zdumienia.

— Prawdę mówiąc, nie jestem pewien, czy to takie wspaniałe.

— To przecież ogromny wydatek dla wielu posiadaczy ziemskich — wymruczała Belinda. — Naprawy i VAT, który trzeba za nie zapłacić.

— Tak, ale VAT nie jest dla nas problemem tylko dlatego, że przede wszystkim nie możemy sobie pozwolić na dokonanie napraw.

Belinda z irytacją spojrzała na Peregrine'a. Jak długo mają jeszcze trwać te zabawy w kotka i myszkę, to niedorzeczne udawanie, że Whyffe'owie są biedni?

— A Caravaggio? — zapytała, kierując ku Peregrine'owi nabrzmiałe, purpurowe sutki, niczym reflektory podczas przesłuchania. — Kiedy go sprzedaliście?

— Jakies sto lat temu.

— Co? — Belinda przestała ugniatać ciało Peregrine'a. — A wasze inne cenne rzeczy?

— Chodzi ci o Austen? — westchnął Peregrine. — Jest tu gdzieś. Tyle że nie można tego znaleźć.

Belinda wykrzywiła usta. Austen? Słyszała o Caravag-giu — w końcu namalował Monę Lisę. A może to van Dyck? Ale nigdy nie obilo jej się o uszy nazwisko malarza Austena.

— Jak to wygląda? — zapytała.

— Co jak wygląda?

— Jest mały, duży, przedstawia osobę, krajobraz czy coś innego?

Peregrine zamrugał.

— To nie jest obraz. Jane Austen była pisarką. Ta Austen.

— Och. Książka... — mruknęła z niesmakiem Belinda.

— Ale dość cenna. Pierwsze wydanie *Dumy i uprzedzenia*.

— Co w niej takiego szczególnego? — zapytała Belinda lekko załamującym się głosem. Zaniepokoiło ją wspomnienie zakurzonego, brązowego tomiku. Ale to nie mogła być ta książka. Po pierwsze, ktoś ją całą zabazgrał.

— Jest białym krukiem głównie dlatego, że Austen pisała na niej.

Porobiła na okładce i marginesach mnóstwo notatek, przedstawiających

inną wersję. Sceny lesbijskie, różne warianty zakończeń, takie rzeczy.

Ale ponieważ książka się gdzieś tu zgubiła, nigdy nie ujrzały światła

dziennego. Gdybyśmy ją odnaleźli, dla badaczy byłaby warta majątek.

Chyba setki tysięcy.

Belinda poczuła krople potu na czole. Zastrana sprawa. Dosłownie. A każde słowo na wagę złota.

— Paręset tysięcy bardzo by się nam teraz przydało — powiedział

Peregrine. — Bo widzisz, nie możemy sprzedać Swaddling.

— Oczywiście, że nie — przerwała Belinda. — To twoje rodzinne gniazdo. Jesteście jego kustoszami dla przyszłych pokoleń. Oczywiście, że nie możecie go sprzedać.

— Nie o to chodzi. Po prostu nie możemy sprzedać Swaddling.

— Właśnie.

— Chcę powiedzieć — mina Peregrine'a wyrażała coś pośredniego między zdziwieniem i rozpaczą — że nikt go nie kupi.

— Jak to? — Po krzyżu Belindy przebiegł zimny dreszcz. — Dlaczego?

— Jest kompletnie zrujnowany. Trzeba by naprawdę ogromnych pieniędzy, żeby doprowadzić posiadłość do porządku i uczynić ją zdatną do zamieszkania. Dlatego moi rodzice byli tak zachwyceni, gdy się dowiedzieli, że przyjeżdżasz, aby przeprowadzić ze mną wywiad.

— Dlaczego? — Ześlizgując się jedną nogą z ciała Peregrine'a, Belinda nachmurzyła się. Pomyślała, że gdzieś po drodze doszło do jakiegoś okropnego nieporozumienia.

Peregrine popatrzył na nią z zażenowaną miną.

— Hm... poza tym, że jesteś piękną i uroczą młodą kobietą, posiadasz również spore środki...

Oburzona Belinda zeskoczyła z łóżka i ryknęła z bólu, bo zatoczyła się na umywalkę, uderzając o nią boleśnie. Czy dobrze słyszała? Whyffe'owie sądzili, że to ona jest bogata? Chcieli ustrzelić ją na pieniądze? Wezbrała w niej furia. Cóż za nieprawdopodobna bezczelność.

— Nie chce mi się wierzyć — wybełkotała z wściekłością. — Jak mogłam... — przez chwilę szukała odpowiedniego słowa — tak dać się wystawić do wiatru? Twierdzisz, że ten zamek jest ruiną, a wy wszyscy żyjecie w nędzy?

— Ależ powiedziałem ci to, gdy tylko tu przybyłaś.

— Nie miałam pojęcia, że mówiłeś poważnie — warknęła Belinda. — Nie masz żadnego cholernego Caravaggia, w ogóle nic? Nie masz forsy ani niczego cennego w tym domu?

W wodnistych oczach Peregrine'a pojawiła się uraza.

— Oprócz Austen oczywiście — odparł.

— Pieprzę Austen! — ryknęła Belinda, na przemian gotując się z wściekłości i trzęsąc z zimna. Zdrowo dołoży Tarquinowi, gdy tylko go dopadnie. Bo, bez dwóch zdań, to wszystko jego

wina. Ślepo uwierzyła, że zostanie panią na zamku, tyle że zamek przypominał pusty hangar, do tego katastrofalnie zrujnowany. A największą katastrofą okazał się bez wątpienia sam Peregrine Swaddling. Siedziba Whyffe'ów, rodziny tak bardzo niedomagającej finansowo, że nawet w wannie im się nie przelewało. Polującej na jej rzekome pieniądze i świetne koneksje. Jak oni śmieli! Łowcy posagów. Tylko to ich obchodziło. Bogaty ożenek.

Rozdział 18

Grace spodziewała się, że hotel Meurice będzie powszechnie znany, co potwierdziło się, gdy taksówkarz na Gard du Nord, usłyszawszy tę nazwę, jedynie skinął głową— zamiast, jak się obawiała, udawać, że jej nie rozumie. Dwadzieścia minut po wyjeździe z dworca znalazła się przed okoloną arkadami, połączoną fasadą z lustrzanego szkła naprzeciwko Tuileries.

Zauważyła, że wzbudziła chwilowe zainteresowanie w grupie ludzi na chodniku, wymachujących aparatami fotograficznymi. Turyści? Nie miała czasu wyrobić sobie na ten temat zdania, bo do drzwi podbiegli już chłopcy hotelowi, by otworzyć je przed nią. Po chwili została wprowadzona po pokrytej monogramami mozaikowej posadzce do foyer, połyskującego lustrami, marmurem i kandelabrami. Grace, patrząc na pałacowe wnętrza, rozciągające się przed nią i pnące wysoko w górę, pomyślała, że od tych wspaniałości można nabawić się lęku przestrzeni i kompleksu niższości.

Recepcjonistka spojrzała na nią pytająco.

— *Madame?*

Grace zawahała się. O Boże... jakie nazwisko kazała jej wymienić asystentka Reda? Pośród przepychu świateł, złocień i marmurów, kompletnie wypadło jej z pamięci.

— Przyszłam zobaczyć się z panem, mm... — zaczęła zdu-

szonym głosem. No nie, to przechodzi wszelkie pojęcie. Jakie to było nazwisko? Nagle, gdy wpatrywała się z rozpaczą w recepcjonistkę, chmury w jej umyśle rozwiały się. — Z panem Rudolfem! — wykrzyknęła triumfalnie. — Przyszłam zobaczyć się z panem Rudolfem! Przez chwilę recepcjonistka patrzyła na nią ze zdziwieniem, ale zaraz jej gładką twarz rozjaśniło światełko zrozumienia.

— A tak... Panna Armiger? Pan Valentino oczekuje pani. Pięć minut później Grace wyszła z windy, która zawiozła ją do nadbudówki z tarasem. Wciąż jeszcze była oszołomiona otaczającym ją luksusem. Okupioną wielkimi pieniędzmi ciszę przeszył nagle wściekły wrzask jakiejś kobiety:

— Powiedz po prostu twojej żonie, żeby się odpieprzyła! Dzwoni o nieprawdopodobnych porach i krzyczy, że nie płacisz jej alimentów, bo wydajesz pieniądze na coś innego. Na przykład na mnie. — Ponieważ głos rozbrzmiewał coraz bliżej, Grace instynktownie przycisnęła się do ściany. — Mam tego dosyć! — usłyszała jeszcze i po chwili zza rogu wyłoniła się blondynka, opalona, długonoga bogini, od stóp do głów odziana w biel. Jej obcisły top opinał piersi, odsłaniając karmelowy brzuch. Grace doszła do wniosku, że skądś ją zna, choć rozpoznanie jej utrudniały ogromne okulary z lustrzanego szkła, wielkością i wyglądem przypominające ochronne okulary spawacza. Najprawdopodobniej — sądząc z rozmowy — kobieta była prostytutką, której klient kwestionował wysokość rachunku.

— Ty też się możesz odpieprzyć! — krzyknęła blondynka, kiedy mijała Grace.

To zdumiewające, że w tak ekskluzywnej budowli zakłóca spokój jakaś wrzeszcząca wariatka, pomyślała Grace. Gdyby była Redem Championem, wniosłaby skargę.

Podwójne drzwi, prowadzące do apartamentu w nadbudówce, były lekko uchylone. Grace uznała, że otwierają się automatycznie. Pewnie ktoś w monitorującej kamerze musiał zobaczyć, że

się zbliża. Otworzyła drzwi. Znalazła się w ogromnym głównym holu, z którego wchodziło się do kilku pokoiów. Wokół rozciągało się morze dywanu w subtelnym kremowym kolorze, a tu i ówdzie ustawiono pokryte adamaszkiem i ozdobione frędzlami kanapy. Meble te mogłyby konkurować wielkością z promami, kursującymi po kanale La Manche. Stojący gdzieś w głębi szerokoekranowy telewizor wydawał się niewielki z tej odległości. Bliżej Grace znajdował się niski, starodawny stolik, na którym umieszczono wazon pełen róż w brzoskwiniowym odcieniu. Z lewej strony hol zamykała ściana, jak zorientowała się po sekundzie, składająca się wyłącznie ze stali i szkła. Szkła tak wypucowanego, że wydawało się niewidoczne. Grace pomyślała, że zrobiłoby to wrażenie na Marii. Kto wie, może nawet wytrąciłoby ją z tego jej ponurego nastroju. Cisza dzwoniła w uszach. Czy w ogóle ktoś tu jest? — zastanawiała się Grace.

— Halo! — zawołała ciekim, nerwowym głosem, który ledwo przebijał przez szum klimatyzacji.

Kiedy nie usłyszała żadnej odpowiedzi, ruszyła przed siebie i zajrzała do pierwszego pomieszczenia, na które natrafiła. Łazienka, ale bardzo niezwykła. Największa, jaką w życiu widziała. Miała wielkość przeciętnego mieszkania i od góry do dołu wyłożona była białymi i czarnymi marmurowymi płytkami. Po obu stronach ogromnej okrągłej wanny z hydromasażem znajdowały się gigantyczne umywalki. Był tam też bidet, telefon przy sedesie, prysznic wielkości windy i wieszak, z którego zwisały grube, puchate ręczniki. Na półeczkach stało mnóstwo eleganckich przyborów toaletowych — żadnych tam próbek i bez wątpienia wszystkie z jednej firmy. Grace pomyślała, że ojciec Siona miałby tu używanie.

— Panie Champion! — zawołała cicho. Pustka apartamentu wywierała dziwne wrażenie. Nie było nie tylko kucharza, ale także szofera, masażysty, sekretarki, bukieciarki, konsultanta od feng shui ani nikogo z armii osobistych asystentów, bez

których gwiazdy wielkości Campiona rzekomo nie ruszają się z domu. Zawahała się przed kolejnymi, na pół uchylonymi drzwiami. Zajrzała do środka i stwierdziwszy, że to sypialnia, pospiesznie cofnęła głowę, zdołała jednak ujrzeć stojące na środku łóżko, pokryte wzburzoną pościelą z błękitnego adamaszku. Odskoczyła nerwowo od drzwi, gdy zza rogu wyłonił się blondyn w szlafroku kąpielowym. Jego twarz widniała na tysiącach plakatów filmowych. Grace natychmiast go poznała.

— Ach, już wróciłaś... Do diabła, kim ty jesteś? — warknął Red Champion, którego regularne rysy wykrzywił najpierw wymuszony uśmiech, a potem wyraz zdziwienia.

— Grace Armiger — wyszeptała spanikowana Grace przez ściśnięte gardło. — Z Hatto, czyli z Omnicorp. To znaczy z Hatto... — dodała, przypominając sobie, że wydawnictwo ma zachować swoją nazwę. — W sprawie pańskiej książki. — Czytała gdzieś, że gwiazdy filmowe niemal zawsze są mniejsze i brzydsze niż na ekranie. Ale nie w tym wypadku. Nawet stojąc boso w szlafroku kąpielowym, Red Champion promieniował urodą blond boga, seksem i siłą — jednym słowem tym wszystkim, co, jak przypuszczała oszołomiona Grace, składa się na uderzający do głowy koktajl, zwany gwiazdorstwem.

Uśmiechał się do niej teraz, odsłaniając rząd olśniewająco białych zębów. Grace z podniecenia omal nie rozboleł żołądek.

— Taak — powiedział, a wokół jego słynnych błękitnych oczu pokazały się zmarszczki. — Czekałem na ciebie. Red Champion. — Wyciągnął rękę.

Grace skinęła głową z głupią miną. Oczywiście, że to Red Champion. A jednak poczuła się bardzo dziwnie, widząc go w trzech wymiarach, gdyż do tej pory widziała tylko jego wizerunek na ekranie i w magazynach. Czy to się dzieje naprawdę? Ale jego ręka z pewnością była prawdziwa. Mocna i ciepła. Nozdrza Grace wypełnił cudowny cytrynowy zapach. Champion najwyraźniej stosował żel pod prysznic, którego używają bogowie.

— Napijesz się czegoś? — zapytał gwiazdor, patrząc na nią z uśmiechem, drgającym na kształtnych wargach. Jej oczywiste zauroczenie najwyraźniej go bawiło. — Szampana? — zaproponował.

Grace potrząsnęła głową.

— Nie, dziękuję. Red uniósł brew.

— Nie chcesz ani jednego kieliszeczka? — Milczał przez chwilę. — Chyba wiem, o co ci chodzi — dodał ponuro. Grace zastanawiała się, co to miało znaczyć. Może miał na myśli kaca?

Gdy szlafrok nieco się rozchylił, opalona pierś Campiona stała się bardziej widoczna. Grace dojrzała gęstwinę włosów, pokrytą kropelkami wilgoci po prysznicu, który aktor najwyraźniej przed chwilą wziął.

— Napiłabym się herbaty — wymamrotała.

— Jakie to angielskie... — Uśmiechnął się. — Lubię angielskie dziewczęta. Są takie uprzejme. — Nagle zmarszczył brwi. — Przynajmniej niektóre — dodał.

— Zamówić herbatę? — zapytała Grace, pragnąc pokazać, że należy do pierwszej kategorii. — Kiedy pan się będzie ubierał — wyjaśniła i zarumieniła się, bo pomyślała, że pewnie wyrwała się jak filip z konopi. Może gwiazdorzy filmowi przez cały dzień snują się w szlafrokach kąpielowych? Zwłaszcza tacy jak Red, którzy, najwyraźniej nie dbają o własny wizerunek.

Red znowu odsłonił swoje błyszczące zęby.

— Tak. Chyba wcisnę się w coś mniej wygodnego. Na stole leży karta dań. Zamawiaj, co chcesz. — Gdy odchodził, Grace podziwiała jego płynny chód i długie nogi, szerokie plecy i talię, która wyglądała na wąską mimo obszernego szlafroka.

Karta dań, dostarczanych do pokojów przez całą dobę, była absorbującą lekturą. Grace pomyślała, że właśnie, niczym w *Nedach z Mrugającej Zatoki*, otwiera się przed nią fantastyczny świat, w którym spełniają się wszelkie życzenia, choćby

najdziwaczniejsze. Bo kto w normalnym, rzeczywistym świecie mógłby zamówić stek o tej porze? Albo kawior? Lista napojów rozpoczynała się od ponad dwudziestu różnych gatunków szampana. Grace wyobraziła sobie prawdopodobną reakcję Siona. Z pewnością dostałby apopleksji. Ta myśl dodała jej odwagi. Podniosła słuchawkę i zamówiła herbatę dla dwóch osób.

Red Champion wrócił do pokoju, ciągnąc za sobą smugę upojnego cytrynowego zapachu. Wycierał ręcznikiem swoje lśniące włosy, które wydawały się prawie białe w przenikającym przez szyby z lustrzanego szkła świetle. Grace drgnęła lekko, ale nie odskoczyła jak poprzednio. Czy to możliwe, że już prawie przyzwyczaiła się do jego widoku? Pewnie tak, przecież nie można trwać bez przerwy w stanie ekscytacji. Próbowiła zebrać się w sobie. Ma do wykonania zadanie, które powierzono jej za własne zasługi, nie jako zwyciężczyni jakiegoś idiotycznego konkursu na *Herbatką z Redem Championem*. Ujrzała, że aktor przebrał się w świeżo wyprasowane bawełniane spodnie piaskowego koloru i czyściusieńki podkoszulek, którego śnieżna biel mogła równać się tylko z bielą jego zębów. Zachowuj się jakby nigdy nic, nakazała samej sobie Grace, usiłując uspokoić walące serce.

— Bardzo chciałabym przeczytać pańską książkę. Umieram z ciekawości — oświadczyła podniecona.

Red uśmiechnął się.

— Proszę, niech pani na nią spojrzy — powiedział, podchodząc do biurka i biorąc stamtąd gruby tom w białej okładce, który Grace wzięła za książkę telefoniczną. — Właśnie przyszła z drukarni — dodał, rzucając go jej.

Grace, której nadgarstki ugięły się pod ciężarem wielkiego tomiszcza, spojrzała na okładkę zdumionym wzrokiem. Była zupełnie pusta. Nie widniał na niej tytuł, nazwisko autora, nie było na niej zupełnie nic.

Milczała przez chwilę, a potem powiedziała niepewnie:

— Ach, rozumiem. To korekta, prawda?

Regularne rysy Reda zdradzały kompletne niezrozumienie. Lekko wydał wargi.

— Niepoprawiona pierwsza wersja ze składu, zanim wydrukuje się książkę w ostatecznej formie — wyjaśniła z uśmiechem Grace, zadowolona, że przynajmniej w tej dziedzinie przewyższa Reda. Bez wątpienia nie miał jeszcze opanowanej terminologii wydawniczej.

Red zabębnił palcami w intarsjowany blat biurka.

— Nie robiliśmy egzemplarzy korektorskich, żeby ktoś nie wykradł nam książki przed jej ukończeniem.

Grace popatrzyła na niego. Powinna była się domyślić. Dlaczego Duke o tym nie wspomniał? Jeśli się nad tym zastanowić, w ogóle mówił o Campionie bardzo niewiele. Palce Grace zacisnęły się mimowolnie na tomie, który trzymała na kolanach.

— Więc to jest...

— Ostateczna wersja — potwierdził Red, kiwając głową. — W magazynach Omnicorp znajduje się pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy. Zabrzęczał dzwonek. Grace uświadomiła sobie, że to zamówiona herbata. Patrzyła, najpierw wyczekująco, a potem z niedowierzaniem na stolik, który z racji swych rozmiarów i udra-powanego na nim białego przykrycia mógłby służyć za podwójne łóżko. Wtoczył go do pokoju kelner o nieodgadnionym wyrazie twarzy, w marynarce śmietankowego koloru.

— Och nie... Prosiłam tylko o herbatę. Ale pewnie myśleli, że chodzi mi o podwieczorek. — Były tam najprzeróżniejsze ciasta, zgrabnie ułożone kanapki i eleganckie miniaturowe placuszki, owinięte w lniane serwetki. Wokół tych przysmaków ustawiono ciasno czajniczki, filiżanki oraz srebrne pojemniczki, zawierające dżem i skondensowaną śmietankę. Żołądek Grace, najwyraźniej przypomniawszy sobie, że nie dostał śniadania, zaburczał głośno. Jej uszy zapłonęły, gdy ten odgłos rozniósł się bezlitośnie po salonie. — Przepraszam.

Red wzruszył ramionami.

— Zjedz coś.

Zauważyła, że ma rozbawioną minę. Skonfundowana sięgnęła po kanapkę z jajkiem i majonezem.

Red przez chwilę przypatrywał się swojemu gościowi.

— Co o tym myślisz?

— Wyborne.

— Nie chodzi mi o kanapkę. — Jego uśmiech zgasł, ale oczy błysnęły. — Myślę o mojej książce.

— Ach tak, przepraszam, oczywiście. — Grace odstawiła filiżankę i pogładziła olśniewająco białą okładkę tomiszczą, ciężko spoczywającego na jej kolanach. — Ee...

— Więc co o tym myślisz? — naciskał Red, spięty i pełen powagi jak celuloidowy generał w przededniu bitwy.

Grace nie miała najmniejszego wyobrażenia, o czym Red mógłby napisać. Może hollywoodzki romans. Albo powieść o aktorze. Ale raczej nie, zważywszy na to, że tom miał rozmiary książki telefonicznej i pustą okładkę. Chyba chodzi o coś innego.

— Spodziewałam się, że zobaczę pańskie nazwisko na obwolucie — powiedziała w końcu, czując się dziwnie głupio, bo gwiazdor popatrzył na nią ze zdumieniem.

— Tożsamość autora nasuwa pewne ograniczenia — wyjaśnił. — Jeśli ludzie przeczytaliby na okładce moje nazwisko, mogliby wyciągnąć wiele pochopnych wniosków. To ważna książka. Czytelnicy sami powinni wyrobić sobie o niej opinię.

Grace zastanowiła się nad tym. Bezsprzecznie miał nieco racji. Czyż nazwisko Dickensa na okładce nie narzuca pewnych skojarzeń?

Oczywiście, że tak. Ale żeby na książce nie było ani nazwiska, ani tytułu?

— Może napiszemy „Anonim”? — zaproponowała.

Gdy Red potrząsnął głową, Grace gorączkowo usiłowała znaleźć argumenty, przemawiające za jego stanowiskiem. Starcie z najbardziej wziętym hollywoodzkim aktorem już podczas pierwszego spotkania z pewnością nie zrobi najlepszego wra-

zenia na Billu Duke'u. Może Red ma rację, rewia hollywoodzkich skandali musi odnieść sukces rynkowy, choć nie będzie o tym ani słowa na okładce. Gdy się rozniesie, że ta czysta, biała obwoluta skrywa najsmakowitsze anegdotki, jakie kiedykolwiek opublikowano, książka będzie się sprzedawała jak gorące bułeczki.

Ale nawet „Anonim” przynajmniej przyciągałby uwagę i nasuwał jakieś skojarzenia. A okładka książki Reda nasuwała na myśl tylko tyle, że drukarze dopuścili się jakiegoś zaniedbania.

— Brak tytułu to... śmiałe zamierzenie — zaryzykowała.

— Owszem, też tak uważam — odparł Red.

Grace nie mogła już wytrzymać przenikliwego szafirowego spojrzenia, niemal hipnotyzującego swym świetlistym blaskiem. Zauważyła, że aktor usiadł naprzeciwko okna — czy zrobił to celowo? Wyglądał jeszcze przystojniej niż na ekranie, co więcej, światło nie ujawniało ani jednej zmarszczki. Jego opalona, niewiarygodnie gładka skóra opinała delikatne kości bez najmniejszej bruzdki. Grace znowu poczuła się zauroczona, ale nie składała broni.

— Nie uważa pan, że tytuł byłby jednak przydatny? Żeby dać przyszłemu czytelnikowi pojęcie, o czym jest książka.

— To niepotrzebne — wycodził Red. — Tytuły są ograniczające. Ten tekst musi zdobyć publiczność na swoich własnych warunkach.

O czym, na miłość boską, może być ta książka? — zastanawiała się Grace. Red mówił o niej tak, jakby jej przesłanie było znacznie ważniejsze od przekazów *Biblii* czy *Koranu*... Dziwny sposób patrzenia na hollywoodzką fabrykę snów, nawet gdyby rewelacje na jej temat miały siłę sejsmicznego wstrząsu.

— Należy do niego podchodzić w swobodny, nieskrępowany sposób — dodał gwiazdor. — To pewnego rodzaju doświadczenie. — Zatopił w niej płomienny wzrok. Grace czuła się jak zahipnotyzowana.

Usiłowała jakoś to sobie wytłumaczyć. Ale przecież romanse hollywoodzkie nie są żadnym doświadczeniem. To raczej szmi-

rowate, chutliwe anegdotki. Chyba że Red miał na myśli bohaterkę albo bohatera, których niewinność zostaje skalana. Tak, z pewnością o to chodzi.

— Ta książka — oznajmił Red — jest bardzo ważna. Świat powinien poznać jej przesłanie. A ja muszę wiedzieć — dodał, wpatrując się w nią bacznie, niczym generał z *Legionisty* w swoich zaufanych żołnierzy — czy potrafi pani sprostac temu wyzwaniu. Myślę, że tak.

Czyż nie była to kwestia właśnie z tego filmu? — pomyślała Grace. I nagle, niczym filmowych żołnierzy, ogarnęło ją rozpaczliwe pragnienie, by za wszelką cenę zadowolić Reda. Była gotowa iść za tym mężczyzną na koniec świata.

— Zrobię, co w mojej mocy — wyjąkała. I podobnie jak celuloidowe legiony, została nagrodzona zapierającym dech w piersi uśmiechem.

— Wypiję za to! — zawołał buńczucznie Red i ruszył do minibarku. To raczej maksibarek, pomyślała Grace, bo gdy aktor go otworzył, jej oczom ukazały się liczne szeregi butelek. Wyciągnął jedną z nich, o szyjce owiniętej złotą folią. — Wypijemy na tarasie — zarządził.

Grace ze zdumieniem stwierdziła, że tylko w niewielkim stopniu przypomina on zwykły taras: okolony balustradą, pomalowaną na żółtozielony kolor, ozdobiony kwiatami i drzewkami, wśród których tu i ówdzie stały drewniane ogrodowe meble, miał rozmiary całego hotelowego dachu.

— Och! Co za widok! — zawołała, z zachwytem spoglądając na rozciągającą się we wszystkich kierunkach panoramę miasta. Tuż pod nią widniały Tuileries, na końcu których w gęstniejącym mroku rozbłyskiwały światła, przecięte stojącym przed nimi obeliskiem. Na prawo miała Panteon i Notre Dame, której potężne wieże pozłacały ostatnie promienie zachodzącego słońca.

Kiedy Red podawał jej kieliszek pełen musujących banie-czek, jego palce lekko zetknęły się z ręką Grace. Dziesięć tysięcy wolt przebiegło przez jej żyły. Znowu uderzył ją urze-

kający cytrynowy aromat, który wciągnęła głęboko, pragnąc zatrzymać tę chwilę w nozdrzach.

— Za publikację mojej książki — powiedział cicho Red, wpatrując się w nią intensywnie.

— Za twoją książkę — wymamrotała, unosząc kieliszek. Czy naprawdę jej się to przydarza?

— I za nasze partnerstwo — dodał Red podniecająco niskim głosem, który odbił się echem gdzieś fascynująco nisko w jej ciele.

— Za nas... mm... chciałam powiedzieć, za nasze partnerstwo. — Grace przełknęła tyk szampana, uświadamiając sobie, że nadal nie wie, o czym jest książka Reda. To, co znajdowało się między okładkami, stanowiło tajemnicę, mimo to jednak poczuła, że jest temu dziełu bezgranicznie oddana, podobnie jak filmowe legiony były bezgranicznie oddane swemu wodzowi.

Bliskość aktora wprawiała w drżenie każdy nerw Grace. Red stał naprzeciw niej, oparty o balustradę. Z tyłu, pod nim, miliony paryskich świateł migotały i lśniły w zapadającym zmierzchu. Grace widziała czerwone i białe pasy śmigające po Polach Elizejskich. To wszystko jest niemal nedorzecznie romantyczne, pomyślała. Czowała się oderwana od rzeczywistości, jakby znalazła się w jakimś nierealnym świecie. Jakby grała w filmie.

Wrażenie to potęgował jeszcze widok stojącego naprzeciw niej gwiazdora. Grace z niedowierzaniem sączyła wino ze swojego złocistego kieliszka. Może alkohol sprawi, że powróci do rzeczywistości? Zamknęła oczy, po czym ponownie je otworzyła. Red wciąż stał na swoim miejscu, a za nim rozciągała się pajęcza sieć Miasta Świateł.

— To cudowne — wyszeptała.

— Cieszę się, że ci się podoba.

_ Ten widok przypomina mi... Sama nie wiem. To jak żywy przewodnik. Wszystko widać. Można tu siedzieć i przy śniadaniu zdecydować, co się chce zwiedzić. Tam jest Luwr. A tutaj Panteon...

— Chyba tak — mruknął Red, wzruszając ramionami. Grace ze zdumieniem stwierdziła, że wspaniała panorama wcale nie wzbudza w nim entuzjazmu.

— Gdzie pan był dzisiaj? — zapytała, pragnąc dowiedzieć się czegoś o jego życiu. — Co robią gwiazdy filmowe, kiedy nie grają? Zwiedzają Luwr?

— Bardzo zabawne — prychnął Red.

— Nie zamierzałam powiedzieć niczego zabawnego.

— Pytasz poważnie?

— Oczywiście, że tak.

— Przez cały czas jestem tutaj. To chyba jasne, że nie mogę wyjść. — W jego głosie słychać było rozdrażnienie.

Nie może wyjść? Mając cały Paryż u stóp?

— Dlaczego?

— Wydawało mi się, że to oczywiste. — Red potarł oczy znużonym gestem. — Jeśli tylko wyjdę za próg, będzie to we wszystkich gazetach. Grace popatrzyła na wspaniały apartament. Bez wątpienia cudownie jest w nim przebywać. Ale jeśli musi się w nim siedzieć przez cały czas...

Z drugiej strony jednak — ponownie z podziwem spojrzała na panoramę Paryża — czy Red nie przesadza? Czy nie jest trochę rozpaskudzony?

Przez całe swoje zawodowe życie usiłowała zainteresować dziennikarzy autorami, którzy ich kompletnie nie obchodzili. Trudno wyobrazić sobie Euphemię Ogden, unikającą paparazzich, pomyślała, tłumiąc uśmiech.

— Z czego się śmiejesz? — zapytał nagle Red. Biel jego zębów i podkoszulka lśniła w słabym świetle, sącącym się przez szklaną ścianę apartamentu.

— Och, z niczego. — Grace nerwowo przełknęła łyk szampana i poczuła, że zaczyna jej się kręcić w głowie. — To naprawdę jest takie okropne? — zapytała po chwili, zebrawszy się w sobie. — Chodzi mi o sławę. — Do diabła, dlaczego zadała takie głupie pytanie?

Ku jej zdumieniu i uldze, Red uśmiechnął się olśniewająco.

— Jasne, że nie. Wspaniale jest być sławnym. Naprawdę pochlebia mi to, że wszystko, co robię, jest godne sfotografowania. I że za zdjęcie, na którym zamykam samochód albo kupuję burgera, fotograf zgarnia kilkaset dolarów w kolumnie towarzyskiej jakiegoś szmatławca. A jeśli chodzi o moje zdjęcia z kobietami... — spojrzał na nią z ponurym błyskiem w oku — ...to właśnie wścibstwo prasy zniszczyło moje małżeństwo.

Na twarz Grace wypłynął rumieniec, gdy uświadomiła sobie, że Red mówi to z sarkazmem. Przypomniała sobie pytanie w magazynie filmowym na temat jego rozvodu. Kto teraz zawładnął jego sercem? Plotki o Champagne D'Vyne były oczywiście wyssane z palca, wymyśliło je pismo, by zwiększyć sprzedaż. Nie ulegało to wątpliwości, nikt, kto ma po kolei w głowie, nie zniósłby dawnej Miss Mokrego Podkoszulka. W każdym razie Howard zaprzeczył tym pogłoskom. A co powiedział Red na zakończenie wywiadu dla „Przyczepy”? „Obecnie poświęcam się wyłącznie swojej sztuce. Odkąd rozstałem się z żoną, nie ma w moim życiu żadnej kobiety”.

Czy sparzył się tak mocno, że nie znosi nawet myśli, by spróbować jeszcze raz? Gdy Red, patrząc z góry na Paryż — miasto kochanków — westchnął nieco teatralnie, Grace z trudem się powstrzymała, by nie podbiec i objąć go ramionami. Mimo że cieszył się ogromną sławą i powodzeniem, łatwo było go zranić. Czyżby mężczyzna, w którym kochał się cały świat, prowadził samotnicze życie? A może po prostu za dużo wypija?

Ale ze sposobu, w jaki na nią patrzył, można było wnosić, że kobieta jest dla niego wcale nie mniej ważna niż sztuka.

Gdy minitaksówka dotarła do Swaddling po długim, krętym podjeździe, zbliżała się już pora obiadu. A biorąc pod uwagę poziom pałacowej kuchni... Belinda była wściekła.

_ Gdzie pan się, do diabła, podziewał? — naskoczyła na nieszczęsnego kierowcę.

— Odwoziłem parę swoich stałych klientek do fabryki w Wetwang — odparł. — Trafiają się tam fantastyczne okazje.

W tym momencie na stopniach tuż za Belindą pojawiła się lady Whyffe.

— Na pewno nie chcesz zostać na obiedzie, kochanie? — zapytała z uśmiechem. — Zostało nam z wczoraj jeszcze sporo kurczaka.

W odpowiedzi Belinda cisnęła swoje walizki do bagażnika.

— Ostrożnie — przestrzegł ją kierowca. — Zawieszenie nie jest całkiem jak należy.

Gdy w końcu ruszyli — podskakując nad dziurami na podjeździe — Belinda kompletnie zignorowała Whyffe'ów, którzy stali na stopniach i machali jej na pożegnanie. Włączyła komórkę i zaczęła odsłuchiwać wiadomości. Lodowaty palec podrapał ją po krzyżu, gdy rozpoznała głos sekretarki naczelnego.

„Belindo, mówi Amabel. Możesz do mnie zadzwonić?”

Druga wiadomość również pochodziła od Amabel. Brzmiała nieco ostrzej niż poprzednia i była bardziej konkretna: „Kevin chce, żebyś do niego zadzwoniła i powiedziała mu, z jaką gwiazdą będziesz teraz przeprowadzać wywiad. Trochę go niepokoi twój dobór rozmówców, ale bardzo potrzebujemy kogoś... kogokolwiek. Biografia członka dworu królewskiego w odcinkach już się skończyła”. Belinda z drżeniem zaczerpnęła powietrza, czując mdłości, niemające nic wspólnego z kurczakiem, którego wczoraj wieczorem podała lady Whyffe.

„Belindo, gdzie jesteś? — pytała z irytacją Amabel w trzeciej wiadomości. — Kevin powiada, że chce sław, sław i jeszcze raz sław. I to natychmiast”.

Belinda zacisnęła pięści. Próba uwiedzenia Peregrine'a So-merville'a była chyba jedną z najgłupszych pomyłek w jej karierze. Grayson był najwyraźniej wściekły, że nie mógł się z nią skontaktować, toteż z pewnością nie potraktuje wyrozumiale jej ostatniej złej passy.

Ale przecież to nie moja wina, pomyślała po chwili. Oczywiście, że nie, to ten sukinsyn Tarquín rzuca jej kłody pod

nogi. Te jego bezużyteczne listy. Żaloszne pomysły. Brak jakiegokolwiek inicjatywy. Nie wspominając już o cholernej Mo Mills. Ta samolubna stara suka mogłaby przynajmniej zorganizować kilka wywiadów z ludźmi z pierwszych stron gazet, zanim dostała tego cholernego ataku. Ale nie, to już było dla niej za wiele.

— Pospiesz się pan trochę, dobrze? — warknęła na kierowcę. Choć dojechali już do autostrady, nie przekraczał pięćdziesiątki, co bardzo spowalniało ich podróż. Siedząca z tyłu Belinda obserwowała mijające ich auta i zgrzytała zębami. Doszła do wniosku, że gdy wróci do domu, przynajmniej będzie mogła odegrać się na sprzątacze. A rachunek za taksówkę wpisze sobie w koszta, niech to szlag.

Gdy ciągle pokrzykując na taksówkarza, podjechała wreszcie pod swoje mieszkanie, Maria wyciągała właśnie zakurzoną bieliznę spod łóżka swojej chlebowdawczyni. Jak to możliwe, zastanawiała się, żeby porządny człowiek mieszkał w takim chlewie? Ale Belinda nie była porządnym człowiekiem i to być może wszystko wyjaśniało. *Madam* Grace też była bałaga-niara, lecz nie w tak obrzydliwy sposób. W przeciwieństwie do Belindy nie zostawiłaby potłuczonej butelki od wina na środku podłogi przez cały tydzień, póki ona, Maria, nie przyjdzie jej uprzątnąć. Również pościel Grace nigdy nie była umazana pizzą na wynos, popiołem z papierosów, kremem, czekoladą i innymi substancjami, których pochodzenia Maria me chciała się nawet domyślać.

Układając w schludny stosik górę magazynów, zajmujących się plotkami o sławnych ludziach, które rozrzucone były przy łóżku Belindy, Maria po raz kolejny zauważyła na okładce kilku z nich zdjęcie mężczyzny, z którym Grace pojechała się zobaczyć. Było także na drugiej i trzeciej stronie. Ta gładka, przystojna twarz. Zbyt jasne włosy. Niesamowicie niebieskie oczy. Maria nabrała niezachwianego przekonania, że z tym mężczyzną jest coś nie tak. Na pewno źle się stało, że Grace pojechała do Paryża, by się z nim spotkać.

Ale nie wszystko jeszcze stracone. W kieszeni dzinsów, pod fartuchem, Maria czuła ciepły krążek funtowej monety, co więcej, była to zaczarowana moneta. Wy tłumaczyła ten obrządek swojemu klientowi i — choć zdumiony i nieco zawstydzony — wykonał wszystkie rytuały, o które go prosiła, i zwrócił monetę. Teraz Maria musiała przekazać ją Grace. To nie nastęczało problemów. Mogła zostawić ją na kuchennej ladzie lub wsunąć do kieszeni jakiegoś ubrania swojej chlebodawczyni. Albo włożyć do jej portmonetki, choć wówczas Grace mogłaby ją zaskoczyć z torebką w ręce. Nawet miła *madame* Grace, która na wiele spraw przymykała oko, pewnie uznałaby, że tego już za wiele.

Usiadła ostrożnie na brzegu łóżka, wzięła magazyn z wierzchu stosu i przyjrzała się okładce. KOBIECY I JA, głosiła zajawka, autor — Red Champion. Przerzuciła stronicę, by znaleźć ten artykuł. Słabo znała angielski, zrozumiała jednak, że było tam coś o rozwodzie. O poczcie elektronicznej. Wyznanie Reda opatrzone zdjęciami pięknych kobiet, ale Maria zauważyła, że największe przedstawia kogoś o nazwisku D'Vyne. Było tam także mnóstwo innych. Maria pomyślała, że nie trzeba perfekcyjnie władać angielskim, by zrozumieć, że przystojny aktor prowadzi bogate życie miłosne.

Znowu wymacała monetę w kieszeni. Czy funt wystarczy, by ocalić Grace? Zeszłej nocy śniło się jej, że Grace stoi na szczycie dachu, wysoko nad Paryżem, z kieliszkiem szampana w ręce. Apartament w nadbudówce. Przypomniała sobie, co Grace mówiła przez telefon w holu. „Apartament w nadbudówce w hotelu Meurice, rue de Rivoli” — powtarzała, zapisując to na odwrocie rachunku za gaz.

— Co tu się, do diabła, dzieje? — zasyczał głos jej chlebodawczyni z drzwi sypialni.

Maria podskoczyła przerażona, przyciągając do piersi kołdrę.

— Płacę ci za to — wycedziła Belinda, postępując parę kroków do przodu — żebyś sprzątała to cholerne mieszkanie, a nie siedziała na tyłku i czytała pisma.

— Przepraszam, Belindo — wykrztusiła ze ściśniętym gardłem Maria, kuląc się pod ścianą sypialni.

— *Madam* Belindo! I obawiam się — syknęła Belinda, której oczy błyszczały sadystycznie — że tym razem przeprosiny nie wystarczą. Twoje zachowanie jest absolutnie niedopuszczalne, więc obcinam ci zarobki o... — urwała nagle, bo jej komórka zagrała melodię *Diamenty są wieczne*. — Niech to diabli — zakłęła i wyciągnęła telefon z kieszeni swego czarnego skórzanego zakietu.

— Tarquin? — warknęła, z niechęcią słuchając głosu swego asystenta. — Co? Dale Winton się zgodził? Myślałeś, że się ucieszę? Chyba żartujesz. Maria patrzyła, jak oczy jej chlebodawczyni zwięzają się w pełne wściekłości szparki. Poczowała współczucie dla nieszczęsnego stworzenia po drugiej stronie linii. I wdzięczność — bo przed chwilą Belinda sprawiała wrażenie, jakby chciała ją uderzyć.

— Słuchaj — powiedziała Belinda do telefonu z taką złością, że z jej ust trysnęły kropelki śliny — jest tylko jedna osoba, którą chciałabym pozyskać dla *Wywiadu* Belindy Black. I ty doskonale znasz jej nazwisko.

— Przez parę sekund panowało milczenie. — Ten cholerny Red Champion. I nic mnie nie obchodzi, że odrzucił pięćdziesiąte drugie zaproszenie. Dowiedz się w dziale fotograficznym, gdzie on się podziewa, a ja... sama nie wiem... pójdę i dorwę go jakoś.

Przysłuchując się uważnie tej rozmowie, Maria zaczęła wycierać kurze. A więc o to chodziło. Belinda chciała zdobyć tego przystojniaka ze zdjęć w magazynach dla swojej gazety.

— Co to znaczy, że dział fotografii nie wie, pytałeś się ich? — zaskrzeczała po chwili Belinda z lekką paniką w głosie. — Oczywiście, że wiedzą, do cholery! Po prostu nie chcą ci powiedzieć. — Uderzyła się ręką w czoło. — Chryste, gdzie podział się w tym zespole duch współpracy?

Maria odkurzała coraz szybciej. W jej głowie rodziły się nowe plany. Jak to mówią Anglicy? Upiec dwie pieczenie na jednym ogniu?

— Ktoś musi wiedzieć, gdzie on jest. Uuuh... — Z pogardliwym warknięciem Belinda tak mocno nacisnęła przycisk, kończący rozmowę, że złamała paznokiec. — Kurwa mać! — Rzuciła Marii mordercze spojrzenie. — A ty z czego jesteś taka zadowolona? — ryknęła. Maria głęboko zaczerpnęła powietrza. Teraz albo nigdy. Taka sposobność już się nie zdarzy, choć gdyby miała szczęście, gdyby jej plany się powiodły, autorowi *Nedów z Mrugającej Zatoki* mogłoby się udać.

— Bo wiem, *madam* Belindo, gdzie jest pan Champion. I powiem to pani.

Rozdział 19

Oczy Reda Campiona zbliżały się ku Grace, jego błękitne spojrzenie jaśniało tak mocno, że z oczodołów aktora niemal buchała para. Jego usta przylgnęły do jej warg w palącym pocałunku, który zamienił jej wnętrze w roztopiony metal. Gwiazdor wsunął jej do ręki kolejny połyskujący kieliszek schłodzonego szampana.

Kiedy go wypila, zakreśliło jej się w głowie, bąbelki musowały na języku. Red zaprowadził ją na kraniec tarasu, gdzie u ich stóp rozpościerał się i migotał nocny Paryż; ująwszy ją za obie ręce, zaczął obracać nią, unosząc ją coraz wyżej, hen w czarne przestrzenie pomiędzy gwiazdami. I nagle obudziła się.

Jej oczy patrzyły nie na ściany z lustrzanego szkła we wspaniałym apartamencie Reda, lecz na spłowiały kwietny wzór tapety, pokrywającej ścianę naprzeciwko łóżka w pokoju małego, taniego paryskiego hotelu.

Gdy przybyła na spotkanie z Redem Championem, nie było mowy o niczym więcej. Mimo przejęcia wydawnictwa przez amerykańską firmę, pula wydatków Hatto & Hatto nie uległa zmianie.

Ostrożnie układając głowę na zagłówku, Grace usiłowała przywołać wspomnienie *jacuzzi*, sreber, luster, ogromnych połaci czarnego i białego marmuru, kilometrów dywanu, łóżka

wielkości basenu, kelnerów, wspaniałego tarasu. Może to był tylko sen? Czy rzeczywiście piła szampana w towarzystwie gwiazdora filmowego, mając cały Paryż u stóp? Czy naprawdę oglądała wieżę Eiffla, wybuchającą milionem tańczących światełek?

Nie, to nie sen. Dowodem na to był biały tom wielkości książki telefonicznej, wystający spod skotłowanego stosu ubrań. Książka. Romansowa opowieść Reda Campiona, uchylająca pokrywę kotła, w którym kłębiły się amory i humory, sztuczki i kruczki szybujących ku gwiazdom hollywoodzkich sławnych i niesławnych celuloidowych bohaterów. Pomimo bólu głowy czuła lekki dreszczyk ciekawości. Telefon na ścianie obok łóżka nagle gwałtownie zbudził się do życia. — *Mademoiselle Armiger?* — Grace poznała głos właściciela hotelu. Spojrzała na swój podróżny budzik. Za piętnaście dziesiąta, na miły Bóg. Ale wczoraj położyła się bardzo późno. Jak późno, tego dokładnie nie pamięta. Teraz, bez wątplenia, dzwoniło do niej, by przypomnieć, że zaraz przepadnie jej śniadanie. Trudno. Przesunęła językiem po wargach. W ogóle nie miała apetytu.

— *J'ai un appel pour vous. Ne quittez pas.* Hm... Kto to może być?

— Grace? Tu Red. — Dobrze, że już leżę, pomyślała Grace. W przeciwnym razie na pewno osunęłaby się na podłogę. Red Campion. Dzwoni do niej.

— Halo — odpowiedziała.

— Jak leci?

— Hm... świetnie.

— Bryka przywiozła cię do twojego hotelu bez żadnych przygód?

— Tak. Dziękuję. — Oczywiście, że tak. Gdyby trochę wysiliła mózgownicę, na pewno coś by sobie z tego przypomniała.

— Nie ma sprawy. Przeczytałaś już moją książkę? Książka. Grace pamiętała, jak wielką ulgę odczuła, gdy Red oznajmił, że ma co dyskutować o jego dziele, dopóki Grace się z nim nie zapozna. Dzięki temu przez cały wieczór czuła się cudownie swobodna.

_ Mm... niezupełnie — przyznała. — Ale to pierwszy punkt na mojej liście zajęć — dodała szybko.

— Wspaniale. Chcesz, żeby drugim był obiad ze mną? _ Ee... — Dzisiaj miała wracać do Londynu. Biuro prasowe

Hatto nie poprowadzi się samo. Ellie, choć zajmowała się teraz pracą redaktorską, nadal dzieliła pokój z Grace. Będzie wściekła, musząc odpowiadać na telefoniczne pytania dziennikarzy. Ale biorąc pod uwagę całkowity brak zainteresowania prasy ich wydawnictwem, co to za problem? I jak często gwiazdor filmowy zaprasza ją na obiad?

— A więc umowa stoi — powiedział aktor. — Przyjdź do mojego apartamentu w porze obiadowej.

Ręka Grace drżała, gdy odwieszała słuchawkę. Przypominała sobie coraz więcej zdarzeń z poprzedniego wieczoru: cmoknięcie w policzek na odchodnym, przeciągłe spojrzenie, którym odprowadził ją Red. Pewnie to tylko gra jej wyobraźni. Ale czy rzeczywiście?

Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Chwilami podczas tego wieczoru Red wydawał się prawie znudzony, ale niekiedy łapała go na tym, jak jej się przypatrywał z wyrazem namysłu na swojej przystojnej twarzy. W miarę upływu czasu coraz częściej na nią spoglądał, raz nawet pociągnął ją za kosmyk włosów, podziwiając ich ciemnozłoty odcień. Zachwycał się jej skórą, oczami — ale gdy poszedł odebrać telefon, jego nastrój całkowicie się zmienił.

Przypomniała to sobie teraz całkiem wyraźnie. Widziała, jak zeszywniała mu twarz, gdy odpowiadał, a potem odwrócił się i wymamrotał do słuchawki: „Znowu do tego wracamy, tak?” — tonem, którego nie potrafiła jednoznacznie określić, lecz wyczuwała pobrzmiewające w nim sarkastyczne nuty.

Pomyślała z zamierającym sercem, że to na pewno kobieta, lecz gdy zakończył rozmowę, podniósł się, przeciągnął i powiedział rzeczowo: — Dzwonili ze studia. Nagranie ścieżki dźwiękowej przesunięto na jutro. Muszę się teraz przespać dla urody.

A więc to nie była kobieta, pomyślała Grace z ulgą. Najwyraźniej, jak oświadczył dziennikarzowi z „Przyczepy”, rzeczywiście poświęcił się sztuce. Pospiesznie pomógł jej zebrać rzeczy, załatwił — tak, to też teraz sobie przypominała — limuzynę, która miała odwieźć ją do domu, a gdy wychodziła, wcisnął jej w ręce duży, biały tom, którego omal nie zostawiła. Przycisnęła go do piersi, a on cmoknął ją w policzek i rzucił jej gorące spojrzenie, które być może było tylko wytworem jej wyobraźni. Potem z szumiącej windy weszła do jasno oświetlonego westybulu i wsiadła do samochodu, a kiedy czarna limuzyna sunęła bezszelestnie po bulwarach, usiłowała siedzieć prosto, ciągle jednak osuwała się na skórzane siedzenia, mając głowę zamroczoną szampanem i pożądaniem. Zaproponował jej wspólny obiad. Nie ekscytuj się tak tym, skarciła się w myślach, prawdopodobnie zamierza po prostu omówić plan rozreklamowania książki. W takim razie najlepiej będzie, jeśli zaraz zabierze się do czytania. Wysunęła się z łóżka, wzięła tomiszcze i otworzyła je na pierwszej stronie.

Rozdział pierwszy

Czas akcji: Przyszłość (jest bliżej, niż myślisz).

Prezydent przeszedł przez przesuwane drzwi, które bezszelestnie otworzyły się i zamknęły za nim. To naprawdę był Biały Dom...

Grace westchnęła z ulgą. Jej przypuszczenia okazały się słuszne, książka Reda mówiła o bogatych i sławnych.

...To naprawdę był Biały Dom. Kompletnie biały dom, wszędzie rozciągały się nieskalanie białe przestrzenie. Gdy prezydent znalazł się w swoim apartamencie, opadł na długi, wąski tapczan...

Dobre, pomyślała Grace. Dyskretna intymność. Pewnie to szczegóły podpatrzone podczas osobistych wizyt Campiona u Pierwszej Rodziny. Wszyscy politycy, nawet prezydent, uwielbiali bliskie kontakty z gwiazdami Hollywoodu.

Jego twarz była cała mokra, ale nie był to pot. Jego puls uderzał coraz szybciej. Musiał natychmiast znaleźć się blisko wody. „Rech-rech!”. Grace przełknęła ślinę. Jeszcze raz przebiegła wzrokiem ostatni wiersz. Nie, nie pomyliła się, prawidłowo to przeczytała. „Rech, rech!”. Zaczęła czytać dalej.

Bezwiedny wytrysk głęboko w klatce piersiowej świadczył o tym, że prezydent nie należy do ludzkiego rodzaju. Zeskoczył z łóżka i przykucnąwszy na czworakach, wsunął ręce między stopy, dwoma susami dotarł do łazienki i odkręcił kurek z zimną wodą.

Grace poczuła skurcz żołądka, a po jej krzyżu, w górę i w dół, przebiegł dreszcz. Nie tak to sobie wyobrażała.

Po chwili zaczął zmieniać skórę. Z różowej na szarozieloną. Oczy zaczęły mu wychodzić na wierzch, pomiędzy palcami rąk i nóg wyrastała błona.

W czterech piątych był już płazem. Wskoczył do wanny. „Rech!”.

Może nie cały tekst jest taki, pomyślała z nadzieją Grace. Pierwszy fragment to pewnie kawałek scenariusza albo jakaś opowieść w obrębie opowieści, luźno związana z całością. Przerzuciła parę stron.

Jed zdjął swoje odrzutowe buty z ładowarek, wsunął je na nogi i zapiął zamek błyskawiczny. Gdy był gotów, zeskoczył z kuchennego okna na setnym piętrze i poszybował w powietrze. „Wa-wum!” — zaszumiały buty.

Od dawna podejrzewał, że planetą rządzi gatunek płazów, które mają ludzką postać i przejmują wszystkie najwyższe stanowiska, w tym także urząd prezydenta. Ale nikt nie wierzył jego ostrzeżeniom. Wyznanie króla Anglii, że jest ropuchą, było pierwszą szczeliną w ich oślizgłej ziemno-wodnej zbroi. Trzeba ich powstrzymać. Ale jak?

O Boże, wzdrygnęła się Grace. Rzeczywiście, jak?

Gdy parę godzin później Red delikatnie pocałował ją w usta w drzwiach swojego apartamentu w nadbudówce, jej wnętrzności podskoczyły, a potem zacisnęły się w pętlę. Minęło kilka sekund, zanim zdołała zapanować nad narzucającym się pytaniem, które mimo woli przebiegło jej przez głowę: jaki Red jest w łóżku? Ale zamiast niego pojawiła się dręcząca obawa, że zaraz ją zapyta, co sądzi o jego książce.

Znowu poprowadził ją na taras, gdzie czekał już obiad. Widok za dnia był jeszcze wspanialszy niż poprzedniego wieczoru. W dole rozciągały się zielonobiałe dywany Tuileries, dalej widać było pozłacane kopuły, lśniące na tle nieprawdopodobnie błękitnego nieba. Grace patrzyła na to wszystko oszołomiona i zachwycona, lecz czuła się nieswojo. Prędzej czy później padnie pytanie, którego się tak obawia.

Usiłowała je uprzedzić.

— Jak poszły postsynchrony? — zapytała.

Red sprawiał wrażenie, że nie rozumie, o co jej chodzi, ale i tak wyglądał wspaniale. Jego skóra jaśniała, a włosy odbijały blask błękitnego nieba. Był ucieleśnieniem Hollywoodu, filmowego gwiazdorstwa. Gdybyż jego książka była równie porywająca...

— Dogrywałeś niektóre dialogi z twojego nowego filmu —
podpowiedziała.

Rzucił jej szybki uśmiech, błysk bieli pośród opalenizny.

— A tak. Owszem, wszystko poszło świetnie, dziękuję. Doskonale.

— Cieszę się — powiedziała Grace, zdumiona entuzjastycznym
brzmieniem jego głosu. Z pewnością jest perfekcjonistą, dbającym o
dopracowanie każdego szczegółu w swoich filmach, pomyślała.

— Podobała ci się moja książka? — zapytał, wpatrując się w nią
intensywnie.

Zadał jej to pytanie niedbałym tonem, co zabrzmiało dość
nieprzekonująco.

Głęboko zaczerpnęła powietrza.

— Hm... robi niewiarygodne wrażenie. Trzyma w napięciu... — urwała.

Czy to wystarczy? Chyba nie, bo Red nadal patrzył na nią wyczekująco.

— Intryga jest zaskakująca. Na przykład moment, gdy prezydent zmienia
się w żabę...

— Nie w żabę. W nieokreślonego płaza — oświadczył Red. Grace
pomyślała, że z pewnością nie mówi poważnie. Ale
wolała tego nie sprawdzać.

— Tak. Naturalnie. Uważam, że jest wspaniała, naprawdę. — Kiedy
patrzyła w jego oczy, czuła, że jej wątpliwości się rozwiewają. Tak
bardzo pragnęła mu dogodzić, że zrobiłaby i powiedziała wszystko, byle
go zadowolić.

— Więc masz jakieś pomysły na jej reklamę?

Grace znowu wzięła głęboki oddech i przedstawiła Redowi swoje
dotychczasowe przemyślenia: parę nazwisk redaktorów literatury pięknej
i zaprzyjaźnionych recenzentów, których miała nadzieję zachęcić do
współpracy. Nie wspomniała jednak o artykułach prasowych. Brakowało
punktu zaczepienia dla felietonu o książce bez tytułu i nazwiska autora,
na temat nieokreślonych płazów. Chyba że...

Popatrzyła na Reda. Wyglądał na odprężonego, a kieliszek szampana,
który trzymał w ręku, był prawie pusty. Czy może

być lepsze miejsce lub odpowiedniejsza pora, by postarać się go przekonać?

— Debiuty, nawet tak dobre jak ten — zaczęła z determinacją — potrzebują... no wiesz, po prostu przydałby się im jakiś dobry chwyt reklamowy. Flaubert nazywał to piorunującym efektem. To, że...

— ...jestem gwiazdorem, pomogłoby książce? — podpowiedział Red, mrużąc oczy w taki sposób, że wnętrzności Grace zacisnęły się w węzeł. Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

— Właśnie.

W jego oczach zabłyśły błękitne lodowe igielki.

— Nie ma mowy. To ważna książka — oświadczył. — Nie chcę, by ludzie podchodzili do niej z jakimiś z góry wyrobionymi opiniami na temat gwiazd filmowych

— Ale...

— Skorzystam z mojego prawa do anonimowości. Chcę, żeby mnie oceniano na równi z innymi.

Grace znowu się uśmiechnęła, choć czuła, że ogarnia ją zdenerwowanie.

— Nie uwierzysz, ale z jakiegoś głupiego powodu myślałam, że twoja książka będzie zbiorem hollywoodzkich plotek — powiedziała.

Red obrzucił ją ironicznym spojrzeniem.

— Oczywiście, mogłem to zrobić. Hollywood... — Wykrzywił usta. — Kompletne dno. Płacą miliony za to, że stanie się przed kamerą i wyrecytuje kilka kwestii. — Grace pomyślała, że jak na dno, wygląda to całkiem nieźle. Miała jednak dość rozsądku, by nie wyrażać głośno tej opinii. — To w ogóle nie jest sztuka — stwierdził. — I nie chcę, by właśnie za to mnie pamiętano.

Grace skinęła głową.

Ale czytelników bardzo interesują ploteczki z Hollywood — powiedziała. Red wzruszył ramionami.

— To świadczy o ich głupocie. Hollywoodzki światek jest denny, choć rzeczywiście krąży po nim mnóstwo opowieści — przyznał. — Dzieją się tam rzeczy, od których zjeżyłyby się twoje słodkie włoski — dodał z uśmiechem, który sprawił, że twarz Grace oblała się rumieńcem. — Na przykład cała ta historia z aktorkami...

— Jaka historia z aktorkami? — zapytała.

— W dzisiejszych czasach dziewczyna nie zostaje gwiazdą dzięki swoim zdolnościom aktorskim. Wystarczy, że jest chuda. Talent nie ma z tym nic wspólnego.

— Naprawdę?

— Możesz mi wierzyć. Coś ci opowiem. Niedawno byłem na planie ze znaną na całym świecie aktorką. Reżyser zaczął na nią wrzeszczeć: „Płacimy ci dwadzieścia milionów dolarów za film, a jak ty wyglądasz? Tylko spójrz na siebie. Masz obwisłe ciało. Jesteś cała sflaczała. Co ja mam robić? Tak kręcić zdjęcia, żeby cię omijać?”.

— To straszne — odpowiedziała Grace naleyście wstrząśniętym głosem, myśląc, że to rzeczywiście okropne, ale i fascynujące. Zastanawiała się, dlaczego Red nie napisał o tym.

— Słyszałaś o Lizowoodzie? — zapytał Red. Wzruszyła ramionami.

— O czym?

— Lizowood — wycedził z pogardą Red — tworzą aktorki, które w branży nazywa się lizakami, ponieważ ich głowy są dużo większe niż reszta ciała. Biorą spida, środki moczopędne i codziennie ćwiczą godzinami, żeby wcisnąć się w suknie od znanych projektantów w rozmiarze zero. Wyglądają odrażająco. Nie mają piersi. Nie mają tyłków.

— Przesunął wzrokiem po biuście Grace. — W ogóle nie przypominają prawdziwych kobiet. Nie tak jak ty — dodał niskim i ochrypłym głosem. Poczwała, że jej serce zaczyna galopować niczym bizon po równinie.

— Hej, dziecino — wyszeptał Red, przysuwając się bliżej. W nozdrza Grace uderzył cytrynowy powiew. I... czy to gra jej

wyobraźni, czy też naprawdę gwiazdor filmowy o międzynarodowej sławie oraz przedmiot pożądania wszystkich kobiet wsuwał jej rękę pod koszulę? — Pragnę cię — wyszeptał, całując ją w kark.

Grace ogarnęła panika i poczuła obrzydzenie do siebie. W łóżku była do niczego, miała na sobie nieodpowiednią bieliznę, przyjechała tu, żeby pracować, nie wygolila się, poznała go dopiero wczoraj... ale czy to ma jakieś znaczenie? Jej wnętrzności zapadły się niczym lody w upale.

Niemal słyszała pełen pogardy głos Ellie i wyobraziła sobie reakcję koleżanki, gdy jej powie, że odrzuciła umizgi Reda Campiona: „Chryste, Grace! Dlaczego? Zawsze uważałam, że jesteś rąbnięta, ale teraz już nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości”.

„No dalej — namawiał ją zuchowaty głos Ellie. — Chwytaj tę chwilę, to zdarza się tylko w marzeniach”. Kochać się z gwiazdorem filmowym...

Dać się uwieść hollywoodzkiemu bogu... Dlaczego nie? Nie masz lepszych propozycji. Drugi raz nic takiego ci się nie trafi. Opuść sobie, na miłość boską. I tak nad niczym już nie panujesz.

Gdy Red delikatnie przykrył jej usta swoimi wargami, Grace poczuła, że każde zakończenie nerwowe w jej ciele drży z podniecenia.

Jak we śnie weszła za nim do apartamentu. W chłodnym mroku sypialni o przysłoniętych oknach obrócił się ku niej i powoli wziął ją w ramiona.

Wszystko w nim tchnęło świeżością. Nie wyczuwała śladu zapachu czosnku czy tytoniu. Tylko ten cytrynowy aromat. W uszach nie miał wosku, nie wyrastały z nich włosy. Nic nieprzyjemnego nie wysuwało się z jego nozdrzy. W gęstwinie włosów na torsie nie jaśniały przeciwpożarowe łysiny. Nawet znamiona na jego aksamitnie gładkich plecach układały się w artystyczny wzór.

Sceny erotyczne w filmach zawsze wydawały się Grace nieprzekonujące.

Wszystko tam było zbyt doskonałe, zbyt ekstatyczne, bohaterowie jednocześnie doznawali orgazmów,

nikt nikomu nie wbijał paznokci w ciało, nie przyciskał kolanami włosów, nie zdarzały się kłopotliwe pierdnięcia ani kłaskające odgłosy, gdy skóra uderzała o skórę. Nie udawano szczytowania, celuloidowe postaci nigdy nie czuły zażenowania. Ale to, co teraz przeżywała z Redem, rzeczywiście sięgnęło szczytów ideału. Od momentu, gdy wziął w usta jej zeszywniałe sutki, do chwili, gdy powoli, cudownie, wszedł w jej nabrzmiące pożądaniem wnętrze. Nie doznała ostrego, szarpiącego bólu, czuła jedynie namiętne pragnienie. Red nie rozgniatał jej ciała, nie opadał na nią całym ciężarem. Od samego początku miała wrażenie, że odbywa podróż, u której kresu przeżyje coś wspaniałego. I gdy w końcu dotarła do skraju skały i stoczyła się z niej, elektryzujące drżenie przebiegło przez całe jej ciało. Krzyknęła i spojrzała na Reda. Nigdy nie przeżyła z mężczyzną takiej zmysłowej burzy, ale on nie doprowadził jej do tego w pocie czoła. Każdy jego włoszek był na swoim miejscu, z wyjątkiem tych, które powinny wyglądać na zmierzwiłone. Nieomal miała ochotę zaklaskać w dłonie, ale w tym momencie zadzwonił telefon.

Rozdział 20

Belinda nieczęsto dziękowała Bogu za to, że zesłał jej taką sprzątaczkę. Właściwie zdarzyło jej się to po raz pierwszy. W samą porę dowiedziała się, gdzie przebywa Red. Wywiad w magazynie „Przyczepa”, który w końcu trafił na biurko naczelnego, wprowadził Graysona w nerwowość, każącą mu natychmiast załatwić taki sam materiał dla swojej gazety. Na szczęście „Przyczepa” była czasopismem amerykańskim, a nie konkurencyjnym dziennikiem, ale dla Belindy nadal nie ulegało wątpliwości, że teraz ma do wyboru tylko dwie rzeczy: załatwić wywiad z Championem albo poszukać nowej pracy.

„Przyczepa” leżała na jej biurku, otwarta na rozmowie z Championem. Belinda, po raz chyba setny, przeczytała odpowiedź Reda na pytanie: „Czy jest pan seksoholikiem?”. Szczerze mówiąc, ze względu na zamiary, które wobec niego miała, lepiej byłoby, żeby okazało się, że nim jest. I dobrze byłoby, żeby sprzątaczką się nie myliła, ale tego Belinda była całkiem pewna. Do tej pory kłamstwo wyszłoby na jaw. Donosy do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych o nadużyciu statusu imigrantki, podrzucenie narkotyków do środków czyszczących, tajemnicza śmierć i ciało, którego nikt nie szuka, złożone w anonimowym grobie — były to najłżejsze z gróźb, którymi straszyla Marię.

Zemsta na Fran była słodka. Belinda odczekała, by zrobić jak największe wrażenie — tuż przed cotygodniowym zebraniem całego zespołu, gdy Fran cała się trzęsała na myśl, że będzie musiała przedstawić Graysonowi zawartość poszczególnych działów gazety. W tym kolumny z wywiadem Belindy.

— No dalej, mów. — Fran władczo postukała w swój zegarek. — Zaraz muszę iść, więc powiedz, jaką wielką gwiazdę chowasz w zanadrzu? Linde Bellingham? Trący Shaw z *Coronation Street*? Sue Pollard? Wilnelię Forsyth?

— Pudło — odparła Belinda.

— Keith Chegwin? Bob Monkhouse? — zgadywała dalej Fran, zdenerwowana pełną wyższości miną Belindy, która wyglądała, jakby przed chwilą ujrzała Najświętszą Panienkę przy automacie z wodą sodową.

— Powiedz Graysonowi, że kolejnym gościem na mojej kolumnie będzie Red Champion — wyrecytowała w końcu Belinda, triumfująco przeciągając każdą sylabę.

— Red Champion? — Fran z pewnością przewróciłaby się z wrażenia, gdyby nie to, że stała na obcasach o rozsądnej wysokości. Jeśli chodzi o obuwie, a także wszystko inne, wzorowała się na miejskiej policji. — Ten Red Champion? — wyjąkała. — Red Champion z *Legionisty*? Dorwałeś go? Jakim cudem?

Belinda odrzuciła do tyłu swoje lśniące czarne włosy.

— Dobra dziennikarka nie zdradza swoich źródeł.

Fran już miała warknąć, że Belinda wcale nie jest dobrą dziennikarką i daleko jej do tego, powstrzymała się jednak. Choć ostatnie osiągnięcie Belindy wydawało się mało prawdopodobne, jeśli okaże się prawdą, Grayson będzie zachwycony. Może nawet, pomyślała Fran, daruje sobie złośliwe uwagi na temat prowadzonego przez nią działu, które przysporzyły jej tylu upokorzeń podczas kilku ostatnich redakcyjnych zebrań. I może będzie mogła wreszcie przestać dręczyć się obawami przed utratą pracy. Uświadomiła sobie, że chyba po raz pierwszy w życiu naprawdę chce, by Belindzie się powiodło.

— Ale jak ci się to udało? — zapytała.

Belinda tylko uśmiechnęła się w odpowiedzi. Skoro ustaliła, gdzie znajduje się trudno uchwytny gwiazdor, najcięższe zadanie ma już za sobą. Skok do Paryża i przeprowadzenie wywiadu z aktorem to czysta formalność. Zarezerwowała już sobie pokój w Meurice. Koszt całego przedsięwzięcia będzie astronomiczny, ale o ile podskoczy nakład gazety, gdy opublikuje w nim rozmowę stulecia...

— Do zobaczenia — powiedziała i wybiegła z redakcji z torbą podróżną ze skóry strusia.

— Dworzec Eurostar — rzuciła pierwszemu taksówkarzowi, który się zatrzymał.

Rozdział jej życia, poświęcony *Przerwie na herbatę*, został zamknięty raz na zawsze. Nowa kolumna Belindy Black miała powitać na swych łamach największą z dotychczasowych gwiazd.

Gdy Grace się obudziła, wokół panowała cisza, wielka cisza. Znowu znajdowała się w swoim hoteliku. Podobnie jak poprzedniej nocy, Red odesłał ją tu swoją limuzyną. Ale przedtem kochał się z nią pięć razy. Tępe pulsowanie pomiędzy nogami nie było zwidem jej wyobraźni. Pięć razy! Sion nie wydolił tyle w ciągu miesiąca, a Tom ani razu przez cały czas, gdy byli razem, choć mówił, że Grace „będzie łatwo rodzić”. Miała wrażenie, że Red dałby radę jeszcze więcej. Pięć razy!

Wolałaby zostać w jego wspaniałym apartamencie, niż wracać do swego pokoju, ale Red nalegał, by wróciła do siebie — ze względu na nią, jak powiedział, całując ją — bo w przeciwnym razie ryzykuje, że przez okna sypialni wsuną się teleobiektywy, a jej zdjęcia ukażą się na pierwszych stronach gazet. Czy naprawdę tego chce? — zapytał, całując ją w szyję. — Tak — odparła bez wahania Grace, uśmiechając się

promiennie. — Niech cały świat się dowie. Żartuję tylko — dodała szybko, gdy zobaczyła, że twarz Reda stężała nagle.

Aktor uśmiechnął się z wyraźną ulgą, która rozjaśniła jego zaniepokojoną twarz.

— Kochanie, najchętniej zatrzymałbym cię przy sobie, ale będę pracował przez całą noc.

— Naprawdę? — Grace zamrugnęła ze zdziwienia. Przez cały wieczór, gdy się kochali, wciąż były telefony i co jakiś czas Red wdawał się w ożywioną rozmowę. Wyglądało na to, że chodzi o jakieś spotkanie z kimś, kto skądś wrócił. Ale przecież ten ktoś nie przyjdzie tutaj teraz, żeby się z nim zobaczyć?

— To znowu ten facet od dialogu — wyjaśnił Red po kolejnej rozmowie, tymi kilkoma słowami gasząc wszystkie obawy Grace. — Chyba ma paranoję — dodał z westchnieniem.

Oczywiście, liczy się przede wszystkim film, pomyślała. Nie miała pojęcia, że po jego nakręceniu jest jeszcze tyle pracy. Dlaczego nie mogli tego zrobić jak należy za pierwszym razem?

Red uśmiechnął się, gdy go o to zapytała.

— Dziecino, niektóre fragmenty dialogu trzeba powtarzać bez końca.

— Jesteś takim perfekcjonistą... — powiedziała z podziwem. Zmrużył oczy.

— Trafiałaś w dziesiątkę. Chyba należę do tych facetów, którzy nigdy nie są zadowoleni.

— Na czym dokładnie polegają postsynchrony? — zapytała Grace, pragnąc okazać zainteresowanie również techniczną stroną pracy Reda.

— Ciężko dyszysz i miotasz się po podłodze? — Kiedyś coś czytała na temat ćwiczenia głosu.

W oczach Reda pojawił się błysk.

— Coś w tym guście.

Grace postanowiła zażartować, by rozluźnić atmosferę, która nagle stała się napięta.

— Już wiem, o co chodzi... — oświadczyła. — Gdy tylko stąd wyjdę, zjawi się u ciebie parę dziewcząt z *Moulin Rouge*.

Nie rozbawiło to jednak Reda. W każdym razie nie od razu. Jego oczy zwięzły się, ale po chwili zebrał się w sobie.

— Jak zwykle masz rację, skarbie. Przy *Moulin Rouge* pracowało kilka kobiet dźwiękowców.

Nagle zadzwonił telefon przy łóżku.

— *Ne quittez pas* — powiedział aktor. Serce zatłukło się w piersi Grace.

— Red!

— Muszę się spieszyć — oświadczył. — Spotkamy się w barze Meurice w porze obiadowej. O pierwszej po południu.

Grace zamrugała. Wyjdzie z apartamentu? Pokaże się na dole, gdzie ludzie mogą go rozpoznać? Czyżby nagle z jakiegoś powodu stał się mniej podejrzliwy wobec świata zewnętrznego? Pozwoliła sobie na chwilę ekstatycznej nadziei — może to ona była tego przyczyną?

Ale choć czuła takie podniecenie, że skręcał jej się żołądek, z poczuciem winy pomyślała o wydawnictwie.

Nakręciła numer Hatto. Tak jak się spodziewała, Ellie była w biurze — odkąd zajęła się pracą redakcyjną, przesiadywała w biurze znacznie dłużej. I również, jak Grace się spodziewała, nie była zachwycona, że została sama.

— Poradzisz sobie jeszcze trochę beze mnie? — zapytała Grace. —

Przecież chyba nic się nie dzieje. Jak zwykle zresztą.

— Nie o to chodzi — warknęła Ellie. — Co ty tam robisz?

— Opowiem ci, jak wrócę. To już niedługo, przysięgam.

Podniecona, choć z lekkim poczuciem winy, zgodnie z umową weszła w porze obiadowej do baru w Meurice.

Na suficie był wymalowany zachód słońca, a na jednej ze ścian zamek.

Całe pomieszczenie ożebrowane było połączanymi pilastrami i

zastawione obitymi czerwona skórą fotelami. Żaden nie był zajęty, tylko jeden gość siedział w rogu, ukryty za gazetą.

Grace wybrała stolik naprzeciw głównego korytarza, by zobaczyć Reda, gdy tylko się pojawi. W przepysznym różowo

-złotym westybulu mała dziewczynka o jasnych włosach ze śmiechem biegała po pękach róż, stanowiących wzór dywanu.

Pierwsza po południu, powiedział Red. Kiedy zegarek Grace wskazał piętnaście po pierwszej, część podniecenia zdążyła z niej wyparować.

Ależ to oczywiste, pomyślała. Niepunktualność gwiazd jest powszechnie znana. A może Coś Się Wydarzyło, przecież Red jest w końcu jedną z najsłynniejszych osobistości. Niewykluczone, że prezydent Bush zaprosił go na późne śniadanie albo Madonna zaproponowała, by polecieeli razem do Juan-les-Pins na kolację.

— *Madame?* — usłyszała nagle.

Pochylał się nad nią kelner w białej kurtce, trzymający w rękach srebrną tacę. Wytracona nagle ze swego marzenia na jawie, zastanawiała się, jak długo ten człowiek tu stoi.

— Dla mnie na razie nic — powiedziała. — Czekam na znajomego. — Już wcześniej wykluczyła wszystko z barowej karty, gdy sobie wyliczyła, że nawet jedna Krwawa Mary będzie ją kosztować tyle, co dwutygodniowe przejazdy metrem.

Kelner jednak nie odchodził. Grace spojrzała na niego wojowniczym wzrokiem. Czyżby zamierzał policzyć jej za zjedzone orzeszki?

— Telefon do pani, *madame* — powiedział i podsunął jej pod nos tacę, na której leżała maleńka komórka.

Grace z zakłopotaniem rozejrzała się wokół. Ku jej uldze, nikt na nią nie patrzył. Mężczyzna w kącie nadal czytał gazetę.

— Halo?

— Hej, dziecino. — Ton głosu Reda sprawił, że jej serce natychmiast opadło w majtki.

Uspokój się, napominała samą siebie Grace.

— Gdzie jesteś? — zapytała. Z pewnością zagarnęła go Madonna. Tak, jak się spodziewała.

— Niedaleko. Grace rozejrzała się.

— Nie widzę cię.

— Popatrz uważnie.

Grace rozejrzała się ponownie. Czyżby schował się za narożną kanapą? Pod stołem? A może przebrał się za któregoś z kelnerów? Niemożliwe, wszyscy sięgali mu do pasa. W westybulu, przebrany za gońca? Wstała i zerknęła szybko w głąb korytarza, lecz i tam nikogo nie było. Z komórką nadal przytkniętą do ucha powróciła do baru. Może Red wszedł tam i znowu wyszedł podczas jej nieobecności?

Znowu się rozejrzała. Może mężczyzna ukryty za gazetą coś dostrzegł. Pogrzebała w pamięci, mobilizując całą swoją mizerną znajomość francuskiego, i ruszyła śmiało naprzód.

— *Excusez-moi...* — Gdy gazeta opadła, Grace wzdrygnęła się mimowolnie. Wyświechtane ubranie i podniszczona wełniana czapka, naciągnięta prawie na oczy, przypominały jej Teneb-risa Luksa. Tyle że nawet Tenebris Luks nie miał tak brudnej twarzy. Oczy, które spojrzały na nią spod gęstych, zmierzwionych brwi, były żółte i przekrwione, a gdy mężczyzna w uśmiechu rozchylił usta, ukazały się poczerniałe pieńki zębów.

— Hej! — odezwał się po chwili. Grace znieruchomiała.

— Red?

— Zgadłaś.

Teraz go rozpoznała. Pod warstwą brudu, kępkami zarostu i obrzydliwymi kurzajkami dostrzegła delikatną szczękę i gładką opaloną skórę. Poznała też te jedyne w świecie, choć pożółkłe i przekrwione, błękitne tęczęwki.

— Dlaczego tak wyglądasz?

— To przebranie — odparł beztrąsko Red. — Doskonale się sprawdza. Powinnaś była widzieć, jak szybko opustoszał bar, kiedy wszedłem. Musiałem wybulić sporo forsy, żeby wynagrodzić hotelowi straty. Grace wcale się temu nie dziwiła. Nawet jak na Paryż, miasto pełne kloszardów, Red wyglądał okropnie.

— Jak to zrobiłeś?

— Fałszywa szczecina, fałszywe brwi, sztuczny brud, żółte krople do oczu, doklejone kurzajki, odpowiednia garderoba

i poczernienie paru zębów — wyliczył z satysfakcją Red. Musiał w tym celu wykonać parę telefonów. Jeden do dyrektora hotelu, któremu trzeba było o tym powiedzieć, by go nie wyrzuciono. — Chociaż — dodał na koniec — to byłoby jeszcze bardziej przekonujące. Na taki numer wszyscy paparazzi daliby się nabrać.

Uśmiechnął się do Grace i oświadczył:

— A więc dzisiaj, dla odmiany, będę miał normalny dzień. Jak zwykły człowiek.

Grace doszła do wniosku, że normy normalności Reda znacznie różnią się od jej własnych. Ale tego należało się spodziewać. Choć starał się uchodzić za anonimowego włóczęgę, ściągał na siebie wszystkie spojrzenia. Goście hotelowi, wtajemniczeni lub nie, spoglądali na niego przerażonym wzrokiem.

— Sam zrobiłeś sobie ten makijaż? — zapytała. Potrząsnął głową.

— Znajomy charakteryzator akurat mieszka w Paryżu — odparł.

— Jakaś dziewczyna z *Moulin Rouge* — zażartowała Grace. Red nie odpowiedział. Podniósł się na nogi w popękanych, zdartych butach sportowych i brudną dłonią z żalobą za paznokciami mocno naciągnął na oczy swoją wełnianą czapkę.

— Chcesz ruszyć w miasto? Pomyślałem, że moglibyśmy obejrzeć jakieś ciekawe widoki.

— Jesteś pewien? — zapytała z powątpiewaniem Grace.

— Pewien? — Spojrzał na nią i przewrócił swoimi niebiesko-czerwono-żółtymi oczyma. — Dziecino, przy tobie jestem pewien wszystkiego.

Grace ruszyła za nim do wyjścia z sercem przepelnionym szczęściem.

„Uszczypnijcie mnie — zapisała Belinda w swoim notatniku. — Oto siedzę w westybulu jednego z najwspanialszych paryskich hoteli, czekając na audiencję u jednej z najsłynniej-

szych osobistości świata. Red Champion, gwiazda najbardziej kasowych filmów w historii kina akcji, zawitał do francuskiej stolicy. A ja, szczęściara, poruszyłam góry, by zdobyć wywiad na wyłączność z aktorem, który pragnie wyłączyć się ze świata". Przerwała pisanie. Chyba nie ma sensu pisać prawdy, pomyślała. Nie zgodził się na wywiad, lecz ponieważ ma słabość do kobiet, liczyła na to, że prędzej czy później przejdzie korytarzem i dostrzeże ją. Na razie jednak musi zapełnić tyle linijek, przeznaczonych na wywiad, ile się da. Gdy już znajdzie się w pokoju Campiona, nie będzie przecież marnować czasu na gadanie. Mając precyzyjnie ułożony plan, ubrała się tak, by żaden mężczyzna nie mógł jej się oprzeć. Nie ma mowy, żeby Champion nie zwrócił na nią uwagi. Stosunek odkrytej powierzchni ciała Belindy do zakrytej miał się jak 70 do 30, a jej osłonięte wdzięki przykrywała wyłącznie czarna skóra. Miała też na sobie bardzo skąpą bieliznę — po co stwarzać dodatkowe przeszkody? Jej króciutki skórzany żakiet kosztował fortunę, ale Vignoles po prostu będzie musiał uznać ten wydatek za inwestycję. Jeśli wszystko pójdzie według planu, będzie bardzo zadowolony.

— Czym mogę służyć, *madame*?

Uniosła wzrok i ujrzała mężczyznę o oliwkowej twarzy i końskich zębach. Kolejny hotelowy zarządca średniego szczebla, jak w tym cholernym Garage, pomyślała. Musi mieć jednak nadzieję, że to dobry omen. Wywiad z Champagne D'Vyne okazał się sukcesem, co prawda jak dotąd jedynym.

— Niczego mi nie trzeba, dziękuję — warknęła. — Mam tu pokój.

— Wiem o tym, *madame*. Czeka pani na kogoś? Jeśli uprzedzi pani recepcją, skierujemy pani gości do numeru.

— Odczep się pan, dobrze? — syknęła Belinda, wojowniczo zaciskając ręce. Nie miała zamiaru przyznawać, że osoba, której oczekuje, znajduje się już w hotelu. Widziała grupę paparazzich przy drzwiach — musi dopaść gwiazdora, zanim oni to zrobią. Nie pojawił się jednak jeszcze.

Patrząc na odchodzącego lśniącym korytarzem hotelarza, zastanawiała się, jak długo będzie musiała czekać. Nie sądziła, że wdarcie się do pokoju Campiona okaże się takie trudne.

Parę minut później każda żyłka w jej ciele zeszywniała, oczy niemal wyszły na wierzch, dłonie zadrżały, a włosy na karku zjeżyły się. To niewiarygodne, niemożliwe... Gdy podszedł bliżej, Belinda uniosła się z krzesła.

Co ten odrażający włóczęga robi w hotelu tej klasy? Jak się tu dostał? Dlaczego mu na to pozwolono? Goście przybywają do takiego miejsca jak to, by nie stykać się z podobnymi kreaturami. Uniosła znacząco czubek nosa, kiedy kloszard się do niej zbliżał. Gdzie się podziewa ten cholerny hotelarz? Musi powiedzieć o tym w recepcji. Gdyby narobiła wystarczającego zamieszania, mogliby opuścić jej cenę za pokój. Albo nawet w ogóle zrezygnować z wystawienia rachunku. Ale z drugiej strony... Usiadła z powrotem, zakładając jedną prawie całkowicie odsłoniętą nogę na drugą. Nie, lepiej nie rzucać się w oczy. Przynajmniej nie w taki sposób.

Skrzywiła się, gdy włóczęga minął ją, szurając nogami. Odpychający stwór. A kim jest ta kobieta obok niego? Jego kuratorka sądowa? Pracownica socjalna? Czy to kolejna nedorzeczna metoda reedukacji przestępców? W każdym razie była niezła: wysoka blondynka o angielskim typie urody. Z jakiegoś powodu wyglądała na szalenie zadowoloną z siebie. Z pewnością jest świrnięta.

Grace zaśmiała się w duchu, kiedy kobieta, którą mijali, z wyraźnym niesmakiem uniosła nos. Po pierwsze, jak mogłaby cokolwiek wyczuć, skoro wokół roztaczał się duszący zapach jej własnych perfum — Poison, Giorgio, Beverly Hills czy cokolwiek to było, wypełniało westybul tak silną wonią, że łzy napływały do oczu. A Red pachniał tylko swoją cytrynową wodą kolońską. Poczowała ukłucie strachu na myśl, czy ktoś

o wyczulonym węchu nie zauważy braku włóczęgowskiego odoru i nie nabierze podejrzeń.

Nie musiała się jednak niczego obawiać. Przebranie działało niczym czarodziejskie zaklęcie. Fotoreporterzy, tłoczący się na mozaikowym chodniku przed hotelem, nawet nie unieśli wzroku, gdy oboje przechodzili obok nich. Red szedł, potykając się, w ohydny uśmiechu ukazując poczerwiałe zęby i przewracając zażółconymi oczyma. Grace szła w ślad za nim, myśląc, że jeśliby te prasowe psy gończe miały choć trochę zmysłu obserwacyjnego, wywęszyłyby coś, widząc, że Red wyraźnie wzdrygnął się na widok swego odbicia w wypolerowanych lustrach westybulu. Albo gdyby zobaczyły, jak triumfująco wyrzucił w powietrze zaciśniętą pięść, kiedy wyszli na zewnątrz.

Był to wspaniały dzień. To znaczy zrobiło się wspaniale, gdy tylko Grace przewyciężyła wstrząs na widok przebrania Reda i gdy on sam przemógł odruch niechęci na widok plakatu z Russellem Crowe'em. A więc to prawda, uświadomiła sobie Grace. Zabrała go na szczyt Łuku Triumfalnego.

— Co za wspaniałe widoki! — wykrzykiwała z zachwytem, spoglądając przez barierkę na rozciągające się w dole bulwary. Gdy samochód za samochodem wylaniał się z prowadzących do nich ulic, by włączyć się w szalony, zmotoryzowany balet na Etoile, stwierdziła, że przyglądanie się sznurowi aut jest bardziej fascynujące niż seans filmowy. — O Boże, chyba nie powinnam była tego mówić — wymamrotała po chwili.

Red uśmiechnął się krzywo.

— Wszystko jest bardziej fascynujące niż film. Rzadko się zdarza, by było inaczej. Mam rację?

Grace przytaknęła.

— Owszem.

W tym momencie zabręczała komórka. Red wyciągnął ją z nachmurzoną miną, popatrzył na numer na wyświetlaczu, po czym niecierpliwym ruchem wyłączył aparat.

— Weź go — powiedział, rzucając telefon Grace. — Trzymaj to paskudztwo w swojej torebce. Nie chcę, żeby mi przeszkadzano. Kiedy ruszyli po wąskich schodach w dół, turyści odsuwali się od nich z niesmakiem. Grace pomyślała, że towarzystwo tak odstręczającego typu ma pewne zalety; bo tłumy rozstępowały się przed nimi niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem.

— Popatrz tylko na nas. — Red zatrzymał się przed szybą wystawową salonu samochodowego na Polach Elizejskich. — Dama i tramp.

Wszyscy się na nas gapią. — Ku zdziwieniu Grace był bardzo zadowolony z siebie. — Pomyśl tylko — dodał po chwili — jak by na nas wytrzeszczali gały, gdyby wiedzieli, kim jestem... — Zachichotał jak dziecko i Grace również się uśmiechnęła. Choć dziwnie było słuchać głosu Reda, wychodzącego z poczerniałych, skrofulicznych ust, z zachwytem patrzyła, jak aktor świetnie się bawi.

Ale coś w niej pragnęło — coś straszliwie trywialnego i bez wątpienia płytkiego — by Red nie był w przebraniu, by wyszedł na zewnątrz swojego apartamentu we własnej postaci i by wszyscy wpatrywali się w nią z zazdrością i podziwem, a nie z litością i pogardą, jakby wędrowała z potworem z Notre Dame.

Jednakże trudno czuć się nieszczęśliwym w Paryżu, gdy wokół jest tyle pięknych rzeczy do oglądania.

Kiedy płynęli Sekwaną *bateau-mouche*, pokazywała Redowi mosty i wyjaśniała, że Pont-Neuf jest najstarszy. Słuchał jej z urzekającym uśmiechem, który by ją oczarował bez reszty, gdyby nie musiała patrzeć na jego obrosłe szczeciną i pokryte kurzajkami usta. Zabrała go potem na najwyższe piętro Samaritaine, do kawiarni, w której sączyli czerwone wino, jedli owoce morza i spoglądali z góry na Ile de la Cité, a ona opowiadała swemu towarzyszkowi o ostatnich dniach Marii Antoniny w Conciergerie. „Zupełnie jak na rozdaniu Oscarów” — stwierdził ponuro Red, gdy opisała mu scenę egzekucji.

Przespacerowali się po Pont-Neuf, gdzie przyprawione brwi

Reda uniosły się ze zdziwieniem, kiedy wspomniała, jak drogie są apartamenty na Place Dauphine. Potem siedzieli, machając nogami, na skraju wysepki, której spiczasty koniec zanurzał się w Sekwanie, i patrzyli, jak zamulone wody rzeki rozdzielają się i płyną obok nich. Odwiedzili Sainte-Chapelle i długo stali w kolejce, a Red był tym zachwycony, bo było to dla niego zupełnie nowym doznaniem. Stojąca za nimi grupa turystów ze środkowej Anglii cofnęła się z odrazą na ich widok. Kiedy znaleźli się w środku, z zachwytem wyjrzelili przez okna, buchające kolorami i światłem.

— O rany! — zawołał Red, gdy wyszli. — Świetnie się bawię. To było naprawdę wspaniale.

Grace roześmiała się.

— Przecież zachowujemy się tak jak wszyscy. Odwiedzamy wszystkie oklepane atrakcje turystyczne.

— Co dalej? — dopytywał się Red.

— Możemy teraz „polizać” trochę wystaw, jak mawiają Francuzi.

— Co takiego? Polizać wystawy?

— To znaczy zrobić zakupy — zachichotała Grace.

Targ na rue Levis zawsze dostarczał jej mnóstwo uciechy, a może teraz odwiedzą ten elegantszy, na rue Clet. Red bez wątpienia doceni urok normalnego kupowania żywności, oglądania, jak kurczak piecze się na rożnie, rozmaitość pieczywa w piekarni, koła serów, tace *traiteurs*. Nawet jeżeli, biorąc pod uwagę jego wygląd, *traiteurs* nie będą zbyt zachwyceni widokiem kloszarda w swoich sklepach.

— Doskonale — oświadczył Red. — Przydałoby mi się parę rzeczy od Gucciego.

— Ach, tak... — mruknęła z rozczarowaniem Grace. Sprzedawczyni w butiku na rue du Faubourg St Honoré z lodowatym zdumieniem patrzyły na mężczyznę w wymiętym ubraniu i popękanych sportowych butach, wchodzącego do ich przybytku.

— Czym możemy służyć, *monsieur*!

Red rzucił im wyniosłe spojrzenie wielkiego księcia Hollywoodu, mówiące: „Czy wiecie, kim jestem?”. Nie, ale wiemy, jak wyglądasz, odpowiedziały mu ich oczy. Grace uświadomiła sobie w tym momencie, że Red zupełnie zapomniał o swoim przebraniu. Nie odpowiadając na pytania ekspedientek, zaczął ściągać stroje z wieszaków. Przerażone sprzedawczynie biegały dookoła niego.

— *Monsieur* — piszczały.

— Szukam czegoś dla *madame*.

Powieki szefowej zatrzepotały gwałtownie. Grace trąciła Reda łokciem.

— Daj spokój — wymamrotała.

Tylko jedna sukienka z tego sklepu — a pewnie nawet jeden podkoszulek — pochłonie jej wielomiesięczne zarobki. Zarumieniła się, patrząc na sprzedawczynię, obrzucającą pełnym dezaprobaty wzrokiem jej nieuczesane włosy i bluzkę, która, choć całą noc wisiała w łazience, by się rozprostować, nadal była pomarszczona jak śliwka. Nie ulegało wątpliwości, że w tym butikku nie mieli działu używanych ubrań. A tym bardziej ostatnich kreacji włóczęgowskiej mody.

— Wyluzuj się, dziecko — uśmiechnął się do niej Red. — Płacę za wszystko. Chcę, żebyś była szykownie odstawiona.

— *Monsieur* — wtrąciła się sprzedawczyni — jeśli chodzi panu o coś szczególnego...

Grace zrobiło się jej prawie żal, choć tak zadzierała nosa. Ale musiała dbać o swój towar, a Red nie wyglądał nawet na skąpego bogacza.

Aktor zdjął z wieszaka spodniem z czerwonej skóry i przyłożył je do Grace.

— Będiesz w tym świetnie wyglądała — oświadczył. Brwi sprzedawczynie poszybowały w górę, a Grace przełknęła ślinę. Nigdy dotąd nie miała na sobie niczego równie ekstrawaganckiego. Ale ten strój sprawiał wrażenie o wiele za małego.

— I to... — Red podał jej czarną sukienkę z gorsetem. — I jeszcze to. — Tym razem był to dopasowany żakiet z kremowego zamszu.

— Tędy, *madame*. — Uświadomiwszy sobie, że nie ma wyboru, sprzedawczyni z lodowatą miną wskazała Grace drogę do przebieralni. Grace, również zdając sobie sprawę, że nie ma wyboru, skierowała się w tamtą stronę, choć serce w niej zamarło. Nienawidziła wszelkich przebieralni — zarówno tych wspólnych, gdzie dostrzegła nagle, że ma na sobie najstarszy i najbardziej poszarzały stanik, i tych maleńkich pojedynczych kabinek, w których żołądkiem uderzało się w lustro. Ale przebieralnie w tym butiku nie miały nic wspólnego z żadną z powyższych kategorii. Stojąc samotnie w pomieszczeniu wielkości garażu, Grace z podziwem wpatrywała się w swoje odbicie w spodnium z czerwonej skóry.

Musiła z niechęcią przyznać, że jej matka miała trochę racji. Lady Armiger wielokrotnie podkreślała efekt eleganckiego stroju. Grace jednak, podejrzewając kolejny fortel, mający zrobić z niej wielkoświatową damę, nie wierzyła jej słowom. Aż do tej pory. Rozburzając włosy na ramionach, wyszła z przebieralni.

— Jak ci się podoba? — zapytała Reda.

Przechylił głowę najpierw w lewo, a potem w prawo. Powoli przesunął wzrokiem po całym jej ciele. Grace czuła w dłoniach ukłucia strachu. Czyżby jednak wyglądała w tym stroju okropnie?

— Rzuciłaś mnie na kolana — oznajmił po chwili, błyskając swoim promiennym uśmiechem, od którego jej żołądek zawirował niczym pralka. — Masz wspaniałe nogi, dziecino — zawyrokował. — Obejrzyjmy teraz resztę. Chodzi mi oczywiście o ubrania — dodał pospiesznie, gdy sprzedawczyni zacisnęła wargi.

Wsuwając się w czarną suknię z gorsetem, Grace żałowała, że swoich wspaniałych nóg częściej nie niszczyła ani nie nawilżała. A jednak suknia była tak skrojona — zebrana w talii i ucięta w miejscu, gdzie uda najlepiej wyglądają — że wspaniale uwydatniała jej kształty, odwracając uwagę od czegokolwiek innego. Wydawało się, że jej talię można objąć dłonią,

a piersi wystawały z gorsetu, wylewając się z niego niczym załamujące się fale.

— Fantastyczne — oświadczył Red, gdy Grace małymi kroczkami — suknia była tak obcisła, że nie pozwalała na nic innego — przedfilowała po marmurowej podłodze sklepu.

Potem przebierała się szybciotko raz za razem. Żakiet z zachwycającą w dotyku, chłodną, jedwabną podszewką Red uznał za równie wspaniałą, dorzucił do tego torebkę z krokodylej skóry, szal z cielejącej sierści, biały top bez rękawów z jakiegoś cudownego materiału, który się nie gniece. Podobało mu się wszystko, a Grace, przewyciężywszy nieśmiałość, z radością wcieliła się w supermodelkę. Sprzedawczyni, siedzące na zapleczu, od czasu do czasu wyłaniały się stamtąd, by wręczyć Grace ubranie w innym rozmiarze — zazwyczaj mniejszym niż ten, który nosiła.

— Ale przecież nie możesz zapłacić za to wszystko — wyjąkała, gdy Red rzucił swoją kartę kredytową na ladę.

— Wyluzuj się, dziecino — powiedział beztróska Red. — Gdybym chciał, wykupiłbym całą tę firmę.

Sprzedawczyni spojrzała bez zainteresowania na nazwisko, widniejące na karcie — i nawet jeśli je rozpoznała, najwyraźniej nie skojarzyła tego R. Campiona z jego słynnym imiennikiem. Z dezaprobatą wcisnęła klawisze. Maszyna zabrzczała radośnie i kilka tysięcy dolarów zostało przelanych z rachunku Reda na konto sklepu. Grace pomyślała, że gdy tylko wyjdą, sprzedawczyni natychmiast zadzwoni na policję, podejrzewając, że karta została skradziona.

Wyszli na zewnątrz. Na ramieniu Grace ciężko dyndały torby. Czuła się tak, jakby niosła bardzo kosztowną bożonarodzeniową choinkę.

— Przydałaby się taksówka — stwierdził Red i wyciągnął rękę w podartym, poplamionym przeciwdeszczowym płaszczu.

Jednak żadna się nie zatrzymała. Paryscy taksówkarze, podobnie jak sprzedawczyni, najwyraźniej nie potrafili dostrzec, że pod zszarganymi łachami włóczęgi kryje się jedna z najjaśniejszych supergwiazd.

Gdy w końcu Grace udało się zatrzymać taksówkę, Red wrzucił do środka wszystkie torby i powiedział coś do kierowcy.

— Jedzie bez nas! — zawołała Grace, gdy taksówka pomknęła ulicą. —
A nasze zakupy?

— Zabierze je do hotelu, gdzie zostaną przeniesione do mojego apartamentu. Wracamy transportem publicznym — odparł Red. W metrze siedzieli naprzeciwko konkurencyjnego, jeszcze bardziej obdartego włóczęgi, który okropnie śmierdział i przewracał kaprawymi, podejrzliwymi oczyma, patrząc na Reda, a potem podrzucił nagle trzymaną na kolanach miednicę, odsłaniając otwarty rozporek i wystający z niego penis.

— Wiesz — powiedział Red, gdy wysiadali przy Tuileries — ten facet był pierwszą osobą, która nie całkiem dała się nabrać na moje przebranie. I znowu żaden z fotoreporterów nawet nie uniósł głowy, gdy Red i Grace wchodzili do hotelu. W prywatnej windzie, wiozącej ich do apartamentu w nadbudówce, Red zerwał z głowy czapkę, przejechał rękoma po włosach i oderwał brwi. Gdy wysiedli, przypominał już trochę siebie.

— Napijesz się czegoś? — zapytał. Grace skinęła głową.

— Owszem, proszę.

Kiedy drzwi apartamentu otworzyły się przed nimi, Grace uśmiechnęła się radośnie, patrząc na rząd eleganckich toreb sklepowych, które niewidzialne ręce ustawiły pod ścianą. Łatwo przywykłyby do takiej obsługi.

Red tymczasem podszedł do migającej automatycznej sekretarki i odsłuchał wiadomości, a potem z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu zniknął w łazience. Przebywał tam przez jakiś czas, Grace słyszała, jak z ożywieniem rozmawia przez telefon, który widziała przy sedesie. Znowu będzie pracował nad dialogami? Niekoniecznie, równie dobrze mogło chodzić o coś innego. Ma przecież agentów i rzeczników na całym świecie. A jeden z nich, pomyślała z zadowoleniem, jest teraz

właśnie tutaj, w jego apartamencie. To był wspaniały dzień. Red też wydawał się wniebowzięty. Z pewnością nawet dla niego były to niezwykle spędzone godziny.

Serce podskoczyło jej do gardła, gdy aktor wyłonił się z łazienki. Choć się uśmiechał, na jego twarzy widać było zdenerwowanie. Bez słowa zaciągnął ją do sypialni i jednym ruchem rozpiął jej dzinsy. Wszedł w nią, zanim się zorientowała, szybko, gwałtownie. Wstrząśnięta i zachwycona, ledwo zdołała złapać oddech. Nikt jej nigdy tak nie potrzebował. Jego nienasycone pożądanie niezwykle jej pochlebiało.

Kiedy już było po wszystkim, wyslizgnęła się do łazienki i weszła pod prysznic. Red poszedł za nią i przycisnął ją do ciepłego marmuru.

— Jesteś przecudowna — wymamrotał.

Odchylił ją do tyłu, wsunął jej twarz pod płynącą wodę i znowu w nią wszedł. Chciało jej się chichotać, gdy zaczął uderzać ją rytmicznie o marmurową ścianę, ale się powstrzymała. Jak zdążyła się przekonać, Red traktował seks niezwykle poważnie. Ogarnęło ją znajome uczucie, że całe wnętrze ma wywrócone na zewnątrz, i już było po wszystkim. Ale czy rzeczywiście? Całował jej mokre sutki i wargi, przykładając jej rękę do swojego krocza. Jego penis znowu się podnosił. Tak bardzo jej pragnął. A ona jego. Czy to mogła być miłość? — zastanawiała się z drżeniem Grace.

Rozdział 21

Przebranie się za pokojówkę było według Belindy genialnym posunięciem. Nawet jeśli to artykuł w „Przyczepie”, wspominający o tym, że Reda złapano *in flagranti* z hotelową sprzątaczką, nasunął jej ten pomysł. Skoro nie pojawił się osobiście, by ją do siebie zaprosić, musiała posłużyć się swoim dziennikarskim sprytem, by uzyskać dostęp do jego apartamentu. Było to z pewnością idealne przebranie, choć musiała włożyć na siebie odrażającą białą bluzkę, czarną spódnicę i buty niemal na tak płaskim obcasie, jak policja miejska, na której wzorowała się Fran. Teraz tylko powinna, tak jak reszta służby, kręcić się wszędzie, sprawiając wrażenie, że jest bardzo zajęta. I musi wykorzystać pierwszą okazję, by wślizgnąć się do prywatnej windy, prowadzącej do apartamentu w nadbudówce.

Kiedy przechodzący gość rzucił jej pytające spojrzenie, popatrzyła na niego wyzywająco. Co w tym złego, że pluje na lustro? A jak inaczej można je wyczyścić?

Odkrycie odkurzacza, który stał na korytarzu, okazało się bardzo pożyteczne. Mogła teraz udawać, że zajmuje się nadbudówką i jej lokatorem. Wydawało jej się to proste — dopóki nie zaczęła ciągnąć wielkiego odkurzacza korytarzem do prywatnej windy. Ta cholerna machina ważyła chyba z tonę. Może powinnam płacić Marii więcej, pomyślała. Ale z drugiej strony

ta kobieta oszczędza fortunę na opłatach za siłownię. Kosztowałoby ją to przynajmniej czterdzieści funtów za sesję z prywatnym trenerem, więc powinna uważać się za szczęściarę.

Klnąc pod nosem, ciągnęła odkurzacza po dywanie. To wszystko było poniżej jej godności. Wcale nie czuła się jak Woodward i Bernstein, bardziej przypominało jej to działania ostatnich pismaków. Do diabła z Kevinem Graysonem. Czego on chce — krwi? Głupie pytanie, oczywiście, że tak. Był w końcu człowiekiem, który zbudował swoją reputację na krwawych sensacjach. Jego reguła dotycząca nowiny na pierwszą stronę: „Jeśli krwawi, to bawi” — nie wzięła się przecież znikąd.

To zadanie nie powinno być zbyt skomplikowane — oczywiście z chwilą, gdy już dostanie się do pokoju Reda Campiona. Ukryta pod białą bluzką i czarną spódnicą bielizna Belindy była w najwyższym pogotowiu. Jej bitewny oręż stanowiły obszyte czarną koronką jedwabne stringi z rozcięciem w kroczu oraz dopasowany do nich jedwabny stanik z dziurkami na sutki, w którym jej piersi wyglądały jak biust seks gwiazdy. Red na pewno nie zdoła jej się oprzeć. Misja, która nakazywała jej odwiedzanie domów i pokojów hotelowych tylu rzekomo obiecujących osobistości, gdzie spotykało ją tylko rozczarowanie, wreszcie zostanie zakończona.

Taki był plan, jednak wcześniejsze doświadczenia Belindy nakazywały jej ostrożność. Jak już wiedziała, osobistości ze świecznika rzadko zachowywały się tak, jak się tego po nich spodziewano. Nic nie było pewne. Nawet tak stuprocentowo celny strzał jak ukazanie się w najwytworniejszej bieliźnie słynnemu seksoholikowi.

Podjęła zatem kroki, by się upewnić, że cokolwiek się stanie, w przeciwieństwie do jej nieudanych spotkań z Brianem Stone'em, Stanem, Peregrine'em i tym cholernym Somerville'em, z tej historii nie wyjdzie przegrana. Ale gdyby nawet — choć wydawało się to absolutnie niemożliwe — Campion okazał się nieczuły na jej wdzięki, wpadła na pomysł, który wydawał jej się doskonałym sposobem zbitcia kapitału na ich spotkaniu.

Zdawała sobie sprawę, że o wywiadzie nie ma mowy. To wiązało się z zadawaniem pytań, a nie była odpowiednio ubrana na taką okazję. Co innego zdjęcia. Przekazywały tyle co tysiące słów — i dzięki nim gazeta sprzedawała się w milionach egzemplarzy. Dlatego właśnie pomiędzy piersiami ukryła mały aparat fotograficzny, który kupiła — z niemałymi trudnościami, biorąc pod uwagę jej ograniczony francuski — dzisiaj rano. Była prawie pewna, że prawidłowo potrafi naciskać autoflesz, miała też absolutną pewność, że jeśli Red natychmiast nie rozgorzeje do niej namiętnością, wystarczy, że rozedrze bluzkę i rzuci się w jego ramiona, a aparat wszystko to uwieczni. Błysk, bang, buch — „Ruchawka z Rekordowym Redem” na całą pierwszą stronę. Kevin Grayson popłacze się z radości, a ona będzie miała zapewnioną pracę.

Była więc gotowa. Musi tylko dostać się do tej prywatnej windy, na to prywatne piętro i do tego prywatnego pokoju. Oznaczało to, że ma tu stać, obok nieustępliwie zamkniętych drzwi windy, i czekać, aż się otworzą. Dopóki to się nie stanie, będzie odkurzać dywan na korytarzu, aż stanie się kompletnie łysy.

W swoim małym pokoju hotelowym Grace wpatrywała się w e-mail, który właśnie przyniósł jej uprzejmy dyrektor. Widniał na nim adres hotelu Meurice, nie ulegało więc wątpliwości, kto go przysłał. Ponownie przeczytała kilka suchych linijek:

Dla Panny Grace Armiger

Nie mogę się dzisiaj z tobą spotkać, bo wyskoczyło mi parę rzeczy.

Zadzwoń niebawem.

Podeszła do otwartego okna, oparła łokcie o małą żelazną balustradę i wpatrzyła się w ptaki, krążące po bladoniebieskim niebie. Tak bardzo zazdrościła im wolności, tego, że mogą wzlatywać i przysiądać, gdzie tylko zechcą. Nawet na tarasie Reda, gdyby im przyszła taka ochota. Zupełnie inaczej niż ona.

W czasie wczorajszej wyprawy po zakupy Red nie wspominał, że następnego dnia ma cokolwiek do załatwienia. Znowu się kochali, a potem odesłał ją limuzyną do jej hotelu ze wszystkimi zakupami. Była pewna, że spotkają się ponownie następnego dnia i jak zwykle zjedzą razem obiad. Jak zwykle... Szybko do tego przywykła, do życia u boku gwiazdy. Przyzwyczała się do sławy Reda, twarzy i kiłku innych części jego ciała.

Wiaterek zmarszczył kartkę, którą trzymała w ręce. „Wyskoczyło mi parę rzeczy...”. Zastanawiała się, co też to mogło być takiego. Nagłe spotkania, niespodziewane wydarzenia, które wynikły w ostatniej chwili, są bez wątplenia na porządku dziennym, gdy się jest Redem Championem. Postsynchrony, być może dziewczęta z *Moulin Rouge*... cha, cha. Ale ten dowcip nigdy go zbyt nie śmieszył.

E-mail... Dziwny sposób zawiadomienia jej o zmianie planów. Ale właściwie dlaczego nie? Bez wątplenia nie chciał tracić czasu, pragnął zawiadomić ją tak szybko, jak tylko zdołał. Musi przyjąć to spokojnie, jak dziewczyna gwiazdora — bo czyż nią teraz nie była? Na samą tę myśl Grace poczuła igielki podniecenia w stopach. Będzie musiała pogodzić się z mnóstwem takich rzeczy, jeśli ich związek ma trwać nadal. A niby dlaczego nie miałyby trwać nadal? Spędzili cały wczorajszy dzień na zwiedzaniu, kupowaniu, siedzieli na brzegach Sekwany, a wieczorami i nocami na jego tarasie... w każdym razie przebywali na nim część nocy. To musi być miłość.

Uznała, że najlepiej da dowód swego uczucia, pracując nad jego książką. Oszołomiona szampanem, seksem i całym tym ogólnym zamieszaniem, trochę ją ostatnio zaniedbała. Na myśl o czekającym ją zadaniu serce na chwilę jej zamarło. Ale właściwie dlaczego, pomyślała, skoro mam jej tyle do zawdzięczenia? Po pierwsze, dzięki tej książce poznała Reda. Będzie bardzo zadowolony, kiedy się dowie, że Grace nad nią pracuje. Jedyne problemy polegały na jej zobowiązaniach wobec Londynu i Omnicorpu. Ale przecież załatwiła sprawy w Paryżu,

zdobyła medialny wizerunek Reda Campiona. Nikt nie wspominał, by miała dokonać czegoś więcej.

Po tym wszystkim, co oboje przeżyli przez tych ostatnich kilka dni, Red z pewnością nie będzie chciał, by natychmiast wracała do kraju. A może nigdy? Kto wie, co kryje przyszłość, pomyślała z uniesieniem. A tymczasem...

Odwróciła się i popatrzyła na swój małeńki pokoik. Jej serce podskoczyło z radości na widok toreb z Faubourg St Honoré, wypełniających połowę pomieszczenia, ale opadło, gdy wzrok spoczął na książce Reda, leżącej na nocnym stoliku. Z niechętnym westchnieniem oderwała się od zniszczonej drewnianej barierki przy oknie, zauważając przy okazji coś małego i srebrnego, leżącego na białej okładce tomiszca. Komórka Reda. Komórka, którą dał jej na przechowanie. Zapomniała mu ją zwrócić. Oczywiście. Dlatego wysłał jej e-mail. Nie mógł do niej zadzwonić — choć miał w apartamencie przynajmniej dziesięć telefonów stacjonarnych, powiedział jej przecież, że jest do nich podejrzliwie nastawiony. Tak, teraz to było jasne jak słońce.

Równie oczywiste było to, że musi mu zwrócić komórkę. Ruszyła ku drzwiom, zanim rozsądek zdołał ją powstrzymać. Z pewnością będzie jej potrzebował, pomyślała, zbiegając po krętych, wydeptanych drewnianych schodach. Było to przecież jego narzędzie pracy, prawdopodobnie zapełnione już ważnymi wiadomościami. Pewnie wpadł w panikę, zastanawiając się, gdzie ją mógł zapodziać. Na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, by mu przeszkodziła, jeśli dzięki temu odzyska swoją komórkę, przeciwnie — będzie jej wdzięczny. Pojedzie teraz do Meurice i zwróci mu ją, a być może w nagrodę, rozmarzyła się Grace, wybiegając na oblaną słońcem ulicę, Red pozwoli jej zostać na noc.

Belinda stała w prywatnej windzie i starała się wyglądać jak niewiniątka. Kelner w ogóle nie zauważył, że się wślizgnęła do windy, był zbyt zajęty podziwianiem swojego odbicia w ku-

bełku do szampana stojącego na wyładowanym wózku. Belinda z zadowoleniem stwierdziła, że nawet w nieciekawym mundurku sprzątaczkii wygląda imponująco i z pewnością przyprawiliby o szybsze bicie serca nawet największego gwiazdora filmowego.

Gdy winda zatrzymała się z poślizgiem, Belinda poszła za kelnerem, pospiesznie odkurzając wszystko po drodze. Nie ulegało wątpliwości, dokąd tamten zmierza, apartament w przybudówce był w końcu jedynym możliwym celem. Zresztą któż inny poza gwiazdorem filmowym zamówiłby dwie schłodzone butelki Veuve Clicquot, tuzin ostryg, całego homara oraz kawior w srebrnej miseczce o wpół do jedenastej po południu?

Patrzyła, jak kelner stuka w podwójne drzwi na samym końcu korytarza. Zbliżała się kluczowa chwila. Red Champion — a wraz z nim cała jej przyszłość — znajdowali się zaledwie parę centymetrów od niej, po drugiej stronie drzwi. Zawahała się. Jeżeli wciśnie się do apartamentu za kelnerem, czy spróbuje ją zatrzymać? Niech tylko spróbuje.

Zdecydowanym krokiem podążyła do drzwi. Stała teraz tuż za kelnerem, tak blisko, że wyraźnie widziała czyraki na jego szyi. Teraz albo nigdy, pomyślała z determinacją.

W tym momencie kelner, ku jej zdumieniu i przerażeniu, obejrzał się i spojrzał na nią. Belinda, odchylając się do tyłu, natychmiast jeszcze energiczniej zaczęła machać ścierką. Jej serce waliło jak młotem — czyżby kelner odkrył coś podejrzanego? Nawet ona sama zdawała sobie sprawę, że jej odkurzanie przypomina angielski taniec z chusteczką, a biust sterczy wyzywająco dzięki specjalnemu stanikowi na fiszbinach. Czy zwyczajna pokojówka włożyłaby taki biustonosz?

Ale kelner wymamrotał tylko coś po francusku, po czym zniknął na końcu korytarza. Niemal nie wierząc własnemu szczęściu, Belinda uświadomiła sobie, iż właśnie jej powiedział, że ma wprowadzić wózek do apartamentu. Natychmiast zajęła miejsce kelnera. Wspaniały pretekst, by wdrzeć się do środka,

właśnie spadł jej jak z nieba. Teraz Red Champion z pewnością padnie przed nią na kolana. Gdy tylko drzwi się otworzyły, wypchnęła pierś do przodu i błysnęła swoim najbardziej uwodzicielskim uśmiechem.

Grace przesunęła palcami po komórce Reda, milczącej w kieszeni jej żakietu. Bohatersko oparła się chęci włączenia jej i odsłuchania wiadomości. W końcu to telefon Reda. Jego interesy, jego życie. Nie mają nic wspólnego z nią. Przynajmniej na razie.

Jej wszystkie myśli były wypełnione Redem. Spodziewała się, że aktor będzie zachwycony jej przybyciem, i dopiero gdy weszła do hotelu, zorientowała się, że może nie dostać się do jego pokoju. W końcu był to apartament na prywatnym piętrze, chroniony przed wizytami nieoczekiwanych gości. Mogłaby zadzwonić do niego, lecz nagle pomyślała, że Red mógłby okazać niezadowolenie z jej przybycia albo, co gorsza, mógłby przysłać do niej służącego. Co zrobiłaby Ellie w tej sytuacji? Bez wątpienia coś śmiałego i rezolutnego.

Doszła do wniosku, że musi iść na całość. Przemknie obok recepcji, sprawiając wrażenie, że jest umówiona.

Zadziałało. Konsjerżka, rozpoznając ją, uśmiechnęła się radośnie, i Grace pobiegła do windy. Idąc po korytarzu piątego piętra w kierunku specjalnej windy do nadbudówki, ujrzała, że portier wnosi do kabiny mnóstwo toreb z jakiegoś drogiego sklepu. Wsuwając się obok nich do środka, Grace pomyślała, że śmiałym szczęście sprzyja.

— Pan Champion mnie oczekuje — oświadczyła, uśmiechając się do portiera.

Pchając tacę i wysuwając biust do przodu, Belinda wkroczyła do apartamentu w przybudówce.

Pośliniła wargi, wzburzyła włosy i upewniła się, że aparat

fotograficzny nadal tkwi między jej piersiami. Wszystko było gotowe.

Witaj, bogactwo i sławo, oto nadchodzi Belinda!

Czy Red me miał jakichś gości? Apartament był ogromny i wydawał się pusty, ale gdy Belinda zaczęła nasłuchiwać, doszły do niej odległe hałasy. Jej czoło przecięła zmarszczka. Tak, wyraźnie słyszała głosy dwojga ludzi, mężczyzny i kobiety. Gardłowy, brytyjski akcent kobiecy i twarda męska amerykańska wymowa. Męski głos należał bez wątpienia do Reda Campiona.

— Chodź, dziecino, pragnę cię. Czuję się bez ciebie taki samotny. Tak strasznie mi się nudziło.

Kobieta zapiszczała.

— Jesteś nienasycony... Tęskniłeś za mną, co?

— Niesamowicie. — Głos aktora był teraz niższy, stłumiony. — Skarbie, tak mi przykro, że się pokłóciliśmy, zanim wyszłaś. Wiem, że przede wszystkim muszę załatwić sprawę alimentów. Ale się z tym uporam, obiecuję ci. Nic na to nie poradzę, że moja żona wariuje. Rozgłasza plotki, że jestem seksoholikiem, wiesz jednak, że należę tylko do jednej kobiety...

Potem nastąpiła seria przyspieszonych oddechów i jęków, a na koniec kobieta wydała z siebie szereg przesywających pisków.

Stojąca w głębi korytarza Belinda spochmurniała. Nie zaniepokoiło jej to, że Red uprawiał seks — biorąc pod uwagę wywiad, który przeczytała w „Przyczepie”, mogła się tego spodziewać — ale kłopot polegał na tym, że kręciła się tu jeszcze jedna kobieta. To zdecydowanie wytrąciło ją z równowagi. Była jednak na coś takiego przygotowana. Trzeba wdrożyć plan B. Przesunęła palcami po guzikach bluzki, gotowa je oderwać, gdy tylko Red Campion się pojawi. Zrobi zdjęcie Reda Campiona w zbliżeniu, w kompromitującej sytuacji, zdjęcie, które ukaże się na pierwszych stronach wszystkich gazet świata. Będzie musiała strzelać szybko i wściekle, gdy tylko aktor się pojawi. Miała nadzieję, że znajdzie się z nim sam na sam. Choć, jeśli się nad tym zastanowić, kompromitu-

jące zdjęcia z tamtą damulką mogą okazać się jeszcze bardziej użyteczne. — Przynieś mi coś do picia, kochanie! — zawołała dźwięcznym głosem kobieta. — Właśnie przywieźli tacę. Aha, i chciałabym sprawdzić, czy moje zakupy też przyniesiono. Wiem, kochanie, że nie masz nic przeciwko temu, ale trochę nadużyłam dziś rano twojej karty...

W drzwiach ukazała się słynna blond głowa. Gdy aktor popatrzył na Belinę, dziennikarka uśmiechnęła się triumfalnie, postąpiła krok do przodu i szarpnęła bluzkę.

Nie do wiary, ale wszystkie guziki pozostały na miejscu. Do diabła z tymi tanimi ciuchami, zakląła w duchu Belinda. Ostatni raz kupiła coś w supermarkecie. Wreszcie, z głośnym trzaskiem, guziki ustąpiły. Belinda, której piersi natychmiast wyskoczyły naprzód, ruszyła ku przestraszonemu aktorowi, gmerając między baniami swego biustu.

— Co się tam, do diabła, dzieje? — zapytał niecierpliwie żeński głos. Belinda zastygła z palcem na przycisku kamery. O Boże. To niemożliwe. A jednak. Do holu majestatycznym krokiem, mierząc Belinę z pogardą zielonymi oczyma, weszła blondynka o władczym wyglądem, w obcisłych czarnych skórzanych spodniach, rozpiętych aż do krocza, i czarnym, obszytym futrem topie. Miała na sobie złoty, wysadzany brylantami naszyjnik, a jeszcze więcej diamentów błyskało z jej palców, przyciśniętych do wąskich bioder.

Nie ulegało wątpliwości, że okres duchowości Champagne D'Vyne ma już za sobą. A może chodziło o coś innego? Belinda pomyślała z niepokojem, że cokolwiek to było, z pewnością przedstawiła to światu w zbyt przesadzony i obraźliwy sposób. Champagne przysięgła, że ją zniszczy. Z rozmów, które Tarquin prowadził przez telefon, wynikało, że Armagedon to drobiazg w porównaniu z zemstą, jaką szykowała jej aktorka. I oto teraz stała w odległości paru kroków od niej.

Belinda miała nadzieję, że Champagne jej nie rozpoznała. Wpatrywała się w nią co prawda z pogardą, lecz przecież tak samo patrzyła na każdego. Bez wątpienia takim samym wzrokiem obrzucała wszystkich w swoim apartamencie w Garage.

_ A więc — powiedziała szyderczo aktorka, najwyraźniej zwracając się do Reda — to z tą dziwką kręciłeś, kiedy mnie nie było? Znowu wracamy do pokojówek, tak? Słyszałam, że miałeś połowę dziewczyn z *Moulin Rouge*.

Belinda miała ochotę wziąć nogi za pas i uciec jak najdalej. Było już jednak za późno, oślepił ją blask zielonego spojrzenia Reda Campiona, niczym światło reflektorów królika. Champagne spojrzała na nią ze zdziwieniem, ale po chwili jej oczy zwały się, gdy ją rozpoznała.

_ To ty? — zasyczała, wbijając w dywan metalowy obcas swojej szpilki z węzowej skórki. — No tak, nikt inny, tylko Belinda Black. Nie wystarczy ci, że usiłowałaś mnie skompromitować, teraz jeszcze zamierzasz przypiąć się do mojego chłopaka?

Belinda przełknęła ślinę i próbowała zgarnąć do kupy resztki swojej bluzki. Jej oczy, które opuściła w dół pod morderczym spojrzeniem Champagne, utkwione były w długich nogach w skórzanych spodniach, najwyraźniej zmierzających ku niej. Nieprawdopodobna obcisłość spodni w najmniejszej mierze nie ograniczała szybkości kroków Champagne. Dłonie Belindy zaczęły się pocić. Jej usta otwierały się i zamykały, a włosy na karku wyprostowały się jeszcze sztywniej niż gwardzista przed pałacem Buckingham.

— A więc — syknęła Champagne, której twarz wykrzywiła furia — jestem absolutnie śmieszna, tak?

Żołądek Belindy walił o żebra ze strachu. O Boże! Ten tytuł...

— Mogę to wyjaśnić — wyjąkała. — Nie ja wymyślam tytuły. Robią to redaktorzy. Proszę się uspokoić.

Końcem oka zauważyła, że Red Champion stoi oparty o ścianę, z założonymi rękami, przypatrując się tej scenie z wyraźną uciechą.

Białe zęby Champagne odsłoniły się, a z ust wydobyło się warczenie.
— Niech pani przestanie, niech pani przestanie! — krzyknęła Belinda. — Naczelnny kazał mi to wszystko zmienić. To on porobił te okropne wstawki. — Skuliła się na widok płonących zielonych oczu, wzdętej piersi i wściekle rozrzuconych włosów.

— Jak śmiesz pisać o mnie takie rzeczy? — ryknęła Champagne, podchodząc jeszcze bliżej. — Ty kłamliwa suko! — Zrobiła kolejny krok naprzód, ze zwięzonymi oczyma i zaciśniętymi palcami. — Myślałaś, że uda ci się z tego wywinąć, co? Zabiję cię.

— Hyyy... — zaskomliła Belinda, cofając się gwałtownie.

— Nikt nie mówi o mnie takich rzeczy — wycedziła Champagne. — A już na pewno ich nie pisze.

Nadal się zbliżała, więc przerażona dziennikarka złapała oparcie krzesła. Przyszła jej do głowy rozpaczliwa myśl, że jeśli dojdzie do najgorszego i aktorka skoczy na nią niczym żadna krwi lwica, może się przed nią osłonić tym krzesłem.

Champagne otworzyła usta, wydając z siebie wojenny okrzyk, po czym natarła. Spocone dłonie Belindy zacisnęły się wokół oparcia krzesła. Za późno jednak.

Otrzymała druzgoczący cios w pierś, po którym potoczyła się po dywanie i uderzyła głową w ścianę. Wrzasnęła ze strachu i wściekłości, usiłując podnieść się na nogi, ale kręciła się tylko w kółko, niczym przewrócony na grzbiet żuczek, usiłujący z powrotem stanąć na nogach. Champagne wskoczyła na nią, zdzierając z niej spódnicę i odsłaniając majtki z rozciętym krocem. Lękając się o życie, Belinda zaczęła rozpaczliwie walczyć. Wymachując na oślep stopą, uderzyła w wózek i przewróciła go. Po chwili kaskada kawioru, kawałki homara i pienista rzeka veuve clicquot załała Belindę i Champagne przy akompaniamencie ogłuszającego trzasku spadających naczyń.

— Zachciało ci się też mojego cholernego obiadu?! — wrzasnęła Champagne. — No, to proszę!

Złapała homara i wtarła go z całej siły w twarz dziennikarki. Belinda natychmiast zemściła się, chwytając garść kawioru. Rozbawiony Red, okryty tylko szlafrokiem kąpielowym, patrzył na walczące kobiety. Ziarenka kawioru przylgnęły do ich piersi, włosy miały umazane majonezem, ostrygi chlupotały pod ich kolanami, a one warczały, wymierzały sobie ciosy, kopały i wrzeszczały. Gdy przetaczały się po nasiąkniętym szampanem dywanie, ich walkę co jakiś czas przerywały błyski dochodzące spomiędzy piersi Belindy.

I wtedy właśnie w otwartych drzwiach apartamentu pojawiła się pełna radosnych oczekiwań Grace, której towarzyszył portier, niosący torby z zakupami.

Rozdział 22

Siedząc przy oknie pociągu Eurostar, Grace wpatrywała się tępo w mijane pola i rozległe leśne przestrzenie Kentu. Widok ten nie przynosił jej jednak pociechy. Wzgórza i doliny przywodziły jej na myśl naturalne okrągłości Champagne D'Vyne. A więc to kręciło Reda. Zapasy pośród owoców morza pomiędzy kobietami w majtkach o rozciętym kroczu. On, który miał być taki wrażliwy, unikający sławy, zupełnie niepodobny do innych gwiazd potężnej galaktyki Hollywoodu, tak odmienny od obrazu, wyłaniającego się z plotek o nim. On miałby być seksohohkiem, który rzucił żonę przez e-mail? Wydawało się to niemożliwe. Grace z rozpaczą myślała o własnym e-mailu, który, podarty na tysiąc kawałków, spoczywał teraz w koszu w paryskim hoteliku.

A jednak nie to najbardziej ją bolało. Wspomnienia napływały jedno za drugim, całą falą. Obraz dwóch kobiet, walczących ze sobą na podłodze, pojawiał się jej pod powiekami za każdym razem, gdy przymykała oczy, i coraz częściej widziała go również wtedy, gdy miała je otwarte. Kiedy przybyła do apartamentu, w ciągu ułamka sekundy uświadomiła sobie, że dziennikarz „Przyczepy” miał rację, wypyując Reda o Champagne D'Vyne. Nie ulegało wątpliwości, kim jest władca blond bogini. Grace natychmiast przypomniała sobie jas-

nowłosą piękność w ogromnych okularach przeciwsłonecznych, którą ujrzała, idąc na pierwsze spotkanie z Redem. Champagne D'Vyne. Kiedy teraz o tym myślała, było to oczywiste — podobnie jak wiele innych rzeczy. Tak jak i wszystkie te tajemnicze telefony.

A było tyle gadania o tym, jak to prasa zniszczyła małżeństwo Reda, a on sam jest teraz ptaszkiem ze złamanym skrzydełkiem. Ale druga blond ptaszyna najwyraźniej nie złamała skrzydełka, żadna inna część jej wspaniałej anatomii również nie doznała uszczerbku. Inna rzecz, czy to samo można było powiedzieć o brunetce — wyglądało na to, że nieźle oberwała.

Grace nie miała pojęcia, kim była ta kobieta. Być może jakąś aktoreczką z *Moulin Rouge*. Niewykluczone, że gdy opuszczała apartament Reda, do nienasyconego aktora natychmiast przybywało świeże kobiece towarzystwo — tancerki z nocnych klubów albo dziewczyny z okładek kolorowych pism. Te bezustanne telefony najwyraźniej dotyczyły jakichś spotkań; zwykłe rozmowy na temat postsynchronów z pewnością nie wymagałyby -gorączkowego mamrotania. Nauczyciel dialogu... Grace prychnęła. Zdenerwowałaby się, gdyby nie była taka przygnębiona. A także zażenowana i ogłupiała.

Straszna z niej idiotka. Przede wszystkim dlatego, że uwierzyła w zupełnie inny scenariusz. W końcu Red Champion był gwiazdorem filmowym. Skoro nawet Siona nie zdołała skłonić do monogamii, jaką miała nadzieję na utrzymanie przy sobie międzynarodowego amanta? Ale jej serce rwało się ku niemu i wszystko ją bolało.

Oczywiście natychmiast wybiegła z hotelowego apartamentu. Nie miała po co tam tkwić. Red zresztą początkowo w ogóle nie zauważył jej przybycia, zbyt zaabsorbowany walką na kawior. Na jego gładkiej twarzy widniał wyraz pożądania, nie wspominając już o gwałtownej erekcji, wznoszącej się pomiędzy odchylonymi połami jego szlafroka. Grace przypomniła

sobie jego e-mail: coś mu wyskoczyło, jakaś ważna sprawa. No cóż, w każdym razie teraz ta sprawa ujawniła się w całej okazałości.

Nie było mu nawet przykro, gdy wreszcie ją ujrzał. Trudno jednak zrobić przeproszającą minę, gdy ma się wzwód i penis niczym pompa strażacka sterczy triumfalnie ze szlafroka. Nawet jeśli jest się hollywoodzkim aktorem.

Na twarzy Reda odbiło się jedynie zaskoczenie. Niemiłe zaskoczenie. A nawet bardzo niemiłe, gdy Grace z wściekłym krzykiem wyciągnęła z kieszeni komórkę, cisnęła nią w niego i z gardłem pełnym łez pobiegła do windy. Ale i tutaj jej się nie powiodło, bo do kabiny nie można się było dostać, gdyż wypełniały ją dziesiątki toreb ze sklepów Faurbourg St Honoré. Podobnymi do tych, które poprzedniego dnia przywiozła ze sobą do swojego hotelu jako nagrodę pocieszenia. Zauważyła, że większość z nich ma nalepki „Mademoiselle D'Vyne, apartament w nadbudówce, hotel Meurice”. Było ich też znacznie więcej i wyglądały na bardziej wypakowane. Grace uznała, że z pewnością nie jest to nagroda pocieszenia. Zwycięzcy zgarnia wszystko.

Ponieważ nie mogła inaczej dostać się na parter, musiała czekać i patrzeć, jak portier wyładowuje wszystkie torby z windy. Zastanawiała się, co by było, gdyby nagle wybuchł pożar. A potem pomyślała, jak by go wywołać.

Zacisnąwszy zęby, znowu wyjrzała przez okno pociągu. Niebo było zasnute mgłą, zza której przebierały widmowe drzewa i domostwa.

Zaczęło padać, długie smugi oblewały szyby posępnymi ukośnymi strugami. Cała Anglia sprawiała wrażenie szarej, pozbawionej słońca, beznadziejnej krainy. Dokładnie takiej jak ja, pomyślała Grace.

Jazda metrem nie poprawiła jej nastroju. Ale też w metrze nigdy to jej się nie zdarzyło. Jej dojazd do Waterloo zbiegł się w czasie z przybyciem hałaśliwego okresowego pociągu linii północnej, w związku z czym musiała zmieniać pociągi częściej niż Shirley Bassey stroje podczas występów i do stacji Archway

dotarła ponad godzinę później niż zazwyczaj. Przeszła lepkiem, mokrym chodnikiem Tomintoul Road. Przejeżdżający samochód wpadł w rynsztok i obryzgał ją błockiem od stóp do głów. Gdy cała ochlapana wchodziła po frontowych schodkach do swojego domu, czuła, że coś lepszego nie powinno jej spotkać.

Ale przynajmniej jej mieszkanie było czyste, choć wszędzie pachniało wybielaczem. I wszystko było doprowadzone do porządku. Grace, zмирzająca prosto do czajnika w kuchni, poczuła, że jej ból złagodniał na widok rzędów kubków, równiutko ustawionych koło kuchenki, i lśniącego zlewu, z którego Maria jakimś cudem zdołała usunąć brązowe plamy niewiadomego pochodzenia. Gdyby tylko jeszcze, pomyślała Grace, grzebiąc w kredensie w poszukiwaniu herbaty, mogła wziąć gąbkę, szczotkę do mycia i wymazać z jej serca wszelkie ślady Reda Campiona... Wreszcie znalazła torebki z herbatą, a kiedy wkładała jedną do kubka, na środku kuchennej lady dostrzegła monetę funtową. Sprawiała wrażenie, że położono ją tam nieprzypadkowo. Musi należeć do Marii.

Nagle zamarła, zaniepokojona jakimiś odgłosami, dochodzącymi z głębi mieszkania. Włosy na jej karku zjeżyły się — była pewna, że nie znajduje się sama w mieszkaniu.

Przyciśnięta mocno plecami do kuchennej ściany, z trudem stłumiła chęć wrzaśnięcia na cień, poruszający się powoli korytarzem. Po chwili postać pojawiła się w kuchennych drzwiach. — Maria...?

Jakże, do diabła, mogłam nie zauważyć, że drzwi były zatrzaśnięte? — zastanawiała się Grace. Chyba traci zmysły. Poczowała się bardzo dziwnie. Osłabła z ulgi, osunęła się na kuchenne płytki i nagle uświadomiła sobie, jak bardzo jest wykończona. Wbiła wzrok w kuchenną podłogę, którą Maria próbowała doprowadzić do jednolitej srebrnej białości, dopóki Grace nie wytłumaczyła jej, że czarne smugi nie powstały z brudu, lecz miały naśladować marmur.

— *Madam Grace?* — zapytała Maria.

Grace opadła na kolana przed lodówką. Miała oczy ciężkie jak ołowiane kulki, z trudem przęłykała ślinę. Wpatrywała się z rozpaczą w szafkę na garnki pod kuchenną ladą, a po jej płonących policzkach spływały łzy. Zaciśnęła pięści, pochyliła głowę, zgarbiła plecy i zaczęła rozpaczliwie szlochać.

— *Madam Grace* — przemawiała czule Maria, głaszcząc kark Grace, jakby była kotem. — Dlaczego pani płacze? — zapytała, choć dobrze знаła przyczynę rozpaczki swojej chle-bodawczyni. Tak jak przewidywała, wszystko to źle się skończyło dla Grace. Na szczęście jednak dużo szybciej, niż się spodziewała. Ale bitwa została wygrana dopiero w połowie. Grace musi jeszcze wziąć tę funtową monetę, którą klient Marii wypełnił swą miłością, i uznać ją za swoją własność. Dopiero wtedy urok zacznie działać. Popatrzyła na metalowy krążek, nadal leżący na kuchennym stole.

Grace powoli podniosła głowę i otarła ciekący nos.

— Przepraszam, Mario — wymamrotała, gramoląc się na nogi.

Zauważyła, że pasemko we włosach sprzątaczkki miało w tym tygodniu fluorescencyjny niebieskozielony kolor.

— Źle się pani czuje, *madam Grace*...

— Nic mi nie jest — odparła, próbując wziąć się w garść, ale kosztowało ją to tyle wysiłku, że każdy nerw głośno protestował. W głowie jej się lekko kręciło i bolały ją wszystkie kości.

Maria przyłożyła chłodną rękę do czoła Grace.

— *Madam Grace*, jest pani cała rozpalona — stwierdziła. — Chyba się pani rozchorowała.

Grace uświadomiła sobie, że ma spuchnięte gardło. Przeziębła się? Złapała grype? A może to stres psychosomatyczny? Biorąc pod uwagę wszystkie miłostki Reda, pewnie czekają ją jeszcze koszmary, których nawet nie potrafi sobie wyobrazić.

— Nic mi nie jest — przekonywała słabo, gdy sprzątaczkka

chwyciła ją mocno za ramiona i zaczęła delikatnie popychać do przodu. Czowała lekkie zawroty głowy. Jak dawno coś jadła?

— Kiedy pani ostatnio jadła? — zapytała Maria.

— Dlaczego robisz tyle zamieszania? — wychrypiała Grace, gdy pięć minut później sprzątaczką odgarnęła zachęcająco świeżą pościel i gestem nakazała jej wejść do łóżka. — Czuję się doskonale.

Mana jednak nalegała, a gdy chłodna pościel dotknęła drżących, rozplomienionych członków Grace, jej ciało poczuło wreszcie ulgę. Ujrzała tylko nagle różowość i jasność, od której bolały oczy. Na nocnym stoliku leżała książka, egzemplarz korektorski. Grace zmrużyła oczy, usiłując odczytać tytuł. *Czary i samotna dziewczyna*. Oczywiście, książka Ellie. „Czar, który sprawi, że On do ciebie zatelefonuje”. Wanna napełniona liśćmi. Cydr. Telefon. Po co to zrobiła?

_ Gdyby tylko był jakiś czar, usuwający ból — wymamrotała. Nie wspominając już o zażenowaniu. Ale to wydawało się teraz mniej ważne. Parę godzin lub minut później, gdy otworzyła oczy, ujrzała stojącą przy łóżku Marię, która trzymała w ręce szklanę.

— Wyypij to.

_ Czy to czary? — wyszeptała Grace. Chłód szklanki, którą ujęła rozpalonymi palcami, niemal przyprawiał ją o ból. Maria przytaknęła.

— To najlepszy czar na twoje cierpienie, jaki znam.

— Ale smakuje jak whisky.

Maria uśmiechnęła się, zabrała szklanę i na palcach podeszła do drzwi.

— Zaraz wrócę — powiedziała.

Grace przypomniała sobie coś nagle i z trudem uniosła się na łokciu.

— Mario — wychrypiała. — W kuchni leży twoja moneta funtowa.

Zabierz ją, zanim wyjdiesz.

Od drzwi napłynęło westchnienie i słowa:

— Tak, *madame* Grace.

— Po prostu Grace, proszę — wymamrotała Grace, wciskając głowę w poduszkę. Rozpoczął się pierwszy koszmar, w którym blondynka o dużych piersiach tarzała się w morzu kawioru wśród toreb z kosztownymi zakupami.

— Masz zamiar w końcu podnieść słuchawkę?! — warknęła Belinda na Tarquina, bo telefon na jej biurku brzęczał od dłuższej chwili. Czy spodziewał się, że ona sama odbierze albo coś w tym rodzaju? Zwłaszcza że teraz trudno jej było do niego dosięgnąć. Nawet jeśli nie miała złamanego nadgarstka — a w szpitalu twierdzili, że nie — czuła się tak, jakby coś z nim było nie w porządku.

— Naczelnny chce się z tobą widzieć — oznajmił Tarquín, odkładając słuchawkę. Belinda spojrzała na niego z obrzydzeniem. Czyżby w jego głosie dosłyszała nutę triumfu? Pewnie uznał, że Grayson rozedrze ją na strzępy.

— Co za zbieg okoliczności! — zawołała, uśmiechając się promiennie.

— Właśnie z nim przede wszystkim chciałam rozmawiać.

Tarquín wyglądał na zdezorientowanego. Nie ulegało wątpliwości, że coś niezwykłego przytrafiło się jego szefowej — i to nie tylko dlatego, że cała pokryta była siniakami. Kiedy dziś rano, kuśtykając, weszła do redakcji po kilku dniach nieobecności, była tak zadowolona z siebie, że Tarquín poczuł niepokój. Czyżby w końcu Belinda — choć wydawało się to nieprawdopodobne — upolowała historię, dzięki której wyrobi sobie nazwisko?

— Tak — westchnęła z satysfakcją Belinda. — Ta opowieść rzuci Graysona na kolana.

— Doprawdy? — wymamrotał Tarquín.

— Chodzi o gwiazdora filmowego, który przygląda się dwóm półnagim kobietom, walczącym ze sobą w morzu kawioru — powiedziała Belinda.

— To wszystko naturalnie zostało uwiecznione na kliszy. Wspaniałe zdjęcia na pierwszą

stronę magazynu rodzinnego, nie wspominając o wstawkach w środku... Uśmiechnęła się triumfalnie, ale jej uśmiech zaraz zgasł. Do diabła, nie miała zamiaru tyle zdradzać. Ale w końcu co to za różnica? Cały świat dowie się o tym w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Belinda pogłaskała swój biustonosz — gdzież indziej miałaby ukryć świeżo wywołane zdjęcia? To zabawne, że kobieta w zakładzie fotograficznym nie potrafiła rozpoznać na nich Reda Campiona. Ale czyż nie o to chodziło w całej tej historii? Niewiele osób spodziewałoby się tego po Redzie Campionie. Niewiele osób uwierzyło w plotki — o sekso-holizmie, porzuceniu żony przez e-mail i reszcie tej ohydy — które asekuranckie zachowania, chroniące go przed dziennikarskimi skurwielami, zdołały tak dobrze ukryć. Ręce ją świerzbiły, by sięgnąć za dekolt, wyciągnąć zdjęcia i obejrzeć je, ale oparła się tej chęci. Z jaką rozkoszą zobaczy błysk radości na twarzy Graysona, gdy naczelny będzie oglądał skarby, które przywiozła do redakcji. Dlatego nawet sama nie pozwoliła sobie na nie spojrzeć.

Czuła, że roztopiają jej się wnętrzności na myśl o szarej, rybiej twarzy Graysona, rozjaśnionej uciechą, podnieceniem — i podziwem. Podziwem dla niej. To było warte tego wszystkiego. Upokorzenia, których doznała ze strony Champagne, nie wspominając już o rozległych obrażeniach fizycznych — to nic w porównaniu z tym, co Dawna Miss Mokrego Podkoszulka poczuje, gdy te zdjęcia ukażą się w „Globe”. Jeśli ta idiotka uważa, że jej wywiad z Belindą Black był niedobry... Teraz nauczy się, że ze mną nie należy zaczynać, pomyślała z dziką satysfakcją, gdy wyobraziła sobie nagłówki:

**GWIAZDA HOLLYWOODU W SEKSUALNYM STARCIU Z
OWOCAMI MORZA** Dwie naguski walczą w kawiorze o Campiona.

Tak wyraźnie widziała te słowa. I całą resztę. Nagrody, sławę, podwyżki, propozycje pracy od każdej gazety w kraju.

Kevin Grayson na kolanach, błagający ją, by nie odchodziła. „Jesteś klejnotem naszej korony, Belindo...”.

Coś z tego musiało chyba dotrzeć do Tarquina, gdy patrzył, jak Belinda kuśtyka po poplamionym kawą dywanie z jedną stopą obutą w szpilkę, a drugą w gipsie, oklejoną plastrami. Normalnie doprowadziłoby go to do ataku śmiechu, teraz jednak nawet się nie uśmiechnął. Nie mógł uwierzyć, że jego szefowa przygotowała jakikolwiek przyzwoity wywiad. Gdyby ta kobieta odznaczała się jakimiś dziennikarskimi talentami, musiałby już dawno to zauważyć.

Belinda przystanąła przy biurku naczelnego i rzuciła Amabel triumfalny uśmiech. Ale sekretarka go nie odwzajemniła. Zazdrosna krowa, pomyślała Belinda.

— Wejdz — powiedziała Amabel. — Naczelnny czeka na ciebie.

Spowite świeżo odmalowanym uśmiechem usta Belindy zastygły. To zabrzmiało dosyć złowieszczo, ale też Grayson nawet w najbardziej dobrodusznym nastroju nie był zbyt przyjacielski.

Potknęła się na progu gabinetu, a brwi naczelnego na widok gipsu i szpilki uniosły się lekko w górę.

— Proszę usiąść, panno Black — zwrócił się do niej. Jego głos wydawał się Belindzie kompletnie pozbawiony wyrazu, choć bez wątpienia starał się wyrazić swój największy szacunek. Zasłużone redaktorki, takie jak ona, należy traktować z szacunkiem. Usadowiła się wygodnie na kanapie. Poczucie, że jest na szczycie sławy, w maszynowni wpływów, wprawiło ją w niemal seksualne drżenie. Przesłała Graysonowi olśniewający uśmiech, kokieteryjnie trzepocząc rzęsami, ale na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

— Panno Black...

— Belindo, proszę... — przerwała mu Belinda.

— Poprosiłem panią do siebie, ponieważ mam pani coś do powiedzenia...

— A ja panu — odparła Belinda, ryzykując lekkie wydęcie warg. Doszła do wniosku, że Grayson jest całkiem seksowny,

choć wygląda jak mrożona ryba. Zaczerpnęła głęboko powietrza, wypchnęła do przodu piersi i lekko rozsunała nogi.

— Czy zainteresowałyby pana historia, której bohaterem jest na pół ubrany gwiazdor filmowy w stanie... hmm... wyraźnego podniecenia, przyglądający się dwóm nagim kobietom, walczącym w owocach morza?
— zapytała.

Powieki Graysona uniosły się na ułamek sekundy, jego kamienna twarz drgnęła, a rybie usta zacisnęły się mimowolnie.

— Ma pani zdjęcia? — sapnął.

— Oczywiście — roześmiała się hałaśliwie Belinda. Unosząc jedną rękę do biustu, rozkoszowała się widokiem lekko wytrzeszczonych oczu naczelnego, który patrzył, jak wsuwa palce pomiędzy piersi i wyciąga paczkę fotografii. Kiedy mu ją podała, pochylił się nad biurkiem i zaczął przeglądać fotki. Gdy po chwili uniósł głowę, fala niepohamowanego podniecenia przetoczyła się przez pierś Belindy.

— Wspaniałe, co? To chyba największa sensacja z życia gwiazd w historii „Globe”.

Zauważyła jednak, że twarz Graysona odzyskała surowy, rybi wyraz. Ale naturalnie ten człowiek nie da niczego po sobie poznać, choć bez wątplenia w środku cały dygocze.

— Co to jest, do diabła? — warknął Grayson, wyciągając w jej stronę jedno ze zdjęć.

— Red Champion, Champagne D'Vyne i ja — uśmiechnęła się Belinda. — Wszyscy półnaczy, wśród owoców morza. — Pod koniec nawet Red nie uchronił się przed wysmarowaniem warstwą kawioru. „Niech ten, kto jest bez winy, pierwszy rzuci krewetką!” — ryknęła w pewnym momencie rozwścieczona Champagne do swego kochanka, spokojnie obserwującego tę scenę, i wciągnęła go do walki.

Grayson pomachał zdjęciem.

— Jesteś pewna? To wygląda jak zbliżenie powierzchni księżyca.

— Co? — Belinda pochyliła się do przodu i spojrzała na błyszczący prostokąt, który naczelnik z pogardą trzymał między

palcami. Nachmurzyła się, mrugając oczami na widok tego, co zobaczyła. To niemożliwe, z pewnością zaszła jakaś pomyłka, bo zamiast wyraźnego obrazu przekrwionego penisa Reda Campiona, mściwych piersi Champagne D'Vyne i innych fragmentów jej umazanego kawiozem ciała, na fotografii widać było tylko rozmazany beż.

— Na pewno to właściwe zdjęcia? — zapytał sarkastycznie Grayson. W Belindzie wezbrała panika.

Czy to były zdjęcia, które zrobiła? Może kobieta u fotografa się pomyliła? Bez wątpienia. Belinda przysięgła, że ją zabije. Chyba że...

Pochylając się jeszcze niżej, Belinda stwierdziła z zamierającym sercem, że istotnie były to właściwe zdjęcia. Beż był najwyraźniej obsztyy koronką od jej stanika. Czy to możliwe, że aparat ustawiony był odwrotnie i zrobił zdjęcia dekoltu Belindy?

— Musiała zajść jakaś pomyłka — wybełkotała. — Pewnie źle je wywołali, ale negatywy będą w porządku...

— Z pewnością zaszła pomyłka — przerwał jej Grayson zimnym i ostrym jak cięcie miecza głosem. — Pomyłka, która polega przede wszystkim na tym, że powierzyłem pani prowadzenie działu Mo Mills. Zaprosiłem panią do siebie, żeby właśnie o tym porozmawiać.

Tego popołudnia, gdy Belinda weszła do ubikacji, zastała tam Laurę, nakładającą makijaż. Belinda zawsze zastanawiała się, po co ta kobieta się maluje. I tak w jej wyglądzie nie robi to żadnej różnicy.

— Słyszałaś? — spytała zduszonym głosem Laura, napotkawszy oczy Belindy w lustrze. — Mo Mills podobno wraca. Ma objąć swoje dawne stanowisko.

Belinda, dostrzegając złośliwość w niby to niewinnym spojrzeniu Laury, nie mówiąc już o oczekiwaniu w jej głosie, głęboko zaczerpnęła powietrza, by się uspokoić.

— Oczywiście, że słyszałam — warknęła, próbując opanować ogarniającą ją histerię. — Ktoś musi objąć moją kolumnę, skoro... — przez chwilę szukała odpowiedniego słowa — zostałam awansowana.

— Awansowana? — powtórzyła Laura. Belinda zauważyła z irytacją, że główna redaktorka ma nagle kłopoty z ustami i usilnie stara się ściągnąć w dół drgające kąciki.

— Owszem, awansowana — wycedziła Belinda. — Na specjalnie utworzone dla mnie stanowisko ee... mm... Głównej Reporterki Szalonych Gwiazdorskich Przyjęć.

— Szalonych Przyjęć... — Laura zanosła się gwałtownym atakiem kaszlu.

Lepiej, żeby to był prawdziwy kaszel, pomyślała z wściekłością Belinda, przypominając sobie, że według Laury reportaże z szalonych gwiazdorskich przyjęć to kompletne dno. Bo wcale takie nie są. Już nie.

— Myślałam, że Mo wraca tylko na krótko... że będzie prowadziła twój dział, dopóki nie wykurujesz się po tych wszystkich obrażeniach — zaryzykowała Laura, która tymczasem doszła już do siebie. — Kiedy dziś weszłaś do redakcji, sądziliśmy, że wróciłaś z frontu.

— Obrażeniach?! — wrzasnęła Belinda. — Chodzi ci o te drobiazgi? To zwykłe zadrapania. — Trudno jej jednak było przybrać lekceważącą minę, gdy jedna powieka zwisała spuchnięta nad rozognionym, purpurowym okiem, a siniaki po drugiej stronie twarzy przybrały żółty kolor jesiennych liści. Kołnierz ortopedyczny na szyi też nigdy nie będzie wyglądać dobrze, nawet jeśli przysłoni się go stójką od Wrighta i Teague'a, którą Belinda zamierzała wydebić z działu mody.

Jeśli chodzi o front, była to słuszna uwaga. Powinna zaskarżyć do sądu tę sukę D' Vyne. Aktorka wyrządziła jej niewyobrażalne szkody — nie tylko fizyczne. Bez wątpienia to właśnie uderzenie piersi tej wariatki odwróciło aparat fotograficzny na biuście Belindy. Bezwzględnie powinna złożyć skargę u pro-

kuratora. Nawet jeśli Champagne uzna, że rozmiary stanika są takie same, jak rozmiary jej piersi.

— Prawdziwa dziennikarka — Belinda uniosła głowę z taką godnością, na jaką pozwalała jej zaciśnięta klamra kołnierza — nigdy nie pozwoli stanąć niczemu pomiędzy nią i jej obowiązkami. Mając teraz nowe zadania jako... mhm...

— Główna reporterka gwiazdorskich przyjęć? — podpowiedziała Laura, która już wcale nie udawała, że kaszle, i otwarcie chichotała.

— ...poświęcę wszystkie swoje siły dla dobra gazety — ciągnęła Belinda.

— Moje obowiązki są bardzo rozległe i odpowiedzialne.

Wszystko, co Kevin Grayson powiedział — a powiedział niemało, w tym również to, że ma szczęście, iż w ogóle nadal ma pracę — Belinda postanowiła zamienić w zwycięstwo. Pokaże temu sukinsynowi. I wszystkim innym sukinsynom. Wyrówna z nimi rachunki, choćby nie wiem ile ją to kosztowało. Jej pierwszy reportaż z Szalonych Gwiazdorskich Przyjęć będzie najlepszą relacją, jaką kiedykolwiek opublikowano w tej gazecie. Stanie się wzorem dla przyszłych pokoleń jako model soczystego reportażu, każde słowo zostanie perfekcyjnie dobrane, każdy zwrot wyszlifowany, każde zdanie starannie wyważone. Tak, przysięgła sobie Belinda. Nikt nie przedstawi i uzasadni nagrody literackiej za zły seks tak dobrze jak ona.

Podczas drogi do domu poczuła, że zaraz wybuchnie. W redakcji z ogromnym trudem zachowywała powściągliwość, przekonanie takich osób jak Laura, że zmiana stanowiska w „Globe” jest w rzeczywistości awansem, kosztowało ją wiele wysiłku. Teraz jednak, gdy człapiąc nogami, wracała do domu, czuła taką złość z powodu tego, co ją spotkało, że ledwo udawało jej się iść prosto. Przechodząc, z wściekłością zrywała liście z krzewów, ale najbardziej pragnęła zerwać głowę z karku Kevinowi Graysonowi. Albo przynajmniej komuś porządnie dać po łbie. Ręce tak jej drżały z gniewu, że dopiero po paru próbach zdołała włożyć klucz do zamku. Drzwi okazały się zamknięte

na zatrask. Belinda doszła do wniosku, że może to oznaczać tylko jedno, i poczuła mściwe zadowolenie. Ta cholerna sprzątaczką nadal jest w mieszkaniu. Wreszcie znalazła worek treningowy. Cicho jak pantera, ze złowrogo wywiniętymi wargami, Belinda prześlizgnęła się przez korytarz w poszukiwaniu ofiary.

Maria była w salonie. I w dodatku rozsiadła się na jednym z krzeseł stołowych. Jakby była tu panią, nie sprzątaczką, bo nic nie było sprzątnięte. Choć furia prawie oślepiła Belindę, zdążyła zauważyć, że kubek po porannej kawie i talerzyk po grzance, z rozgniecionymi na nim niedopałkami papierosów, stoją tam, gdzie je zostawiła — na podłodze. Do diabła, ta kobieta chyba w ogóle nie wzięła jeszcze ścierki do ręki. Czyżby przesiedziała tu całe popołudnie? Obija się tylko i rozmawia przez telefon. I do tego ma najnowszy aparat komórkowy.

Doszły do niej strzępy rozmowy. „Już jest z nią dużo leepiej — zapewniała Maria osobę po drugiej stronie. — Zwłaszcza teraz, jak przeciągnęłam matkę”. Oczy Belindy zwęziły się. Przeciągnęła matkę? Skąd? Czy ta cholerna kobieta zajmuje się teraz szmuglowaniem uciekinierów? Zdumiona, słuchała dalej: „Pieniądze? Nie. — W głosie Marii słychać było chichot. — O tym jeszcze nie mówiliśmy. Jest tego tyyle” — dodała radośnie.

Podszuchująca Belinda nie wytrzymała i wyskoczyła z korytarza. — Więc tak sobie poczynasz! — wybuchnęła, cała się ob-śliniając z wściekłości.

Chwyciła sprzątaczkę za ramiona i potrząsnęła nią gwałtownie. Maria wrzasnęła, komórka wypadła jej z ręki. Gdy toczyła się po podłodze, Belinda zauważyła ze złością, że jest jeszcze kosztowniejsza, niż myślała. — Beelindo... — wydyszała przerażona, unieruchomiona kobieta. — Dla ciebie jestem *madam* Belinda. — Auu... to boli — pisnęła Maria, gdy chlebobawczyni wbiła jej palce w kark.

— Będzie bardziej bolało, kiedy policja z tobą skończy —
warknęła Belinda prosto w pobladłą ze strachu twarz Marii. —
Tyyle pieniędzy, tak? — zapytała, naśladowując ją z wściekłością. — Ilu
jeszcze swoich cholernych, poszukujących azylu kumpli przewozisz tu w
ciężarówkach? A może przeprawiasz ich tratwami przez kanał?
Kobieta strząsnęła ściskając ją rękę, chwyciła oparcie krzesła i dumnie
uniosła głowę, patrząc prosto w rozżarzone wściekłością oczy Belindy.
— Myli się pani. Ani jedno pani słowo nie jest prawdą. To zupełnie inna
para butów, jak to wy mówicie.
— Kaloszy! — wrzasnęła Belinda. — Kaloszy. Kaloszy. Kaloszy.
Maria kiwnęła głową.
— Zgadza się. Ma pani rację.
— Więc z kim, do diabła, rozmawiałaś? — wybełkotała Belinda.
— Z jednym z moich klientów.
Ta chłodna, spokojna odpowiedź była dla Belindy ostatnią kroplą.
— Nie okłamuj mnie! — krzyknęła. We wrzącej zupie swego mózgu
gorączkowo szukała czegoś, czym ostatecznie mogłaby przygwoździć
sprzątaczką, czegoś, co najbardziej ją zrani. — Jesteś zwolniona! —
ryknęła po chwili z taką furją, że omal nie zdarła sobie gardła. Jej serce
walilo triumfalnie. Czuła, że ogarnia ją niemal seksualne podniecenie. O
tak. Teraz zacznie się prawdziwa zabawa. Zaraz usiądzie wygodnie i bę-
dzie patrzeć, jak ta żalosna suka upadnie na kolana i zacznie błagać, by
Belinda przyjęła ją z powrotem.
Ale ku jej zdumieniu Maria potrząsnęła tylko głową i uśmiechnęła się.
— Nie, Belindo — powiedziała. — Nie muszę już dla ciebie pracować.
To ty jesteś zwolniona.

Rozdział 23

W sennym majaczeniu Grace jakaś przerażająca siła pochylała się nad jej łóżkiem. Powoli, z lękiem otworzyła oczy i z ulgą stwierdziła, że powróciła do realnego życia. Jest bezpieczna w łóżku, choć bardzo chora. Ale nie była bezpieczna. Przerażająca siła, woła mocniejsza od jej własnej, rzeczywiście pochylała się nad jej łóżkiem.

— Mamo! — wyjąkała Grace. Jej matka tu, w Archway? Skąd wiedziała o istnieniu Archway i jak znalazła to miejsce?

Teraz już wyraźnie widziała lady Armiger. Z niepokojem patrzyła, jak starannie wymalowane usta matki otwierają się i zaczynają mówić:

— Kochanie... Wiem, że to niezwykle, ale dowiedziałam się od twojej sprzątaczkę, gdzie mieszkasz. Zadzwoiła i powiedziała, że nie czujesz się zbyt dobrze.

Dzięki, Mario, pomyślała Grace, zapadając głębiej w poduszki.

— I miała rację. Jesteś w strasznym stanie. Bez jedzenia, odwodniona, wyczerpana... lekarz powiedział, że nie wolno ci wstawać z łóżka. Biedne maleństwo. — Lady Armiger mocno chwyciła rękę córki. Grace знаła ten uścisk z przyjęć dyplomatycznych.

O Boże! Matka uzna jej mieszkanie za odrażające. Tomintoul Road dzieliła lata świetlne od wspaniałości konsulatu w Wenecji.

— Cóż, przynajmniej jest tu nieskazitelnie czysto — dodała matka. —
Twoja Maria to prawdziwy skarb.

W tym momencie Grace usłyszała dobiegające gdzieś z holu znajome
uderzanie odkurzacza o listwę przypodłogową, a kiedy Maria
przechodziła obok drzwi, ujrzała błysk purpurowego neonu,
przeświecającego przez krótko ścięte blond włosy.

— To prawda — przyznała.

Parę dni później, po raz pierwszy od ponad tygodnia, Grace opuściła
mieszkanie i udała się do metra. Nadal czuła się okropnie, ale zdążyła się
już zorientować, że jest to uczucie względne. Pulsowanie w skroniach,
suchość w gardle i ból głowy to nic w porównaniu z towarzystwem matki,
która nie odstępowała od jej łóżka przez cały tydzień. Grace pomyślała,
że Maria zachowała się bardzo przyzwoicie, zawiadamiając lady Armiger
o jej chorobie, ale wątpiła, czy zamieszanie, które matka spowodowała
swoim przybyciem, dobrze wpłynęło na stan jej zdrowia.

Kiedy jednak schodziła po schodach, już czując się wyczerpana od
zaduchu panującego na peronie, doszła do wniosku, że chyba za bardzo się
pospieszyła. Wyjście z domu oznaczało ucieczkę od matki, lecz także
powrót do Hatto & Hatto. A także do książki Reda.

Grypowa gorączka, która ją rozłożyła w ostatnim tygodniu, a potem
przybycie matki, szczęśliwie sprawiły, że ostatnie wydarzenia dotyczące
Reda Campiona zbladły w jej pamięci. Teraz jednak znowu uświadomiła
sobie z przygnębieniem, że choć wyszła na idiotkę w oczach aktora, nadal
musi zrobić wszystko, by jego książka odniosła sukces. Ale przecież,
pomyślała ponuro, nie pierwszy raz jej się to zdarza. Tyle że książka
Moona była przynajmniej dobra. A w porównaniu z Redem zachował się
wobec niej jak święty.

I oczywiście musi jeszcze stawić czoło Ellie. Wiedziała, że

matka zawiadomiła Hatto & Hatto o jej chorobie, ale musi się jeszcze wytłumaczyć z dni poprzedzających chorobę. Ciężkie zadanie, jeśli Duke nadal nie zechce ujawnić tożsamości Campiona, a z pewnością ten zakaz obowiązuje nadal. Nie mogła zdradzić się ani jednym słowem. I było jeszcze coś... Co będzie, jeśli Bill Duke zadzwoni do niej, by się dowiedzieć, jak jej poszło z Redem Championem? Wybieganie z apartamentu, tak jak to zrobiła, nie było profesjonalnym zachowaniem. Co mu powiem? — zastanawiała się Grace z rozpaczą. Nie ma sposobu na ukrycie jej sromotnej porażki i poniżenia. Znowu wszystko spieprzyła, osobiście i zawodowo. Bez wątpienia Duke teraz naprawdę ją wyleje. Ale biorąc pod uwagę książkę Campiona, może to nawet dobrze... Stała w metrze, żołądek wywracał jej się na drugą stronę, twarz miała wciśniętą w pachę jakiejś turystki i czuła się kompletnie wykończona, w każdym znaczeniu tego słowa. Z zawodowego zapału, który ogarnął ją po powrocie z Wenecji, nie pozostało ani śladu. Nie miała już nic do zaoferowania.

Lubiła Londyn, lecz dziś rano wydał jej się miastem zdecydowanie ponurym. Kiedy wysiadła na stacji Holborn, stwierdziła, że powietrze na zewnątrz jest równie duszne i zanieczyszczone jak w środku. Robotnicy, wylewający się z wagoników, rozpychali się i byli w złych humorach, a gdy szła po popękanych, oblepionych przezutą gumą chodnikach, robiło jej się niedobrze od rybich i mięsnych powiewów, dochodzących z pobliskich barów. Cóż, teraz to jej świat. Przez parę dni bujała w obłokach, ale obecnie znalazła się z powrotem na dole, pod apartamentami w przybudówkach. Jej miejsce jest właśnie tutaj. I tak już zostanie.

Gdy dotarła do biura i wyciągnęła rękę do frontowych drzwi, z których oblażała farba, ze zdumieniem stwierdziła, że farba już nie oblaży, bo drzwi zostały odmalowane. Wszystkie okna lśniły — odskrobano z nich dwuipółcentymetrową warstwę brudu. Jedno z nich było nawet lekko uchylone, chyba po raz pierwszy w dziejach tego pokolenia, a może nawet kilku, bo

przedtem było zabite gwoździami. Czy aby na pewno dobrze trafiłam? — zastanawiała się Grace. Ale tabliczka na drzwiach — którą dotychczas trudno było zauważyć — tak błyszczała, że nie można jej było przeoczyć. I nadal informowała, że w budynku mieści się wydawnictwo Hatto & Hatto.

Na górze schodów — jak zauważyła Grace, świeżo odkurzonych — znajdowały się drzwi wydziału prasowego. Przymocowana do nich była lśniąca mosiężna tabliczka z napisem: „Korpus prasowy”.

Ellie uniosła wzrok znad biurka. Grace pomyślała, że jej koleżanka wygląda jak prawdziwa kobieta interesu. Czy to kostium od Chanel? Wielobarwny tweed, frędzle na lamówce... Przypomniały jej się stroje, które widziała w Faurbourg St Honore. Ale nie o tym w tej chwili myślała. Ellie wydawała się skonsternowana, co jej się nigdy nie zdarzało.

— Nie spodziewaliśmy się ciebie jeszcze przez parę dni. Na pewno powinnaś była przychodzić?

— Pomyślałam, że należałoby.

— Wyglądasz okropnie.

— Dzięki.

— Naprawdę okropnie. Nawet nie jak ożywiony trup, ale jak trup zamrożony i włożony do kuchenki mikrofalowej, która zepsuła się w połowie odmrażania.

— Daj spokój — wymamrotała Grace.

Mimo całego wyczerpania wyraźnie poczuła w dziale prasowym świeży powiew, pochodzący nie tylko z otwartego okna. Pojawiły się doniczki z roślinami, nowe aparaty telefoniczne o futurystycznym wyglądem, nowoczesne szafki na dokumenty w jasnych, śmiałych kolorach.

Wstawiono nawet nowe biurka, a może te stare po prostu odczyszczono. Przy jednym z nich siedziała energiczna blondynka w wąskich okularach i obcisłej sukience bez rękawów. Grace pomyślała, że najwyraźniej jest to jej następczyni.

A więc stało się to, czego się spodziewała, tyle że nieco wcześniej. Nic dziwnego, że Ellie wyglądała na zmieszaną.

Bez wątpienia zamierzała przekazać jej tę wiadomość telefonicznie do domu, gdy Grace wreszcie wstanie z łóżka.

— To jest Hannah — przedstawiła blondynkę Ellie. — Pracuje u nas jako... mm...

— Tak? — Grace popatrzyła na nią wyzywająco. Dlaczego ma ułatwiać wszystkim życie?

— ...nowa asystentka.

— Asystentka? — Grace potarła oczy. — Przecież nikt...

— Nikt cię nie pytał, wiem. Ale sytuacja wymagała natychmiastowych działań.

Natychmiastowych działań? Grace przestała pocierać zaczerwienione oczy. Czyżby rzeczywiście coś się wydarzyło w dziale prasowym Hatto?

— Jakich natychmiastowych działań?

— No, ponieważ ciebie nie było, a ja mam na głowie całą tę redakcyjną robotę...

No tak, teraz wszystko zaczynało mieć sens. Po prostu Ellie skorzystała z jej nieobecności, by wysiudać ją z działu reklamy. Zatrudniła kogoś na jej miejsce, by jej własne przeniesienie na etat redaktorski stało się nieodwracalnym faktem. Najwyraźniej uznała, że należy wszystko postawić na jedną kartę.

— I oczywiście Bill powiedział — dodała Ellie — że wszystkie siły kierujemy na *Żaby*.

— *Żaby*... — powtórzyła Grace. Czy to nowa książka? Czyżby Hatto postanowiło rozszerzyć swoją działalność, włączając do niej również branżę przyrodniczą? Zauważyła, że gdy jej koleżanka wymówiła imię obecnego właściciela Hatto, jej twarz lekko poróżowiała.

— To jakaś zwariowana rzecz bez tytułu i autora — wyjaśniła Ellie.

Spokojna twarz Grace nie ujawniła elektrycznego wstrząsu, który targnął jej ciałem. Czyżby chodziło o nieokreślone stworzenia ziemno-wodne? Przecież chyba nie istnieje jakaś inna zwariowana książka bez tytułu i autora?

— Co to są *Żaby*! — zapytała drżącym głosem.

— Chodzi o żaby, przejmujące władzę nad światem.

0 Boże! Grace nie miała już żadnych wątpliwości. Chodziło o książkę Reda Campiona.

— To nie żaby — poprawiła automatyczne koleżankę — tylko jakieś nieokreślone ziemno-wodne stwory. — Gdy to mówiła, zastanawiała się, po co zadaje sobie tyle trudu. W dodatku miało to przecież być tajemnicą. Ale Ellie nic nie odpowiedziała. Czyżby domyślała się, co zaszło w Paryżu? — zaniepokoiła się Grace. Wbrew jej oczekiwaniom, nie zadała ani jednego pytania na temat pobytu Grace w tym mieście.

— Mniejsza z tym — mruknęła Ellie, wzruszając ramionami. — W każdym razie Bill...

1 znowu ta leciutka zmiana głosu, gdy wspomniała o Duke'u.

— ...Bill twierdzi, że teraz wszystkie siły trzeba skierować na to, by *Żaby* dotarły do recenzentów. Strategia poprzedniej kampanii załamała się czy coś takiego... — Ellie opuściła wzrok, na jej policzkach pulsował purpurowy rumieniec.

— Załamała się? — Po krzyżu Grace przebiegł zimny dreszcz. Strategia poprzedniej kampanii prawdopodobnie oznaczała ją. A więc Ellie wiedziała.

— Kto ci powiedział? — zapytała, ale znała odpowiedź, zanim sama dokończyła zdanie. Bill. Oczywiście. Co się dzieje pomiędzy tymi dwojgiem? To było jednak drugie pytanie. Pierwsze brzmiało: „Co Bill powiedział o poprzedniej... mhm... strategii kampanii?”.

Hannah wymamrotała, że idzie do automatu z kawą. Kolejna nowość. Chyba że nowa pracownica tak właśnie określała czajnik Gladys i słoik Maxwell House.

Ellie uniosła głowę.

— Bill powiedział mi parę rzeczy...

— Jakich rzeczy?

— No cóż... — Ellie odchrząknęła — ...że ty i Red spędzaliście razem czas.

___ Tak — odparła głucho Grace. — Spędzaliśmy razem czas.

— I że coś nie wyszło.

— Owszem. — Grace zadrżała na wspomnienie dwóch szczerzących na siebie zębów kobiet, przetaczających się w skorupiakach. Widziała już ten

obraz miliony razy. Miała tylko nadzieję, że Ellie oszczędzono szczegółów.

— I o walce między Champagne i tą kobietą...

— Ach! — Grace skrzywiła się. — Opowiedział ci o wszystkim, prawda? Ellie wzruszyła ramionami.

— Może moje zdanie nie ma znaczenia, ale uważam, że Red Champion to kompletny dupek. — Uniosła wzrok i spojrzała Grace prosto w oczy. — Wiesz, że zadzwonił do Billa i powiedział mu, że powinien zabrać ci tę robotę?

— Co takiego? — Grace popatrzyła na Ellie, usiłując zrozumieć jej słowa. Czy to możliwe, że Red Champion nie tylko nie poczuł się nawet zażenowany, ale nawet zadzwonił do Billa Duke'a i zrezygnował z jej usług? Czyżby był jeszcze większym skurwysynem, niż sądziła?

— Bill nie mógł w to uwierzyć. Powiedział, że nie doceniał Campiona.

— Nie doceniał? — Rozwścieczona Grace czuła, jak zgrzytają jej zęby, a oddech staje się szybszy i krótszy. Czy to miało znaczyć, że Red dokonał czegoś godnego podziwu, traktując ją w ten sposób? Czyżby Duke naprawdę miał o niej aż tak złą opinię? Wspomnienie kolacji w Wenecji znowu mignęło jej w pamięci, wzbudzając poczucie winy.

Ellie skinęła głową.

— Owszem, nie doceniał. Champion okazał się jeszcze gorszym sukinsynem, niż Bill przypuszczał.

— Więc dlaczego nie powiedział mi tego wcześniej? — warknęła Grace.

— Że Red to sukinsyn?

Ellie skrzyżowała ramiona.

— Daj spokój, jak mógł to zrobić? Champion to jeden z jego

najważniejszych nabytków. I jak już powiedziałam, nie zdawał sobie sprawy, co z niego za łobuz. Jasne, że krążyły plotki o jego seksoholizmie oraz o tym, że rzucił żonę przez e-mail, ale Bill jest zbyt zajęty, by się zajmować takimi rzeczami.

Grace ponuro skinęła głową. Gdybyż ona też mogła się skupić tylko na interesach. Gdyby tylko rozpoznała Champagne D'Vyne w holu za pierwszym razem... Wszystko byłoby od początku jasne. Wiedziałyby, z czym ma się zmierzyć. Ale przecież nigdy nie potrafiłam poznać, kiedy zbliżają się kłopoty, pomyślała z rozpaczą. Wystarczy popatrzeć na Siona. Albo na Henry'ego Moona.

— Poza tym nawet gdyby ci o tym powiedział, z pewnością nic by to nie zmieniło. Zwłaszcza jeśli Red postanowił cię oczarować.

I tak właśnie się stało, pomyślała Grace. Ellie przyglądała jej się domyślnie.

— Nikt cię o nic nie obwinia — dodała po chwili. — To przecież Red Champion! Może to rzeczywiście skurwysyn, ale cholernie seksowny. — Jej oczy zabłyśły nagle. — Jaki jest... — zaczęła, ale kiedy oczy Grace wypełniły się łzami gniewu, dodała pospiesznie: — Nie, nic nie mów. To skurwiel, bez dwóch zdań.

— Skoro to takie oczywiste, dlaczego nie zdawałam sobie z tego sprawy? — jęknęła Grace. — Jestem głupia, i tyle. Więcej niż głupia.

Ellie uścisnęła jej rękę.

— Wcale nie jesteś. Po prostu wpadłaś na widok ładnego chłopaczka. Każdej innej kobiecie przytrafiłoby się to samo.

Grace zbladła, słysząc te słowa.

— Red Champion to wspaniały aktor filmowy. Naprawdę jest doskonały. Nawet jeśli to gówniany facet — powiedziała Ellie.

— Ale teraz straciłam pracę — wymamrotała Grace. Łącznie z szacunkiem dla siebie, dodała w myślach. Ale nie, z tym pożegnała się już dawno temu. Wtedy, gdy piła koktajle z Henrym Moonem.

Ellie popatrzyła na nią ze zdumieniem.

— Straciłaś pracę? Nie wygłupiaj się. Oczywiście, że jej nie straciłaś. Bill uważa, że jesteś wspaniała.

— Więc dlaczego w biurze siedzi ktoś inny? Ellie westchnęła z lekką irytacją.

— Słuchaj... Jasne, że nie będziesz mogła robić *Żab*, bo Bill stanąłby na głowie, byleby tylko Red był zadowolony. Nie martw się, wszyscy wiemy, że ta książka jest do niczego. Ale musi zostać opublikowana. Choć szczerze mówiąc, najlepiej dla wszystkich by było, żeby padła na rynku.

— Rozumiem — wymamrotała Grace, mimo że nic z tego nie pojmowała.

— Więc Bill chciał, żeby zająć się tą sprawą, choć ciebie już nie było w dziale — ciągnęła Ellie. — Ale ja oczywiście byłam zbyt zajęta. Mając na głowie całą pracę redaktorską...

— No tak, oczywiście — wymamrotała Grace.

— ...więc zatrudniłam Hannah. Pracowała w wytwórni płytowej i wie wszystko o wzajemnej intuicji.

— Ach tak... — Grace nie miała pojęcia, co to znaczy, ale brzmiało bardzo interesująco. Redowi pewnie bardzo by się podobało. — Rozumiem.

— W rekordowym czasie zebrała wszystkie adresy. W ciągu dwudziestu czterech godzin namierzyła wszystkich redaktorów literatury pięknej w całym Londynie. Niesamowite osiągnięcie.

— Tyle że — wtrąciła Hannah, wchodząc do pokoju ze smakowicie wyglądającym *cappuccino* — żaden redaktor literatury pięknej nie dotknie *Żab* nawet przez rękawiczkę. Redaktorka działu książek „Daily Mail” oświadczyła, że to najgorsza rzecz, jaką w życiu czytała.

— Naprawdę? — ucieszyła się Grace, czując, że na dnie jej serca zapłonął mały płomyczek nadziei. To, że reszta literackiego świata wcale nie uważała *Żab* — musiała przyznać, że to dobry tytuł, mimo że ściągnięty od starego Arystofanesa — za takie arcydzieło, za jakie uznał je autor, było interesujące.

— Mieliśmy z tym pewien kłopot — dodała Ellie. A po-

tem Hannah wpadła na genialny pomysł... zgłosiła *Żaby* do nagrody za najgorsze sceny erotyczne, którą przyznaje „Literary Review”.

— Najgorsze sceny erotyczne? — powtórzyła Grace ze zdumieniem. — Chodzi ci o to przyjęcie, na którym kilkaset osób słucha opisów najgorszych scen seksualnych, czytanych przez lektorki w czarnych gumowych rękawiczkach?

— Właśnie! — krzyknęły jednocześnie Ellie i Hannah.

— I wszyscy ryczą ze śmiechu, a dla pisarzy cała ta impreza jest potwornym upokorzeniem?

— Tak!

Grace popatrzyła na nie uważnie.

— Ale jest to też wspaniała reklama, jeśli się do tego odpowiednio podejdzie — oświadczyła Hannah z entuzjazmem.

— A potem — dodała Grace głosem, który nawet w jej uszach zabrzmiał obco — obsmarowują cię błotem we wszystkich gazetach i wszędzie drukują grafomańskie sceny seksualne?

— Tak — potwierdziła Ellie z lekko zakłopotaną miną. — Och, nie mów mi tylko, że masz coś przeciwko temu.

Zapadło milczenie, ale po chwili na twarzy Grace pojawił się szeroki uśmiech.

— Mam coś przeciwko? Do diabła, nie. Uważam, że to najwspanialszy pomysł na świecie.

Ellie i Hannah z radością klasnęły w ręce i wymieniły spojrzenia.

— Więc nie będziesz protestować, jeśli się dowiesz, że Red może się pojawić na przyjęciu, poświęconym najgorszym scenom seksualnym? — upewniła się Ellie.

Na myśl o tym po plecach Grace przebiegł dreszcz, a serce zaczęło walić z całej siły.

— Jest w Londynie? — wymamrotała. Zastanawiała się, czy chce go tak prędko znowu zobaczyć — i czy w ogóle chce się z nim widzieć.

Ellie skinęła głową.

— Ma tu podobno nagrywać jakieś postsynchrony do swojego najnowszego filmu. Tego o drugiej wojnie światowej, który, między nami mówiąc, wcale nie jest dobry i daleko mu do *Legionisty*...

— Co powiedziałaś? — przerwała jej Grace, której oczy rozbłyły nagle.

— Powtarzam tylko to, co wszyscy mówią— odparła z wahaniem Ellie.

— Jego dni jako pierwszego amanta mogą być policzone...

— Nie o to chodzi. Powiedziałaś „postsynchrony”? Chodzi ci o ponowne nagranie głosu?

— Chyba tak. Tylko że on to nazywa...

— Dialogiem — dokończyła Grace. — Jakbym o tym nie wiedziała, do cholery. Sukinsyn.

— A więc tam będziesz? — zapytała z uśmiechem Ellie.

— Najlepsze jest to — wyszeptała Ellie do Grace parę wieczorów później, gdy wchodziły na przyjęcie, trzymając duże, wytłaczane, obramowane złotą obwódką zaproszenia — że Red jest przekonany, iż otrzyma nagrodę Bookera albo coś w tym rodzaju. Jego asystentka usiłowała go przestrzec, że impreza miała będzie raczej humorystyczny charakter, ale zapamiętał z tego tylko tyle, że jest to jedno z „najbardziej sztywnych przyjęć w Londynie”, na którym wręczają „nagrody literackie” i które może zapewnić mu „mnóstwo reklamy”. Czeką go niezły wstrząs.

Grace nerwowo skinęła głową. Choć myśli, że będzie świadkiem publicznego upokorzenia Reda, wydawała jej się pociągająca, świadomość gwałtownie zbliżającej się „chwili prawdy” wprawiała ją w straszliwe zakłopotanie. Miała zarumienione policzki, a kiszki ze zdenerwowania nie mogły się uspokoić. Doszła do wniosku, że tak naprawdę wcale nie czuje nienawiści do Reda. Po prostu pragnęła, by cały epizod z jego udziałem został wymazany z jej pamięci i żeby zapadła nad nim kurtyna milczenia.

— Nie bądź śmieszna — warknęła Ellie, gdy Grace płaczącym się językiem usiłowała przekazać jej coś z tych uczuć. — Może on i jest bogiem, ale igrał z twoimi uczuciami. A to według mojego kodeksu oznacza, że należy go publicznie wychłostać. Chyba wiesz, czego ci teraz potrzeba?

Grace wzruszyła ramionami, boleśnie świadoma swojego wyschniętego ciała, ukrytego pod cienką czarną sukienką.

— Dobrej kolacji? — zapytała niepewnie. Tak przynajmniej uważałyby jej matka, która, ku irytacji Grace, jeszcze nie opuściła Londynu. I pewnie miałyby rację. Grace obliczyła, że w ciągu ostatnich kilku tygodni schudła sześć i pół kilo, co kiedyś napełniłoby ją radością, ale teraz poczuła tylko, że ogarnia ją jeszcze większe zdenerwowanie.

— Nie. Drinka. Wcale nie jesteś jeszcze zaprawiona. I niech ci nawet nie przyjdzie do głowy — ostrzegła ją Ellie — żeby się dokądś wymknąć, kiedy się odwrócę. — Grace, pełna poczucia winy, opuściła wzrok.

Koleżanka, jak zwykle, odgadła jej zamiary. — Jesteś tu po to, żeby się dobrze bawić — napomniała ją surowo Ellie — a także zakończyć tę historię z Redem Championem. I dopilnuję, żebyś zrobiła jedno i drugie. Czeka tu na mnie — przykazała jej, po czym zniknęła w tłumie.

Grace posłusznie pozostała na swoim miejscu, na szerokich schodach, pokrytych czerwonym dywanem. Od czasu do czasu przeciskali się obok niej goście, z kieliszkami szampana i papierosami w dłoniach. Wszyscy zagadywali do siebie i śmiali się, toteż po chwili Grace poczuła, że napięcie z niej opada.

Kandelabry lśniły, ludzie byli ubrani w ekscentryczne stroje — przeważali wśród nich mężczyźni. Grace mimo woli wypatrywała przebłyску blond włosów w tłumie, ale zdawała sobie sprawę, że jest mało prawdopodobne, iż hollywoodzka gwiazda filmowa przejdzie niezauważona. Z pewnością nawet tutaj, pośród intelektualnego londyńskiego towarzystwa, któremu byle czym się nie zaimponuje, obecność Reda wywołałaby poruszenie.

Na razie jednak najbardziej znaną osobą, którą zauważyła,

był Tim Rice. Przystanął obok niej na schodach, nie mogąc posunąć się dalej, gdyż nad nimi zatrzymali się Melvyn Bragg i Beryl Bainbridge, otoczeni rzeszą swoich wielbicieli.

Gdy Grace powiedziała mu, że pracuje dla Hatto & Hatto, Tim Rice spojrzął na nią z zainteresowaniem.

— Zrobiło się o nich głośno, gdy wydali *Nedów z Mrugającej Zatoki* — zauważył.

Grace uśmiechnęła się i skinęła głową. Nadganiała zaległości i chciwie słuchała wszystkich nowinek, które straciła przez okres pobytu w Paryżu i chorobę. Ellie powiedziała jej o poruszeniu w branży książkowej — me tylko w Londynie, ale na całym świecie — jak wywołała informacja o rychłym ukazaniu się *Nedów*. Przez prasę branżową przetoczył się już szereg doniesień, zapowiadających „efekt J.K. Rowling” w Hatto. Przedstawiono nawet sylwetkę Adama Knighta w „Observerze”, używając takich określeń jak „senior zespołu” i „legendarny”. Ku zdumieniu Grace Ellie przyjęła to wszystko ze stoickim spokojem, ale ona sama uznała te wieści za bardzo ekscytujące, bo przecież cała historia z *Nedami* rozpoczęła się od projektu charytatywnego, mającego wspomóc klienta jej sprzątaczkii. A potem wszystko potoczyło się tak szybko i książka zajęła wysokie miejsce na listach bestsellerów...

— Kto to napisał? — zapytał Tim Rice.

Grace potrząsnęła głową i uśmiechnęła się tylko, nie zamierzając zdradzać swojej niewiedzy na ten temat. Zapytała dziś o to samo Ellie, czując, że stawia dość niedorzeczne pytanie. Wydawało jej się niemożliwe, by Maria nie wymieniła nazwiska autora — ale nie mogła jej o nie ponownie zapytać, bo sprzątaczkii była ostatnio trochę zajęta i Grace nie widziała jej od kilku dni.

— Dlaczego nie możesz mi powiedzieć, kto napisał *Nedów*? — zapytała z oburzeniem, patrząc na Ellie. — Po pierwsze, to ja ci przyniosłam ten cholerny maszynopis. Oczywiście za pośrednictwem Marii.

Ellie rzuciła jej wyzywające spojrzenie.

— Absolutnie nie mogę ci tego zdradzić. Ty też usiłowałaś ukryć przede mną, że pracujesz dla Reda Campiona.

— To nie to samo — burknęła Grace. — Gdyby nie ja, w ogóle nie miałybyś tej książki.

— Niebawem się dowiesz — zaćwierkała Ellie. — Autor będzie na rozdaniu nagród za najgorsze sceny seksualne. Powiedział, że od wieków nie był na żadnym przyjęciu.

Grace powtórzyła to teraz konspiracyjnym tonem Timowi Rice'owi, którego bardzo te informacje zainteresowały. Zaraz potem Bainbridge i Bragg wreszcie się przesunęli i Rice zdołał przejść na górę. Nie obyło się jednak bez drobnej kolizji, spowodowanej przez osobę, schodzącą właśnie ze schodów.

— Auu! — jęknął Louis de Bernieres, patrząc na swoją stopę.

Minuty mijały powoli. Grace spojrzała na zegarek, zwisający z jej wychudzonego nadgarstka. Ellie nie było już niemal od kwadransa, ale stała się ostatnio bardzo popularną osobą. Z *Ne-dami* powiodło jej się nawet lepiej niż z *Czarami i samotną dziewczyną* i choć obie książki sprzedawały się podobnie, zamówienia wskazywały, że *Nedowie* okazał się bestsellerem. „The Bookseller” nazwał Ellie najzdolniejszą młodą redaktorką w mieście i wciąż dzwoniło z różnych gazet, pragnących przeprowadzić wywiad z nową gwiazdą wydawniczą. Grace aż musiała się uszczypnąć, by uwierzyć w tę tak gwałtowną odmianę losu Hatto & Hatto. Żeby gazety zainteresowały się zespołem redaktorskim Hatto! Nigdy przedtem nie obchodzili ich nawet autorzy. Kiedy jednak Grace zapytała koleżankę o Henry'ego Moona, krótka odpowiedź, jakiej udzieliła jej Ellie z irytująco domyślnym błyskiem w oku, świadczyła, że sytuacja nie uległa zmianie. Grace zastanawiała się, co u niego słyhać, jak mu idzie pisanie nowej książki. Pewnie nie najlepiej, pomyślała, wykrzywiając usta. Niemniej chętnie znowu by się z nim zobaczyła, bo po historii z Redem spojrzała na wiele spraw z innej perspektywy. A może Moon sam się tu pojawi?

Spojrzała na kłębiący się tłum, zastanawiając się, która z tych osób może być autorem *Nedów*. Ale nikt z obecnych nie przypominał zbytnio klienta Marii. Sądząc z jej opisu, powinien być to owłosiony na plecach, odziany w zrobioną na drutach kamizelkę dżentelmen w grubych okularach, właściciel zlewu pełnego brudnych garnków. Z pewnością miał również tatuaże i przedramiona grube jak słupy. A może cały czas biegała wokół nie tego słupa? Może tajemniczy autor wyglądał całkiem inaczej — może był mężczyzną o szyderczym wyrazie twarzy, krótko obciętych włosach i ostrych rysach? Albo człowiekiem z brodą, o szalonym wzroku, w obcistym podkoszulku.

Nagle jej wzrok przyciągnęła szybko poruszająca się ciemnowłosa głowa. Wstrzymała oddech, gdy niedaleko niej przesunął się ktoś, kogo rozpoznała aż nazbyt dobrze. Była to kobieta, którą ostatnio widziała w majtkach z rozciętym kroczeniem, wysmarowaną kawiosem i usiłującą wydrapać oczy Champagne D'Vyne.

Nie ulegało wątpliwości, że to ona. Po pierwsze, miała siniaki na twarzy, a na szyi kołnierz ortopedyczny. Choć tłum był zbyt gęsty, by Grace mogła dostrzec jej stopy, zauważyła, że kobieta kuśtyka i zatacza się lekko. Zupełnie jakby — choć wydawało się to niedorzeczne — jedną nogę miała w gipsie, a na drugą wcisnęła pantofelek na wysokim obcasie. — Kto to jest? — krzyknęła, gdy jej koleżanka, z której tłum omal nie zdarł czarnej sukienki bez ramiączek, wyłoniła się wreszcie spośród innych gości z dwoma kieliszkami szampana.

Elie spojrzała we wskazanym kierunku, ale było już za późno.

Wojowniczką z apartamentu w nadbudówce zniknęła; na jej miejscu pojawiła się blondynka w obcistej sukience, za którą sunęła ekipa filmowa.

— To ta durna Walijka z *Big Brother* — powiedziała z pogardą Ellie. — Chodźmy do głównej sali. Przedstawienie zaraz się zacznie.

Dołączyły do tłumu gości, kłębiącego się w wejściu do sali. Grace słyszała wokół siebie podekscytowane szepty.

— Jest niższy niż na filmie, ale te supergwiazdy zawsze sprawiają takie wrażenie.

Grace w panice odwróciła się do koleżanki.

— Czy już przyjechał? Jest... tutaj? Ellie skinęła głową.

— Wspaniale, co?

— Wspaniale? Od kiedy to stałaś się jego wielbicielką? — warknęła Grace. A może Ellie mówiła to z ironią? Czasami miała dziwne poczucie humoru.

— Odkąd miałam sześć lat — odparła Ellie.

— Ale jeszcze wtedy nie występował. Nie mogłaś za nim szaleć — stwierdziła Grace.

— Za Mickiem Jaggerem? Pewnie, że nie. Był stary, kiedy jeszcze nosiłam pieluchy.

— Mick Jagger...?

— Tak. To on rozdaje nagrody za najgorszy opis seksu. A o kim innym myślałaś? Ach, rozumiem... — mruknęła Ellie, przewracając oczami. — Oczywiście o Redzie.

Grace skinęła głową, nerwowo rozglądając się dokoła.

— Ale wydaje mi się, że jeszcze nie przyjechał — dodała Ellie.

Naturalnie spóźnia się, jak wszystkie znane osobistości, pomyślała Grace. Zrobiła parę głębokich wdechów, zmuszając się do zachowania spokoju. Kiedy przepychała się przez tłum, nagle poczuła, że ktoś chwyta ją za rękę od tyłu.

Próbowała się wyrwać, lecz zanim jej się to udało, wciśnięto jej w dłoń jakiś mały, ciepły krążek, a potem zaciśnięto wokół niego jej palce.

Usiłowała się odwrócić, ale gdy to zrobiła, nikogo znajomego nie dojrzała.

Z trudem wyszarpnęła rękę z napierającego na nią tłumu, omal nie przewracając Jonathana Coego, który stał tuż przed nią wraz z żoną.

Nacisk ciał był prawie nie do zniesienia, a głosy, choć zniżone do szeptu, przetaczały się nad nią niemal

z rykiem. Kiedy po chwili znowu zdołała zobaczyć swoją rękę, rozchyliła palce i popatrzyła zdziwiona na dłoń. Ktoś dał jej monetę funtową. Po co? Trąciła łokciem Ellie, ale jej uwaga zwrócona była w inną stronę. Jak cała reszta, próbowała uzyskać jak najlepszy widok na przód sali, gdzie najwyraźniej działo się coś bardzo interesującego. Grace, której wzrok przesłoniła gęsta czupryna Sebastiana Faulksa, na próżno usiłowała zorientować się, o co chodzi. Znowu trąciła łokciem koleżankę.

— Co się tam wyprawia? — zapytała. Ze swojego miejsca widziała część podium i kawałek mikrofonu, ale niewiele więcej.

— Red przyjechał — wyjaśniła Ellie.

Rozdział 24

Kiedy Sebastian Faulks przesunął się lekko, Grace ponad masą głów dojrzała oblane światłem reflektorów podium, z którego miano odczytywać nagrodzone sceny. Znajdował się na nim mikrofon, pulpit i troje ludzi. Ale żadna z tych osób nie była Redem.

Pomyślała, że pewnie wiadomość o jego przybyciu była nieco przedwczesna. Mnóstwo ludzi wokół niej nosiło okulary, najwyraźniej wzrok wielu gości nie był najlepszy.

Dwie spośród osób stojących na scenie były redaktorkami z magazynu „Literary Review”, który wpadł na pomysł zorganizowania tej gali. Ich zadaniem było humorystyczne przedstawienie fragmentów powieści, wytypowanych jako najgorsze sceny seksualne roku, i stanowiło to jedno z najzabawniejszych wydarzeń wieczoru. Jak zwykle obie lektorki wyglądały olśniewająco: były w wytwornych sukniach wieczorowych, miały włosy ułożone w stożkowate koki, dekolty, w których mężczyzna mógłby się zagubić, usta umalowane jaskrawą czerwoną szminką, a ich ręce aż do łokcia okrywały czarne gumowe rękawiczki, które miały podkreślać podniecający charakter ich popisu.

Trzecią osobą był Mick Jagger.

Widok legendarnego rockera we własnej osobie — choć

jego pomarszczone ciało przypominało pofałdowaną skorupę orzecha włoskiego — sprawił, że Grace ogarnęło podniecenie. Nie była wprawdzie największą wielbicielką Stonesów na świecie, ale nie ulegało wątpliwości, że ten człowiek to instytucja.

Kiedy Jagger zaczął przemawiać swoim charakterystycznym głosem, skupił na sobie uwagę całej widowni — oprócz Grace. Nie docierało do niej zbyt wiele z tego, co mówił, słyszała tylko chichot tłumu, gdy Jagger oświadczył, że jeśli chodzi o muzyków, nie ma czegoś takiego jak zły seks. Każdy seks jest dobrym seksem. Po chwili Sebastian Faulks trochę się przesunął i Grace skoncentrowała wzrok na miejscu, którego nie mogła dostrzec wcześniej. Na prawo od podium, pod ogromnym portretem królowej Wiktorii, wiszącym na wyłożonych czerwoną tkaniną ścianach, zobaczyła znajomy czubek blond głowy. Widziała tylko włosy i fragment czoła, ale to wystarczyło. Uświadomiła sobie, że cały otaczający ją tłum również patrzy na Reda Campiona.

Przesunęła się natychmiast z powrotem w zacisze bujnych loków Faulksa i zaczęła się zastanawiać, dlaczego zadaje sobie tyle trudu. W końcu Reda wcale by nie obeszło, gdyby ją zobaczył. Pewnie w ogóle nie poświęcił jej ani jednej myśli. Dla niego była już przeszłością, może nawet by jej nie rozpoznał, gdyby spojrzała mu prosto w te jego głębokie, ale tak bardzo kłamliwe niebieskie oczy. Nerwowo zaciskała palce wokół ciepłej funtowej monety. Trzymając ją, czuła dziwną pociechę, choć otrzymała pieniędzy w tak dziwny sposób. Pisarze są słynni ze swego skąpstwa, a zebranie literackie było ostatnim miejscem, w którym spodziewałaby się otrzymania jakiegoś dobroczynnego datku.

Choć jednak bardzo się starała, nie mogła nie widzieć twarzy Reda, która jaśniała jak latarnia morska. Ta gładka, lśniąca skóra, do której przytulała policzek, zmysłowe usta, wpijające się w jej usta; oczy, w które spoglądała tak często i które wcale nie okazały się głębokie... Wydawało się niemożliwe, wręcz

niedorzecznie nieprawdopodobne, że tam, nad głowami tłumu, niepomny jej obecności i być może całego jej istnienia, stoi mężczyzna, z którym jeszcze przed paroma dniami pływała po Sekwanie, piła szampana o zachodzie słońca i kochała się przez tyle nocy. Gdy fala ogłupiającej żalości odpłynęła, znowu ścisnęła monetę. Ellie popatrzyła na nią i pocieszająco objęła ją ramieniem.

— Champion sprawia wrażenie trochę podłamanego — stwierdziła. — Pewnie myślał, że zrobią koło niego więcej szumu. Nie powinien był tu w ogóle przychodzić. Pisarze są cholernie arogancy i uważają, że cieszą się większą sławą od niego. W dodatku powiadają, że jego kariera się kończy...

Doceniając ten wyraz lojalności, Grace usiłowała zrobić zadowoloną minę.

— Nareszcie! — krzyknęła Ellie, gdy po przemowie Jaggera rozległ się szum oklasków. — Teraz będzie najlepsze.

Jedna z lektorek, trzymając w gumowych rękawiczkach kartkę papieru, oznajmiła dźwięcznym głosem:

— Przeczytam teraz fragment z *Przyczółka* Jenny Bristols. Rozległy się okrzyki aprobaty. Wszyscy, łącznie z Grace, starali się dojrzeć autorkę.

— Tam — powiedziała Ellie, wskazując pisarkę ręką. — Stoi obok Joanny Trołlope.

Grace dostrzegła Jenny Bristols, która z twarzą pobladłą od tłumionego gniewu morderczym wzrokiem wpatrywała się w lektorkę. Obok niej stała Sassy Jenks, którą pewnie wtłoczył tu tłum. Wydawało się mało prawdopodobne, aby przyszła tu z zamiarem udzielenia koleżance autorce siostrzanego wsparcia, bo na jej twarzy malowało się radosne oczekiwanie. Lektorka zaczęła czytać:

— Jesteś ogromny — wyszeptała Camilla, gdy męskość Rocka wyskoczyła niczym kobra z jego jedwabnych bokserów. Już miała usiąść na nim okrakiem, gdy Rock niskim, chrapliwym głosem jęknął: — Jeszcze nie... najpierw zliż czekoladę.

Tłum zaryczał. Lektorka uśmiechnęła się i czytała dalej:

Camilla zawahała się, patrząc niepewnie na lśniąca warstwę, tworzącą brązową, splątana masę na gęstych włosach jego piersi.

— Na co czekasz? — zapytał Rock nagle. Jego członek był ogromny i błyszczący. — Lizesz tę cholerną czekoladę czy nie?

— Nie mogę — wyjąkała Camilla. — Po prostu nie mogę.

— Dlaczego? — chrapliwie zapytał Rock. — To nie jest właściwy moment, żebyś zaczęła odczuwać wyrzuty sumienia wobec męża. A tym bardziej wobec dzieci.

— Nie o to chodzi. Jestem uczulona na ziarno kakaowe — wymamrotała Camilla.

Publiczność znowu ryknęła śmiechem, a najgłośniej Sassy Jenks. Jenny rzuciła jej mordercze spojrzenie. Gdy śmiech umilkł, wystąpiła druga lektorka.

— Następny fragment — oznajmiła. — Z powieści Sassy Jenks

Wstrzyknięcie.

Teraz z kolei Sassy zrobiła morderczą minę, a twarz Jenny Bristols rozjaśniła się radosnym uśmiechem. Grace ledwo słyszała fragmenty tekstu, ale zdołała się zorientować, że w niektórych scenach seksualnych posługiwano się kijem do krykieta, a ponieważ Mick Jagger był wielbicielem krykieta, z pewnością musiało go to bardzo bawić. Jednak cała jej uwaga była skierowana na Reda. Gdy jego niebieskie oczy z niepokojem wędrowały po sali, poczuła cień współczucia. Przyciśnięty do ściany pod królową Wiktoria, wyglądał na samotnego i zagubionego. To dziwne, że zjawił się tu bez swojej obstawy. Nieoczekiwanie przyszła jej do głowy szalona, nieprawdopodobna myśl, że może miał nadzieję spotkać ją tutaj i przeprosić za swoje zachowanie...

W tym momencie ujrzała, jak głowa Reda odskakuje nagle na bok, a na podium zrobiło się jakieś zamieszanie. Najwyraźniej przybył ktoś nowy. Lektorka przerwała czytanie. Grace

próbowała się zorientować, o kogo może chodzić, ale znowu zakryła jej widok koafiura Faulksa. Wspaniale jest być wysokim, nic to jednak nie daje, gdy czyjeś włosy są jeszcze wyższe.

— Wszyscy gadają coś o podpórkach pod biust — prychnęła Ellie. — Mówią, że może lizać własny dekolt.

— Kto?

— Oczywiście Champagne D'Vyne.

Szalona, niemożliwa myśl zgasła jak zdmuchnięta świeca. A więc to ona przyszła. Teraz było wiadomo, pomyślała gorzko Grace, za kim rozglądał się Red. Poprzez szparę w tłumie ujrzała, że złota głowa Champagne D'Vyne znajduje się tuż obok blond włosów Reda Campiona.

— Tak, uwielbiam powieści — powiedziała aktorka dźwięcznym głosem, zwracając się do redaktora „Literary Review”. — Nawet któregoś dnia wbiłam do swojej diamentowy nit. — Szturchnęła redaktora, po czym zaniósła się śmiechem. — Cha, cha, cha. Boże, ale jestem zabawna!

Ale najwyraźniej ani Jenny Bristols, ani Sassy Jenks nie podzielały tego zdania. Gdy lektorka zaczęła czytać fragment powieści Sassy, Champagne zaśmiała się szyderczo. Sassy i Jenny spojrzały na nią z wściekłością, a potem znowu na siebie — z rodzącym się zrozumieniem.

— Mój Boże! — wyszeptała Ellie. — Chyba naprawdę nawiązuje się między nimi nić przyjaźni. Nagle obie sobie uświadomiły, że jest ktoś, kogo nienawidzą bardziej niż siebie. To naprawdę urocze...

Grace nie słuchała jej jednak. Czowała się zbyt nieszczęśliwa, wpatrując się w Champagne. Kobieta, którą ostatnio widziała szczerzącą zęby i wysmarowaną kawiozem, promieniała teraz łagodnym, świetlistym urokiem. Oczy przynajmniej połowy publiczności — nie tylko mężczyzn, ale także kobiet, wlepione były w obcisłą suknię z przezroczystej czarnej koronki, ściśle przylegającej do kształtów Champagne. Przez prześwitujący materiał widać było niemal każdy centymetr jej ciała, szczupłe uda sunęły ku ziemi z najszczuplejszych, najwęższych bioder,

jakie można sobie wyobrazić, a ogromne piersi unosiły się w kierunku kandelabrow niczym para sond kosmicznych.

— Chryste... — wymamrotała Ellie. — Sama ta suknia zasługuje na nagrodę za zły seks.

Grace skinęła głową. Kto zdołałby jej się oprzeć? — pomyślała. To, że nie Red, nie było tak ważne, choć nie powiedział — nie zrobił nawet najmniejszej aluzji — że on i Champagne są parą. Patrząc na tejaśniejącą, triumfującą kobietę, Grace poczuła, że ma ochotę uciec. Ale napierający tłum był zbyt gęsty. Nie mogła się poruszyć. Wciąż ścisnęła w dłoni funtową monetę. To dziwne, jak bardzo ten mały krążek dodawał jej otuchy.

Nagle Ellie trąciła ją łokciem.

— Spójrz na Belinę Black. Wygląda, jakby miała za sobą dziesięć rund z bokserem wagi ciężkiej.

Grace ujrzała ciemnowłosą kobietę, którą spostrzegła wcześniej na schodach. Brunetka przeciskała się z determinacją ku Mickowi Jaggerowi i Redowi Championowi.

— To jest Belinda Black? Ta z siniakami i w kołnierzu ortopedycznym? — wymamrotała Grace, patrząc na kobietę, która odcisnęła takie piętno na jej życiu. Po pierwsze, ta uwodzicielka zabrała jej Siona. To ona także — niegrzecznie i stanowczo — wykluczała każdego autora Hatto & Hatto z *Przerwy na herbatę*. Wpatrywała się w postać, śmiało podążającą w kierunku podium, usiłując wzbudzić w sobie uczucie wściekłości i wstrętu. Belinda była parę metrów od niej. Za daleko, by oblać ją szampanem, dość blisko jednak, by rzucić w nią kiełbasę.

Ale wzbudzenie w sobie wściekłości wymaga czasu. A Sion nie był aż taką wielką stratą. Co więcej, ta sama kobieta, która nie dopuściła jej autorów do *Przerwy na herbatę*, dała przynajmniej porządne wciry Champagne D'Vyne. I choć obecność Belindy w apartamencie Reda była dla Grace wstrząsem, czuła dla niej wdzięczność za to, że zmaltretowała jego przyjaciółkę.

Biorąc to wszystko pod uwagę, Belinda Black wyświadczyła jej wiele przysług. A poza tym było coś godnego podziwu

w tym, że rozliczne obrażenia nie powstrzymały jej przed uczestnictwem w tym przyjęciu.

— Najwyraźniej zmierza do Reda — zachichotała Ellie. — Może ma nadzieję, że z powrotem dostanie pracę, jeśli zdobędzie z nim wywiad. Ciekawe, czy wie, że jest z nim Champagne. Zaraz rozegra się druga runda... To tylko parę sekund.

Grace wstrzymała oddech, gdy patrzyła, jak Belinda przedziera się ku Redowi Championowi. Po chwili uświadomiła sobie z pełnym niechęci podziwem, że tłum rozstępuje się przed nią — a nawet odskakuje — gdyż w zdrowej ręce dziennikarki ukryty był szpikulec do lodu. Zastanawiała się, czy Belinda ma zamiar użyć tego narzędzia również przeciwko Champagne.

Ale zaledwie parę kroków od celu Belinda nagle zatrzymała się i cofnęła. Jej stopa w gipsie wylądowała na nodze osoby stojącej za nią.

— Auu! — skrzeknął Louis de Bernieres.

Belinda nie zwróciła na niego uwagi. Wpatrywała się w kogoś, kto najwyraźniej przepelniał ją lękiem. To na pewno Champagne, pomyślała Grace. I tak rzeczywiście było.

Wyglądało na to, że aktorka rozpoznała Belinę w tym samym momencie. Jej oczy się zwężyły, usta wykrzywiły, a całe ciało napięło, gotowe do ataku.

Grace nie wiedziała, jaki był wynik potyczki w Meurice, ale przypuszczała, że Belinda nie odniosła w niej zwycięstwa. Chyba jednak nie zamierzała wpakować się w drugą rundę, bo gwałtownie cofała się przez tłum, torując sobie drogę nogą w gipsie i jednocześnie rozmawiając przez komórkę.

— Panie Grayson, nic mnie to nie obchodzi — usłyszała Grace, gdy dziennikarka przeciskała się obok niej. — Niech mnie pan wyrzuci, jeśli ma pan ochotę. Mogę przepracować resztę życia w prowincjonalnym magazynie. Ale nie zbliżę się do Reda Campiona, póki jest przy nim ta cholerna psychopatka. Chyba że zechce mi pan zapłacić dodatkowo za pracę w niebezpiecznych warunkach. Nie? Tak też myślałam...

— Nie mam pojęcia, dlaczego Champagne tak ryczy ze śmiechu — mruknęła Ellie. Gdy czytany przez lektorkę fragment tekstu doszedł do szczytowego momentu — w każdym sensie tego słowa, jak zdołała stwierdzić Grace — aktorka znowu zaniósła się pogardliwym śmiechem.

— Czy ta kobieta jest aż tak głupia? — dziwiła się Ellie. — Jak dotychczas, nie zorientowała się, że to wszystko dotyczy też jej ukochanego. Ale wydaje mi się, że Red zaczyna coś chwytać...

— Myślisz, że wygra główną nagrodę? — zapytała Grace, wbijając paznokcie w dłoń.

— Powiadają, że czas leczy wszystkie rany... — mruknęła Ellie — choć sama nie miałam okazji się o tym przekonać.

Znowu wystąpiła pierwsza lektorka.

— A teraz — oznajmiła ze złośliwym błyskiem w oku — przechodzimy do fragmentu ostatniego tekstu. Do sceny seksualnej, która, jak z pewnością się ze mną zgodzicie, nadaje zupełnie nowe znaczenie wszelkim przestrzennym dziwactwom.

Grace przełknęła ślinę i ścisnęła monetę. Na szczęście, dzięki bujnym lokom Faulksa, Red nie mógł jej widzieć. Albo — co ważniejsze — ona jego.

Lektorka zaczęła czytać:

Jed poczuł nagle, że cała jego istota zostaje pociągnięta w górę, ku oślepiającemu światłu; nie tylko jego ciało, lecz również dusza.

Półokrągłe przesuwane drzwi otworzyły się i zamknęły z trzaskiem.

Unosił się, otoczony elektrostatycznym pulsowaniem...

Grace złapała Ellie za ramię. Pomyślała, że choć Red zasługiwał na to, by utrzyć mu nosa, ostatnią rzeczą, jaką chciałyby teraz usłyszeć, było cokolwiek, co dotyczyłoby Reda i seksu. Nawet jeśli byłaby to fikcja.

Nawet jeżeli dotyczyłoby to nieokreślonych stworzeń ziemno-wodnych.

A może zwłaszcza wtedy, gdy dotyczyłoby nieokreślonych stworzeń ziemno-wodnych.

Donośne dudnienie przeszywało cały jego korpus. Leżał teraz płasko na plecach w ogromnym pomieszczeniu, które wyglądało na salę wykładową. Nie było tam foteli, lecz szereg okrągłych sadzawek, ciągnących się aż po horyzont. On sam spoczywał rozciągnięty ku górze, zawieszony w powietrzu. Czuł, że w całe jego ciało wciśnięto rurki, i miał świadomość, że przepływają przez niego różne płyny i wydzieliny. Jego powłokę owiewał zimny oddech. Uświadomił sobie nagle, że coś w pobliżu niego się podniosło...

Gdy publiczność ryczała ze śmiechu, Grace usiłowała wyrwać się ze ścisku. Przypomniałszy sobie „Podręcznik zachowania się w tłumie” Belindy Black, wbiła oba łokcie w pierś znajdującej się za nią osoby. — Auu! — zaprotestował jakiś znajomy głos. Nie był to jednak podnoszący włosy na głowie jazgot twórcy *Mandoliny Kapitana Corellego*, ale głos autora *Ssanii kamieni*.

— Do jasnej cholery — wymamrotał Henry Moon, z zażawionymi oczyma masując splot słoneczny. — Myślałem, że jesteś bardziej miękka i okrąglejsza. Masz łokcie jak brzytwy.

— Przepraszam. — Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale nie mogła. Jej język stał się nagle ciężki jak z ołowiu, a w żołądku wezbrała fala mdłości, która mogła mieć związek z odczytanym przed chwilą fragmentem prozy Reda Campiona, choć wcale nie było to takie oczywiste. Jej kolana drżały. — Muszę się stąd wyrwać — wymamrotała. Henry skinął głową.

— Nie mam do ciebie pretensji. To wszystko jest dosyć okropne. Nawet jak na Sceny Złego Seksu.

Przez chwilę zastanawiała się, dlaczego wygląda tak bojaźliwie, ale zaraz ogarnęło ją zażenowanie. Mimo że zrobiła bardzo staranny makijaż, nie udało jej się ukryć ziemistej cery, była też okropnie chuda i miała zmatowiałe oczy i włosy.

Henry natomiast promieniał życiem i zdrowiem. Szarość skóry na twarzy zniknęła, podobnie jak wrażenie zbyt napiętej skóry na kościach policzkowych. Jego oczy błyszczały, a worki pod oczami niemal całkiem zniknęły.

— Dobrze wyglądasz — powiedziała, starając się, by jej głos brzmiał pogodnie. — Jak ci idzie książka?

W jego oczach zamigotało zdumienie. Do diabła, pomyślała Grace. Już spięcie, to rekord nawet jak dla niej. Rozmawiali przecież tylko przez dwie sekundy.

Ale Henry uśmiechnął się, jego szerokie usta odsłoniły zażółcone nikotyną zęby. O ileż prawdziwiej to wygląda niż lśniące hollywoodzkie szkliwo Reda, pomyślała Grace.

— Idzie mi dobrze — odparł. — Naprawdę nieźle. — Jego brwi powędrowały w górę i w dół jak jojo i Grace pomyślała, że sprawia wrażenie dziwnie podnieconego.

— Jaki ma tytuł? Powiedziałeś, że to będzie coś zupełnie innego. Uśmiechnął się znowu.

— Dam ci egzemplarz. Niedługo ma wyjść.

— Dzięki. — Grace była zdumiona, że nowa książka Henry'ego tak szybko doczekała się publikacji. Nic o niej nie słyszała. Być może Ellie coś o tym wspominała, ale tak naprawdę nie słuchała jej zbyt uważnie. Poza tym poruszenie wywołane *Nedami z Mrugającej Zatoki* odwróciło jej uwagę od wszystkich innych spraw.

— Och, Henry. Tak się cieszę, że znowu piszesz — powiedziała, nerwowo splatając i rozplatając ręce.

Zapadło milczenie. Na pewno chciałby już odejść. Musi przecież porozmawiać z innymi ludźmi. A jednak się ociagał. Ale dlaczego? Nie musi być wobec niej uprzejmy.

— Wyglądasz strasznie — stwierdził Henry, wcale nie próbując być wobec niej uprzejmy.

Zaśmiała się ponuro.

— Dzięki. Byłam chora.

— Tak, słyszałem — odparł Henry.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem. Skąd się dowiedział?

— Wspaniale, że mogą cię znowu widzieć — wymamrotał, a potem znowu zapadło milczenie.

Jego twarz spochmurniała nagle.

— Grace... — zaczął po chwili. Serce waliło jej w piersi.

— Tak?

— Grace, chciałem cię zapytać...

— Tak? — powtórzyła niemal szeptem.

— Czy masz przy sobie przypadkiem monetę funtową? Na fajki?

Co? Czując dziwne rozczarowanie — bo w końcu czego się spodziewała?

— Grace zastanawiała się, dlaczego Henry chce kupować papierosy, skoro sponsorzy tej literackiej imprezy wszędzie powykładali papierosy.

— Monety jednofuntowe! — zawołała ze śmiechem, w którym pobrzmiwały historyczne nutki. — Chyba wszyscy mają hysia na ich punkcie.

— Jak to? — W głosie Henry'ego słychać było napięcie. — Kto jeszcze... kto ma hysia na ich punkcie?

— Wyobraź sobie, że któregoś dnia nie mogłam namówić mojej sprzątaczkę, żeby zabrała funtową monetę, którą zostawiła u mnie w kuchni. A teraz ktoś wcisnął mi taką samą monetę do ręki podczas przemowy Micka Jaggera.

Ku jej zdumieniu, Henry miał wyraźnie zadowoloną minę.

— Naprawdę?

— Owszem. Mogę ci ją dać, jeśli chcesz.

Rozchyliła dłoń i Henry spojrzał na monetę, ale w następnej sekundzie cofnął się gwałtownie.

— O nie, nie mogę tego pożyczyć.

— Dlaczego nie? — Grace spojrzała na krążek leżący na jej dłoni.

Wyglądał dosyć przyzwoicie. Może był trochę brudny, gorący i zapocony, ale niczego więcej nie można mu było zarzucić. — Co z nim jest nie tak?

Henry potrząsnął głową.

— Wszystko z nim jest jak należy. Ale to, moja droga Grace... Poczula przebiegający przez całe jej ciało dreszcz, gdy usłyszała te słowa. „Moja droga Grace”.

— ...jest niezwykle rzadka moneta. Powinnaś zawsze trzymać ją przy sobie i nigdy nie spuszczać jej z oczu. Nigdy — dodał z naciskiem.

— Ależ to moneta, jakich mnóstwo znajduje się w obiegu. Henry potrząsnął głową.

— Absolutnie nie. Ta moneta należy do... hm... bardzo rzadkich okazji z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego, które królowa kazała całkowicie wycofać z użycia, gdyż ma na niej podwójny podbródek.

— Podwójny podbródek? — Grace popatrzyła na monetę. Profil monarchini rzeczywiście miał podwójny podbródek. Ale czyż nie zawsze tak wyglądał?

— Właśnie — odparł Henry. — Uznała, że prezentuje się na niej zbyt niekorzystnie, więc kazała stopić wszystkie wybite monety i wyprodukować nowe, na których wyglądałaby przystojniej. Tak więc moneta, którą trzymasz, jest niezwykle rzadka. Ta akurat nie została zniszczona. Możliwe, że to unikat. Nigdy nie powinnaś się jej pozbywać. Przenigdy.

Grace popatrzyła na niego ze zdumieniem.

— Kazała przetopić wszystkie monety?

— Tak. — Henry uśmiechnął się, rozkładając ręce. — Na początku swojego panowania, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim, była młodą pięknoscia, ale z czasem dostrzegła, że jej twarz na monetach staje się coraz bardziej obwisła. Nic dziwnego, że nasza biedna stara królowa nigdy nie nosi przy sobie pieniędzy... Och, popatrz! — zawołał nagle i zgarnął paczkę papierosów, która leżała na stoliku. — I tak nie potrzebuję już twojej monety.

— To wspaniale. — Grace jeszcze mocniej zacisnęła palce wokół metalowego krążka, zdając sobie sprawę, że Henry uporczywie jej się przygląda. Na pewno zaraz odejdzie. Ma

już przecież swoje fajki. Ale on ociągał się, a wyjęty z paczki papieros, którego wcale nie przypalił, zwisał mu między palcami.

Chciała coś powiedzieć, przychodziły jej jednak na myśl same banały.

— No dobrze, a co ty robisz na rozdaniu nagród za Najgorszy Seks? — zapytała.

Uśmiechnął się nieco wyzywająco.

— Uznałem, że powinienem, biorąc pod uwagę moje zachowanie w St Merrion.

Serce Grace zabiło gwałtownie.

— To nie był zły seks — wymamrotała z zażenowaniem.

— Miło mi to słyszeć — powiedział z wyraźną ulgą. — Ale stać mnie na więcej. — Jego uśmiech zgasł. — Poza tym miałem nadzieję, że cię tu dzisiaj spotkam.

Grace zadrżała.

— Naprawdę?

W tym momencie rozległ się radosny ryk, dochodzący z sali od strony podium. Gdy Grace się odwróciła, ujrzała przepychających się ludzi, a potem schodzącego z estrady bladego z wściekłości Reda Campiona, za którym szła Champagne D'Vyne.

— Sukinsyny! — warczał Red. — Powiedzieli mi, że to nagroda literacka. — Spojrzał z pogardą na trzymany w ręku przedmiot. Do rzeźbionego cokołu przytwierdzono parę dużych nagich piersi ze szkła, które wielkością i krągłością bardzo przypominały biust Champagne.

— Tak, powiedziałaś mi, że to Booker Prize — krzyknęła Champagne. — Chyba powinni ją nazwać Pieprzer Prize. Cha, cha, cha. Boże, ale jestem zabawna!

— Boki zrywać — syknął Red.

Henry wpatrywał się w tę parę ze zdziwieniem, a ręka Grace zaciskała się coraz mocniej wokół gorącego małego krążka. Ona, Henry, Champagne i Red byli jedynymi osobami znajdującymi się na podeście. Gdyby Red spojrział w jej kierunku,

z pewnością by ją rozpoznał. Ale nagle uświadomiła sobie, że to ostatnia rzecz, jakiej pragnie. I nie chodziło tylko o zażenowanie, które poczułaby, gdyby Red ją zobaczył. Nie wiadomo, co Red powiedział Champagne o kobiecie, która z płaczem wypadła z jego apartamentu — a przecież musiał jej coś powiedzieć — ale po incydencie z Belindą Black Grace nie spodziewała się, że aktorka potraktuje ją inaczej. Te szklane piersi z pewnością musiały ważyć kilka kilogramów, a z pewnością będzie to pierwsza rzecz, jaką Champagne ciśnie w Grace.

Musiała też wziąć pod uwagę reakcję Henry'ego Moona. Gdyby Red ją rozpoznał, a Champagne zaatakowała, zrodziłoby to pewne pytania. Pytania, na które Grace wołałaby teraz nie odpowiadać. Wytłumaczy wszystko Henry'emu, gdy będzie w nieco lepszej kondycji emocjonalnej, nie wspominając już o potencjale intelektualnym. Ale nie wcześniej. A to oznaczało, że musi się ukrywać. Schować twarz. Zasłonić się tak, by Red jej nie zobaczył. Ogarnięta paniką, rozejrzała się wokół. Nie znalazła jednak żadnej drogi ucieczki ani jakiegokolwiek kryjówki. Zawahała się, ale nie miała wyjścia, rzuciła się więc do przodu i chwyciła obie klapy pogniecionej marynarki Henry'ego, po czym przyciągnęła jego twarz ku swojej i zaczęła go namiętnie całować.

Cała kurczyła się wewnątrz na myśl, za jaką nimfomaniaczkę musi ją uważać. Albo nawet tylko za zwykłą maniaczkę. Ale cóż mogła zrobić innego? Wycalowanie Henry'ego Moona można uznać za trochę zbyt śmiało, lecz z pewnością było to dużo lepsze niż śmierć, zadana parą szklanych piersi.

Po chwili kątem oka zauważyła, że obie gwiazdy obrzucają podest, ją i Henry'ego spojrzeniem — Red poirytowanym, a Champagne znudzonym — po czym zwracają się ku sobie.

— Spadajmy — powiedział aktor do swojej towarzyszki. — Chodźmy do jakiejś sztywnej knajpy albo dobrego hotelu — dodał i ściskając swe trofeum, zaczął iść po szerokich, przykrytych czerwonym dywanem schodach.

— Taa... Pójdziemy tam, gdzie publiczność potrafi rozpoznać supergwiazdę — wycodziła Champagne, ruszając za nim z godnością. Grace natychmiast oderwała usta od warg Henry'ego. A w każdym razie próbowała, ale on trzymał ją mocno i przyciągał coraz bliżej, całując chciwie. Jego pożądanie było równie przytłaczające, jak niespodziewane. Kiedy Grace uświadomiła sobie, że ich uda się stykają, odsunęła się zawstydzona.

— Przepraszam — wymamrotała, cofając się i obronnym gestem unosząc rękę z monetą. Tłum spływał teraz na podest, niektórzy spoglądali na nich z rozbawieniem.

— Za co przepraszasz? — zdziwił się Henry. — Sprawilo mi to przyjemność. W gruncie rzeczy od dawna pragnąłem cię pocałować.

— Po prostu nie chciałam, żeby mnie ktoś zobaczył... Co powiedziałeś?

— To, co słyszałaś — odparł Henry, ujmując jej twarz w dłonie i przyciskając ją do swojej. Ale ledwo jego usta ponownie zdążyły zetknąć się z jej wargami, tuż przy uchu Grace rozległo się klaskanie.

— Bogu dzięki! — zawołała Ellie. — Teraz możemy wreszcie rozdać egzemplarze recenzyjne.

Grace oderwała usta od warg Henry'ego.

— Co takiego?

— Jak to, nie powiedział ci? — zdziwiła się Ellie.

— Czego mi nie powiedział?

Ellie założyła ręce na piersi i surowo spojrzała na Henry'ego.

— Zabawa skończona, koleś — oświadczyła stanowczo.

— Nie, jeszcze nie — odparł równie zdecydowanym tonem, rozglądając się po sali. — Zbyt wielu tu ludzi. — Machnął ramieniem w kierunku podochoconego alkoholem tłumu i uderzył kogoś prosto w twarz.

— Auu! — wrzasnął Louis de Bernieres, patrząc na niego z wściekłością.

— Wyjdźmy stąd — zaproponował Henry. — Sprawy z Louistem mogą przybrać zły obrót.

— Gdzie to jest? — zapytała Ellie, gdy zbiegali po schodach.

Grace podążała za nimi, usiłując rozszyfrować ich słowa.

— W szatni. Poczekaj, zaraz przyniosę.

— Powinien być w cholernym sejfie — burknęła Ellie, gdy Henry zniknął za rogiem.

— Co powinno? — zapytała błagalnie Grace, mając dosyć tej dziwnej rozmowy.

— Zaraz się dowiesz.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Ellie oddaliła się nieco, a Henry podał Grace plastikową torbę.

— Musisz zobaczyć to pierwsza — powiedział. — Przed krytykami i dyskusjami w studiach, przed wszystkimi. Nie pozwoliłem im tego rozprowadzić, dopóki nie pokażę ci pierwszego egzemplarza. Dlatego tu dzisiaj przyszedłem.

— Co chcesz mi pokazać? — Miała wrażenie, że dookoła rozbrzmiewa język zrozumiały dla wszystkich prócz niej. Czyżby połowę mózgu zostawiła w Paryżu? Pogrzebała w torbie i wyciągnęła z niej coś cienkiego, szerokiego i twardego.

Książka z kolorową okładką. Książka dla dzieci. Dlaczego Henry uważał, że będzie chciała dostać książkę dla dzieci? Popatrzyła na niego niepewnie. Uśmiechnął się szeroko, najwyraźniej oczekując z jej strony jakiejś reakcji. Znowu spojrzała na tomik, nic nie rozumiejąc.

Obrazek na obwolucie ukazywał oświetloną ogniskami plażę, na której uśmiechnięta grupka baśniowych postaci w kolorowych opaskach na głowach tańczyła wokół małego chłopca w piżamie. W górze, na aksamitnie czarnym nocnym niebie, na którym błyszczały gwiazdy, układały się w pętlę litery. Mały areoplanik wypisywał na nim tytuł: *Nedowie z Mrugającej Zatoki.*

— Och! — zawołała Grace. — Ta słynna książka... Wszyscy o niej mówią. — Poczula się jeszcze bardziej zmieszana. — Ale jak ją zdobyłeś? Wydawało mi się, że jest na nią embargo.

— Ona dalej nic nie pojmuję — syknęła stojąca parę metrów od nich Ellie i z irytacją uderzyła obcasem w ścianę.

Henry uśmiechnął się i popatrzył na Grace.

— Ma się swoje sposoby — powiedział. — Wykorzystałem słabość, jaką wielki Bill Duke żywi do mojej mądrej i pięknej redaktorki...

— Oj... — burknęła Ellie, ale nie wyglądała na urażoną. Grace spojrzała na nią. Bill Duke. To właśnie podejrzewała.

Więc Ellie wreszcie zdobyła swojego milionera.

— ...i dzięki temu mogłem otrzymać pierwsze egzemplarze mojej książki. Jego książki? Grace popatrzyła zmrużonymi oczyma na okładkę. W pomarańczowym świetle lamp z trudem przeczytała nazwisko autora na dole. „Henry Moon” — głosiła dumnie czerwona pętla.

Nagle poczuła się, jakby uderzyła w nią błyskawica.

— Ty to napisałeś? Ty jesteś tajemniczym autorem *Ne-dów z Mrugającej Zatoki!* — O Boże. Teraz wydaje się to takie oczywiste. Jak po raz kolejny mogła okazać się taka głupia? Może właśnie takie zdanie powinno widnieć na jej nagrobku?

— Nie tylko ja — odparł Henry, którego głos stał się nagle powolny i odległy, niczym głos automatycznej sekretarki, której wyczerpuje się bateria.

Grace znowu popatrzyła na książkę. Pod jego nazwiskiem, mniejszymi literami, wydrukowano słowa: „Wspólnie z Marią Strupar”. Grace zmarszczyła czoło. Strupar? Przecież zna to nazwisko. Tak. Co tydzień wypisywała je na czeku.

— Maria Strupar? Sprzątaczką Maria? Skąd ją znasz? — zapytała zdumiona i w tym momencie w jej głowie rozległ się grzmot, jakby dwie potężne tablice wsunęły się na swoje miejsce. — To nie do wiary! Skoro jesteś tajemniczym autorem,

musisz też być tajemniczym klientem... utajnionym klientem Marii.
Skinął głową.

— Maria spadła mi z nieba... tylko przez nią mogłem do ciebie dotrzeć, gdy wszystko inne zawiodło.

— Zawiodło? — Przez chmury w umyśle Grace przedarła się nieprzyjemna myśl, że za chwilę Henry powie coś na temat jej zawodowej niekompetencji.

— Za każdym razem, kiedy się spotykaliśmy, wydarzała się jakaś katastrofa...

Grace westchnęła. Rzeczywiście tak było. Zresztą zasługiwała na to.

— ...i to zawsze była moja wina — dokończył Henry.

— Twoja wina? — zapytała zdumiona, patrząc na niego zamglonymi oczyma.

— Oczywiście. Popierdoliłem wszystko na festiwalu St Merrion... — Urwał, rzucając jej łobuzerskie spojrzenie. — Chociaż to może nie jest właściwe wyrażenie...

Grace zamrugała. Henry odchrząknął i dodał:

— Potem pochrzaniłem wszystko w radiu, zrobiłem z siebie dupka w telewizji, zachowałem się jak kretyn w księgarni i wyskoczyłem z tą gadaniną o twoim byłym chłopaku, nie wiedząc, że jest twoim byłym chłopakiem. — Nerwowo przesunął ręką po włosach. — To był koniec. Po tej scenie w koktajl-barze pomyślałem, że już nigdy nie zechcesz się ze mną spotkać.

Grace utkwiała wzrok w ustach Henry'ego, starając się zrozumieć treść jego słów.

— Nie miałem pojęcia, jak się z tobą ponownie skontaktować — mówił.

— Któregoś dnia zacząłem o tym rozmawiać z Marią. Kiedy mi powiedziała, że również jesteś jedną z jej klientek, nie mogłem w to uwierzyć. Wtedy właśnie przyszło mi do głowy, żeby napisać coś, co może ci się spodoba, i w ten sposób odnowić naszą znajomość. A Maria miała mnóstwo pomysłów. Kiedy była mała, mieszkała gdzieś w okolicach Mrugającej Zatoki.

Grace czuła, że jej ręce osuwają się po betonowym słupie lampy ulicznej. Potem ujrzała światła lśniące na tle czarnego nieba i uderzyła w coś zimnego i twardego. Z jej ręki wytoczył się mały metalowy krążek, a światła na niebie zgasły.

— Kochanie, mówiłam ci, że nie powinnaś była wracać do pracy. To o wiele za wcześnie. Jeszcze źle się czułaś. A do tego to przyjęcie...

Gdy Grace się obudziła, głos lady Armiger dudnił wokół jej głowy. Była we własnym mieszkaniu, we własnym łóżku, z własną matką przy boku.

Czy to jakieś cholerne *déjà-vu*? Czy znowu jest chora?

Usiłowała się podnieść.

— Od jak dawna tu jestem?

— Dzień czy dwa, kochanie. Masz grypę.

Dzień czy dwa. Grace opadła z powrotem na łóżko, usiłując poskładać w całość ostatnią rzecz, jaką pamiętała. Henry uśmiechający się do niej.

Henry całujący ją. To oczywiście majaki, halucynacje chorego umysłu.

— Ale Henry dotrzymał mi towarzystwa — dodała nieoczekiwanie lady Armiger.

— Henry! — Grace poczuła, że jej kręgosłup sztywnieje. Przypomniała sobie mgliście, że powiedział: „Za każdym razem, kiedy się spotykamy, wydarza się jakaś katastrofa”. A teraz jakimś cudem poznał jej matkę.

Czy go jeszcze zobaczy?

Lady Armiger energicznie kiwnęła głową.

— Porozmawialiśmy sobie wczoraj bardzo miło, kiedy spałaś. — Jej powieki zatrzepotały, westchnęła lekko. — To taki uroczy chłopak. A poza tym, że bardzo cię kocha i jest ci ogromnie oddany, okazuje się, że należy do rodziny Harting-tonów Moonów. To bardzo wytworni ludzie. I do tego bogaci.

Grace jęknęła i zamknęła oczy.

— Och, kochanie, czy naprawdę musisz być taka? — Lady Armiger westchnęła z irytacją. — Ale czy to nie zdumiewające,

że się spotkaliście... to znaczy spotkaliście się ponownie... przez tę samą sprzątaczkę? Jaka szkoda, że odchodzi. Grace otworzyła oczy.

— Odchodzi? Maria odchodzi?

— Tak, zakłada własną firmę. Teraz, kiedy dostała część honorariów za książkę, jest zamożną kobietą. Nigdy nie widziałas na oczy takich zaliczek, jakie dają za tych Tedów.

— Nedów — poprawiła ją Grace. — *Nedów z Mrugającej Zatoki*.

— Wszystko jedno, kochanie. W każdym razie to wielka szkoda, bo miałam zamiar zatrudnić ją w konsulacie.

— Naprawdę? — Grace nachmurzyła się, zaraz jednak jej twarz odprężyła się w uśmiechu. O co tu walczyć? Nigdy nie wygra z matką, więc lepiej będzie, jeśli się do niej przyłączy.

— Ale doszłam do wniosku — ciągnęła beztrzesko lady Armiger — że chyba niezbyt by pasowała do Wenecji. Z tego, co słyszałam, ma niesamowitą fantazję i opowiada jakieś zdumiewające historie o magii. A dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych mogłoby to być trochę męczące. Ale to właśnie Marii należy podziękować za to, że w końcu was ze sobą zetknęła, choć czuję się trochę urażona. Odnieść sukces tam, gdzie ja doznałam porażki... Po wszystkich moich wysiłkach, żeby was wyswatać... Sprzątaczką.

Grace zamaskowała chichot atakiem kaszlu. Tymczasem twarz lady Armiger znowu się ożywiła.

— Och, byłabym zapomniała, kochanie. Henry prosił, żebym ci coś dała, jak się obudzisz.

— Naprawdę? — zdziwiła się Grace i patrzyła podekscytowana, jak jej matka grzebie w swojej ogromnej torbie.

— Na pewno gdzieś tu jest. Bardzo mu zależało, żebyś to dostała, powiedział, że to szczególna rzecz i bardzo cenna... a, znalazłam ją. — Lady Armiger wyjęła małe pudełko i wręczyła je córce z promiennym uśmiechem.

Grace otworzyła pudełko i wytrząsnęła jego zawartość na dłoń.

Zobaczyła majestatyczną twarz, ujętą z profilu.

Lady Armiger pochyliła się nad Grace, by również obejrzeć dar Henry'ego.

— Moneta funtowa?! — zawołała ze zdziwieniem. — I do tego brudna! Co w niej takiego szczególnego?

Grace obronnym gestem zamknęła palce wokół metalowego krążka.

Teraz nie miała już wątpliwości, że wartość monety nie ma nic wspólnego z podwójnymi podbródkami.

— Jest bardzo szczególna — odparła. Lady Armiger prychnęła.

— Skoro tak mówisz... Ja raczej spodziewałam się dużego diamentu czy czegoś w tym rodzaju. — Z wymuszoną beztroską spojrzała na pięść Grace, w której spoczywała była moneta. — Niech ci będzie. Być może w miejscu, z którego pochodzi ta moneta, jest jeszcze wiele innych.